

FUNDACJA SLAWISTYCZNA  
INSTYTUT SLAWISTYKI PAN

# Stepowa legenda



# STEPOWA LEGENDA

# LITERATURA NA POGRANICZACH

## 9

Komitet Redakcyjny

JOANNA RAPACKA (przewodnicząca),  
JACEK KOLBUSZEWSKI, STEFAN KOZAK,  
LUCJAN SUCHANEK, GRAŻYNA SZWAT-GYŁYBOWA

FUNDACJA SŁAWISTYCZNA  
INSTYTUT SŁAWISTYKI POLSKIEJ AKADEMII NAUK

# STEPOWA LEGENDA

Antologia ukraińskiej małej formy prozatorskiej  
lat 1890-1930

pod redakcją

OLI HNATIUK  
I LARYSY SZOST



SŁAWISTYCZNY  
OŚRODEK  
WYDAWNICZY

WARSZAWA 2001

Publikację opiniowali do druku  
MARIAN JURKOWSKI i MICHAŁ ŁESIÓW

**Wydanie publikacji dofinansowane  
przez Komitet Badań Naukowych**

Okładkę projektowała  
MONIKA HANDKE

Redaktor  
ZENOBIA MIECZKOWSKA

Skład i łamanie  
ELŻBIETA AFTOWICZ

© Copyright by Sławistyczny Ośrodek Wydawniczy  
Printed in Poland

**ISBN 83-86619-98-8**

Sławistyczny Ośrodek Wydawniczy (SOW)  
przy Instytucie Sławistyki PAN  
00-901 Warszawa  
PKiN skr. pocz. 19  
tel. 656-62-66

## Spis treści

### **Część I. Ukraiński modernizm**

Uwagi wstępne .....	9
O ukraińskim modernizmie .....	13
Kierunki literackie .....	23
Impresjonizm .....	23
Symbolizm .....	24
Neoklasycyzm .....	26
Romantyka witaizmu .....	27
Ekspresjonizm .....	28
Futuryzm .....	29
Konstruktywny dynamizm .....	31

### **Część II. Portrety i teksty**

Olha Kobylanska .....	35
<i>Paraska</i> .....	37
Mychajło Kociubynski .....	61
<i>Kwiat jabłoni</i> .....	63
<i>Intermezzo</i> .....	69
Wasył Stefanyk .....	79
<i>Sama, samiutka</i> .....	81
<i>Kamienny krzyż</i> .....	82
<i>Spowiedź</i> .....	90
Bohdan Łepki .....	93
<i>Po latach wielu</i> .....	95
<i>Siedem szlafroków</i> .....	101
Marko Czeremszyna .....	103
<i>Karby</i> .....	104
<i>Dziad</i> .....	111

Mychajło Jackiw .....	113
<i>Poemat dolin</i> .....	115
<i>Dziewczyna na czarnym rumaku</i> .....	118
<i>Malowany strzelec</i> .....	122
<i>Kłatwa jelenia</i> .....	123
<i>Dziecko</i> .....	125
<i>Leśny dzwon</i> .....	126
Hnat Chotkewycz .....	129
<i>Portret</i> .....	130
<i>Magiczny kostur</i> .....	145
Wołodymyr Wynnyczenko .....	149
<i>Małeńka blizna</i> .....	151
<i>Niewolnice realności</i> .....	164
Hryhorij Kosynka .....	177
<i>Księżycowy śmiech</i> .....	179
Wałerjan Pidmohylny .....	185
<i>Stary Jakym</i> .....	188
<i>Historia pani Eugenii</i> .....	188
<i>Iwan Bosy</i> .....	192
Mykoła Chwyłowy .....	199
<i>Droga i jaskółka</i> .....	203
<i>Ja (Romantyczność)</i> .....	206
Arkadij Lubczenko .....	223
<i>Krew</i> .....	226
<i>Stepowa legenda</i> .....	233
Geo Szkurupij .....	241
<i>Pogromca smoka</i> .....	243
<i>Tysiąc walecznych</i> .....	250
Jurij Janowski .....	261
<i>W listopadzie</i> .....	264
<i>Powrót</i> .....	270

## Aneksy

Ugrupowania i organizacje literackie .....	275
Tablice chronologiczne 1880-1934 (literatura-kultura) .....	281
Tablice chronologiczne 1880-1934 (historia) .....	292
Pełne wydania utworów, polskie przekłady oraz opracowania dotyczące twórczości poszczególnych pisarzy.....	300
Bibliografia.....	308
Nota redakcyjna .....	310

**Część I**

**UKRAIŃSKI MODERNIZM**





## UWAGI WSTĘPNE

*Stepowa legenda* (antologia ukraińskiej małej formy prozatorskiej lat 1890-1930) mieści utwory czternastu najwybitniejszych – zdaniem redaktorów książki – prozaików ukraińskich, których twórczość można określić mianem modernistycznej, oraz zarysowuje tło historyczno-literackie epoki modernizmu. Twórczość znakomitej większości prezentowanych pisarzy nie jest znana w Polsce ze względu na brak przekładów. Wyboru dokonano w taki sposób, by zapoznać czytelników z tekstami, charakterystycznymi dla poszukiwań literackich tego okresu, w związku z tym czasem pomijano utwory wybitne, lecz stylowo nie mieszczące się w ramach tak zakrojonego wyboru. Wiele spośród publikowanych tekstów pojawia się drukiem po raz pierwszy od siedemdziesięciu lat, choć swego czasu zdobyły rozgłos dzięki swojemu nowatorstwu.

Antologia pomyślana została przede wszystkim jako publikacja przeznaczona dla czytelników o zainteresowaniach slawistycznych, pragnących poznać oryginalną i różnorodną twórczość prozatorską ukraińskich autorów tego okresu. Zaprezentowano w niej utwory modernistyczne, które ze względu na nowatorski charakter w okresie radzieckim były wydawane wybiórczo. Pomijano je także w opracowaniach historyczno-literackich, a jeśli w ogóle wspomniano modernistów, to po to, by ich „reakcyjnym” poglądom na sztukę przeciwstawić pisarzy „postępowych”, hołdujących realistycznej bądź – w późniejszym okresie – socrealistycznej manierze. Na Ukrainie Radzieckiej o istnieniu tak wybitnego pisarza, jak Chwyłow, można było się dowiedzieć jedynie z encyklopedycznego hasła „chwyłowizm”, w którym piętnowano go jako „odszczępieńca”. Jedynie wydawnictwa emigracyjne publikowały utwory najgłośniejszych autorów tej epoki: Wołodymyra Wynnyczenki czy Mykoły Chwyłowego. Wydana przez Instytut Literacki w Paryżu znakomita antologia Jurija Ławrinenki *Rozstrilane widrodzennia* (1959) na długie lata pozostała jedynym dostępnym źródłem wiedzy na temat twórczości pisarzy lat dwudziestych. W efekcie równoległe funkcjonowały dwa kanony literatury ukraińskiej tego okresu, pod względem ideologicznym całkowicie sobie przeciwstawne. Umownie można by je

nazwać „komunistycznym” i „antykomunistycznym” lub – unikając jednoznacznej kwalifikacji ideologicznej – kolonialnym i antykolonialnym.

Tocząca się obecnie dyskusja o ukraińskim modernizmie każe inaczej spojrzeć na ten okres literatury ukraińskiej. Konieczne staje się gruntowne przewartościowanie kanonu, odejście od kryteriów ideologicznych i powrót do kryteriów estetycznych. Tego przewartościowania częściowo dokonały publikacje dotyczące represjonowanych pisarzy oraz wydania ich utworów, jakie ukazały się na przełomie lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych XX wieku. Jednak proces przywracania literaturze ukraińskiej skazanych na zapomnienie twórców często przybierał formę – by użyć tu obrazowego określenia – odwracania biegunów, co przedłużyło istnienie dwu przeciwstawnych kanonów. W efekcie tego wypracowywanie nowego kanonu literatury ukraińskiej XX wieku dopiero się zaczyna, a pierwsze próby syntezy zawarte w akademickich podręcznikach historii literatury – *Istoriji ukrajinskoji literatury XX stolittia* (pod red. Witalija Donczyka) oraz *Istoriji ukrajinskoji literatury XIX stolittia* (pod redakcją M. Jacenki), a także wcześniejszej antologii przeznaczonej do użytku w szkołach średnich (*Ukrajinske słowo* pod redakcją Wasyla Jaremenki) wyraźnie wskazują na to, że ustalenie odpowiednich kryteriów jest kwestią niezwykle złożoną. Znamienne, że ani w podręczniku do historii literatury XIX wieku, ani też w obszernym podręczniku literatury XX wieku nie uwzględniono okresu 1890-1920. W pierwszym charakterystyka zjawisk literackich kończy się na realizmie i jego czołowych przedstawicielach, a więc na latach osiemdziesiątych XIX wieku, w drugim zaś zaczyna się od roku 1910, przy czym utwory powstałe między rokiem 1910 a 1920 zostały potraktowane bardzo pobieżnie – omówiono jedynie twórczość pisarzy związanych z grupą „Mołoda Muza” oraz wczesną, pozostającą pod wpływem naturalizmu, prozę Wynnyczenki. Powstała zatem trzydziestoletnia luka; pominięto w ten sposób okres niezwykle istotny dla dwudziestowiecznej literatury ukraińskiej. Antologia stanowi próbę wypełnienia tej luki.

Istotnym problemem w dziejach literatury ukraińskiej od schyłku XIX do końca XX wieku wydaje się także periodyzacja i wydzielenie okresów literackich. Dawny podział na literaturę przedradziecką i radziecką wraz z cezurą – rokiem 1917 – nie wytrzymuje krytyki; nowego wciąż jeszcze nie dokonano. We wspomnianym najnowszym podręczniku historii literatury ukraińskiej XX wieku zaproponowano jedynie niewielkie zmiany w stosunku do dotychczasowej periodyzacji, uznając za przełomowe lata 1910-1920. Kierowanie się kryteriami estetycznymi nakazywałoby jednak wyodrębnienie twórczości lat 1890-1930 jako okresu modernizmu, co też uczynili autorzy niniejszej antologii.

W małej formie prozatorskiej – opowiadaniach, nowelach, szkicach, obrazkach, etiudach – poszukiwania estetyczne są szczególnie widoczne. W tych właśnie gatunkach najsilniej przejawiała się wspólnota poszukiwań estetycznych

twórców naszego regionu Europy, zwłaszcza zaś pisarzy ukraińskich i polskich. Na początku XX wieku kontakty te, przede wszystkim w Galicji, były dość ożywione, by przypomnieć tu choćby wspólne przedsięwzięcia wydawnicze Bohdana Łepkiego i Władysława Orkana lub estymę, jaką darzył Wasyla Stefanyka patriarcha galicyjskiego modernizmu, Stanisław Przybyszewski. Znalazło to wyraz także w licznych przekładach z najnowszej literatury ukraińskiej – pojawiły się antologie młodej poezji i prozy, wydawano także utwory poszczególnych autorów – Mychajła Kociubynskiego, Wasyla Stefanyka, Mychajła Jackiwa, Bohdana Łepkiego. Wydarzenia I wojny światowej przerwały jednak ten proces wzajemnego poznawania się za pośrednictwem kultury. W okresie międzywojennym jedynie okazjonalnie pojawiały się przekłady ukraińskiej prozy, zaś po II wojnie światowej prezentowano w Polsce głównie socrealistyczny model ukraińskiej literatury. Z kolei publikacje ostatnich lat przedstawiają najnowsze dokonania literackie. Tak więc dzisiejszy czytelnik nie ma kontaktu z przekładami ukraińskiej prozy modernistycznej.

Utwory, które znalazły się w tej antologii zaprezentowano w przekładzie polskim, przy czym tłumaczenia pochodzą zarówno z początku, jak i z końca XX wieku.

Proponowany opis procesu historyczno-literackiego uwzględnia dokonujące się w nim transformacje, przedstawia analizę najważniejszych tendencji i kierunków artystycznych, jak też kreśli portrety literackie omawianych pisarzy. Całości dopełniają tablice chronologiczne oraz bibliografia ogólna i szczegółowa.

\*\*\*

Antologia niniejsza powstała w Instytucie Slawistyki PAN. Jej redaktorami oraz autorami komentarzy historyczno-literackich i opracowania bibliograficznego są Ola Hnatiuk oraz Łarysa Szost. Tablice chronologiczne, ukazujące najważniejsze wydarzenia na Ukrainie w okresie 1880-1934 opracowała Katarzyna Kotyńska. Tłumaczeń specjalnie dla niniejszego wydania dokonali: Ola Hnatiuk, Tatiana Hołyńska, Katarzyna Kotyńska, Jerzy Litwiniuk, Bazyli Nazaruk, Renata Rusnak, Łarysa Szost. Wykorzystano dawne przekłady Jerzego Jędrzejewicza, Michała Moczulskiego, Władysława Orkana, Sydora Twerdohliba, Natalii Zarembiny, pochodzące z okresu 1911-1951.

*Ola Hnatiuk i Łarysa Szost*



## O UKRAIŃSKIM MODERNIZMIE

Modernizm ukraiński utożsamia się dziś najczęściej z twórczością pisarzy skupionych wokół dwu pism – „Ukraińskiej chaty” i „Switu” – „chatian” i „modomuziwców”, przy czym podkreśla się wtórność i niekonsekwencję ich modernistycznego dyskursu. We wcześniejszym okresie radzieckie literaturoznawstwo zaprzeczało istnieniu modernizmu w literaturze ukraińskiej, a „pojedyncze zjawiska” kwalifikowało jako przejaw reakcyjnej ideologii, której hołdownali „niektórzy pisarze”. Oczywiście starano się w jak najbardziej ograniczonym stopniu ukazywać wpływy modernizmu na twórczość czołowych pisarzy – Łesi Ukrainki, Mychajły Kociubynskiego, Iwana Franki – oraz umniejszać znaczenie tych twórców, których nie można było nazwać „realistami”.

Początek ukraińskiego modernizmu zazwyczaj wiąże się z pojawieniem się w 1903 r. almanachu Mykoły Woronego *Znad chmar i dołyn*. Ten okres kończy się wraz z wybuchem I wojny światowej. Byłaby to więc najkrótsza epoka w dziejach literatury ukraińskiej, trwająca zaledwie 11 lat. Nic więc dziwnego, że – zdaniem wielu badaczy – w literaturze ukraińskiej nie dokonały się zmiany, charakterystyczne dla modernizmu europejskiego.

Historycy literatury do dziś zastanawiają się, czy istniał modernizm w literaturze ukraińskiej. Tymczasem pisarze uchodzący za nowoczesnych od lat sześćdziesiątych poczynając, na dziewięćdziesiątych kończąc, odwołują się do utworów powstałych na przełomie wieków lub w latach dwudziestych, nawiązują do modernistycznych eksperymentów formalnych, cytują, parafrazują – jednym słowem odnajdują swoich poprzedników i nie wątpią w ich istnienie ani też znaczenie dla nowoczesnej literatury ukraińskiej. W niedawno wydanej książce Tamary Hundorowej poświęconej modernizmowi autorka, parafrazując słowa Łesi Ukrainki o socjalizmie, stwierdziła: „Modernizm jest zbyt uniwersalnym ruchem, by ukraińska literatura mogła się bez niego obejść” (*Projawłennia słowa*, s. 9). Rzeczywiście, o ile literatura socrealistyczna mogła się

obejść bez doświadczenia modernizmu, które uważała za wręcz szkodliwe, jeśli nie zabójcze, to dla literatury nowoczesnej to doświadczenie jest niezbędne.

Trudno dziś w sposób pełny i pewny zdefiniować pojęcie modernizmu w literaturach europejskich. Czy istniało jednolite zjawisko artystyczne pod nazwą modernizm europejski, czy też dwa jego typy – modernizm europejski i modernizm słowiański, czy raczej jego różne odmiany w literaturach narodowych? Czy modernizm był krótkotrwałym zjawiskiem charakterystycznym dla przełomu wieków – czasu kryzysu światopoglądowego, czy też epoką literacką, trwającą do dziś, choć w zmodyfikowanej postaci? Jakie są konsekwencje takiej lub innej odpowiedzi dla obrazu literatury ukraińskiej?

Przyjęcie definicji modernizmu jako jednej z nazw tendencji nowatorskich w literaturze i sztuce przełomu XIX i XX wieku prowadzi do ograniczenia jego znaczenia dla sztuki nowoczesnej, podkreśla bowiem wyłącznie elementy nowatorstwa artystycznego i w istocie jest synonimem *Modern Style*, *secesji*, *L'Art Nouveau*, a więc stylu, nie epoki. Prócz tego rezultatem przyjęcia tej definicji byłoby umieszczenie twórczości Ezry Pounda, Luigi Pirandella, Franza Kafki, Thomasa Stearnsa Eliota, Tomasza Manna – by wspomnieć tylko niektórych spośród najwybitniejszych twórców – poza obszarem zjawisk modernistycznych, gdyż nie mieści się ona w ramach czasowych tak pojmowanego modernizmu. W sztuce ukraińskiej tak rozumiany modernizm zaistniał na krótko – w okresie działalności młodomuziwców i chatian, lecz nie stał się dominującą tendencją w literaturze. Odmierna też była jego postać – formalne nowatorstwo nie stanowiło o istocie modernizmu ukraińskiego; stąd wątpliwości badaczy, czy w ogóle istniał modernizm ukraiński.

Modernizm bywa także rozumiany przez historyków literatury polskiej jako „wcześniejsza, przygotowawcza faza twórczości pokolenia Młodej Polski, związana z odrodzeniem metafizyki, z przesyceniem rodzajów literackich liryzmem i symboliką” (Kazimierz Wyka). Tak pojmowany modernizm trwał w literaturze polskiej od 1887 do 1903 roku. Jeśli przyjąć analogiczną definicję dla literatury ukraińskiej, to znaczy przez modernizm ukraiński pojmować zamykające się w okresie 1903-1914 działania literackie pisarzy związanych z grupą MOŁODA MUZA i pismem „Ukrajńska chata”, mające na celu uprawomocnienie subiektywizmu i indywidualizmu, co przejawiało się w zwiększonej roli symboliki, liryzmu, zwrocie ku metafizyce, wówczas okaże się, że to, co w historii literatury polskiej uznawane jest za fazę wstępną epoki, w literaturze ukraińskiej stanie się całą tą epoką. Otrzymamy w efekcie – jak ujmują to badacze – „modernizm niepełny”. Dojrzałej fazy tej epoki – jeśli przyjąć taką definicję – nie będzie w literaturze ukraińskiej, czy też – zdaniem niektórych

---

\* Już po przygotowaniu tej książki ukazała się monografia Agnieszki Korniejenko *Ukraiński modernizm* (Kraków 1998), w której szczegółowo omówiono dyskusję o modernizmie.

historyków literatury – modernizm przejawia się w niepełnej formie. Wczesne stadium epoki przerwał bieg historii – I wojna światowa oraz wydarzenia lat 1917-1920. Zaangażowanie większości przedstawicieli modernizmu w walkę o niepodległość, przejawiające się również w działalności literackiej, badacze najczęściej uznają za kres tendencji modernistycznych w literaturze ukraińskiej. Najbardziej nośna idea – autonomizacji sztuki – została przez czołowych przedstawicieli zarzucona. Mykoła Worony pisze hymn „Za Ukrainu, za jiji wolu, za czest’ i sławu, za narod”, Ołeksandr Ołeś zaczyna uprawiać zaangażowaną poezję satyryczną, wielu spośród członków MOŁODEJ MUZY za najistotniejszą uznaje „pracę u podstaw” – działalność oświatową wśród ukraińskich żołnierzy i jeńców wojennych, Ukraińców z carskiej armii. Po wojnie zaś próby reaktywowania działalności MOŁODEJ MUZY miały jedynie historyczno-literacki wymiar i zakończyły się niepowodzeniem.

Gdyby więc przyjąć taką definicję ukraińskiego modernizmu, należałoby uznać, że rozwój modernizmu został przerwany, zanim osiągnął on fazę dojrzałą; rozpoczął się nowy okres w literaturze, do niedawna przez radzieckich badaczy określany „literaturą okresu budowy i umacniania socjalizmu w ZSRR”, przez badaczy emigracyjnych najczęściej „rozstrzelanym odrodzeniem”.

W literaturoznawstwie anglosaskim modernizmem nazywane są kierunki awangardowe, kształtujące się około 1910 roku i trwające w różnych postaciach do drugiej połowy XX wieku, kiedy to pojawia się sztuka i literatura postmodernizmu. Podstawę tak rozumianego modernizmu stanowi kult nowości, co przejawiało się w odrzuceniu tradycyjnych form literackich i wartości propagowanych przez dziewiętnastowieczną literaturę. W centrum uwagi znalazła się podświadomość, wzrosła też rola intuicji, świadomości prymitywnej oraz mitu. Złotym wiekiem były lata dwudzieste, kiedy ukazały się najważniejsze utwory Jamesa Joyce’a (*Ulisses*, 1922), Franza Kafki (*Proces*, 1925; *Zamek*, 1926), Tomasza Manna (*Czarodziejska góra*, 1925), T. S. Eliota (*Ziemia jałowa*, 1922), Luigi Pirandella (*Sześć postaci scenicznych w poszukiwaniu autora*, 1921), Ezry Pounda (*Szkic XVI Pieśni*, 1925), Williama Faulknera (*Wrzask i wściekłość*, 1929).

W ostatnich latach coraz częściej ukraińscy podejmują próby zastosowania anglo-amerykańskiego pojmowania terminu modernizm w historii literatury ukraińskiej. Najważniejszą taką próbą była książka *Dyskurs modernizmu w ukraińskiej literaturze* Sołomiji Pawłyyczko, dzięki której nastąpił przełom w badaniach nad modernizmem. Ukraiński modernizm, będący jedną z licznych i równouprawnionych odmian modernizmu europejskiego trwa zgodnie z tą koncepcją w przybliżeniu od lat dziewięćdziesiątych XIX wieku, do okresu powojennego, a ściślej rzecz ujmując – do końca lat czterdziestych XX wieku, kiedy to Wiktor Domontowycz (Petrow) sformułował ideę postmodernizmu. Jednak i ta definicja, choć niezwykle atrakcyjna i nowoczesna w momencie zastosowania w periodyzacji literatury ukraińskiej XX wieku okazuje się ułomna, ponieważ pomija okres dominacji socrealizmu – lata 1932-1956.



Najrzadziej w literaturoznawstwie spotyka się określenie modernizmu jako prądu obejmującego wszelkie powstałe w końcu XIX i na początku XX wieku nurty niewerystyczne w literaturze i sztuce (Jan Józef Lipski). Pojęcie to ukuto w opozycji do weryzmu – nurtu panującego w literaturze, muzyce i sztuce włoskiej ostatniego ćwierćwiecza XIX wieku, który był formą naturalizmu, a jego estetyka opierała się na mimetycznej teorii sztuki. Niewerystyczne byłyby więc nurty, które nie dążą do stworzenia pozorów autentyzmu w fikcji literackiej oraz nie nadają przewagi tematyce wziętej z życia prostego ludu. Zbliżoną definicję zaproponowali autorzy *Słownika literaturoznawczych terminów*, modernizmem nazywając literacko-artystyczne tendencje o charakterze niemimetycznym. Choć mniej precyzyjne, są to określenia bardziej pojemne od omówionych wcześniej, gdyż nie ograniczają się do prądów stricte awangardowych, jak w przypadku modernizmu w rozumieniu anglo-amerykańskim, czy też tendencji nowatorskich, jak w pierwszej, najbardziej rozpowszechnionej w Polsce definicji. Takie pojmowanie modernizmu pozwala historykowi literatury ukraińskiej rozstrzygnąć zasadnicze kwestie: obecności modernizmu w kulturze ukraińskiej oraz jego ram czasowych. Pozwala także zrozumieć, dlaczego współcześni pisarze nie-tradycjoniści odwołują się do pewnych zjawisk w kulturze ukraińskiej.

Przyjęcie takiej definicji umożliwia poszerzenie obszaru modernizmu w literaturze ukraińskiej. Do zjawisk modernistycznych zaliczano by wówczas nie tylko twórczość pisarzy związanych z „Ukraińską chatą” i MOŁODĄ MUZĄ, ale i prozaików uznawanych dotychczas za przedstawicieli realizmu – m.in. Wołodymyra Wynnyczenki, Wasyla Stefanyka, Mychajły Kociubynskiego, Wałerjana Pidmohylnego – oraz wielu poetów lat dwudziestych, w szczególności Pawła Tyczyny, Jewhena Płużnyka, Mykoły Bażana, Wołodymyra Swidzińskiego, a także Bohdana Ihora Antonycza. Początek tak pojmanego modernizmu przypadałby na lata dziewięćdziesiąte XIX wieku, koniec zaś na lata trzydzieste XX wieku, przy czym należałoby wyodrębnić dwa okresy – wczesnego modernizmu oraz modernizmu dojrzałego – z cezurą wyznaczoną przez lata 1914-1918.

Początki modernistycznych tendencji można dostrzec już w latach osiemdziesiątych XIX wieku w twórczości Iwana Franki oraz Mychajły Kociubynskiego; w latach dziewięćdziesiątych stają się coraz wyraźniej obecne w twórczości Olhy Kobylanskiej, uznanej niebawem przez „mołodomuziwców” za prekursorkę modernizmu w literaturze ukraińskiej. Modernistyczne elementy pojawiają się także w twórczości Łesi Ukrainki; symbolizm przejawiał się wyraźnie zwłaszcza w jej wczesnej dramaturgii (m.in. *Błakytyna trojanda*, 1896) pozostającej pod wpływem Maeterlincka. Istotne zmiany zaczynają być dostrzegalne jednak nieco później – pod koniec XIX wieku – kiedy to debiutowało młode pokolenie kształtujące swój światopogląd filozoficzny i estetyczny w opozycji do filozofii pozytywistycznej i narodnictwa. Zakwestionowano wówczas podstawy światopoglądu pozytywistycznego – ewolucjonizm i scjentyzm.

Zacząto z nieufnością traktować naukę jako źródło poznania. Optymizm poznawczy pozytywistów odchodził w przeszłość. Krytycznie oceniano także próby urzeczywistnienia koncepcji przemian społecznych; zderzenie ideałów pozytywizmu z rzeczywistością wykazało niemożność dokonania zmian. Powszechne stało się poczucie kryzysu kultury, religii, filozofii, przekonanie o upadku ducha, a wraz z nim także sztuki. Przejawiło się to w postawach dekadencjonalnych – przekonaniu o kresie cywilizacji i pesymistycznej wizji człowieczeństwa. Wzorcem osobowym artysty stał się człowiek ułomny, nie przystosowany do bytowania w świecie i przekonany o własnej słabości. Podłożem filozoficznym tych postaw były pisma Schopenhauera, przedstawiające egzystencję ludzką naznaczoną piętnem cierpienia. Aktywności człowieka, zdeterminowanej przez popędy towarzyszy poczucie ciągłego niedosytu i strach przed śmiercią. „Egzystencja ku śmierci” to najkrótsze określenie postaw dekadencjonalnych, które najwyraźniej przejawiały się we Francji. W Galicji – Krakowie i Lwowie – rozpowszechniły się pod wpływem działalności translatorskiej i krytycznej Miriama – Przesmyckiego oraz pism Stanisława Przybyszewskiego. Skrajnym przejawem dekadentyzmu był „rozpaczliwy hedonizm” – poszukiwanie zapomnienia w erotyce, alkoholu, narkotykach – i ten właśnie przejaw najostrzej atakowali krytycy, w szczególności Iwan Franko, choć dekadentyzm w Galicji wyrażał się najczęściej w pasywizmie – nastrojach katastroficznych, pragnieniu unicestwienia w nirwanie lub przez śmierć. Dla przykładu można tu przywołać debiutancki tomik o jednoznacznie brzmiącym tytule – *Z teky samowbywci* (1899) Petra Karmanskiego. W podobnej tonacji utrzymany był zbiorek poezji Ahatanhela Krymskiego *Palmowe hilla* (1901) i Wasyla Paczowskiego *Rozsypani perły* (1900).

Przekonanie o kryzysie wartości i całej cywilizacji przejawiało się w modernistycznym buncie przeciw zastanym formom rzeczywistości i kultury. Wśród cyganerii artystycznej Paryża, Berlina, a także spokojnych galicyjskich miast, Krakowa i Warszawy powszechne było manifestowanie odrazy do przejawów mieszczańskiej moralności i kultury. Demaskowano zakłamanie w obrębie życia rodzinnego i społecznego. Fałsz stosunków rodzinnych zamienić miały autentyczne nieformalne związki, co artyści wcielali w życie obserwując z upodobaniem wynikające z tego powodu skandale obyczajowe. W literaturze proces ten miał formy bardziej abstrakcyjne – najczęściej demaskacji zakłamej rzeczywistości dokonywano pośrednio – przez ukazywanie losu jednostki wybitnej na tle otoczenia. Pod wpływem niezwykle popularnej w Galicji filozofii Friedricha Nietzschego jednostce, zwłaszcza twórczej, przyznano racje nadrzędne. Wśród „wyznawców” zapanował kult twórczej indywidualności i sztuki przewyżniającej rozpacz istnienia. W późniejszym okresie – między 1910 a 1925 rokiem – wzrasta popularność poglądów Nietzschego z ostatniego okresu twórczości, akcentujących wątki wolicjonalne (*Poza dobrem i złem*, *Wola mocy*). Głoszono potrzebę aktywnego życia, przewyżczenia tradycyjnej moralności i realizowania bezwzględnych wartości życia (opowiadania i dramaty Wyn-

nyczenki, proza Szkurupija, wczesne utwory Chwyłowego). Afirmacja życia w jego dynamiczności i zmienności jako procesu „trwania” – tak charakterystyczna dla twórczości futurystów (Semenko, Szkurupij) i ekspresjonistów (poezja Bażana z drugiej połowy lat dwudziestych) – świadczy o wyraźnych inspiracjach filozofią Henri Bergsona. Mimo bezpośrednich związków twórczości Chwyłowego z bergsonowskim witalizmem – afirmacją życia, podkreślaną w wypowiedziach programowych i utworach literackich, pisarz ten odcinał się od biologizmu, przeciwstawiając witalizmowi romantykę witaizmu. Bergsonowska koncepcja wolności człowieka, kierującego się wyłącznie uczuciami uległa w interpretacji Chwyłowego znacznemu przekształceniu. Na plan pierwszy wysunęły się elementy wolicjonalne, choć ruch, dynamika i życie nadal pozostawały istotnymi kategoriami. Zasadnicza różnica polegała na tym, że tam, gdzie Bergson mówił o człowieku, Chwyłowy i zwolennicy jego estetyki woleli mówić o narodzie, obdarzonym niezwykłą energią życiową i niezniszczalnym duchem.

Początek wieku XX przyniósł więc głębokie zmiany w koncepcji podmiotowości. Miejsce pozytywistycznego podmiotu uprzedmiotowionego zajęło „ja” obdarzone z jednej strony poczuciem indywidualizmu, z drugiej zaś świadome kryzysu, jakiemu podlega. Nie był to już podmiot w znaczeniu romantycznym – odrębna, niezależna i trwała jaźń, lecz podmiotowość zdeintegrowana, zajęta poszukiwaniem własnej tożsamości.

Była to rewolucja w stosunku do poprzedniej epoki, w której żądano całkowitego podporządkowania jednostki interesom zbiorowości w imię wyższych celów – patriotyzmu i służby społecznej. Postawy indywidualistyczne spotkały się z niezwykle ostrą reakcją ze strony krytyków starszego pokolenia – Iwana Franki i Serhija Jefremowa. Na przełomie wieków ukazała się seria artykułów, walczących z „chorobą wieku”. Nietzscheanizm i dekadentyzm w oczach tych niezwykle wpływowych krytyków urosły do roli grzechów głównych młodego pokolenia literackiego. W cyklu artykułów *W poskach nowoj krasoty* Jefremow oskarżył Hnata Chotkewycza i Olhę Kobylanską o hołdowanie zgubnym wpływom, symbolizmowi i dekadentyzmowi. Za bardziej szkodliwą społecznie uznał krytyk twórczość Kobylanskiej; Chotkewycz jako – jego zdaniem – pisarz pozbawiony talentu był mniej groźny. Młodym pisarzom oprócz aspołeczności, przejawiającej się w kulcie sztuki czystej oraz wyniesieniu jednostki ponad ogół zarzucono także ukazywanie zwierzęcych instynktów i wręcz uprawianie pornografii. Podobne zarzuty spotkały kilka lat później Wołodymyra Wynnyczenkę: „Dobrodzieja Wołodymyra Wynnyczenkę można zaliczyć do erotystów, do pisarzy-erotomanów, podobnie jak Maupassanta, Verlaine’a, Baudelaire’a czy Oscara Wilde’a. Jego erotomania przypomina także dekadencją erotomanie Fiodora Sołoguba, Leonida Andriejewa i Kamenskigo” – pisał pisarz starszego pokolenia, przedstawiciel etnograficznego realizmu, Iwan Neczuj-Łewycki. I nie był w swych poglądach odosobniony; czytelnicy pism „Rada” i Literatur-

no-Naukowego Wistnyka” zasypywali redakcje listami pełnymi oburzenia z powodu „nieprzyzwoitych utworów” Wynnyczenki.

Rola, jaką przypisywali moderniści instynktom człowieka, a zwłaszcza pędowi seksualnemu, w istocie była ogromna. To oni wprowadzili tematykę płciowości do literatury, wskazując na biologiczną istotę człowieka i głębie instynktów. Tematyka ta zajęła pierwszoplanowe miejsce w prozie Hnata Chotkewycza, zwłaszcza w powieści *Kaminna dusza*, w powieści *Andrij Łahowski* (1905) Ahatanheła Krymskiego, w opowiadaniach i dramatach Wołodymyra Wynnyczenki, w utworach Mychajła Jackiwa, a także – co może wydać się niekonsekwencją twórczą – w późnej poezji Franki. Wątki te pojawiają się w formie aluzji lub przez użycie symbolu w opowiadaniach Olhy Kobylanskiej (m.in. *Pryroda*), ukryte niejako pod powierzchnią tekstu. I choć koncepcje Sigmunda Freuda (w szczególności rozprawa *Kultura jako źródło cierpienia*) pojawiły się dopiero na początku XX wieku, niektóre obrazy, zwłaszcza u Kobylanskiej, są im bliskie. Nierozwiązywalny – według Freuda – ontologiczny konflikt między „życiem” a „kulturą” jest tematem noweli *Nekulturna (Paraska)*. Kobylanska ukazuje bohaterkę, usiłującą żyć w zgodzie ze swą wewnętrzną istotą, odrzucającą kulturę pojmowaną jako zewnętrzne normy i nakazy społeczne, szczególnie represyjną wobec kobiety. Historia życia bohaterki obdarzonej silną wolą i poczuciem niezależności ujęta została w ramy opowieści snutej w obecności przedstawicielki cywilizacji, przez co uwydatnione zostało zderzenie dwu światów – nieposkromionej energii życia i uładowanej acz sztucznej formy. Pobrzmiwa tu echo filozofii Nietzschego z podziałem na dwa typy postaw ludzkich – apollinijską i dionizyjską. Pierwsza ceni sobie to, co zrównoważone, zamknięte i doskonałe, druga zaś – pełnię i płodność życia, wznoszącego się ponad granice, obalającego wszelkie prawa, którego dynamika jest wartością większą od doskonałości i harmonii. Kobylanska w ślad za Nietzschem przewagę nadaje tej drugiej postawie, a bliskość naturze uznaje za warunek umożliwiający samorealizację (*Pryroda*). Ukazuje także bezwzględna walkę toczącą się między cywilizacją a naturą (*Bytwa*). Był to jeden z ulubionych tematów modernistów, których wizja natury pozbawiona jest sielankowości i naiwności, charakterystycznej dla przedstawicieli realizmu; zbliża się natomiast do romantyczno-mistycznych wyobrażeń. Nie jest to jednak świat ocierający się o boską tajemnicę istnienia, lecz świat porzucony przez Boga. Cywilizacja staje się przekleństwem, a natura błaga o zemstę na burzycielach naturalnego porządku (*Oleń prokłyname* Mychajła Jackiwa).

Moderniści zrewolucjonizowali więc literaturę, wprowadzając do niej temat seksu, nieobecny lub zepchnięty na margines we wcześniejszej literaturze. Mniej rewolucyjne były zmiany w ukazywaniu życia psychicznego człowieka, choć to moderniści właśnie zaczęli ukazywać rolę podświadomości. Psychologiczny portret w modernistycznym stylu wykluczał typowe dla realizmu wyjaśnianie ludzkiego zachowania w kategoriach prawidłowości. Ukazywano natomiast wewnętrzne rozterki, zgłębiano psychologię, irracjonalne pobudki; miej-

sce racjonalnej motywacji postępowania bohaterów zajęło ukazywanie podświadomością impulsów w ludzkim zachowaniu. Wprowadzono technikę narracyjną opartą na łańcuchu skojarzeń w postrzeganiu (Kociubynski, Chotkewycz, Wynnyzenko, Ołeś), która z czasem przeistoczyła się w technikę znaną pod nazwą „strumienia świadomości”. Przejawiła się ona jednak dopiero w latach dwudziestych w zarodkowej formie w opowiadaniach Chwyłowego i Jurija Janowskiego, a także w prozie Wałerjana Pidmohylnego. Indywidualna wolność podmiotu opiera się na zwiększonym stopniu jego wewnętrznej izolacji, co próbowano oddać za pomocą nowej poetyki. Eksperymenty formalne futurystów (np. *Mij Kobzar* Mychajła Semenki) uwidaczniają to w sposób najbardziej jaskrawy, choć nadmierne akcentowanie samoekspresji w pewnym stopniu unicestwia cel – izolacja podmiotu wydaje się tu skonstruowana sztucznie. Tragiczny rozdźwięk między światem wewnętrznym i bytem czy też rzeczywistością zewnętrzną ukazuje wielu autorów bardziej tradycyjnie, czego przykładem mogą być utwory dramatyczne Łesi Ukranki *Kaminnyj hospodar*, *Lisowa pisnia* (*Pieśń lasu*). Dopiero jednak impresjonistyczna technika narracyjna Mychajły Kociubynskiego pozwoliła w pełni ukazać psychologiczną samoobserwację bohaterów oraz osłabienie ich związków z otoczeniem.

Pod koniec XIX wieku rozpoczęły się też debaty nad kwestiami kluczowymi dla epoki przełomu – miejscem literatury i sztuki w życiu społecznym oraz rolą twórcy. Linia podziału między zwolennikami sztuki wolnej od roli społecznej a rzecznikami zaangażowania twórcy w życie narodu nie przebiegała jednak w sposób wyraźny między „realistami” a modernistami czy też między pokoleniem starszych pisarzy a młodym pokoleniem. Zwolennicy sztuki jako wartości autonomicznej byli w mniejszości nawet w okresie największej popularności „sztuki dla sztuki”, co wynikało z sytuacji politycznej, w jakiej znajdowała się Ukraina. Imperatywem była wówczas walka o wolność. Dla większości badaczy fakt ten świadczy o połowicznym charakterze ukraińskiego modernizmu i stanowi podstawę do stwierdzenia, iż przełom modernistyczny nie dokonał się w literaturze ukraińskiej; po nieśmiałych próbach rzecznicy odnowienia czy „uzdrowienia” literatury ojczystej przez wyzwolenie jej z obowiązków społecznych powrócili – jedni po 1905 roku, inni podczas I wojny światowej – do tradycyjnej, społecznej roli sztuki. Historycy literatury polskiej podkreślają, że po okresie wczesnego modernizmu, kiedy popularnością cieszyła się sztuka niezaangażowana, nadszedł czas, w którym czołowi twórcy epoki – Wyspiański, Żeromski – dali wyraz swemu zaangażowaniu w sprawy narodowe i społeczne. Nastąpiło to po rewolucji 1905 roku. W literaturze ukraińskiej nie istnieje podobnie wyrazista cezura, choć istotnie po porażce rewolucji silniejsze stają się elementy zaangażowania w literaturze. Wtedy to właśnie powstał cytowany często wiersz Ołeksandra Ołesia *Jaka краса widrodzennia krajiny* oraz wiele utworów bezpośrednio związanych z tematyką rewolucyjną (m.in. utwory dramatyczne Łesi Ukranki, Hnata Chotkewycza *Na zaliznyci*, *Łycholittia*. 1905 r., *Wony*, Spyrydona Czerkasenki *Churtowyna*, Lubowi Janowskiej

*W peredrozswitniomu tumani*, opowiadanie *Win ide*, druga część *Fata morgany* Kociubynskiego), w których pisarze ukazywali rozbudzone przez rewolucję nadzieje narodowe i społeczne.

Dyskusje prowadzone na temat roli sztuki i pisarza przez krytyków jednej i drugiej strony na łamach pism literackich oraz społeczno-politycznych („Literaturno-Naukowyj Wisnyk”, „Diło”, „Swit”, „Kijewskaja starina”, „Ukrajniska chata”) przeniosły się także na stronicie utworów literackich. Charakterystyczne, że wypowiedzi krytyczne i teoretyczno-literackie modernistów były znacznie bardziej radykalne niż praktyka twórcza (zwróciła na to uwagę Sołomija Pawłyczko). Znana polemiczna wypowiedź poetycka Ołesia: „mij druże, ja krasu lublu jak ridnu Ukrainu” – dobitnie świadczy o równoważnym traktowaniu wartości estetycznych i obowiązków patriotycznych. Badacz kanadyjski, Maksym Tarnawski zwrócił uwagę na polemikę, jaką przeprowadził Chotkewycz w mikropowieści *Awiron* (1917) z poematem *Mojżesz* Iwana Franki. Chotkewycz usiłował podważyć przekonanie o korzystnym dla społeczeństwa wpływie sztuki występującej w służebnej roli, w istocie jednak nie proponował niczego nowego. I Ołeksandr Ołeś, i Hnat Chotkewycz, jak też i inni przedstawiciele ukraińskiego modernizmu byli zwolennikami autonomizacji sztuki, czemu dawali wyraz zarówno w dyskusjach literackich, jak i w praktyce twórczej. A jednak między tezą o sztuce, mającej na celu tworzenie nowych wartości estetycznych i etycznych a jej praktycznym wcieleniem istniał rozdźwięk. Dopiero w latach dwudziestych twórcom udało się go przezwyciężyć.

\*\*\*

Wydaje się, że spór o modernizm w literaturze ukraińskiej zaledwie się zaczyna. Wiele wskazuje na to, że modernizm nie został w pełni zaakceptowany jako ruch estetyczny na Ukrainie. Książka ta siłą rzeczy staje się jednym z głosów w dyskusji toczącej się – z długimi przerwami – od początku wieku.

*Ola Hnatiuk*



## KIERUNKI LITERACKIE

### Impresjonizm

Impresjonizm był pod wieloma względami zjawiskiem przejściowym, ogniwem łączącym realizm drugiej połowy XIX w. z jego wiarą w możliwości poznania i wyjaśnienia świata w sposób racjonalny, z okresem, w którym pojawiają się style i kierunki idealistyczno-subiektywne oraz awangardowe, stanowiące rdzeń przemian modernistycznych rzutujących na cały wiek XX.

Orientacja na utrwalenie pierwszego momentalnego wrażenia („widzieć, czuć, wyrażać” – braci Goncourt ) miała przybliżyć do rzeczywistości bez pośrednictwa norm podyktowanych tradycją czy doświadczeniem intelektualnym. To spowodowało, iż sztuka impresjonistyczna daleka była od typizacji czy uogólnień – opisu najbardziej poszerzonych i charakterystycznych cech otaczającej rzeczywistości – ale także, a może nawet przede wszystkim – świata duchowego bohatera. Postrzeganie i wyrażanie piękna istniejącego w świecie natury, kontemplacja wrażeń wzrokowych, słuchowych i dotykowych nie miały na celu wiernego odzwierciedlenia rzeczywistości, lecz stanowiły próbę jej przybliżenia do wewnętrznego rytmu człowieka, do jego emocjonalnej niejednoznaczności. Stąd, między innymi, biorą się kontrasty – przeciwstawienie obrazów klarownych i zaciemnionych, dynamicznych i monumentalnych, bezkresu i ograniczoności. Zwiększenie zainteresowania dokładną analizą, najczęściej o charakterze psychologicznym, szło w parze ze zmianami natury formalnej. Tok opowieści, jako powiązany logicznie łańcuch wydarzeń zewnętrznych, traci swoje dawne znaczenie. Charakterystyczna dla szkoły realistów szerokość opisu poświęcona zostaje na rzecz wyodrębnienia detalu. Miejsce fabularnej ciągłości zajmuje konstrukcja wielowarstwowa, w której znaczącą rolę odgrywa tworzenie nastroju, skierowana na wzbogacone elementami malarskimi. Nieprzypadkowo najważniejszym gatunkiem dla tego nurtu staje się krótka forma prozatorska: nowela, szkic, etiuda, obrazek.

Krąg pisarzy, przyciągających uwagę badaczy ukraińskiego impresjonizmu, jest określony. O estetycznym i światopoglądowym nowatorstwie Mychajły Kociubynskiego, Hryhorija Kosynki i Mykoły Chwyłowego, by wspomnieć



tylko najbardziej znanych przedstawicieli tego kierunku, pisano już na początku XX wieku (krytycy: Mykoła Sriblanski, Mykoła Zerow, Ołeksandr Biłecki). Jednak pierwsze wpływy tego kierunku, zaznaczone zarówno w tematyce (zwrot ku przejawom życia psychicznego), jak i w kompozycji – fragmentarycznej, pozbawionej dokładnych charakterystyk oraz ściągniętej czasowo (ograniczonej często do jednego wydarzenia), odzwierciedliły się w twórczości mniej znanych pisarzy (Natalia Kobrynska, Dniprowa Czajka) już na początku lat 90 XIX w. O wpływie poetyki impresjonistycznej można mówić również w przypadku Olhy Kobylanskiej; dotyczy to zwłaszcza jej lirycznych etiud (*Rożi*), pisarstwa Iwana Franki (*Ziwjałe łystia*, 1896) i Wasyla Stefanyka (*Moje słowo*). Wpływom tego kierunku poddawali się również późniejsi poeci i prozaicy, m. in. Pawło Tyczyna (1891-1967), Andrij Hołowko (1897-1972), Wasyl Czumak (1900-1919), Iwan Kruszelnicki (1905-1934) i in.

Impresjonizm jako tendencja stylowa, jak zauważa Mykoła Ilnycki, „wyczerpał się w literaturze ukraińskiej w latach dwudziestych, nie znikając jednak bez śladu, jego zdobycze wzbogaciły inne kierunki, pogłębiając plastyczność i muzyczność obrazów”.

## Symbolizm

Kierunek ten traktuje się jako szerokie zjawisko artystyczne, które występowało na przestrzeni wielu wieków, osiągając swój szczyt, rozumiany jako ustalenie konkretnego, całościowego programu, na przełomie wieku XIX i XX. Przyjmuje się również, że w swej formie dojrzałej wynikł na płaszczyźnie konfliktu ustalonego przez pojęcia idealizmu i realizmu, czego konsekwencją stał się światopogląd, traktujący znak i znaczenie jako wartości niezależne. Symbolizm narodził się razem z kulturą mieszczańską stojąc w opozycji do propagowanych przez nią postulatów utylitarno-dydaktycznych oraz skłonności do stosowania łagodnych, często pozbawionych wyrazu środków artystycznych. Następstwem przyjęcia postawy negatywnej staje się tendencja programowo akcentująca antytezy, wizjonersko-mitologiczna, oparta o świat naturalnych ludzkich emocji. Najbardziej popularna i najciekawsza w literaturze ukraińskiej była tendencja, którą ukształtowała ewokacyjno-nastrojowa funkcja języka oraz zasada intuicjonizmu, ściśle związane z pojęciem indywidualizmu. Z mitu jednostki wywodzą się wizje bohaterów – charakterystyczna dla tego czasu postać „femme fatale”, święci, herosi, jednostki nieprzeciętne. Hiperbolizowana rola jednostki wymusiła również nacisk na sferę tematyczną, w której jedną z najbardziej popularnych stała się płaszczyzna emocjonalna. Łączyła ona wątki pesymistyczne, charakterystyczne dla „fin de siècle”, z radykalizmem epoki ewoluującej ku „wyzwoleniu”, odwracającej zależność – klęska jako warunek zwycięstwa (*Bytwa Olhy Kobylanskiej*), miłość pomimo śmierci (*Diwczyną na*

*czornemu koni* Mychajła Jackiwa, *Portret Hnata Chotkewycza*) i in. Z rolą indywidualizmu wiązało się częste u symbolistów zjawisko rozmycia konturów, zatarcia granic świata realnego czy też przedstawienie wycinkowe, które ukrywało logiczne związki pomiędzy poszczególnymi elementami. Skupienie się na pojęciu znaku odzwierciedlało nie tylko potrzebę ucieczki przed dosłownością, ale również chęć ukazania różnorodnych zależności czy kontekstów myślowych w świadomym bądź nieświadomym kojarzeniu idei i obrazów, wzbogacającym czy wyjaśniającym rzeczywistość ludzką. Z tych założeń wypływał wewnętrzny dualizm symbolizmu, jeden nurt polegający na niszczeniu kryteriów estetycznych i światopoglądowych, drugi zaś na tworzeniu projektu rzeczywistości pozazmysłowej. Symbolizm tworzył mit, dając odbiorcy sposobność ucieczki od rzeczywistości obiektywnej w świat marzeń, utopii, legendy czy baśni.

Symbolizm, mimo iż w pierwszej fazie nie był propagowany jako program artystyczny, stał się na przełomie XIX i XX w. wiodącym kierunkiem literackim, a jako technika był dostrzegalny niemal u wszystkich znanych twórców. Wprowadzenie tej tendencji do literatury ukraińskiej wiąże się z twórczością Olhy Kobylanskiej, Łesi Ukrainki i Mykoły Woronnego. Z poetyki symbolizmu korzystał również Iwan Franko, Mychajło Kociubynski, Wasyl Stefanyk i in. We wczesnej fazie modernizmu, jedynym ugrupowaniem określonym programowo była MOŁODA MUZA (1907-1909), do którego należeli Petro Karman-ski, Bohdan Łepki, Ostap Łucki, Wasyl Paczowski, Mychajło Jackiw, reprezentujące odgałęzienie bliskie dekadentyzmowi, w którym dominowały utwory liryczne. Podobny kierunek wybrali również pisarze skupieni wokół czasopisma „Ukrajńska chata” (1909-1914) Hryćko Czupryńka, Mykoła Filanski i in. Na tym etapie symbolizm ukraiński włączył do płaszczyzny estetyczno-światopoglądowej elementy romantyzmu – postrzeganie świata jako dynamicznego, wielowymiarowego organizmu, poznawalnego w akcie wyobraźni i intuicji; dekadentyzmu, wyrażającego się w przyjęciu postawy pesymistycznej i indywidualistycznej oraz antyklasycyzmu, rozumianego jako programowe rozwarstwienie pojęć formy i treści, zastąpionych pojęciem symbolu – znaku istniejącego poza konwencją, który otwierał możliwości dowolnej interpretacji.

Drugi etap wiąże się najczęściej z powstaniem ugrupowania MUZAHET (Dmytro Zahuł, Jakiw Sawczenko, Ołeksia Slisarenko) i almanachu pod tą samą nazwą, z którego wydzieliło się w 1922 r. opozycyjne pod względem ideowym ugrupowanie GRONO, (Dmytro Zahuł, Pawło Fytypowycz, Mykoła Teresz-czenko) oraz ASPYS (Asosjacja Pyśmennykiw: Hryhorij Kosynka, Wałerjan Pidmohylny, Borys Antonenko-Dawydowycz i in.). Lwowska grupa MYTUSA była ostatnią, która odwoływała się do tradycji symbolistów.

Za najciekawsze wcielenie późnego symbolizmu uznaje się twórczość Pawła Tyczyny. Idea „słonecznego klarnetyzmu”, wyrażająca jedność muzyki i słowa, zawarta w pierwszym zbiorze wierszy *Soniaszni klarnety* (1918), traktowana jest jako szczytowe osiągnięcie emocjonalno-impresjonistycznej wersji symbolizmu.

## Neoklasycyzm

Nazwą neoklasycyzm określano tendencje w literaturze, które nawiązywały do dawnej tradycji literackiej, poetyk klasycznych posługujących się wypracowaną, rygorystyczną formą. Neoklasycy w literaturze XX w. pozostawali również bliscy tradycji dziewiętnastowiecznego francuskiego parnasizmu (Theophile Gautier, Charles Leconte de Lisle i in.) jak i niektórym założeniom symbolizmu. Przyjmuje się, iż kierunek ten wynikał w opozycji do kierunków awangardowych i romantycznych. Na Ukrainie neoklasycyzm pojawił się w drugiej dekadzie XX w. i związany był z grupą pisarzy kijowskich, skupionych początkowo wokół czasopisma „Knyhar” (1917-1920), redagowanego przez Mykołę Zerowa, a następnie wokół gazety „Słowo”. Neoklasycyzm na Ukrainie to umowne określenie grona literatów, historyków literatury i tłumaczy, którzy działali na polu kultury w latach 1918-1928: Mykoła Zerow (1890-1937), Pawło Fyłypowycz (1918-1937), Oswald Burhardt, pseud. – Jurij Kłen (1891-1947), Wiktor Petrow, pseud. – Wiktor Domontowicz (1894-1969), Maksym Rylski (1895-1964), Mychajło Draj-Chmara (1889-1939). Estetyczno-filozoficzne założenia tego kierunku bliskie były i innym twórcom, należeli do nich członkowie grupy ŁANKA (MARS), poeta Wołodymyr Swidzynski oraz twórcy emigracyjni, głównie z tzw. „praskiej szkoły”, Ołeh Olżycz (1907-1944), Oksana Laturynska (1902-1970), Mychajło Orest (1901-1963), Jewhen Małaniuk (1897-1968) i in.

Neoklasycy zarówno w swojej twórczości, jak i w ramach działalności krytycznej byli zorientowani się na rygorystyczny formalizm, estetyzm i kultywowanie tradycji. W odróżnieniu od większości ówczesnych ugrupowań zakładali obiektywizm i intelektualizm, z których wynikało skupienie się na tematyce filozoficznej, podkreślenie wagi tradycji, zaprzeczenie utylitaryzmu w sztuce oraz estetyczny ideał ładu i harmonii. Traktowali oni sztukę jako zjawisko rozumowe niezależne od emocji, nie uczestniczące w zgiełku życia, programowo elitarne. Hasło „sztuka dla sztuki”, które przejęli od symbolistów, owocowało kultem formy, rozumianej nie tylko jako dbałość o precyzję i doskonałość wypowiedzi, ale również jako nawiązanie do tradycyjnych, często zapomnianych układów wersyfikacyjnych (sonet, oda, oktawa, rondo, elegia, wiersz aleksandryjski, sekstyna). Przedmiotem refleksji neoklasyców stają się tematy o charakterze uniwersalnym, kwestie związane z filozofią, historią, kulturą. Jednym z najważniejszych punktów odniesienia była dla neoklasyców ukraińskich tradycja Rusi Kijowskiej, renesans i barok, a także dorobek literacki zachodniej Europy. Powrót do źródeł, pasje dokumentalno-historyczne i prosta symbolika, wyrażały – jak pisał M. Zerow „dążenia do estetycznego i harmonijnego przyjmowania świata, do swojej życiowej filozofii, do greckiej kalokagatii, był to poryw do tego, co wieczne i nieprzemijające”. Neoklasycy zostawili w spadku ogromną ilość przekładów z poezji antycznej, polskiej, angielskiej, niemieckiej i in. oraz prace krytyczne i literaturoznawcze.

Twórcy skupieni wokół Mykoły Zerowa, jak również sam Zerow uczestniczyli w literackiej dyskusji w latach 1925-1928, popierając hasła Chwyłowego o potrzebie odejścia od idei pisarstwa proletariackiego i o zwrocie do literatury i dziedzictwa kulturalnego Europy.

### Romantyka witaizmu

„Romantykę witaizmu” z wielu względów można uznać za podstawę programową organizacji WAPLITE (1926-1928), skupiającej wokół siebie największych pisarzy okresu „rozstrzelanego odrodzenia”, prozaików (Mykoła Chwyłowy, Arkadij Lubczenko, Jurij Janowski), poetów (Pawło Tyczyna, Majk Johansen, Mykoła Bażan), dramatopisarzy (Mykoła Kulisz i in.). Wspólne zapamiętanie poszczególnych twórców spowodowały, iż po zlikwidowaniu tej organizacji swoją działalność kontynuowali w czasopiśmie „Literaturnyj Jarmarok” (1928-1929), a następnie w organizacji PROLITFRONT (1930-1931). Pisarze towarzyszący Chwyłowemu, do którego należało sformułowanie koncepcji „romantyki witaizmu”, podtrzymywali jego opcję przed wszystkim ze względów ideowych. Nauczeni bowiem doświadczeniem literackiej polemiki 1925-1928, usiłowali wspólnie przeciwstawić się coraz szerszemu zjawisku „artystycznego likwidatorstwa”, rozumianemu jako odgórne ujednoczenie i zaniżanie poziomu kultury ukraińskiej.

U podstawy koncepcji Chwyłowego legło pojęcie „witaizmu” (elan vital) Henri Bergsona, tendencji światopoglądowej obecnej w wielu kierunkach artystycznych pierwszej połowy XX w., zarówno awangardowych (ekspresjonizm, futurizm, konstruktywizm), jak i neoromantycznych (impresjonizm, ekspresjonizm). Jednym z najważniejszych jego założeń było odejście od intelektualizmu, który w odróżnieniu od propagowanego intuicjonizmu upraszczał obiekt poznania, wprowadzając sztuczne podziały dla świata zjawisk z natury swojej dynamicznych i nie posiadających ograniczeń. Chwyłowy w sposób dowcipny zmodyfikował pojęcie witaizmu, pisząc w jednym z pierwszych pamfletów, iż „wyrzucił literę „l”, aby oponentów nie wodzić na pokuszenie”. Wyrażał przy tym jednocześnie niechęć do myślenia w kategoriach „-izmów”. W swych deklaracjach i pamfletach podkreślał niejednokrotnie upodobania awangardowe i z założenia niechętny stosunek do „pozbawionej erudycji” krytyki. W praktyce publicystycznej owocowało to wieloma ironicznymi i pseudonaukowymi teoriami, jak i żonglowaniem oryginalnymi, choć niejednoznacznymi hasłami – „psychologiczna Europa” czy „renesans azjatycki”. Poszczególne utwory niektórych „witaistów” nosiły cechy bliskie poetyce surrealistycznej, a zwłaszcza nurtowi głównemu, w którym twórcy zmierzali do spontanicznego wyrażania własnych doświadczeń psychicznych, niecodziennych i prowokujących. Utwór *Powrót* Jurija Janowskiego stanowi jedną z najbardziej przejrzystych ilustracji

programowych założeń surrealizmu. Także w twórczości Chwyłowego i Lubczenki dużą rolę odgrywała irracjonalna dowolność czy wręcz manifestowanie przypadkowości, wsparte upodobaniem do groteski, czarnego humoru i pure nonsensu.

Do najważniejszych przesłań „romantyki witaizmu” należało zaakcentowanie zależności występującej między rozwojem kultury a jej wewnętrzną dynamiką, odzwierciedloną w poszczególnych działaniach artystycznych i wynikającej z powyższego potrzeby kultywowania „intelektualnych sporów” pomiędzy przedstawicielami różnych kierunków artystycznych. Echo konfliktu jednostki istniejącej w ówczesnych warunkach historycznych, który sprowokował i przedstawił Chwyłowy<sup>1</sup>, odnaleźć można także w utworach innych członków WAPLITE – Arkadija Lubaczenki czy Jurija Janowskiego.

Wiele poglądów Chwyłowego koresponduje również z zapatrywaniami ówczesnych modernistów. Sam twórca odwoływał się zwłaszcza do przedstawiciela impresjonizmu, Mychajła Kociubynskiego (*Cwit jabłuni, Chwała żyttiu*).

### Ekspresjonizm

Ekspresjonizm jako program został sformułowany w Niemczech około 1910 r. Ukształtował się pod wpływem dziewiętnastowiecznych tendencji irracjonalistycznych w filozofii (Friedrich Nietzsche, Henri Bergson, Edmund Husserl) oraz w sztuce (symbolizm). Wyrósł w opozycji do kierunków mimetycznych, hołdujących zewnętrznym przejawom rzeczywistości, takich jak realizm, naturalizm i impresjonizm. Ekspresjoniści w swoich najważniejszych postulatach zaatakowali nie tylko ideę kopiowania rzeczywistości, ale również tendencje estetyzujące, którym przeciwstawili pojęcie „siły wyrazu” (ekspresji). Idea ta miała szeroki zakres pojęciowy i była rozumiana jako ogólna zasada sztuki oraz jako instrument umożliwiający odkrycie prawdy o duchowej aktywności człowieka; niekiedy utożsamiano ją także z pojęciem prawdy czy istoty rzeczy. Podstawową kategorią, do której odwoływali się twórcy był subiektywny przekaz emocji, oparty na intuicyjnym wglądzie w świat duchowy. Zdaniem O. Czernenko to „jedyna prawdziwa rzeczywistość, ukryta pod zewnętrznymi przejawami zjawisk i rzeczy”.

Kierunek ten miał z założenia charakter idealistyczny, otwarty na metafizykę, mitologię i symbolikę. W zakresie stylu faworyzował ostre środki wyrazu, często brutalizował lub deformował obraz świata, unikał jednolitości, zespałał

---

<sup>1</sup> Najciekawsza w takim ujęciu jest pierwsza część utworu *Waldsznepy* (1927), zaprezentowana na łamach czasopisma „Waplite”. Ze względu na skonfiskowanie szóstego numeru tego pisma, jego kontynuacja nigdy nie została przedstawiona czytelnikom.

elementy o różnym charakterze, od refleksyjności do aintelektualnej i ekstazy żywołości. W obrębie tego kierunku wykształciły się różne tendencje. Poszczególni pisarze podejmowali wątki egzystencjalne; obok dzieł o charakterze eksperymentatorsko-prowokacyjnym (groteskowo-ironicznie) pojawiały się również próby interpretacji w duchu freudyizmu (ujawnienia ukrytej energii psychicznej, poszukiwań autoekspresji pomimo kontroli konwencji obyczajowej i wbrew „superego”), obecne były również motywy nawiązujące do twórczości prymitywnej czy metafizyki. Kierunek ten oddziaływał na wszystkie gatunki literackie, najpełniej wyrażając się w liryce i dramacie.

Na Ukrainie ekspresjonizm nie zaistniał w postaci programowej, choć pierwsze jego przejawy pojawiły się stosunkowo wcześniej, bo już na przełomie wieków. Estetyka ekspresjonistyczna w pierwszej fazie modernizmu najpełniej wyraziła się w twórczości Wasyla Stefanyka, mimo iż jego warsztat artystyczny kształtował się przed zaistnieniem tego kierunku w literaturze. Bardziej uniwersalną wersję ekspresjonizmu odnaleźć można w utworach Mychajły Jackiwa. Jego przedstawienia są szersze, mocno osadzone w świecie idei, mniej niż u Stefanyka psychologiczne, wyraźnie skłaniające się ku symbolizmowi. Ukraiński ekspresjonizm w wersji ścisłej był faktem mało znaczącym, jednakże poszczególne jego elementy odegrały dużą rolę w całokształcie okresu modernistycznego. Ich obecność zaznaczyła się u futurystów i konstruktywistów, którzy aspirując do wyrażenia świadomości całego pokolenia połączyli postawę indywidualistyczną z emocjami kolektywistycznymi. Wiele z najważniejszych założeń ekspresjonizmu pojawiło się również w utworach „witalistów” (Mykoły Chwyłowego, Arkadija Lubczenki, Jurija Janowskiego i in.), należących do organizacji WAPLITE, a po jej likwidacji skupionych wokół czasopisma „Literaturnyj Jarmarok” (1928-1929). Termin ekspresjonizm użyty w sensie szerszym, rozumiany jako ogólna tendencja w sztuce, był obecny w całym modernizmie, jego wpływy można również dostrzec w piśarstwie współczesnym.

## Futuryzm

Początek futuryzmu wyznaczył rok 1914, w którym ukazały się pierwsze dwa zbiory poezji Mychajła Semenki *Derzannia* i *Kwerofuturyzm*. Oba tomy poprzedziły manifesty – kolejno *Sam* oraz *Kwerofuturyzm*. Z nimi też wiąże się wstępny, kwerofuturystyczny, etap futuryzmu – futuryzm poszukujący, deklarujący tradycyjną dla nowatorów niechęć do postawy pasywnej, poszukiwanie nowych form wyrazu, antytradycjonalizm. W tym okresie, z inicjatywy Semenki, powstała pierwsza grupa literacka KWERO (1914). Ruch futurystyczny nabrał rozmachu w fazie panfuturystycznej (1918-1927), którą zapoczątkowało wydawanie czasopisma „Uniwersalnyj żurnał” w Kijowie i utworzenie ugrupo-

wania FLAMINGO (1919), do którego weszli Geo Szkurupij, Ołeksia Slisarenko, Wołodymyr Jarowy i in.

W 1921 r. pojawiło się artystyczno-naukowe ugrupowanie KOMKOSMOS (Slisarenko, Szkurupij, Tereszczenko), które po przyłączeniu się doń Semenki przemianowano na ASPANFUT (1921). Panfuturyści publikowali swoje utwory w almanachach *Katafalk mystectwa* (1922), *Semafor u majbutnie* (1922), *Żowtnewyj zbirnyk Panfuturystiw* (1923). Ostatni etap futuryzmu zainicjowało symboliczne spotkanie Semenki, Szkurupija i Bażana, przedstawione w almanachu *Zustricz na perechresnij stancji. Rozmowa triocho* (1927). W tym samym roku rozpoczęło działalność ugrupowanie literackie NOWA GENERACIJA (1927), do którego weszli Geo Kolada, Geo Szkurupij, Ołekska Włyżko i in. oraz pojawiło się czasopismo pod tą samą nazwą. Pod naciskiem WUSPP-u (Wseukrajnińska Spiłka Proletarskich Pysmennykiw) NOWĄ GENERACIĘ rozwiązano w 1930 roku.

Futuryzm przejawiał się najsilniej w sferze deklaratywnej (manifesty, odezwy, periodyki) i organizacyjnej. W pełni zasługuje on przez to na miano najbardziej dynamicznego nurtu w okresie „rozstrzelanego odrodzenia”. Jako ruch awangardowy był organicznie związany z pojęciem destrukcji. Koncepcja przedstawiona w artykule *Postanowka pyttania w teoriji mystectwa perechodowoji doby* (1922), wykładni założeń panfuturystycznych, zakłada trzy etapy rozwoju czyli „deformacji sztuki”:

1) destrukcji, czyli zatarcia granic pomiędzy poszczególnymi dziedzinami sztuki oraz pomiędzy sztuką a życiem;

2) ekstrukcji (okres przejściowy) „stworzenia i sprawdzenia fundamentów przyszłej konstrukcji”;

3) konstrukcji, to znaczy wypracowania „uniwersalnej teoretycznej zasady”, którą według Semenki organizowały pojęcia „faktury” i „ideologii” mające odpowiadać klasycznym pojęciom formy i treści. Podstawowym czynnikiem umożliwiającym stworzenie nowej sztuki czyli „metaszutki”, będącej syntezą „sztuki i sportu”, która miała wypełniać rolę zewnętrznego aspektu duchowej aktywności mas, było wstępne ujednoczenie dotychczasowego doświadczenia ludzkości – synteza „destrukcyjnego procesu Zachodu i rewolucyjnego ideologicznie procesu sztuki proletariackiej federacji Wschodu”. Przewycięzanie dotychczasowej tradycji odbywało się w atmosferze improwizacji, eksperymentu, skandalu. Futuryzm, będąc z założenia ruchem anarchizującym i nihilistycznym, niechętny duchowym problemom człowieka, stał się bliski witalizmowi, rozumianemu w tym przypadku jako apoteoza dynamiki i ruchu. Poszukiwanie niebezpieczeństwa i napięcia, kult siły i pochwała przemocy, miały stanowić antidotum przeciwko stagnacji, utożsamianej nie tylko z kulturą mieszczańską. Praktyka futurystów wprowadziła do literatury nowoczesne pojęcie kamuflażu artystycznego, parodii (Edward Stricha), dała wyraz różnym formom wizjonerstwa, koncepcjom fatalistycznym, nawiązującym do mistyki wschodu, kultur prymitywnych, ortodoksyjnych ideologii. Tendencje te w obrębie futuryzmu, ze względu na inicjujący charakter ruchu, nie zostały wyczerpane; ich swoistą kontynuację odnaleźć można w surrealizmie.

## Konstruktywny dynamizm

Grupę „konstruktywnych dynamistów” (lub „dynamicznych spiralistów”), której teoretykiem i głównym przedstawicielem był Wałerjan Poliszczuk (1897-1937), uznawano często za spokrewnioną z futurystami. Jednakże w warstwie programowej była ona zjawiskiem przeciwstawnym. Swą działalność prowadzili twórcy w latach 1926-1930 w grupie pod nazwą AWANGARD. Podstawowe założenia konstruktywnego dynamizmu zostały przedstawione w *Proklamacji* zamieszczonej w pierwszym numerze czasopisma „Biuletień Awangardu” (1928). Konstruktywiści wysunęli w nim postulaty internacjonalizmu, „mechanizacji życia”, urbanizacji i dynamizmu, poszukiwania nowej aktywności języka potocznego, jego leksykalnej i syntaktycznej prostoty oraz zwrotu ku liberalizmowi tematycznemu. Podobnie jak futuryści, konstruktywiści byli zwolennikami wiersza wolnego i razem z nimi pod koniec lat trzydziestych stali się głosicielami idei użyteczności sztuki, potrzeby dostosowania jej do odczuć społecznych. Jednocześnie wystąpili z projektem sztuki zrygoryzowanej i zracjonalizowanej, szczególnym zainteresowaniem obdarzając techniczny aspekt działania literackiego (*Zakłyk hrupy mystciw Awangard*, 1926). W swoich postulatach akcentowali tezę, iż sztuka jest ekwiwalentem nowoczesnej cywilizacji. Wydali almanachy: „Biuletień awanhardu” (1928), *Mystecki materiały Awangardu* (1929). Do zwolenników tej tendencji należeli m.in. poeci: Petro Hołota (1902-1949), Geo Kolada (1904-1941), Majk Johansen (1895-1937) oraz dramaturg Ołeksandr Łewada (1909-1995). Mykoła Ilnycki wymienia również, nie związanego z grupą AWANGARD lwowskiego poetę Jarosława Curkowskiego. Koncepcję sztuki oparł on na tezie „cywilizacyjnego prezentywizmu”. Swe odejście od charakterystycznej dla awangardy idei internacjonalizmu motywował twierdzeniem, że przekreślanie pojęcia narodu neguje również sztukę, stając się tym samym „receptą na degenerację”.

Ruch konstruktywistyczny rozwijał się równoległe z twórczością jego lidera Wałerjana Poliszczuka, który już w 1920 r. w artykule *Jak dywytyś na mystectwo* (czasopismo „Grono”) wyraził potrzebę syntezy futuryzmu i impresjonizmu, niezbędną do przekazania dynamiki nowej epoki. W swojej twórczości dążył do połączenia różnych, często przeciwstawnych jakości, ulegając zazwyczaj mało „konstruktywistycznemu” duchowi romantyzmu. Najważniejsze publikacje Poliszczuka to zbiory poezji *Soniaszna mić* (1920), *Wybuchy syły* (1921), *Radio w żytach* (1923). Konstruktywizm miał wpływ na rozwój prozy eksperymentalnej, zazna- czył się też w sferze literatury „funkcjonalnej” (reportaż, materiały agitacyjne, hasła, marsze). W odniesieniu do prądów europejskich literacką działalność konstruktywistów ukraińskich w latach dwudziestych należy traktować umownie, jako preludium do działalności właściwej, która ze względu na warunki historyczne nie zdołała się w pełni urzeczywistnić.





## **Część II**

### **PORTRETY I TEKSTY**



## Olha Kobylanska (1863 – 1942)

Urodziła się w miasteczku Hura-Humora (południowa Bukowina, obecnie Rumunia), dorastała w środowisku rumuńsko-niemieckim. W 1877 r. ukończyła niemiecką szkołę podstawową, dalszym kształceniem zajęła się samodzielnie – pogłębiała znajomość języka ukraińskiego, zapoznawała się z literaturą europejską, a później także z filozofią oraz naukami przyrodniczymi. Jej pierwsze próby pisarskie – wiersze i opowiadania, napisane w języku niemieckim pochodzą z końca lat 80. Duży wpływ na jej życie wywarła znajomość ze znaną w owym czasie pisarką i działaczką ruchu emancypacyjnego Natalią Kobryńską. Dzięki tej przyjaźni Kobylanska włącza się w działalność na rzecz kobiet, bierze udział w pracach związanych z wydaniem almanachu „Nasza Dola”, gdzie również publikuje własne artykuły (*Zwistky z zahranyci i kraju*, 1883). W 1884 r. występuje z odczytami na zebraniach „Towarzystwa ruśkich żinok na Bukowyni”. W latach 90. poznaje najważniejszych przedstawicieli ówczesnego życia kulturalnego – Iwana Frankę, Osypa Makoweja, Wasyla Stefanyka, a później także Łesię Ukrainkę i Mychajłę Kociubynskiego, rozpoczyna współpracę z czasopismami „Zorja”, „Narod”, „Bukowyna”, „Diło”, „Literaturno-naukowy wistnyk”.

Pierwsze utwory, napisane w języku niemieckim, pozostające pod wpływem sentymentalizmu niemieckiego, powstały w latach 80. i zostały przyjęte dość sceptycznie przez ukraińską krytykę, w szczególności przez Iwana Frankę, ówczesną wyrocznię literacką, który przyznawał jednocześnie Kobylanskiej talent pisarski. Większość utworów z tego okresu, opisujących życie środowiska niemiecko-rumuńskiego, *Dola czy wola* (1883), *Wona wyjszła zamiż* (1887) i in. nie została opublikowana. Pierwszy utwór w języku ukraińskim *Ludyna* (1891), napisany na podstawie wcześniejszego *Wona wyjszła zamiż*, dający panoramę życia inteligencji zaprezentowano w 1894 r. na łamach czasopisma „Zorja”; Kobylanska miała wówczas 31 lat. Rok później zjawiają się nowele *Impromtu phantasie*, *Maty Boża* – w czasopiśmie „Zorja” oraz *Win i wona*, *Żebraczka* i in. – kolejno w gazecie „Nedila” i „Bukowyna”. W 1896 r. ukazuje się w odrębnym wydaniu powieść *Cariwna*, opatrzona wstępem Osypa Makoweja, wysoko oceniona przez Łesię Ukrainkę, oraz opowiadania *Bytwa* i *U swiatoho Iwana*. Pierwsze wydanie zbioru nowel *Pokora*, do którego weszła większość wczesnych utworów Kobylanskiej pochodzi z 1899r., następne tomy *Do swita* (1905), *Snytsia* (1922) – z przedmową Ostapa Hrycja – *Noweli*

(1925). W międzyczasie zjawiają się również powieści: *Zemla* (1902), *W nedilu rano zilla kopala* (1909) i *Apostoł czerni* (1936) – w czasach radzieckich powieść ta ze względów ideologicznych nie była wydawana.

Utwory Kobylanskiej doczekały się przekładów na język polski, rosyjski, bułgarski, czeski i in.

Olha Kobylanska należała do kręgu pisarzy, których zwykle określa się mianem kontrowersyjnych. „Muza” lwowskich modernistów (grupa MOŁODA MUZA), była jednocześnie jedną z najbardziej atakowanych przez pisarzy-narodników<sup>1</sup>. Wokół jej utworów, zamieszczanych na łamach najbardziej popularnych czasopism<sup>2</sup>, toczyły się dyskusje o przyszłość literatury ukraińskiej. Miejsce Kobylanskiej w życiu kulturalnym tego okresu było szczególne, zarówno jako działaczki ruchu kobiecego, zwolenniczki przemian modernistycznych, jak i pisarki-nowatorki (wypracowanie nowoczesnej wersji małej formy prozatorskiej, wprowadzenie do literatury ukraińskiej symbolizmu, nowej, często kontrowersyjnej tematyki oraz oryginalnych motywów ludowych). Do istotnych dla tego czasu osiągnięć zaliczyć należy także to, że pisarka skupiła uwagę na postaciach kobiecych, dając pełne kreacje niezależnych, mających ustalone poglądy emancypantek. Opisując życie swoich bohaterek, Kobylanska eksponowała sytuacje przełomowe, w których możliwe stawało się oddzielenie płaszczyzny spraw doczesnych, podlegającej wpływowi czasu, od sfery uniwersalnej. Konflikt wyprowadzała pisarka najczęściej z relacji pomiędzy jednostką a otoczeniem, z uzależnienia celów osobistych od grupy. Wpływy środowiska odgrywały rolę stymulatora ich aktywności, z reguły jednak warunkującego akty zachowawcze, a nie twórcze. Brak jednoznaczności i sam wybór problematyki dokonany przez Kobylanską wyphywał z refleksji na temat sytuacji, w jakich człowiek staje wobec zjawisk nieredukowalnych do sfery rozumowej, czy zmysłowej. A w próbie zrozumienia relacji zachodzących w nim samym kieruje wzrok ku wartościom irracjonalnym – światu nieświadomości i instynktów. Za podstawę wartościowania służył Kobylanskiej szczegółowy opis przeżycia, poprzez który próbowała wnikać w sferę predyspozycji oraz uzależnień człowieka i odsłonić znaczenie, jakie posiada dla osobowości realizacja własnych skłonności duchowych. Jednak w charakterystyczny dla modernizmu sposób bohater mógł urzeczywistnić swą istotę dopiero w podporządkowanym uczuciom akcie uczestnictwa. Warto przy tym zauważyć, iż udział jest u Kobylanskiej czynnikiem, który określa hierarchię wartości w wymiarze jednostkowym – stwarza przestrzeń indywidualnych wyborów, izoluje, ale również uniezależnia i wzbogaca postacie. Idei tej podporządkowano kreacje większości bohaterów, którzy właśnie w taki sposób odnajdują sens swego życia.

<sup>1</sup> S. Jefremow, *W poskach nowoj krasoty* „Kijewskaja starina” 1902, t.79, s.235-282.

<sup>2</sup> „Literaturno-naukowy wistnyk”, „Bukowyna”, „Diło”, „Kijewskaja starina” i in.

Szczególny charakter twórczości Kobylanskiej ustaliła koordynująca przebieg akcji, często równorzędna z rolą bohatera rola przyrody, świata wierzeń ludowych, legend i mitu. Pisarka niejednokrotnie korzystała z bogactwa gwary huculsko-bukowińskiej, wprowadzała również elementy żargonu miejskiego. Jej dorobek literacki dopełniają przekłady na język niemiecki utworów Natalii Kobryńskiej, Wasyla Stefanyka, Łesi Ukrainki, Marka Wowczka i in.

*Larysa Szost*

### Paraska

Jej chata stała u stóp Magury.

Magurę od podnóża po wierzchołek porastały gęste świerki. Zielona, jakby chmurna gęstwina i strome zbocza chroniły ją przed letnikami. W świątek i piątek wsłuchiwała się w jednostajny szum smreków, spoglądała na wierzchołki sąsiednich gór lub rozmyślała o swoim najbliższym sąsiedzie.

Sąsiad nazywał się Rung.

Rozdzielała ich wąska dolina, na której dnie wił się potok. Rung był pięknym olbrzymem. Od północy porastał go młody las, łagodnie wznoszący się w górę. Od zachodu przytykał do Magury, tak samo jak ona stromy i gęsto pokryty świerkami.

Zdawało się, że Rung i Magura są rozdzielone na wieki. Dolina pomiędzy nimi była usiana ostrymi głazami; potok pęczniejący gwałtownie po każdej ulewie, jednakowoż zakochany w ciemnozielonych stromiznach obydwu gór, zraszał je chłodnymi perłami, jakby przypominając, że jest i czuwa, by się nigdy nie zeszyły.

W letnie poranki, gdy słońce jeszcze nie nabrało żaru, a niebo stało rozmyte w blady błękit, nad Rungowym lasem ukazywała się para jastrzębi, sennym lotem opływała wierzchołek, poczem tonęła w zielonych gęstwinach Magury. Ich przenikliwy skwir oznajmiał, że przybywają z Runga. Magura łowiła te dźwięki, zamykała w sobie, roztopiała w głębokim, niosącym się daleko szumie.

O świcie jej wschodnią ścianę oblewało złociste światło, w którym kąpały się przystrajające ją świerki. W świetlistych promieniach góra zdawała się uśmiechać do swego towarzysza.

On także stał cały lśniący, tyle że z zimna. Jego opadająca ku Magurze zielona od świerków stromizna sprawiała ponure wrażenie. W gałęziach drzew pobłyskiwały przezroczyście, chłodne kropelki, które niżej, na poszyciu tworzyły gęstą srebrzystą siateczkę.

Wijący się w dole potok już to przytulał się do Magury, jakby chciał wchłonąć w siebie trochę jej ciepła, już to zawracał pod chłodną ścianę Runga, by zmrożony znowu zakręcić pod Magurę.

Czy to ona zabierała towarzyszkowi całe poranne słońce? Tu i ówdzie pojedynczy promień docierał jednak do niego, tęczyowy strumień światła przebijał gęstwinię i rozgrzewał chłód zielonej głębi.

Tam, gdzie zbocza obu gór zwracały się ku południowi, stromizny stawały się łagodniejsze, łączyły się i zgodnie kąpały w słonecznej ulewie. Spomiędzy głazów strzelała w górę arnika jak słonecznik obracająca się za słońcem, bujały smukłe bladoliliowe dzwonki i różowe osty.

Potok robił wszystko, żeby powietrze nie było cieplejsze niż on, ale pachnący żywicą wiatr szybko ogrzewał wodę, która bezsilnie i miękko rozlewała się po kamienistych zakolach, zmieniając się niepostrzeżenie w migotliwe złoto.

W górze stał gęsty, wiekowy bór. Rung i Magura jak oczarowane nawzajem własną pięknnością chyliły się ku sobie i tonęły w cienistych odmętach.

Z doliny niósł się metaliczny pogłos; Cyganie łupali tam kamień, ale pod ścianą lasu echo uderzeń ginęło we wszechobecnym poszumie.

Tam w dole był cygański raj.

Tu właśnie Hucułka Paraska chodziła kraść drzewo.

Znała różne kryjówki, w których – śledzona – mogłaby zniknąć bez śladu, ale ponieważ nikt jej nie śledził, spokojnie zbierała susz i pewna, że nikt go jej nie zabierze, nigdy nie śpieszyła się do domu. Zebrawszy sporą wiązkę, przysiadła na kamieniu, nabijała fajeczkę i zapalała. Czasem potrafiła tak przesiedzieć dobrą godzinę. Pogrążona w myślach nie wiedziała, jak mijał czas. Nie czuła się samotna. Wokół panowała cisza, ale zupełnie inna niż w chacie – ta cisza była niemal namacalna. Pod jej stopami żwawo szmerze potok, nad głową śmignie

z gałęzi na gałąź ruda wiewiórka, z oddali słychać kwilenie jastrzębia, brzęczą muszki, migają motyle, zielone górskie zbocza przykuwają wzrok – ani śladu samotności. Czasem między białymi kamykami przemknie czarno-złocista żmija, na widok człowieka znieruchomieje i strzyknie śliną. Małe to, a takie paskudne! Gorsze niż głodny wilk.

Tu, między Rungiem a Magurą Hucułka czuje się jak u siebie. Nawet pogadać jest z kim. Tu troje Cyganów łupie kamień; czarne żylaste ręce dźwigały ogromne głazy od świtu do zmierzchu. Stary Cygan, Cyganicha i spory wyrostek żyli tutaj jak w domu. W pogodny dzień żółtawy płomień ogniska ginał w blasku słońca i tylko siwy dymek świadczył, że Cyganie warzyli sobie strawę.

W drodze po chrust czy do domu przechodziła obok nich. Przysiadła na kamieniu, zapalała fajeczkę, a że często dzieliła się z nimi tytoniem, rozmowa

toczyła się gładko. Wiedzieli o sobie wszystko. Oni każdego roku ściągali tu po kamień, z czegoś trzeba przecie żyć, a ona zawsze chodziła tędy po drzewo.

„Wy znowu do lasu, Parasko? – zawoła czasami czarniawy Cygan, zerka-  
jąc ku niej spod kapelusza. – I czegoż wy tam szukacie?”

„Złota!” – odpowiada wybuchając śmiechem.

„Złota? A może złocistego?”

„Tak, złocistego, złocistego! Całkiem sobie zabyłam” – śmieje się Paraska.

„Patrzajcie ludzie, jeszcze nam Hucułka rozum straci” – spluwa Cygan, jakby zaklinając kobiecą naturę, w której czart niepokój sieje.

„Milczałybyś! – wtrąca się Cyganicha. Istna czarownica, rozkudłana, z oczami jak dwa węgielki, w rozchełstanej na piersi koszuli. – Biedaczka nie-  
długo do ziemi się przygnie od tego złota, co je każdego dnia dźwiga na ple-  
cach, żeby było czym palić.”

„To niech sobie złocistego sprowadzi, będzie miał kto nosić! Nie lepiej to,  
Parasko?”

„Niech sobie nogi połamie, zanim do mojej chaty trafi!” – zaklina się Hu-  
cułka, przysiadając opodal.

„Tak? A kto jeszcze onegdaj mówił, że jakby się jaki chłop trafił, to nie-  
chby został... Nie tak było?”

„A no! Nic nie kłamałam!” – odcina się Paraska.

„A jaki on by miał być? Może do mnie podobny?” – żartuje Cygan.

„Paskudne Cyganisko!” – spluwa Hucułka.

Cyganie wybuchają śmiechem.

„To jaki Parasko?”

„Odczepcie się ode mnie, albow to ja wróżka? Jaki będzie, taki będzie, nie  
mnie o tym sądzić; cichajcie!”

Z fajeczką w zębach opiera się zalotnie o wiązkę chrustu, pyka i czeka, co  
jeszcze Cyganie wymyślą.

Miała czterdzieści kilka lat i była wdową. Smagła, jeszcze prawie ładna,  
szczupła, delikatnej budowy, żwawa, o sprytnym spojrzeniu, sprawiała wraże-  
nie dużo młodszej niż w rzeczywistości, jej drobne dłonie nie zdradzały prawie  
męskiej siły. Bardzo z niej była dumna.

– Teraz już ona nie taka – opowiadała nieraz – ale jak byłam młodsza!  
Bywało, korzec kukurydzy ciepnę na konia, aż na zadzie przysiądzie! Albo  
nabieram w lesie drzewa, zarzucę na plecy, ledwie mi spod niego nogi widać,  
i biegiem do chaty. W domu cisnę nim o ziemię, aż wszystko zatrzeszczy; na  
cztery niedziele jest czym palić! Ludzie się dziwiają, a ja się śmieję. Dacie wi-  
arę? A stogi jakie składałam... hej! – wspomina z lubością, a jej żywe, mądre  
oczy zapalają się jakimś wewnętrznym ogniem i cała twarz młodnieje. – Ale  
teraz już nie ta siła, już koniec!



W jej głosie nie ma smutku. Nie płacze, nie domaga się współczucia, mówi poważnie, z zamyśleniem. Jak się coś zaczęło, to i skończyć się musi, a żal niech wiatry rozwieją!

„Gdzieście te stogi składali?” – pyta Cygan.

„U kogo się najmowałam? U nieboszczyka pana Kuby, taty obecnego młodego pana, tego, co ma tę górę za rzeką. Znacie go?”

„Znamy. To Wołoch! Piwo ludziom stawiał, żeby go na burmistrza wybrali i gadał, że on dla wszystkich jak brat.”

„Brat? – zapytała mrużąc oczy. – A czemuż teraz o braterstwie nie prawi, jak inny na urządzie? Oj, niedobry on, nie taki, jak jego ojciec. W matkę się wrodził, to i Wołochem się mieni. A matka z Mołdawii, ojciec po naszymu do nas mówił. Hej, dobre to były czasy, jak jego ojciec nieboszczyk żył i ziemię miał!

U niego stogi w górach stawiałam.”

Po chwili zadumy ciągnęła:

„Bywało, przy innych stogach po dwoje ludzi, a ja przy swoim jedna. Dacie wiarę? Sama układam, sama ubijam ściśło, szeroko i stóg jak dom. Pan Kuba tylko z boku stoi i patrzy. Czasem i godzinę tak patrzył. Zobaczysz, żem się zmachała, podejdzie i kapciuch wyciąga: Zapal sobie, Parasko, jesczem takiej robotnej nie widział!”

„A co wy, Parasko?”

„Siadam sobie pod stogiem, śmieję się i fajeczkę pykam!”

„Ej, Parasko, Parasko...”

Hucułka zerka surowo na Cygana i grozi mu ruchem głowy:

„Ej, badiko! Nie z takich ja!” – spluwa i zarzuciwszy chrust na plecy kieruje się w stronę swojej chaty.

Chata zwyczajna, wiejska, z przyzbą, bielona wokół okien. Przy chacie ogród, a w nim różne różności. Drzewa owocowe, jarzyny, słoneczniki, kwiaty, żółtych goździków dwie grządki. Pachną aż się w głowie kręci. Paraska gospodarzy sama. Nigdy nie miała dzieci. Całą miłość przelała na kwiaty.

„Lubię mieć dużo wszystkiego, tak jest weselej!” – mówi, kiedy ktoś podziwia jej ogród. A choć nie ma w nim nic nadzwyczajnego, dla niej to jakby raj.

W niedzielę po obiedzie kładzie się pod gruszą. Koło niej kot, dwa, trzy kurczęta... Leży sobie, pali fajeczkę, drzemie. Towarzystwa nie szuka; rozmawiać nie lubi, do sąsiadów zachodzi rzadko, a jeśli już, to dobrze się wpierw rozejrzy, zanim usiądzie albo coś zje.

„Paraska jest dzingasz. Bardzo delikatna i wrażliwa – mówią jakby z przysięganą sąsiedzi Wołosi. – Wejdzie do izby to rozgląda się jak jaka pani. Lepiej by się u siebie rozejrzała, prędzej by się coś znalazło nie tak!”

Ale Parasce to obojętne. Sprawia wrażenie, jakby się czegoś brzydziła, chociaż w wołoskich chatach czyściutko. Ale bynajmniej nie stara się ukryć, że się brzydzi.

Chcą ją ugościć, a ona już na progu.

„Zapomniałam kurczętą zagnać – wymawia się – jeszcze mi które zginie”.  
– I spieszy do domu.

„Byście mieli dziecko – mówi sąsiadka – zaraz by wam było weselej.”

„Może i tak – odpowiada Paraska. – Ale nie daj Bóg brzydkie by się trafiło albo i przez siłę nieczystą. Nie, nic takiego nawet na oczy nie chcę oglądać!”

„Ale tak to wam smutno...”

„Iii... gdzie tam.”

I mówi prawdę. Jej nigdy nie smutno. Nawet w zimie, kiedy tygodniami sama siedzi i ludzkiej twarzy nie widzi, nie jest jej smutno. Przędzie, fajeczkę pali, zagaduje do kota, do psa, ze swoimi wypieszczonymi kurami rozmawia, śmieje się do nich albo wróży z kart czy z kukurydzy i nie ma czasu na smutki. Wieczorami, gdy śnieg zalepia okienka chatki, wiatr szumi głucho, skuli się koło pieca z nieodstępną fajeczką i czegoś nasłuchuje. Jędrny szum przewala się w powietrzu, nadlatuje od Runga i Magury, jak chmara ptactwa, które roztrąca wiatr. Góry o coś gniewne... Ale jej nie straszno. Zastuka kto do drzwi, ona nawet nie ruszy się z miejsca.

„Kto tam?” – pyta śmiało i nie otworzy, póki nie dowie się dokładnie, kto i po co przyszedł. Po prostu leni się wstać z wygodnego, ciepłego miejsca, ale żeby się czegoś bała...

Myśli to dla niej sny.

Wszystko tak sobie wyjaśnia: „Bóg mi zesłał taki sen...”

Ma i siostrę. Starszą od niej, Teklę, ładną jak ona i tak samo bezdzietną wdowę, ale jej nie lubi. I nie mieszkają razem. Od czasu, jak Tekla chciała jej odbić syna Maliny, straciła do niej serce.

Zresztą...

Czasem jakiś chłop albo i niedorostek rzuci jej żarcik, a ona bez krępacji od razu sięga mu za pas i szuka kapciucha z tytoniem!

Kilka razy sam pan Kuba ją częstował... Hej! Gdzieby mogła zajść, gdyby tylko chciała! Ale ona swój honor miała...

W chacie nieskładnie i ubogo. Długa dębowa ława, łózko i stół z poczerniałych desek, niezgrabna skrzynia, na żerdzi niedbale powieszzone rzeczy. I to prawie wszystko. Za to na ścianach aż gęsto: barwne malowanki, kolorowe papierki, wstążki, drewniane krzyżyki, garnuszki, suszone zioła... W oknie pąsowe kwiaty, które przez brudne szybki na próżno usiłują liznąć choć odrobinę słońca.

Pośród tego wszystkiego – ona. Krząta się, przędzie, albo wycina coś z drewna: krzyżyki, łyżki, miseczki czy co tam jej na myśl przyjdzie.

„Kto was tego nauczył?” – pytają ją ludzie.

„Kto? – dziwi się. – Ja tak sama z siebie! Siedzieć bez roboty nie umiem. Jak wezmę drewno do ręki, to ono już samo się wycina.”

Kiedyś, akurat na deszcz się miało, zaszła do niej jakaś pani. Zobaczyła, że ładnie przedzie i bierze także od innych do przedzenia, i potem sama przynosiła jej już robotę i zapłatę do domu. Czasem dorzucała jeszcze szczyptę tytoniu, bo widziała, że Paraska staje się wtedy bardziej rozmowna. Hucułka przywiązała się do pani jak dziecko, pewnego razu po dłuższym niewidzeniu spotkały się nieoczekiwanie na drodze. Z ogromnej uciechy Paraska ucałowała ją, ku jej wielkiemu zdumieniu, w same usta!

– Aż mi ulżyło, że znów panią zobaczyłam! – mówiła radośnie. – Niech pani zajdzie do mnie na wiśnie. Akurat dojrzają – zapraszała szczerze.

– A tytoniu przynieść? Czy może już daliście sobie spokój z paleniem? – pyta pani z udawaną powagą.

– Oj, gdzie by tam! – odpowiada trwożnie Paraska. – Jeszcze bardziej polubiłam!

– Tak? No to przyniosę wam paczkę, a wy naszykujcie bukiet tych żółtych goździków... Pewnie już rozkwitły!

– Jeszcze jak! Taaakie mają głowy! – mówi z dumą Paraska.

Nazajutrz po obiedzie wracając ze spaceru pani wstąpiła do niej. Zastała ją przy szyciu. Chwilę słuchała jej gadania, a potem spytała:

– Dlaczego nigdy u was wyszywanej koszuli nie widziałam? Hucułki zawsze w wyszywanych chodzą.

Paraska zmieszana się.

– Gdzieś tam leży – omiotła izbę spojrzeniem, z którego od razu było widać, że żadnej koszuli nie ma. Potem rzuciła z uśmiechem: – Teraz pani skłamałam! Nie mam haftowanych koszul! Nie lubię wyszywać i tyle. Nawet jak panną byłam nigdy się tym nie zajmowałam. Wyprać wypiorę, żeby jak śnieg były białe, i tak wkładam. Babskich robót nigdy nie lubiłam i po prawdzie do teraz nie lubię. Da pani wiarę? – Chata świadczyła o prawdziwości jej słów.

– A cóż wam się podobało? – spytała pani.

– Co? Chłopska robota. Trzeba grabi – zrobię. Trzeba drzew narąbać – narąbię. Konie u kowala podkuć – pójdę. Konew zbić – zbiję! Nawet koniki u pana Kuby na połoninie łowiłam – hej, hej!

Roześmiała się wesoło.

– Co wam tak śmieszno?

– Bom sobie przypomniała, jak nieraz bywało. Czysta komedia! – w jej oczach zamigotały iskierki. Z każdą chwilą stawała się młodsza.

– Chłopcom głowę zawracałaś?

Kąciki jej ust drgnęły swawolnie.

– A głupieli! – odparła krótko, streszczając cały kawał swojego życia.

A musiała być ładna! Nie tylko tą zewnętrzną pięknnością, tak rzadką wśród prostego ludu, ale jeszcze jakąś inną, wewnętrzną, dziką i wiecznie młodą, któ-

ra wciąż dźwięczała w każdym jej słowie, biła z mądrych, błyszczących oczu, z każdego ruchu smukłej postaci, a zwłaszcza głowy, zalotnie przystrojonej w czerwoną kwiecistą chustkę. Nie było w niej ani krzty popolitości, zazwyczaj przypisywanej „chłopstwu”, do której nijak nie pasuje żadne subtelniejsze uczucie.

– Zawracałaś! – powtórzyła pani. – A w końcu za starego wdowca się wydałaś. Może nie, Parasko? Wasz mąż był wdowcem?

Hucułka spojrzała na nią przenikliwie.

– To co! Wdowiec nie człowiek? No – dodała po chwili – wyszłam, ale taka widać była wola Boża. Los tak chciał.

– A wy nie? – droczyła się pani.

– Bo ja wiem? Szliśmy do siebie z dwóch stron świata i tu się pobraliśmy. On sorok lat miał, a mnie ledwie na dziewiętnasty szło. Szczęście miałam i tyle. Nie każdemu ono dane, niektórych to trzeba z daleka obchodzić, żeby ich dola nieszczęsna na człowieka nie przeszła. A ja miałam szczęście, od dziecka je miałam.

– Nigdyście mi o tym nie mówili, Parasko – uśmiecha się pani.

– Bo i pani nie pytała.

– No to zapalcie sobie, dajcie ręką odpocząć. Chętnie posłucham...

– Żadna fatyga opowiedzieć! – odparła Paraska obojętnie, a potem nabiła swoją krótką fajeczkę. Chwilę pykała w milczeniu, czekając aż tytoń się rozżarzy, i zaczęła mówić: Od dziewiątego roku życia mieszkała u swojej ciotki. Najmowała się we wsi na służbę, a że roboty się nie bała, wszędzie jej było dobrze. Na piętnasty rok jej szło, jak pochowała rodziców. Ojciec był zdolnym majstrem, cerkwie budował, zresztą cały jej ród był sławny. Dwaj bratankowie też byli szeroko znani. Zawsze trzymali się razem; wyrabiali z drewna skrzypce, siodła, konwie na wodę. Kiedyś poszli do lasu wyciąć drzewo; drzewo złamało się

i zabiło obu na miejscu. Pochowano ich w jednej mogile... A inny znów, wujowego syna syn, Andrij, ona dla niego, znaczy się, ciotka – ten to już najślawniejszy ze wszystkich. Wiele z tego, co wyciosował, u cesarskiego syna potem było. Taki to jest jej ród, nie żadne bukowińskie Hucuły.

– Pewnego dnia – ciągnęła – ciotka powiedziała mi, że w zapustną noc, co z niedzieli na poniedziałek wypada, trzeba wszystko, w czym się w niedzielę chodziło, włożyć pod poduszkę, że wtedy ten, co przeznaczony od Boga, we śnie się pokaże.

I tak zrobiłam. Wszystko, com tego dnia nosiła, włożyłam sobie pod głowę i ległam spać. I miałam sen.

Śni mi się, że idę gdzieś na górę z sakwami. W sakwach siano. Idę wysoko, trawa po pas, dokoła gęsty bór. Ale drzewa calutkie suche, do najmniejszej gałązki, aż rude z tej suchości. Smutno jakoś, cicho... Rozglądam się, a przede mną skądś się wzięła brama. Z bramy wychodzi mężczyzna, nie stary, nie mło-

dy, w rękach ma księżyc i obraca nim. Stanął przede mną, położył mi ręce na głowę i mówi: „Dziecko moje! Co sobie pomyślisz, to ci się spełni. Będziesz iść siedem mil i siedem godzin i znajdziesz tego, co tobie przeznaczony!” I znikł! Tak mi się śniło. Minęło sporo czasu. Nie siedziałam darmo. Służyłam, harowałam, bo miałam siłę. Hej, cóż za siła była we mnie! Żyłam sobie, nic mi nie brakowało! Tylko na jednym miejscu nie mogłam usiedzieć. Wciąż mnie gdzieś ciągnęło; wciąż gdzieś bym szła. Zachciało mi się iść na Bukowinę. A jakże, do pracy przy sianie. Przyszło lato, proszę Teklę, żeby szła ze mną – nie chce. Najmie się gdzieś do roboty i siedzi jak przyrośnięta. Ale ja wciąż przeżywałam o tej Bukowinie, tak mi widać było przeznaczone.

I poszłam. Jakoś namówiłam Teklę i zabrałyśmy się z innymi Hucułami na sianozęcie do Wyżnicy, do Ispasa. Tam przyjechał Hawrisan z tutejszych gór, z Briazej, zamożny Wołoch, gazda, co miał dozór nad grażdami i połoninami pana Kuby, i haj – namawiać wszystkich, ile nas tam było, do roboty przy pańskim sianie, na Bukowinę, do Briazej. Ja aż nogami przebieram z ochoty, żeby iść. Jedni mówią, że pójdą, drudzy, że nie pójdą, jeszcze inni namyślają się, Tekla nie chce iść. A ja... oj, Boże! Poleciałabym tak jak stoję, da pani wiarę?

Podszedł Hawrisan, zmierzył mnie od stóp do głów.

„A ty jak?”

„Pójdę!”

„Dobrze!” – powiada.

Wszyscy, co zgodzili się z nim jechać, ruszyli zaraz nazajutrz, reszta wróciła do domu. Tekla także, ale później spodobało jej się tu. Robimy przy sianie daleko w górach; kosimy zbieramy, składamy, jedni w kopy, inni w stogi; ja swoje stawiałam w pojedynkę, Hawrisan aż gębę rozdziawiał! Przy innych stogach po dwóch ludzi, ja przy swoim sama. Hej, żwawa byłam! Z nieba żar się leje, ziemię chce roztopić, oczu nie da rady w górę podnieść – taka od słońca spiekota, a ja ani na chwilę nie opuszczam rąk. Krew mi uderza do głowy, policzki płoną, nie spocznę, póki nie skończę. Zjawi się pan Kuba – zawsze wierzchem przyjeżdżał – puści konia, żeby się popasał, a sam położy się na skraju lasu w cieniu pod stogiem, zrzuci kapelusz i patrzy na mnie. Przy nikim tak długo nie bawił! Potem wyciągał kapciuch: „Zapał sobie, Parasko!” – mówił. Nabijam fajeczkę i gadamy. On pyta, ja odpowiadam. Dobry pan, lubił, jak się śmiałam!

Po sianokosach zbieramy się do domu wracać. Wielka fura mało nie pęknie, taka nabita ludźmi. Ruszamy, zaczynają się śpiewy. Aż tu goni nas ktoś na koniu. Hawrisan!

„Paraska ma zostać – krzyczy. – Paraska nazad! Pan przykazał...”

Trzeba było stanąć.

„Idź, pośmiej się!” – syknął jadowicie chłopak, który wciąż się koło mnie kręcił, odkąd zdecydowałam się zostać w panakubowych grażdach.

„Zazdrość ci?” – mówię i wybucham śmiechem, a wszyscy mi wtórują. Chyba pękł ze złości, zanim dojechał do domu.

Dobrze mi było u Hawrisana. Robiłam swoje, wesoło mi było...

„Ciebie smutek nie kocha” – mówi do mnie Hawrisan.

„A ja się do niego do służby nie najmuję – odpowiadam. – Nie umiem się martwić.” I do dziś się nie nauczyłam, da pani wiarę?

Któż by nie wierzył!

Jej żywe, ciemne oczy spoglądają beztrosko, każdy ruch, każda nuta głosu tchnie siłą, skrzy się humorem, a zarazem jakąś dziecięcą naiwnością.

– Z natury jestem wesoła. Nic mi nie dolega... Dawniej siłę miałam, choć góry łupać... Ale i teraz się nie daję! Chociaż już ręce nie te, co kiedyś, ale jeszcze teraz jakby mnie kto naszedł... No, niechby tylko! – szybkim ruchem podniosła drobną pięść i pogroziła.

– Oho, Parasko, kto by się tam waszej pięści zląkł! – wtrąciła pani.

– Zląkłyby się czy nie, ale ja się nie boję! Dawniej tę pięść znali wszyscy, i u Hawrisana też. Nikt nie potrafił jej rozewrzeć, po dwóch chłopów próbowało i nie dawali rady. Żaden młodzik, żaden mężczyzna; zawsze się o pierścionek zakładałam.

Jeden młody owczarz, Wołoch, krzepkie chłopisko, uparł się, że rozewrze – za pierścień. Zwariował – dodała ściszoneg głosem, uśmiechając się swawolnie i spluwając. „Rozewrzesz ją, jak kura zapieje” – mówię, a on tylko „Hej, hej!” zawołał.

Zdarzyło się i tak, że niosłam sól do styny. Wie pani, co to styna? Takie miejsce, gdzie ludzie latują z owcami, gdzie je doją i robią bryndzę i bundz. Taka drewniana koliba postawiona bądź gdzie na hali. Zbiegam sobie z gór samiutka, wokół las, trawy pachną aż dech zapiera. Zbiegam i śpiewam... Naraz słyszę przeciągłe echo: „U-uch!” Patrzę na przeciwległą górę: pod lasem ogromna łąka, owieczki białe się pasą, a spomiędzy nich toczy się jak kula młody pastuch... Czarny rozwiany włos spada mu aż na plecy...

Poznał mnie. Ryknął, jak byk, no, ze szczeniem oszalał...

Pogroziłam mu pięścią i w nogi. Leć – myślę sobie – prędzej kark skręcisz, niż mnie dogonisz. Patrzę, a on już na dole! Schowałam się za świerkami, pękam ze śmiechu!

Stanął i rozgląda się jak głodne wilczysko.

„Hej! – wołam i wychodzę zza drzewa. – Tu jestem, ślepaku!” – Rzucił się do mnie jak prawdziwy wilk.

„Teraz to już rozewrzesz pięść” – mówi i patrzy jak diabeł. Iskry sypią się z oczu, mieni się na twarzy.

„Nie rozewrę” – mówię.

„Rozewrzesz!”

„Nie rozewrę!”

„Zobaczymy!”

„Zobaczmy...”

Rzucił się na mnie jak oszalały i rozdarł na piersi koszulę. „Zobaczmy – sapie – kto jak kura zapieje” – i buch mnie na ziemię.

Wtedy ja... nie daj Bóg! Jęknęłam tylko i zaczęłam się bronić. Walczyłam jakby chodziło o życie.

On silny, rozjuszony, ale ja się nie daję!

„Zapiejesz ty, zapiejesz!” – jęczy i chwyta mnie za gardło, żeby przycisnąć do ziemi.

„Ty zapiejesz!” – charczę i jak go utnę zębami w rękę, aż zaskomlał jak pies!

Zerwałam się na nogi i na niego!

On do mnie... straszny, chyba zabić chciał, ale mnie już strach minął i buch go w pysk.

„Widzisz tę pięść? Widzisz? – wrzeszczę. – A zęby widzisz? Rozerwę cię, rozszarpie jak kocica!” Podeszłam bliżej, patrzę mu w oczy, a złość we mnie aż kipi. A on stoi blady jak śmierć, kapelusz mu zleciał z głowy i milczy.

„Ty zbóju! – mówię i wygrażam mu pięściami przed nosem – myślisz, że ja z takich? Tfu, zaraza!” – Splunęłam mu pod nogi i poszłam.

Schylił się po kapelusz i zawrócił na górę. Już byłam daleko na drugim zboczku, jak usłyszałam trombitę. Smutno wtedy grał. A potem mówił Hawrisanowi, że płakał...

Takie były wtedy te moje pięści.

– I nie baliście się, Parasko?

Spojrzała na panią rozpalonym wzrokiem.

– Czego? – spytała. – On niech się boi! – zawołała, chwytając nagłym ruchem szczeniaka, który spał skulony, i przyciskając go namiętnie do siebie. – On niech się boi, jak na niego krzyknę, bo za dużo skomla, ale nie ja! – i roześmiała się już łagodnie. – Tylko głupie się boją!

.....  
– U Hawrisana robiłam przy koniach i wołach. Domowa robota to dla mnie bajka.

Niezadługo po tym, jak z tamtym pastuchem się biłam, posłał pan Kuba stąd, z miasta, po mnie, żebym przyszła u niego w domu służyć. Nie chciałam.

– Ja tam do miasta się nie nadaję – mówię. – Dla mnie tylko w polu robota. Pójdę, skąd przyszłam. Drogi się nie boję.

– Niech Paraska przyjdzie – namawiał pan Kuba. – Jest u mnie jej krajan, wdowiec, gazda Jurij. Ożeni się z Paraską i razem będziecie u mnie służyć!

– Niech się żeni, z kim chce! – mówię. – Nie pójdę.

I nie poszłam. On znów przysłał.

– Nie – mówię – nie ma mowy. A co to ja jestem, żebym do niego chodziła? Życia swojego nie mam?

Teraz mam spokój. Już ani nie posyłają, ani nie pytają. A mnie jest dobrze. Dni zlatują jak ptaki. Nie wiem, co to smutek. Czego jak czego, ale szczęścia mi Bóg nie poskapił! Los smutki ode mnie odwrócił, a jak to mówią, kogo los pokocha, temu duszę złotem pozłoci. Szczęśliwa jestem...

– Z natury szczęśliwa – dokończyła pani jakby do siebie.

– A bo ja wiem?

„Kiedyż ty zapłaczesz, Parasko?” – pyta nieraz Hawrisan i tylko kiwa głową.

„Jak suchy deszcz spadnie – mówię. – A na razie dalibyście na tytoń!”

A on zaśmieje się... i da. Dobry był Hawrisan, byłabym się za niego wydała, ale już był żonaty. Jego kobieta, zawsze w chustce i sutej spódnicy, gaździna, że hej! Żadnej roboty się nie boi, chwilki czasu nie może złapać.

„Jeszcze zapłacze – mówi Hawrisanicha – jak ją z biedą wyswatają.”

„Chłopaków mendel mi swatali – mówię – i biednych, i bogatych, a za żadnego nie wyszłam! To za biedę bym się miała wydać? Hej, nie zje mnie ona!”

„Widać, twoje życie jak słońeczko.”

„No – mówię – słońeczko nie słońeczko, ale i smutku w nim nie uświadczysz.”

Raz miałam sen. Siedzę gdzieś, niby przed jakąś chatą i kądziel przędę. Kądziel jak śnieg biała, a nitka z niej już srebrzysta, cały kłębek to już takie srebro, jakiegom jak żyję nie widziała. Przędę. Nagle zjawia się skądś Żydówka i sypie mi bułki w podolek. Tak mi się śniło. A teraz niech pani posłucha. Tej samej nocy, z piątku na sobotę to było, śpi Jurij u pana Kuby w mieście i śni mu się, że przyszłam do niego i dałam mu jedną bułkę, a jedną zatrzymałam sobie. Da pani wiarę? Wtedy uparł się iść po mnie. Tak już mu los kazał.

Pan Kuba stale mu mówił: „Weźmiesz ją za żonę, będzie z tobą do końca życia; dziewczyna jak iskra, będzie wam u mnie dobrze”. Potem znów wbijał do głowy: „Weź Paraskę, bo ci ją jakiś inny sprzątnie sprzed nosa, jak jastrząb kure!”

Wybrał się Jurij w drogę.

Wziął ze sobą jeszcze jednego, co już przedtem służył u Hawrisana i mnie znał. Przyszli do nas, do Briazej... Byłam wtedy właśnie w górach w kolibie. Coś tam było do roboty. Przychodzi ten drugi – Jurij został we wsi u Hawrisana – stanął w dole i woła: „Hej, Parasko!” – aż echo idzie po lesie.

„Hej!” – odpowiadam.

„Pójdźże tu!”

„A po co?”

„Daj ognia do fajki!”

„A wasz krzemień gdzie?”

„Zgubiłem...”

„A mój do wody wpadł!”



Słyszę, klnie tam w dole. Śmiech mnie ogarnął.

„To nie zejdziesz?”

„Ognia wam trza?”

„W domu ognia podasz. Po ciebie Jurij przyszedł. Rusz się, czarownico!”

Bodaj ci język skołczał za twoją nowinę! – myślę sobie. I nagle jakoś stumaniałam. – Przyszedł! Co z tego może być?

Sama nie wiem jak już byłam na dole. Tyle pamiętam, że fajkę zgubiła, com ją od pana Kuby dostała, tak mi coś w oczach zawirowało. Wstyd jakiś, czy co? No nic, idę. Wchodzę do izby, Jurij siedzi w rogu pod ścianą, tam gdzie jedna ława z drugą się łączy! Jakem to zobaczyła, to aż dreszcz po mnie przeleciał. Bo to jest tak, że jak chłopak chce koniecznie dziewczynę brać, to jak tylko wejdzie do izby, zaraz siada tam, gdzie ława na ławę zachodzi. Wtedy już nikt mu dziewczyny nie odbije. Szłam przez tę izbę jak przez świeżo zaorane pole. Nawet nie widziałam, jaki on jest. Stary czy młody, ładny, czy brzydki! Coś mnie zamroczyło... Jakbym za chwilę miała umrzeć... A on pożera mnie oczami. I tylko, żeby z nim iść i iść! Już i z Hawrisanem gadał i z Hawrisanicą, już pieklił się po grażdach Wołoch-pastuch, com go w rękę ugryzła, ale Jurij wszystkim zapowiedział, że po mnie przyszedł i tylko czeka, żeby mnie zabrać. I poszłam, da pani wiarę?

„I na co ty idziesz?” – pyta Hawrisanicha.

„Będzie, co Bóg da” – mówię.

„Chodzi jak nie zagnana owca – zrzędził Hawrisan, który niechętnie puszczał mnie od siebie. – To tu, to tam, miejsca nigdzie nie zagrzeje!”

„Zagrzeję tam, gdzie chcę, co komu do mnie?” – mówię.

„A jak źle trafisz?”

„Nie trafię źle. Nie chodzę z workiem na głowie, żeby nie wiedziała, co robię. Nie spodoba mi się, to wrócę z powrotem.”

„Już lepiej byś Ilję, tego pastucha, wzięła – mówi Hawrisanicha. – Chłop jak niedźwiedz i do wszystkiego zdalny, a tamten to Bojko!”

„Albo ja się wydaję za niego? Tak tylko idę!”

„Tfu! – Hawrisan splunął. – Zgłupiała dziewczucha. Nie strach ci?”

„Czego? Światem Bóg włada, nie on.”

Nie bałam się. Czemu by nie? – myślę sobie. – Zobaczę, jakie też jest to miasto, jeszcze mnie tam nie było. Może pan Kuba drugą fajeczkę podaruje, a tytoniu to już na pewno! A jak nie zechcę, nie zostanę. Jurij ponagla: „Idziesz już, Parasko? Chodź, robotę zostawiłem”.

Jakeśmy szli koło tej hali, gdzie pały się owce pana Kuby i Hawrisana, pastuch grał na trombicie. Tak tęsknie, że Boże nie daj. Spojrzałam w górę... dotąd mi w oczach stoi. Istne niedźwiedzisko, czarny, rozkudłany, wokół niego na trawie białe i czarne owieczki... A on samiutki płacze w trombitę... Grał, póki nie zesłiśmy mu z oczu, a potem jak nie zakrzyczy „u-uch!” aż się echem w sercu odbiło. Tylem go widziała.

„Co tobie?” – pyta Jurij i tak jakoś koso popatruje.

„To pastuch za Paraską płacze – mówi ten drugi. – Rozmiałował się w niej. Czemuś za niego nie poszła?” – zwrócił się nagle do mnie, patrząc spod oka na Jurija.

„Wasze zmartwienie?”

„Żmija!”

„Nie czułam woli do niego!”

I poszliśmy dalej. Szłam za nimi jak ślepy za widzącym. Idziemy... oni obaj z przodu, ja za nimi. Słucham, gadają ze sobą po rumuńsku, żebym nie rozumiała, ale ja rozumiałam wszystko – nauczyłam się przy pastuchu, tylko mówić nie umiałam. „Prowadźmy ją górami i wąwozami, nie drogą, żeby nie uciekła z powrotem...” A ja tylko podniosłam głowę i strzeliłam wokół siebie oczami. „No, no! – pomyślałam. Przecież nie ślepa, a moje nogi z waszymi nie para. Nie zechcę zostać, znajdę sobie kryjówkę!” – i zapamiętałam, którądy mnie wiedli... Na wieczór przyszliśmy do miasta. Ten drugi pożegnał się z nami i poszedł dalej. Jurij otwiera jakiś dom.

„To nie idziemy do pana Kuby?” – pytam.

„Po co? – odpowiada. – Myślisz, żem cię panu Kubie przyprowadził? Wiem, że on tak zamyślił, ale ja nie chcę. Znajdzie sobie inną sługę, nie martw się.”

„A co ja się mam o niego martwić?” – odpowiadam, tylko akurat mi się fajeczka przypomniała... byłby dał.

A Jurij mówi:

„Teraz jesteście w domu. Gazduj sobie na zdrowie! Gotuj jeść” – i wyciąga jajka i masło, i mleko.

Niedoczekanie twoje, żebym ci strawę gotowała – myślę sobie, a potem... zebrałam się i uwarzyłam. Przy kolacji tylko nas dwoje. Ani żywej duszy, ani psa, kota, bodaj kury. Jedzenie mi w gębie rośnie, wstyd mi, że Boże nie daj! Jem, a na niego nawet nie spojrzę. Jeszcześmy nie skończyli, a on powiada, że Bóg dwoje stworzył! Nie odzywam się. Niech i tak będzie; co mi do tego?

Potem legliśmy spać. On mówił, że nóg nie czuje, a ja... Ciężka i długa była dla mnie ta noc. Śniła mi się Hawrisanicha: „I na co ty idziesz?” – krzyczała. A potem śnił mi się pastuch: stał sam na górze pod lasem wśród białych i czarnych owiec i płakał w trombitę... A potem, że chciał rozewrzeć mi pięść i przyciskał do ziemi... Rano wstałam jak nie ta sama.

Potem przyszedł brat Jurija i rodzina, i cała kompania. Brat spojrzął na mnie i powiedział tylko: „Dobrześ zrobił, Jurij, że sprowadziłeś tę dziewczynę”. Wszyscy obstąpili mnie i namawiali, żebym szła za Jurija. Jedna gaździna, co dobrze się z nim znała, przystrojona w korale i sznury srebrnych dukatów, w białutkiej zapasce, z czołem w kędziorach, powtarzała co chwilę: „Idź za Jurija, będziemy żyć jak siostry”.

„Bez cerkwi nie będę z nim żyła” – odpowiedziałam, a on już za czapkę i do dobrodzieja. Ja chodzę po domu, po podwórzu i myślę: „Uciekać czy wydać się za niego? Hawrisan przyjmie z powrotem, bo mu beze mnie jak bez ręki, ale tam pastuch... Zełże coś, wstydu narobi... Już lepiej zostać. Czemu by nie? Nie ze swej woli tu przyszłam, los tak chciał... Czy mi tu źle? Chata jest, pieniądze są, krowa jest, kumy jęzorami nie miała.”

Tak sobie rozmyślałam...

Weselisko przygotowałam jak należy: mięso, całego barana, gołąbki, wiadro wódki, wszystko co trzeba. Do ołtarza szłam jak po świeżo zaoranym polu, dlaczego? – nie wiem.

Wracamy z cerkwi, a tu garnki puste! Kompania wszystko zjadła! Ci, co w domu zostali, zjedli, a może i pokradli; jeden Bóg wie. Ale zakasałam rękawy i drugi obiad sprawiłam, i wszystko było dobrze.

I przeżyłam z Jurijem siedemnaście lat. Dobry był człowiek: nigdy na mnie ręki nie podniósł. Tylko ostatnie trzy lata miałam ciężko: pił, a roboty nie lubił. Jak się sama ze wszystkim uporam – to było zrobione, a jak nie, to nie. Potem umarł. Na tę chatę, co teraz mam, oboje zapracowaliśmy. Dobrze, że jest.

Umilkła i wytrząsnęła popiół z fajki.

– Teraz tak sama jesteście, Parasko – odezwała się pani po dłuższym milczeniu.

– No, sama – obojętnie wzruszyła ramionami Hucułka.

– I nie nudno wam tak wciąż samej siedzieć?

– Nie nudno. W domu, w obejściu roboty dość, zapalić też trzeba, nie ma kiedy się nudzić. Ej, gdzie tam nudno! – dodała trochę jakby kpiąco.

– A w zimie?

– W zimie tak samo. Chodzę po drzewo, przędę, skubię pierze. Z kart sobie wróżę... zawsze w niedzielę po obiedzie, a nieraz i wieczorem, jak mam czas.

– Kto was nauczył wróżyć?

– Sama się nauczyłam. Siedzę, rozmyślam o tym i owym; coś mi podpowie sen, coś wywróżę sama z siebie, i dobrze mi z tym. Jakby nie drzewo, nie wiedziałabym, co to bieda; tylko przez to drzewo mi ciężko. Ciężko nosić.

Miała zwichniętą nogę i utykała przy chodzeniu.

– Co wam się w tę nogę stało, Parasko? – spytała pani.

Hucułka zmarszczyła czoło:

– To ten przeklętnik winien – odparła ponuro, nie podnosząc oczu.

– Kto?

– Syn Maliny i moja siostra...

– Jak to, Parasko?

– Tak to.

– Opowiedzielibyście.

– Nie warto gadać...

Kiedyś jednak opowiedziała. Ze skąpej relacji wynikało, że żyła z tym „synem Maliny” i kochała go, choć słowo „miłość” nie przechodziło jej przez gardło. Jej siostra, Tekla, chciała młodego pięknego Wołocha zwabić do siebie i wygadywała na Paraskę różne obrzydliwości. Starła mu się przypodobać, co i raz ciągnęła do karczmy, stawiała wódkę, dawała pieniądze, chyłkiem prała jego bieliznę, ba, czasem nawet do domu na noc wracać nie pozwalała...

Doszło do tego, że zmówili się pozbawić Paraskę życia, żeby osiąść potem w jej chacie i zacząć gazdować! On był biednym najemnikiem, ona też nie miała własnej chaty. Wynajmowała jakąś nędzną chałupinę, tyrała ciężko, ale co zarobiła, przepuszczała. Stara Malina była dobrą kobietą, podarowała nawet Parasce karty, z których wróży do dziś. Jednak syn zmówił się z Teklą wysłać ją, Paraskę, na drugi świat. Kazał jej iść do moara dracului, diabelskiego młyna, koło pastwiska Szandru, żeby się dowiedziała, kiedy miała tam za darmo, żeby potem któreś z nich mogło tam zanieść kukurydzę. To był dobry młyn; w niektórych dniach meł dla biednych za darmo. Droga była licha i dlatego młynarz meł nawet bez zapłaty, byle tylko ludzie do niego przychodzili. Z miasta było tam ze cztery mile, a może i dalej...

I ona dała się namówić.

Szła, jak jej tłumaczył. Najpierw drogą między rajskimi łąkami i pastwiskami; potem już gorszą i węższą górską ścieżką. Szła długo; nigdzie żadnego domu, śladu człowieka – pustynia. A potem... weszła w las. Ale nie taki, jak ten na Magurze albo Rungu, wesoły, przyjazny; bór wyglądał jakby go zasiała ręka Boga świętego, gdy tworzyła świat. Wiekowy, gęsty, ciemny... Szum przelewał się w powietrzu, głośny tak, że tylko padaj i módl się, żeby cię jakaś nieczysta siła nie złapała. Ani śladu drogi czy ścieżki, tylko potok. Tym potokiem miała zajść aż do młyna.

Poszła wodą. Na dnie kamienie wielkie, ostre, trudno iść; woda rwąca spieniona, ziąb taki, że przenika do kości. Co wylezie z niej i przejdzie kawałek lasem, żeby rozgrzać nogi, bo słońce tu nigdy nie dochodzi, zaraz pośpiesznie wchodzi znów do potoku. Podmokłe brzegi lasu porasta jakieś przedziwne zielisko, wysokie, bujne, silne... a ona bosa! W wodzie pień gruby, jak pół chaty, zwalony Bóg wie kiedy i przez kogo, chce go przestąpić, a on z trzaskiem zapada się pod nią... Samo próchno! Stare drzewo przeżyło swoje, padło na ziemię i rozsypuje się nietknięte nawet promieniem słońca...

Hej, co za droga! Trudno powiedzieć, jak długo tak szła. Skończył się ten las jak zimna noc, a przed nią dwie wysokie skaliste ściany: jakby czekają na człowieka, by go natychmiast zdusić. Przesmyk między ścianami wąziutki; gdzie znalazłaby się taka odważna, by się tam zapuszczać. Ziąb... prawdziwa zima i tyle! W wodzie zimno, nad wodą zimno, ani promyczka słońca. Co za lichy? Zbłądziła czy co?

Co za nieczysta siła ją prowadzi?

Mówił, że droga jest zła, ale potem już dobrze, tylko trzeba iść, nie zatrzymywać się nigdzie... we młynie sobie wytchnie i przenocuje!

Iść, to iść. Zła droga żadna sprawa, złej drogi się nie boi, tylko jakoś tu straszno... Ale co zrobić? Niech będzie, co ma być. Trza iść do końca, ujrzyć wreszcie ten młyn. Dziwnie jakoś... nudno... wokół żywego ducha... Zapaliłaby, żeby lżej się zrobiło na duszy, bo i duszę zaczyna spowijać jakiś mrok, cóż, kiedy fajeczki nie ma. Musiała gdzieś wypaść z zapaski.

Idzie nieszczęsna, idzie! Przecież kiedyś błysnie słońeczko, zawieje ciepły wietrzyk. Przydałoby się na ten ziąb. W środku lata, w samo południe przemazła do kości. Da pani wiare?

Ki diabeł zbudował tu młyn? Jaka z niego korzyść, kto pokona taką drogę? Tu ani saniami, ani wozem, ani wołami, ani końmi. Tu koniec świata, raj chyba tylko dla dzikich ptaków i niedźwiedzi...

Rozwarły się skalne ściany jak wrota. Stanęła oniemiała. Przed nią znów las. Taki sam jak ten, co z niego wyszła, ciemny, przepastny, cichy! Chyba zakłęty, bo tak dziwnie szumi. Nigdy nie słyszała takiego szumu, choć wiele lasów przewędrowała. Szum dławi, wypełnia uszy, a mimo to jest cicho... Cisza aż duszę wysysa... Stąd już niedaleko. Przed nią strzelają w górę dwie wysokie skały... Raryw!

.....  
Stoi i patrzy. Zachodzące słońce złoci wierzchołki skał, nad lasem już zapada noc. Dalej nic, chyba że następny las... chyba ją coś zaćmiło, a teraz jakby przeszła zła błyskawica, wierząc w sercu jak nóż... *To* właśnie jest ten diabelski młyn, to *on* szumi, gdy koła się kręcą.

Jęknęła. Oszukał ją. Wysłał tu, by zabłądziła, straciła głowę, żeby ją porwał dziki zwierz albo jakaś nieczysta siła...

Zatrzęsa się ze złości. Prawie jej rozum odjęło. Żeby go miała pod ręką, to by go chyba zabiła, o skałę roztrzaskała, a ptaki oczy by mu wydziobały! Własnymi rękami udusiłaby go jak żmiję...

Stała koło starego smreka i tłukła głową w pień. Niech lepiej umrze, niech zginie na miejscu, jeśli już do czegoś takiego doszło! Potem rozejrzała się. Nie wiedziała, czy w oczach jej pociemniało, czy już zapadała noc.

Zapadała noc...

I wtedy go przeklęła. W dobrą godzinę; Boża czy nieczysta siła włożyła jej w usta to przekleństwo, bo się spełniło. Ścisnęła głowę rękami, żeby nie zwariować. A może już oszalała? I wie, i nie wie, co się z nią dzieje. Co zrobić? Zostać tu na noc czy iść dalej? Już pojmuję, że nie ma tu żadnego młyna, że ten „diabelski młyn” to wszystko, co widzi i słyszy. Zostać czy wracać, na jedno wychodzi. I tu, i tam śmierć. Jak spędzić noc w tym piekle, gdzie czarty za dnia miela? Włosy jej się zjeżyły... Północ blisko, bez świecy umrze! Och, jak ciężko! W piersi jakby krew się zapiekła – ze złości, żalu i strachu. Wokół opada coś jak ciemna chmura; straszno jakoś... las dyszy czernią... śmierć!

Ale niech będzie, co ma być! Już lepiej wracać. Jeśli ma przed sobą jeszcze trochę dni i godzin, wszystko przetrzyma. Dotychczas szczęście zawsze jej dopisywało. Może i teraz jej nie opuści! Nogi ma obolałe, drży z zimna, grzeje ją chyba tylko pragnienie zemsty. A teraz znów do wody! Żeby choć księżyc wzeszedł, ale czy dojrzy go między tymi skalnymi ścianami, którędy ma wracać?

Kiedy minęła skalną bramę, księżyc już świecił. I znowu las. Straszny za dnia, a co dopiero w nocy... Szkoda mówić!

Na osłep wchodzi w strumień. Pamięta miejsca, które omijała za dnia. Wie, że jak będzie szła wodą, nie zbłądzi. Cichy plusk koi jej duszę. Czasem światło księżycy przebija gęste jak sieć gałęzie, załśni na wodzie... Wtedy można ominąć ostry głaz, który tylko czeka, żeby ją zranić. Prawie nie czuje poobijanych nóg. Za dnia pewnie byłoby widać, jak broczą krwią

Znów wpada po pas w spróchniałe pnie. Rozdarła sobie rękę, o, tu jeszcze widać znak. Gdy usiłowała wydobyć się z próchna, po ręce prześlizgnęło się jak błyskawica coś wilgotnego, zimnego – jeszcze teraz wstrząsa się na samo wspomnienie.

Jednego tylko nie pamięta: czy szumiał las? I czy tak samo jak za skalną bramą? Chyba nie. Wyliczyła sobie, że wyjdzie z tego straszego lasu równiutko o północy. Wtedy albo jej śmierć, albo życie. Nie oglądała się za siebie: zdawało się jej, że na plecach siedzi jej jakiś wielki ciężar, że lada chwila załaskocze ją coś na amen. Może i niosła coś... czy to wiadomo?

Tam, gdzie las rzedniał, tuż nad wodą, spomiędzy drzew wypełzały przejrzyste, białe straszdyła i rozłaziły się po gałęziach. Siadały jej na piersi, chciały zadusić, wtedy puszczała w ruch pięści i zaraz czuła ulgę...

Gdy wychodziła z lasu – nie daj Boże nikomu takiej drogi – pierwszy raz obejrzała się za siebie. Wtedy coś tak ją załaskotało, że roześmiała się w głos. I Bóg dał tak, że ten śmiech odbił się od ściany lasu, echo przywróciło jej rozum. Bo naprawdę coś chciało jej rozum odebrać, coś, co siedziało jej na ramionach i łaskotało, co dźwigała na sobie przez cały las... Da pani wiarę?

A potem puściła się pędem. Biegła i biegła, póki droga nie weszła z powrotem między pastwiska i łąki. Tu już stały koliby, obok których zbite w gromadkę nocowały owce. Dopiero tu jej ulżyło.

Księżyc świecił jasno jak w dzień. Znowu ujrzała świat: góry, takie same, jak je widziała w południe, usiane świętymi gwiazdami niebo. Raz zaszczekał nawet jakiś pies, co pilnował owiec, i to szczekanie uspokoiło ją prawie jak ludzki głos...

Wszędzie cicho... Straszny szum umilkł – widać tu Bożą moc panuje...

.....  
Już nie mogła biec. Siła z niej wyszła, z trudem wlokła się noga za nogą. Zostać na noc nigdzie nie chciała. Jakże potem rano wracać drogą, wedle znanych domów? Jak się tłumaczyć z pokrwawionych nóg, podartej, mokrej

odzieży, braku chustki na głowie? A piękna czerwona chustka – hej, gdzie ona! Może w diabelskich rękach?

I wlokła się powoli, utykając jak niewidoma starowina. Dopełzła wreszcie do swojej chaty. Stała u wrót, dojrzała w oknie światło. On był w domu. Zajrzała: na jej pościeli śpi Tekla, rozkuśnięta, brzydka; on siedzi koło pieca, coś zaszywa... Aż nią zatrzęsło... Nogi się pod nią ugięły... a z serca uderzyło do głowy coś strasznego. Przez chwilę chciała podpalić chatę albo zrobić coś takiego, żeby tamtych zabiło, ale zaraz minęło jak ręką odjął. Nie czuła bólu. Było jej wszystko jedno. Czuła tylko zmęczenie i ból w całym ciele. W nogach pulsowały młoty... W głowie paskudny szum i jakby dzwonięcie.

Powlokła się do szopy, co stała przy chacie osłonięta rozłożystą wiśnią; zrzuciła serdak i kapotę, podłożyła je pod siebie, przeżegnała się i zasnęła... Gdy obudziła się rano, dom był pusty. Przespała jeszcze cały dzień i drugą noc, a kiedy wstała, była zdrowa i pogodna, jak wprzódy. Jakby nigdy nie wybierała się w drogę po własną śmierć.

– A jak on przyszedł, Parasko? – spytała pani.

– Właśnie dawałam kurom jeść. Spojrzał na mnie i splunął.

– No co – mówi – byłeś w moara dracului? Kiedy będą mleć?

– Niech cię twoje grzechy zmielą!

Pięć dni się do niego nie odzywała; nie kazała mu iść precz, nie prosiła, żeby został. Strawy nie gotowała, światła, kiedy wracał wieczorem, nie świeciła, a jak w niedzielę powiedział, że nie ma czystej koszuli, warknęła tylko: „Mnie tu nie ma!”

– A Tekla?

– A jak Tekla przyszła, to jakby mnie żmija dźgnęła. Zerwałam się i za siekierę.

„Pójdiesz z mojego domu, suko?” – wrzasnęłam.

„Co ty! Zgłupiałas?” – wytrzeszczała na mnie gały.

„Wynocha! – krzyczę – Zaraz tu będzie śmierć tobie i mnie!” – i już coś podnosi mi rękę, by wrazić jej siekierkę w głowę. Ale dał Bóg, że sama wyszła i grzech się ode mnie odwrócił. Rzuciłam siekierę pod piec i otarłam pot z czoła... Oj, Boże!

Piątego dnia wybrałam się do miasta. Dogonił mnie po drodze.

„Daj dwie banie!” – mówi.

„Nie dam.”

„No, no!” – powiada z krzywym uśmieszkiem.

Ja na to nic.

„To nie dasz?”

„Nie dam.”

Splunął i zsunął kapelusz z czoła.

„Nie dasz?”

„Nie dam!”

Wtedy on jak mnie nie buchnie w gębę. Świat zawirował mi w oczach i padłam jak długa. Złapał mnie za nogę, zarzucił sobie na ramię jak worek i poniósł do domu. Tu cisnął mnie na przyzbę – zgiń!

Jak się ocknęła i chciała wstać, nie mogła. Noga spuchła, boli, nikomu nie życzyć takiego bólu. Wtedy drugi raz go przekleła. W dobrą godzinę, Boża czy nieczysta siła włożyła jej w usta to przekleństwo, bo się spełniło...

Za tydzień wrócił. Skąd? Nie wie. Nie pyta. Już serca do niego nie ma; tylko czeka, by go dosięgła jej klątwa.

„Dobry wieczór...”

„Dobry wieczór.”

I więcej nic. Kuszytka po izbie o lasce, szuka sobie zajęcia, a do niego ani słówkiem się nie odezwie.

„Nie masz czego do jedzenia, Parasko?” – pyta i rzuca się zmęczony na łóżko.

„Jedz, coś se nagotowałem!”

Leży, leży... a potem jak zacznie płakać! Wył jak postrzelony wilk. A ona nic: płacz – myśli sobie – póki nie ugasisz piekła w sobie, ja już do ciebie serca nie mam!

Całą noc przepłakał. I na drugi dzień to samo. Chodził, zbierał swoje rzeczy, drew jej narąbał, a łzy wciąż mu z oczu płyną. Wieczorem mówi:

„Parasko, idę do Dornej Watry do roboty w tartaku, bywaj zdrowa.”

„Idźcie zdrowi. Niech was Bóg prowadzi!”

I poszedł. Jak poszedł, tak do dzisiejszego dnia nie wrócił.

– Co się z nim stało, Parasko?

– Ot co! – odparła. – Nie poszedł do Dornej! Okradł tutaj jednego Żyda, tego samego, do którego z Teklą na wódkę chodził, i uciekł na mołdawską stronę. Uciekając złamał rękę i stracił wszystkie pieniądze. „Tak ci Pan Bóg odpłacił – powiedziałaś, jakem o tym usłyszała – za moją krzywdę. Tyś mi nogę złamał, Bóg tobie rękę!” Stara Malina, jego matka, płakała; mówiła, że kaleką został i na żebrę chodzi! Cóż, sam chciał.

– Oj, Parasko, nawet nie wiedzieliście, kogoście mieli u siebie! – mówi pani. – Jeszcze by was kiedy zabił!

Paraska kręci przecząco głową i uśmiecha się.

– A co by u mnie skorzystał? Biednam, a mnie samej przecież by na pieniądze nie wymienił. Zanim by mnie zabił, prędzej bym go udusiła. Nie boję się!

– Nie boicie się! A jednak was oszukał i nogę uszkodził.

– No – mówi Paraska wzruszając ramionami – może los tak chciał. Za mnie Bóg go skarał. Przez jedno drugie się stało.

– A z Teklą? Nie pogodziłyście się?

Hucułka splunęła i zaczęła nabijać fajkę.



– A co miałam z nią zrobić? Sama do mnie przystąpiła, zagadała, to i przyjechałam do domu. Siostra dobra czy zła, ale zawsze siostra. Żyjemy razem, żeby ludzie nie gadali, ale serce do niej straciłam. Tydzień potem, jakem ją chciała zabić, wzięła za swoją ociemniałą dziewczynkę, trzy latka miała. Widać gryzło ją sumienie za to, co mi zrobiła, a może Bóg jej zesłał sen, żeby wzięła sierotę do siebie. I dobrze zrobiła, że posłuchała Bożej woli. Może będzie z tego miała jaką korzyść na tamtym świecie. A to ślepe biedactwo śmieje się do niej. Stale udaje, że razem kądziel przędą.

– I od tej pory sami mieszkacie, Parasko?

– Niby sama. Raz wzięłam sobie jednego majstra, też Wołocha. Ani młody, ani stary – wdowiec. Przyjechał go do domu, myślę: może na dobre wyjdzie. Okaze się dobry, i jemu będzie dobrze; a zły – to przecież są drzwi w domu.

– Jak można tak ni stąd, ni zowąd przyjmować do siebie obcego człowieka? – spytała pani. – Nie strach wam? Sama jedna kobieta, a już i nie taka mocna...

Oczy Paraski zaiskrzyły się, wesoly uśmiech przemknął po twarzy.

– Ej, samotna kobieta! Alboż to ja nie sama przyszłam na świat, żeby się samotności bać? A był ktoś ze mną, jakem za Jurija szła? Wiedziałam, jaki to człowiek? Przyszedł po mnie – poszłam. I wtedy nawet jeszcze nie wiedziałam, czy mi się spodoba... a poszłam! Miałam szczęście. Mnie nigdy nie straszno. Tak mi od Boga dane: nie boję się, co ma być, to będzie.

– No i co z tym majstrem?

– Nic. Z początku dobrze. Rano idzie do pracy, wieczorem wraca. Drzewa mi naszykuje, w domu i w obejściu pomoże... Dobra, myślę, będzie komu chatę zostawić, jak umrę! Ale obróciło się na co insze. Zaczął przychodzić pijany, raz, drugi, trzeci. Widzę, niedobrze! W nocy nie śpi, tylko gada coś, aż strach człowieka ogarnia. Wstaje, krzyczy, bałamuci, Boże nie daj! On na łóżku, ja w kącie na ławie się kulę... Oka zmrużyć nie mogę. A Bóg wciąż zsyła taki sen: „Jeszcze cię zarżnie!” Co robić? – myślę. Odnalazła mnie bieda i panoszy się jak na swoim. Bodaj szczeła! Ja tu się zamartwiam, nie śpię, a on swoje. I jakby tego mu było mało, zaczyna mnie po prostu bić. Wtedy się rozżłościłam, jeszcze mnie takiej nie widział, pokazałam mu, z kim ma do czynienia i wycieplam z domu! Chyba z tydzień przychodził jeszcze wieczorem, dobijał się do drzwi, ale nie otwierałam. Łeb by ci rozbiło – myślę sobie i nie ruszam się spod pieca. – Na czorta mam cię trzymać w domu, jak mi nie pasujesz? Czy to nie ma chłopów na świecie? Sama będę żyła, a jak nie zechcę... Nie martwię się, że nie znajdę; znajdę!

Zabrał się na dobre.

Nieraz spotyka mnie to tu, to tam, częstuje tytoniem i zagaduje:

„Ptaszyno, bardzo mnie za wami serce boli!”

„Was boli, a mnie nie boli!” – odpowiadam. No i tak. Teraz znów jestem sama. Żyję, jak się da, czasem dobrze, czasem źle, z dnia na dzień; nie ma wy-

boru. I jest, jak jest, a szczęście mam. Na tytoń zawsze się znajdzie, choćby krajcar, choćby dwa, ale się znajdzie!

– Takie to i szczęście! – rzuciła pani z nieukrywaną kpina.

Hucułka spojrzała na nią swoimi mądrymi, żywymi oczyma.

– Każdemu na jego miarę – powiedziała. – Smucić się nie smucę, bo nie dał Bóg przyczyny, zresztą nawet bym nie umiała. Co sobie zamyślę, to zrobię. Jeść mam co... wesoło mi... dobrze, a może będzie jeszcze lepiej! Jeden stareński Wołoch mi powiedział, że przy mnie bardzo wielkie szczęście. Jeszcze jak Jurij żył.

Kiedys zrywaliśmy wiśnie. W sobotę. Ja na drzewie, Jurij pod drzewem; zbiera co spadnie. Przychodzi ten stareński Wołoch i prosi dać mu cokolwiek.

„Wynieś mu miszkę mąki!” – mówi Jurij.

Zeskoczyłam z wiśni, wyniosłam.

„No – mówi – jakieś taka litościwa, żeś mnie pożałowała, to jeszcze zanieś mi to do chaty, tu niedaleko. Za to wyczytam ci z mojej książki, co ci pisane.”

Zaniosłam, a on wyciągnął ze skrzynki grubą książkę, taką starą, i wyczytał wszystko, co było i co miało jeszcze być. Że ja nie stąd, i o Juriju, i o chorobie,

z czego się wzięła, wszyscyutko...

„Ty masz – powiada – takie szczęście, że ono nigdy cię nie opuści. Bóg ci je włożył w duszę, żeby nigdy nie mogło od ciebie odejść. Tak ci jest pisane do samej śmierci: szczęście, wesele, radość. Smutku nie ma. Żyj sobie zdrowa!” Dlatego mówię, że mam szczęście. Potem dodała z zadumą:

– Jak mi się ktoś dobry trafi, żeby było komu chatę zostawić i żeby mi pasował – przyjmę. A nie trafi się, zdam się na wolę Boga.

– Weźcie siostrę do siebie!

– Siostrę? Boże! Bez świecy bym umarła. Nie, do niej serca nie mam. Wołę być sama. Jeszcze i na moim podwórku słońce zaświeci!

I dotychczas żyje sama. Gospodarzy, chodzi po chacie, po ogrodzie, za nią gromadką piesek, kury, kot i dwie zabawne świnki, które nazwała Iwan i Małanka. Czasem najmuje się u jakiegoś gazdy do siana. Tę robotę lubi ponad wszystko. W niedzielę stroi się zalotnie i idzie do cerkwi; po obiedzie czasem ktoś do niej zajrzy, a jak nie, siada na przyzbie – koło niej zwykłe towarzystwo – i pyka fajkę...

„Chodź do miasta!” – wołają znajome gaździny, przechodząc obok chaty.

Wzrusza ramionami i śmieje się.

„Zgubiłam sakiewkę, nie mam za co kupić gorzałki!”

„Tylko tak, popatrzeć sobie.”

„Boję się, że kto na mnie urok rzuci! Idźcie same... Ja mam swoje dzieci” – i pogłaska to, co akurat pod ręką: kota albo psa, albo kurczątko...

Gaździny urażone, idą dalej. „Prawdziwa dzingasz, jaśnie pani!” Mimo to ją lubią. Dobra z niej sąsiadka; na ziołach się zna i ma dobrą rękę. Jak ci co podaruje, masz z tego korzystać; nie można się z nią gniewać.

Pewnego dnia rano wdrapała się przez las na sam szczyt Magury, zbierała maliny. Jak już miała pełną konewkę, zaczęła schodzić południowym zboczem, gdzie rozpościerały się wielkie hale, a i góra była mniej stroma.

Siadła trochę odpocząć. Była zadowolona. Za maliny dostanie co najmniej sześć szóstaków; będzie mogła sobie coś sprawić. Jeszcze nie jest pewna, co. Dobrze, że będzie za co... Otarła pot z czoła; chustka, którą miała na głowie, była ciężka i parzyła, a potem wyciągnęła fajeczkę i zapaliła.

Wokół niej jak okiem sięgnąć tylko zieleń. Widać wierzchołki innych gór, bo Magura jest wysoka, a niebo czyste, błękitne i takie lśniące, że oczy same się mrużą.

Wysoko ponad wszystkimi innymi – Raryw. Porosły ciemnozielonym lasem, spowity przejrzystą mgłą; nieco niżej – dwie bliźniacze skalne ściany, jedna naprzeciw drugiej, jak szpaler, przez który wiedzie droga do wspaniałego olbrzyma... Tam jest moara dracului.

Hucułka patrzy długo – aż poznała! Splunęła. Przecież tam była! Zgubiła wtedy chustkę przepiękną, czerwoną i nowiutką fajkę! Hej, jaką fajkę! Tylko pan Kuba takie kupował...

A potem roześmiało się w niej serce młodzieńczym chichotem. Ale strachu się najadła w tym paskudnym młynie, mało rozumu nie straciła; no, ale miała szczęście i wszystko się na dobre obróciło, a jakby tak komu innemu... Boże nie daj!

Rozmyślała, wspomniła, a kiedy fajeczka zgasła, zamyśliła wracać do domu. Jutro niedziela... Warto by iść na Rung, na grzyby. Piękne tam są: nasuszy na zimę kilka wianków, i dobrze; ale i w domu huk roboty: trzeba za dziś odrobić i za jutro. I z Cyganami też musi się zobaczyć. Stary Cygan chciał dwa szóstaki pożyczyć, obiecał za to przynieść drzewo z lasu, żeby tylko nie zełgał, bo u niego co słowo to łgarstwo... A ona obiecała, że da, jak będzie szła nazad. No, trzeba by już się zbierać... Cyganie będą wyglądać, bo wiedzą, którą drogą poszła. Oni tu jak w domu, niczym te czarne kruki.

Ale jeszcze nie czuje się zmęczona i nie chce się jej wstać. Nie odrobi się dziś, to nie pójdzie jutro, ale jej godzina jeszcze nie wybiła! A jakby w tym roku nie było grzybów? Albo jutro od rana padało? Tak sobie rozmyśla i sama się oszukuje, mrużąc z uśmiechem oczy, byle tylko posiedzieć chwilę dłużej! Dobrze się tu siedzi.

Potem dojrzała daleko przed sobą halę, kolibę i owce. Czy jest w kolibie kto? Czy pusta stoi? Ogarnęła ją żywa, młodzieńcza ciekawość dowiedzieć się, co też tam jest, usłyszeć w tym pustkowiu jakiś ludzki głos, i z całej siły dźwięcznym, jasnym głosem zawołała: „Hej, hej!”

Z koliby wyszedł jakiś człowiek i rozejrzał się. Dojrzał ją, czy nie? Skąd można wiedzieć. Doleciało ją tylko długie, smutne „Hej, hej!”, jakby jakieś wspomnienie dawnych lat, kiedy jeszcze była u Hawrisana...

Ogarnęło ją wrażenie jakiegoś szczęścia, wrażenie przybrało kształt myśli: „Dobry był Hawrisan!” Potem bez zastanowienia wyciągnęła się w trawie. Prześpi się jednak. Wstała równo ze świtem, a teraz już południe. Po co się tak spieszyć do domu? Zrobi coś czy nie robi, i tak nikt na to nie czeka. Cyganie przyjdą i obudzą, jak tu zabawi zbyt długo. Cygan nie wyrzeknie się dwóch szóstaków. Stary przeklętnik! Ale ona ich lubi. Skorzy do pogawędki, zawsze weseli! A pomysły mają... no, cygańskie! Ułożyła się na skraju lasu, w półcieniu. Konewkę z malinami postawiła obok i założywszy ręce pod głowę przymknęła oczy.

Trawa szczerze przetykana kwieciami. Nad nią unosi się niezliczona ilość maleńkich muszek; w powietrzu słychać cichy brzęk. Pod nogami kręcą się rudawe mrówki; opodal, nie więcej jak trzy kroki od jej głowy wygrzewa się na olbrzymim głazie, który góra wyrzuciła ze swych wnętrzości, na wpół zwinęta żmija; leży nieruchomo w słońcu, z półprzymkniętymi oczkami...

W wielkiej południowej ciszy każdy żywszy dźwięk tonie jak w niewidzialnym morzu, nad którym unosi się tylko daleki poszum starego boru porastającego zbocza Magury i Runga. Cisza wchłania chciwie każdą falę szumu, jakby się nim żywiła... Dobrze się tu leży! Bóg wie, dlaczego aż tak dobrze! Pod powiekami przesuwają się kolorowe plamy – żółtawe, czerwone, dziwne... Przez głowę przelatują strzępy myśli; w końcu jedna zostaje na dłużej: „Chyba go wezmę!” Przez ostatnie dni sporo nad tym medytowała. Majster, którego wyrzuciła z domu, często zachodzi do starej Maliny i kładzie jej w głowę, żeby namawiała ją, Paraskę, żeby znów go do chaty wzięła. Nie może bez niej żyć, mówi. Zadała mu coś, czy jak? Ciągnie go do niej. Gotów nawet rzucić picie, niech go tylko przyjmie!

Stara Malina opowiedziała jej to wszystko; namawiała do zgody. Ale ona nawet o tym słyszeć nie chce. Czego jej brakuje? Chyba, że z tym drewnem coraz ciężiej... A on wciąż przyłazi! Kiedyś wróciła z miasta, chodziła po ziarno dla kur, patrzy, przed chatą stos narąbanego drewna. Zaraz się domyśliła, czyja w tym ręka! Za kilka dni wraca z roboty, patrzy – na przyzbie jego kozuch i buty... Co tu robić? Na pole nie wyrzuci, bo jeszcze ktoś ukradnie! Lepiej by było, jakby nie pił, bo to rzeczywiście dobry człowiek! Ręki na nią nigdy nie podniósł, robotny... Biedy też po nim nie widać: dwa kozuchy, dwa serdaki...

„Weź go, może się ustakuje – mówi jej sen. – Zawszeć będzie lżej, płot sam nie stoi, trzeba go podeprzeć. A jeden kołek nie podpora!”

Takie myśli po głowie jej chodzą. Przyjmie go jednak, spróbuje jeszcze raz wspólnego życia. Jak już on taki nieustępliwy, to kto wie, może na dobre się obróci. Nieraz człowiek myśli, że coś złe, a ono dobre; po prawdzie to nie ona się wprasza do niego, ale on do niej, A jakby znów nieład w domu chciał robić,

już ona da sobie radę. Jeszcze u niej ręce zdrowe, jeszcze potrafi pijaczynie przyłożyć. A jak już przyłoży... no, do sądnego dnia popamięta! Ona dobra, póki dobra, ale jak się rozeźli...

.....  
Szeroki płat słońca liznął ukradkiem zmrużone w półśnie oczy. W uszach rozbrzmiewało wyraziste dzwonienie jakby dzwonek pasących się owiec i kóz, jakieś pogwizdywania i okrzyki pastuchów.

Nagle zdało się jej, że jest u Hawrisana.

Idą z Jurijem i tym drugim obok połoniny, na której pasą się stada pana Kuby i Hawrisana. Jest i pastuch. Stoi na łące pod lasem, czarnowłosa, rozku-  
dłany, samiutki pośród białych i czarnych owieczek i płacze w trombitę.

Hej, jak gorzko płacze! Przeciągły, smutny i tęskny głos trombity odbija się od stromych zboczy... A jej robi się tak ciężko na sercu, jakby szła na śmierć. Potem ścichła trombita, rozpląnął się gdzieś jej płacz, wszystko wokoło pograżyło się w ciemności. Lęk ją ogarnął, złapała za ramię tego drugiego, co przyszedł z Jurijem: „Ratujcie!” A on powiada: „Teraz odstąpiło cię twoje szczęście, teraz już bez szczęścia będziesz ty żyła na świecie!”

Jęknęła ze strachu i obudziła się...

Jaka ciemność? Jasny dzień wokół i blask stojącego wysoko słońca.

Siada, przeciera oczy, nasłuchuje... I trombity nie słyszc. Cisza, tylko las szumi.

.....  
Sen mara, gorzej, że kłamliwa! Przy kim jak przy kim, ale przy niej szczęście będzie zawsze. Stareńki Wołoch powiedział: „Ty masz takie szczęście, że ono cię nigdy nie opuści. Bóg ci je włożył w duszę, żeby nigdy nie mogło od ciebie odejść!”

Taki nie może kłamać!

Tłum. *Tatiana Hołyńska*

## Mychajło Kociubynski (1864-1913)

Dzieciństwo i młodość spędził na Podolu. Wychowywał się w środowisku rosyjskojęzycznym i dopiero jako kilkunastoletni chłopiec rozpoczął naukę języka ukraińskiego. Przyczyniła się do tego jego fascynacja ukraińską pieśnią ludową, jak również twórczością klasyków, Marka Wowczka i Tarasa Szewczenki. W 1880 r. ukończył szkołę duchowną w Szarhorodzie. Po przeniesieniu się do Kamieńca Podolskiego rozpoczął naukę w seminarium duchownym, którego ze względu na sytuację materialną rodziny nie ukończył. W 1882 r., po śmierci ojca, zamieszkał w Winnicy, gdzie zarabiał na życie udzielając lekcji.

W 1890 odbył podróż do Lwowa, nawiązał kontakt z Iwanem Franką i innymi galicyjskimi działaczami kulturalnymi, a także z przedstawicielami lwowskiej prasy, co umożliwiło mu publikację pierwszych utworów. Rok później rozpoczął pracę jako nauczyciel wiejski. Z tego okresu pochodzą pierwsze znane utwory, materiały etnograficzne oraz tłumaczenia – Adama Mickiewicza, Elizy Orzeszkowej, Fiodora Dostojewskiego. W latach 1892-1897 przebywał w Besarabii i na Krymie. Następnie wyjechał do Żytomierza, gdzie współpracował z gazetą „Wołyń”. W 1898 r. przeniósł się do Czernihowa, w którym pozostał już do końca życia, pracując jako kancelista i statystyk w urzędzie ziemskim do roku 1911, w którym „Towarzystwo prychnykyw ukrajinskoji literatury, nauki i sztuki” przyznało Kociubynskiemu dożywotnią rentę. W owym czasie zaangażował się w działalność kulturalno-społeczną zacieśnił kontakty z Borysem Hrinčenką, Wołodymyrem Samijłenką, Mykołą Woronym i in. W latach 1906-08 przewodniczył czernihowskiemu oddziałowi PROSWITY, prowadził spotkania literackie (1906-07 i 1911-12), brał udział w przygotowaniu i wydaniu zbiorów i almanachów literackich *Chwyła za chwyłju* (1900) *Dubowe łystia* (1903), *Z potoku žyttia* (1905). Podróżował po Europie; zwiedził Niemcy, Austrię, Szwajcarię oraz Włochy.

Pierwsze jego utwory napisane w latach 1884-1886 nie zostały ocenione prychnylnie i za życia autora nie były wydane. Zainteresowanie czytelników wzbudziły opublikowane kilka lat później na łamach lwowskich czasopism „Dzwynok”, „Prawda”, „Zoria” – *Na wiru* (1891), *Cipowjaż* (1893) oraz szkice krytyczne *Pryczynok do biohrafiji Tarasa Szewczenka i Szewczenkowa mohyla*. Szczególne uznanie zdobyły utwory dla dzieci: *(Charytia, 1891), Jałynka* (1891), *Małeńkij hrisznyk* (1893).

Serhij Jefremow, wydawca i redaktor prac Kociubynskiego, pierwszy etap jego twórczości opisuje przez pryzmat wpływów Iwana Neczuja-Lewyckiego i Panasa Myrnego, widocznych w sferze stylistycznej (realizm) i tematycznej (wieś). Mimo wyraźnego związku ze szkołą realistyczną, już w początkowej fazie zauważalne są specyficzne cechy jego własnej metody artystycznej. Z listów Kociubynskiego wiadomo, iż poświęcał nawet drobnym utworom wiele uwagi, szlifując je i opracowując każdy detal. Z podobną uwagą traktował on również problematykę emocjonalną, wydobywając aspekt kontemplacji przeżyć i refleksji, jak ma to miejsce w opowiadaniu *Piatyzołotnyk* (1892). Punktem zwrotnym dla nowej impresjonistycznej poetyki była według współczesnego badacza Jurija Kuznecowa miniatura liryczna *Na kryłach pisni* (1895).

Duży wpływ na twórczość tego okresu miały liczne podróże, które zaowocowały poszerzeniem horyzontów tematycznych. Kociubynski wprowadza do literatury ukraińskiej wątki mołdawskie *Pe-kontrol* (1896), *Posoł wid czornoho caria* (1897), tatarskie *W putach szajtana* (1899), *Na kameni* (1902), żydowskie *Win ide* (1906), polskie *Debiut* (1909) i włoskie *Chwała żyttiu* (1912). Początek wieku przyniósł pogłębienie zainteresowania problematyką psychologiczną, co znalazło odzwierciedlenie przede wszystkim w konstrukcji utworów. Estetykę dojrzałej prozy Kociubynskiego wyrażała nie tylko fragmentaryczność fabuły, szczególnie rola koloru oraz wrażeń dźwiękowych, ale również podejście do doświadczania rzeczywistości – obserwacja jej w imię jej samej. Najbardziej wyrazistym przykładem jest etiuda *Cwit jabłuni* (1902), uznawana za swoisty program ukraińskiego impresjonizmu. Autor podaje w wątpliwość dotychczasowe kryteria poznawcze oparte na racjonalizmie. Świadomość głównego bohatera konotująca rzeczywistość w konkretnych jej przejawach polemizuje z wewnętrznymi odczuciami, wydobywając – po raz pierwszy w tak oczywisty sposób – dystans pomiędzy rzeczywistością empiryczną a światem wrażeń, ideałów i pamięci.

Dalsze utwory (*Lałeczka* 1902, *Z hłybyny* 1903-04, *Intermezzo* 1908, *Son* 1911) autor poszerzył o refleksję nad psychiczną alienacją, wprowadzając elementy psychoanalizy, równocześnie otwierając swoje pisarstwo na problematykę egzystencjalną. Kociubynski uwypuklił potrzebę konfrontacji jednostki z prawami otaczającego świata i z naturą samego człowieka nie tylko jako obserwatora i myśliciela, ale również głównego bohatera własnego życia.

Krąg zainteresowań Kociubynskiego dopełniają przemyślenia na temat systemów wartości zawartych w dawnych wierzeniach i zwyczajach – *Szczo zapy-sano w knyhu żyttia* (1910) w tym również huculskich – *Tini zabutych predkiw* (1911). Zwrot do źródeł, poszukiwanie piękna i pojednania w pierwotnej przyrodzie Karpat, pejzażach Italii *Chwała żyttiu* (1912) stanowią podsumowujący akord w dorobku pisarza.

Kociubynski był autorem recenzji i artykułów krytycznych m. in. o poezji Mykoły Filanskiego (1906) i Iwana Franki (1907). Jego opowiadania były często inscenizowane, na podstawie wielu z nich nakręcono filmy, do najbardziej

znanych należy ekranizacja powieści *Tini zabutych predkiw (Cienie zapomnianych przodków, 1964)* w reżyserii Ormianina Serge'a Paradżanowa.

Larysa Szost

## Kwiat jabłoni

### Studium

Zamknąłem szczelnie drzwi od swego gabinetu. Nie mogę... stanowczo nie mogę słuchać tego zduszonego, świszczącego oddechu, który, zda się, napełnia sobą cały dom. Tam, w sypialni żony, umiera moje dziecko. Chodzę po gabinecie, chodzę już tak trzecią bezsenną noc, czuły jak nastrojona arfa, która dzwoni strunami przy najmniejszym drgnieniu powietrza. Moja lampa pod szerokim tekturowym abażurem dzieli pokój na dwa pokłady – w górze ciemny, ponury, przygniatający, pod nim – zalany światłem, z jasnymi plamami i siatką cieni. Posłana na kanapie, nie ruszona pościel szczególnie razi oko. Za czarnymi oknami leży świat zatopiony w mrokach nocy, a mój pokój wydaje mi się kajutą okrętu, który płynie po nieznanym czarnym morzu ze mną, z moim smutkiem, z moim strachem. Dziwno mi, że wszystko dostrzegam, chociaż nieszczęście zagarnęło mnie całkowicie, pochłonęło bez reszty. Nawet przechodząc koło biurka poprawiłem fotografię. O! Teraz jest symetria!... A świst oddechu nie ustaje. Słyszę go nawet przez zamknięte drzwi. Nie pójdę do sypialni. Po co? I tak widzę wszystko, widzę moją dziewczynkę, jej gołe rączki na kołderce; widzę, jak ciężko dyszą pod kołderką jej piersi, jak rozchyła spieczona usteczka i chwytą nimi powietrze. To maleństwo, takie zazwyczaj dzikie, teraz obejmuje wiotkimi rączynami szyję lekarza i samo otwiera usta. Takie posłuszne teraz, kociątko... To mi kraje serce. Żeby już prędzej był koniec!

Nasłuchuję. Najmniejszy szelest albo stuk – a serce łamie się we mnie i zamiera. Zdaje mi się, że zaraz stanie się coś niezwykłego: wejdzie przez okno jakaś istota z wielkimi czarnymi skrzydłami, przesunie się po pokoju cień albo ktoś raptem krzyknie – i urwie się życie. Nasłuchuję. Nie, dom nie śpi. Żyje w nim coś wielkiego, niewiadomego. Słyszę jego oddech, westchnienia, słyszę, jak niespokojnie tętni jego serce i bije puls. Wiem – to trwoga. Trzyma ona w swych objęciach nawet powietrze pokoju i człowiek tak chciałby wyrwać się spod jej uścisku, wyjść z domu i zrzucić ją z siebie!...



A ja chodzę. Równym, odmierzonym krokiem, przez cały pokój, z kąta w kąt. Z kąta w kąt. Nie czuję nóg, nie kieruję nimi, noszą mnie same, niby nakreślony mechanizm, i tylko moja głowa, jak pająk pajęczynę, snuje przędzę myśli. Do okien zagląda noc – bezkresne, głębokie, czarne przestwory. Gdzieś daleko odzywa się kołatka nocnego stróża. Ile to już wieków budzi ona ciszę nocną swoim drewnianym głosem, ile ludzi, ile pokoleń przeżyła... Zawsze wywołuje we mnie dziwny nastrój, poczucie więzi z odległą przeszłością, z życiem moich przaszczurów. Jest coś prostego i miłego w tym głosie kołatki, który wśród ciszy i pustki obiecuje chronić sen człowieka... Czemu bym nie miał wziąć takiej nocy do tego epizodu rozpoczętej przeze mnie opowieści, gdzie Krystyna, porzuciwszy męża, przeniosła się nagle z dużego miasta do zapadłej dziury? Nie może zasnąć. Otwiera okno swego pokoju... Całe morze tonących w kwieciu drzew... łagodne, czarne fale toczą się dokoła... Śpi miłośnica, jak skupisko czarnych skał... Ani jednego dźwięku, ani jednego światła pod chmurnym niebem. Tylko zapachy tamują oddech, i głuchym tętnem bije w oddali kołatka niby serce niewidzialnego olbrzyma... Jakie to nowe dla Krystyny, nie spotykane... Krystyna czuje...

Wzdrygnąłem się. O Boże!... Co się ze mną dzieje? Czyżbym zapomniał, że mi umiera dziecko? Przyłożyłem ucho do drzwi. Świszczy? Świszczy... Jak jej trudno oddychać, jak ona się męczy, biedna ptaszyna... Aż mnie samemu dech zaparło w piersiach od tego świstu i zaczynam głęboko wciągać powietrze, oddychać za nią, jak gdyby miało jej to przynieść ulgę. Och!...

Jednak mam dreszcze. Od pleców rozlają się po całym ciele zimne mrówki i szczęki mi dygoczą... Nie spałem trzy noce... zżera mnie trwoga – tracę jedyne, ukochane dziecko... I tak się zaczynam roztkliwiać nad sobą, czuję się taki skrzywdzony, taki biedny, samotny... Kulę się cały, twarz moja żałośnie się wykrzywia, do oczu napływają gorzkie łzy...

Co to? Ktoś trzasnął drzwiami i zatupał bosymi nogami... Koniec?

Znieruchomiałem w miejscu i serce przestało mi bić. Coś się przelewa, i dzwoni wiadro żelaznym pałaczkim. To Katarzyna wniosła coś do mieszkania. Widzę tę spracowaną i zasnęłą kobiecinę; gorliwie krząta się po nocach, bo też kocha naszą Olenkę. Poczciwa dusza!...

I znowu cicho dokoła – gdyby nie ten świst zduszonego gardła, nie to syczenie czyhającej śmierci... Dokąd mam uciec od tego świstu, gdzie mam się podziąć? Nie mam go już siły słuchać... A jednocześnie wiem dobrze, że nie wyjdę z pokoju, bo nie mogę go nie słuchać... Przykuwa mnie do siebie. Dopóki go słyszę, mam pewność, że moje dziecko jeszcze żyje. I chodzę, i męczę się, i każdy nerw w mym ciele boli mnie od tego świstu...

Jest już późno. Lampa zaczyna kopcic i gasnąć. Słyszę trzaskanie knota, widzę, jak miga płomień – to się podnosi, to opada, jak pierś mojego dziecka. Z lękiem obserwuję tę walkę światła o życie i wydaje mi się, że w tej samej chwili, kiedy ono zgaśnie, odleci dusza mojej Olenki.

Strach, jaki zrobiłem się zabobonny! Zapalam świecę i raptem, wzięwszy się na odwagę, gaszę lampę. W pokoju zapada półmrok, zginęły plamy świetlne i różne cienie, wszystko nabrało szarej, smutnej barwy. Smutno się zrobiło w moim pokoju. Wlokę zmęczone nogi pomiędzy szarymi meblami, a za nią cichutko włóczy się mój zgarbiony cień. Mózg snuje myśli. O czym tak myślę? O czymś zupełnie innym, nieistotnym, a jednak zdaję sobie sprawę z tego, że nie zapomniałem o swoim nieszczęściu. Jakież głosy mówią we mnie: „Czy nie chce pan śledzia?” – „Co? Jakiego śledzia?” Nie zastanawiam się nad tym. Ktoś obcy spytał – i tak zostało. „Hydrochinon... hydrochinon... hydrochinon...” Nie wiem, dlaczego upodobałem sobie to słowo i powtarzam je za każdym krokiem, i boję się przepuścić w nim choćby jedną sylabę. Przynosi ono moim rozgorączkowanym oczom jakąś dziwną ulgę; odpoczywają, słodko odpoczywają i przed nimi zaczyna się rozpościerać rozległa zielona łąka z taką świeżą trawą... Nie słyszę świstu; kołatka ucichła...

Zegar w stołowym pokoju wybił drugą. Głośno, ostro. Te dwa dźwięki spadły na moją głowę jak grom z jasnego nieba, jak nóż gilotyiny. Omal mnie nie zabiły.

Kiedy was spotka nieszczęście, kiedy każdej chwili spodziewacie się jakiegoś ciosu i nerwy wasze są naprężone jak struny na instrumencie – radzę wam zatrzymać zegar. Jeśli nań często spoglądacie, przedłuży bez końca wasze męki. Jeśli zaś o nim zapomnicie, przypomina o sobie jak cegła, która spada na głowę. Obojętnie liczy wasze cierpienia i długimi palcami-wskazówkami przybliża chwilę katastrofy.

Sprzed moich oczu znikła zielona łąka i znów posłyszałem daleki głos kołatki.

Okno szarzeje. W pokoju jest wciąż tak samo, jak było dotychczas: tak samo wygina się od ruchu powietrza żółty płomień świeczki, tak samo chwieją się cienie i wisi mrok, a jednak jest też coś nowego. Jedno szare okno.

Robię się już zbyt wyczulony; moje oczy dostrzegają to, czego przedtem nie widziały. Widzę nawet siebie, jak chodzę z kąta w kąt pomiędzy bezużytecznymi dla mnie i jakby nie moimi meblami; widzę swoje serce, w którym nie ma najmniejszego bólu. A no, cóż, jak śmierć – to śmierć, jak życie – to życie!...

Drzwi do gabinetu skrzypnęły i do pokoju cicho wchodzi lekarz. Dobry, stary przyjacielu! Idzie wprost z sypialni, od mojego dziecka. Ścisną mi rękę i patrzy w oczy. Rozumiem go. Nie ma ratunku? Nie ma – odpowiadają jego uczciwe oczy. Jest niepotrzebny, więc odchodzi, a na progu staje żona i pełnym błagania i nadziei wzrokiem odprowadza go przez cały pokój, jakby niósł z sobą życie naszej Olenki.

Potem kieruje oczy na mnie. Rozgorączkowane i ściemniałe od bezsennych nocy i niepokoju, błyszczące od łez i piękne. Jej czarne włosy, upięte w duży węzeł, są takie miękkie i ciepłe. Wszystko to widzę. Wszystko to widzę. Widzę jej miłą, zapłakaną twarzyczkę, jej obnażoną szyję i z lekka odsłonięte piersi, skąd wionie zapach i ciepło młodego ciała, i w tym momencie, kiedy płacze tuląc się do mojej piersi, obejmują ją nie tylko jak przyjaciela, ale i jak powabną

kobietę, i niby przez sen uświadamiam sobie, że w mojej głowie zostaje nie wypowiedziana myśl: „Nie płacz. Nie wszystko stracone. Jeszcze będziemy mieli...” Ach, cóż za podłość!... Jak może zrodzić się tego rodzaju pocieszająca” myśl wśród świstu zduszonego przez śmierć gardła? Olenka umiera... Nie, to nie może być... To jest potworne... bezmyślne... Kto ją zabiera? Komu jest potrzebne jej życie?... Kto może wytoczyć krew z mego serca, kiedy jeszcze żyję... Moją Olenkę, moją radość, moje dziecko jedyne... Nie, to być nie może... to być nie może... Przecież to jest absurd!...

Moja żona, zaalarmowana jękiem z sypialni, pobiegła tam, a ja rzucam się po pokoju jak zraniony zwierz i w niepohamowanej złości roztrącam meble, chcę wszystko zniszczyć. „To jest podłe, bezmyślne” – krzyczy coś we mnie i zęby moje zgrzytają z utajonego w sercu bólu. „Do stu diabłów! To jest gwałt!” – buntuje się moja istota. „To jest prawo przyrody” – słyszę wyraźnie gdzieś poza sobą, ale nie słucham tego i biegam po pokoju. Z moich ust gotowe wyrwać się słowa ordynarnych przekleństw, i wypowiadam je, wypowiadam na głos i sam się lękam swojego głosu. Szczęki mi się zwierają, zimny pot zrasza czoło... Opadam na fotel, zakrywam oczy dłonią... A-a!

Długo tak siedzę.

Czy mi się zdaje, czy też naprawdę świst oddechu cichnie? Czy to – koniec? Ale żona milczy, nie słyhać płaczu. A może dziecku lżej się zrobiło? Może lżej jest mojemu drogiemu dziecięciu! Może wszystko przejdzie, córeńka zaśnie i jutro jej oczęta będą się śmiały do taty? Czyż to nie jest możliwe? Czyż ja sam nie umierałem już, kiedy byłem dzieckiem? Nawet lekarze mnie już odstąpili, a jednak... Boże! Musi być przecież jakaś siła, którą można ubłagać!...

Świszczy? Nie, naprawdę jakby lżej oddycha... Żeby tylko zasnęła! Żeby zasnęła... To ja się chyba pomyliłem przy pożegnaniu z lekarzem. Nie mógłby mi patrzeć w oczy tak odważnie...

Nagle dziki krzyk, krzyk matki, podrywa mnie z fotela. Nogi się pode mną uginają, ale biegnę... Pędzę na oślep, przewracam wszystko, nie mogę znaleźć we drzwiach klamki, wpadam na żonę, która w napadzie hysterii załamuje ręce... Wszystko rozumiem. Więc już koniec.

A no, tamtej już nic nie pomogę, trzeba się zająć żoną. Objmuję ją, uspokajam, mówię jakieś słowa, w które sam nie wierzę, i całuję zimne, mokre od łez dłonie. Z pomocą Katarzyny, laurowych kropli, pocałunków i zimnej wody udaje mi się wreszcie ocucić żonę i wyprowadzić ją z sypialni. Już nie krzyczy, tylko głośno, bez pamięci płacze. Niech się wypłacze, biedaczka.

A ja biegnę do sypialni. Po co? Sam nie wiem. Coś mnie tam ciągnie. Staję na progu i patrzę. Czuję, że mi język przysechł do podniebienia; oczy suche, ani mrugną, jakby je kto wstawił w rogową oprawę. Widzę wszystko nadzwyczaj wyraźnie, jak w gorączce.

Pośrodku pokoju, na wielkim, podwójnym łożu, na białej pościeli, leży moja kruszynka, już prawie sina. Jeszcze oddycha. Słaby świst wylatuje przez spieczone usta i drobne ząbki. Widzę szklane już spojrzenie na wpół zamknię-

tych oczu, a mój mózg, moje oczy chciwie łowią wszystkie szczegóły strasznego momentu... i wszystko zapisują... I to wielkie łoże z maleńkim ciałkiem, i nieśmiałe światło wczesnego ranka, które ogarnęło szary jeszcze pokój... I zapomnianą na stole, nie zgaszoną świecę, która przez zieloną umbrelkę rzuca martwe refleksy na twarz dziecka... i porozlewana na podłodze woda, i błysk świecy na flaszce z lekarstwem... Żeby nie zapomnieć... żeby niczego nie zapomnieć... ani tych żeber, co z ostatnim oddechem to podnoszą, to opuszczają okrycie... ani tych martwych już, złotych kędziorów, rozsypanych po poduszce, ani ciepłego zapachu stygnącego ciała, który wypełnia pokój. Wszystko to przyda mi się... kiedyś... jako materiał... Czuję to, rozumiem, ktoś mi mówi o tym, ktoś inny, kto tkwi we mnie. Wiem, że to on patrzy moimi oczyma, że to on nienasyconą pamięcią pisarza wchłania w siebie cały ten obraz śmierci na progu życia... Och, jakież mnie wstręt ogarnia, jak mi straszno, jak ta świadomość rani moje ojcowskie serce... Nie wytrzymam dłużej. Uciekać, uciekać z domu, jak najprędzej...

Kwitną jabłonie. Słońce już wstało i złoci powietrze. Jest tak ciepło, tak radośnie. Ptaki świergoczą pod błękitnym niebem. Machinalnie zrywam kwiat jabłoni i przykładam go, chłodny od rosy, do twarzy. Pod szorstkim dotykiem ręki różowe płatki osypują się i wolno spadają w dół. Czyż nie tak stało się z życiem mojego dziecka?

A jednak przyroda się weseli.

I czego nie mógł dokonać obraz śmierci, tego dokonało wesele przyrody. Płacę. Łzy ulgi kapią na opadające płatki, a ja z żalem patrzę na niepotrzebny mi zielony kielich, który został w ręku...

Nie mogę wrócić do mieszkania i zostaję w ogrodzie. No cóż – stało się. Fakt. Może jej teraz lepiej. Czyż można wiedzieć?

Fakt!... Lecz jakże trudno uwierzyć w ten fakt, pogodzić się z nim. Jeszcze niedawno, najwyżej sześć – nie, pięć dni temu biegła tu, w ogrodzie, i słyszałem tupot jej bosych nóg. Czyście zauważyli, jaka to radość słuchać tupotu maleńkich nóżek? Jeszcze niedawno – po prostu wydaje mi się, że to było wczoraj – staliśmy razem pod naszą ulubioną wiśnią. Wiśnia była cała w kwieciu, jak bukiet. Trzymaliśmy się za ręce i podniósłszy głowy słuchaliśmy, jak brzęczą w kwiatach pszczoły. Poprzez zielone liście przeświecało błękitne niebo, a w trawie mieniło się wiosenne słońce.

I oto teraz...

Była taka pocieszna; oboje z żoną często śmiaaliśmy się z jej powiedzeń.

Kiedy się cesałem szczerką, tłumaczyła, że „tato zamiata głowę”, moje kołnierzyki nazywała obręczami, nie wymawiała litery „r” i zamiast „wstyd” mówiła „swtyd”.

Czy mogę zapomnieć, jak rozebrawszy się do snu, przychodziła do mnie powiedzieć „dobranoc”, w króciutkiej koszulce, cała ciepła i zaróżowiona, z gołymi rączkami i pulchnymi nóżkami. Jedną ręką przyciskała do piersi ko-

szulkę, a drugą zarzucała mi na szyję i podstawiała do pocałunku rozpalony zabawą policzek.

Nie zapomnę szczęścia dotyku jej jedwabistych kędziorów, nie zapomnę jej duszyczki, która patrzyła z błękitnych ocząt – mojej duszy, tylko o wiele lepszej, czystszej, niewinnej.

Jak ona teraz wygląda, moja malutka córeńka? Nie, nie myśleć o tym, jej nie ma. Nie ma. Gdzie ją położono? Jak wygląda? Ciekawi mnie to. Zrywam całe naręcze kwiecia jabłoni i niosę do domu. Nie wiem, gdzie znajdę moje dziecko, gdzie je położono – i w pierwszym pokoju, do którego wchodzę, natykam się na stół, a na nim...

To ty tu leżysz, moja maleńka! Jakaż się duża zrobiłaś, jak nagle urosłaś, jakbyś miała nie trzy latka, ale co najmniej sześć...

Obkładałam ją kwieciami jabłoni ze wszystkich stron, zasypuję kwiatami, takimi delikatnymi, takimi czystymi jak moja córeczka.

Potem patrzę na nią.

Leży wyciągnąwszy gołe rączki, sztywna i nienaturalna jak woskowa lalka. Ubrana jest w krótką białą sukieneczkę i nowe żółte pantofelki z pomponami, które jej niedawno kupiłam. Tak się nimi cieszyła...

U węzłowia pali się światło, owo nienaturalne, blade, jakby martwe światło pośród białego dnia, i drżącym blaskiem całuje martwe policzki.

Patrzę na to woskowe ciało i ogarnia mnie dziwny nastrój. Czuję, że jest mi ono obce, że nie ma żadnego związku z moim żywym organizmem, w którym płynie ciepła krew, że kocham nie to ciało, że nie za nim tęsknię, lecz za czymś innym, żywym, co zostało w mojej pamięci, odbiło się tam złotym promieniem...

A moja pamięć, ów nieodłączny mój sekretarz, już zapisuje: i tę bezwładność ciała pośród kwiecia jabłoni, i odbłask światła na zsiniałych policzkach, i mój dziwny nastrój...

Wiem, po co ty to wszystko zapisujesz, moja dręczycielko! Przyda ci się... kiedyś... jako materiał...

Moja najmilsza córeczko, nie gniewasz się na mnie?

Tłum. Jerzy Jędrzejewicz

## Intermezzo (Poświęcam kononowskim niwom)

### OSOBY:

Moje zmęczenie  
Poła w czerwcu  
Słońce  
Trzy białe owczarki

Kukułka  
Skowronki  
Żelazna ręka miasta  
Ludzka niedola

Pozostało jeszcze tylko się spakować... Było to jedno z owych niezliczonych „trzeba”, które mnie tak zmęczyły i nie dawały spać. Rzecz obojętna, czy to „trzeba” jest małe, czy duże – istotne znaczenie ma to, że za każdym razem wymaga ono skupienia uwagi, że nie ja nim, lecz ono mną już kieruje. Faktycznie człowiek staje się niewolnikiem tego wielogłowego potwora. Żeby chociaż na pewien czas uwolnić się od niego, zapomnieć, odpocząć. Jestem zmęczony.

Bo życie nieustannie i nieubłagane wtacza się na mnie jak fala na brzeg. Nie tylko moje własne, ale również cudze. A zresztą – czy ja wiem, gdzie się kończy moje życie, a zaczyna cudze? Czuję, jak cudze istnienie wchodzi w moje własne niczym powietrze przez okna i drzwi, niczym wody dopływów w rzekę. Nie mogę rozminąć się z człowiekiem. Nie mogę być samotny. Przyznaję się – zazdroszczę planetom: one mają swoje orbity i nic im nie staje na drodze. Tymczasem ja na swojej zawsze i wszędzie spotykam człowieka.

Tak, ty stajesz na mojej drodze i uważasz, że masz do mnie prawo. Ty jesteś wszędzie. To ty odziałeś ziemię w kamienie i żelazo, to ty przez okna domów – tysiące czarnych ust – wiecznie dyszysz smrodem. Ty bicujesz świętą ciszę ziemi zgrzytem fabryk, turkotem kół; kalasz powietrze pyłem i dymem; ryczysz z bólu, radości i gniewu. Jak zwierzę. Wszędzie napotykam twój wzrok; twoje oczy, ciekawe, pożądlive, wpijają się we mnie, i ty sam, z twoją różnaitością form i kolorów, grzęzniesz w mojej źrenicy. Nie mogę się z tobą rozminąć... nie mogę być samotny... Ty nie tylko idziesz obok mnie, ty wypychasz się do wnętrza mojej istoty. Wrzucasz do mego serca, jak do własnego schowka, swoje cierpienia i swoje bóle, zawiedzione nadzieje i rozpacz. Swoje okrucieństwo, i zwierzęce instynkty. Całą zgrozę, cały brud swojego istnienia. Czy cię to coś obchodzi, że mnie dręczysz? Chcesz być moim panem, chcesz mną zawładnąć... zabrać mi moje ręce, mój rozum, moją wolę i moje serce... Chcesz ze mnie wyssać wszystką moją krew niby jakiś wampir. I czynisz to. Żyję nie tak, jak chcę, ale jak ty mi każesz w twoich niezliczonych „trzeba”, w niekończących się „musisz”.

Jestem zmęczony.

Zmęczyli mnie ludzie. Zbrzydło mi być zajazdem, gdzie się wiecznie tłoczą owe stworzenia, krzyczą, popychają się i śmieją. Pootwierać okna! Przewietrzyć dom! Wyrzucić wraz ze śmieciaми i tych, co śmieją. Niech do domu wejdzie czystość i spokój.

Kto mi da szczęście samotności?

Śmierć? Sen?

Jak ja nieraz na nie czekałem!

A gdy przychodził ten przepiękny brat śmierci i zabierał mnie do siebie – ludzie i tam czyhali na mnie. Splatali swoje istnienia z moim w chimeryczną siatkę, usiłowali nalać moje uszy i moje serce tym, czego sami byli pełni... Słuchaj no, słuchaj! Ty i tu niesiesz mi swoje cierpienia? Swoją nikczemność? Moje serce nie może więcej zmieścić. Pełne jest po brzegi. Daj mi spokój...

Tak było po nocach.

A we dnie wzdygałem się, gdy czułem za sobą cień człowieka, i z odrazą słuchołem ryczących potoków ludzkiego życia, które pędziły ku mnie jak dzikie konie ze wszystkich ulic miasta.

Pociąg mknął pełen ludzkiego gwaru. Zdawało się, że miasto wyciąga za mną i w pole swoją żelazną rękę i nie puszcza. Dręczyła mnie niepewność, która dygotała we mnie: czy rozluźni ręką swoje żelazne palce, czy mnie puści? Czyżby to było możliwe, że ucieknę od tego zgiełku i wejdę na bezludne zielone przestwory? A one zamkną się za mną i na darmo stukotać będą kości żelaznej ręki? I dookoła, i we mnie będzie cisza?

A gdy to wszystko się stało, tak po prostu i niepostrzeżenie, wcale nie poczułem ciszy: zagłuszały ją obce głosy, drobne, niepotrzebne słowa, niczym wióry i słoma w wiosennych potokach...

...Jedna znajoma dama piętnaście lat słabowała na serce... trach-tarach-tach.... trach-tarach-tach... dywizja nasza stacjonowała wtedy... Trach-tarach-tach... Pan dokąd jedzie?... Proszę o bilety... trach-tarach-tach... trach-tarach-tach...

Jakiś zielony chaos wirował wokół mnie i chwycił bryczkę za wszystkie koła, a nieba tutaj było tak wiele, że oczy tonęły w nim jak w morzu i szukały czegoś, o co by się mogły zaczepić. I były bezradne.

Nareszcie jesteśmy na miejscu. Białe ściany domu przywracają mi przytomność. Gdy tylko bryczka wtoczyła się na rozległe, zielone podwórze – zakukała kukułka. I wtedy nagle odczułem wielką ciszę. Wypełniała ona całe podwórze, kryła się w drzewach, zalegała głębokie błękitne przestwory. Było tak cicho, że się zawstydziłem bicia własnego serca.

Dziesięć czarnych pokojów, nalanych ciemnością aż po brzegi, otacza mój pokój. Zamykam drzwi, jakbym się bał, że światło lampy od razu wycieknie przez szpary. Nareszcie jestem sam. Dokoła nie ma żywego ducha. Cicho i odludnie, a jednak coś tam czuję za ścianami. To „coś” mi przeszkadza. Co tam jest takiego?

Czuję twardość i kształty zatopionych na dnie czarnego mroku mebli i skrzywienie podłogi pod ich ciężarem. No cóż, stójcie sobie na miejscu, spoczywajcie spokojnie. Nie chcę o was myśleć. Wolę się położyć. Zgaszę lampę i sam utonę w czarnej pomroce. Może i ja zamienię się wtedy w bezduszny przedmiot, który nic nie odczuwa – w „nic”. Tak dobrze byłoby stać się „niczym”, bezgłośnym, nienaruszonym spokojem. Jednakże tam za ścianą, coś jest. Wiem, że gdyby tak wejść do ciemnych pokojów i zapalić zapałkę, wszystko nagle skoczyłoby na swoje miejsce – krzesła, kanapy, okna, a nawet gzymsy. Kto wie, może by oko moje zdołało uchwycić obraz ludzi, bladych, niewyraźnych jak na gobelinach, wszystkich tych, co zostawili swoje odbicia w lustrach, swoje głosy w szparach i zakamarkach, kształty – w miękkich obiciach mebli, a cienie – na ścianach. Kto wie, co się dzieje tam, gdzie człowiekowi nie dane jest widzieć...

No i proszę! Co za brednie! Chciałeś ciszy i odludzia – i masz teraz. Kręcisz głową! Nie wierzysz w odludzie?

Czyż ja coś wiem? Czy ja wiem... Czyż mogę być pewny, że nie uchylą się drzwi... o tak, troszeczkę, z lekkim skrzypieniem, i z tajemniczych ciemności, takich głębokich i bezkresnych, nie zaczną wychodzić ludzie... wszyscy ci, co składali w moim sercu jak we własnym schowku swoje nadzieje, gniew i cierpienia czy krwawe okrucieństwo bestii. Wszyscy ci, z którymi nie mogę się rozminąć, którzy mnie zmęczyli... Cóż w tym będzie dziwnego, jeśli jeszcze raz przyjdą... O, już ich widzę. Ho, ho! Jakże was jest dużo... To wy, z których wyciekła krew przez maleńką dziurkę od żołnierskiej kuli, a to wy... suche preparaty: zawijano was w białe worki, huściano na sznurach w powietrzu, a potem składano do ledwie przykrytych dołów, skąd was wygrzebywały psy... Patrzącie na mnie z wyrzutem – i słusznie. Wiecie, czytałem pewnego razu o tym, jak was powieszono, dwunastu na raz... Dwunastu na raz... I ziewnąłem. A innym razem wiadomość o szeregu białych worków przegryzłem dojrzałą śliwką. Tak, wziąłem w palce wspaniałą, soczystą śliwkę i poczułem w ustach przyjemny słodkawy smak... Widzicie: nawet się nie rumienię, twarz moja jest biała jak i wasze twarze, bo zgroza wyssała ze mnie wszystką krew. Nie mam już ani kropli gorącej krwi, nawet dla tych żywych trupów, wśród których wy stąpacie niby krwawe widma. Przechodźcie! Jestem zmęczony.

A ludzie idą. Za pierwszym drugi, za drugim trzeci – i tak bez końca. Wrogowie i przyjaciele, ludzie bliscy i obcy, a wszyscy krzyczą mi w uszy krzykiem swojego życia albo swojej śmierci, i wszyscy zostawiają w mojej duszy ślady swoich podeszew. Zatkam ucho jedno i drugie, zamknę swoją duszę i będę krzyczał: tu wstęp zabroniony!

... Otwieram oczy i nagle widzę w oknach głębokie niebo i gałęzie brzozy. Kukułka kuka. Bije młoteczką w duży kryształowy dzwon – ku-ku! ku-ku! – i rozsiewa ciszę po trawach. I raptem jawi się przed moimi oczyma zielone podwórze – już pochłonęło mój pokój – wyskakuję z łóżka i wołam przez okno do kukułki: „Ku-ku!... ku-ku!... Dzień dobry!...”



Ach jak wszystkiego dużo: nieba, słońca, wesołej zieleni...

Biegnę na podwórze. A tam podzwaniają żelazne łańcuchy i zajadle szczekają psy. Wielkie, białe owczarki niczym niedźwiedzie skaczą na tylnych łapach; podskakuje też ich długa, kudłata sierść. Podchodzę bliżej. No i czego ty, piesku... jak się wabisz? No, dosyć już, Owerko... Nie słyszy, nie widzi. Skaczą czerwone oczy, skacze szeroki łeb i białe futrzane nogawice. Wrywa się i nie może się całkiem wyrwać z głębokiej paszczy najeżona kłami złość i tylko podrzuca kopę sierści. No i czego ty, Owerko? Czemu płoną twoje czerwone oczy i stapiają w ogniu zarazem strach i nienawiść? Nie jestem twoim wrogiem i nie boję się ciebie. Możesz co najwyżej wyrwać kawałek mojego ciała albo utoczyć krwi z mojej łydki... Ach, cóż to za drobiazg, żebyś ty wiedział... No bądźże cicho, piesku, bądźże cicho. Co prawda, rozumiem: łańcuch... Możesz ty bardziej na ten łańcuch zły aniżeli na mnie... To przez niego twoje przednie łapy muszą chwytac powietrze, to on cię dusi za gardło i wpędza w nie z powrotem twoją ognistą złość. Poczekaj trochę. Zaraz będziesz wolny. A jak się wtedy zachowasz wobec mnie? No stójże spokojnie i nie szamocz się; zaczekaj, aż ci zdejmę łańcuch... a teraz hajda! Dokądże ty, dokąd? Cha, cha! To ci głupie psisko. Oczy zamknął, przekrzywił łeb, skoczył – i pędzi na oślep jak szalony. Rwie pazurami trawę, odrzuca od siebie, i lecą za nim zbite na pośladku kudły. No, a ja? Co? Zapomniałeś?

Teraz – kręcisz się jak bąk... jak bąk... jeszcze raz... o tak... Szlachetny z ciebie pies: wolność jest ci droższa niż zaspokojenie gniewu.

Tymczasem przedstawiają mi Pawicę, poważną matronę, i jej drugiego syna. To straszny Trepow. Jeśli Owerkę można nazwać typowym sangwinikiem, który na wszystko rzuca się na oślep, jakby jego czerwone ślepia przesłaniała wiecznie różowa mgła – to Trepow jest stateczny, rozważny. Solidnie, jakby z głębokim rozmysłem, przegryzie wam gardło i w jego mocnych nogach, które staną na waszej piersi, będzie dużo poczucia własnej godności. Nawet kiedy leży spokojnie i wydrapuje pchły z różowego brzucha, jego obcięte uszy są czujnie nastawione, szerokie czoło myśli i dostojnie zwisa mokry jęzor z paszczy pełnej zębów.

Dni moje płyną teraz pośród stepu, w dolinie zalanej zielonym zbożem. Głęboko ukryte, nieskończenie długie ścieżki, takie intymne, jakby przeznaczone tylko dla najbliższych, wodzą mnie po niwach, a niwy toczą i toczą zielone fale, i pluszczą nimi aż o sam kraj nieba. Mam teraz odrębny świat, który jest niby perłowa koncha: zwarły się brzegami dwie połówki – jedna zielona, druga błękitna – i zamknęły w sobie słońce, niczym perłę. A ja tam chodzę i szukam spokoju. Idę. Za mną leci nieodstępna chmara drobniuśkich muszek. Można by pomyśleć, że jestem planetą, która się posuwa razem z satelitami. Widzę, jak czarne, łopoczące skrzydła wrony przecięły na pół błękit nieba. Sprawia to, że niebo wydaje się błękitniejsze, skrzydła – czarniejsze.

Na niebie słońce, a pośród łąnów – ja. Nikogo więcej. Idę. Gładzę ręką sobolową sierść jęczmienia, jedwab kłosianej fali. Wiatr napelnia moje uszy urywkami dźwięków, tysiącem najróżniejszych szmerów. Taki jest porywcy, taki niecierpliw, że aż się burzą pod jego tchnieniem srebrzystowłose owsy. Idę dalej – to samo. Spokojnie płyną błękitne rzeki lnu. Tak spokojnie, tak cicho płyną pomiędzy zielonymi brzegami, że miałoby się ochotę wsiąść do łódki i pożeglować. A tam jęczmień chyli się i tka... tka z cienkich wąsów zieloną koronkę. Idę dalej. Wciąż tka. Koronka faluje. Ścieżki wiją się głęboko w życie; oko ich nie widzi, noga sama je chwyta. Bławatki patrzą w niebo. Chciały być jak niebo i stały się jak niebo. Teraz idę wśród pszenicy. Twarde, bezostne kłosy biją po rękach, a źdźbła pchają się pod nogi. Idę dalej – wciąż pszenica i pszenica. Kiedyż to się skończy? Jakby stado lisów biegło z wiatrem – błyszczą w słońcu faliste grzbiety. A ja wciąż idę, równie samotny na ziemi jak słońce na niebie, i tak mi dobrze, że nie pada pomiędzy nas cień kogoś trzeciego. Przypływ kłosianego morza toczy się przeze mnie dokądś w nieznanne.

Wreszcie staje. Zatrzymuje mnie biała piana gryki, pachnąca, lekka, jakby ubita skrzydłami pszczoł. Tuż u mych stóp leży śpiewna arfa i dzwoni wszystkimi strunami. Stoję i słucham.

Mam uszy pełne tego przedziwnego pobrzęku pól, tego jedwabistego szelestu, nieustannego, jak szmer bieżącej wody, przesytywania ziaren. I oczy pełne słonecznej jaśni, bo każde źdźbło chłonie w siebie i oddaje z powrotem odbity blask.

Nagle wszystko gaśnie, zamiera. Drgnąłem. Co tu takiego? Skąd? Cień? Czyżby ktoś trzeci? Nie, to tylko chmurka. Jedna chwila czarnego smutku – i zaraz uśmiechnęło się na prawo, uśmiechnęło się na lewo – i złote pole rozpostarło skrzydła aż do kraju błękitnego nieba. Jakby chciało wzbić się do góry. Wtedy dopiero ukazało mi się całe jego bezbrzeże, jego ciepła, żywa, niezwykciężona moc. Owsy, pszenice, jęczmień – wszystko to zlało się w jedną potężną falę, która wszystko zatapia, wszystko bierze do niewoli. Młoda, prężna siła wyrywa się z każdego włókienka kłosów; kipi w sokach nadzieja i ogromne pragnienie, któremu na imię – płodność. Dopiero teraz ujrzałem wieś – żalną kupkę słomianych strzech. Ledwie ją można dostrzec. Objęły ją i zdusiły zielone ręce, które się wyciągnęły aż pod same chaty. Wioska zaplątała się wśród łąnów jak muszka w pajęczynie. Co znaczą dla takiej siły te chatki? Nic. Zamkną się nad nimi zielone fale i pochłoną. Co znaczą dla nich człowiek? Nic. Oto ukazała się na polu mała, bielutka plamka i zatoneła w nim. Krzyczy? Śpiewa? Uczyniła jakiś ruch? Niema bezwładność przestworów wszystko to pochłania. I znów nic. Nawet ślady człowieka zatarte są i niewidoczne: pole ukryło ścieżki i drogi. Ono tylko toczy i toczy zielone fale i pluszcze nimi aż o kraj nieba. Nad wszystkim panuje tylko rytmiczny, łagodny szum, spokojny, niewzruszony, niczym puls wieczności. Niczym skrzydła tych wiatraków, co czernieją nad polem i obojętnie, bez wytchnienia zakreślają w powietrzu koło,

jakby mówiły: tak będzie wiecznie... tak będzie wiecznie *in saecula saeculorum... in saecula saeculorum...*

Wracalem do domu pózno. Przychodziłem owiany tchnieniem pól, świeży jak dziki kwiatek. W fałdach swego odzienia przynosiłem zapachy polne, niczym biblijny Ezaw. Spokojny, samotny, siadałem na ganku pustego domu i patrzyłem, jak noc budowała swój gmach. Jak wznosiła lekkie kolumny, oplatała je siatką cieni, jak zesuwała i podnosiła w górę chwiejne, drzące ściany, a kiedy wszystko to już krzępło i ciemniało, sklepiała nad nimi gwiazdną kopułę.

Teraz mogę spokojnie spać; twoje mocne ściany staną między mną i całym światem. Dobranoc wam, niwy. I tobie, kukułeczko. Wiem: jutro z porannym słońcem wleci do mego pokoju twój niewieści kontrakt – ku-ku!... ku-ku!... I twoje przywitanie od razu dobrze mnie usposobi, moja najbliższa przyjaciółko.

Trepow! Owerko! Pawica! Cztery palce w usta – i dziki stepowy świst. Biegną. Jak trzy małe niedźwiedzie. Może mnie rozszarpia, a może przyjmą zaproszenie na przechadzkę po polu. Ho-ho! Ten Owerko nie może bez sztuczek. Skacze jak głupie cielę i zezuje na mnie czerwonym okiem. Trepow z dumą dźwiga swoje futro i stawia nogi jak białe kolumny. Strzyże obciętymi uszami. Pawica stapa poważnie, melancholijnie kołysze zadem i pozostaje w tyle. Idę za nimi i widzę owe lekkie falowanie wszystkich trzech szerokich grzbietów, miękkich, wełnistych i zwierzęco silnych.

Zdaje się, że im trochę nie w smak nazbyt gorące dzisiejsze słońce, w którym wyglądają jak jaskrawe plamy, ale ja jestem pełen przyjaźni dla słońca i idę wprost na nie, twarzą w twarz. Niech Bóg broni, żebym się miał do niego odwrócić tyłem! Byłaby to straszna niewdzięczność! Jestem bardzo szczęśliwy, że się z nim spotykam tu, na otwartej przestrzeni, gdzie nikt nie zasłoni jego oblicza, i mówię do niego: „Słońce! Jestem ci wdzięczny. Rzuciłeś w duszę moją złoty posiew – kto wie, co wzejdzie z tych ziaren? Może ognie?”

Drogi mi jesteś. Piję cię, słońce, piję twój ciepły, życiodajny napój jak dziecko mleko z matczynej piersi, tak samo ciepłej i drogiej. Nawet gdy doskwierasz – z ochotą wlewam w siebie twój ognisty napój i upajam się nim.

Kocham cię... bo... Słuchaj:

Z ciemności »nieznanego« przyszedłem na świat – i pierwszy oddech, i pierwszy mój ruch były w mroku matczynego łona. I dotąd ten mrok panuje nade mną. Przez wszystkie noce – połowę mego życia – stoi między mną a tobą. Jego sługi – góry, obłoki, ciemnice – zasłaniają mi ciebie i wszyscy troje wiemy dobrze, iż nadejdzie nieuchronnie godzina, kiedy ja, jak sól w wodzie, rozpuszczę się w nim na wieki. Tyś jest tylko gościem w moim życiu, o słońce, gościem upragnionym – toteż gdy odchodzisz, staram się ciebie zatrzymać. Łowię ostatni promień na chmurach, przedłużam twe istnienie w ogniu, w lampie, w fajerwerkach, zbieram z kwiatów, ze śmiechu dziecka, z oczu ukochanej. A kiedy gaśniesz i uciekasz ode mnie – tworzę twoje podobieństwo, nazywam je »ideałem« i chowam w sercu. I on mi przyświeca.

Patrzcie na mnie, słońce, i opal moją duszę tak, jak opaliłeś ciało, by się stała odporna na żądła komarów...” (Chwytam siebie na tym, że do słońca zwracam się jak do żywej istoty. Czyżby to miało znaczyć, że mi już brakuje towarzystwa ludzi?)

Idziemy przez pola. Trzy białe owczarki i ja. Cichy szept płynie przed nami, oddechy młodych kłosek zgęszczają się w błękitny opar. Gdzieś z boku świergotliwie odzywa się przepiórka; brzęknęła w życie srebrna struna konika polnego. Powietrze drga od spiekoty i w srebrzystej mgiełce tańczą topole. Rozległe, pięknie, spokojnie.

Psom jest duszno. Pokładły się na miedzy jak trzy kopy wełny, wywiesiły z pysków jęzory i robią bokami, z lekka poświstując. Siadłem obok nich. Wszyscy tylko dyszymy. Cicho.

Czas się zatrzymał czy płynie? Może już pora na nas?

Ruszamy powoli wszyscy. Leniwie przestępujemy z nogi na nogę i ostrożnie niesiemy do domu spokój. Przechodzimy wzdłuż czarnych ugorów. Musnęło mnie po twarzy ciepłe tchnienie pulchnej, czarnej roli, pełnej spokoju i nadziei. Witaj, ziemio! Spoczywaj cicho pod słońcem, jesteś przecie tak samo zmęczona jak i ja. Moja dusza też ugoruje.

Nigdy przedtem nie czułem tak wyraźnej mej więzi z ziemią jak tutaj. W miastach odziana jest ona w kamienie i żelazo, niedostępna. Tu stałem się jej bliski. Rześkimi rankami pierwszy budziłem senną wodę w krynicy. Kiedy puste wiadro pluskało dnem o jej pierś, zbudzona ze snu, wzdychała donośnie w głębi i leniwie wlewała się do wiadra. Potem drżała, niebieszcząc się w słońcu. Piłem ją świeżą, zimną, jeszcze pełną snów i pryskałem nią sobie w twarz.

Potem było mleko. Biały, pachnący napój pienił się w szklance i kiedy zbliżałem go do ust, wiedziałem, że to się wlewa we mnie miękka jak dziecięce kędziory wyka, na której jeszcze wczoraj całymi rojami siedziały fiołkowe motylki kwiatów. Piję ekstrakt łąki.

Albo ten czarny razowy chleb, który tak pięknie, po wiejsku pachnie. Jest mi bliski jak dziecko, co wyrosło na moich oczach. Oto zboże biegnie przez pola jak dziki, kudłaty zwierz i wygina grzbiet. A na skraju pola, niczym pułapki, stoją wiatraki i już ostrzą zęby, aby zemleć ziarno na białą mąkę. Widzę to wszystko, i – prosty, bezpośredni jest mój stosunek do ziemi.

Czuję się tu bogaty, chociaż nie mam nic. Bo mimo wszelkie partie i programy – ziemia należy do mnie. Jest moja. Całą ją, wielką, rozkoszną, już stworzoną – całą mieszczę w sobie. Tam ją tworzę na nowo, po raz drugi – i wtedy zdaje mi się, że mam do niej jeszcze większe prawo.

Kiedy człowiek leży na polu twarzą do nieba i wsłuchuje się w wielogłosą ciszę polną, postrzega wtedy, iż jest w niej coś nadziemskiego.

Jakby tam coś świdrowało, jakby ktoś strugał metal, a na dół spadały tylko drobne, przesiane dźwięki. Niwy szumią dokoła i przeszkadzają słuchać. Odpędzam od siebie głosy pól i wtedy, jak deszcz, spadają na mnie głosy nieba...

Poznają: to skowronki. To one, niewidoczne, rzucają z nieba na pole swą wibrującą pieśń. Dźwięczną jak metal i kapryśnie zmienną, tak że ucho łowi i nie może złowić jej modulacji. Może śpiewa, może się śmieje, a może zanosi się od płaczu.

Czy nie lepiej usiąść cichutko i przymknąć oczy? Tak właśnie robię. Siadam. Dookoła mnie jest ciemno. Rozbrzmiewają tylko ostre, klujące dźwięki i śmiech się sypie drobnym śrutem na metalową deskę. Chcę chwycić te dźwięki, zapisać je w pamięci – ale nic z tego. O, o, zdaje się, że... Tiu-i, tiu-i, ti-i-i... Nie, całkiem nie tak. Triju- tich-tich... nawet niepodobne.

Ciekawym, jak one to robią? Biją dziobkami w złoto słońca? Grają na jego promieniach jak na strunach? Przesiewają pieśń przez drobne sito i zasiewają nią pola?

Otwieram oczy. Teraz wiem na pewno, że to z tego posiewu wzeszła srebrzysta siatka owsów, wygina się i błyszczy jak szabla długowąsy jęczmień i płynie wartka struga pszenicy.

A z góry sypie i sypie... wytrząsa duszę z dzwoneczków, struga srebrne deski i świdruje stal, płacze, zawodzi i przesiewa śmiech przez drobne sito. Aż oto zerwał się jeden jasny dźwięk i upadł pośród niwy czerwonym kąkolem.

Już niczego więcej nie mogę słuchać. Ta pieśń ma w sobie coś trującego. Budzi pożądanie. Im więcej się jej słucha, tym więcej chce się słuchać. Im bardziej chce się złowić, tym ją złowić trudniej.

Teraz wciąż biegam w pole i godzinami słucham, jak w niebie śpiewają chóry, grają całe orkiestry.

W nocy budzę się, siadam na łóżku i w naprężeniu słucham, jak coś świdruje mój mózg, łaskocze serce i drży nad uchem jakąś nieuchwytną nutą.

Tiu-i, tiu-i, ti-i-i... Nie, całkiem nie tak.

Ciekawym, jak one to robią?

Wreszcie jednak podpatrzyłem.

Szary, maleńki jak grudka ziemi ptaszek wisiał nisko nad polem. Z wysiłkiem często trzepotał w miejscu skrzydełkami i z trudem ciągnął do góry niewidzialną strunę od ziemi do nieba. Struna drżała i dzwoniła. Potem, skończywszy ciągnąć jedną, ptaszek lekko spadał w dół – naciągał drugą, z nieba do ziemi. Zespałał niebo i ziemię w śpiewną arfę i grał na strunach symfonię pola.

To było piękne.

Tak upływały dni mojego *intermezza* pośród odludzia, ciszy i czystości. I byłem błogosławiony między złotym słońcem a zieloną ziemią. Błogosławiony też był spokój mojej duszy. Spod starej stronicy życia wyglądała nowa i czysta – czyżbym chciał wiedzieć, co tam będzie zapisane? Czyżbym nie miał znów zadrzeć przed cieniem człowieka i nie wzdrygnąć się na myśl, że może ludzka niedola gdzieś się przyczaiła i czyha na mnie?

Jeśli się stanie taki cud, to będzie wasza zasługa, zielone niwy, szumiące jedwabście, i twoja, kukułko. Twoje zatroskane „ku-ku” sphywało jak łyzy po płaczącej brzozie i spłukiwało moje zmęczenie.

Spotkaliśmy się jednak na polu i staliśmy chwilę w milczeniu – ja i nieznajomy. Był to zwyczajny chłop. Nie wiem, jakim ja mu się wydałem, ale skroś niego zobaczyłem nagle kupkę czarnych, słomianych strzech zagubionych wśród pól, dziewczyny w chmurze pyłu, wracające z pracy na cudzym, brudne, brzydkie, z obwisłymi piersiami, o kościstych plecach... blade kobiety w czarnych, podartych zapaskach, schylone nad konopiami jak cienie... syfilityczne dzieci na przemian z głodnymi psami... Wszystko, na com patrzył i czego jakbym nie widział. Był dla mnie jak pałeczka dyrygenta, która wywołuje z ciszy burzę dźwięków.

Nie uciekłem; przeciwnie, zaczęliśmy nawet rozmawiać z sobą jak starzy znajomi.

Opowiadał o rzeczach, budzących we mnie grozę, z taką prostotą i spokojem, z jakim skowronek rzuca na pole swą pieśń, a ja stałem, słuchałem i aż dygotałem wewnątrz.

Aha, ludzka niedola, więc mnie jednak chwytaś! I ja nie uciekam? Już się naprężyły obluźnione struny, już cudze cierpienie może na nich grać!

Mów, mów...

Co mówić? W tym zielonym morzu on posiada tylko kropelkę. Jeszcze temu, do kogo przysła gorączka i podusiła dzieci, jakoś łżej... Czasem się nad kimś Pan Bóg ulituje... A u niego w chałupie aż pięć gęb, jak wiatraków; coś trzeba rzucić na żarna...

„Pięciorga głodnych dziątek czemuś nie zabrała gorączka”.

Mów, mów...

Ludzie chcieli brać ziemię gołymi rękami, no i mają: jedni ją gryzą, drudzy ją kopią na Sybirze... Jemu szczęśliwie uszło: rok czasu tłukł wszy w więzieniu, a teraz go stanowy raz na tydzień bije po mordzie...

„Raz na tydzień biją człowieka po twarzy”.

Mów, mów...

Jak tylko niedziela – ludzie do cerkwi, a on co? – Do stanowego. Ale przecie zawsze to mniejsza krzywda niż od swoich. Boi się człowiek słówko pisnąć. Był ci ktoś przyjacielem, tych samych przekonań, a teraz może sprzedaje cię po kryjomu. Oderwiesz dla kogoś słowo jak cząstkę własnego serca, a tamten rzuci je psom na pożarcie...

„Najbliższy człowiek gotów jest sprzedać”.

Mów, mów...

Chodzi się między ludźmi jak między wilkami. Jedno tylko: strzec się na każdym kroku. Wszędzie pełno nadstawionych uszu. Wszędzie pełno wyciągniętych rąk. Biedny ubogiemu kradnie koszulę z płotą, sąsiad sąsiadowi, ojciec synowi.

„Między ludźmi jak między wilkami”

Mów, mów...

Ludzi żre syfilis, nędza, gorzałka, a oni w ciemnocie żrą jeden drugiego. Jak to się dzieje, że świeci nam jeszcze słońce i nie gaśnie? Że możemy żyć?

Mów, mów. Rozpal gniewem kopułę nieba. Pokryj ją chmurami twojej niedoli, żeby były gromy i błyskawice. Odśwież niebo i ziemię. Zgaś słońce i zaświeć na niebie inne. Mów, mów...

Miasto znowu wyciągnęło po mnie w zielone niwy swoją żelazną rękę. Pokornie dałem się zabrać i gdy żelazo trzęsło się i zgrzytało, jeszcze raz na ostatek wchłaniałem w siebie spokój równiny, błękitną senność dalekich przestworów. Żegnajcie, niwy. Toczcie sobie swój szum na połączonych słońcem grzbietach. Może on się komuś przyda, jak przydał się mnie. I ty, kukułeczko, z wierzchołka brzozy. Ty też stroiłaś struny mojej duszy. Osłabły, poszarpane brutalnymi palcami, a teraz wyprężają się znowu. Słyszycie? Nawet już dźwięczą... Żegnajcie. Idę pomiędzy ludzi. Dusza gotowa; struny napięte; grają...

Tłum. Jerzy Jędrzejewicz

## Wasył Stefanyk (1871-1936)

Urodził się we wsi Rusów na Bojkowszczyźnie w rodzinie chłopskiej. Po ukończeniu szkoły podstawowej rozpoczął naukę w polskim gimnazjum w Kołomyi. Pod koniec lat osiemdziesiątych zaprzyjaźnił się z Łesiem Martowyczem, przyszłym pisarzem. W 1890 za organizowanie wiejskich czytelni został wykluczony z kołomyjskiej szkoły i przeniósł się do Drohobycza, tam też poznał Iwana Frankę. W 1892 r. Stefanyk podjął, z woli ojca, studia na Wydziale Lekarskim Uniwersytetu Jagiellońskiego. Nie ukończył ich, ponieważ, jak pisał: „Z tą moją medycyną wyszło bez sensu, nie lubiłem tej nauki i zupełnie nie potrafiłem męczyć chorych swoim opukiwaniem i obstukiwaniem”<sup>1</sup>. Pobyt w Krakowie zaowocował jednak licznymi znajomościami i przyjaźniami z polskimi modernistami (Stanisław Przybyszewski, Władysław Orkan, Stanisław Wyspiański, Kazimierz Przerwa-Tetmajer). Te kontakty ułatwiły mu publikację własnych utworów na łamach polskiej prasy – w „Krytyce”, m. in. *Sama samiotka* (1899), *Śmierć* (1900) i in. oraz w „Życiu” – *Anioł* (1899), *Nowina* (1899) i in. Proza Stefanyka była tak sugestywna, że debiut polski miał miejsce niedługo po ukraińskim i zbiegł się z ukraińskim wydaniem pierwszego tomu opowiadań *Synia knyżeczka* (1899). Pierwsze polskie przekłady wyszły spod pióra Wacława Moraczewskiego, późniejsze, prezentowane na łamach „Chimery” (1901), należały do Michała Moczulskiego, który również doprowadził do wydania pierwszego zbioru przekładów *Klonowe liście* (1904). Twórczość Stefanyka popularyzowali także Adam Grzymała-Siedlecki, Władysław Orkan oraz Bohdan Łepki.

Podczas studiów w Krakowie Stefanyk zaangażował się w działalność społeczno-polityczną, bywał na wiecach i dyskusjach, uczestniczył w pracy stowarzyszenia skupiającego młodzież ukraińską – AKADEMICZNA HRMADA oraz polskiej organizacji radykalno-demokratycznej Zjednoczenie. Brał też udział w życiu kulturalnym Krakowa – regularnie odwiedzał wernisaże „Sztuki”, uczęszczał na tzw. kółka literackie, działające na terenie uniwersytetu, jak i poza nim, najczęściej w modnych krakowskich kawiarniach. Spotkania te organizowali znani przedstawiciele cyganerii młodopolskiej – Tetmajer, Przybyszewski i in. W liście do swojego przyjaciela, Lwa Baczyńskiego, pobyt w Krakowie opisał w następujący sposób: „Żyje mi się dobrze. Po siedem godzin siedzę między

---

<sup>1</sup> W. Stefanyk, *Powne zibrannia tworiv w trioch tomach*, Kyjiw, 1949-1950, t. 3, s. 108.



trupami, potem zbawiam świat polityką, etyką (Spencer, Zola, Dumas), biegam po wszystkich kółkach literackich [...], bądź też idę na szklaneczkę do kawiarni”<sup>2</sup>.

Śmierć matki oraz konflikt z ojcem, który odmówił dalszego wsparcia finansowego spowodowały, iż Stefanyk rzucił studia w 1900 r. i powrócił na Ukrainę. W 1903 r. poznał Mychajła Kociubynskiego, Łesię Ukrainkę, Panaasa Myrnego i Mychajła Staryckiego. Został deputowanym do parlamentu austro-węgierskiego (1908-1918). W międzyczasie porzucił pisanie, ożenił się i osiadł w rodzinnej wsi Rusowie. Podczas I wojny światowej został aresztowany, po uwolnieniu wyemigrował do Wiednia, gdzie po długiej przerwie znów zaczął pisać. Pierwszym utworem nowego okresu twórczego była nowela *Ditocza pryhoda* (1916). W 1928 r. za działalność literacką otrzymał od rządu radzieckiej Ukrainy dożywotnią emeryturę. Dotknięty paralizem w 1930 r., po kilku latach choroby umiera w Rusowie.

Pierwsze utwory (siedem nowel) opublikowano w 1897 r. w czerniowieckim dwutygodniku „Pracia”. Dwa lata później równocześnie z polskimi, ukazały się przekłady na język niemiecki i rosyjski. Stefanyka tłumaczono również na łotewski (1901), słowacki (1903), białoruski (1909), bułgarski (1910), francuski (1912), angielski (1914) i in. Do najważniejszych tomów wydanych za życia pisarza należą – *Synia knyżeczka* (1899), *Kaminnyj chrest* (1900), *Doroha* (1901), *Moje słowo* (1905), *Zemla* (1926).

Już w pierwszych nowelach Stefanyk zaprezentował się jako twórca na wskroś oryginalny i choć przez tematykę spokrewniony z pisarstwem narodników, prezentujący jednak całkowicie odmienny kierunek artystyczny. W odróżnieniu od pisarzy, którzy swoje zainteresowanie skupiali na etnografii czy tematyce stricte socjalnej, Stefanyk skoncentrował się na wewnętrznych problemach wsi, stwarzając psychologiczną wersję prozy chłopskiej. Bohdan Łepki przedstawiając na łamach krakowskiego „Czasu” portret Stefanyka, napisał, że odkrywał on w psychice ludzkiej „ciemne kryjówki, korytarze kręte i zawile, a pełne tak potwornych dziwów, iż na ich widok dreszcz nas przejmuje”. Stefanykowa wizja rzeczywistości ukazująca świat patologii, wymykający się racjonalnym wyjaśnieniom, odwoływała się jednocześnie do emocjonalnego potencjału czytelnika. Pisarz, zafascynowany fenomenami psychicznymi, z premedytacją umiejscawiał jednostkę w sytuacjach ekstremalnych – w centrum walki złych i dobrych sił – w których najczęściej sprawdzała ona miarę swego upodlenia i bezsilności. Stefanyk wyeksponował pierwiastek pesymistyczny, przedstawiając fatum ciężące nad życiem człowieka, jako główną siłę sprawczą.

Niespotykaną siłę wyrazu osiągnął Stefanyk dzięki warsztatowi, który określiły wpływy wielu ówczesnych tendencji – impresjonizmu, ekspresjonizmu a także symbolizmu. Jego styl cechował lakonizm i ogromna koncentracja, wy-

---

<sup>2</sup> Tamże, s. 27.

nikająca ze spotęgowania indywidualnych cech przedstawianych zjawisk. „Brał temat w swoją, jak mawiał, chłopską pięść i wyciskał z niego całą wodę. [...] Zostawiał sam miąższ. Z owego miększu swymi żyłastymi palcami kształtował postacie ludzkie z takim wyrazem ludzkiego cierpienia, iż przypominały grupę Laokoona”<sup>3</sup>. Zaangażowanie pisarza w problemy bohaterów oraz wynikająca z tego specyficzna gwałtowność i dynamizm jego utworów zdecydowanie przeciwstawiały się konformistycznej łagodności narodników i stanowią dziś świadectwo pewnej aktywizacji ówczesnej literatury ukraińskiej. Tendencji, która skłaniała twórców do zajęcia miejsca w środku konfliktu jednostka-społeczeństwo bez uciekania się do ideologicznych czy konceptualnych uproszczeń. Stefanyk należał do grona pisarzy, którzy rezygnując z duchowego Parnasu – nie utonęli jednocześnie w socjalistycznej utopii. Wizja zwykłego człowieka stojącego w obliczu uprzedmiotowienia i nihilizmu, posłużyła głębszej analizie ówczesnej kondycji socjalnej, co zjednało autorowi przychylność zarówno modernistów jak i narodników.

Larysa Szost

### Sama, samiutka

Chata przypominała pełznącego pod górę chrząszcza, co właśnie przewrócił się na plecy. W chacie leżała stara kobieta. Worek zamiast siennika, czarna twarda poduszka pod głową. Na ziemi koło niej – kawał chleba i dzbanuszek z wodą. Dzieci, jak szły do pracy, zostawiały babce, żeby miała co jeść i pić. Biednie się żyło i nie było nic lepszego dla babki. A siedzieć koło chorej w taki czas, Bóg świadkiem, nie było jak.

W chacie brzęczały muchy. Obsiadały chleb i jadły. Wchodziły do dzbanuszka i piły. Jak się najadły, oblażyły starą. Wpychały się w oczy, wciskały w usta. Stara jęczała, ale nie potrafiła ich spędzić. Leżała na ziemi i błędnymi oczyma patrzyła na krzyż wycięty na belce pod pułapem. Z trudem rozrywała spieczone wargi i zwilżała je białym językiem.

Przez szyby padało słońce. Kolory tęczy mieniły się na pomarszczonej twarzy. W takim oświetleniu kobieta wyglądała strasznie. Muchy bzykały, wraz z nimi po starej pełzały różnokolorowe odbłyски, a ona mlaskała wargami i wysuwała biały język. Chata przypominała jakąś zaklętą jaskinię, a ona grzesznicę, która męczy się od początku świata i do sądnego dnia męczyć się będzie.

<sup>3</sup> B. Łepki, *Try portrety. Franko-Stefanyk-Orkan*, Lwów 1937, s. 99.

Gdy słońce dopełzło jej do stóp, liznęło obwiązany na woreczku sznurek, babka zaczęła przewracać się po ziemi i szukać dzbanka.

– Och... gdzie... och!

I ucichła. Ręką odganiała mary.

Spod pieca wylał czart z długim ogonem i usiadł koło niej. Z trudem odwróciła się do niego plecami. Czart znów przycupnął naprzeciwko. Wziął ogon w ręce i głaskał nim kobietę po twarzy. Babuleńka tylko mrugała oczami i zaciśkała zęby.

Nagle z pieca wyleciała chmara diabłątek. Zawisły nad nią jak szarańcza nad słonecznym polem albo jak stado wron nad lasem. A potem spadły w dół. Właziły do uszu, do ust, siadały na głowie. Kobieta broniła się. Kciukiem dotykała środkowego palca i usiłowała je podnieść do czoła, żeby się przeżegnać. Ale diabliki wraz obsiadały dłoń, nie pozwalając nakreślić znaku krzyża. Starszy piekielnik pilnował, by kobieta nie zrobiła, co nie trza.

Wiele razy próbowała, ale na próżno. W końcu czart objął ją za szyję i zarechotał tak, że stara zerwała się na kolana i upadła.

Wprost na nią lecieli jeźdźcy. W zielonych kabatach, z fajkami w zębach, na czerwonych koniach. Już ją atakowali, już po niej!

Zamknęła oczy. Polepa w chacie rozstępowała się, stara staczała się w szczelinę i leciała gdzieś w dół. Spadała tak bez końca. Na samym dnie diabeł chwycił ją, zarzucił sobie na plecy i zaczął unosić jak wicher. Wtedy szarpnęła się i uderzyła głową w nogę od stołu.

Wyciekła strużka krwi, stara zaszlochała i przestała oddychać. Jej głowa leżała obok stołowej nogi, martwe, rozszerzone oczy patrzyły z ukosa na izbę. Diabły zaprzestały harców, tylko muchy z rozkoszą spijały krew. Zaplamity sobie skrzydełka i czerwonych było teraz więcej niż czarnych.

Siadały na osmolonych garnkach pod piecem, na miskach na półce, ozdobionych malowanymi jeźdźcami w zielonych kabatach, z fajkami w zębach, znacząc je śladami krwi.

Tłum. *Tatiana Hołyńska*

## Kamienny krzyż

### I

Odkąd wieś pamiętała, Iwan Diduch miał zawsze tylko jednego konia i mały wózek z dębowym dyszlem. Wciągał na siebie parcianą uprzęż, a na konia, którym kierował lewą ręką, nakładał rzemieńne postronki.

Gdy wieźli snopy z pola lub nawóz na pole, napinały się im mięśnie jak struny, a postronki jednako wyprężały się, gdy ciągnęli pod górę, i jednako wlokły się po ziemi, gdy zjeżdżali z góry.

Koń wdrapywał się na wzgórze powoli, jak po lodzie, a Iwanowi, który z nim razem ciągnął, żyły na czole nabrzmiewały tak, jakby go ktoś zdzielił pałką przez łeb. A kiedy zjeżdżali z góry, zdawało się, że Iwan jakby za pokutę chce prawą ręką zarzucić sobie konia na plecy. Jego wyprężone lewe ramię oplatała sieć ciemnych żył niby stalowy łańcuch.

Często przed wschodem słońca szedł Iwan polną drogą. Nie naciągał wtedy postronków, szedł podtrzymując dyszel pod prawą pachą. Po nocnym odpoczynku i on, i koń stąpali rażno i rześko. Kiedy droga wiodła z góry, biegli pozostawiając za sobą ślad kół, kopyt i szerokich pięt Iwana. Przydrożne trawy i chwasty chwiały się na wszystkie strony, pochylały się za wozem i roniły na koleiny kropelki rosy. Czasem Iwan mocno zapierał się nogami w ziemię i wstrzymywał konia. Siadał potem przy drodze, ujmował rękami stopę i śliniąc, starał się znaleźć miejsce, w którym utkwiał cierń.

– Trzeba by tę nogę motyka skrobać, a nie ślinić – mruczał gniewnie.

– Ej, Iwan! Batem konia popędzaj, niech darmo owsa nie żre! – kpili z Iwana sąsiedzi widząc go w uprzęży.

Ale Iwan od dawna przywykł do drwin i dalej spokojnie wydłubywał cierń, a gdy mu się nie udawało, pięścią wbijał go głębiej i podnosił się mówiąc:

– Nie bój się, zgnijesz i sam wyleziesz, nie mam czasu bawić się z tobą.

W wiosce zwano go „Iwan Przełamany”. Miał jakiś uraz w krzyżu i chodził stale zgięty, jak gdyby żelazne haki ciągnęły jego tułów do ziemi. Zawiało go kiedyś.

Gdy wrócił z wojska, nie zastał ani ojca, ani matki, tylko na wpół rozwaloną chatę. Ojciec zostawił mu jako cały majątek kawałek pola na wzgórzu, była to najlichsza ziemia we wsi. Baby wybierały piasek z tego wzgórza, które niby straszliwy olbrzym patrzyło w niebo szeroko rozwartymi dołami i pieczarami. Nikt tam nie orał, nie było ani miedzy, ani ścieżki. Jedynie Iwan zaczął kopać i obsiewać swoją część. Razem z koniem zwoził na wzgórze nawóz, a na sam szczyt dźwigał go w worku. Czasem z góry leciał na leżące niżej pola jego donośny krzyk:

– Ej, jak cię trzasnę, rozlecisz się na strzępy; takiś ciężki!

Ale jakoś nigdy nie trzasnął – żał mu było worka i ostrożnie spuszczał go z pleców na ziemię. Raz wieczorem, po powrocie do domu opowiadał żonie i dzieciom:

– Słońce piecze, niby ogniem sypie, a ja z nawozem pełzną na czworakach pod górę, skóra złazi mi z kolan, spod każdego włoska płynie pot, a w gardle słono i gorzko. Ledwie wdrapałem się na wzgórze, powiał na mnie wiaterek, ale taki leciutki, leciutki. I patrzajcie – jak zaczęło mnie zaraz w krzyżach nożami dźgać, myślałem, że skonam!

Od tego czasu Iwan zaczął chodzić zgięty w pasie i ludzie przezwali go „Przełamany”.

Jednak wzgórze, które nabawiło go kalectwa, dawało również korzyści. Wbijał tam kołki, ciągnął kawały twardej darni i okładał pole, aby jesienne i wiosenne deszcze nie zmywały nawozu i nie uniosły go do rowów. Życie oddawał temu wzgórzcu.

Im więcej się starzał, tym ciężej mu było, zgiętemu, schodzić z góry.

– Pieskie wzgórze, spycha w dół na złamanie karku!

Czasem, gdy zachodzące słońce zastawało Iwana na szczycie, cień jego padał daleko na pola i łącząc się z cieniem wzgórza wyglądał jak zgięty w pasie olbrzym. Iwan wskazywał wtedy cień i mówił:

– Toś ty mnie, braciszku, w pałak zgiał. Ale póki mnie nogi noszą, musisz mi rodzić chleb.

Na innych kawałkach pola, które Iwan kupił za przyniesione z wojska pieniądze, pracowali żona i synowie, on dbał tylko o wzgórze.

Iwana znali jeszcze z tego, że do cerkwi chodził raz w roku na Wielkanoc, i z tego, że musztrował kury. Tak je nauczył, że żadna z nich nie ważyła się rozgrzebywać nawozu po obejściu. Jeśli która grzebnięła tylko łapką, kończyła żywot pod ciosem łopaty albo kija. Choćby Iwanycha leżała krzyżem – nie pomogło.

Iwan wyróżniał się jeszcze tym, że nigdy nie jadł przy stole, tylko na ławie.

– Parobkiem byłem, potem dziesięć lat w wojsku; stołu nie znałem, to i jadać przy stole mi nie w smak.

Takie dziwadło było z tego Iwana.

## II

W chacie zebrało się pełno gości – gospodarze i gospodynie. Iwan sprzedał wszystko, co posiadał: synowie i żona postanowili jechać do Kanady i stary musiał im w końcu ustąpić.

Iwan zaprosił całą wioskę.

Stał przed gośćmi, w prawej ręce trzymał kieliszek wódki i jak skamieniały nie mógł słowa wymówić.

– Dziękuję wam, sąsiedzi, żeście mnie uważali za gospodarza, a żonę mą za gospodynię...

Nie mógł dokończyć i nie mógł pić, patrzył tępo przed siebie i – jakby miodąc się – każde słowo potwierdzał kiwnięciem głowy.

Tak czasem potężna fala wytoczy z głębin ciężki kamień, wyrzuci go na brzeg i głaz leży tam wielki, bezduszny. Słońce wykrusza z niego kawałki mułu, zapala w szczelinach fosforyzujące gwiazdki. Kamień migocze martwym odbiciem wschodów i zachodów, patrzy kamiennymi oczyma na płynącą wodę i żałuje, że już nie czuje na sobie jej ciężaru, jak czuł przez setki lat. Spogląda z brzegu na czarną toń jak na utracone szczęście.

Tak patrzył Iwan na ludzi. Potrząsał siwymi włosami, jakby grzywą ze stalowych nici i ciągnął dalej:

– Z serca wam dziękuję i niech Bóg da wam wszystko, czego pragniecie. Daj wam Boże zdrowie, dziadku Mychajło... – podał Mychajłowi kieliszek, ucałowali sobie wzajemnie ręce.

– Kumie Iwanie, daj wam Boże pożyć jeszcze na tym świecie, niech Pan miłościwy szczęśliwie doprowadzi was na miejsce i pomoże, abyście znów stali się gospodarzem.

– Żeby Bóg doprowadził... Gospodarze, proszę, bierzcie, jedzcie... Myślałem, że posadzę was tu za stołem na weselisku syna, a wyszło inaczej... Takie czasy nastały... Czego dziadowie i ojcowie nie znali, my musimy poznać. Wola boska! Czestujcie się, gospodarze, i darujcie, jeśli co złego...

Nalał kieliszek i podszedł do kobiet siedzących przy drugim końcu stołu.

– Tymofijicho, kumo – za wasze zdrowie. Jak na was patrzę, to mi się młode lata przypominają. Gdzie to one, gdzie? Zdrowa z was dziewczucha była, robotna, a w tańcu toście chodziła jak czółenko na krosnach. Gdzie się podziały nasze lata, kumo? A no, wypijcie i darujcie, że ja na starość o tańcach... Proszę was, proszę...

Zerknął na płaczącą żonę i wyciągnął chustkę zza pazuchy.

– Ej, stara, masz, wytrzymaj się, żebym tu żadnych łez nie widział! Gości częstuj; popłakać zawsze zdązysz, jeszcze się tak naszlochasz, aż oczy wypłyną.

Kręcąc głową podszedł do mężczyzn.

– Rzekłbym wam coś, ale lepiej zmilczę... Uszanuję te święte obrazy i was, kochani. Ale nie daj Boże babski rozum mieć. Sami widzicie, jak płacze, a przez kogo? Przeze mnie? Czy to ja ją na starość wyrzucam z chaty? Milcz, nie chlipaj, bo ci oberwę te siwe warkoczki i łysa pojedziesz do Ameryki!

– Kumie Iwanie, dajcie kobiecie spokój, przecież ona wam nie wróg, ani wam, ani dzieciom, tylko jej wioski żal.

– Tymofijicho, kumo, lepiej nie gadajcie, jak nie wiecie wszystkiego. Jej żal, a czy ja tam z ochotą jadę?

Zgrzytnął zębami tak, jakby w gębie miał żarna, pogroził żonie pięścią i uderzył się w piersi.

– Wsadźcie mi siekierę w wątrobę, może mi zółć pęknie, bo już nie zdzierzę! Ludzie! Taki żal, taki smutek! Sam nie wiem, co z sobą zrobić!

### III

– Proszę, gospodarze, bierzcie bez ceregieli i darujcie nam, przecież my już wędrowcy... Nie dziwcie się mnie staremu, że trochę na kobietę napadłem, to nie bez przyczyny, oj, nie... Żeby nie ona i synowie, nie byłoby tego wszystkiego. Synowie, wiecie, czytać i pisać umieją, dostali skądś jakiś list, jakąś mapę, przyczepili się do mojej starej i tak długo męczyli, aż postawili na swoim. Dwa lata o niczym się w chacie nie gadało, tylko o tej Kanadzie. A i mnie dopieklki, jak

zobaczyłem, że jak się nie zgodzę, będą mnie tak gryźć aż do śmierci, tom wszystko sprzedał, aż do ostatniej kruszyny. Synowie nie chcą iść na parobków. „Jesteś naszym ojcem, mówią, to prowadź nas w świat i daj chleb, bo jak nam rozdzielisz ziemię, nie będzie z czego żyć”. Niech im Bóg pomoże jeść ten chleb, mnie i tak wszystko jedno, gdzie umierać. No, powiedzcie, gospodarze, dokądże ja, taki połamany, pójdę? Ja już swoje odpracowałem; moje ciało to same odciski, kości jedno próchno i zanim się rano pobieram, dziesięć razy stęknę.

– Po co, Iwanie, o tym mówić. Nie nabijać sobie głowy smutkiem. Może wy nam drogę wskażecie i my wszyscy za wami pojedziemy? Naszego kraju nie ma co żałować. Nasza ziemia już nie daje rady tyle narodu wykarmić i tyle nieszczęść wytrzymać. I chłop nie może, i ziemia nie może, oboje nie mogą. I szarańczy nie ma, i pszenicy nie ma! A podatki rosną. Płaciłeś guldena, teraz i pięciu mało, dawniej słońinę jadłeś, teraz zryj kartofle; oj, zniszczyli nas. Tak nas wzięli w łapy, że nikt się już nie wyrwie, chyba trzeba uciekać. Ale będzie jeszcze kiedyś rozprawa, naród powstanie i chwyci za noże... Nie ma więc czego żałować...

– Dziękuję wam za te słowa, ale ja tak nie myślę. No, będzie jeszcze rzeź... Bo czy Bóg nie gniewa się na tych, co ziemię sprzedają? Teraz ziemia nikomu niepotrzebna, dajcie tylko pieniądze i weksle. Teraz młodzi nabrali rozumu. Tacy z nich strażnicy, co o ziemię nie dbają. Ale spójrzcie na tę staruchę, gdzie jej tam do handlowania! To spróchniała wierzba, trącisz palcem – przewróci się. Myślicie, że ona dojdzie na miejsce? Zwali się gdzieś do rowu i psy ją rozszarpia, a nas pogonią dalej i nie dadzą się nawet obejrzeć. Czy takich ludzi Bóg błogostawi? Chodź no tu, stara!

Iwanycha, chuda staruszka, podeszła do męża.

– Kateryna, coś ty, niebogo, narobiła? Gdzie ja ciebie pochowam? Może trzeba będzie ciebie rzucić rybom na pożarcie? Ale dla dobrej ryby toś ty na jeden kąsek. Popatrzcie!

Naciągnął skórę na żoninej ręce i pokazywał ludziom.

– Skóra tylko i kości. Takiej to tylko na przypiecku siedzieć. Była z ciebie gospodyni, jak się patrzy, pracowałaś ciężko, nie próżnowałaś, a na starość w taką daleką drogę się wybierasz. A twoja droga, twoja Kanada tam...

Wskazał na widniejący za oknami cmentarz.

– Zachciało ci się tej Kanady, więc pójdziemy w świat, rozlecimy się na starość jak te liście na polu. Bóg wie, co z nami będzie... I teraz chcę ci przy ludziach wszystko przebaczyć. Przy nich braliśmy ślub i przy nich chcę się z tobą pojednać. Może wrzucą ciebie do morza tak, że nawet tego nie zobaczą, a może mnie wrzucą i ty tego nie zobaczysz. Więc odpuść mi, stara, zem ci czasem dokuczył, zem cię może i obraził, odpuść mi raz i drugi, i trzeci...

Pocałowali się. Staruszka padła Iwanowi w ramiona, a on mówił:

– Ech, wiozę ja ciebie, biedną, w daleką mogiłę!

Nikt już tych słów nie słyszał: od stołu, gdzie siedziały kobiety, jakby wiatrem przygnany, nadleciał płacz i pochylił na piersi chłopskie głowy.

#### IV

– A teraz idź, stara, do kobiet i częstuj je, jak się należy, ale i sama wypij, żebym cię choć raz w życiu zobaczył pijaną. A do was, gospodarze, mam dwie prośby. Może synowie przyślą wam wiadomość, że mnie i żony już nie ma na tym świecie. Więc proszę was, każcie odprawić za nas nabożeństwo i niech wszyscy tak jak dziś przyjdą na stypę i odmówią za nas modlitwę. Może Bóg odpuści grzechy... Pieniądze zostawię u Jakowa, młody on i uczciwy, ani kraj-cara sobie nie weźmie.

– Zamówimy nabożeństwo, zamówimy i będziemy się za was modlić.

Iwan zamyślił się, po twarzy przemknął mu cień.

– Nie dziwcie się staremu i nie śmieJCie się. Wstyd mi przyznać się, ale myślę, że grzechem byłoby zataić to przed wami... Jak wiecie, postawiłem na swym wzgórzu krzyż z kamienia. Ciężko było go wciągać na górę, ale jakoś postawiłem. Taki ciężki, że wzgórze go nie zrzuci, będzie musiało dźwigać na sobie ten krzyż, jak mnie przez tyle lat. Chciałem jakąś pamiątkę zostawić po sobie.

Złożył dłonie i przycisnął je do ust.

– Tak mi tęskno do tego wzgórza, jak dziecku do matczynej piersi! Przeżyłem na nim swój wiek, ono mnie kaleką zrobiło. Żebym mógł, to bym je schował za pazuchę i zabrał ze sobą! Tęsknić będę za każdą okruszyną w wiosce, za najmniejszym dzieciakiem, ale najbardziej za tym moim wzgórzem!

Oczy mu zabłyśły, a twarz się skruszyła jak czarna bruzda dotknięta słońcem.

– Leżę ja zeszłej nocy w stodole i myślę: „Boże miłosierny, czym tak ciężko zgrzeszyłem, że wypędzasz mnie za dalekie morza? Całe życie pracowałem i pracowałem. Nieraz bywało, dzień się kończy, a ja padam na ziemię i modłę się gorzko: Boże, nie zostaw mnie bez kawałka czarnego chleba, a ja znów będę pracował, dopóki moje ręce i nogi pozwolą...” Potem ogarnia mnie taki smutek, że palce gryzę, włosy rwę, jak zwierzę tarzam się po słomie. I wtedy nieczysty przystąpił do mnie... Nie wiem, kiedy i jak, ale ocknąłem się pod gruszą z powrozem w ręku... Jeszcze chwila, a byłbym się powiesił. Ale Bóg miłosierny wie, co robi. Wspomniałem o swoim krzyżu i złe odeszło. Aj, jak biegłem wtedy na swoje wzgórze! W minutę byłem już pod krzyżem, posiedziałem chwilę i trochę ulgi poczułem. Patrzcie, stoję przed wami, mówię do was, a to wzgórze nie opuszcza mojej myśli. Ciągłe je widzę i w godzinę śmierci będę je widział, wszystko zapomnę, a jego nie zapomnę. Znałem kiedyś piosenki – na tym wzgórze je zapomniałem, siły miałem – na tym wzgórze je straciłem.

Łza potoczyła mu się po twarzy.

– Proszę was, gospodarze, jak będziecie na Wielkanoc pola święcić, nie omińcie mojego wzgórza. Niech ktoś z młodszych wejdzie na górę i pokropi



krzyż święconą wodą, przecież ksiądz nie będzie chciał się tam drapać. Ze łzami was proszę, nigdy nie omijajcie mojego krzyża. Będę się za was modlił na tamtym świecie, tylko wypełnijcie wolę starego!

Kłaniał się nisko, jakby chciał gościom do nóg paść, zdawało się, że spojrzeniem szarych pocziwych oczu chce przelać w ich serca swoją prośbę.

– Zostawcie smutki, Iwanie, odrzućcie je. Wszyscy będziemy was wspominać. Porządny z was był człowiek, nie dokuczaliście nikomu, sąsiedzkiego pola nie oraliście i nie zasiewali, cudzego ziarenka nie ruszyliście. O nie! Będą was ludzie wspominać i nie ominą waszego krzyża nigdy w świętą niedzielę – pocieszał Iwana Mychajło.

## V

– A no, gospodarze, powiedziałem wam wszystko, teraz kto mi życzliwy, wypije ze mną. Słonko już pod cmentarzem, a nie wypiliśmy jeszcze ani kropelki. Pókim w swojej chacie, a goście za stołem, będę pił i każdy, kto ma do mnie serce, będzie pił ze mną.

Zaczęło się pijaństwo, takie picie, co dorosłych ludzi zmienia w ogłupiałych parobków. Wkrótce zamroczony Iwan kazał wezwać muzykantów, aby zagrali zebrany na podwórzu młodemu.

– Ech, tańczujcie tak, żeby ziemia dudniła, żeby na klepisku ani źdźbła trawki nie pozostało!

W chacie wszyscy pili, wszyscy gadali i nikt nikogo nie słuchał. Nie była to właściwie rozmowa, każdy czuł, że musi coś gadać, koniecznie, wypowiedzieć wszystko, choćby na wiatr.

– Jakem je czyścił, to tam, gdzie czarne, jakby srebrem pokropił, a gdzie białe, to jakby śniegiem przysypał. Konie miałem jak trzeba, sam cesarz mógłby takimi jeździć, a pieniędzy było, oj było...

Żebym mógł taką pustynię znaleźć, gdzie tylko Bóg i ja, żeby chodzić jak dziki zwierz i nie widzieć tych panów ani księży, wtedy mógłbym powiedzieć, żem gospodarz. A niech się ta ziemia zawali, choćby zaraz, nie będę żałował. Bo i czego? Ojców bili i katowali, w jarzmo zaprzęgali, a nam nie dają przekłnąć kęsa chleba. E-ech, żeby tak zrobić po mojemu...

– Nie było jeszcze takiego poborcy, aby umiał z niego ściągnąć coś za podatki, nie było! Był Czech, był Niemiec, potem Polak – i co? G...o, za przeproszeniem, wzięli. Ale jak przyszedł Mazur, to od razu znalazł kozuch w ziemi pod wiśnią! Mówię wam, Mazur to nieszczęście, ślepia mu wypalić i nie będzie za to grzechu...

Mówili dużo, ale słowa padały w różne strony, jak spróchniałe drzewa w starym lesie.

W szum, gwar, krzyki i westchnienia, w żałośliwą wesołość skrzypiec wplatała się pieśń Iwana i starego Mychajły. Pieśń tę słyszy się często na weselach, gdy starzy ludzie rozochocą się i wspominają dawne czasy. Słowa

z trudem przeciskają się przez stare gardła. Lecą jak żółte jesienne liście, wiatr pędzi je po martwej ziemi, a one na chwilę zaczepią poszarpanymi brzegami o pagórki, rowy i drzą, jakby za chwilę miały skonać.

Tak Iwan i Mychajło śpiewali o młodych latach, co minęły, uleciały w dal i nie chcą powrócić nawet na krótko.

Gdy brali wysoką nutę, ściskali sobie wzajemnie ręce, aż stawy trzeszczały. A kiedy pieśń załkała tęsknicą, stykali się głowami, zanosząc się rozpaczą. Obejmowali się, całowali, tłukli pięściami w piersi i stół, coraz większy budząc w sobie smutek. W końcu zachrypli i nie mogli dobyć z siebie ani słowa. Wzdychali tylko:

– Oj, Iwanko, bracie!

– Oj, Mychajło miły!

## VI

– Ojczy, słuchaj, ojczy, pora na pociąg, a ty wciąż śpiewasz...

Iwan otworzył oczy, ale wzrok miał taki dziwny, że syn pobladł i cofnął się, on zaś złożył głowę na rękach i długo o czymś myślał. Potem wstał, podszedł do żony i pociągnął ją za rękaw:

– Ej, stara, masz: inc, cwaj, draj! Chodź, ubierzemy się po pańsku i pojedziemy panów udawać!

Wyszli razem.

Gdy wrócili, wszyscy w chacie zaszlochali. Jakby oberwała się wisząca nad wioską chmura, jakby ludzka niedola przebiła groblę na Dunaju, taki buchnął płacz z ludzkich piersi. Kobiety załamywały ręce i trzymały je splecione nad Iwanychę, jakby broniąc ją przed czymś, co miało zwalić się z góry i zgnieść ją. Mychajło chwycił Iwana za pierś, potrząsnął nim mocno i krzyczał:

– Człowieku, jakeś gospodarz, zrzuć z siebie te szmaty, bo ci gębę rozwalę...

Iwan nie patrzył na niego, objął żonę za szyję i puścił się w tany.

– Polkę, grać mi polkę, po pańsku! Mam pieniądze!...

Ludzie osłupieli, a on szarpnął kobietą, jakby postanowił nie wypuścić jej z rąk żywej.

Wbiegli synowie i siłą wyciągnęli ich z chaty.

Na dziedzińcu Iwan tańczył znów jakąś polkę, a Iwanycha padła na próg i obejmując go ramionami lamentowała:

– To ja ciebie swoimi nogami tak wydeptałam! – i wskazywała palcem na głębokie ślady, które jej stopy wyźłobiły na progu.

## VII

Opłotki przy drodze trzeszczały i przewracały się – cała wieś odprowadzała Iwana. Szedł z żoną, zgarbiony, w taniutkim, szarym ubraniu i wciąż tańczył polkę.

A gdy tłum zatrzymał się naprzeciw wzniesionego na wzgórzu krzyża, Iwan oprzytomniał i wskazał go żonie mówiąc:

– Widzisz, stara, nasz krzyżyk? Wyciąłem tam i twoje imię. Nie bój się, jest moje, jest i twoje.

Tłum. *Tatiana Hołyńska*

## Spowiedź

Usty białemi, półszepem, opowiem wam o sobie. W moim głosie nie zadrga ani skarga, ani smutek, ani radość...

Odszedłem od macierzy w białej koszuli, sam biały.

Śmiali się z białej koszuli. Krzywdzili mnie i ranili.

I stapałem po cichu jak kot biały.

Ten chód dawał mi odczuwać podłość moją i krew ma dziecięca sączyła się z serca mego.

A spałem w najętej chacie między brudnymi cielskami, splecionymi rozpustą.

Listek białej brzozy na śmieciu...

.....

Zrzuciłem koszulę matczyną. Poza mną ostały się: – mój świat dziecięcy i dalekie chłopskie pokolenie.

Przede mną roztoczył się świat nowy, nowy i czarny.

Chwytałem go za poły, a on spozierał na mnie wzgardliwie.

Byłem jak żebrak mały.

Oniemiałem z bólu. I milczałem długie, długie lata.

Moje słowa nie domówione, mój płacz i śmiech nie dobiegały krańca.

Spadłyście na mnie, jak spadają czarne kamienie złamanego krzyża na mogile cudzoziemca!

.....

Znalazłem przyjaciół.

Pogodzili się z moim nowym światem. Rozповідаłem im o porzuconym i o nowym, co nas krzywdzi.

Zarzucali mi kłamstwo.

A jam rwał się, w błoto padałem z niemocy i nie ustępowałem.

.....

Powiedzieli, że jestem kłamcą – jeszcze raz. I porzucili mnie.  
 A gdy płakałem – mówiła mi matka ze łzami:  
 – Bądź sam ze sobą, bo matka cię nie przyjmie. Po co porzuciłeś mnie?  
 I zostawiłem się jako krzak głogu wśród pola.

---

Siedziałem wśród pól.  
 Moje myśli snuły się długimi skibami płodnej roli. Ssały ziemię i karmiły  
 mnie samotnością.  
 I jeszcze przyniosły pot słony i ciche pieśni, co biegały za oraczem, za pługiem  
 i poganiaczem. I połykały mnie spokojem, co marzy nad jarzmami wołów u  
 pług.  
 Widziałem też między pastuszkami maleńkie ogniki i rozpierzchnięte owce  
 w polu.  
 Tu będę panował jako wiatr bujny, tu śpiewać będę pieśni moje!

---

Stworzyłem sobie świat własny.  
 Po prawicy: – sine pola i czarne skiby i pług biały, i pieśń, i pot słony.  
 Po lewicy: – maszyna, co z ust czerwonych przekleństwo wyrzuca.  
 A w moim sercu świat mój, utkany z jedwabiu, naszywany srebrem białym,  
 nasadzany perłami.  
 Jestem w królestwie swoim...

---

Będę rzeźbił świat mój jako kamień.  
 Słowo moje będę ostrzył na krzemieniu mej duszy, i umaczone w ziele ja-  
 dowitem puszcę na lewo...  
 I słowo moje łamać będę na jasne słoneczne promyki i umaczam je  
 w kielichach kwiatów i puszcę na prawo.  
 A mój kamień będę rzeźbić zawsze, zawsze!  
 Aż położę go na swej mogile jako martwe piękno.  
 A wiśnia u wezglowia na kwiat swój weźmie wszystkie bóle moje.

---

Żyję w swoim świecie, żyję !...  
 Jak szalony bredzę chmurą mej fantazyi.  
 Sto razy rozpętuję siły mej duszy, aby odszukały mi szczęścia moje  
 w światach dalekich.  
 Po cichym stawie mej przeszłości płynie niewód gorących moich pragnień,  
 aby wyłowić wszystkie jasne chwile życia mego.

Ale rwie się niewód i nic ułović nie może.  
Wracają umęczone siły moje i bez niczego – jak robotnicy z ładu.  
I smutny drzemie na chmurach.

---

A gdy grom uderzy, znowu głową wybiegam do nieba.  
I lecę, lecę na czarnych chmurach...  
Złotą strzałą przerynam stropy świetlane.  
W mych czarnych włosach gwiazdy się gubią jak w czarnej chmurze.  
Chłodne chmury z moich oczu ciepłym deszczem spływają na ziemię.  
Ale do słońca dotrzeć nie zdołam.  
I z błękitów – padam na ziemski padół.  
Jak stary żołnierz o drzewianych nogach kuleje, tak jak kuleje.  
A skoro tylko pogoją się skrzydła – znowu do słońca wzbijam się po  
szczęście.  
I znowu błękity przerynam i upadam...

---

Byłem szczęśliwy...  
Gdy dzieckiem będąc małym, patrzyłem na oczy matczyne, i widziałem,  
jak po cichu przesuwały się po nich czyściuteńkie chmurki szczęścia.  
Byłem szczęśliwy...  
A dziś na te oczy śmierć położyła dłoń swoją.  
A ja szczęścia szukam w błękitach i – upadam...

Tłum. *Michał Moczulski*

## Bohdan Nestor Łepki (1872-1941)

Bohdan Nestor Łepki urodził się w 1872 roku na Podolu we wsi Krehulec. Studiował filologię słowiańską w Wiedniu, Lwowie i Krakowie. Od 1899 r. pracował jako nauczyciel gimnazjalny i lektor języka ukraińskiego w Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie. W okresie I wojny światowej Łepki wyjechał do Austrii i osiedlił się w pobliżu Wiednia. Przez prawie 5 lat był nauczycielem języka ukraińskiego w obozach jenieckich. Po wojnie współpracował z emigracyjnymi pismami ukraińskimi, m.in. „Ukraińskie słowo” (Berlin). W 1926 r. Łepki wrócił do Krakowa, zaś rok później rozpoczął pracę jako wykładowca tamtejszego Uniwersytetu. W 1935 r. uzyskał stanowisko profesora. W 1938 r. został posłem na sejm Rzeczypospolitej. Zmarł w 1941 r. i został pochowany na Cmentarzu Rakowickim w Krakowie.

Debiutował w 1895 r. w gazetach „Diło” i „Zoria”; drukował także na łamach polskich, czeskich i niemieckich czasopism. Pierwsze wydania książkowe utworów poetyckich Łepkiego przypadają na początek wieku (*Striczky*, 1901; *Osiń*, *Łystky pływut*, 1902; *Kniaża hora*, 1903; *Na czużyni*, 1904; *Z hłybynduszi*, 1905; *Poezije, rozrado odynoka*, 1908; *Dla ideji*, 1911; *Znad moria*, 1913. W tym okresie Łepki należał do literackiego ugrupowania MOŁODA MUZA; był niejako łącznikiem między młodopolskimi pisarzami i ukraińskimi modernistami z Galicji. Elegijne nastroje w utworach poetyckich tego okresu łączą się z motywami społecznymi.

W okresie I wojny światowej w twórczości Łepkiego przeważają nastroje patriotyczne (*Tym, szczo polahły* 1916; *Dola*, 1917). Pojawiają się wiersze pełne patosu, w szczególności są to utwory poświęcone Szewczence (m.in. *Na Tarasowij mohyli*, *Sud nad Szewczenkom*), Iwanowi France, Wasylowi Stefanykowi, Hryćkowi Czuprynce. Niektóre spośród utworów tego okresu zdobywają ogromną popularność, jak np. wiersz *Żurawli*, który stał się pieśnią ludową (muzyka Ł.Łepkiego). W okresie powojennym Łepki tworzył także medytacje poetyckie prozą (*Na rynku*, *Łezaw pry widczynenomiu wikni*, 1924).

Do najważniejszych zbiorów małych utworów prozatorskich Łepkiego należą: *Z sela* (1898), *Z żyttia* (1899) *Opowidannia*, *Szczasływa hodyna* (obydwie z 1901 r.), *W hłuchim kuti* (1903), *Po dorozii żyttia* (1905), *Kara* (1906), *Kydaju słowa* (1911) i in. Łepki pozostawał tu pod wpływem twórczości Mychajła Kociubynskiego i Wasyla Stefanyka. W nowelach i poematach pragnął stworzyć panoramę ówczesnej rzeczywistości galicyjskiej, zwłaszcza życia

codziennego na Podolu. Poruszał także problemy związane z emigracją oraz budzeniem się świadomości narodowej wśród chłopów.

W okresie międzywojennym Łepki wykorzystuje nowe gatunki – baśniową opowieść (*Pid tychyj weczir*), miniaturę prozatorską (*Ot, tak sobi*) oraz pisze mikropowieści osnute na kanwie współczesności (*Weselka nad pustyrem*, *Zirka*, 1929), utwory dla dzieci (*Pid jałynku*, 1930; *Try kazky* 1933). Dzięki siedmiotomowej powieści „Mazepa” (1926-1929) zdobył popularność wśród szerokich rzesz czytelników. W tym samym okresie powstają także mniejsze formy prozatorskie, poświęcone przeszłości narodu (*Sotnykiwna*, 1927; *Wadym*, 1928; *Krutiz* 1941). Pod koniec życia Łepki wydał trzy tomy wspomnień; pierwszy z nich opowiadał o dzieciństwie (*Kazka mojoho žyttia. Krehuleć*, 1936;), następny o latach młodości (*Kazka mojoho žyttia. Bereżany*, 1941) i wreszcie o początkach działalności literackiej (*Try portrety*, 1937).

Łepki był również redaktorem kilkudziesięciu książek (najważniejsze – pełne wydanie utworów Szewczenki), autorem przedmów, antologii.

Zasługi Łepkiego w popularyzacji literatury ukraińskiej w Polsce trudno przecenić. Jego działalność na tym polu zyskała mu miano ambasadora kultury ukraińskiej w Polsce. Na przełomie XIX i XX wieku był aktywnym działaczem krakowskiego Klubu Słowiańskiego, na forum którego wielokrotnie występował z odczytami popularyzującymi literaturę ukraińską. We współpracy z Władysławem Orkanem opracował tom prozy *Młoda Ukraina* (1908) oraz *Antologię współczesnych poetów ukraińskich* (1910). W 1930 r. wydał podręcznik *Ukraina. Zarys literatury*. Był też autorem obszernego artykułu, prezentującego literaturę ukraińską w 4 tomie *Wielkiej Literatury Powszechnej* Trzaski, Everta i Michalskiego, pod redakcją S.Lama (1933). W okresie powojennym stale współpracował z Ukraińskim Instytutem Naukowym w Warszawie i w ramach tej współpracy stworzył plan pracy komisji do badań stosunków polsko-ukraińskich.

Translatorskie zasługi Łepkiego są również niemałe; przetłumaczył on na język polski m.in. *Słowo o wyprawie Igora* (1905), poezje Tarasa Szewczenki (1936), tom nowel Mychajły Kociubynskiego *W pętach szatana* (1906), opowiadania Wasyla Stefanyka, a na ukraiński – poezje Marii Konopnickiej, Kazimierza Przerwy-Tetmajera, Władysława Orkana.

## Po latach wielu\*

Dzwoniono na nieszpory i lud ciągnął do cerkwi, gdy na skrócie murowanej drogi rozległ się turkot kół. Chude konie, powóz jak arka Noego, woźnica żyd – słowem, jeden z tych staroświeckich fiaków, kursujących pomiędzy naszymi głuchymi miasteczkami, a dworcami kolejowymi. We wsi, leżącej przy trakcie, nikt nie zwracał uwagi ani na fiakra, ani na podróżnego, który rozparł się na starem, wytartym siedzeniu i ciekawie spoglądał dookoła.

Był to trzydziestoletni mężczyzna, przystojny, z powierzchownością człowieka światowego.

Tem dziwniej, że tak bardzo obchodziła go każda wiejska chata, każde drzewo przy drodze, że tak pilnie, z takim żywym zacięciem przypatrywał się wszystkiemu swojemi rozumnymi, siwymi oczami. A kiedy oczy te spoczęły na starej cerkiewce i na plebanii, pomiędzy rozłożystymi lipami, to zdało się, że podróżny radby niemi przebić te białe, ciche ściany i zajrzeć do wnętrza.

– Pr-roszę pana! – odezwał się woźnica. – Tu jest karczma dobra i zajazd, trzeba spocząć.

– Co? Spocząć? Znowu popas? Czy co godziny będziemy popasać?...

– Jakto co godziny? – bronił się żyd. – Jedziemy już trzy i nie popasamy.

– Hou! Stań trochę! Słuchaj-no chłopcze! – zawołał podróżny do przechodzącego wyrostka. – Powiedz mi, kto u was proboszczem?

– Co-o?

– Kto u was proboszczem, pytam się?

– Nie wiem! – odparł chłopak.

Tu wdał się w rozmowę woźnica.

– A to głupi chłop, on nie wie, kto u nich jest księdzem.

– Księdzem u nas młody »jegomost'«. Gdzieżbym nie wiedział – odparł chłopak obrażony, i poszedł dalej.

Dopiero jakiś stary gazda, podchodząc, objaśnił, że stary ksiądz umarł i że teraz nastał młody, zięć nieboszczyka, ten, co ożenił się z panną Hałą.

Jak się nazywa – też nie wiedział.

– Jakoś tak dziwniutko: Jur... Jur.. Niedawno przyszedł i jeszcześmy nie zdążyli spamiętać.

– Może Jurczak? – pomógł mu podróżny.

– To, to! Jurczak, panie, Jurczak

– Czarny i niski, prawda?

– Tak, tak, tak, panie! Niski, taki jak ja, a może trochę niższy.

– No, to ten sam. Zawracaj na probostwo! Dziękuję wam, ojczyste!

Wóz cicho wtoczył się na podwórze, a bywałe konie od razu skręciły pod bróg świeżego, pachnącego siana. Podróżny zlął, otrzepał ubranie z prochu, poprawił kapelusz i puścił się ku werandzie.

---

\* Przedruk w wersji z roku 1911



Na podwórzu było cicho. Tak cicho, jak tylko na wsi w niedzielę być może. Prawdziwy dzień spoczynku. Nawet psy gdzieś się podziały i nikt go nie witał.

Wszedł do ogródka i tu również cicho.

Ścieżki wystrugane, niewydeptane, po nich wróble skaczą ze świergotem. W trawie chrząszcz brzęczy, a z grządek, jak z amfory, rozlewa się woń rezedy i lewkonii. Pomiedzy lipami drzemie milczący dom.

Odemknięte okienko chwieje się ledziutko, ale nikt przezeń nie wygląda. We wnętrzu domu też cicho. Aż oto wypłynął szelest. Ktoś szedł, ktoś fortepian odemknął i ręce położył na klawiszach.

Zmieszane, niepewne akordy, urwane, ledwie poczęte melodie, a potem przejście, jeszcze kilka tonów – pauza – i smutna bardzo, a głośna muzyka Bramsa.

Gość cicho wstąpił na ganek i stanął w cieniu dzikiego winogrodu. A muzyka falami toczyła się przez otwarte okno, wypełniając cały ogród, zlewając się z zapachem kwiatów, z błękitem nieba, z niezrównaną harmonią pogodnego, letniego popołudnia. Dziwna muzyka. Słyszał przecież najświetniejsze koncerty we świecie, ale ten, wiejski, wywarł na nim najmocniejsze wrażenie; wprost oczarował go, tęsknotą otoczył, wspomnieniami owiał i do głębi wzruszył.

Skończył się krótki piąty taniec. Ostatnie tony umarły same w sobie; nie wybiegły przez okno, nie rozwiały się w przestrzeni, lecz skończyła ta dziwna muzyka w agonii swoich własnych tonów, jak kona wieczór w agonii barw.

Cicho. Znowu rezeda, lewkonie, znowu łagodny nadwieczorny gorący błękit, znowu wielka symfonia przyrody. Zapomnieć się można. A tego nie chciał. Nie! Za żadną cenę! Każdej chwili mógł kto wyjść, zobaczyć – opamiętał się i ujął za klamkę.

Na widok gościa od fortepianu podniosła się postać smukła, niemal rozwiewna. Na twarzy widać wzruszenie, wywołane grą. Na policzkach wypieki, w oczach, jak stawy głębokich, dziwne ognie. Zdziwienie. Na czole zarysowuje się niby zmarszczka gniewu, usta zacinają się, jak gdyby w złości, że pamięć nie dość prędko wiąże się i działa.

– On, czy nie on?...

Gość uklonił się i stał w milczeniu. Obejmował ją wzrokiem. Była ta sama. Ta, co przed laty. Tylko kształty jej rozwinęły się i wyrównały, a przytem, rzecz dziwna, nic nie utraciły z dawnego uroku. Wiał od niej smutek, czar, melancholia.

Poznał ją – i ona go poznała. To był on... I teraz zamiast zmarszczki gniewu zjawiał się na jej twarzy jakiś nieokreślony wyraz przestachu, jakiegoś rozpaczne postanowienie koniecznej samoobrony wobec groźnego, niespodziewanego wroga, który szedł ku niej, dobrze jej znaną, choć chwilowo zapomnianą, niepokonaną mocą.

– Poznała mnie pani? – zapytał po chwili, kiedy milczenie poczęło jej i jemu ciężyć.

– Tak, to pan... Panie Iwański... Rzadki gość... Witam pana.

W jej słowach przebiegał się wymuszony spokój.

– Proszę bliżej... – podała mu rękę.

Iwańskiemu zdawało się, że ta ręka z płomieni i że iskry idą z niej po żyłach. Podniósł ją do ust.

– Siadaj pan. Proszę. Pozwoli pan papierosa? Prawda? Oto tytoń. Ja zaraz wrócę.

– Niech pani nie odchodzi. Ja... zaraz odjeżdżam. Wstąpiłem tylko na chwilę... po drodze... zanim konie wytchną.

– Domyślam się. Ale puścić pana nie mogę. Co powiedziałyby na to mój mąż? Jesteście przecież przyjaciółmi.

– Tak, przyjaciółmi... – powtórzył nieswoim głosem.

– Mąż mój jest w cerkwi na nieszporach, a potem czeka nań pogrzeb, wszystko to jednak nie potrwa długo i za godzinę, spodziewam się, będzie. Nie uciekajże pan! – dodała, wychodząc z pokoju.

Iwański został sam. Chciał otrząsnąć się z pierwotnych wrażeń, lecz nie mógł. Człęk światowy, jak mówią, który we wszystkich stosunkach umiał być swobodnym, gładkim, tu tracił pewność siebie i nie wiedział, co i jak mówić. I po raz setny w życiu poznał, że nad kulturę, nad ogładę, nad wszelką sztukę życia, jest coś większego – samo życie.

Wracał z zagranicy, gdzie kończył studia. Jechał do poblizkiego powiatowego miasta, aby objąć dobre, „wysokie” miejsce. Po wielu latach bezdomnej tułaczki okręt jego życia miał zawinąć do cichej przystani. Lecz w tej oto chwili stracił nadzieję, aby ta przystań mogła być spokojną. I żałować począł chwili, która go tu, do tego domu przywiodła. POCO? POCO wstępował w te stare, dobrze znane progi? Ale cicho! Bo myśli odbijają się na twarzy, a on za żadną cenę nie chce okazać po sobie, że jest wzruszonym, przybitym, może nieszczęśliwym. Za żadną cenę. Wstał i począł oglądać dobrze znany pokój.

Jak wesoło, jak jasno było tu przed latami. Rozbrzmiewały śpiew i ożywione rozmowy, czasem pary wirowały w żwawym tańcu. Ojciec jego mieszkał w sąsiedztwie, a tu mieszkali rodzice Heleny. Podczas wakacji obydwa domy zlewały się w jeden. Tygodniami całymi bawił Iwański u rodziców Hali, z jej braćmi, z nią.

Gdzie się to wszystko podziało?

I wspomnienia tych dawnych, a niedawnych czasów leciały do pokoju tłumnie, jedne przed drugimi. Wciskały się przez okna, wysuwały z kątów, z pod obrazów, nawet z pod podłogi. Cichutko opadały z sufitu i szczelnie wypełniały izbę. Iwański nie mógł się przed niemi obronić, stał, wsparty o fortepian i podał głowę wspomnieniom.

Tak zastała go dawna panna Hala. Spojrzała nań i zdało mu się, że zajrzała mu do serca.

– Opowiedzże pan teraz, co pana do nas przyniosło – mówiła tym samym wymuszenie spokojnym głosem, wskazując mu miejsce obok siebie.

Zamiast odpowiedzi, przytoczył żartobliwie słowa znanej pieśni:

Oj, co ciebie przyniosło, przyniosło, przyniosło?  
Czy kary koń, czy wiosło, czy wiosło, czy wiosło?...

– Przyniosła mię, proszę pani, ironia losu – tego wszechmogącego losu, który każe żyć człowiekowi żywemu, na cmentarzu, tam gdzie pogrzebiona miłość jego, gdzie wspomnienia sterczą zewsząd, jak białe, zimne głązy.

Spojrzała nań tym samym wnioskującym wzrokiem.

– Jak widzę, poetyzuje pan zawsze! Ani świat, ani życie nie zmieniło pana.

– Z żalem wyznać muszę, że tak. Myślałem, że życie, to wielka szkoła i że ta szkoła nauczy mię być człowiekiem rozsądnym. Uczyłem się przecież tak pilnie. Lecz niestety, nauka moja poszła na marne. Przed panią wolno mi przyznać się do wszystkiego. Jest pani przecież moją dawną, dobrą znajomą, moją towarzyszką, moją... Pani pierwszej czytałem moje wiersze, przed nią spowiadałem się ze wszystkich moich marzeń młodzieńczych i rojeń. Razem czytaliśmy książki, razem snuli różowe plany przyszłości. Razem...

I rozpoczęły się wspomnienia. A wspominali szczerze, jak dzieci, nie licząc się ze słowami, nie kryjąc swego wzruszenia. Coraz to szczerzej.

Ona przyznała się, że po odjeździe jego, było jej bardzo smutno, że pilnie chwyciła wszelkie wieści o nim, lecz wieści te z każdym miesiącem malały, aż w końcu zupełnie przestały do niej dochodzić. Potem umarła matka, zostawiając ojca starego w chorobie. W domu ich zrobiło się głucho, jak w mogile. Potem... potem przyjechał Jurczak, i ona wyszła za niego.

Ostatnie słowa wymówiła ciszej, tak cicho, że nie zmaciła niemi tej wielkiej ciszy, która ich otaczała. A był w niej i gęsty zapach rezedy i lewkonii i wieczorny, ciężki, choć przygaszony skwar letni i ten perłowy zmierzch, który, jak powódź zalewał izbę, i jak fale, obejmował ich i łączył ze sobą. Czuli, że tracą świadomość i siłę panowania nad sobą, a poddają się tajemniczej mocy, która w kształt mgły nieuchwytniej krąży między nimi...

— — — — —

W cerkwi ozwały się dzwony. Ona zerwała się pierwsza. Wzruszenie odjęło jej mowę, więc tylko spojrzała na niego, jakby spojrzeniem tem chciała ratować siebie i jego, dodać siły i woli. Potem spiesznie wybiegła z pokoju. Kiedy wróciła była blada, ale już spokojna. W szarej, pod szyję zapiętej sukni, z włosami gładko uczesanymi, wiotka i zadumana, dostrajała się zupełnie do tego zmierzchu szarego...

Na struny upadł pedał ciężki i zagłuszył tony, które po długim milczeniu ozwały się były tak silnie, głośno, burzliwie...

Z cerkwi wracali ludzie. Każdej chwili mógł wejść i ksiądz Jurczak.

Więc usiadła przy fortepianie i znowu zagrała swego ulubionego Brama. A była w tej grze jakaś okrutna tęsknota i żal, który już przestaje być żalem, a staje się obłąkaną, prawie szaloną rozpaczą.

Skrzypnęły drzwi i w progu ukazał się ksiądz Jurczak.

– Cud, cud, cud! – wołał, idąc na spotkanie gościa. – Kopa lat! Kopa lat! Witaj kolego! Zrobiłeś mi prawdziwą niespodziankę!...

Równocześnie prawie zwrócił uwagę na żonę.

– Dajże spokój z tem swoim graniem! Świętej pamięci rodzice będą mieli grzech za ten fortepian. Powiadam ci, kolego, istna męka... Lepiej idź do kuchni i przygotuj kawę.

Żona wyszła a on ciągnął dalej.

– Proszę cię, poco mi tego klawikordu? Zapłacili za niego coś 500 złr., czyż to nie szkoda? Dwadzieścia pięć reńskich procentu, a w gospodarstwie nawet więcej. Głupie wymysły.

Na ten temat mówił dalej, aż wróciła żona, a za nią służąca wniosła przybory do kawy.

– O! tak, to rozumiem! To lubię! A przed kawą podaj nam nalewki. Tej z poziomkami, wiesz... Znakomite nalewki robi moja żona... – dodał nie bez pewnej dumy.

Ale gość nie odpowiadał. Milcząc, wpatrywał się w odbicie Jurczaka, czerwone, pełne, ociekające potem. Wewnętrzne zadowolenie malowało się na tej twarzy, jakieś, można rzec, fizyczne szczęście biło z tych maleńkich, szarych oczu. Mówiły one, że w tej istocie zawarto trwałe pokój pomiędzy duchem a ciałem i że żadna ze stron sprzymierzonych nawet nie myśli rozpocząć walki. Bardzo im dobrze z tym trwałym pokojem.

– Opowiedz nam teraz, kochasiu – począł Jurczak, odsuwając próżną filiżankę – jakim to cudownym sposobem przybyłeś w nasze strony z takiego dalekiego wielkiego świata?

Iwański, chcąc nie chcąc, powtórzył to, co na wstępie powiedział już pani Jurczakowej. Ale powtórzył sucho i bez serca. Jurczak swoim zwykłym sposobem podtrzymywał opowiadanie:

– Aha! Tak, tak! No i cóż dalej?

– No i nic – kończył gość – teraz oto jadę na posadę...

– To znaczy – przerwał Jurczak – że teraz dopiero dobijasz się szczęścia! A my, braciszku, bez pogoni za szczęściem dawno jesteśmy szczęśliwi! Samo nam do rąk przyszło. Czyż nie prawda, kochanko?

Żona nic nie odpowiedziała. On pogładził ją lekko po twarzy, a Iwańskiemu zdało się, że to jego zgrzebłem po sercu gładzą.

– Teraz, przyjacielu, pójdziemy oglądnąć moje gospodarstwo. Co? Dobrze? Wieczór, jak na to, prześliczny.

Gość wypraszał się; mówił, że ksiądz musi być zmęczony, przyznał się nawet, że na gospodarstwie nie rozumie się wcale, ale nic nie pomogło. Gościnnie gospodarz koniecznie pragnął pochwalić się swem szczęściem.

– Oto stajnia na bydło! W całym dziekanacie nie ma takiego bydła. Czyste szwice. W zeszłym roku marszałek zapłacił mi za roczną jałoweczkę 100 złr. Nie wierzysz? Spytaj się żony. A to moje paradyery. Wojskowe wprawdzie, ale

jakie konie!... Bo to, rozumiesz, koło interesu trzeba umieć chodzić, aby było i tanio, i dobrze. A to moja stodoła. W tym roku zaledwie czwartą część wszystkiego zboża zmieścić mogła, bo musisz wiedzieć, że oprócz plebańskiego pola mam jeszcze i wynajęte. Mówią, że rola nie rentuje się. Kłamstwo! Jeszcze jak się opłaca! Ale trzeba umieć chodzić koło niej, trzeba być dobrym, dobrym gospodarzem...

Słowa „dobrym gospodarzem” wymówił jeszcze z większą dumą niż wtenczas, kiedy żonę za nalewki chwalił. Obejrzawszy oborę, wracali z wolna do domu. Gościnnie gospodarz mówił po drodze:

– Na drugi rok na miejscu tej oto rudery, stanie domek, jak pudełeczko. Pokażę ci plany. Wszystko już gotowe. Konkurencja rozpisana, ugoda z dostawcami zawarta, słowem – wszystko. I to, kochasiu, nie każdy z nas potrafi. Nie jeden mieszka, daruj za słowo, jak w chlewie. Bywają plebanie gorsze od moich stajni. Nie wierzysz?...

Iwański ani myślał przeczyć. Był on zupełnie czem innym zajęty. Na słowa gadatliwego kolegi prawie nie zwracał uwagi. Zajęty był inną mową – tą, która płynęła ze strun, z pod jej palców.

W nieobecności męża, ona dalej grała, a Iwańskiemu zdawało się, że ten czarny i martwy instrument, to jej jedyne lekarstwo, ostatnia deska ratunkowa, jedyny powiernik biednej nieszczęśliwej duszy.

I zrobiło mu się na sercu tak ciężko, że chciał płakać, przeklinać, słać protest do nieba i świat cały wyzywać do nierównej walki.

– Jak widzisz, przyjacielu, powodzi mi się jednym słowem dobrze, a byłoby jeszcze lepiej, gdybym miał żonę gospodynią. Tak, tak! Ja wcale na nią nie narzekam. Broń Boże! Cicha jest, spokojna, mało wymagająca. Balów jej się nie zachciewa ani żadnych wizyt. Ale, jak to mówią, mąż i żona nawet sen jeden mieć powinni. Prawda?

– Prawda! – odrzekł Iwański, z trudnością kryjąc wzruszenie. – Masz słusność! Mąż i żona nawet sen jeden mieć powinni.

Siedli na ławce pod lipą. Z domu dolatywały do nich dźwięki fortepianowe. Raz przewlekłe, tęskne i melancholijne, to znowu silne, burzliwe, jak żal, który przestaje być żalem, a staje się obłąkaną, prawie szaloną rozpaczą...

Na dworze robiło się coraz ciemniej.

## Siedem szlafroków

Siedzieliśmy w przedziale ściśnięci jak śledzie w beczce. Jedni na ławce, inni na pakunkach, jeszcze inni na podłodze.

Dzieci jak wróble na płocie posiadały na półkach na górze.

Machają nogami.

„Nie machaj, bo jeszcze kogo w głowę uderzysz!”

Okna szczelnie zamknięte. Nie ma czym oddychać.

Uciekinierzy nie dbają o wygody. Cieszą się, że dostali się do pociągu, bo wróg deptał im po piętach. Wróg, którego ani oni, ani ich ojcowie na oczy nie widzieli.

Powiadają, że wszystko pali, płąduje, morduje, a ludzi świadomych i aktywnych na Sybir wywozi.

Wróg to straszna rzecz! Chociaż właściwie każdy z nas pojmuje, że naszym wrogiem jest cały świat. Ale jeden wróg drugiemu nie równy.

Bywa wróg skryty, a bywa i jawny. Skryty syczy jak żmija zaszyta gdzieś w gąszczu, jawny rzuca się na ciebie niczym rozjuszony zwierz.

Przed nim też uciekaliśmy.

Dokąd? Przez Karpaty na Węgry.

– Gadają, że Węgrzy w Satmar-Nemet, na przejściu granicznym, jak kto papierów nie ma, to do niego strzelają.

– Słyszałem, że gonwedy\* nawet tam nie doprowadzają, po drodze kolbami roztrzaskują głowy.

– To po cośmy uciekali? Lepiej było zginąć w domu.

– Lepiej to jest tam, gdzie nas nie ma – rzekł staruszek. W przedziale na chwilę ucichło.

W kącie pochlipuje kobieta, której zginęło dziecko. Tłum porwał ją, wypuściła dziecko z rąk, a dziecko poszło pod nogi.

– Nie płaczcie, może kto podniósł. Są jeszcze dobrzy ludzie na tym świecie. Dziecko nie zginie. Matka Boska ma dzieci w swej opiece...

Ale kobiecina nie słyszy słów pocieszenia.

Pociąg gwizdże.

– A ja swoją krowę na pole wygoniłam... Przecie ze sobą jej nie wezmę, bo kolej nawet ludzi nie może pomieścić. Tyle ludzi! No i rób co chcesz! Jak ona smutno ryczała!

– Co tam krowa! Widziałam, jak dzieci matkę starowinę zostawiły, bo na nogi choruje. A ta tak płakała, że ludzie uszy zatykali.

---

\* Gonwedy – pospolite określenie żołnierzy armii austro-węgierskiej, Węgrzy z pochodzenia. Na ziemiach ukraińskich cieszyli się złą sławą.

W przedziale znowu ucichło. Postukują koła. Na zakręcie wagon przechyla się.

– Tyle ludzi się napchało, że te wagony jeszcze gdzie w przepaść polecą!

– A czy my nie pędzimy w przepaść?

Za oknem migają słupy telegraficzne i podskakują pochylone wierzby – takie jak u nas.

Dwie głowy nachylają się ku sobie. Szepcą, żeby inni nie słyszeli:

– W naszej wsi co wierzba, to ktoś wisi na niej. Gadają, że to za zdradę – ludzie Moskalom znaki dawali. A to siano ktoś gromadził i widły wbił w kopę, a to ktoś białą krowę na pastwisko wypuścił, a kogoś za to, że dzieciaki pod lasem ogień rozпалиły. A ludzie nawet nie wiedzą, co to jest ta zdrada. Mordują naszych.

– Cicho!

Naprzeciwno mnie siedzi jakaś paniusia. Młoda jeszcze i widać, że ładna. Drobne białe dłonie, włosy starannie uczesane. Ale ubranie całkiem nie pasuje do niej. Jakaś podarta bluzka, podomka. Wskoczyła do wagonu jak stała. Teraz wstydzi się takiego odzienia – nie przywykła. Delikatnymi palcami wygładza pogniecioną spódnice, a kiedy spojrzeć na nią, oczy spuszcza w dół, pod ławkę.

Nie wytrzymuje w końcu spojrzenia i mówi, jak by siedem dni nie jadła:

– W domu, w szafie zostawiłam siedem szlafroków.

Dziewięć lat mija, a do domu nie wróciliśmy. Nasz pociąg wciąż podąża w nieznane. A w przedziale wciąż siedzi młoda i ładna kobieta w brudnej bluzce i podomce. Zadbanyymi dłońmi wygładza spódnice, a kiedy na nią spojrzeć, to, zawstydzona, wyjaśnia ci, że w domu siedem szlafroków zostawiła. Siedem szlafroków!

Tłum. *Ola Hnatiuk*

## Marko Czeremszyna (1874-1927)

Marko Czeremszyna (właśc. Iwan Semeniuk) urodził się w 1874 r. na Huculszczyźnie we wsi Kobaki (pow. Kosiw). Po ukończeniu gimnazjum w Kolumny rozpoczął studia prawnicze w Wiedniu. Był członkiem studenckich organizacji „Sicz”, „Towarzystwo studentów z Rosji”, które organizowały wieczory poetyckie, dyskusje, obchody jubileuszowe. Po ukończeniu studiów przez pięć lat pracował jako prawnik w Wiedniu, a w 1906 r. przeniósł się do Delatyna, niewielkiego miasteczka w pobliżu Nadwórnej. W 1912 r. otworzył własną kancelarię adwokacką w Śniatynie. W okresie I wojny światowej przeniósł się do rodzinnej wsi Kobaki, której jednak wojna nie ominęła. Pisarz prowadził wówczas dziennik, w którym odnotowywał wydarzenia wojenne w tym regionie. Do Śniatyna powrócił po wojnie i mieszkał tam do końca życia.

Iwan Semeniuk zadebiutował w 1896 r. na łamach czerniowieckiej gazety „Bukowyna” opowiadaniem *Kermanycz*, pod pseudonimem Marko Czeremszyna. W okresie studiów pozostawał pod wpływem niemieckiej literatury modernistycznej. Powstał wówczas szkic *Neczajanna smert'*, cykl poezji prozą *Łystky*. Krytyczne uwagi Iwana Franki i Osypa Makoweja spowodowały, że Czeremszyna zwrócił się ku wiejskiej tematyce. W 1899 r. na łamach „Literaturno-naukowego Wistnyka” ukazały się zredagowane przez Frankę dwa opowiadania z życia wsi huculskiej: *Swiatyj Nykołaj u harti* i *Chiba darujemo wodu*, w latach 1900-1901 pojawiają się dalsze utwory, które następnie weszły do tomu opowiadań *Karby. Noweły z huculśkocho žyttia*, wydanego w 1901 r. nakładem studenckiego towarzystwa „Mołoda Ukraina”. Od tej pory Czeremszyna zaczął uważać swoje pisarstwo za obowiązek, swego rodzaju powołanie. Uważał, że w ten sposób spłaca dług wobec rodzinnej ziemi. Podobnie traktował pracę zawodową adwokata. Wpłynęło to w istotny sposób na kształt jego twórczości.

Tytułowe opowiadanie zbioru jest utworem autobiograficznym; karby to w mowie ludu grzechy, za które przyjdzie odpokutować po śmierci, w utworze tym to także trwałe ślady, jakie pozostawiły w pamięci autora doznane urazy i nieszczęścia. W odróżnieniu od wcześniejszych utworów – poezji w prozie, nazbyt sztucznych, nieco melodramatycznych, *Zwedenycia*, poetycka opowieść o losie huculskiej dziewczyny, uwiedzionej przez pana, wydaje się niezwykle autentyczna. W tekście pojawiają się charakterystyczne dla pieśni ludowej rozmiary, autor wykorzystuje także paralelizmy. Mimo to opowiadanie nie przekształca się w utwór balladowy – pozostaje autentyczną opowieścią o niedoli,



na którą z racji swego pochodzenia skazana jest bohaterka. Tomem opowiadań *Karby* zdobył Czeremszyna uznanie galicyjskiej krytyki i czytelników. Mimo to pisarz zamknął na niemal dwadzieścia lat. Milczenie to krytycy wyjaśniali w różny sposób, sam autor jednak wskazał na dość prozaiczny powód – praca niesamodzielnego prawnika nie pozostawiała mu czasu na twórczość. Dopiero wydarzenia I wojny światowej przerwały milczenie pisarza. Powstaje wówczas cykl opowiadań *Selo poterpaje*, wydany w Kijowie wraz z kilkoma wcześniejszymi utworami pod zmienionym tytułem *Selo wyhybaje*. Cztery lata później ukazał się ostatni tom opowiadań Czeremszyny *Werchowyna* (Kijów 1929), w którym autor ukazał huculską wieś w zmienionych politycznie warunkach – Huculszczyzna znalazła się wówczas w granicach II Rzeczypospolitej.

Czeremszyna nie wyszedł w swojej twórczości poza małe formy prozatorskie – opowiadania, nowele, obrazki, szkice. Najczęściej przedstawiał w opowiadaniach postać ubogiego Hucuła, borykającego się z przeciwnościami losu. I choć różne są charaktery bohaterów, ich losy są podobne. Autor realistycznie pokazuje zwykłe wydarzenia w życiu Hucuła, jednakże dzięki umiejętnemu wykorzystaniu folkloru i umiejscowieniu akcji na tle karpackiego krajobrazu, świat przedstawiony w opowiadaniach widzimy niejako od wewnątrz, to znaczy oglądamy go tak, jak widzi go Hucuł, słyszymy jego mowę – przepiękny dialekt, widzimy obrzędy, obserwujemy bogaty świat wewnętrzny bohaterów, ich wierzenia, sposób myślenia. Kiedy bohater przeklina – przeklina jak Hucuł i biada temu, kto znajdzie się w mocy przekleństwa! Kiedy zaś umiera, żegna się z tym światem, jak na Hucuła przystało. Pisarz dokonał rzeczy ogromnie trudnej – połączył literaturę i folklor. Ta symbioza decyduje o niepowtarzalnym charakterze twórczości Czeremszyny.

*Ola Hnatiuk*

## Karby

W garście je brałbym, to zielone sioło, pieściłbym jak drobniutką, pachnącą otawę, gładziłbym niby pawia.

Patrzcie: kołysze się pomiędzy górami jak dębowa kołyska we wieńcu, kwiaty rozsiewa.

Chciałbym te kwiaty pozbierać, wiatrom nie dać, w sadzie je posadzić. Lecz ilekroć dłoń moja sięga po nie, tylekroć grobu dotyka.

Suche, namogilne kwiaty na cmentarnych, zmurszałych krzyżach.

A choćby je pozłota złocić – nie poweseleją.

A choćby je rosą rościć – nie wypięknieją.  
Tylko je do serca tulić, tylko nimi wieczyście swoje serce krwawić.

\* \* \*

Niechby raz słońce na skalnym wierchu usiadło, niechby raz na tę wieś spojrzęło.

Zimne, czarne dłonie przysłonią je, nieme oblicza je przerażą. Chmurami je zakryją, lodem zmrożą.

W zanadrzu chowałbym te chmury, grzałbym je koło serca.

Aby się tylko zmieściły, aby mi serca nie rozgniotły!

Płacze po górach idą, tęczami góry opasują. Halne wiatry grają na nich. Już były i już ich nie ma – pieśni żałosne.

Zorza rosą je obmywa, jakby z nich miód spijała.

Takie to sioło ciche, takie w rosach całe.

Niby trumna w grobie mokrym, pomiędzy mogiłami...

\* \* \*

Brać je, pieścić i gładzić, do piersi przytulać.

Serca tylko strzec, bo ono wam serce okrwawi, karby głębokie w niem wybrzdzi.

## I

Ojciec pięścią o stół grzmocił i groził Pietrkowi, że go utopi, bo swawolny jest i jadać chce dużo.

Pietrek uciekał do dziadka i sinemi ustami szeptał, że nie boi się ojca, bo z dziadkiem pójdzie.

Wtedy miękł ojciec i odstępował go dziadkowi.

– Biercie go sobie, gdzie chcecie. Nie daliście mi wiana, więc czym ich wykarmię?

Dziadkowi ręce drżały, kiedy głaskał Piotrka.

– Nie troszczcie się biedaki, to grzeczny wnuk, on mię się słuchać będzie, on będzie babce pomagać.

A matka płakała.

Pod górę wziął dziadek wnuka na plecy, aby się na dół nie stoczył, jak jabłko. Babka stała już przed chatą i oczekiwała swego wychowawca.

– Chodź do babki, Piotruś, chodź prędzej, zostaw dziada!

Później zaprowadziła go do chaty, dała ligawkę i prawila, że będzie spał na przypiecku, nóżkami do pieca. A dziad obiecywał, że mu kupi długą fujarkę na ośm palców.

– I kapelusz miękutki kupię ci, a babka piórami ubierze.

Piotrek rozglądał się po izbie i widział obrazy, stół, półki, takie same, jak w chacie ojca. Jenó piec był inakszy, kafłowy, malowany. Dziad posadził go na kolanach i dawał pozór, aby z garnków nie skipiało. Pokazywał palcami strzelców, wymalowanych na kominie i opowiadał, jak to oni Tatarów i bogaczy rżnęli i smołą gorącą piekli... I obiecywał, że mu ładną strzelbę sprawi i toporek zrobi.

W tydzień później odwiedziła go matka. A Pietrek taki bielutki, taki wyczesany, jak gołąb. Opowiadał, jak mu dobrze u dziadka. Chwalił się, że razem z dziadem i babą na ławie obiad i wieczereć jada. Pokazywał ligawkę, krepcie i onucki czerwone i pytał się matki, czy już dość wielki, i czy nie mógłby Tatarów i bogaczy strzelać tak, jak ci strzelcy na kominie.

Dziadek i babka chwalili go, a matka cieszyła się synem.

Na odpust przyszli wuję i wujenki z sąsiednich wsi. Dawali Pietrkowi obarzanki i nazywali go grzecznym łeginiem<sup>1</sup>.

– Macie dziadku ładnego wnuka, niech się w zdrowiu chowa!

– To mój gospodarz, na wieczór dziadka rozzuwa, fajkę mu zapala.

– O nie, to babczyn wnuk. On babce garnków pilnuje, pianę z wrzątku zbiera.

Błada twarzyćka chłopca okrywała się rumieńcem i chowała się za spódnice babki.

– A jakie dobre, jakie to mądre, żebyście wy się przypatrzyli!.. Nieraz powiadam do baby: Boże uchwaj, aby nam ludzie nie urzekli naszego parobka!

– A pójdź-no tu Piotruś!

– Idźże, pocałuj wujenkę w rękę...

– Ładnie, abyś duży urósł!

– A tę wujenkę, a tę? A teraz wujkowi!.. Mówię wam, takie dziecko, że to! Ani opowiedzieć!

Po przekazce dziadek dalej bawił gości wnukiem.

Pietrek nigdy jeszcze nie widział tylu nieznajomych ócz, które na niego patrzyły. Omijał je jak ogniste promienie, od których rozpalał się i tajał. Wujenki głaskały go, jak białe kurczę, aby się z niemi oswoił. Ale on, jak pstrąg, wyślizgiwał się z ich dłoni, uciekał pod stół i zakrywał się zwisającym ze stołu obrusem. Wtedy miast pochwał dostawał przygany, i z dziadkowego wnuka zmieniał się w dziecko babki. Ale i namowy babki nie mogły go wywołać z ukrycia, jak długo dziadek nie usiadł na progu i nie zagrał «hucułki» na ligawce.

– A teraz dziad ci każe «hajduka» zatańczyć, aby wuję i wujenki widzieli...

Wówczas chłopczyna nieśmiały od razu się przeinaczał, podskakiwał, przysiadł i po ziemi bił dłońmi...

– Hej-hop, hejże-ha!

– Jaki tancerz sławny!

---

<sup>1</sup> Parobczak

Chudokościste, zakurzone oblicze dziada promieniało pod siwymi jak wiśniowy kwiat włosami, a radość jego przelatywała na twarze gości. Wujenki ośmiały się i śpiewały długimi, krętymi głosami, a wuję przytupywali nogami.

A kiedy Pietrek odtańczył już swoje, dziad wygrywał takie żalosne pieśni, że wszyscy goście głowy na dół spuszczaali, jak ptaki deszczem zbite, a babka wzdychała głęboko. Pietrek posepniał na widok takiego smutku i pilnie nadśluuchiwał, kto temu winien. Ale nie mógł się niczego dosłuchać, bo starzy stękali, narzekając na ciężkie czasy, a dziadek wspominał dawne, lepsze od dzisiejszych, jak to zwykł był w codziennych rozmowach z babką czynić. Łamał ręce i wyrokował, że cała Huculszczyzna na dziady schodzi. Aż kiedy rozmowa zeszała na zięcia dziada, na jego córkę i ich dzieci, chwycił Pietrka taki żal za serce, że łzy występowały mu na oczy, jak rosa na niebieskie kwiaty. Mało, że na głos nie płakał, ale się musiał zmóc, bo babka groziła mu, że go nazad do ojca odprowadzi i że mu tam palce gryźć dadzą. W ten sposób hamowała płacz chłopca i żal do serca zawracała.

A goście też kazali mu się wstydzic, że ma takie miękkie serce.

– Jak długo jesteś u dziadka, to nie płacz, jeszcze ten czas nie przyszedł, abys płakał...

Na wielkanoc ubrała go babka strojnie i poprowadziła z dziadem do ojca w odwiedziny. Po drodze pisanki z zanadru wyjmowała i rozdawała ludzkim dzieciom, aby Bóg umarłym grzechy odpuścił.

– A kiedy my, Pietrku, pomrzemy, to ty będziesz za naszą duszę dawał, abyśmy mniej karbów u Boga mieli.

Pietrek nieraz już widział pogrzeb i slysział głośne żałośliwe płacze, a razem z nimi i mowę o karbach, których się nawet i starsi ludzie bali i na wspomnienie których posepnie wzdychali, jak przed złowieszczą, czarną chmurą, lub przed dżumą jaką. W jego chłopięcej wyobraźni występowały one, jak groźne, ciemne, straszne wrogi jego rodziny, wujów, ciotek i całej wielkiej wsi.

– Nie bójcie się dziadku i wy babko, jak mi strzelbę kupicie, to ja te karby co do nogi wystrzelam!

## II

Stało się jednak tak, że dziadek nie doczekał się pomocy od swego wnuka. Jak tylko Pietrek wychodził swoje lata do szkoły, pochowano dziadka, a ojciec odebrał Pietrka od babki i oddał go w obce ręce do dalszych szkół w mieście.

– Kiedy pracować nie możesz, to chwytaj się pisma, bo gazdą nie będziesz.

Ot tak, jak gdyby się burza zerwała i z zielonego sadu odłamała młodziutką gałązkę i na moczary, pomiędzy wikliny zaniosta. I jak gdyby w tem miejscu rana się rozwarła i jedno życie, jedno ciało na dwie nierówne części rozdzieliła.

Starął się ten ból przeboleć, tę ranę zabliznić. Giął się do dołu, jak łoża od wiatru, milczał, jak nieznany grób i darmo oczami szukał kwiatu paproci.

Bolu nie przeboleał, rany nie zagoił.

Trzepotał się jak ptak w klatce i jeszcze bardziej kaleczył.

Upadał bez sił i spoglądał na odcięte życie, na młodość swą jasnoskrzydłą i zakradał się do swojej wsi, nieraz jak złodziej.

Widział łąkę mogiłami pokrytą, czerwoną pożogą skrwawioną; słyszał żałosne jęki po karbowanych kościotrupach, poznawał je i płakał.

Wstrząsał się i budził ze zboleć, pokarbowanem sercem.

Sam siebie nie mógł poznać w pańskim ubraniu i ludzie go poznać nie mogli.

Wstydził się każdego kroku i przed ludźmi uciekał. A na lato, jak na skrzydłach do domu leciał.

Babka z radości aż w dłonie klaskała i mówiła do matki:

– Masz łaskę u Boga, że dał ci takie dziecko. Patrz, jaki pyszny, jaką pańską ma twarz.

A kiedy Pietrek w niedzielę stał w cerkwi, obok diakowskiej ławy, to babka oczu z niego nie spuszczała i wszystkim kumoszkom w babińcu o nim opowiadała.

– Powiadam wam, dziecko, jakiego poszukać. Uczy się w wysokich szkołach, a mnie w rękę całuje. A tak się tego pisma chwytą, że paniczów uczy i rodzicom pieniądze posyła. Wielką ma głowę!

A gdy kumoszki zwróciły rozmowę na to, że on co do zdolności nie jest ani do ojca, ani do matki podobny, jeno do swojej babki, to ona z wielkiej radości mówić nie mogła, tylko głową kiwała i oczami swemi z pod siwych brwi mierzyła Pietrkową głowę.

Gazdynie okrzykli Pietrka i wypytywali go o rozmaite różności ze świata, a babka zaraz gdzieś z boku stawała i pomagała wnukowi odpowiadać.

– To moiściewy, nie na naszą głowę taki rozum, nie!... to trzeba by oczami jeść.

Gazdowie chcieli ją przekonać, że chłopca nie trza tak chwalić, ale babka ciągnęła Pietrka za rękaw do domu i nie dawała się gazdom przegadać.

– Nas choćby kto w ciemię bił, to niczego by nie wybił, och, nie wybiłby, moi wy kochani.

Na tańcach łeginie brali Pietrka między siebie, nazywali go strzyżonym urlopnikiem i prosili, aby tańczył polki. Dziewczęta uśmiechały się, ruszały ramionami i wstydziły się tańczyć z obstrzyżonym.

– A gdzie są twoje pawie, Piotрку?

– Gdzie toporek karbowany?

– Gdzie twoja strzelba?

Aż baba na nie gniewać się musiała.

– Niby to on patrzy na was, niby to wy z nim równać się możecie? Taką jeszcze bielutką panią przyprowadzi, że w rękę ją całować będziecie musiały...

Ale dziewczęta jeszcze śmieiej śmiały się i słowa baby przekpiwały. Tylko jedna czarnobrewa Kalina Nestorijewa nie odzywała się, żalem serce, a smutkiem twarz okrywając.

Przypominała sobie, jak z Pietrką owce pasła, śpiewki śpiewała, wyszywki szyła, na wigilię orzechami go częstowała.

Niejako chwytła słowa owe, któremi niegdyś Pietrkowa babka do niej przemawiała, nazywając ją swoją synową. Jak za umarłym tęskniła za Pietrką.

Po tygodniu słoty baba zaodziewała płachtę i szła z wnukiem do lasu na grzyby.

Oboje w trawach brodzili, po kolana rosą okryci. Przez okop do «kamery» zacierali, a widząc grzyby gęste, jak rozsądę, szli i zbierali.

Przyszedł leśny. Rozkrzyczał się na babę, odebrał kosz i zdarł z niej płachtę. Baba broniła się i błagała go, jak dziecko. Leśny odtrącił ją tak, że upadła. Pietrkowi złość mowę odjęła i stał jak przyrośnięty. Ujrzał go leśny i, rzucając kosz i płachtę, rzekł z półśmiechem:

– Wstydz się pan ze starą chłopką grzyby zbierać, pan gimnazjalista!...

I poszedł dalej.

Baba, przyszedłszy do siebie, cieszyła się koszem i płachtą, jak darowizną jaką, a równocześnie biła się w piersi i jęczała, narzekając na samą siebie, że jeden karb więcej na sumienie wzięła.

A Pietrek czuł, jak w jego serce wrzynał się karb nowy...

### III

Jeszcze liście z drzewa nie opadły, jeszcze ziemniaki bogaczów nie dojrzały, jeszcze konopie w stawach nie wymokły, kiedy się Pietrkowej babce umierać zachciało.

Zmierzchało się.

Skrzydlate, ciemne cienie siadały na ścianach i czekały, jak wiejskie grabarze nad grobem. A światło pędziło je w kąty.

– Będę umierać, Pietrku.

Matka świecę w dłoni jej przytrzymawała i kiwała głową, że baba będzie umierać.

– A co was boli, babko?

– Całe ciało boli mię, niebogo.

– Może lekarza przywieźć?

– Nie trzeba, nieboże! Przyszedł czas i koniec. Bogacze wzywają i co z tego? Alboż to my mamy skąd?...

– Dobrze dziecko... – szeptała babka i starała się rękę podnieść, aby wnuka pogłaskać.

Drobne łzy rozlały się po jej zakrzepłej i woskowej twarzy i tajały w niej podobnie, jak krople rosy w przepalonym sianie.

– Babka chce, synku, abys się z nią na śmierć pożegnał – zgadywała matka chęci umierającej.

Piotrek chwycił ręce babki, całował je i płakał.

– Przebacz mi, Pietrku!

– Niech ci Bóg przebaczy, babko!

– I po raz drugi!

– Niech Bóg przebaczy!

– I po raz trzeci!

– Niech Bóg przebaczy!

Cisza łzami obmyta, przewiała przez izbę.

Baba po powale przestraszonymi oczami wodziła i rękami jakby rój much od siebie odpędzała.

Karby! karby! – jęknęła z ciężkim wysiłkiem.

– To już, nieboże, karby babce się przywidują.

Pietrek pomimowoli spojrział na powałę, ale prócz okopconych, starych belek, niczego nie ujrzał.

Baba przymykała oczy i chyliła na dół głowę, jakby kryła się przed skałą z góry lecaącą.

– Babko, babko, nie bójcie się żadnych karbów, wy jeszcze wróćcie do zdrowia...

Babka byłaby przeczyła wnukowi, ale nie mogła, więc zamiast niej matka odpowiedziała:

– To tak, synu, każdemu umierającemu pokazują się przed śmiercią karby, na duszę czekające. Tobie Bóg dał taki los, że w szkołach się uczysz i rozum wielki mieć będziesz. To będziesz wiedział lepiej, co grzechem, a co nie. My zaś, synku, bez nauki, nie wiemy. A choćby się i wiedziało, to w biedzie się nie pamięta, nie baczysz się, co się robi, a to wszystko na duszę idzie. Co grzech, to karb na lasce u Pana Boga i na duszy karb. Nie odda się długu, weźmie się patyk z lasu, zaklnie się, i już jest ono u Pana Boga zakarbowane. A za każdy karb trzeba karę przyjąć. Gdybyśmy się to strzegli, gdybyśmy się chronili...

– Karby! Karby! – jęczała baba i wyprężyła ręce.

– Nie bójcie się, mamó, Bóg z wami. Zostawiacie przecie dzieci, one modlić się będą do Boga, aby wam karbów umniejszył – jak mogła, pocieszała córka.

– A może Pan Bóg pozwoli, że mój Pietrek na księdza się wyuczy, msze za was odprawiać będzie i Bóg wam karby daruje!...

– Daruje wam, babko, daruje...

Oczy baby po raz ostatni spojrzały serdecznie i mile na Piotrka, jak na jedyny ratunek i pomaleńku lodem zamarzały...

\* \* \*

Poszedł w szeroki świat. W serce jego coraz głębsze wdrażają się karby...

## Dziad

Kłótnia w ten sposób się skończyła, że stary Cziurej odosobnił się od dzieci i od dzisiejszego dnia śpi na podwórzu, a dzieci w chacie. Im do niego nic, a jemu do nich, choćby się chata waliła.

I dziad skurczył się pod chlewem na wiązce mierzwy, ale powieki się nie kleją, a w głowie kotłuje.

– Żebyście się wtedy dorobili, jak woda w górę popłynie, żebyście się tego samego od swoich dzieci doczekali. Tak wam życzę, jakim wam ociec, jakim wam ten grunt zapisał...

– Ale jak mię zięć częstuje, to niech tam, bo to cudze dziecko, to za to, żem go do gruntu sam przyjął, że mi rozum odebrało. To za tę łączkę – masz dziadu poza uszy, a to za tę chałupę – między ziobra... – mówi.

– Niech mię szturka, niech miętosi, niech tłucze, ani pisnę, bo to mój rozum.

– Ja nocy nie dosypiał, jeść nie dojadał, byle co do chaty przyrobić. A teraz, co ruszysz, to nie twoje, prawa do tego nie masz.

– Za koneweczkę masz dziadu między oczy, abyś wiedział, jak pracę przepijać.

– Buch między oczy, buch! I cicho stary, bo to twój zięciaszek miły tak cię hoduje.

– Ale masz ładną pociechę, masz kochaną córkę...

– Bij, powiada, marnotrawcę, gdzie ino widzisz, bij! Ja przez niego koszuliny nie mam!...

– Bogdajbym cię był maleńką na śmiertelnej ławie położył, bogdajbym cię był nigdy nie miał!...

– Czy to ja ciebie niszczę? Ja swoją pracę niszczę.

– Nuże Nasto, wstań z grobu, a zobacz, jak twoja córka swego ojca szanuje!

– Bij, powiada, bij lepiej! Co wlezie...

Dziad obrócił się na drugi bok. Głowa jego rozlatywała się, wszystkie stare kosteczki trzeszczały i rozskakiwały się, jak spróchniałe trzaski, wszystkie żyły targały się, wszystka krew do ziemi sphywała. Tak mu się zdało. Oczy chciały się gniewnie na chatę popatrzeć, lecz nie mogły; mgła je zasłoniła.

Choćby teraz wszystkie chaty we wsi gorzały, choćby się w nich jego dzieci piekły, on nie kiwnąłby palcem. To nie jego chata. Pot jął mu na czoło wychodzić.

– Ale ty, stary, odżyłeś swoje, to marsz z własnej chałupy, nie odejmuj dzieciom chleba od gęby! Ruszaj z chaty, patrz, nogi ci gniją: jakiej jeszcze nędzy czekasz?

– Jużeś się doczekał, masz ją! Patrz – sznur na szyję i «aus!» niech będzie zbrodnia na całą wieś.



- Ta wieś niech jeziorem stanie!...
- Kiedy się wieś splugawiła, to niech przepadnie. Po co wsi dla dziadów?
- Twoi rówieśnicy wyginęli, a ty po co dzieciom zawadzasz? Spójrz – Mykytiuków nie ma, Gelewiczów nie ma, Krasia zabito, nikogo już nie ma..
- A weź-że stary Czuriejcu sznur na szyję, niech młodej Czurniełyni będzie przestronniej na świecie!
- Przecie ty numeru nie masz, przecie ty nigdzie się nie piszesz. Twój zieć się pisze, a ty nie, boś taki miał rozum.
- Ech! Aleś się nażył, nabył! Teraz na psią mać!...
- Niech wisielca chowa, niech ludzie to miejsce mijają.
- Tak grzeczne masz dzieci!
- Tak, tak, grzeczne, niech wisielca odcinają i niech się cieszą.
- Ech, szczeniaki, szczeniaki, gdybym tak miał siłę!
- Mój, bijcie dziada, jak hamana! Macie – bijcie! Lepiej...

Dziad podniósł małe, jak gruda ziemi, oblicze, aby go bili. Oblicze ruszało się, jakby się rozsypywało, a suche ręce próbowały sznurek. Wstrząsł się cały, jak podcięte spróchniałe drzewo, mające się stoczyć w przepaść, aby tam dognić.

Zarzucił sznur na szyję i chciał wstać, ale nogi nie dopuszczały. Chwytał się rękami ziemi i jęknął nie swoim głosem, niósł się i na powrót upadł; w końcu wstrzymał dech, naprężył się, dźwignął i powlókł się pod drzewo, pod to, które sam pod oknami zasadził i które tak pięknie wzrosło, jeno pochyło, bo na niem nieboszczka chusty suszyła.

\*

Noc ziemię przydusiła, by cicho leżała. Cała wieś wyrównała się, jak staw pode mgłą. Ciemność wszystko zakryła i niskie huculskie chaty, i wysoką cerkiew, i śpiących przy koszarach pasterzy i bydło i... ciało starego Czureja przed jego chatą...

Tłum. *Władysław Orkan*

## Mychajło Jackiw (1873 – 1961)

Urodził się we wsi Łesiwka na Bojkowszczyźnie w rodzinie chłopskiej. Uczył się najpierw w gimnazjum w Stanisławowie (1886-1890), a następnie w Bereżanach (1891-1896), z obu został relegowany za działalność w tajnych kołach oraz rozpowszechnianie nieprawomyślnych idei. Przez jakiś czas występował na deskach wędrownych teatrów, a po przybyciu do Lwowa (1897) zarabiał na utrzymanie jako urzędnik w towarzystwie ubezpieczeniowo-kredytowym „Dnister”. Tu zebrał materiały do jednej ze swych najbardziej znanych powieści *Taneć tinej* (1916-17). W tym czasie poznał Iwana Frankę, z którym współpracował w redakcjach wielu czasopism oraz Wasyla Stefanyka, a także Petra Karmanskiego, Bohdana Łepkiego, Wasyla Paczowskiego i in. Współredagował z nimi nowatorskie jak na owe czasy pismo „Swit” (1906), a następnie wspólnie z nimi założył grupę MOŁODA MUZA (1907). W 1914 r. został powołany do armii austriackiej, trafił do niewoli rosyjskiej, unikając tym samym udziału w walkach. Po wojnie redagował gazetę „Ukrajinske Slowo”, umieszczając swoje materiały również w czasopiśmie „Szlachy”. Na początku lat dwudziestych ograniczył pracę twórczą, poświęcając się działalności politycznej – działał w partii narodowo-demokratycznej. Po przyłączeniu zachodniej Ukrainy do ZSRR (1939) wstąpił do Stowarzyszenia Pisarzy Ukrainy (SPU), jakiś czas pracował w wydziale oświaty, a od 1940 r. w bibliotece lwowskiej filii Akademii Nauk. Większość życia spędził we Lwowie i tu też został pochowany.

Zadebiutował w 1899 r. sześcioma opowiadaniem opublikowanymi w czasopiśmie „Literaturno-naukowy wistnyk” (*Sobaka, Nedoumna, Szczo z robyty, Zatrojena Szpylka* i in.). Jego utwory drukowały także czasopisma „Swit”, „Diło”, „Bukowyna”, „Ukrajinske Slowo” i in. Niemal od razu zyskał przychylną ocenę krytyki literackiej. Na „ogromny nowelistyczny talent”<sup>1</sup> Jackiwa zwrócił uwagę Iwan Franko, również Łesia Ukrainka i Wasyl Stefanyk podkreślali oryginalność jego prozy (głównie w prywatnej korespondencji). Bardziej krytycznie odniósł się do twórczości pisarza Serhij Jefremow, choć i on, mimo że z założenia antagonistą modernizmu, dostrzegł nieprzeciętny

---

<sup>1</sup> I. Franko, *Zibrannia tworiw w pjat' desiaty tomach*, Kyjiw 1983, t. 33, s.10.

talent „drugiego (po Kobylanskiej) rzecznika modernizmu”<sup>2</sup>. Rozkwit literackiej działalności Jackiwa nieprzypadkowo zbiegł się z powstaniem lwowskiego ugrupowania MOŁODA MUZA. Publikował on wtedy nie tylko nowele i powiadania, ale również niewielkie filozoficzne przypowieści i miniatury poetyckie.

Najważniejsze cechy stylu pisarza zaznaczyły się już w pierwszych utworach (*U najmach*, 1894). Większość jego prac powstała pod wpływem modnych wówczas prądów umysłowych (Freud, Nietzsche) i artystycznych (symbolizm). Z tego też powodu w kręgu twórców skupionych wokół ugrupowania MOŁODA MUZA był uważany za autorytet w sprawach modernizmu. Petro Karmanski, znany ówczesny pisarz i jednocześnie przyjaciel Jackiwa, dostrzegł w nim twórcę, który wyprzedzał swoją epokę o kilkadziesiąt lat, mistyka i wizjonera<sup>3</sup>.

Poszukiwania Jackiwa, związane z odrodzeniem się w sztuce indywidualizmu i załamaniem organicznej koncepcji podmiotowości, znalazły swe odzwierciedlenie w analizie jakości organizujących osobowość. Przy czym wizja pisarza odnajdywała jednostkę w interakcji z otoczeniem jako sumę zjawisk świata zewnętrznego. Większość bowiem fenomenów psychicznych twórcy przeniósł do rzeczywistości obiektywnej. Rozszczerzone, fragmentaryczne ego uzupełniała w utworach sfera symboli, którą Jackiw określał, odwołując się nie do języka alegorii, ale do uniwersalnego źródła wartości. „Nagie abstrakcje, które nie posiadają swoich odzwierciedleń w ludzkiej mowie, ubierał w obraz artystyczny”, co słusznie, choć nie bez ironii podkreślił znany krytyk Serhij Jefremow<sup>4</sup>. Rzeczywistość literacką modelował Jackiw abstrahując od zasady logicznej ciągłości i prawa przyczynowo-skutkowego. Oniryczny charakter stylu Jackiwa podkreślały projekcje wizji i halucynacji, nakładanie się obrazów z życia codziennego i świata fantazji, a wreszcie wieloznaczność wypowiedzi.

Jackiw podobnie jak inni moderniści wybierał niewielkie epizody. Jednak w odróżnieniu od poprzedników (Kobylanskiej czy Kociubynskiego), przedstawienie danego typu psychicznego poszerzył o szczegółową charakterystykę, odsłaniającą cechy marginalne, znajdujące się poza dotychczasową koncepcją podmiotu, co było typowe dla europejskiego fin de siècle'u – niedołężność, kalectwo, choroby psychiczne... Tę tendencję odzwierciedlały również najbardziej nowatorskie w dorobku pisarza utwory dotyczące środowiska artystycznego. Wizja sztuki, przed którą stoi misja dotarcia do absolutu, była zarówno przedmiotem drwiny ze względu na swą społeczną nieprzydatność, jak i ubolewania nad tragicznym piętnem skazującym artystę na los męczennika. Sam Jackiw był bardzo sumiennym pisarzem – nie kładł się spać, jeśli uprzednio nie przygotował kartki papieru i ołówka, bywało, że pieczołowicie odtwarzał zapi-

<sup>2</sup> S. Jefremow, *Istorija ukrajinśkoho pyśmenstva w dwóch tomach*, Nju Jork 1991, t. 2, s. 266-277.

<sup>3</sup> P.-Karmanśkyj, *Ukrajinska bohema*, Lwiv 1936, s. 64.

<sup>4</sup> S. Jefremow, op. cit., s.267.

ski poczynione w nocy na ścianie<sup>5</sup>. W wielu utworach nastrojowi dekadencjemu towarzyszył czarny humor. Obraz przedstawiony w noweli *Diwczyna na czornim koni*, drastyczny i zarazem groteskowy, jest wizją mikrokosmosu pochłanianego przez rzeczywistość, leżącą poza świadomością przestrzenno-czasową. Fascynacja zjawiskami „kryjącymi się ponad ludzką uwagę”<sup>6</sup>, ich nieuchwytność i tajemniczość, dopełnia charakterystykę prozy Jackiwa, poszerzając ukraiński dialog o „europejską psychozę”<sup>7</sup>, eksponującą problematykę dotyczącą nowych zadań stojących zarówno przed literaturą, jak i przed samym pisarzem.

Larysa Szost

### Poemat dolin

Przodem jechał starzec na siwym koniu, obok szedł mały, białowłosy wnuk, dalej dwaj czarno-wąsy synowie na karych. Wyjechali o świcie z odpustu, teraz drzemali lub rozglądali się. Konie stapały noga za nogą, tak że chłopię bez trudu dotrzymywało im kroku. Kręta krzemienista drożyna wiła się pomiędzy brzegami, jarami i krzewami. Jeźdźcy zdrzemnęli się na dobre, tylko chłopczyna się niepokoił. Oglądał się co chwila, bał się przystanąć i lękał się iść przodem.

Mignęła mu myśl, że gdy zostanie, zabłądzi w wertepach na wieki, a lękał się mieć za sobą dziadowego konia. Starzec tak się pochylił, że włosy zlewały się z końską grzywą w jedną biel. Za nim jechali stryjowie obok siebie, mając również zmrużone oczy. Nie to jednak niepokoiło chłopię, że wszyscy trzej spali i zapomnieli o niem. Lęk leciał wiatrem od dziadowego konia. Dziadów koń zionął płomieniami na plecy dziecięcia i nie pozwalał mu zostać ani iść z boku, ani też uciec na przód. Chłopczyna odwrócił twarz poza siebie i patrzył idąc. Koń sapał i stękał gwałtownie, jakby górę dźwigał, przytem oczy jego nie patrzyły na boki, jak u koni stryjów, lecz wpiły się dziko przed siebie jakgdyby oglądały piekło pod ziemią. Jeźdźcy chrapali...

Byli wśród czarnego jaru, gdy nagle koń dziada zarżał, uderzył kopytami i stanął, a za nim oba tamte.

<sup>5</sup> P. Karmanśkyj, *Ukrajinska bohema*, Lwiv 1936, s. 67.

<sup>6</sup> M. Jackiw, *Diwczyna na czornim koni* [w:] M. Jackiw, *Muza na czornomu koni*, Kyjiv 1989.

<sup>7</sup> P. Karmanskyj, *Ukrajinska bohema*, Lwiv 1936, s. 64.

Starzec przetarł oczy i wzdrygnął się, obaj synowie obudzili się również i spojrzeli w tę stronę za starcem.

Pośród jaru stały trzy ponure skały, jakby rzeźbione postacie, takie atoli, o jakich nie pisano, ani też słowem się nie wspomina.

Minęła chwila zdziwienia, starzec zdjął kapelusz, uczynił nim znak w powietrzu i krzyknął nieswoim głosem:

– Wio, siwy, w bożą drogę!

Wszyscy trzej i chłopię ruszyli z miejsca. Gdy już byli daleko, starzec zrównał się z obu synami i rzekł zcicha:

– Daleko jeszcze, przed tem jeszcze, miałem na myśli objechać ten jar dyabelski, lecz zapomniałem.

Starszy syn: – I gdzieś takie to wyrośnie z kamienia, że zgroza! Jakby dłu-tem wykuł!

– Oj, wykułby – przerwał młodszy – odpadłyby ręce, nim jąłbyś się do takiej roboty. Hu-u, aż mródz przejmuję!

– To, widzicie – mówił starzec – im większa pokuta, im większy grzech, tem mniej o nim słów, a za to każdy człek na swój sposób widzi w tem inną prawdę... Są jednak, którzy lubują się w czarnej mocy.

Tu starzec poprawił się zwawo na siodle, w nim obudziła się nagle młodość, wielka myśl tknęła mu duszę jasnym skrzydłem. Uśmiechnięty wpatrzył się przed siebie i mówił słowo za słowem dokładnie tak, jak szła myśl jego.

– Myślicie, że całe życie ludzkie, biorąc go takim, jakim ono jest, piękniejsze i lepsze od tych tam skał!? He-he-he! Tem ono lepsze, że go nie widać, że nie dotknąć ci go palcem i nie przywidzi ci się jak lada upiór. Bo gdyby je całe człek mógł wykuć w kamieniu, gdyby tak wszystko *naraz* przywidziało się w całej swej sile i prawdzie, to nie trzeba by gromu ni piekła.

Umilkli, nie drzemali już i chłopczyzna odetchnął.

Zjeżdżali z góry.

Dołem rozbiegały się parowy i wzgórze kępami kurhanów i mogił daleko i szeroko, obejmowały wielką toń, marszczyły się w dalekim błękanie, jak fala morza i zlewały się w końcu z krańcem nieba. Z toni wynurzały się cienie, ciągnęły włosy po zaczarowanym przezroczu, płynęły w rozpaczony nad ciemny łan lasu i kryły się w przepastnych roztokach. Na całej rozległej, samotnej płaszczyźnie ścielił się smutek dolin, mogiły i kurhany, te piersi dolin oddychały promieniami potężnie, aż stalowe błyski iskrzyły się i jaśniały, jak zbroja na śpiących rycerzach.

Starzec wsparł dłonie na kolanach, schylił głowę i zapatrzył się w świat przed sobą.

– Gdzie tu mój grób, gdzie tu mój grób? – pytał siebie w duchu.

Orlim okiem dojrzał maleńki pagórek, czerniejący w dali jak ziarno.

– Tyle wystarczy na schron dla jednego. Więcej atoli świata mieści się w oku, niż Józefatowa dolina, a jeszcze więcej w duszy, niż dojrzy oko. Tu czy tam mnie pochowają, wszystko jedno, ja zawsze będę w całej tej dolinie.

Niepohamowana moc szalonego bohaterstwa zapałała w jego piersi. Począł śmiać się, szlochać i rozmachiwać rękami. Już nie zjeżdżał, lecz zlatywał białym ptakiem w niezmierny niż, a ten porывał go tajemnymi czarami jak głębi morza. Odwrócił się i zawołał do synów:

– Spójrzcie tam! Czy znacie tę bajkę, co zaczyna się tak: Na krańcu świata, tam gdzie niebo schodzi się ze ziemią, żyją ludzie, nie znający nienawiści ani wojny, ani nieszczęścia, ani żadnego grzechu!

Synowie wypatrzyli się nań, a on zaśmiał się głośno.

– Widzicie, wyście młodzi, a nie wiecie, a ja mam stary i pamiętam, chociaż nawet nie słyszałem nigdy o tej baśni.

Tu susem zeskoczył z konia, odbiegł na brzeg perci, chwycił z za pasa pistolet i wskazał smrek, w dali rosnący.

– Patrzajcie, czy darmo chleb jadłem całe życie!?

Zabrzmiął strzał, na smreku zdarła się kora.

– Ano, jeszcze raz! – krzyknął, wyrwał pistolet starszemu ze synów i odbiegł jeszcze dalej.

Huknął strzał, kula trafiła w to samo miejsce.

– Ba, jeszcze raz! – rzekł młodszy syn i podał swą broń.

Zagrzmiał strzał i trafił w sam cel.

Synowie pokiwali głową.

Starzec dał cugle konia wnukowi.

– A jeszcze zbiedz by mi z tej ściany, jak dawnymi czasy, za młodu!

Synowie rzucili się ku niemu.

– Co wam, tato!?! Czarcie was opętali, czy jakie lichy?! Przecie kark sobie skręcicie! Spadniecie i tylko głowa wbije się w kadłub, że nie wydobyć jej potem!

Nim zeskoczyli z koni, stary pokulał stromą ścianą, a dołem wertep, aż świat kręci się w oczach, aż w piętach stygnie. Oniemieli, załamawszy ręce.

Stary chwiał się w przód, zdawało się, już, już leci na łeb, lecz poskoczył dalej, aż zatrzymał się na drożynie i skinął ręką na synów. Wyglądał tam jak mrówka. Synowie ruszyli ramionami, nie wazyli się jednak ni krokiem stąpić na ścianę. Dosiedli koni i zjechali boczną ścieżyną. Po jakimś czasie dotarli do starca, ten wsiadł na konia i jechali dalej razem. Patrzyli ukradkiem na ojca i zagłębiali się w myślach.

Za percią w dolinie ukazała się wieś. Pogoda była świeża i jasna, aż za oczy chwytała.

Starzec zlął z konia, pomyślał i kazał zsiąść obu synom. Stanęli koło niego, a ten mówił wskazując ręką:

– Hen, od tej drożyny aż do tego lasu, to będzie twoje, Fedorze, a to, od między do wiru – twoje, Juro...

– Ja, ojczec, mam swojej ziemi dosyć – rzekł starszy – dlatego odstępuję Jurze.

– A ja – podchwycił Jura – także mam dosyć, dzieci nie mam żadnych, dlatego odstępuję synowi najmłodszego brata, nieboszczyka, znaczy to, temu sierocie.

– Dobrze, niech i tak będzie, obie części przejdą na wnuka mego, tego jasnowłosego. Sam ja to miałem na myśli, nie śmiałem jednak powiedzieć, bo nie wiedziałem, jak wy myślicie, a nie chciałem też sprowadzać między was niezgody. Skoro jednak Bóg natchnął was taką myślą, jaką ja żywiłem, gdy miłujecie się i macie sumienie dla tego biednego sieroty, to bądźcie błogosławieni jako kłos żytny, krzepcy i zdrowi jak kryniczna woda, weseli jak wiosna, bogaci jak ziemia.

Całowali jego ręce, a on ich głowy. I jasnowłosego wnuka ucałował i posadził na swego konia.

– Teraz ty jeździć będziesz na nim, to twój koń.

W sercach synów obudziły się przeczucia. Obydwa przygryzali usta, by nie zapłakać na głos. Pachole spoglądało na nich świętym smutkiem.

Starzec zapatrzył się przed siebie i mówił urywanym szeptem:

– Przetęskniłem ja tutaj całe swe życie i zawsze w samotności i zadumie czułem, jak z tych oto mogił i dolin spoglądają na mnie oczy mego ojca, matki i pradziadów... Te oczy zawsze mię strzegły, jak oczy dobrych bogów, przemawiały do mnie i wiodły na jasne drogi... Czy po mej śmierci i wy uczujecie, jak ja będę na was spoglądał, strzegł.

Skłonił się ku ziemi i śpiewał złamanym głosem.

– Hej-hej, nastanie dzień sądu – Dzwony skroś zagrzmią – krew rzekami – białe koszule jakgdyby kaliną – dym czarny słońce zakryje – och matulo – taniec sądny.

Tłum. *Sydir Twerdochlib*

## Dziewczyna na czarnym rumaku

### I

Zżył się z samotnością.

Nieraz przychodziły myśli: gdyby tak osiąść na puszczy i na ludzi nie patrzeć. Nie narzekał na nich, lecz nie chciał ich widzieć. Nie mógł kochać ani nienawidzić.

Gdy poznał, że wszystko, co życie dać może, łatwo wywalczyć, wystarczało mu to i usunął się od znikomości. Czymże obecnie wypełnić nudę?

Wgłębiał się w prawdy wieczyste, znajdował w nich poezję i zapomnienie, niekiedy atoli budziły się wspomnienia, trapiły, sprowadzały z drogi i zaciemniały świat.

– Za wiele zostało we mnie serca i ono przykuwa mnie do dróg ludzkich – mawiał wówczas.

Tak mijał rok za rokiem.

Pewnego popołudnia leżał w pracowni, pogrążony w nudzie.

Nie znajdował niczego w przeszłości, nie znał przeszłości; całe życie, od dzieciństwa do dzisiaj, siebie tylko samego czuł na świecie. Skrzyżował ręce na głowie i myślał.

– Rodzice nie życzyli mi sobie, lękali się mego przyjścia na świat, ludzie obeszlą się beze mnie, cóż robić ze sobą?

Rozpacz toczyła go, toczyła powoli jak rdza, aż tu z dalekiej krainy przyleciało tajemnicze dziwo. Podniósł głowę, spojrział w okno, nadśluchiwał i pobladł. Oto wymarło miasto całe, a nad niem złote i czerwone światło. Powstał i cichymi krokami podszedł do okna. Z wielkiej ulicy wymiotła śmierć wszystko życie, w jednym z okien stał trup i z poza portyery patrzył w dół szklannymi oczyma. Po chwili, wolno, z krańca ulicy leciał zimny strach, morząc ciszę, a za nim dudnił tętent końskich kopyt, ukazała się dziewczyna na czarnym rumaku, jechała z wolna bliżej i bliżej, Darian patrzył z okna, a gdy nawróciła w bramę jego domu, on powłókł się i upadł na sofę.

Powolny stuk na schodach, otworzyły się drzwi, do pracowni weszła blada postać dziewczęca i usiadła obok niego.

– Jak się panu wiedzie?

Ruszył ramionami i milczał.

Wyszli do parku.

Szła wolno, pochylona i wpatrzyła się w ziemię.

– Słyszałeś pan może – szepnęła – że chwile moje nie długie?

– Tak, słyszałem... nie wiem atoli, w czym śmierć, a w czym życie, przecież pani umrzeć nie może.

Uśmiechnęła się gorzko i skinęła ręką.

Usiedli w gaju, gdyż ona uczuła zmęczenie. Napadł ją kaszel, ocierała oczy i chwytiała tchu. On wpatrzył się w promienie na zwiędłych listkach, a te migały, mieniły się i gasły.

– Przyszłam... niech pan wybaczy, że przemówię do pana, jak dawniej – przyszłam prosić cię o jeszcze jedną największą rzecz, jaka tylko być mogła kiedykolwiek w mem życiu.

Spojrział na jej smutek i zaledwie mógł przemówić.

– Mów, ja wszystko, wszystko dla ciebie uczynię. Duszę oddam, mów, ty znasz mnie.

Wysłuchała się w głos jego i serce, wspomniła dawną miłość, zapragnęła całą mocą raz jeszcze wejść w jego duszę.



Pytała w zamyśleniu.

– Tyś ciągle jeszcze smutny? Dlaczegoś ty wiecznie smutny? Dlaczegoś ty tak smutny, że twój smutek po naszej śmierci przykryje sobą siedem pokoleń?

Milczał.

– Tyś wielce nieszczęśliwy! Dziś poznaję cię tak, jak nikt jeszcze na świecie i widzę, jak cię skrzywdziłam i zaprzepąściłam twą i swą duszę.

Przypadła do nóg jego, lecz on wzbraniał.

– Gdybym mogła przynieść ci choć trochę ulgi.

– Powiedz, o co miałaś mnie prosić?

Zbierała resztki sił i tchu.

– Chcę byś ostatni z całego świata, jedyny żyw z tego całego martwego świata, pożegnał mię.

Przytulił ją do siebie, ona odtrącała go z chora rozpaczą.

– Nie chylaj się do mnie, we mnie śmierć.

Mówił szybko, jak dziecko.

– Nie lękam się niczego, wszystko mi jedno, nie chcę, nie mogę, nie będę żył bez ciebie! Powróć, najjaśniejsza Muzo moja, użycz mi rady, jak cię uratować... ja zniszczę...

– Nie mogę oprzeć się twojej mocy, lżej mi przy twojej piersi, będę z tobą wiecznie, nie zapomnij tylko pożegnać się ze mną...

Omdlała w jego objęciach...

– Przysięgam na wszystko, odwiedzę cię i pożegnaję się z tobą.

Towarzyszył jej i pomógł dosiąść rumaka. Uchylił kapelusza, ona przemówiła z gorzkim uśmiechem:

– Tyś już łysy, jak widzę...

– A tak, łysy, niebogo, łysy, ha-ha... Nie mogę rozwiązać, w czym śmierć, a w czym życie...

Głucho rozlegał się tętent w cichej ulicy, dziewczyna przepadła w mroku. Darian stał, uśmiechał się i powtarzał ostatnie słowa.

## II

Leżała na werandzie, w odemkniętej trumnie, bielejąc jak lilja na czarnym całunie. Girlandy dzikiego winogrodu zwieszały się z werandy, opodal w kącie gorzało światło na trójnogu, wieczór dumał na świecie.

Darian przytulił usta do jej oblicza leciutko, aby jej nie obudzić.

Liście szeleściły w parku, jej twarzyczka ożywiła się, Darian usłyszał cichutki szepot, jakby w swej duszy.

– Jam nie umarła, nie mam jednak siły się podnieść ani otworzyć oczu. Nie ruszaj mnie, nie budź śmierci, dobrze mi tak. Czuję cię przy sobie i oglądam ostatkiem snu, który ludzie wzięli za śmierć. Chwil kilka jeszcze twa moc mnie

utrzyma. Tchnąłeś we mnie miłość pierwszym pocałunkiem, pomniesz, wówczas dawniej? Teraz zamknij ją ostatnim.

Całował ją i szeptał.

– Biedna moja...

W szept jego wplatało się jej serdeczne kwilenie, jakby drgania anielskiej struny, gdy oddech wieczornego świata ją trąca.

– Przebacz, przebacz mi wszystko, jam niegodna, zламаłam twe szczęście –

– O! biedna ty moja –

– Tyś przyszedł do mnie w gościnę, a ja nie mam czem ugościć cię, popatrz, jakie me gospodarstwo –

– O! biedna ty, biednaż ty moja –

– Tyś dał mi serce, biorę je na tamten świat, a cóż ja tobie zostawię? Ostawiam ci w spuściźnie czary twórczości i to wystarczy na twą samotną, smutną istność na tej ziemi. I zmyje się szpetota mego życia... będę znów twym czystym aniołem, przewodnią Muzą.

Będziesz oglądał wieczyste prawdy, niewidziany świat, w jaki cię powiodę. Będziesz oglądał męki piekielne i rajskie rozkosze, będziesz jak słońce oglądał je, bo serce twe ja zabrałam...

A życie ziemskie—hej, hej, jakież ono biedne, jak te liście, co szepcą teraz w skonie modlitwę wiecznej znikomości.

Otworzyła oczy, po chwili zaledwie wymówiła:

– Mój koń...

Darian biegł naprzód.

Pijany żołdak włókł szablę jak ptak skrzydło złamane, na rogu ulicy zebrał stary wiarus, a gdy nikt nań uwagi nie zwracał, pozdzierał ordery, rzucił w błoto i poszterlekał, wałąc z całej siły okutą kulą w pierś ziemi. Dwie postacie darły się w mroku i jedna drugą ciągnęła w ciemności. Kobięce jęki żgały nożami w pociemkach.

– Gdzie mój mąż!? Oddajcie mi męża!

Na śmietniku siedział potworny matolek z wysadzonymi oczami, obgryzał kosteczki dzieci, zachodząc się od przyduszonego rechotu.

Nastała pora, co kryje się poza ludzką uwagą.

Posągi schodziły z cokołów i sunęły do gwarnej winiarni, na starem smętarszysku, powstawały mnichy i, odwaliwszy kamień od grobowca mniszek, leżli do nich na rozpuszę.

Darian biegł na przód.

Za nim sypały się skry.

## Malowany strzelec

Zaskoczyła mnie noc wśród głuchoj, ponurej ulicy w dalekiem, obcym mieście, więc stanąłem na nocleg w pewnej oberży.

Słudzy zachowywali się śmiesznie. Rzęzeli, wykrzywiali usta i odwracali się, aby się nie dać poznać. Prawdopodobnie wąsy i brody mieli przyprawione a brwi naczernione, lecz byłem tak zmęczony, że nie zwracałem na nich uwagi. Jedna tylko myśl mignęła mi: Że też szatan na całą swą menażeryę, nie mógł zdobyć się na coś ciekawego? Wkrótce zostałem sam, zamknąłem się na klucz i odetchnąłem swobodniej. Skręciłem lampę, położyłem się na łóżku i zacząłem się rozglądać. W całym pokoju najwyżej stało łóżko, stół był niski, jak dla dzieci, zamiast krzesel stołeczki, czerwonym suknem obite, zamiast szafy małeńka nyża z półeczkami. Powąła była równa, z dębowych desek, brzegami nie przystawała do ścian. Przebiegłem oczyma z powąły na okno. Było zasłonięte, a na zasłonie malowany strzelec.

Drzemałem wskutek wielkiego znużenia, lecz zasnąć nie mogłem. Nagle zbudził mnie lęk; zerwałem się na równe nogi. Nic nie zaszło, uspokajałem siebie, lecz dobyłem sztylet i położyłem się na łóżku. Spojrzałem na zegarek – północ. Skoro dotąd nic nie zaszło, to chyba już się nie zdarzy – pomyślałem. Ale na darmo uspokajałem siebie, niepokój mój rósł coraz bardziej. Wokoło ponura cisza, na kurytarzu najmniejszego szelestu. Oczy moje znowu spotkały się ze strzelcem. Trzymał rusznicę przy twarzy i mierzył do mnie. Spokojnie patrzyłem na niego, zbierała mię chętka roznieść go w kawały, ale powstrzymałem się i usiłowałem zasnąć. Leżę ciężki jak drzewo, znużony, ledwie czuję siebie. Lekki skrzyp, jakby ze strychu, tknął mnie głęboko, nie mogłem jednak ani ręką ruszyć, ani odetchnąć. Własna czarna niemoc i wszystka ohyda całego świata stanęła przede mną – poddawałem się zimno. Niech się dzieje co chce, – wszystko mi jedno... Gdyby się teraz waliły mury, jak podczas trzęsienia ziemi w Lizbonie, zakryłbym tylko ręką swoje znużone czoło na cichy, wieczny spoczynek. Tylko przez półsen, jak gdyby przez dym, widzę, że nad strzelcem zwiśla chmura, i z wolna opada na dół. Gorzki śmiech zamiera mi na ustach, nieświadomy snu, ani jawy, patrzę z pod ciężkich powiek i sam swoim oczom nie wierzę. Chmura opada na głowę strzelca i poczyna ją zasłaniać.

Ogarnął mnie strach i wściekłość. Zerwałem się z łóżka i osłupiałem – powąła była nad moją głową i opadała powoli! Błyskawicą przemknęła mi myśl, że podłoga w tej zbójcekiej norze, zapewne również ruchoma, stanąłem w tępej rozpacz. Rzuciłem wzrokiem po ścianach – żadnego gwoźdźcia, spojrzałem badawczo na brzegi podłogi – podłoga nie przystawała do ścian tak samo jak

czo na brzegi podłogi – podłoga nie przystawała do ścian tak samo jak i powała. Jeden tylko próg był przymocowany do drzwi, zresztą nic. Stałem na progu, przycisnąłem się do drzwi, rozłożyłem ręce na drzwiach i chyliłem się pod szatańską powałą. Tak przykucnąłem do tej wysokości, w jakiej było łóżko. Powała przygniotła je, aż zatrzeszczało, a po chwili podłoga zleciała w dół, obróciła się na przybitej osi, lampa mrugnęła – pode mną ziewnęła czeluść, z której mignęły kości, uderzyło zimno zgnilizny, mrok mię ogarnął...

Podłoga wróciła na swoje miejsce, z przymocowaniem łóżkiem i resztą umeblowania. Zleciał tylko kufer i koc. Powała podniosła się w górę, na kurytarzu zadudniały kroki, ktoś przystąpił do drzwi i zaczął je otwierać.

Rzuciłem się w okno, rozszarpałem strzelca i wyskoczyłem na wolność.

*Tłum. Sydir Twerdochlib*

### Klątwa jelenia

Odkąd stary jelen pamięta, nie było jeszcze takiej godziny, jak teraz. Dobrze znał wroga na dwóch nogach i tego na czterech, co sierść na nim jak stary mech, a głos ponury, straszny w późną jesienną noc, kiedy chłodny miesiąc spogląda na ziemię, ale tego, co działo się teraz, nigdy nie było.

Pamięta, jak za młodu zabili jego brata. Nagonka zaczęła się ze wszystkich stron, w końcu strzał – brat, jak podcięty, padł na kolana. Rzucił się w tył, błaganie miał w oczach, aż nadbiegł wróg i zakłął biedaka.

Po tym nieszczęściu, jakie potkało brata, jelen stał się bardzo ostrożny. Oko, nozdrza, ucho – wszystko stało na straży.

Przyjemnie jest wychodzić z lasu pośród nocy na zielone niwy. Tam w chatkach pod strzechą, wróg w płóciennym odzieniu, ale nie taki straszny: hałasuje tylko, ale nie strzela.

Jesienią pod lasem błyskają ognie, dym ściele się po łąkach, chłopcy gadają, śpiewają, sowa rozhuka się i zawodzi po lasach.

Stary jelen zna każdego ptaka, wszelką zwierzyinę, wie, gdzie sójka żółędzie chowa, w której dziupli wiewiórka orzechy na zimę skryła, zna te ścieżki pod krzakami, którymi ruda kita przemyka, i te polanki, po których kica zając, i ten zrab, który sarna przechodzi, gdzie kozioł lubi brykać i pobekiwać, i ten gąszcz, gdzie sunie stary odyniec-dzik.

Wszystko wie stary jelen, ale tego, co działo się ostatnio, nijak pojąć nie może.

Oto pojawiła się jakaś chmara wrogów, spadła na lasy i góry i tłucze się bezustannie. Jeden szary jak ptak, drugi siwy, jak odległa polana, napierają na siebie, walczą, czemu, po co – stary jeleń nie pojmuje.

Czarne ptaki krążą i kraczą nad tymi, co znieruchomieli.

Złękniony jeleń wygląda nocą z lasu, a tam na górze, na niebie grzmoty, błyski, trzaski. Dawniej grzmiało tylko w lecie, teraz zima, a gromy nie milkną.

Podniósł dumnie głowę, rogi rozścieliły się niczym królewska korona, na grzbiecie. Drży i słucha. Wiatr ciągle przynosi wroga, ale teraz nie słycać nikogo. Ze smreka potoczyła się gdzieś szyszka, płatek śniegu zleciał z gałązki.

W dole sioło.

Jeleń zna wiele takich sioł. Błędym świtem patrzy na nie z wierchów i gąszczy. Te sioła z dawien dawna były ciche, jednakowe. Czasem tylko tu stanęła nowa strzecha, tam na najwyższym budynku zabłyszczała świeża bania, płynął daleki odgłos dzwonów, smutno zagrała trembita.

I ot niedawno po tych siołach poruszyła się, zakipiała niesamowita siła. Całymi dniami grzmoty, aż góry drżały i chmury się kłębiły, a po nocach ognie i wystrzały. Stary jeleń uciekał przed dziką zawieruchą z miejsca na miejsce, jeleń nie rozpoznawał; w końcu wróg wdarł się we wnętrze gór, w głuchą gęstwinę matecznika i zniszczył odwieczną ciszę. Nie raz zdarzyło się, że jeleń gubił trop, a wraza siła zewsząd następowała na niego. W powietrzu świstały i zawodziły złowieszcze dźwięki, niewidzialny grad przedzierał się przez liście i gałęzie, łomotał po pniach i walił o ziemię. Jeleń rzucał się we wszystkie strony. I tak pośród jednej złej godziny, szukając ratunku, cała jego rodzina zbiła się w jedną gromadkę i stanęła bezradnie. Trzy pary młodego pokolenia, kochane, dobre dzieci, wszystkie wtedy zginęły. Potem wrogowie rozbiegli się na wszystkie strony, jakby zapadli się pod ziemię, a on ze starą łanią pobłąkał w głuche, ciemne chaszczce. Przerażona sarna przyłączyła się do nich, ale potem i ona przepadła gdzieś po drodze.

Stał w zagajniku i patrzył na sioło w dolinie. Strzechy pozadzierane do góry, jak w zawieję, sztachety rozbiegły się każda w inną stronę, krokwie sterczały w górę jak ręce błagające o ratunek, bale leżały rozłożone, jak trupie nogi. Chaty pochylone, jakby się miały rozpaść, bania cerkwi podziurawiona jak sito, dzwonnica chciała uciec czy upaść. Gdziekolwiek ocalała jakaś biedna, samotna chatynka, jakby nie wiedziała, co począć ze sobą. Goła, czarna ziemia zryta, rozorana, zasiana białymi krzyżami. Nigdzie ni ptaka, tylko straszna cisza śmierci.

Długo patrzył stary jeleń na martwe sioło w dolinie i nie mógł rozpoznać, czy to to samo, które znał z dawnych lat.

Zawrócił w lasy, ku wierchom, a za nim stara smutna łania. Sarna nad taflą spojrziała w głębię, zlekkała się sama siebie i umknęła w krzaki. Jeleń zaszył się w gęstwinie, zgranał nogami śnieg i legł, koło niego przytuliła się łania.

Skubnął więc barwinku i przysunął do jej pyska, ale nie wzięła, skłoniła tylko głowę do jego kolan. Położył szyję na jej karku i rozścielił rosochate rogi na grzbiecie. Łza spłynęła z jej oka na barwinek i zamarzła; jeleń westchnął.

Dzwony nie obudziły jeszcze nowego roku, jak oboje wstali i poszli do potoku.

Jeleń przystanął i spojrzął poza siebie. Ciągłe oglądał się tak za swoim młodym pokoleniem. Oboje starsi zawsze o świcie szli do wody z przodu, a młodzi za nimi. Dziś nie ma żadnego z nich. Dawno nie ma.

Zadumał się stary jeleń, zasmuciła się jego towarzyszka.

Obojgu tak tęskno się zrobiło, że zapomnieli o głodzie i pragnieniu.

Ale oto podniósł dumnie głowę, rozpostarł ogromną, królewską koronę, wydobył głos i jął ryczeć z całych sił.

Rozbudził się zwierz i ptactwo, odezwały się na powitanie knieje i poniosły szczytami jego skargę do boga gór i lasów.

I był w tym głosie płacz i krzyk rozpaczny, dziki ból i modlitwa o zemstę dla ludzkiego rodzaju, który wdarł się w odwieczną ciszę kniei, zmaćcił święty spokój i zabił młode pokolenie.

Taka była modlitwa, błaganie i przekleństwo o wschodzie słońca króla lasów i gór – starego jelenia.

*Thum. Renata Rusnak*

## Dziecko

Księżycowa noc i ciężki sen okryły sioło, tylko za łąkami siedziało kilku pijanych czartów. Szeptali i rechotali, aż nagle przycichli.

– Cii... coś idzie...

– Co to mogło być?

– Ty, wytrzeszcz no te swoje kocie ślepie, może rozpoznasz, co to?

– Hm, coś niby dzieciak...

– Patrzaj, patrzaj, jak błąka. Widać pijane.

– O, przeszło przez most i idzie na brzeg... Szuka czegoś. O, wraca się znów.

– Widać, beczy.

– Ee, przesłyszałeś się.

– A ja mówię wam, że płacze.

– O, idzie ku nam.

– Zastąpić i nie puścimy.

Stanąłi półkolem.

– Kto to?

Nijakiego słowa.

Dziewczątka z dzbankiem, liczko do miesiąca podniesione, szło i natknęło się na jednego z nich, ten odepchnął, poszło dalej prosto na niego.

– No, kto idzie?!

Milczenie

– Co za licho?! Coś nieme i durne!

Obstąpili, żeby igrać z nią, jak psy z żabą, aż jeden popadł w taką złość, że chciał złapać dziewczątka i rzucić o grań, ale tejże chwili zauważył, że ma zamknięte oczy. Zajrzał do dzbanka i rzucił się do ucieczki, a tamci za nim.

Odbiegli na niwę i patrzyli, jak dziewczątka weszło powoli w czarny las.

– Czy żyły były w tym dzbanku, czy krew – nie wiem. Jenom w dziecku poczuł duszę niewinną.

Tłum. *Renata Rusnak*

### Leśny dzwon

W chacie grał muzykant, leciutko, dla siebie. Dziewczęta i parobki siedzieli na przyizbie.

– Nie idzie dziś sobótka... noc nie daje.

Podwórce umajone i ogrodzenie, i niewielka brama na drogę. Nad ogrodzeniem i bramą jawory. W listowiu wiosna tuli się do miesiąca przez sen, odurza i czaruje jak ta dziewczyna, co niby to śpi, a spoza palców patrzy na ciebie. I pełno tych płomiennych oczu wśród cieni, z każdego krzaczka, z każdego listka mrugają czarne brwi, wychylają się gorące usta i dyszą, szeleszczą, aż serce omdlewa.

Ksenię Kuźmiwę odprowadza jej narzeczony Iwan i jego dwaj druhowie: Wasyl, strzelec – zawadiaka i Roman, wróżbita – muzykant, co to mu oczy ogniem pałają, kiedy gra, a czarne brwi zwisają jak chmury.

Iwan z Ksenią z przodu, a ci dwaj za nimi.

Drugie kury nie śpiewały, Wielki Wóz podchodził na środek nieba, las snuł swoje baśnie i ścielił tęsknotę nad siołem. Nie ma teraz snu dla młodych.

Idą w milczeniu wszyscy czworo. Ksenia zaczepia twardą piersią Iwanowe ramię, on objął ją mocniej w pasie, aż jęknęła i zaśmiała się, jakby kto garść srebra rozsypał na pomoście. Nachylił się ku jej szyi, krew w niej zagrała. Odtrącała go, przyciągając za rękaw, kiwała palcem i patrzyła mu w oczy.

– Szamoce się twoja dziewczyna, Iwanie.

– A taa, jeszcze nie zwykła. Jak młody żrebak, co jeszcze nie zaznał upręży.

Przyjaciele stanęli na rozstajnych drogach pod gajem.

– My tu zaczekamy, a ty podprowadź Ksenię i wracaj żywo.

Wasył z Romanem legli nad rowem i pozapalali lulki, a Iwan poszedł z Ksenią pod las.

Mieszkał tam potężny stary strzelec, a ona służyła u niego. Las czerniał z prawej strony, za sadzawką – kopanka, a tak daleko, że prawie nie widać. Cisza czaruje snem, ale dusza się nie poddaje. Chce widzieć, jak utworzy się raj i zejdzie na ziemię. Ta chwila już blisko – tuż, tuż, a wiosenna cisza jeszcze bardziej upaja sennymi czarami. Obaj druhowie leżą, nie poddają się senności, tylko nadśłuchują. Daleko, daleko dźwięczy dzwon. Dźwięczy, dzwoni i idzie bliżej i bliżej... Wychodzi z lasu, idzie prosto na nich. Tak mijają minuty. Aż patrzą druhowie – drogą idzie Iwan i dźwiga ogromny dzwon w rękach przed sobą, dźwiga, aż poczerwieniał, aż sapie. Idzie drogą poprzez rów – przyjaciele odsuwają się w bok, żeby Iwan nie upuścił na nich tego przeciężkiego dzwonu. Ale on poszedł mimo nich dalej drogą i dzwon zaczął powoli cichnąć, w końcu umilkł całkiem. I za jakiś czas tą drogą, co pierwiej, znów idzie Iwan, ale już bez dzwona. Przyjaciele powstali i wszyscy troje wracają do domów. Idą cicho.

Przed chatą Iwan pierwszy przemówił do nich.

– Odprowadziłem Ksenię, a samemu dziwnie było, a i teraz tak jakoś, że nie godzi się samemu. Widzicie, noc spać nie daje. A jutro Zielone Świątki... Zostańcie jeszcze trochę. Znajdzie się jeszcze gorzałki i tabaki ciutkę. Dla takiej jednej nocy warto i siedem dni przespać. Posiadali przy obejściu i dobrze im tak było. Młode lata, szczere towarzystwo... Już i drugie kury zapiały, druhowie leżą i rozmyślają. Już noc dochodzi świtania, aż patrzą – idzie dziewczyna, wchodzi przez furtkę. Patrzą i oczom swoim nie wierzą – Ksenia. Zerwali się na nogi, a ona nic, jakby się ze snu zbudziła.

Zaczęli ją wypytywać, ale zatrzęsły nią dreszcze, dzwoniła zębami, oglądała się dookoła siebie i odpychała parobków, to znów tuliła się do nich.

Stało się z nią coś takiego, czego nie mogła pojąć. Sama sobie nie wierzyła... Iwan podprowadził ją, a stamtąd jeszcze tylko kilka kroków – już przejście, już chata, ale zatrzymała się, obróciła za Iwanem – dalej ruszyła, idzie i idzie, a tej drodze nie ma końca. A w lesie dzwon jakiś dźwięczy i dźwięczy. Idzie, a ten dzwon wciąż dźwięczy. Jeszcze teraz jej w uszach dzwoni. Aż na drodze za gajem się opamiętała, ale już nie wracała do domu, tylko tu przysła... A błądziła po paprociowych polankach, po pagórkach, jak po ogrodach i po barwinkowych uroczyskach, jakich ni w baśniach nie ma, a takie tam dziwa były, jak we śnie. Teraz ścisnęło ją pod sercem, zaczęła chlipać i pochyliła się na ziemię.





## Hnat Chotkewycz (1877-1938)

Hnat Chotkewycz – pisarz, krytyk literacki, reżyser teatralny, muzyk, etnograf – urodził się w 1877 r. w Charkowie w niezbyt zamożnej rodzinie. W 1900 r. ukończył miejscowy instytut technologii. Podczas studiów zajmował się działalnością oświatową na wsi, jeździł z amatorskimi trupami teatralnymi po Ukrainie Wschodniej. Dawał także koncerty na Ukrainie. W tym okresie nawiązał kontakty z Ukraińską Partią Socjaldemokratyczną, co spowodowało relegowanie go z uczelni. Wówczas poświęcił się muzyce, rozpoczął koncertowanie z kapelą bandurzystów Mykoły Łysenki. Był organizatorem występu kobzarzy i lirników podczas Zjazdu Archeologicznego w Charkowie (1902) oraz założycielem pierwszego teatru robotniczego w Rosji. Brał udział w wydarzeniach 1905 r., w związku z czym musiał emigrować do Galicji. Mieszkał początkowo we Lwowie, następnie w Kryworiwni. Zbierał huculski folklor, a w 1909 r. zorganizował huculski teatr, w którym grało prawie 60 osób. Teatr występował nie tylko po wsiach na Huculszczyźnie, ale i w Czerniowcach, Lwowie, Warszawie. Równolegle Chotkewycz dawał koncerty na bandurze. Kiedy wrócił w 1912 r. do Kijowa, został natychmiast aresztowany i wysłany poza granice Ukrainy. Ponownie zamieszkał w Charkowie dopiero po upadku carskiej Rosji. Po 1933 r. szykanowano go na różne sposoby, m.in. został pozbawiony możliwości zarobkowania. Próbował wówczas – bezskutecznie – interweniować w SPU – Związku Pisarzy Ukrainy. W 1938 r. został aresztowany przez NKWD i oskarżony, jak większość uwięzionych wówczas inteligentów, o udział w nacjonalistycznej organizacji kontrrewolucyjnej i szpiegostwo na rzecz Niemiec. Został rozstrzelany 8.10.1938 r.

Chotkewycz debiutował w 1897 r. opowiadaniem *Hruzynka* na łamach lwowskiego czasopisma „Zoria”. Następnie wystąpił z modernistycznymi utworami *Poezija w prozi* (1902). Programowe opowiadanie *Portret*, napisane w 1900 r. poruszało główny temat modernistów – piękna ucieleśnionego w dziele artysty, piękna, które staje się sensem życia, a nawet góruje nad nim. W opowiadaniu *Romans* autor podejmuje drugi kluczowy dla modernistów temat – miłość. I choć Chotkewycz daleki był w tym utworze od obrazowania fizycznej strony miłości, Serhij Jefremow oskarżył młodego prozaika o pornografię. We wczesnych utworach Chotkewycz jawi się nam jako modernista, eksperymentuje ze stylem i narracją, porzuca fabułę dla poetyckiego opisu. W późniejszych utworach pisarz zwraca się ku bardziej tradycyjnej formie. Po wyjeździe z Charkowa

drukuje sceny dramatyczne przedstawiające niedawne wydarzenia (*Na zaliznicy, Wony*). Za sztukę *Lycholittia. 1905 r.* (1906) otrzymał nawet pierwszą nagrodę w konkursie na najlepszy utwór dramatyczny.

Chotkewycz znany jest przede wszystkim jako autor realistycznej powieści *Kaminna dusza* (1911), której akcja toczy się na Huculszczyźnie. Autor każe działać swym bohaterom, opisywanym już w realistycznej manierze, pod wpływem bardziej instynktów niż uczuć; seks postrzegany jest jako potężny czynnik kształtujący ludzkie zachowania. Zarówno w tej powieści, jak i w cyklach opowiadań *Hirski akwareli* (1914), *Huculski obrazki* (1924) autor wprowadził – przede wszystkim w mowie bohaterów – huculski dialekt i legendy, dzięki czemu świat przedstawiony wydaje się bardziej autentyczny.

Chotkewycz był także autorem opowieści *Awiron* (1917), poetyckiej powieści historycznej *Bohdan Chmelnyćkyj* (1929) oraz powieści historycznej *Dowbusz* (1930), nad którą pracował bez mała dwadzieścia lat. Pod koniec lat dwudziestych rozpoczął pracę nad monumentalną powieścią o życiu Tarasa Szewczenki – tetralogią *Z simji henijiw*. Dwa pierwsze tomy ukazały się w utworach zebranych, które wydano w latach 1928-1931, następne dwa tomy pozostają w rękopisie.

Chotkewycz opublikował także prace z dziedziny muzykologii (*Muzyczni instrumenty ukrajńskiego narodu*, 1930) historii teatru (*Narodnyj i seredniowicznyj teatr w Hałyczyni*, 1924; *Teatr 1848 r.*, 1932) i historii literatury (*Album istorycznych portretiw, Hryhorij Sawycz Skworoda*).

Ola Hnatiuk

### Portret (Fantazja)

drogiej E. A. Rubanowycz  
poświęcam

Szli cicho we dwoje i rozmawiali. Była to rozmowa szarego, codziennego życia, była to opowieść o zwykłych, powszednich sprawach. W ich rozmowie pobrzmiwało echo bezowocnych dni i lat, fakty płaskiego kupieckiego sprytu, tezy życiowej filozofii. Duch ich błędził w poniewierce wśród targowisk, walczył o prawo udziału w boju o istnienie, a oczy ich nie wznosiły się w hymnie chwały do niebios błękitnych...

Oto jednak znienacka zatrzymali się oboje, niby pod przymusem, z cudzego rozkazu – zatrzymali się przed witryną pewnej piekarni. Wystawiono na niej, jako dobrą reklamę, portret... Był to portret dziewczyny...

Zaczeseane wysoko włosy spod bujnej ciemnej korony odstaniały całą twarz o matowej cerze; dumne, gładkie czoło, nos ręką geniusza wyrzeźbiony z marmuru, maleńkie, nieco suche usta, dziwnie piękne pochylenie głowy – były to jakieś czary, było to wcielenie do szaleństwa swawolnych kanonów piękna... Nie sposób było oczu oderwać, nie sposób było doczekać chwili, w której chciałyby się rzec „wystarczy, odejdz!”... Lecz najwięcej czar, najwięcej szaleństwa – tkwiło w jej oczach... Ciemnych niby przepaść, głębokich niczym ocean niezmierny!...

One właśnie, te oczy, lśniły jakimś smutnym zmęczeniem; była w nich i łaskawość bóstwa, i prośba, było w nich morze łez, była zguba. Tysiącem jasnych, jak gwiazdy błyszczących ogni lśniły te oczy, szalone oczy... Mroczną żalobą ciemnych brwi, ostrymi niczym błyskawice rzęsami, niezwykłym odcieniem ciężkich powiek, jakby z trudem unoszonych, przecinały mrok i fałsz, docierały do tajemnych głębin ludzkiej duszy... Cóż kryło się za nimi, za tymi nad podziw urokliwymi stróżami wewnętrznego świata? Czego strzegą żarliwie, jakie skarby skrywają? Dlaczego te oczy, niezwykle oczy, pytają władczo? O cóż tak bezgranicznie, żałośnie błagają i jakie to w nich utkwiło pytanie?

– Ida! Ida! – krzyknęła panienka.

Student zadrzał. Zdawało mu się, że **takie** piękno – to abstrakcja, to bezcielesny, święty ideał, przed którym można upaść na kolana, który można kochać do fanatyzmu, ale pojąć go swymi pięcioma zmysłami, znać go? – jest niemożliwością.

– Czyżby ją... ją pani znała? – zapytał.

– Ależ tak, oczywiście! To przecież bardzo dobra nasza znajoma – nasze rodziny się przyjaźniły i ja od dawna ją znam, od bardzo dawna... Teraz już dwa lata minęły, odkąd umarła...

Lorio nie wątpił w to ani przez chwilę; oczywiście, że umarła. *Czyż tutaj jest miejsce dla nich, bezsilnych na ziemi i potężnych na niebiosach?*

– O, jak bardzo żałuję, że nie byłam przynajmniej przy jej śmierci! Nie wiedziałam, że umarła tutaj, w naszym mieście, przecież poszłabym do niej, bez wątpienia, czego by o tym nie mówili, jak by na to nie patrzyli... Wie pan, nie była tu przyjmowana... Ona... ostatnio źle się prowadziła... Ona... nie, nie chcę nic mówić, nic... Niech już wystarczy tylko to, że znajdują się tacy okrutnicy, którzy kamieniami złości ciskają w zimnego trupa, w jej pamięć... A ona miała zaledwie osiemnaście lat, osiemnaście lat, gdy umarła...

– A jakież miała umysł giętki, dar natury! Głos – dziwo, po prostu dziwo. Figura, chód... Nie, to było piękno tak nadzwyczajne, że nie można było spokojnie na nią patrzeć. Gdy zobaczyłam ją po raz pierwszy na wieczorze, osłupiałam, po prostu osłupiałam! Stałam jak pień, nie mogłam ani drgnąć i ruszyć się z miejsca. Jakby to było dzisiaj, mam przed oczyma jej powabną postać w czerwonym stroju, z wysokim kołnierzem a la Maria Stuart... A kiedyś, gdy przyjechała do E., pewien fotograf prawie na kolanach błagał ją,

żeby pozwoliła się sfotografować, i zdjął ją jako Judytę. Och, cóż to była za Judyta!...

– A jedyne, czego chciała, to pójść na scenę. Boże, czegoż by tam mogła dokonać! Świat by podbiła ze swoją urodą przedziwną, ze swoim umysłem. Ale cóż: ojciec za nic, za nic...nie chciał nawet o tym słyszeć. To oni, oni, rodzice jej winni, że taka się stała, że są teraz ludzie na tyle okrutni, żeby powiedzieć „suce sucza śmierć”... Mówią, że ojcowskie imię okryła hańbą, że... Ale nie chcę, nie chcę o tym mówić; jestem pewna, że większa część tego, co o niej mówią, z zazdrości pochodzi, z gadzich uczuć podłych dusz!

– Ale cóż! Teraz nie ma jej już między nami, między żywymi; teraz nie powinien odważać się na bluźnierstwo i słowa potępienia ani jeden język, bo tam już nie do nas sąd należy!... Ona już umarła – a miała zaledwie osiemnaście lat... zaledwie... I jak ja dobrze przeczułam! Zawsze zdawało mi się, że wczesnie zakończy życie, że albo ją zabiją, albo sama podniesie na siebie rękę... i tak było... otruła się... Podłość ludzka, nieskończona złość i krótkowzroczny, bezlitosny egoizm otoczenia – oto, co wpędziło ją do grobu! Jeszcze żyją i długo żyć będą ci, którzy słowem i czynem spowodowali jej zgon, którzy byli jednymi z rozpustników – a jej już nie stało... Znajdą sobie inne uciechy, zadowolą się nowymi ofiarami, znów upiją się czarem miłości, kupionej za karbowanica a ona ma dostęp jedynie do tego, co nieznanne i tajemne... Jej pamięć zdeptana, imię brzmi na brudnych ustach podłych i nikczemnych ludzi – a któż winien temu wszystkiemu? Kto da odpowiedź na to straszne pytanie? Czyż oni wszyscy, ci, którzy grzeszą w ciemnych zaułkach, co przez ciągłe rozbudzanie własnych niskich instynktów rzucają w przepaść i mrok ród ludzki, którzy z kazaniem o moralności na ustach gubią każdego dnia tysiące dusz – czyż wszyscy oni małodusznie ukryją się przed tym pytaniem albo wskażą powykrzywianymi palcami na nią, na zmarłą?...

– Kłaniały się jej setki, zazdrościły tysiące, a jednym jedynym świadkiem jej śmierci był artysta: na jego rękach z pełnego życia i urody dziecka przemieniła się w zimnego trupa... Mówią, że po śmierci, gdy rozpuszczono jej wspaniałe, nieskończone włosy, gdy przykryto ją białym jak śnieg nieskalany tiulem – była tak piękna, tak przedziwnie czarująca, że nie można było oczu oderwać! Zdawała się aniołem czystym, pełnym harmonii, z pieśnią pochwalną na ustach... To było bluźnierstwo, to było przestępstwo, zakopać ją w ziemi, jak miliony innych...

– Nie chciałam wierzyć, gdy po raz pierwszy usłyszałam o jej śmierci. Jak to? Ida umarła?... Zdawało mi się to bajką, jak wszystko, co o niej mówiono... Ale krewni moi napisali do jej rodziny – i przyszła odpowiedź, że to prawda... Ojciec jej, powiadają, oszalał. A któż więcej tu zawinił, jeśli nie ten właśnie ojciec? Surowością chciał pokonać niepowstrzymaną naturę, nie wiedział nic o rozsądnym wychowaniu, bo nie on powinien był zostać ojcem Idy. Był dzi kim, leśnym barbarzyńcą, któremu nierozumnie powierzono opiekę nad przedziwnym posągiem, utkanym z łez pierwszej miłości, z marzeń poety i cudnych

pieśni słowicznych. I rozbił ten posąg, bo był barbarzyńcą, dzikusem, nauczonym iść na niedźwiedzia...

– Ojciec nie puszczał jej nigdzie poza własne brudne miasteczko, chciał w żelazo zakuć delikatną różę, gdy wyrwała się, ten kwiat rozkoszny, do czystego, lśniącego powietrza – a matka rozpieszczała ją, potajemnie zezwalała na to, czego otwarcie zabraniał ojciec. Ludzie wokół... – ktoś ją otaczał? Kobiety jej nie lubiły, zazdrościły jej od samego niemowlęctwa, nie cierpiały jej między sobą – i od samego dzieciństwa, od pierwszych niewinnych kroków życia obracała się wśród mężczyzn, wśród kadzideł ich pochlebstw, wśród zepsutej, rozpustnej nikczemności... Mówili jej komplementy, niekiedy i więcej; ich smrodliwe oddechy zarażały powietrze już wtedy, gdy człowiek jest jeszcze dzieckiem, kiedy tylko zwierchnia siła powstrzymuje go przed grzechem przeciwko naturze – i każdy z nich, jak obowiązek nikczemny jakiś, szczerze wypełniał dzieło rozpusty... O, podli ludzie! Pokalali anielską istotę, brudem napełnili jasne, drogocenne naczynie, a potem, ujrzeni płód nieczystej pracy swojej – o, wtedy bezwstydnie śmiali się z niej, wtedy z obrzydzeniem pluli jej w twarz!...

– Nigdy, przenigdy nie zapomnę pewnego wieczoru! To był jakiś bal. Siedziałam przy stole, sprzedawałam bilety czy coś innego; koło mnie było dużo młodzieży, studentów; śmiali się, rozmawiali wesoło. Ona też była na balu! Nagle – weszła jak królowa, w białej sukni, pod rękę z moim kuzynem...

– „O, Katusiu! Tu jesteś? Chciałabym zamienić z tobą kilka słów” – zwróciła się do mnie.

– „Z chęcią. Tylko teraz mi nie wolno... zaraz skończę”.

– „To przysiędę tu koło ciebie” – uwolniła się z rąk swego kawalera i ruszyła w moją stronę...

Wtedy z grupy studentów, stojących dokoła mnie, wokół stołu, wyrwał się jeden...

– „Pardon! Tu mogą siadać tylko ci, którzy mają do tego prawo”...

– ...Byłam jak gromem rażona... Taka obraza! To przecież policzek, wymierzony publicznie. A mój kuzyn... jakież wstyd! Gdy jego damie rzucono w twarz taką obelgę, nie drgnął mu nawet jeden muskuł... Znów wziął ją pod rękę – i wyszli z sali... A jeżeli wiedział o niej wszystko, to nie powinien był, nie powinien tu przychodzić. Jeżeli zaś przyszedł, to powinien i bronić swej damy, kimkolwiek by była. Ale nie – wszędzie, wszędzie tylko złość, zawiść, podłość natrętna...

– A damy nasze, damy! O, ileż żółci płynęło w ich żyłach przez osiemnaście nieszczęsnych lat jej życia! I jakże tak? Dosyć jej było pojawić się gdziekolwiek na balu, na wieczorze, a prawie wszyscy zapominali o istnieniu swych dam, o ich przeciętnej urodzie i – wszyscy szli za nią, wszyscy jej się kłaniali. Boże, jakież ona listy dostawała! A w kotylionie – jakich tylko brudów nie otrzymywała w pachnących liścikach! „Czy Pani nie zapomniała ubrać się w domu?” – „Który to malarz Panią malował?” – „Na Pani stroje pewnie niewiele potrzeba materiału?” itd., itd., bez końca... Ileż złości, ileż zazdrości

i plugastwa!... Niechby to wtedy, gdy... gdy już nie była tą czystą Idą, którą znałam. A wcześniej, kiedy była aniołem świętym i nieskalanym? Za co oni jej wtedy nienawidzili?... Ale cóż: jakże inaczej mogli w swej przeciętności patrzeć na geniusz czystego piękna...

– Tak... To była niezemska istota, oświetlona blaskiem bogów... Dlatego nie dziw, że im, takim istotom, przeznaczone jest życie nie tutaj, a gdzieś w nieznanym nam świecie...

– A ilu mężczyzn doprowadziła do szaleństwa?... Z których tylko stanów i warstw nie miała wielbicieli! Tam u nich, w jej rodzinnym miasteczku, pewien lekarz... taki poważny człowiek! Chyba dwadzieścia razy jej się oświadczał – i oczywiście wszystko na darmo. Wszyscy dziwili się, pytali go: „Nie bałby się pan wziąć Idę za żonę?” – „Choćby przez jedną godzinę – ale byłaby moja!” – odpowiadał na to i w jego słowach widzę wielki sens.

– Pewien właściciel ziemski – ot, tu niedaleko jest jego majątek z tysiącami dziesięcin ziemi – stary już dosyć, bogaty jak Krezus. Tam była historia z rodzinnymi dramatami, do rozwodu dochodziło czy co... I prawnik tu był... Pojechał czemuś w interesach do tego miasteczka i cóż? Zwykła straszliwa nuda! Wyjdzie na bulwar – kurz, zaduch, smród... I może pan sobie wyobrazić jego osłupienie, gdy na takim właśnie tle powiatowego miasteczka ujrzał pewnego razu tę niezemską urodę! I od razu mało nie oszalał!... Oczywiście, znalazł sposób, żeby ją poznać, poznać, bywał u nich... Przyszła jesień, przyszła zima, a jego nie ma w domu; interesy zaniedbane, znajomi piszą, dziwią się. Nagle przyjeżdża. Biega, załatwia, składa podanie do Szkoły Muzycznej, znowu jedzie z powrotem... Ojciec za nic! Nawet słuchać nie chce... „Do wielkiego miasta? Do miasta uniwersyteckiego? Za nic na świecie! Tam zniszczą moją Idę, zepsują!”

– A tutaj, gdy była w naszym mieście – och, Boże mój! Gubernator co dnia posyła wielkie bukiety, arystokracja też... Pogarda wyższych kręgów, salonowe plotki... Co tu dużo mówić! Nawet gdy jechała pociągiem, ludzie schodzili się ze wszystkich wagonów, żeby na nią popatrzeć. Nie, grzech, grzech tak ciężki, jak pierwotny grzech Adama ciąży na tym, kto pierwszy splamił tego czystego cherubina!

– I proszę nie dziwić się, że ja tak trochę... no... idealizuję czy co, gdy o niej mówię – zdaje mi się, że nie można inaczej. Ida była piękna, była jednym z wcieleń tego Wiecznego Piękna, któremu zwykliśmy oddawać cześć od wieków wiecznych. *To* Piękno jest wszędzie: i w szumie nieprzebytej tajgi, i w kroplach srebrzystych wodospadu, i w wielości gwiazd niebieskich, i w muzyce, w poezji... Gdy słuchamy utworu muzycznego, czyż dziwimy się, że oto jakiś rozczochrany osobnik zręcznie wodzi końskim włosiem po baranich kiszkach? Czyż stojąc przed niezwykłym obrazem przypatrujemy się, jak zręcznie człowiek ułożył na płótnie kolorową ziemię? Nie, po tysiackroć nie! Łowimy duszą za pośrednictwem wzroku, słuchu odgłos tego Wiecznego Piękna, które jest alfą i omegą świata. Jest osią, wokół której obraca się istnienie. A ona,

moja nieszczęsna Ida, była jednym z wcieleń tego Piękną, i to wcieleniem może najdoskonalszym ze wszystkich, bo duchem żywym, istotą nieśmiertelną, a nie płodem rąk ludzkich...

– Kuzyn opowiadał mi... Był kiedyś u niej o cichym zmierzchu. Smutną czemuś była, może bolała ją dusza... Oczy lśniły cichym smutkiem i widać w nich było niezmierny ocean cierpienia... Brat usiadł do fortepianu i zaczął śpiewać jej ulubione romanse... Długo śpiewał... dopóty, dopóki nie posłyszał histerycznych, niewyraźnych, bolesnych, nerwowych łkań... Ida płakała... jakby chciała całą siebie rozlać we łzach... O, ten płacz! Do takiego płaczu, do takiego wielkiego smutku zdolni są tylko wielcy duchem!... Proszę tylko zrozumieć te łkania żalu zakutego w kajdany wolnego ducha!... A ludzie... ludzie przechodzili bezdusznie obok niej, obok tych pereł, co padały z jej oczu, i deptali je nogami... jedna taka łza, jak kropla krwi Zbawiciela, odkupuje grzechy całego świata!... O, Boże mój! Narodzić się... żyć w świecie... umrzeć – i nie spotkać ani jednego człowieka na swej drodze, nie usłyszeć ani jednego zdrowego, uczciwego słowa!...

....Student nisko pochylił głowę i szedł, słuchając tej przejmującej opowieści... Tylko oczy mu błyszczały, błyszczały jakimś niepokojącym światłem. Zdawało mu się, że i na nim ciąży cząstka tego grzechu, że i on nieświadomie w jakiś sposób przyczynił się do zrujnowania piedestału pod nogami tego dziwnego posągu piękna... Minęli po drodze kalekę, beznogiego, odstręczającego... Student nawet nie dostrzegł tego ostrego kontrastu; poszukał w kieszeniach, bezwiednie wyjął coś i rzucił kalece do miski... to była złota moneta... jedyna... Niebawem pożegnał się ze swoją towarzyszką i – przybity, przygnieciony nieznaną siłą poszedł do swego ciemnego mieszkania gdzieś aż na trzecim piętrze

.....

Straszliwie krzyczał w nocy i żałośnie jęczał. Śniło mu się coś przepęlnione męką nie do wytrzymania, przepęlnione cierpieniem .....

.....

Cichy, maleńki, pachnący buduar. Światło miękkie, delikatne... kwiaty, egzotyczna zieleń i – dźwięki, dźwięki, dźwięki... Nie tu, gdzieś, może nie na ziemi nawet. Są jak światło, rozrzucone wszędzie, wyrastają z duszy, falami ogarniają człowieka... Dźwięcznie uderzą wraz rozkosznym, srebrzystym akordem, cicho popłyną w dal, potracając właściwe struny serca, zabrzmiały szmerem poetyckiego marzenia i odpowiedzą białym cieniem gdzieś w oddali... Jest w nich spokój cierpienia i śmierci, i radość życia, i mrok smutnej nocy, i utrudzone spojrzenie szalonych oczu... A obok wielkiego weneckiego okna, otoczona, jak sługami, wspaniałymi roślinami, stoi na tle rozgwieżdżonego nieba czarna, cudna-przedziwna postać... To ona... ona...



Aksamit pieszczotliwie okrywa ciało, jakby naumyślnie po to, by wyraźniej błysnęło w oczy śnieżnobiałe wygięcie szyi. Złoto wielkich, okrągłych kolczyków blednie przed dziwnym kolorem licca; nie ma szlachetnych kamieni, jedynie dwa diamenty spływają z cudownych oczu, dwie perły tam zawisły – i perły te nie mają ceny..... Jeszcze nie wstrząsa ciałem szloch, jeszcze nie drży cała postać, jakby przez burzę porwana, jedynie chciałoby się krzyknąć... krzyknąć tak, by krzyk ten odezwał się w duszach wszystkich podłych nikczemników, by doleciał do Wszzechmocnego, jeśli On zdoła coś zdziałać... teraz... teraz ona rozplynie się w morzu palącego bólu, teraz zerwie się z zachwycających ust krzyk protestu, protestu piękna – włodarza niebieskiego .....

I zimny pot wystąpił na jego czoło... Przebudził się. Czuł bicie i łomot w skroniach, ręce drżały, a dusza... dusza bolała tak, jak nigdy jeszcze... O, wy, którzy święta życia przepędzacie jak dni powszednie! Wy, którzy nie widzicie blasku piękna za mizernymi kłopotami dnia, co przysypały przedziwne wschody słońca, co zagasły żar i drżenie młodej duszy! I wy, zasuszeni moralisci z martwymi frazami na ustach, z oddechem obojętności, co zabija piękno. I wy, jednostronni bojownicy o jednostronne ideały, którzy umieracie pod nogami tłumy na pchlim targu życia! I wszyscy, wszyscy, którzyście nocą nie wylewali łez w samotności, którzyście nie umierali duszą za każdy atom piękna, którzyście nie wznosili tęsknego spojrzenia do tajemnic niebieskich – wy wszyscy – nie wam zrozumieć ból jego duszy!... Bezbrzeżnym morzem żalości wznosiło się to uczucie gdzieś z głębin, tysiącami lat gromadzony smutek rozdzierał serce – i łzy nie wystarczały, nie wystarczały szlochania: nie wyjaśniały niczego.....

Patrzył szeroko rozwartymi oczyma w przepętnione mrokiem kąty pokoju, łowił uchem najłżejszy szelest – i znów zasypiał snem ciężkim jak kamień, urywanie oddychając.....

wspaniały bal. Jakby gdzieś hen, wysoko w porównaniu z ludźmi płynie w górze czyjaś figura... Tę postać otaczają ludzie, ale ludzie nikną, giną przed nią – i sama jedna, samotna płynie w górze, rozsiewając słoneczny blask, błyszcząc wokół prawdą piękną. Biała, przez elfy i leśne wróżki utkana suknia, cudna girlanda kwiatów przez ramię, na antyczny sposób ułożone włosy, a w rękach mirt, zerwany przez zakochanego anioła w niebieskim ogrodzie... Każdy krok tchnie królewskim dostojeństwem i rozsiewa wokół przedziwny zapach... I to jest ona... ona.

I – jakby z jakiegoś podziemnego królestwa, jakby z głębokiego, pełnego błota i smrodliwych oparów bagniska... wzniosło się w górę zło... uosobienie zła... Dyszy zabójczym jadem oddechu, sypie palącymi iskrami zazdrości i niecznych podstępów. Zbrojne jest w mocną, stalową kolczugę ślepych burzazyjnych mód, w prawej ręce dzierży cienkie jak żądło żmii ostrze, które na całej długości ma wypalone kwasem trującym słowa i frazy przykładowych matron, kapłanek tajemnego kultu rozpusty... Na czubku ostrza błyszczą jakaś

brudna, smrodliwa kropla... To powszechne potępienie, to krótkowzroczne natręctwo, to przekleństwa pijanego, który zaszedł do cichego siedliska szczęśliwych ludzi...

I cicho, lecz nieodwracalnie, jak śmierć, wyrasta wciąż wyżej i wyżej... Za nim, w pierwszym szeregu, srogość ojcowska z różgą krótkowzroczonej głupoty w ręce; tam dalej – tłum rodziny, krewnych, powinowatych, i bliskich, i dalszych z brzydkimi, odsłoniętymi grymasem zębami, z kościstymi palcami, wyciągniętymi w przód. Jeszcze dalej – różne rodzaje znajomych, tych co znali, tych co widzieli – oni także, marni, kręcą głowami, spluwają pod nogi, a w przerwach drapieźnie i rozpustnie z ukosa patrzą w górę... A jeszcze dalej za nimi – niekończący się tłum wszystkich „przypadkowo napotkanych”: jedni hardo zadzierają natrętne głowy, drudzy aż podskakują z wysuniętymi językami, inni udają spokojnych – i ani jeden, ani jeden wśród nich nie ma ciepłego słowa, dobroci bezinteresownej, bez ukrytych intencji... Wszyscy oni, podli, idą, pełzną, przemykają się w ślad za ich wszechmocnym prowodyrem, potężnym w swej mroczności...

...Cicho wznosi się ręka spod czarnego płaszcza... jakby drgnęła niecierpliwa kropla na końcu zmijowego oręża... Wciąż wyżej i wyżej wznosi się ten koniec... a ona, harda, niedostępna, po królewsku wspaniała nie może nawet tego zobaczyć... Nagle... jakby drapieźny, złośliwy zwierz skoczył, jakby grom uderzył – spadła smrodliwa kropla na przedziwne lico bogini...

Ach!...

I na tym miejscu wypaliła czarną plamę... Brudnymi strumieniami rozbryzgnęła się po boskim rumieńcu, pozostawiając wypalony ślad... Rozległ się pogrzebowy dzwon, radosny skowyt odrażających głosów... Czarne znamię rozwinęło się nad głową i trzepocząc w pełnym dymu powietrzu, jakby natrętym wybuchło śmiechem: cha... cha... cha...

– Dajcież mi siłę nieziemską, dajcie miecz, abym mógł pomścić, abym... O nie, nie... Dajcie mi takie męki, aby piekło ich pozazdrościło – ja sam, sam powinienem za nią cierpieć! .....

znów obudził się, znów kurczowo ścisnął rękami poduszkę... „Zapomnienia, zapomnienia” prosił rozsądek, a coś wyższe niż on nakazywało myśleć, myśleć, myśleć...

## II

Następnego dnia rano Lorio wyszedł z domu. Skierował się do tamtego sklepu. Służba zamiatała ulice, pokrzykiwała; mleczarze roznosili mleko, senni nocni woźnice cicho wlekli się na swoich szkapinach, na ulicach zalegał pył. Sklep był jeszcze zamknięty.

Lorio długo chodził po okolicy i obchodził dookoła kwartał budynków; wreszcie zza piekarni wyszedł zaspany subiekt, odemknął okiennice, otworzył

drzwi. Lorio podszedł do okna – nic tam nie było... Znowu błąkanie po ulicach, znowu oczekiwanie: myślał, że jeszcze wcześniej, że kiedyś wreszcie wystawią portret; podchodził do witryny co dziesięć-piętnaście minut – tak samo jak wcześniej, nic tam nie było... Lorio wszedł do sklepu.

– Przepraszam, proszę mi powiedzieć, co stało się z tym portretem, który był tu wczoraj wystawiony? – zapytał kasjerkę.

– A nie mam pojęcia! To wczoraj rano, jakiś artysta prosił, żeby mu pozwolić go wystawić; zgodziłam się oczywiście. No, a wczoraj wieczorem zabrał go, a co z nim zrobił, to już nie wiem.

Ze smutkiem w sercu, z myślami samobójczymi, Lorio odszedł – nie było już nadziei... Poczul ukłucie w sercu... podniósł głowę i jego wzrok napotkał wzrok cudzy – to był portret, wystawiony na tej samej ulicy, niedaleko, w jakimś zakładzie fryzjerskim...

– W piekarniach... u fryzjerów – zabolalo go to. Oparł się o żelazny parapet i zaczął patrzeć... Wzrok jego żył tym portretem; pragnął złączyć się w jedno z tym płótnem, aby nie tylko wzrokiem, ale całym sobą ją odczuć... A z okna błyszczała urodą na wpół odwrócona, przedziwna twarz. W kruczoczarnych, jak skrzydła złego ducha włosach, lśnił diamentowy sierp, pasma jedwabistych loków wiły się nad czołem; różowa, utkana z powietrza i cieni suknia była spięta na piersiach niewielką agrafą, a na prawym ramieniu, odlanym na kształt bóstwa, pyszniła się przepiękna róża... Ale cóż znaczą wszystkie róże świata przy tych twardych, gniewnie uniesionych piersiach, obok tej pełnej nieprzemiennej czaru, alabastrowej szyi!...

I Lorio stał, oparty oboma łokciami o parapet, przyciskając czoło do szklanej tafli. Koło niego dziesiątki razy zbierał się obojętny tłum, rozchodził się i znowu zbierał; krytyczne słowa, ironiczne uwagi, i głupie, i niewybredne, i inteligentne – nie dotykało go to wszystko... stał. Utwierdzała się w nim decyzja.

.....  
– Gdzie mieszka artysta, który wystawił ten portret? – zapytał, wszedłszy do zakładu.

– A tam na portrecie jest jego adres.

Lorio spojrział na portret i dopiero teraz dostrzegł, że istotnie na górze nalepiona była kartka z zapisanym adresem, nazwiskiem i nawet ceną portretów, które można zamawiać u tego malarza... Lorio poszedł pod wskazany adres...

Brudna sień, zapach farb, oleju, lakieru i terpentyny zaskoczył go nieprzyjemnie. Wszedł usmolony osobnik.

– Czym mogę służyć?

– W zakładzie fryzjerskim N jest wystawiony portret. Chciałem zapytać, ile pan za niego chce?

– Proszę wybaczyć, ale... ten portret nie jest na sprzedaż.

– Wszystko jedno, proszę podać cenę.

– Widzi pan... to taka dobra reklama... Zupełnie nie miałem zamiaru go sprzedawać...

– Cóż, zrobi pan sobie inny, czy to nie wszystko jedno...

– Hm... Jego cena to... pięćdziesiąt rubli.

Lorio wsunął rękę do dziurawej studenckiej kieszeni... Nic tam nie było...

– Wie pan co – powiedział cicho do handlarza – nie mam w tej chwili... Jutro panu przyniosę. A pan niech mi da od razu kartkę, żebym mógł zabrać ten portret do siebie...

Malarz uśmiechnął się.

– No, widzi pan, nie wiem, czy ktokolwiek zrobił to na moim miejscu.

– Dam panu swój adres, ja... dam wszystko, co pan zechce, niech pan tylko pozwoli mi zabrać go od razu. Jutro, a może jeszcze dziś wieczorem przyniosę wszystkie pieniądze. Wie pan – i Lorio zbliżył twarz do jego twarzy... uśmiech dziwny błąkał mu się na ustach – wie pan, ja panu powiem: właściwie nie mam pieniędzy, ale mam pierścień mojej zmarłej matki, bardzo cenny. Jutro albo dziś sprzedam go i dostanie pan swoje pieniądze.

Oczy handlarza zabłyśły.

– Jeśli pan zechce, mogę pomóc: proszę pójść i przynieść pierścień, ja sam go kupię, a tymczasem pójdę po portret. Pan przyjdzie z pierścieniem, a ja z portretem.

...rozeszli się.

Pół godziny później w tym samym mieszkaniu znalazł się efektownie ustawiony na sztalugach portret, koło niego zamysłony Lorio, a malarz, przechylony w stronę okna, oglądał wyjęty z futerału pierścień... Kamień błyszczał w promieniach słońca...

– Mogę dać panu za pierścień... ten portret i jeszcze sto rubli.

Lorio uśmiechnął się ironicznie.

– Znam cenę tego pierścienia, ale od pana żądam tylko portretu i trzystu rubli...

Lichwiarz nawet nie próbował się targować... Zakończono wszystko bez zwłoki i Lorio poniósł portret do domu, chroniąc go jak własną duszę... Tam ustawił go na stole i, wstrzymując dech, z bliska patrzył na niego... jego usta szeptały coś... Chciało mu się pić, ale odejść – znaczyło oderwać wzrok od tych oczu nie z tego świata, a nie chciał tego, nie chciał...

– Czemu to Lorki tak długo nie widać na uniwersytecie? – zapytał pewien student swego kolegę, gdy spotkał go w mrocznym uniwersyteckim korytarzu.

– A czort wie.

– Może chory?

– Może... Zajrzę dziś do niego – i o piątej po południu do drzwi pokoju Loria zapukał kolega.

– Kto tam? – odezwał się głos ze środka.

– Ja przecież! I wszyscy diabli do tego.

Drzwi otwały się, student wszedł i stanął, osłupiały ze zdumienia.

Pokój był cały pokryty dywanem; zielen, bez liku zieleni – bo wielkie rośliny rozstawiono gdzie tylko się dało. Ciężka stora zasłaniała jedyne okno, na wpół ocieniając całą tę dekorację – a pośrodku tego małego pokoju, na wysokich, niezwykłych sztalugach, w osłoniętej materią złotej ramie stał wspaniały, wielki portret... Powietrze pachniało, wilgotne dzięki tyłu roślinom.

– Lorko... cóż to jest? – zapytał student, nie śmiejąc nawet podnieść głosu. Lorio z płonącymi oczyma wziął go za rękę i doprowadził do sztalug.

– Czy widzisz?... Myślę teraz o niej...

– O niej? – ze zdziwieniem przeciągnął student. – Czy ty nie wiesz, kto to taki? To przecież...

– Milcz!!... – dziko krzyknął Lorio i aż zadrżał cały... Wpił się palcami w ramię towarzysza... – Jeszcze jedno słowo piśniesz...

– Lorka!... Co z tobą?...

– Cii. Byłeś moim przyjacielem i dlatego zaraz ci powiem... Spójrz: teraz w jej oczach jest to, czego tak pragnąłem... Widzisz! myślałem, myślałem, patrzyłem bez przerwy – i widziałem wyraźnie, że tam, na tym portrecie czegoś w oczach brak... Że tam nawet w ogóle nie ma oczu... I to mi nie dawało spokoju: wciąż chciałem tchnąć w nie życie, a wygnąć śmierć... ale nie mogłem, bo nie znałem jej wcześniej, O, gdybym ją był znał – mógłbym! A teraz... teraz już wiesz: ona umarła... i okryto ją bielą... o, tak – i Lorio szybko opuścił białą zasłonę na cały portret.

Student z łękiem patrzył na swego towarzysza. Chciał coś powiedzieć, ale Lorio powstrzymał go.

– Cicho!... Lepiej nic nie mów... boleśnie rażą jej ucho wszelkie brutalne krzyki. Widzisz, żeby jej nie obrażać, zrobiłem tę dekorację... kwiaty kupiłem... Tylko teraz pierścienia nie mam, bo postawiłbym tutaj fortepian... wielki, drogi... Siadaj, siadaj, opowiem ci, jak znalazłem jej oczy...

– Ach, jak ja ich szukałem, tych cudnych oczu! Spałem – i widziałem je we śnie, jasne, zmęczone... Szedłem nad rzekę – błyszczały wśród fal, pluskały jak rusałki i jak rusałki wabiły mnie do siebie, w jasną, błękitną głębinę... Czasem widziałem je hen, wysoko na drzewie, wśród liści... a liście żółte... tak żółte... Często bywało, że budzę się w nocy i patrzę do góry. A tam brzmia jakieś szaleńczo-wesołe dźwięki, i ruszają w tan jakieś bezcielesne, czarne obrazy... wyginają się tak, wiesz, z gracją, klaszczą w dłonie, a śmiech, jaki wesoły jest ich śmiech... Bachus rechocze, pijany, a rozpustny Satyr usiłuje rozwiązać sandały na nodze wspaniałej nimfy... A gdy tylko błysną, one, oczy – o, jak wszystko znika, błędnie!... Muzyka oddala się i dzwon melodyjny cichnie... a one lśnią, lśnią, rozsiewają promienie po moim pokoiku...

– I tak mi się, wiesz, robi wstyd za mnie, za nas wszystkich, głupich ludzi... Prosiłem ją o wybaczenie, a ona tylko tak smutno na mnie patrzy... z wyrzutem...

– No cóż! Czy myślisz, że mogłem wiecznie znosić jej sprawiedliwe wymówki? Musiałem znaleźć te oczy! I znalazłem!... Poszedłem prosto do mego znajomego artysty; to pijanica, tak, to pijanica, ale ma i złote chwile. Wiesz – to wielka rzecz: mieć złote chwile, mieć w życiu choć kilka minut pełnych natchnienia, zapomnienia... Wy wszyscy... wy nie mieliście i mieć nie będziecie takich chwil, a on miał, ja wiem – jego duch żyje. To pijanica – a stał i płakał, i płakał nad portretem... Ja też płakałem – wtedy myślałem, że można płakać...

– I powiedział: „Tak! ja ją namaluję”... powiedział „namaluję”...

– Ale ty myślisz, ty pewnie myślisz, że ją porzuciłem? O nie! Zostałem u niego, mieszkałem u niego, choć nie wpuszczał mnie do swojej pracowni. Cały czas tylko chodziłem po domu i czekałem... A jak ja czekałem?... *Tak* czekać można tylko raz, tylko jeden jedyny raz w życiu!...

– Po kilku dniach zawołał mnie: „Gotowe! Tylko głowa”.

– Wszedłem i...

I Lorio szybkim ruchem odrzucił zasłonę z portretu... Błysnęły oczy... Jakby uderzyły po nerwach... Cisza, cisza zapadła w mieszkaniu... Lorio wstrzymywał dech...

– Oto... Czy widzisz?...

– Upadłem na kolana, chwyciłem obraz w ręce, nie chciałem go puścić, a on krzyczał na mnie: „Podlec! Chcesz śmiać się z portretu! Trzeba go skończyć!” – i wypchnął mnie znowu z pracowni... Szlochałem przed nim, prosiłem, żeby mnie wpuścił – nie chciał...

– I wiesz – Lorio błysnął oczyma – gdyby on zechciał zatrzymać portret, gdyby tylko o tym pomyślał – nie wahałbym się ani chwili, zadusiłbym go! Ale on – o, on jest *mężczyzną*! Oddał mi portret, a sam poszedł... pić wódkę...

– I oto widzisz: od tej pory portret stoi tutaj – i ja go ani na moment nie porzucam... Po co miałbym ją tak obrażać? I tak już ją obrzucają błotem... Nienawidzili jej, śmiali się z niej... Bezduszni, podli ludzie... Utopili ją, a potem śmiali się, że jej twarz zsiniała od chłodu wody... I mnie... mnie też żal jej... utopionej... tak bardzo chciałem ją uratować... Słyszę w nocy, jak rozdzierającym duszę głosem krzyczy gdzieś z dołu... nie chce umierać... słyszę... odpowiadam jej krzykiem... a wyciągnąć... wyciągnąć nie mogę... i płaczę... płaczę wtedy... proszę o wybaczenie, a ona... ona nie chce mi wybaczyć, że... ja też... też jestem mężczyzną...

I Lorio, cicho złożony głowę na rękach, bezdźwięcznie płakał... A ze wspinających, złotych ram lśniło pięknem rajskie oblicze...

### III

Lorio wszedł do przedziału. Ostrożnie położył na ławce coś dużego, zawiązanego w biały atlas. Potem usiadł, opierając się o zagłówek. Na zewnątrz trwała krzątanina; stukwały drzwi wagonu, ktoś wchodził, wybiegał, zaglądał do przedziału. Lorio wstał i zamknął drzwi.

Dzwonki: drugi, trzeci... Krótki gwizd parowozu – i wagon cicho ruszył z miejsca... Wciąż szybciej i szybciej uciekała w tył i stacja, i budki, i żandarmi; skończyły się drogi, latarnie zwrotniczych, w oknie zjawilo się ciemne pole... Mrok i spokój... cichy stukot... Na suficie zabłysło elektryczne światło, zrobiło się jasno, a wagon, zgrzytając kołami, wciąż dążył naprzód... To Lorio pragnął odwieźć portret do ojca i matki Idy, a sam... sam dokądkolwiek...

...cicho uniósł odrzuconą głowę. Na wprost przed nim leży zawinięta w biel wielka rama... Wzywa do siebie, przyciąga... chciałoby się odstąpić – i Lorio już nieśmiało wyciąga rękę... ale nagle, niby oparzony płomieniem, zabiera ją z powrotem i zdecydowanym ruchem znowu opiera się o zagłówek...

Oto przyjechał. Brudne, brzydkie miasteczko. Natrętni woźnice na lada jakich szkapach, ciemne pole, potem brudne ulice z lampami naftowymi... Wymienił nazwisko; po kilku minutach podjechał do małego domu i zadzwonił koło bramy.

– Czego pan sobie życzy? – spytała Loria stara kobieta, gdy wszedł do salonu, niosąc ze sobą portret.

Dom był średniozamożny; nic takiego, co rzucałoby się w oczy, wszystko zwyczajne.

– ...z kim mam honor...

Staruszka wymieniła swoje nazwisko... To była matka...

– Proszę o wybaczenie, że ośmieliłem się tak późno panią nachodzić. Oto w czym rzecz: mam portret pani córki... Ja... ja... nie mogę dłużej mieć go u siebie. Jedyne ręce, w których gozdzien jest pozostawiać, to ręce pani – i dlatego właśnie tu przyjechałem.

– Portret? Znał ją pan? – wykrzyknęła matka.

– Za życia – nie... Nawet nigdy jej nie widziałem... Ale... o tym potem. Czy chce pani zobaczyć portret? – i, nie czekając na odpowiedź, ledwie zauważalnie drżącymi rękami odwinął atlas, wyjął z niego portret i postawił na kanapie...

Matka rzuciła się do niego, szlochając głośno... Lorio stał... jedynie od czasu do czasu jego twarz wykrzywił lekki skurcz... Rozlegało się szlochanie... znienacka czyjaś zimna – zimna jak lód ręka legła studentowi na ramieniu... Lorio wzdygnął się... Koło niego stał wysoki, zupełnie siwy starzec. Długa broda spadała na piersi... oczy błyszczały niepokojąco...

– To... mój portret? – spytał lodowatym głosem.

Lorio skinął głową .....

Tego wieczoru Lorio długo tu pozostał. Słuchał o najdrobniejszych przypadkach z życia Idy, myślą podążał za nią, jak rosła, jak rozwijała się i dojrzywała, jak rozkwitała jej uroda... Wyostrzonym spojrzeniem szukał w rysach matki czegokolwiek, co przypominałoby niezapomnianą twarz i wciąż słuchał, słuchał... Cicho dźwięczały struny gdzieś głęboko w duszy, bez strasznego zamętu, bez wybuchów, bez reakcji. A matka opowiadała wszystko: czuła,

że siedzi przed nią człowiek nie z banalnym i pospolitym współczuciem na ustach, nie z ukrytym wyrzutem, ale człowiek, który mógłby się modlić do jej Idy... I pokazali mu jej pokoik, jej książki, jej zeszyty, nawet zabawki, którymi bawiła się w dzieciństwie; dawali mu na pamiątkę jej fotografie portretowe, ale dziękował, nie chciał wziąć...

Tutaj, po tych pokojach chodziła, tutaj marzenia ogarniały jej serce i tutaj także ludzie, zamiast opiewać ją w niezwykłej pieśni, uczyli ją swoich gnusnych uczuć, przekazywali jej swoją materialność...

Lorio został na noc: uprosili go. Ale i sam chciał choć przez jedną noc oddychać tym samym powietrzem, którym ona niegdyś oddychała... Zaprowadzili go do pokoju, życząc dobrej nocy... Lorio, nie rozbierając się, legł na łóżku; wiedział, że nie zaśnie tej nocy. Serce jakby skamieniało; nie czuł w nim gwałtownego żalu, tylko tępy ból, do którego przywykł ostatnimi czasy, trwał w całej jego istocie. Ale i rzeczywiście, nadto już było zmartwień...

Cisza w nocy. Raz, dwa, trzy... cztery, bije zegar... wybił dwanaście razy. Na stole pali się nocna lampka. Ucichły uderzenia – znów równomiernie tyka wahadło... Kołysze się, kolebie się brzęcząca w uszach cisza...

Oto drgnęła klamka w drzwiach... Uchyliły się cicho, bezdźwięcznie – i do pokoju wszedł... ojciec. Ubrany był na biało. Usiadł na łóżku.

Lorio podniósł się...

– Ci – powiedział stary szeptem – Już im mówiłem, żeby jej nie chwalili otwarcie. Już ich prosiłem... Ale oni mnie wtedy nie słuchali...

Lorio w zadumie patrzył na szaleńca.

– Nie słuchali, a ona od tego umarła... i tak... całkiem umarła. Odślania piersi i tak lubi, żeby zimą śnieg padał prosto tam, na gorące piersi... Wiesz, ja nigdy nie chodzę do niej w dzień, bo w dzień jestem zajęty – do sądu chodzę w dzień, mam dużo spraw... bardzo dużo mam spraw... lepiej w nocy... A ciebie od razu polubiłem i z tobą ja chętnie... Tylko powinienesz zdjąć buty, bo skrzypią... Coś ci dzisiaj pokażę – idź za mną...

Lorio posłuchał bez sprzeciwu. Przeszli przez salon, maleńki korytarz i weszli do niewielkiego gabinetu. Jaskrawe światło wielkiej, zapalanej lampy na chwilę oślepiło go i Lorio zasłonił oczy rękami. Potem odjął ręce i mógł się rozejrzeć...

To była komnata kultu Idy, to była jej świątynia... Wszędzie rozstawione i rozwieszzone były jej niezliczone portrety; jej twarz odbijała się jak w tysiącach zwierciadeł, ze wszystkich stron, aż strasznie robiło się wśród takiej masy oczu, oczu i oczu... Lorio pochylił głowę...

Stary podszedł do swego łóżka, uniósł materac: pod nim leżała łopata, nawet nie oczyszczona z ziemi.

– O! Widzisz? – powiedział stary i szeroki, szalony uśmiech opromienił jego twarz. – Z tym jeszcze nigdy tam nie chodziłem, nigdy...

Zgaślił jasną lampę, wziął Loria za rękę i cichuteńko wyszli obaj na ulicę.....



Miasteczko spało. Gdzieś w oddali postukiwał stróż. W żadnym oknie nie świeciło się i tylko księżyc wspaniała, krągły, cicho płynął w górze. Szli i nie było słychać ich kroków... Cicho... cicho...

Oto już ostatnie chaty, płoty, ostatni słup latarni i – przed nimi pole, oświetlone miękkim blaskiem. Ani żywej duszy! Gwiazda zsunęła się z nieba i nawet ona zadzwięczała... Oto cmentarz. Furtka otworzyła się, skrzypiąc nieśmiało, znowu się zamknęła – i dwóch żywych ludzi znalazło się o tak niezwyklej porze w królestwie nieskończonego spokoju... Gdzieś błyszczał marmurowy pomnik, gdzieś drzewo rozpościerało gałęzie, przybierając czarnoksięskie, fantastyczne kształty, a pod nogami tajemniczo szeleściły suche opadłe liście. Gdy cichy wiatr przepływał między gałązkami, liście, niby wielkie, ciemne ćmy, poważnie opadały w powietrzu, obracając się w jasnych promieniach księżycy... Jakiś zabłąkany pies zaskowyczał i odskoczył w bok, i długo było słychać, jak szeleści suchymi liśćmi, uciekając jak najdalej...

– Tu! – powiedział stary... Lorio zadrżał... Stali przed niewielkim ogrodzeniem; był w nim grób przybrany kwiatami, zielenią; smutno stał niewysoki, czarny nagrobek... Weszli za ogrodzenie.

– Wykopiemy ją... Czy myślisz, że nie zechce mnie teraz widzieć? Ja przecież ją przeklinałem... – szeptał stary. I pełen namiętności szept niby hipnotyzował Loria... Cmentarz, noc, księżyc na wysokim niebie – i ten ojciec, jak pradawny, stary patriarcha, stoi na grobie, wyprostowany na całą wysokość...

– Najpierw ja, a ty potem... – i stary zaczął kopać. Lorio oparł się plecami o płot i wprost utopił spojrzenie w jasnym kręgu księżycy... W międzyczasie z grobu spadły kwiaty, sypała się ziemia, małe kamyki i niebawem w miejscu kopca widać już było niewielką jamę. Stary, oddychając ciężko, w milczeniu wsunął łopatę w ręce Loria i ten, z głową wolną od myśli i rozważań, zaczął kopać.

Kopał i kopał, wyrzucał ziemię na wierzch... Oto już stoi w jamie po szyję... Stary, niczym drapieżny ptak jakiś, nachylił się nad jamą i świecił w nią strasznymi oczyma... Oto łopata dotknęła czegoś... Stary skoczył w jamę i niemal wyrwał Loriowi łopatę z rąk. Lorio oddał ją bez protestów... wyszedł na powierzchnię...

Konwulsyjnie krzątał się stary gdzieś tam w jamie i szybko coś do siebie szeptał. Oto ukazała się czarna trumna; kiedyś była czymś obita, ale teraz wszystko zgniło i pokazało się drewno. Całe wieko było niby mokre... Stary odrzucił łopatę i usiłował podnieść wieko, ale pewnie przybito je gwoździami. Wtedy znowu wziął łopatę, wsunął krawędź w szczelinę i, wyciągając gwóźdź za gwoździem, szybko uwolnił wieko... Chwycił oburącz, wysilił całe swoje stare ciało i podniósł je, rzucił obok, a sam... sam nachylił się nad otwartą trumną

.....  
 ...błysnął księżyc – i spojrzały z mroku do góry czarne jamy w miejscu oczu... Goła czaszka wyszczerzyła zęby i niby śmiała się... śmiała się.

– Ach-cha-cha-cha! – dziko zarechotał ojciec i całym ciałem upadł na trumnę...

a księżyc patrzył z góry, zaglądał w jamę i widział w niej zetlałą suknię, kości ręki i przerażająco odsłonięte w śmiechu zęby .....

Rankiem następnego dnia znaleziono na mogile martwego ojca, spisano protokół i znów zakopano ciało... Nikt tylko nie dostrzegł, że na lewej ręce trupa brakowało dwóch członów palca .....

Tłum. *Katarzyna Kotyńska*

### Magiczny kostur

Zdarzyło się kiedyś, że wybrałem się z siostrą na przejażdżkę po Czornahorze. Chciałem pokazać jej piękno Huculszczyzny. Za przewodnika mieliśmy Hucuła.

Jedziemy na huculskich koniach. To spokojne konie – mogłem pisać, jadąc na tym wierzchowcu. Stąpa ostrożnie. Gdzie wyda mu się, że jest niebezpiecznie, próbuje najpierw nogą grunt, a potem stąpa. Nie potrzebuje wędzideł, bo ich nie słucha; idzie tam, gdzie mu się wydaje, że będzie lepiej. Chciałem raz postawić na swoim i pojechać w prawo, gdy koń chciał w lewo; ciągnę go w jedną stronę, a on w drugą; aż mu łeb odwracam, a on swoje. Postawiłem w końcu na swoim, zmusiłem go, by szedł w prawo, ale potem odpokutowałem to. Koń bowiem postanowił się zemścić: kiedy na drodze znalazły się dwa drzewa, szedł między nimi. Odległość między nimi była równo taka, żeby koń przeszedł, a moje nogi musiały się już przedzierać. Porwał mi spodnie, poranił nogi.

Ogólnie jednak to wielka przyjemność jeździć na huculskim koniu – tak w górę, jak i z góry. Sam wybiera drogę, sam robi zakosy i zwiezie was ze stromej góry tak łatwo, że nawet tego nie zauważycie. Wjechałem niegdyś na koniu na Howerlę i z powrotem.

Jedziemy więc z siostrą. Wspięliśmy się na stok jakiejś góry. Ścieżka taka, że tylko koń może nią iść. Po prawej, tak jak i po lewej stronie – stromizna. Siedzi się na koniu wysoko, jak na szafocie. Trochę strach, siostra zaczęła prosić błagalnym tonem („i pomodliła się siostra cicho...”):

– Może jednak pieszo...

Pieszko to pieszo. Hucuł dawno już idzie pieszo, konia trzyma za lejce. Zsiadłem i ja. Poszedłem przodem. Lewą ręką prowadzę konia, a w prawej

trzymam kij, który znalazłem gdzieś po drodze. Wymachiwałem nim w powietrzu, strącałem kamienie w przepaść...

Szliśmy tak i szliśmy: ja z przodu z koniem, za mną siostra, z tyłu zaś Hucuł z dwoma końmi.

Raptem przede mną błysnął węzowaty zygzak. Nie przyjrzałem się, czy to niejadowity wąż, czy drapieżna żmija; instynkt chyba jakiś, gdy się zobaczy węża, chciałoby się go uderzyć (pewnie to dlatego, że kiedyś straciliśmy przez węża raj)... Tak się właśnie stało. Nie namyślając się, uderzyłem węża w łeb, i to jakoś tak celnie, że wąż wił się, wił i swemu węzowemu bogu duszę oddał.

Hucuł krzyknął. Opamiętałem się. Może gdyby nie był tak daleko, nie dałby mi uderzyć węża. U Hucułów pozostał święty szacunek dla węży. Szedłem raz na przykład potokiem Krasnoilskim z jednym Hucułem. O czymś rozmawiamy. Nagle drogę przecina nam żmija. Ja przytomnie chwytam za kamień, ale Hucuł bierze moją rękę w żelazne kleszcze.

– Czy ona cię zaczepia?

Długo nosiłem obrączkę na ręce – znak huculskiego przyjaznego uścisku.

Teraz, kiedy huculski przewodnik krzyknął, zrozumiałem ten krzyk. Mogłem przecież zabić Królową Żmiję, tę samą, która na głowie nosi diament. A jakby kto ten diament zabrał, to już by ani nafty nie trza było, ani świecy – niczego. Jasno by w chałupie było jako w dzień.

A kiedyśmy jadąc dalej kogoś spotykali, nasz Hucuł nie zapominał rzec:

– A ten pan żmiję zabił! za jednym machem!

Wjechaliśmy w las. Zatrzymaliśmy się na odpoczynek. Gęstwina wokół nieprzebyta! Kamienie leżą w beładzie, drzewa połamane. „Takie szpetne” – rzekłby Hucuł.

I musiało się chyba tak zdarzyć, że na kamień wypełzła żmija, a ja, znowu nie bardzo sobie z tego zdając sprawę, uderzyłem ją znowu kijem w łeb i znowu trafiłem. Wziąłem tę żmiję i powiesiłem na rozszczepionym pniu powalonego smreku.

Rzuciliśmy się z siostrą na czernice, których tu pełno było. Nie musiałem się nawet schylać czy chodzić, po prostu położyłem się i żarłem. Jak nie dość – przewróć się na drugi bok i dalej jedz.

Tak się zajęliśmy czernicami, że nie zauważyliśmy nawet, jak nasz Hucuł gdzieś zniknął. Poszedł to poszedł – różnych rzeczy może Hucuł w lesie szukać...

Najedliśmy się z siostrą, odpoczywamy, rozmawiamy o czymś. Nagle patrzę – sunie do nas grupa Hucułów.

Wygląda to tak. My w głębokim lesie, na pięćdziesiąt wiorst żywego ducha nie ma; broni też nie, a ja sam z dziewczyną. Co zechcą, to i z nami zrobią ci ludzie.

Ale ani przez sekundę, ani przez mgnienie oka nie pojawiła się taka obawa, do tego stopnia bezpiecznie czuliśmy się wśród tych „dzikich”, niekulturalnych” ludzi. Na tym odludziu. Patrzymy więc, jak podchodzą do nas kupką,

patrzmy tak spokojnie, jakbyśmy siedzieli we własnym domu, wyglądali przez okno i przypatrywali się, kto też tam idzie.

– Sława Isu!

– Nawiki Bohu sława swietomu ta j wam! (To już ja się takim Hucułem zrobiłem)<sup>1</sup>.

Stoją gazdowie, patrzą na nas, a my na nich. Domyślam się, że usłyszeli od naszego przewodnika, że przywiódł tu jakiś panów, to i ludzie przyszli popatrzeć. Nudno przecie w lesie.

Chyba jednak nie, bo to sami starzy gazdowie, siwi, a to taki lud, że niezbyt lubi okazywać ciekawość i biec Bóg wie jak daleko, żeby spojrzeć na jakiego pana. Nie, coś tu nie tak.

Patrzę, a jeden Hucuł, najpoważniejszy z nich i najstarszy, odwołuje mnie palcem na bok. Podchodzę do niego. Nachyla się do mnie i szepcze na ucho.

– Kiko?

Wytrzeszczam oczy. Pyta mnie ile? Ale czego ile? Czy za co ile? Nie pojmuję. Nie jestem kupcem, niczego nie sprzedaję. Pytanie Hucuła – ile – bardzo mnie dziwi.

– Czego ile, stareńki?

Hucuł tylko potrząsnął głową – niby po co się wygłupiasz, jakbyś nie wiedział?

Ja jednak naprawdę nie wiem i nie rozumiem i mówię to wprost Hucułowi. Na jego twarzy maluje się i zniecierpliwienie, i szacunek – znaczy, człowiek nie chce tanio oddać, podbija cenę.

Ale co jest przedmiotem naszego targu, bij – zabij nie wiem.

– Rzeknijcie że, stareńki, niech Pan Bóg ma was w swojej opiece, co ode mnie kupujecie? Bóg świadkiem, że nie wiem.

Dla gazdy jasne jest, że wiem, dobrze wiem, tylko gram. I tak rozmawiamy, aż póki gaździe nie przyszło do głowy – a może naprawdę ma przed sobą tak naiwnego człowieka, że nie wie, jakie bogactwo posiada. Mówi do mnie tajemniczym szeptem:

– Kij.

Na mojej twarzy szczere zdziwienie.

– Kij?? Jaki kij???

– A ten, coście dwie źmije ... (boi się nawet powiedzieć „zabili”, gestem tylko pokazuje).

– Ten? Wyrzuciłem go gdzieś.

– Co?

Na twarzy gazdy strach, zdziwienie, rozczarowanie, widać, że najchętniej dałby mi w pysk.

– Toście wyrzucili? Gdzie?

---

<sup>1</sup> Pozdrowienie to jest odpowiednikiem „Niech będzie pochwalony!”, na które odpowiedź brzmi: „Niech będzie pochwalony na wieki Bóg święty i wy także”.

– A bo ja wiem gdzie? Wyrzuciłem gdzieś, czy ja wiem gdzie.

Z zupełną rozpaczą w głosie gazda krzyknął do swych towarzyszy:

– Wyrzucił gdzieś!

Tłum zaszemrał niezadowolony, nie dowierzając jeszcze ktoś zapytał „gdzie?”

Huculi wypytywali mnie, gdzie się zatrzymywałem, kędy chodziłem, gdzie leżałem i szukali tam dokładnie, pokazywali mi setki kijów, ale ja albo wszystkie mogłem uznać za tę, albo żadnej.

Do samego zmierzchu pełzaliśmy po trawie w poszukiwaniu kostura, ale nijak się nie dało znaleźć w tym gąszczu.

A kiedy gazdowie zbierali się już do odejścia, rozczarowani, wręcz obrażeni na takiego głupca, jak ja, to na odchodnym zapytałem stareńkiego:

– Na miłość Boską, rzeknijcie mi, co to miał być za kij taki?

Ulitował się nad moją dziecięcą naiwnością i wyjaśnił mi, że jakby kto jednego dnia trzy żmije zabił, a każdą za jednym zamachem, to tym kosturem można odganiać chmury gradowe.

I poszli. A ja zostałem jak ten głupi Iwan carewicz z bajki, któremu „po brodzie ciekło, a do gęby nie dostało”. Takie bogactwo mieć w rękach – i nie umieć wykorzystać! Już dwie zostały zabite, jeszcze trzecią by dostał, i całą Huculszczynę miałby człek w ręku. Głupiec, głupiec! Jak to pan.

Tłum. *Ola Hnatiuk*

## Wołodymyr Wynnyczenko (1880 –1951)

Wołodymyr Wynnyczenko – pisarz, malarz, działacz polityczny, pierwszy premier rządu Ukraińskiej Republiki Ludowej – urodził się w 1880 roku we wsi Wełykyj Kut guberni chersońskiej. W latach 1901-1902 studiował prawo na Uniwersytecie Kijowskim. Za działalność w Ukraińskiej Partii Rewolucyjnej został aresztowany, a następnie wcielony do carskiej armii, skąd zdołał zbiec do Galicji. Nadal prowadził działalność polityczną – pisał i przerzucał do Rosji ulotki oraz broszury polityczne. Aresztowano go podczas nielegalnego przekraczania granicy i przesiedział rok w twierdzy (1903-1904). Niecałe dwa lata pozostawał na wolności; jesienią 1906 r. aresztowano go ponownie. Tuż przed procesem został zwolniony za kaucją, a w dniu procesu był już wraz z innymi więźniami – Jefremowem, Tyszczenką, Żukiem – na granicy austriackiej... Tak więc od 1907 aż do początku I wojny światowej Wynnyczenko przebywał na emigracji. Od czasu do czasu ryzykując kolejne aresztowanie przybywał na Ukrainę. Podczas wojny Wynnyczenko nielegalnie wrócił do Rosji i znowu rozpoczął działalność polityczną jako lider Ukraińskiej Socjalistyczno-Demokratycznej Rewolucyjnej Partii. Był współpracownikiem pism „Dzwin” (1913-14) oraz *Ukrainskaja żizń* (1912-1917). Od 1917 roku był premierem Generalnego Sekretariatu – autonomicznego rządu Ukraińskiej Republiki Ludowej, a w latach 1918-19 stanął na czele Dyrektoriatu. Po upadku niepodległej Ukrainy, od 1919 r. przebywał na emigracji, gdzie napisał trzypięciotomowe dzieło *Widrodżennia naciji* (Wiedeń 1920). W 1920 r. podjął próbę pertraktacji z Leninem i reorganizacji rządu radzieckiej Ukrainy w kierunku jego autonomizacji, został nawet ministrem spraw zagranicznych. Wkrótce jednak okazało się, że jego próby wykorzystywane są do legitymizacji władzy radzieckiej. Wyjechał więc do Francji, gdzie pozostał aż do śmierci. Porzucił działalność polityczną i trzymał się z dala od emigracyjnych sporów. W okresie okupacji niemieckiej za odmowę współpracy w utworzeniu prohitlerowskiego, marionetkowego rządu został uwięziony w obozie koncentracyjnym. Zmarł w 1951 r. we Francji.

Wynnyczenko był pisarzem modernistycznym, a jego innowacje w prozie i dramaturgii szybko zdobyły mu uznanie zarówno krytyki, jak i czytelników. Jego twórczość można podzielić na trzy okresy: lata 1902-1907, kiedy naturalizm przeważa nad neoromantyzmem, 1907-1917 – czas Wynnyczenki-modernisty oraz lata 1920-1938, kiedy powstają powieści utopijne oraz utwory oparte na wspomnieniach.

W debiutanckiej noweli *Krasa i syła* („Kijewska Starina”, 1902) Wynnyczenko jawi się nam jako pilny obserwator ówczesnej rzeczywistości społecznej. Utwory prozatorskie początkowego okresu twórczości pozostają pod wpływem naturalizmu i w opozycji do dominującej wówczas manieri narodników. Opowiadania i nowele z lat 1902-1906 r. ukazują życie ukraińskiego miasta – biedoty (*Hołota, Rab krasny*), robotników (*Fed’ko-chałamydnyk*), studentów (*Zaruczyny, Student*), aktorów (*Antreprener Harkun-Zadunajskij*, więźniów politycznych (*Pomirkowanyj ta szczyryj*) i żołnierzy (*Borot’ba, Mnimyj gospodin*). Nowum stanowił nie tylko styl, ale i wprowadzenie do ukraińskiej prozy postaci inteligentów. Twórczość Wynnyczenki tego okresu bardzo przychylnie ocenił Iwan Franko, przeciwstawiając ją dekadenskiemu nurtowi w sztuce. W recenzji tomu opowiadań *Krasa i syła* (1906), Franko pisał: „pośród ospałej, artystowskiej, szablonowej i pozbawionej talentu generacji nagle pojawiło się coś potężnego, zdecydowanego, muskularnego, pełnego temperamentu...”.

Od 1907 r. Wynnyczenko przeżywa okres zauroczenia filozofią Friedricha Nietzschego. Tłumaczy jego traktat *Tako rzecze Zaratustra*, choć nigdy – ani przedtem, ani potem – nie zajmował się przekładem. Jego pierwsza sztuka napisana w tym czasie – *Dysharmonija* (1906) – ukazując rozdzwitek między życiem bohaterów a ideałem, w który wierzą, przedstawiała propozycję rozwiązania tej sprzeczności, którą Wynnyczenko nazwał „uczciwością wobec siebie”. Zarówno w prozie, jak i w utworach dramatycznych Wynnyczenko przejawia zainteresowanie psychologią człowieka zbuntowanego wobec porządku tego świata, człowieka bezskutecznie próbującego go zmienić. Czasem jest to cyniczny egoista, odrzucający zasady moralne, przeważnie jednak są to ludzie o praktycznym umyśle, dążący do absolutnej wolności, z góry skazani przez to na porażkę. Wiele spośród dramatów Wynnyczenki (*Wetykij mołoch*, 1907, *Bazar*, 1910, *Brechnia*, 1910, *Czorna pantera i biłyj wedmid’*, 1911) w latach dwudziestych zyskało popularność w świecie teatralnym; jego sztuki wystawiono m.in. w Niemczech.

Wynnyczenko był także autorem wielu powieści, m.in.: *Czesnist’ z soboju* (1907), której towarzyszyła, podobnie jak sztuce *Dysharmonia* atmosfera skandalu. Następnie ukazały się *Riwnowaha*, *Bożky*, *Chocz* oraz *Zapysky kyrpatoho Mefistofela* (1917) – bez wątpienia najbardziej udana powieść.

Pozostając na emigracji nadal tworzył – jego powieść-utopia *Soniaszna maszyna* (1921-24) była ogromnie popularna w latach dwudziestych na Ukrainie. Mniej znane powieści tego okresu to *Nowa zapowid’* (1931-33), *Wicznij imperatyw* (1936), *Łeprozorij* (1938). Pośmiertnie ukazała się powieść obyczajowa *Słowo za toboju*, *Staline* (1971) oraz dziennik z lat 1911-1951 (Nowy Jork, 1980).

Jego powieści, jak pisał Ołeksandr Doroszkewycz „są pełne ruchu, dynamiki, nieoczekiwanych epizodów, co do prawdziwości których przekonuje nas autor, a jednocześnie pełne elegijnych medytacji czy refleksji intelektualnej

w stylu Kociubynskiego. [...] Mają interesującą fabułę i pomimo licznych paradoksów intrygi nigdy nie są niejasne”.

W jednym z listów, datowanych na rok 1909, Mychajło Kociubynski pisał: „Kogo u nas się czyta? Wynnyczenkę. O kim wszędzie się mówi, kiedy rzecz dotyczy literatury? O Wynnyczenke. Kogo kupują? Znowuż Wynnyczenkę”.

Obydwa głosy – pisarza i historyka literatury – świadczą o tym, że na początku XX wieku Wynnyczenkę uznawano za gwiazdę pierwszej wielkości. Było tak aż do czasu, kiedy rozpoczęły się represje wobec inteligencji ukraińskiej. Wynnyczenko był poza zasięgiem władzy radzieckiej, lecz jego utwory zostały skazane na pięćdziesiąt lat zapomnienia.

W 1919 roku ukazało się pierwsze wielotomowe wydanie dzieł Wynnyczenki. W latach dwudziestych na Ukrainie radzieckiej dwukrotnie ukazywały się 23-tomowe wydania. Po 1933 roku twórczość Wynnyczenki została objęta zakazem druku. Dopiero po 1987 r. na Ukrainie pojawiły się publikacje poświęcone temu wybitnemu pisarzowi i politykowi. Po nich przyszła pora na wznowienia książek (m.in. *Krasa i syła. Powisti ta opowidannia*, 1989) i refleksję historyków literatury i teatru.

*Ola Hnatiuk*

### **Małeńka blizna**

Tak. Teraz już koniec.

Chudy rotmistrz podmuchał na mój podpis, z zadowoleniem zatarł ręce i zwrócił się do dwóch żandarmów, stojących w proggu.

– Do celi!

I wskazał mię ruchem głowy. A żołnierzom krótko rzucił:

– Możecie odejść.

Żołnierze szybko zrobili „w lewo zwrot” i, nie patrząc na mnie, pośpiesznie wyszli. Nie wzruszała ich moja osoba. Zrobili swoje, „starszy” schował papier” za mankiet rękawa, aresztant nie uciekł, mogą się nawet spodziewać od władzy podziękowania. Raz-dwa! zatupały wesoło ich nogi w sieni. A mnie dwóch żandarmów poprowadziło przez całą stację do celi. Na peronie było pusto, tylko jakiś pan w żółtych bucikach chodził szybko, czemś zaaferowany. Nie odznaczał się niczem niezwykłym, lecz spojrzawszy na niego, poczułem, że istotnie jest ze mną źle. Nie było w nim nic osobliwego, lecz podobny był do pewnego lwowianina. A ów lwowianin, który też niczem nie zwracał uwagi, pożyczył ode mnie kiedyś dwadzieścia koron i zawsze jakoś niepostrzeżenie umiał znik-



nać mi z oczu. Lecz tutaj, na peronie, pomiędzy dwoma żandarmami, poczułem, jak bliskim mi jest, jak miłym ten człowiek. W jaki wzruszający sposób pożył wóczas ode mnie dwadzieścia koron, jak przysięgał, że następnego dnia – „punkt” – odniesie dług. O, jakżebym pragnął mieć możliwość pożyczania mu co dzień po dwadzieścia, po czterdzieści, po sto koron. Nie chodziłbym nawet do tej kawiarni, gdzie za pożyczone pieniądze pił kawę z ciastkami.

– Nie wolno się zatrzymywać! Nie wolno się zatrzymywać!

Żandarm popchnął mnie nawet z lekka.

Rzeczywiście, po co się zatrzymywać? Żegnaj, mój miły lwowiaku w żółtych bucikach!

Po torze chodziła czarna kura z obwisłym czerwonym grzebieniem.

Spokojniuszko, jak po zacisznym śmietniku, chodziła między szynami i coś zbierała. Głupia kura!

Śmieszna, głupia kurko, jakżebym pragnął być na twem miejscu!

– Nie wolno się zatrzymywać, mówię panu! Co tam ciekawego pan znalazł?

Rzeczywiście, cóż to ciekawego w widoku poruszającej się wolno, jak dla zabawy lokomotywy? albo tej dalekiej smugi lasu na horyzoncie?

Prędzej do celu!

– Na prawo! – odpowiedział mi z tyłu ten sam żandarm, a drugi mię wyprzedził i obejrzał się szybko.

Lecz zatrzymałem się jeszcze raz. Chciałem popatrzeć na niebo. Wiedziałem, że to też nic ciekawego, jednak chciałem się przekonać, czy jest niebieskie, czyste i głębokie.

I nie zdołałem: gdym się odwrócił, wzrok mój napotkał twarz żandarma. Patrzył na mnie z takim wyrazem, że musiałem pomimo chęci zatrzymać oczy na nim.

Od dawna już dzieli nas wielowarstwowy mur czasu, niezliczona ilość wszelakich oblicz przewinęła się przede mną, lecz ta twarz na progu drzwi stoi, jak żywa, w mych oczach. Wyraźnie widzę trochę zadartą górną wargę i rzadkie duże zęby. Broda potargana, czarna, z lekką siwizną na końcu. Przyplaszczony, szeroki nos. Lecz najważniejsze – to oczy. Małe, kałmuckie, głęboko osadzone, patrzyły na mnie z takim wyrazem, z jakim patrzeć może chłop, prowadzący na rozprawę złapanego w komorze złodzieja.

– Prosimy uprzejmie! – zaprosił mię ruchem ręki na schodki, prowadzące do góry.

Niewesoła ironia!

– Stepaniuk, idź naprzód!

Stepaniuk, o bladej, zmęczonej twarzy, skinał na mnie i wszedł na schodki. A za mną ciężko zatupały nogi „kałmuka”. Sympatyczna figura!

Miejsce, dokąd mnie prowadzili, pasowało zupełnie do mej władzy. Brudne, ponure schody, szare ściany. Nie zdziwiłbym się, gdybyśmy się naraz znaleźli przed dołem, do którego każą mi się rzucić głową na dół. A co, jeśli „kałmuk” zacznie mię po trochu tam sprowadzać, utnie mi rękę i ciśnie, potem z

drugą zrobi to samo – i tak do końca? A gdy zetnie głowę, westchnie z żalu, żem się tak szybko skończył.

W każdym bądź razie, sądząc po oczach, usposobienie „kałmuka” odpowiadało tym obrazom.

– Gdzie klucz? Otwieraj.

Dół-nie dół, może coś jeszcze oryginalniejszego.

Przede wszystkim buchnął straszny zaduch: ciepły, gęsty, jak woda w stojącym stawku w czasie upału.

Gdym wszedł, popchnięty przez „kałmuka”, do środka, zrozumiałem, gdzie jest prawdziwy koniec. Nie mogłem mieć już żadnej wątpliwości! W tym... dole nie było kątów. Był on okrągły, jak kopuła na cerkwi, jak czapka, którą przykryto młodego wróbelka. Okien nie było również, tylko na dole, pod stołem widniał niewielki otwór.

Otwór ten wychodził, jak dowiedziałem się później, na peron. Na prawo było łóżko, nad otworem – stół, naprzeciwko łóżko – kanapa. To wszystko.

– Tak... – powiedziałem i usiadłem na łóżku.

Co będzie dalej?

Żandarmi, nie wiedzieć po co, zajrzeli pod stół, pod kanapę, pod łóżko, zamienili kilka słów szeptem, po czym „kałmuk” wyszedł. Został Stepaniuk. Ziewnął, zdjął czapkę, położył ją ostrożnie na kanapie, sam zaś siadł obok.

Siedziałem i jak gdyby wyczekiwałem czegoś jeszcze. Niemożliwe, aby się na tem skończyło. Przecież niedarmo mię śledzili, łapali, wiązali. Czemu się denerwowali, czemu patrzyli na mnie oczyma pełnymi nienawiści?

– Czy długo mię będą tutaj trzymali? – spytałem Stepaniuka.

– Póki nie przyjdzie właściwe rozporządzenie – odrzekł z westchnieniem. (Wzdychał ustawicznie, czekał i zamyślał się ponuro.)

– Kiedy przyślą to rozporządzenie?

– Ano przyślą z czasem...

– Cóż to znaczy?

– Jak będzie trzeba, to rozporządzą... Tak to... inaczej...

Czknął znowuż.

– Czy pan przypadkiem nie doktor – zapytał niespodzianie.

– A bo co?

– Cierpię na żołądek... Czkwaka tak mnie męczy, że chyba zginę... Dzień i noc ssie w dołku...

Biedny chłopie! I mnie ssało, tylko nie w dołku, a w piersiach. I też, być może, będzie dokuczalo we dnie i w nocy.

– Nie, nie jestem doktorem... – odpowiedziałem i wstałem. Okrągła czapa gnioła mię, było mi smutno, duszno.

– Czy nie ma tutaj innej celi?

Żandarm, milcząc, zaprzeczył głową – zajęty był swem ssaniem w dołku. Tak. Cóż zrobić?

Na stole stała ogromna karafka z wodą i szklanka. Nalałem wody i wypilem. Co dalej?

– Słuchajcie, może byście przynieśli mi książki i lampę?

– Nie wolno książek... – odpowiedział żandarm głucho.

– Co to znaczy?

– To znaczy: proszę sięść i siedzieć.

Zmienił pozycję, wyciągnął nogi i przechylił głowę na bok. W dole był półmrok, lecz widziałem, że mu jest niedobrze.

Zamilkłem i siadłem znowuż na łóżku. Słysząc było szum lokomotywy na stacji, pod oknami ktoś krzyczał, inny głos mu odpowiadał. Między szynami dotychczas może spaceruje ta sama kura, a gospodyni gdzieś jej szuka. Może spotkała sąsiadkę i zagadała się, złożony marzycielsko ręce pod piersiami. Koło maszyny stoi zakopcony mechanik i w zamyśleniu patrzy na kurę. Jest ciepło, jasno, na lśniących szynach załamują się gorące promienie słońca. I to wszystko dzieje się obok, o dwa kroki od nas, od tego ponurego półmroku, od tego zaduchu i czkającego żandarma!

Podniosłem się znowuż i zacząłem chodzić. Lecz miejsca było za mało: trzy kroki w przód, trzy – w tył. I nieodwołalnie musiałem zaczepiać o nogi żandarma. Chodziłem jednak uparcie, bezmyślnie.

– Niech pan usiądzie... – powiedział wreszcie cicho żandarm.

– A co będę robił?

– Będzie pan chodził, gdy przyjdzie Minasow...

– To ten, co... był z nami?

– A właśnie. To nasz starszy. Teraz będzie jego dyżur... To sobie pan pochodzi... A mnie się w żołądku odbija to chodzenie... Proszę pana...

Usiadłem. A więc mój „kałmuk” nazywa się Minasow i jest „starszym”.

– A nie zadusi mnie ten wasz starszy? Jakoś gniewnie wygląda.

Żandarm nic nie odpowiedział, lecz wydało mi się, że się uśmiechnął.

– He? Czy to u was wolno, czy nie?

Stepaniuk czknał, podciągnął nogi i powiedział z wysiłkiem:

– Nie lubi on waszych, to prawda...

Nie miałem co do tego wątpliwości.

– Dlaczegoż to?

– Syna mu popsuli.. Jak to było?... A tak... Wciągnęli do rewolucji... Dobry był chłopiec, i zepsuli... Zczytał się, rozmowy różne... Wszystko – z waszej specjalności, niby... No i wy... och, jak ssie, Panie święty!... hu! no i wysłali do zimnych krajów... Sam ojciec się starał. Wierny sługa, prawda... No i od tego czasu, jeśli się trafi kto z waszych, to już, przepraszam, marmoladą nie częstuje.

Stepaniuk wyjął powoli z kieszeni papiera, rozprostował go, nasypał sobie do ust jakiegoś proszku i popił wodą.

A ja myślałem o zepsutym synie i steranym ojcu. Przyjemnego będę miał towarzysza pod tą czapą!

– A kiedy dyżur Minasowa?

– Wieczorem od szóstej.

---

Istotnie o szóstej usłyszałem stuk do drzwi. Przyszedł Minasow.

W celi paliła się już lampka, chociaż przez otwór widziałem błyszczące na szynach smugi czerwonego słońca.

Minasow, gdy tylko wszedł, zaczął mi się uważnie i pilnie przyglądać, jakby chciał powiedzieć: – „Ano spójrzmy, jaki jesteś.” – Może mu się spodobałem, bo zatarł ręce z zadowoleniem i zwrócił się do Stepaniuka. Powiedział mi coś do ucha, a potem odezwał się głośno:

– Tylko się nie spóźnij... No, idź już.

Stepaniuk wyszedł. Minasow znowuż zatarł ręce, odwrócił się do mnie i, milcząc, chytrze mrugnął. Zdawało się, żeśmy zostali sami dla załatwienia jakiejś tajemniczej wspólnej sprawy, co do której umówiliśmy się wcześniej.

Muszę przyznać, że mi nieprzyjemnie jęknęło coś w piersi z powodu tego zagadkowego wstępu.

Lecz przybrałem zdziwiony wyraz twarzy i zapytałem:

– Co takiego? Czemu pan mruga?

Minasow uśmiechnął się z zadowoleniem, jak człowiek, którego nie tak łatwo jest odcyfrować.

– Książeczki pan wiół? Co? – zapytał przyjacielsko i zbliżył się do mnie.

Szybko spojrzałem na jego ręce: nie miał ani noża, ani rewolweru. Na wszelki wypadek oparłem się jednak mocniej nogami o ziemię, plecami – o stół i czekałem.

– Czemu pan tak patrzy na mnie? – zaśmiał się Minasow. – Jestem spokojnym człowiekiem, lubię rewolucjonistów... Dawno ich już nie mieliśmy w tej izdebce. Niezły pokoik? Co? He-he-he!... Siedział tutaj jeden Żydek; tak mu tutaj dobrze było, że zaczął śpiewać. Z początku gniewał się trochę... O, tak, jak teraz pan, a potem zaczął śpiewać. Jak Boga kocham! Taki się wesoły zrobił. I niedługo tutaj był – miesiąc czy półtora. Tak mu się ten pokoik spodobał, że nie chciał wyjeżdżać. Ale musiał... Od nas przeprowadził się wprost do żółtego domku... He-he-he! Wie pan, co to takiego? Może i wy macie podobne... Jak to panu wytłumaczyć?... Taki duży dom, żółty, a w nim siedzą ludzie niespełna rozumu, nie wiem, jak to będzie po ukraińsku... Sam jestem z Ukraińców, a tego słowa nie znam.

– Może pijani?... – powiedziałem.

„Kałmuk” zerknął na mnie ostro, lecz patrzyłem na niego z tak naiwnym zainteresowaniem i niezrozumieniem, że aż ze złością zaprzeczył ruchem głowy:

– Ależ nie! Jacy tam pijani... No, jak się mówi na tych, co rozum tracą? Co? Tacy, co ciskają wszystko na drodze?

– A-a! Tacy co wariują! Zakochani?

Minasow znowuż spojrzał na mnie.

– Czy pan jest bardzo głupi, czy... za mądry? Co?

Wolałem być głupim i patrzyłem na niego zdziwionym wzrokiem.

– Dlaczego?

„Kałmuk” nie wiedział, co ma mówić. Aha, ugryzłem cię, kochanie? Możeś jeszcze nie wiedział, że głupota jest najlepszym pancerzem.

Patrzyłem z niezrozumieniem na „kałmuka”, a ten w milczeniu szukał czegoś w mej twarzy.

– Więc pan nie rozumie, co mówię? – zapytał nagle.

– Nie, nie rozumiem.

Zaśmiał się i poklepał mię lekko po ramieniu.

– No, to nie trzeba... Nie trzeba, mówię... He-he-he!

I znów spojrział na mnie swymi małymi, ogromnie błyszczącymi oczami. Przegrałem. No, dobrze! Jeśli tak, to się odegram.

– A i pana syn siedział w tym pokoiku? – zapytałem niespodziewanie z równie miłym uśmiechem.

Żandarmowi w jednej chwili uśmiech stopniał na twarzy. Oczy zrobiły się straszne – przejrzyste, ostre, wyprostował się, zbladł. Poczułem, jak mocno zaczęło mi bić serce, i pamiętam, że mimo woli rozejrzał dokoła. Poza karafką nie było nic odpowiedniego.

– Aha, Stepaniuk musiał już panu opowiedzieć – mruknął po chwili prawie spokojnie i znowu z uśmiechem dodał: – W tym pokoiku siedział, w tym samym! Siedział tutaj mój syn. Proszę mu się kłaniać, jeśli go pan spotka. Szkoda tylko, że wszyscy z tego pokoiku przeprowadzają się do żółtego domu... Nie wiem, czy się spotkacie... Nie wiem...

Uśmiechnąłem się w milczeniu. Ależ ten stary żandarm musiał widzieć niemało podobnych uśmiechów. O, czego nie widział w tym „pokoiku”! Co się tutaj dziać musiało!

– A pan ma nawet zegarek! – powiedział nagle Minasow.

Zdziwiłem się.

– Cóż w tem niezwykłego? To mój własny. O co chodzi?

– Nie wolno mieć tutaj zegarka. A no, proszę pokazać. Zagraniczny?

Nie rozumiałem, do czego zdąża, wyjąłem zegarek i pokazałem. Był to подарunek mego przyjaciela.

– Zgrabne cacko!... Trzeba odnieść do kancelarii... Proszę oddać...

Włożyłem zegarek z powrotem do kieszeni i powiedziałem spokojnie:

– Oficer pozwolił mi go mieć przy sobie. Nie jestem jeszcze tak głupi, żeby się pozwolić w ten sposób okradać.

Powiedziałem to umyślnie, żeby widzieć, jak na to zareaguje. Jeśli mię uderzy, tym lepiej, nie pojadę do „żółtego domu”. Z ukosa nawet mierzyłem odległość między ręką a karafką.

Ale Minasow zaśmiał się tylko

– Jaki pan gorący!... – powiedział nawet z zadowoleniem. – Niech pan no-si... Jak się pan będzie przeprowadzał do „żółtego domu”, to mi pan sam podaruje... Zgrabny zegarek... Mam syna, jest tajnym agentem, tobym miał dla niego

podarunek. Bardzo lubi takie rzeczy... Co? Nie podaruje pan?... He-he-he! Podaruje!...

Przysunąłem się do łóżka i położyłem się.

– Spać się zachciało? Proszę spać, proszę... – zgodził się dobrodusznie żandarm.

Nic mu nie odpowiedziałem i zamknąłem oczy. Na stację wjeżdżał pociąg. Łóżko trzęsło się pode mną, na peronie słychać było hałas, bieganinę, krzyki. Być może, pociągiem tym przyjechał ktoś swój. Ma wygląd srogiego, zarozumiałego Niemca i solidnie kroczy za tragarzem, który niesie jego mocny i drogi kufer. Nie domyśla się nawet, że nad głową jego leży taki sam „cudzoziemiec”. A gdyby wiedział? To by za godzinę pędził tam, dokąd mnie zawiozą. Kiedy wyruszą ze mną? Otworzyłem oczy i spojrzałem na żandarma. Siedział naprzeciwko mnie na kanapie i, milcząc, wpatrywał się we mnie dziwnym wzrokiem. Zmrużyłem oczy. Ciekawe, czy długo będzie tak patrzył? I co chce osiągnąć przez to głupie patrzenie? Proszę bardzo, gap się chociażby całą noc! Nic ze mnie nie wydobędziesz! Za trzy, może za cztery dni odwiozą mię do Kijowa i twe stare, czarne ze złości serce zostanie niepokieszone. W Kijowie wsadzą mię do więzienia. „Żeński pawilon, męski pawilon”, maleńkie cele, wieczorny śpiew, tęskny, rodzimy; twarze w „judaszach”, drogie i bliskie.

Zerknąłem znowuż na „Kałmuka”. Wciąż tak samo nie spuszczał ze mnie upartego, dziwnego spojrzenia.

Czy mię hipnotyzuje, czy też co, ten stary kat?

Czego chce ode mnie, drań kałmucki?

A więc proszę – patrz, ile chcesz, patrz sobie!

Uśmiechnąłem się. Uśmiechnął się również żandarm, a uśmiech jego był chytry, przewlekły.

I mimo woli, ze złością, poczułem jak ogarnia mię nieświadomy, przenikliwy strach.

Cóż to za słabość? Skąd? Co może mi zrobić tem naiwnem spojrzeniem?! Niechaj sobie patrzy. Trzeba spać!

Odwrociłem się plecami do Minasowa i postanowiłem zasnąć. Jestem zmęczony, muszę odpocząć, wówczas będę spokojniejszy, mocniejszy i będę mógł śmiać się ze złego starowiny.

Hałas na stacji ucichł. Dzwonił tylko telegraf i gdzieś daleko, bardzo daleko człapała lokomotywa.

Która godzina? Nie później niż ósma. Trzeba korzystać i spać, o tej porze nie odważaj mi się nic zrobić.

A jeśli przydusi mię czemkolwiek, żeby nie było słychać krzyku, i zacznie się pastwić nade mną? Po tej szalonej, palącej nienawiści, co się pali w jego oczach, wszystkiego się można spodziewać. Skoro postanowił nie spać całą noc, siedzieć bez ruchu i nie spuszczać ze mnie oczu – siła jego nienawiści musi być ogromna.

I naraz zdałem sobie sprawę, że mi się spać chce okrutnie. Dotychczas nie odczuwałem zupełnie potrzeby snu, a teraz aż mi się w głowie maści. Nie zauważyłem, kiedy zasnąłem.

Nie wiem, jak długo spałem. Lecz ocknąłem się pod wrażeniem, że mnie ktoś lękliwie i żałośnie budzi, że stało się coś niedobrego koło mnie, że ktoś płacze z tego powodu.

Szybko rozwarłem oczy. Usłyszałem za sobą jakieś łkanie i szept. Zaciśnawszy zęby, uważając, by nie zrobić najłżejszego hałasu, zacząłem z wolna obracać głowę. Serce waliło mi z taką siłą, że mi się bał, czy nie słychać tego stukotu.

Oto okrągły sufit z żółtym kręgiem światła lampy. Szept przerywają starcze łkania, i słyszę słowa.

– W wielkiej twej łasce i szcudroblowości... Jak niewolnik... Opuść mu i zachowaj go...

Łóżko me naraz skrzypnęło. Znieruchomiałem w swej pozycji z nienaturalnie wykręconą do tyłu głową, lecz czekałem co będzie dalej.

Szept ucichł na chwilę, po czym znowu usłyszałem:

– Matko Przenajświętsza...

Zrobiłem stanowczy ruch i odwróciłem głowę.

– He-he-he-he! – rozległ się w celi szyderczy, złośliwy śmiech. Na wprost mej twarzy znajdowała się twarz Minasowa. Klęczał, odwrócony do mnie plecami, lecz ze zwróconą w mą stronę głową.

Śmiał się, jak człowiek, który zręcznie żartował i cieszył się z tego.

– Obudziłem pana? Tak? He-he-he!... Modliłem się, widzi pan, żałowałem grzechów. Zapłakałem trochę. Myślałem, że pan nie usłyszysz, a pan usłyszał. Za bardzo płakałem. Modliłem się za syna... He-he-he!... Przepraszam, że przeszkodziłem. Nie będę już, nie będę... Podniosę się nawet, proszę spać spokojnie, proszę spać...

Wstał i siadł na kanapie, śmiejąc się wciąż i spoglądając na mnie. Wydawało mi się, że bada tym wzrokiem, czy wierzę jego śmiechowi. Im niezbiejniej przekonywał się, że mu nie wierzę, tem bardziej złe stawały się jego oczy.

Odróciłem się i położyłem jak przedtem. Lecz zasnąć już nie mogłem. Z początku dlatego, że mi było czegoś smutno. Smutno i już. Smutek ten łączył się ze słyszaniem przed chwilą szeptem i łkaniem. Dlaczego? Co za idiotyczny sentymentalizm? Czy można się smucić z powodu łez krokodyla, który jęczy, że mu zdobycz uciekła? Trzeba jeszcze podnieść się, przytulić go i pożałować. A on się postara doprowadzić szybciej do „żółtego domu”.

Lecz smutek nie odchodził od mego łóżka. Dokoła panowała martwa cisza. Było około trzeciej w nocy, była to chwila, gdy nawet telegrafisci śpią z pochylonemi nad aparatami głowami.

Żandarm się nie poruszał. I ja leżałem nieruchomo. Poprzez ciszę dolatywały jakieś rytmiczne dźwięki – to pracowała pewnie jakaś fabryka.

Żandarm się podniósł, zbliżył do stołu i głośno zadzwonił szklanką o karafkę.

Odwrociłem się szybko.

– Ach, przepraszam, znowuz obudziłem pana... Stuknąłem nieostrożnie... Proszę spać, proszę spać...

A oczy uporczywie i ciężko we mnie się wpatrywały.

Zrozumiałem, że mi już spać nie pozwoli.

Istotnie do samego rana stukał szklanką, kaszłał, kichał, chodził po pokoju.

Z początku poruszałem się, później zacząłem chrapać.

Ale zdaje się, nie wierzył, że śpię, bo często się śmiał i prosił o przebaczenie.

O szóstej rano przyszedł Stepaniuk. Nie odwracając się, słyszałem, jak Minasow wskazywał na mnie i coś mówił szeptem.

Zaczęły się straszne, widmowe chwile. Minasow przez ustawiczne stukanie nie dawał mi nocami spać. W ciągu dnia wstępował niezmiennie co dwie godziny i budził mię pod pretekstem jakiegoś interesu. Głowę miałem cały czas gorącą i ciężką, całe ciało mię bolało, a nerwy zdawały się mieścić nie w środku, tylko na powierzchni, tak że każdy szelest boleśnie się na nich odbijał. Nie mogłem o niczem myśleć, nic wspominać, zamknięty był przede mną ten jedyny ratunek więźniów. Wydawało mi się, że mózg mój coraz to się zmniejsza i zmniejsza – i lada chwila skurczy się do jednego punktu. Wówczas zginę. Skurczy się, wyschnie i nastąpi koniec; wszystko się popłacze, zmiesza, zapomni, zniszczy – zawiozą mię do „żółtego domu”.

A Minasow co noc prowadził dalej swe dzieło. Sam nie sypiał również. Kiedyż mógł to robić? Zżółkł cały, chorobliwie błyszczące oczy podkrążone były zielonemi smugami. Wymęczona twarz obwisła. Lecz z coraz większym zadowoleniem spoglądał na mnie i coraz weselej dopytywał, jak mi się podoba obecne życie.

Początkowo próbowałem skarżyć się oficerowi, który mię przesłuchiwał, lecz ten nie mógł zaradzić. Być może, zresztą wszystko działo się za jego zgodą. Powiedział przecież, że mię stąd niedługo wywiozą.

Wywiozą! Wiem dobrze dokąd. Lecz to nie nastąpi.

Zaciskałem zęby i całymi dniami i nocami siedziałem na łóżku w ciężkim półśnie.

A Minasow chichotał i opowiadał, jak to moi poprzednicy początkowo, tak samo, jak i ja, skarżyli się, urągali, tak samo siedzieli na łóżku z głową, opuszczoną na kolana. A potem naraz zaczynali biegać po pokoju. Cały dzień, całą noc – biegali. I już zupełnie nie chcieli spać.

Nie chcieli! Nawet ani chwili nie drzemali. Wciąż biegali i o czemś uporczywie myśleli. Aż naraz któregoś dnia czy nocy – zależy jak kto! – zaczynali opowiadać takie rzeczy, że nawet małe dziecko rozumiało ich bezsens. Niektórzy przytem cichutko się śmiali, inni próbowali rozpocząć bijatykę, krzyczeli, wyrwali sobie włosy. A był jeden, co chciał sobie koniecznie wydłubać pal-



cem oko. Naturalnie w takim stanie nie można ich było tutaj dłużej trzymać – stacja, to nie lecznica – odwożono więc ich do „żółtego domu”.

Lecz zdarzały się chwile, gdym się czuł rzeźwiejszym. Następowало to za-  
zwyczaj po północy. Stary organizm żandarma nie wytrzymawał. Minasow  
mimowoli zasypiał. A, czarcie nasienie! Nie! Nie będziesz spał!

Wówczas wstawałem, stukałem nogami, karafką, chodziłem po pokoju  
i hałasowałem, czem się dało. I wówczas nagle poruszało się to właśnie, o czym  
mówił mój kat. Czułem, że strasznie chcę krzyczeć. Nie wołać o pomoc, nie  
skarżyć się, lecz wprost bez celu dziko, zwierzęco zaryczeć. Gdym się łapał na  
tej chęci, siadałem ze strachu na łóżku i cichłem. A Minasow chytrze się do  
mnie uśmiechał obrzękłą z bezsenności, straszną twarzą.

Śmiech ten podnosił mię z powrotem.

– Przeszkadzam panu spać? – pytałem głośno, wstając i chodząc po pokoju.  
– Wybacz pan, alem się tak wyspał, że muszę się przejść trochę. Nie wypusz-  
zczacie mię na dwór, muszę chociaż po pokoju. Wspaniały pokoi-  
k i oryginalną ma budowę! Prawda?

Żandarmowi sklejały się stare, zmęczone oczy, lecz wstrząsał głową i starał  
się śmiać.

Śmieję się, śmieję, zobaczymy, kto wygra! Rujnował mię, lecz jednocześnie  
dodawał mi sił. Dawno już powiedziano, że nienawiść i miłość to rodzone sio-  
stry i zarówno jedna jaki i druga coś dać mogą. Zobaczyłem to wyraźnie dopie-  
ro wtedy. Nienawiść moja była większa niż najgorętsza miłość. Słyszałem  
„kałmuka”, gdy tylko wstępował na schody swym ciężkim starczym krokiem.  
Rozpoznawałem głos jego na peronie, gdy mówił do kogoś z daleka. Nie mo-  
głem patrzeć na twarz jego bez namiętnego bolesnego paroksyzmu złości. Nie-  
raz siedziałem godzinami i marzyłem upiornie o tem, że depczę nogą jego gar-  
dło, a z wstrętnie nabrzmiałej twarzy powoli wysuwa się siny język.

Brakowało mi go nawet, jeśli długo w ciągu dnia nie przychodził. Dokony-  
wało się to wszystko w milczeniu, niepostrzeżenie dla obcego oka. Czy żyć?  
Stepaniuk? Ten zajęty był swym żołądkiem i być może, przyzwyczał się do  
takich historyj. Oficer? Z nim grałem komedię śledztwa, ten znał tylko me „ze-  
znania”.

Nie widziałem żadnych więcej ludzi.

Raz po północy chodziłem po „dole”. Żandarm spał. Stukałem, kaszlałem,  
jak mogłem, spał twardo w niemocy.

Trąciłem szklanką o karafkę. Żandarm poruszył się i jeszcze mocniej za-  
chrapał. Głowa jego, jak zwykle, leżała na poręczy kanapy, a ręce wisały bez-  
władnie wzdłuż ciała. A, stara ohydo! Śpisz? Nie, nie będziesz spał. Nie bę-  
dziemy spali obaj.

– Słuchajcie wachmistrz! – Zbliżyłem się do niego i dotknąłem ręką jego  
pleców. Odwrócił się, lecz nie mógł się przebudzić.

Ach, żeby go tak chwycić rękoma za gardło i dusić, dusić, aż zacznę krzy-  
czeć ze szczęścia! A potem uciec...

I naraz zamarłem cały: czemu nie przyszło mi to do głowy wcześniej?! Uciec. Naturalnie. Klucze od celi ma Minasow w kieszeni, zaduszę go, wyciągnę je, otworzę i cichutko wyjdę na schody, zamknę drzwi z powrotem. A potem... Popędzę do granicy! Niech mię lepiej zabije straż graniczna, wołę śmierć w polu, pod gwiazdami, w napięciu i szczęściu walki, aniżeli w „zółtym domu”.

Nie, zadusić go nie mogę. Jestem na to za słaby! Żandarm może zacząć krzyczeć, i wszystko przepadnie. Trzeba coś obmyślić.

Już go się bałem obudzić. Trzeba coś obmyślić.

Położyłem się ostrożnie na łóżku i zacząłem rozmawiać. Może zrobić pętlę, narzucić mu na szyję i mocno zaciągnąć. Ale jak to zrobić? Głowa, przyciśnięta do poręczy, nie przepuści sznura. Szarpnę i trafię na nos lub usta.

– He-he-he!... Nie może pan spać? – usłyszałem nagle.

Aż usiadłem na łóżku. Czyżby się domyślił?

Nie, z wyrazu twarzy tego nie widać. Lecz twarz ma mniej senną. O, to niemożliwe! „Kałmuk” się wysypia i nie będzie spał wówczas, gdy mi to będzie potrzebne! Trzeba zrobić inaczej!

I zacząłem gorączkową, tajemną grę. Chciałem go tak zmęczyć, żeby spał, jak zabity. Chciałem go podniecić i dlatego udawałem, że tracę resztę sił. Właściwie nie było to trudne, bo nie wiadomo, czy udawałem, czy też istotnie źle było ze mną. Już naprawdę nie chciało mi się spać. Cały dzień chodziłem po celi, zapominając chwilami, gdzie jestem, czemu chodzę, czego chcę wreszcie. Głowa stawała się coraz lżejszą i wprost pałała. Nieraz zdawało mi się, że mam zamiast głowy wielki płomień lampy. To mię śmieszyło i radowało. Mówiłem o tem Stiepaniukowi; ten bacznie spoglądał na mię i czekał. Nieraz wzdychał i odwracał się.

Minasow zaś istotnie był coraz bardziej podniecony i miłośnie na mnie spoglądał; sprawiałem mu dużo zadowolenia. Nie mógł się na mnie napatrzeć i chichotał radośnie, szczęśliwie.

A ja też śmiałem się w duszy.

Znalazłem już sposób. Gdy zaśnie, wezmę karafkę, zamierzę się z całej siły i trzasnę wprost w skroń. Śmierć nastąpi natychmiast. Przyjemnie byłoby przedłużyć jej chwile, spojrzeć jeszcze w pełne przedśmiertnego strachu wstrętne oczy, lecz... nie można, nie warto ryzykować. Trzeba tylko nie pić tego dnia wody, żeby karafka była pełna. Prawda, że jest z grubego szkła, solidna, jednak kto wiedzieć może, jak twardą jest głowa żandarma.

Postanowiłem: tej nocy to nastąpi. Nie mam już więcej sił. Za kilka dni mogę zginąć.

Postanowienie to nadało snąc memu wyglądowi większej wyrazistości, bo gdy przyszedł tego wieczora Minasow, aż ręce zatarł, widząc me gorączkowe kręcenie się po celi.

– Spaceruje pan? Co? – zapytał zachrypłym ze zmęczenia, lecz uważnym i zadowolonym głosem.

– Spaceruję! – odparłem radośnie, nie kryjąc mej radości, przeciwnie, jeszcze ją podkreślając.

Uradowała go ta odpowiedź.

– Niech pan spaceruje, niech pan spaceruje! A jak główka? Pali się?

– Pali! – zaśmiałem się szczęśliwie i naraz, zatrzymując się obok niego, tajemniczo dodałem:

– A wiecie, myślę, że mi ktoś zamienił głowę na garnek z gotującą się kaszą....

Okrutnie go to zaciekawiło.

– Czyż być może? – wykrzyknął. – Jakże się to stało?

– A tak. Zasnąłem, a ktoś przyszedł i zabrał cichutko mą głowę, na szyi zaś umocował gorący sagan kaszy. I zamiast mózgu mam teraz tylko gorącą kaszę... To kawał! ... Ha-ha-ha!...

Śmieliśmy się wesoło obaj i przyglądali sobie wzajemnie goręciami, chytremi i baczniemi oczami.

– Więc pan teraz tak spaceruje z kaszą na głowie?

– Tak, spaceruję. Raz-dwa! Raz-dwa!

I zacząłem maszerować po pokoju. A Minasow patrzył na mnie i uśmiechał się ze szczęścia.

Naraz ogarnęło mię zmęczenie. Siadłem i oparłem się głową o stół.

– A czy pana głowa nie spali przypadkiem stołu? – naraz zapytał poważnie żandarm.

Zerwałem się przerażony i spojrzałem na stół. Był cały.

– Niech pan lepiej nie siada, tylko chodzi – poradził mi żandarm.

– Chodzić? Dobrze, będę chodził.

I zacząłem chodzić. Chodziłem, śpiewałem, mówiłem wszystko, co mi przyszło do głowy, a Minasow mię słuchał, odpowiadał i niepostrzeżenie dla siebie zaczął drzemać. Głowa jego nagle jakoś, jak poderżnięta, spadała na pierś i na chwilę zasypiał. Potem, obudzony mym stukiem czy krzykiem, podnosił ją, śledził mię i znowu zasypiał.

Około drugiej na stacji zapanowała zupełna cisza. Odszedł ostatni pociąg, trzasnęły ostatnie drzwi, zamilkł stuk telegrafu, cisza nocy wypełniła wszystkie kąty. Tylko ja chodziłem pod kamienną czapą z pałającą głową i w nieludzkim napięciu prowadziłem swą ostatnią grę.

Żandarm spał już, nie słysząc ani brzęku szklanki, ani tupania nóg, ani mego wołania. Z jego na pół otwartych ust wyszczerzały się, jak u zdechłego psa, rzadkie, szerniałe zęby.

Kilka razy zatrzymywałem się, brałem karafkę i robiłem próbę. Podnosiłem rękę wysoko nad głowę i celowałem. Tak, nie mogę chybić: karafka uderzy masywnym kantem w samą skroń. Tylko zadudni ta podła głowa!...

Jeszcze chwilką, niech sen opanuje całkowicie stację.

Nie mogę powiedzieć, żem myślał wówczas o wolności, o tem, jak mam uciekać, co z tego wyniknie. Nie myślałem o niczem. Wiedziałem tylko jedno:

oto zaraz pochwyć karafkę, zamierzę się – i stanie się, co się stać musi. Nic więcej. A wówczas głowa ma przestanie pałać, znikną straszne paroksyzmy w piersiach, ulotni się bezsenność. Będę spał, spał, spał. Położę głowę na ręce i zasnę, jak w dzieciństwie, spokojnie i szczęśliwie.

Żandarm zamruczał coś przez sen. Zmartwiałem: niedługo się wyśpi i nie będę mógł swego dokonać. Czemu chodzę? Na co czekam?

Stanąłem. Ręka ma, jak samodzielna żywa istota, niezależnie ode mnie, pomału i ostrożnie wysunęła się do karafki. Wyciągnęła się i ujęła karafkę, nie jak zwykle, żeby nalać wody, lecz odwrócona poziomo. Korek trzymał się mocno, lecz starałem się utrzymać ją w tem położeniu, żeby uniknąć zbyt silnego ciśnienia wody. Bowiem podczas jednej próby woda wypchnęła korek i wylała się na podłogę.

Żandarm poruszył się znowu, mlasnął słodko wargami i zachrapał na nowo. Głowę oparł jeszcze wygodniej dla mnie, jak gdyby w tym celu poruszył się właśnie,

Podniosłem karafkę, cały drżący zbliżyłem się o krok i pochyliłem się nad śpiącym. Z bliska twarz jego była wprost straszna – zmęczona, bladezielona. Wpijałem się w nią wzrokiem i pochylałem coraz bliżej, bliżej.

Ciepły oddech z lekka mię już ogarniał.

I naraz... coś rzuciło mi się w oczy. Pamiętam jak przez piersi przepłynął, nie wiedzieć skąd, strach. Strach ten płynął z twarzy żandarma!... Pochyliłem się jeszcze bliżej, wpatrując się w nią uważnie. Jaka znajoma szyja, gruba, chłopska, pocięta grubemi zmarszczkami! A brwi... Nie, nie brwi, tylko oczy... I nie oczy, tylko coś koło nich, jakaś blizna maleńka, blizna koło oczu czy brwi, czy też skroni...

Szybko się wyprostowałem: podobny jest do ojca! Ojciec też ma na brwi wysunięty kosmyczek.

Pamiętam, że z jakimś niepojętym, mistycznym strachem odsunąłem się, postawiłem karafkę na stole i zatrzymałem się, zmieszany. Potem znowuż na palcach, strasznie wzruszony, zbliżyłem się do żandarma i pochyliłem blisko, bliżutko. Kosmyk sterczał, istotnie sterczał! Będąc dzieckiem, gdy siedział na ręku ojca, starałem się zawsze przyglądać ten kosmyk, lecz mi się to nie udawało. A ojciec śmiał się i gorąco mię całował.

I zamknięte jego oczy były takie same: małe a głębokie. I takie same bywały zmęczone, tak iż sam łagodny, smętny bezwład słał się na nich – i żal było budzić ojca.

Na palcach, bojąc się zrobić hałas, odszedłem do swego łóżka i usiadłem. Czuję, że już nie mogę wziąć karafki i nią się zamierzyć. Dlaczego – nie wiedziałem i nie myślałem o tem. Zresztą myśleć nie mogłem: ogarnęło mię nagle niezwykle, obezwładniające zmęczenie. Pamiętam, że poczułem w oczach ciepło, ręce i nogi jakoś zwiotczały, głowa zaczęła przechylać się na bok. Położyłem się i po raz pierwszy poczułem się wygodnie i zacisznie w twardym łóżku.

Ciepło z oczu spłynęło do piersi, do mózgu. Cudowny spokój, smętny, kojący, ogarnął mię całego, jakbym dokonał czegoś ogromnie trudnego i ważnego.

A po chwili przyszedł nieznacznie zapomniany dawno sen i po raz pierwszy w tym dole zasnąłem zaciszynym, ciepłym, dziecięcym snem.

Spaliśmy do samego rana. Obudził nas Stepaniuk, który przyniósł nakaz wyprowadzenia mię do pociągu; depeszowano z Kijowa, by mnie natychmiast tam wysłano.

Minasow był, jak piorunem rażony: i dlatego, żeśmy spali, i z powodu depeszy. Lecz zdumienie jego wzrosło jeszcze bardziej, gdym wyjął swój czarny zegarek i, podając mu, bez cienia drwin powiedziałem:

– Weźcie dla swego syna. On lubi takie cacka... Bierzcie, bierzcie!...

Nie wiem, czy go wziął, czy też nie, lecz położyłem zegarek na stole i szybko wyszedłem.

Tłum. *Natalia Zarembina*

### Niewolnice rzeczywistości

Strasznie długo się zmagaliśmy. Ci, których dotknęła Rzeczywistość, dowodzili, że w tym życiu coś warta jest tylko Iluzja, sen, unikanie rzeczywistości, a Rzeczywistość to jeno brud i cierpienie. Ci zaś, którym dopiekleła Iluzja, z pianą na ustach przeklinali wszelkie sny, ułudy, marzenia, zwidy, które jedynie omamniają człowieka i sprowadzają na manowce.

Dochodziło już do wyzwisk.

Gdzieś w kącie siedział pewien dobrodziej o łagodnych, pełnych smutku oczach i przez cały ten czas milczał. Kiedy debaty doszły do punktu, w którym nikt niczego już nie rozumiał, dobrodziej poprosił o głos. Zrobił to jakoś tak, że wszyscy naraz zamilkli i wyczekująco spoglądali na niego. Uśmiechając się z lekka, jedynie kącikami ust, spojrzął na wszystkich i powiedział:

– A nie sądzicie panowie, że Realność i Iluzja nie są znowu takie ważne? Co? Może zgodzilibyście się wysłuchać dwu opowieści o epizodach z mojego życia? Pokazałyby wam, jak sądzę, że istnieje coś takiego, czemu Realność czy Iluzja jedynie służą... Chcielibyście posłuchać?

– Prosimy! Prosimy! – chętnie zgodzili się obecni. – Zmęczył nas ten spór i wszyscy chętnie odpoczelibyśmy od własnego krzyku.

Dobrodziej o smutnym spojrzeniu chwilę milczał. Zaczął:

– To słuchajcie.

Pierwsza historia zdarzyła mi się sześć czy siedem lat temu.

Mieszkałem wówczas w pewnym dużym mieście. Wiecie, wydaje mi się, że duże miasta więcej marzycielstwa wywołują u człowieka niż wieś albo step, albo nawet morze. Morze i step wywołują nastroje, a marzycielstwo, fantazja rodzi się tylko w wielkich miastach. To poeci wymyślili, że miasta zabijają fantazję. Nieprawda. Kiedy widzisz, jak obok ciebie przepływa co dzień mnóstwo twarzy, a każda twarz kryje w sobie całe stulecia, kiedy słyszysz wokół siebie różnorodny szum życia, to nawet najślabsza wyobraźnia zaczyna pracować i na własny sposób przetwarzać wszystko to, co się widziało i słyszało.

A jeśli do tego człowiek żyje samotnie, to już całkiem źle – kombinacje wychodzą tak dziwaczne, że jakiś spokojny realista z seminarium by się przeraził (Czy zauważyliście panowie, że najstraszniejsi, najczystszy i najbardziej przemyślani ludzie biorą się z seminarium?)

.....

A ja mieszkałem zupełnie samotnie. Co prawda miałem wielu kolegów, ale... pewnie sami wiecie, że im więcej kolegów, tym mniej przyjaciół. Samotny czułem się zwłaszcza wieczorami. Wieczorami też i moja wyobraźnia zaczynała szaleć.

I wiecie, do czego w końcu się doszalała? Proszę mi jednak wybaczyć, panowie, jeśli jest wśród was jakiś student seminarium, niech zatka uszy albo przynajmniej uda, że mu się zaczerwieniły, gdyż boję się, że zrobię mu przykrość swoim opowiadaniem. Już?

Cóż, więc do tego moja fantazja rozhulała się, by *znaleźć kobietę*. Chwileczkę, panowie seminarzyści, nie udawajcie, że odetkaliście uszy, bo to jeszcze nie koniec. Wiem, wy także szukacie kobiety, idealnej, porządnej, uczciwej, czystej. Rzecz jednak w tym, że ja szukałem nie uczciwej, nie moralnej, i nie idealnej, a po prostu kobiety. Chwilę, poczekajcie! Wiem, co mi poradzicie – wyjść na ulicę i kupić, jak to czasem w chwilach słabości i wy sami, grzesznie czynicie. Po cichutku, znaczy się, wieczorkiem wyjść sobie na ulicę, przebiec obok, z pewną nieśmiałością zakasać czy mrugnąć, chwilę się potargować (ale nie za długo, bo jeszcze ktoś zauważy), i po sprawie.

Nie, nie o to chodziło mojej wyobraźni. Mówię wam, do tego doszło, że aż sam się dziwiłem: nieodwołalnie zachciało się jej kobiety. *Takiej, której by się nie kupowało i która nie byłaby moralna*. No ale skąd taką wziąć? Mrzonki, prawda? Jak się nie sprzedaje – znaczy się moralna. Prawda? A jak niemoralna – to się sprzedaje. A ja akuratnie chciałem niemoralnej i niesprzedanej. Zwykła zachcianka rozpuszczonej fantazji i tyle! Co zrobić, kiedy się pojawiła i męczy cię? Miałem co prawda wśród kolegów seminarzystów, ale, kajam się, nie poszedłem do nich po radę i z obrzydzeniem patrzyłem, jak się targowali z kobie-

tami. Kupując nie na jedną noc, a na całe życie (to się nazywało „ożenek”), stawiali warunek – przede wszystkim moralność – czyli przez całe życie płonąć żądzą tylko do siebie. Na wypadek zerwania kontraktu – za niestałość trzeba zapłacić wyrzutami sumienia, a karą jest osąd wszystkich seminarzystów. A seminarzyści, panowie, to, jak wiadomo, ludzie stali, nieubłagani i uczciwi: skoro podpisałeś kontrakt, skoro sprzedałeś ciało – koniec: pożądasz czy nie – nie patrz na nikogo, nie pożądasz i nie waż się pożądać. I zupełnie słusznie, panowie, słusznie i sprawiedliwie: po to jest kontrakt, po to obwieszcza się wszystkim, że taki to a taki się żeni. Inaczej po co by to wszystko było? Dla śmiechu? W pełni się zgadzam z seminarzystami!

Ale mnie się zachciało lodu na świętego Piotra, chciałem znaleźć taką kobietę, która by się nie sprzedawała, i czując pożądanie, *bez kontraktu*, bez przymusu, dobrowolnie dokonywała ze mną wymiany wartości i nie uważałaby tego ani za moralne, ani za niemoralne. Jak widzicie, życzenie było po prostu dziwaczne i niemożliwe; produkt wyuzdanej i niemoralnej wyobraźni. No skąd weźmiecie u nas taką kobietę? Bzdura.

Tymczasem moja fantazja nie dawała mi spokoju. Takie absurdalne rzeczy potrafią bardziej niż wszystko inne dopieć człowiekowi. Myślę, że i seminarzyści to znają (choćby dlatego, że czują nieprzemogłą chęć przemienienia całego świata w sektę rzezańców albo co najmniej oddania wszystkich do seminarium na wychowanie).

Wieczorami nie mogłem po prostu usiedzieć w domu, wychodziłem więc się przejść. A ulica wieczorem to coś zupełnie innego niż w dzień. W dzień niesie strumienie energii pracy, w dzień jest zabiegana, pochmurna, poważna; huczy, klnie i spieszy się. A wieczorem, szczególnie gdy wszędzie księżyc błądy od smutku, ulica staje się zamyślona, spokojna i zasmucona, jak zakochana po raz pierwszy dziewczyna. Śmieje się cicho, stłumionym, przejmującym śmiechem, nie huczy, nie klnie, a rozbrzmiewa pieśnią, muzyką, szepce coś w cieniu ciemnych od spodu i posrebrzonych u góry drzew. Nie wiem, którą bardziej lubię, ale wieczorna ulica powodowała, że jeszcze mocniej pragnąłem znaleźć wytwór mojej wyuzdanej wyobraźni.

I szukałem, przy czym z niezwykłym uporem. Nieomal pod każdą chustką i kapelusz zaglądałem: czy nie spojrzą na mnie płomiennie oczy, czy nie zawołają, nie powiedzą: „A, jesteś, od tak dawna cię szukam”... Moje zachowanie różnie odbierano. Niektóre chichotały i wstydliwie odwracały głowę, jakby chciały rzec, że można nas wziąć nie od razu, ostrożnie, bo to przecież taka niemoralna i wstydliva rzecz, niektóre od razu czyniły propozycję i targowały się, te na znak swej sprzedajności malowały na biało policzki, wargi na czerwono, a brwi na czarno. Zdarzały się i takie, które sprzedawały się nie na ulicy, a z kontraktem. Te chód miały dumny, a gdy podchodziłem do takiej i mówiłem do niej „dobry wieczór”, zerkała na mnie ze zdziwieniem i urazą, jakbym wypowiedział nie zwykłe słowa powitania, a jakąś niewiarygodną

i straszliwą nowinę, na przykład, że wszyscy seminarzyści znikli z powierzchni ziemi. Jasne, że czułem się skonfundowany i mamrotałem słowa przeprosin.

Wierzcie mi jednak, że te niepowodzenia jeszcze bardziej rozpałały moją wyobraźnię. No po prostu koniec świata! Bywało, że szedłem ulicą, a nie pamiętałem, gdzie mam skręcić, gdzie się zatrzymać, po co wyszedłem, dokąd idę. Przystanę, rozejrzę się i dalej idę. A w głowie rodzą się historie jedna za drugą, jedna dziwniejsza od drugiej, a wszystkie z udziałem niebywałej kobiety.

Kiedyś zacząłem chodzić na bulwar na skrzyżowaniu trzech ulic. Nic nadzwyczajnego nie było na tym bulwarze, ale lubiłem go z tego względu, że zawsze przechadzało się tam mnóstwo ludzi. Miłe miejsce – drzewa rosły gęsto, wszystkie kudłate, stare, spokojne, alejki równe i czyste.

Pewnego wieczoru puściłem wodze fantazji, aż serce na przemian to waliło jak młotem, to zamierało, jakbym właśnie znalazł to, czego szukałem. Bywają takie chwile, zwłaszcza gdy masz dwadzieścia lat, niespokojną krew i nie uczysz się w seminarium.

Długo siedziałem tego wieczoru na bulwarze. Już ludzie prawie się porochochodzili, ławki były puste i pobłyskiwały w świetle latarni. Tylko ja i dwie – trzy pary.

Nagle z prawej strony jakoś niespodzianie, nieomal spod ziemi wychynęła wysoka, poważna kobieca postać i cicho przepłynęła koło mnie. Siedziałem w ciemnym miejscu, daleko od latarni, nie mogłem więc jej się przypatrzeć, ale widziałem, że postać skierowała na mnie wzrok, uważnie i spokojnie obwiodła mnie spojrzeniem i poszła dalej. Była w czerni; głowa otulona w czarny szal, długi płaszcz, w ręku torebka. Serce zabiło mi szaleńczo, wstałem i ruszyłem za kobietą, jakbym chciał biec; w tym samym momencie jednak sam siebie powstrzymałem.

Kobieta zrobiła kilka kroków i obejrzała się. Obejrzała się i – albo mi się zdawało, albo naprawdę tak było, kiwnęła głową, jakby przywoływała mnie.

Zerwałem się na równe nogi. Zerwałem się i zatrzymałem. Ki diabeł? Czy mi się to przywidziało, czy naprawdę skinęła na mnie? Oczy głębokie, ciemne, w ciemnej obwódce – cierpienia albo pożądania. Twarz blada, biała, tajemnicza. Cała postać poważna, dumna, pewna siebie.

Nie, pomyliłem się, zdawało mi się. Poszedłem jednak za nią, powoli, z niepokojem i niezdecydowanie, ale mimo wszystko poszedłem. Kto wie, może się nie pomyliłem.

I rzeczywiście, znowu się obejrzała. Teraz wyraźnie widziałem: obejrzała się i chyba uśmiechnęła.

Ale czy się uśmiechnęła? A może tylko tak się obejrzała, może się mnie wystraszyła i kiedy podejde, zmierzy mnie spojrzeniem od stóp do głów, zdziwiona i obrażona?

Postanowiłem iść za nią w pewnej odległości.

Kim mogła być? Ale co mi do tego? Ma głębokie, ciemne oczy, które przywołują mnie, wołają śmiało. Nic więcej nie muszę wiedzieć.



Hm, a może śmieje się ze mnie, myśli, że jestem jakimś seminarzystą, co ma zamiar kupić, ale boi się podejść?

U wylotu alei znowu obejrzała się, zatrzymała na mnie dłużej spojrzenie i poszła dalej ulicą.

No, teraz jasne, prowadzi mnie do siebie. To znaczy, że to ta. To znaczy, że to już ona?!

Opowiedzieć wam, co się ze mną działo, kiedy uzmysłowiłem sobie, że to już ona – byłoby niemożliwością. Nie mogę oddać tego uczucia zdziwionego, pobożnego zachwytu, które nagle mnie przeniknęło i utknęło w piersi, nogach, rozpalonej głowie. Szedłem za nią otumaniony, w radosnym i nieprawdopodobnym porywie.

Skreśliła w jakąś uliczkę. Na zakręcie obejrzała się, czy idę. O, spróbowałbym nie iść! Idę, idę!!

Takiego szczęścia, jak tego wieczoru, kiedy szedłem za poważną, wysoką kobietą postacią w czarnym płaszczu, niewiele przeżyłem w swoim życiu, panowie. Bardzo niewiele. Naprawdę.

Szliśmy może z piętnaście minut. W ciągu tych piętnastu minut przeżyłem tyle, ile nie przeżyłem i w ciągu piętnastu miesięcy. Dwadzieścia razy zdążyłem sobie ją wyobrazić od stóp do głów, wszystkie nasze przyszłe rozmowy, nasz śmiech, radosny, wolny, nawet jej pokój, przytulny, czysty, ze śnieżnobiałym łóżkiem, z migotliwą lampką pod sufitem, półświatłem i tajemniczymi ciemnymi kątami, gdzie na straży stoją duchy miłości.

Kobieta nagle zatrzymała się przed niewielkim domem, kiwnęła na mnie głową, tym razem już wyraźnie, otworzyła drzwi i chwilę zaczekała na mnie. Za drzwiami panowała ciemność, a przed sobą słyszałem jej kroki.

Jakieś schody na górę...

Zaraz wyjmie klucz, otworzy mieszkanie, wemknie się przede mną i powita tam... w tym pokoju...

Nie wyjęła klucza, a po prostu otworzyła drzwi, obejrzała się i ruszyła dalej. Znowu ciemności... Zatrzymała się, by otworzyć drzwi... Zgrzytnął klucz i słychać było nasze ciężkie oddechy... To schody czy...?

– Tutaj – wyszeptwała, otworzywszy drzwi...

Wszedłem po omacku za nią. Pewnie schody były strome... Po prostu zadyszka. Lampka się nie świeciła... Gdzie ona jest? Ciemno, jakiś dziwny zapach.

– Nu i ścierwo Duńka! – nagle zachrypnięty, rozzłoszczony głos przeciął ciemności. – Każdy raz, swołocz, lampu moju zabieriot<sup>1</sup>!

„Kto to? Co to? Tu ktoś był?”

Trzask zapalki. Po ścianach skaczą niezgrabne cienie. Przede mną, plecami do mnie stała tylko ona. Rozejrzałem się pospiesznie. Nikogo więcej.

– Nu, pidożdy ż ty suka, ja tibile pokażu<sup>2</sup>! – wychrypiała „ona”.

<sup>1</sup> Zawsze mi lampę zabierze (ros.)

<sup>2</sup> Poczekaj, ty suko, jeszcze ci pokażę (surzyk).

Zmartwiałem... Coś strasznego uderzyło mnie w głowę, dźgnęło w serce... Nie, to nieprawda!!

– I każyn raz! Moju zaberiot', a swoju pokyne... Swity jijo! Swołocz! O<sup>3</sup>!

Zapałka zgasła. Zadźwięczało szkło, znowu trzask zapałki, znowu na ścianach skaczą i chwieją się cienie, niezgrabne, dziwaczne, ogromne.

Potem zatrzymały się wszystkie i zastygły w miejscu. Zdjęła z głowy czarnej szal, zrzuciła i niedbale odwróciła się do mnie.

Co?!!

Jakaś szeroka, spróchniała twarz, wymalowana na biało, rozkwaszony nos w pudrze, brwi i oczy podkreślone, jak u kłowna... Brudnawe pasma włosów...

Skamieniałem.

– No, kochaniutki, rozbieraj się... Czego tak stoisz?

Niedbale i cynicznie objęła mnie, obojętnie podeszła do łóżka, pospiesznie rozebrała się.

– Boże! Co to ma być?

Rozglądałem się wokół siebie w oszołomieniu. Umywalka krzywo stojąca... Na niej lampka ze szklanym abażurem, zalepionym przypalonym papierem... W misce w brudnej wodzie resztki cebuli, na podłodze nocnik... Para ciekawskich prusaków... Ściany oblepione jakimis bezsensownymi i krzykliwymi reprodukcjami. Na stole talerz z niedojedzonym śledziem, butelka po piwie, kawałek chleba...

– No, czego tak stoisz? – krzyknęła zdziwiona.

Spojrzałem na nią. O Boże! Stała tuż koło mnie w samej koszuli, brudnej, podartej na brzuchu, całej w plamach... Wielki brzuch sterczał i widać było, jak się przelewał niczym ciasto; nogi szarzały, a na nich niebiesciły się ślady po oblażących pończochach.

A łóżko? Koślawe, brudna poduszka zsunęła się, bez kołdry, gołe, zawsze gotowe, ze śladami jej profesji, ubogie, ohydne łoże ubóstwa, kupna i sprzedaży kobiecego ciała...

– Nu, skariej że, cipka, skariej! Niekada. Nada szcze razok wyjty na bulwar.<sup>4</sup>

Położyła się, wielka, niezgrabna, miękka jak kawał ciasta. Położyła się znudzona, ze straszliwą obojętnością.

– Nu?? Czoho ż ty pryjszoł? Stojat'??<sup>5</sup>

Szarpnąłem się, drżącymi rękoma wyciągnąłem portmonetkę i rzuciłem jej karbowanica. Podniosła się, spojrzała na mnie ze zdziwieniem, a spod koszuli wylały się jej obwisłe szare, ciastowate piersi. Karbowaniec upadł na jej brzuch i jakby w nim ugrzązł.

<sup>3</sup> Za każdym razem! Moją zabierze, a swoją zostawi... I zaświeć tu ją! Swołocz! O! (surzyk)

<sup>4</sup> No, szbycej, kochasiu, szbycej! Nie ma czasu. Muszę jeszcze z raz wyjść na bulwar... (surzyk)

<sup>5</sup> No, po coś tu przyszedł? Żeby stać? (surzyk)

– Samaszedszyj kakojs'!<sup>6</sup> – patrzyła na mnie osłupiała, szukając monety.

Nogi wyniosły mnie na schody, na ulicę i zatrzymały się. Chciało mi się śmiać, szaleńczo i dziko śmiać się! Błada tajemnicza twarz o bolesnych oczach... Upudrowany nos i brwi jak u pajaca... Marmurowa czystość!

Cha-cha-cha-cha-cha!!

Dusiłem się ze śmiechu. Pragnąłem wyrwać go po kawałku z piersi i cisnąć nim w ten księżyc, w niebo, w okna śpiących spokojnie ludzi; pragnąłem upaść i uderzyć piersią, śmiechem o ziemię, żeby wyskoczyli spokojnie śpiący ludzie i ze zjeżonymi ze strachu włosami spojrzeli na Realność, na wielką tłustą babę Prawdę o ciastowatych piersiach i twarzy pajaca...

Masz!!!

Obejrzałem się i plunałem jej w twarz, w jej bezczelne, okrutne oczy.

Masz!!!

Zupełnie szczerze plunałem wówczas, panowie, w twarz Realności.

A przechodząc przez bulwar o mało nie uklęknąłem i nie pocałowałem tego miejsca, w którym z taką jasnością wyobraziłem sobie, że to ona. Panowie, czy nie miałem racji? Czy Iluzja nie przyniosła mi Radości, a Realność – Cierpienia? Czyż nie byłem szczęśliwy przez te piętnaście minut? Czyż nie realnie czułem w piersiach pobożny zachwyty, radość? Czyż nie wszystko jedno, kto się przysłużył mojej Radości – Iluzja czy Realność?

Widzę, że niektórzy się uśmiechają – czyż można porównywać tę starą, brudną babę – Realność z młodziutką, czystą pięknoscią – Marzeniem? Ale pozwólcie panowie, że opowiem o drugiej przygodzie, która mi się przydarzyła, żeby pokazać, że ja ich nie porównuję i nie ma potrzeby, by je porównywać.

Słuchacie?

Dobrze.

Druga przygoda przytrafiła mi się ze cztery lata po pierwszej. Wyobraźcie sobie, że swych fantazji nie porzuciłem nawet po tym, co się zdarzyło. Co prawda nie szukałem już po ulicach, ale każdej kobiecie przyglądałem się całą duszą.

I proszę sobie wyobrazić, że znalazłem! Jak, gdzie – teraz nieważne, jedynym słowem znalazłem ją i stała się moim towarzyszem, przyjaciелеm i ukochaną. Nazywała się Olga.

Przeżyliśmy z pół roku razem tak szczęśliwie, że seminarzyści pewnie w to nie uwierzą.

Pewnego razu jednak na naszej drodze pojawiła się kobieta, której się podobiałem. Za nic nie chciała uwierzyć, że kobieta bez symbolicznych ceremonii może na długo zatrzymać przy sobie mężczyznę. I najwyraźniej postanowiła mi to udowodnić. Uparta była to kobieta, ładna, rozpaczliwie zawzięta, co zapewne jest skutkiem sprzeniewierzenia się moralności. Było jej jakby wszystko jedno – seminarzyści ją potępili, stracony człowiek, więc można na nic nie zważać.

---

<sup>6</sup> Nienormalny jakiś! (surzyk)

I zaczęła sprawdzać. Upragnionego i pewnego rezultatu nie osiągnęła, ale udało jej się sprawić, że Olga znikła pewnego dnia, pozostawiając wiadomość, że nie chce mnie wiązać. Była to dla mnie tak wielka niespodzianka, że w tym samym dniu, gdy pojawiła się u mnie eksperymentatorka, wyrzuciłem ją z taką złością, że wyjechała z miasta na zawsze.

Długo szukałem Olgi, ale nie mogłem znaleźć. Partyjne sprawy niebawem wyciągnęły mnie z tego miasta, wyjechałem do innego, potem znalazłem się w więzieniu, przesiedziałem trzy miesiące, wyszedłem na wolność.

Znowu zacząłem szukać, ale nie znalazłem. Zresztą za bardzo szukać też nie mogłem, bo czas był gorący, a partyjnych działaczy było zbyt mało do wszystkich spraw. I mimo to każdą wolną chwilę poświęcałem na poszukiwania. A w tym czasie pojawiły się pogłoski, że pracuje tutaj jako szpieg kobieta, robotnica Fenia. Mówili, że jest dobrze ubrana, że snuje intrygi miłosne z rewolucjonistami i w ten sposób uzyskuje wszelkie niezbędne informacje.

Prawdę mówiąc, na początku nie dawałem wiary tym pogłoskom, uważając to za zwykły objaw szpiegomanii towarzyszy. Potem jednak zmuszony byłem zmienić zdanie.

Od pewnego czasu zacząłem zauważać, że wieczorami często chodzi za mną jakaś kobieta, wysmukła, dobrze ubrana, z gęstą woalką. Nie zaczepia mnie, nawet udaje, że nie zwraca na moją osobę uwagi, ale widać było, że zna każdy mój krok.

Zacząłem się zastanawiać i nawet wierzyć w istnienie Feni. Było to bardzo nieprzyjemne. Zacząłem ją śledzić, czego właściwie ode mnie chce. Wszedłem niedawno z więzienia, niczego szczególnego jeszcze nie zrobiłem. Może chce przeze mnie dotrzeć do ciekawszego obiektu? Pewnie tak. Ale czemu nie chce się ze mną poznać? Może czeka na mój krok?

Sprytnie, ale za bardzo. Nie miałem ochoty na tę znajomość. Postanowiłem przez jakiś czas pozostać na uboczu, uchylać się od wszelkiej roboty partyjnej i pozwolić, by się przekonała, że niczego ode mnie nie uzyska.

Odsunąłem się i żyłem spokojnie. Nie spotykałem się prawie z nikim, nawet najbliższego kolegę widywałem bardzo rzadko, przez co dokuczała mi nuda.

Ale Fenia nie dawała mi spokoju, raz po raz zjawiała się tam gdzie ja, w różnych miejscach. Zaczęło mnie to denerwować.

„Pal cię sześć! – rozzłościłem się wreszcie i postanowiłem wyjechać do innego miasta, zmieniłem paszport, ufarbowałem włosy, i w ogóle wyglądałem zupełnie inaczej.

Udało mi się na tyle, że nawet Petro, mój najbliższy przyjaciel, nie poznał mnie, dopóki nie przyznałem się do niego.

Przy jego pomocy uciekłem do innego miasta, zamieszkałem tam, od razu po uszy zanurzyłem się w robotę. Petrovi kazałem szukać Olgi, a gdy tylko znajdzie jakiś jej ślad, miał mi dać znać. Petro solennie mi to obiecał.

W nowej organizacji i zresztą też w mieście nikt mnie wcześniej nie znał i rzeczywiście towarzysze myśleli, że to mój paszport, i że naprawdę nazywam się Iwan Berezowski. Cieszyłem się z tego.

No i wyobraźcie sobie, że po jakichś dwóch miesiącach idę ulicą, oglądam się za siebie, patrzę, a tu w bramie prędko chowa się kobieca postać strasznie podobna do Feni. Zrobiło mi się nagle zimno. To już nie byle co! (A robotę w tej organizacji miałem taką, że mniej niż katorgi nie należało za nią oczekiwać).

„Ach, ty podła suko! Znalazłaś jednak!” – pomyślałem. Zdjął mnie strach, wpadłem w złość. No i co tu robić? Skoro mnie i teraz znalazła, to nie ukryję się przed nią. Co robić?

Nie poszedłem już w swojej sprawie, wróciłem do domu, usiadłem i myślę. W mieszkaniu pełno „materiału” – „wyczyścić” się nie da.

Wie, gdzie mieszkam czy nie? Od jak dawna mnie śledzi? A może dopiero dziś mnie dopadła?

Jak się dowiedziała, że tu jestem? Jak poznała? Przez kogo? Sama czy ktoś jej powiedział?

Rzecz jasna, nie umiałem odpowiedzieć na wszystkie te pytania.

Ogarnęła mnie rozpacz, straszna rozpacz. Ze dwa dni nigdzie nie wychodziłem, towarzyszym przekazałem, żeby przez jakiś czas do mnie nie przychodzili i na mnie nie czekali, bo jest niebezpiecznie.

Chodzę po swoich dwóch pokojach i myślę. I w końcu wymyśliłem. Ubrałem się, włożyłem do kieszeni browninga i wyszedłem na ulicę.

Fenia już przechadzała się naprzeciwko domu, w którym mieszkałem, po chodniku z drugiej strony ulicy. Była inaczej ubrana, ale od razu ją poznałem. Skierowałem się prosto na nią.

Kiedy to spostrzegła, spokojnie, bez pośpiechu, jakby zakończyła właśnie spacer, podeszła do dorożki, wsiadła, powiedziała coś i odjechała, mignawszy mi przed nosem. No i masz ci los!

Ścisnąłem w złości rewolwer w kieszeni, zacisnąłem zęby i wróciłem do domu.

Co robić?

Jeszcze większa rozpacz mnie ogarnęła. Znowu uciekać? Jaki sens? Co to da? Jedyne ratunek to ją zabić. Poznać się z nią, zaprowadzić gdziekolwiek i zabić tego samego wieczoru.

Ale jak to zrobić? Widać tego się obawia, skoro ucieka.

Poprosić o pomoc towarzyszy? Ale czy mam prawo wciągać ich w tę sprawę? Skoro mnie wysłodziła, to znaczy, że i towarzyszy wysłodziła, i także ich będzie się obawiać, czyli i oni także nic nie wskórają. A jeśli któregoś nie wysłodziła, to skąd mam wiedzieć, którego? Skąd mogę wiedzieć, że nie wezmą go, gdy tylko do niej podejdziesz?

Ale jak i kiedy to zrobić? Może już tej nocy po mnie przyjdą?

Bronić się czy poddać bez walki?

Nie spałem całą noc, czekając na „gości”. Na każdy dzwonek do stróża zrywam się, zamieram, nasłuchuję, czekam. Nie, nie do mnie.

Znowu leżę, nie śpię i nasłuchuję.

I tak całą noc.

Rano postanowiłem zwrócić się do towarzyszy. Ale kiedy wypłem herbatę, uspokoiłem się nieco i porzuciłem tę myśl. Wieczorem nie wytrzymałem, złapałem płaszcz, chciałem biec, ale znowu się rozmyśliłem i zostałem. A może tylko mi się zdaje. Może nie ma tu żadnej Feni?

Pamiętam, że zachowywałem się jak szaleniec. Dławiły mnie złość, rozpacz, wściekłość. Głowa po bezsennych nocach płonęła.

– „Ech! – pamiętam, jak wybuchło we mnie postanowienie. Co będzie, to będzie. Dalej tak być nie może. Spotkam ją na ulicy i od razu zabiję. Dość!”

Złapałem kapelusz, płaszcz, browning i wypadłem na ulicę.

Nie było jej. Przeszedłem jedną przecznicę, drugą, obejrzałem się, poszedłem dalej – nie ma.

Uspokoilem się trochę.

„Może to naprawdę wszystko bzdury?”

Nawet wstyd mi się zrobiło.

Kiedy nagle patrzę, przede mną w bramie jakiegoś dużego domu mignęło rondo jej kapelusza. Pamiętam, że serce mi wówczas zamarło. Umyślnie jednak odwróciłem się, udałem całkowitą obojętność i nie zmieniając rytmu kroków przeszedłem obok bramy, nie patrząc nawet w tamtą stronę. Padało akurat, więc podniosłem kołnierz płaszcza i poszedłem bez pośpiechu dalej, nie oglądając się za siebie.

Wieczór był ciemny, przechodnie spieszyli się do domu, było coraz bardziej pusto na ulicy. Wciąż jeszcze szedłem, nie oglądając się i nie wiedząc, czy ona idzie za mną, czy nie.

Może przekazała innemu szpiegowi, a on teraz w postaci choćby tego dobrodzieja z parasolem idzie tu?

Na rogu jednej z ulic, udając potknięcie szybko się obejrzałem. Daleko na mokrym chodniku widać było kobietą postać.

Ale czy to ona?

Skręciłem szybko za róg, przebiegłem przez ulicę i schowałem się w jakimś podwórzu, wyglądając przez szparę w furtce.

Długo czekałem i już chciałem wychodzić, kiedy na tym samym rogu pojawiła się ona i zaczęła się uważnie rozglądać.

„Aha! – cieszyłem się złośliwie. – Szukaj, szukaj, kochaneczko, zaraz coś tu znajdziesz!”

Kobieta zdecydowanie skręciła w lewo, w tę samą ulicę, gdzie się schowałem, i poszła szybko drugą stroną.

Zacząłem się denerwować. Co robić? Wyjść, pójść za nią i strzałem w plecy zabić ją? A jak zauważy i schowa się, zaczniesz krzyczeć i nie dopuści do siebie albo i aresztuje?

A może udać, że jej nie zauważyłem, iść drugą stroną, nie oglądać się i wyprowadzić na jakieś odludzie, potem od razu, niespodzianie obrócić się w jej stronę, podbiec i wtedy?

Zdecydowałem się na ostatni wariant.

Mówię wam, byłem niczym obłąkany.

Szybko wyszedłem z podwórza, znowu podniosłem kołnierz płaszcza i jak człowiek, który gdzieś się spieszy, zajęty swoimi sprawami i tylko nimi pochłonięty, poszedłem za Fenią.

Szła prędko i często się oglądała. Najpierw chyba mnie nie dostrzegła, ale kiedy zbliżyłem się do niej, nagle się zatrzymała i z wyraźnym niezdecydowaniem zaczęła mi się przyglądać. Przeszedłem obok niej, nawet nie odwracając głowy, ani też nie dając znać po sobie, że coś mnie interesuje. Schyliłem głowę, jakbym był zanurzony we własnych myślach.

Ukradkiem jednak spojrzałem na nią, widziałem, jak powoli, jakby mi nie dowierzając, ostrożnie ruszyła za mną.

Plan mógł się powieść!

Włożyłem ręce w kieszenie i szedłem wciąż tak samo obojętnie przed siebie, nie oglądając się, ani też nie zwracając na nic uwagi. Uliczka była mała, parterowe domy, brudna, bez bruku. Przechodniów nie było, latarnie stały w dużej odległości od siebie, więc przestrzeń między nimi była zupełnie ciemna. W jednym z takich miejsc postanowiłem z nią skończyć. Najpierw zwolnić, potem schylić się niby do buta, odwrócić się nagle i podbiec prosto do niej.

Serce biło mi coraz mocniej, ale ręka, pamiętam, była twarda, żelazna i pewna.

W pewnym momencie znowu się potknąłem, żeby zerknąć, czy idzie.

Szła!

„Tak, tak, kochaniutka, idź, idź!”

Zwolniłem kroku. Na ulicy żywego ducha. Gdzieś zaszczekał pies. Kropił deszcz. Ciągnął się długi parkan czyjegoś sadu.

„To dobrze, – myślałem – z tej strony jest bezpiecznie”.

Z drugiej strony były domy, ale okiennice tak szczelnie zasłaniały okna, że chatki wydawały się wymarłe i bezludne.

Zatrzymałem się, schyliłem i zacząłem niby to zawiązywać sznurówkę buta. A sam z dołu uważnie patrzyłem w tył. Szła nie zatrzymując się i była już blisko mnie. Musiała być pewna, że jej nie poznałem i nie myślę o niej.

„Wspaniale!” – cieszyłem się.

Zawiązałem sznurówkę i ruszyłem znowu naprzód.

Niedługo jednak szedłem. Coś jakby mnie dźgało czy szarpało za serce, które wciąż zamierało, dygotałem cały.

I nagle, jakby nie z własnej woli odwróciłem się i szybko ruszyłem z powrotem.

Kobieta nie zatrzymała się, ale wydało mi się, że nieco zwolniła kroku. Przebiegłem przez ulicę i skierowałem się prosto na nią. Zatrzymała się, odwróciła i chciała biec z powrotem.

– Stój!! – wrzasnąłem jak opętany.

Krzyk był tak dziki i obcy mnie samemu, że pamiętam, aż sam się przestraszyłem.

Kobieta od razu zatrzymała się i odwróciła do mnie.

Wyciągnąłem rewolwer i biegłem w jej kierunku.

Już jestem blisko. Czeka.

„Strzelać czy jeszcze bliżej?” – przemknęła myśl.

Podniosłem już rękę, kiedy kobieta nagle drgnęła, przeraziła się, krzyknęła i znajomy, przestraszony głos poraził mnie:

– Hryciu! Zaczekaj!!

Aż się cofnąłem: co się dzieje?! Kto to? Jak??

Kobieta podbiegła do mnie, objęła i zaczęła namiętnie, nerwowo całować moje oczy, policzki, kołnierz płaszcza.

– Ola?? – w końcu zdołałem wyrzucić z siebie.

Była to Olga.

Nie zamierzam, panowie, opowiadać o swej radości, możecie sobie ją wyobrazić. Powiem tylko, że śledziła mnie przez cały ten czas od rozstania, chcąc wiedzieć, jak żyję i czy kocham kogoś innego. We wszystkim pomagał jej Petro.

Tak więc Fenia i cały ten ohydny koszmar był jedynie Iluzją. Z prawdziwym wstrętem i gniewem plunąłem w ten wieczór jej w twarz, a Realność z całego serca objąłem i ucałowałem.

Stąd, panowie, wynika taki oto morał: jest coś większego od Realności czy Iluzji, coś jedynie prawdziwego, czemu służy wszystko. I według mnie, panowie, zwie się ono Zmysłem Życia. A kiedy Iluzja czy Realność źle mu służą, przeklinamy i plujemy na nie; z całego serca zaś cieszymy się i całujemy, kiedy nam dogadzają. Niech żyje więc wszystko, co jest radością Życia i precz ze złymi jego sługami, jak by się nie nazywali – czy marzeniem czy kaloszem!

Dobrodziej zamilkł. Znowu wszczęto jeszcze żywszy spór, ale on prędko gdzieś znikł.

Tłum. *Ola Hnatiuk*





## Hryhorij Kosynka (1899-1934)

Hryhorij Kosynka (właśc. Hryhorij Striëć) urodził się we wsi Szczerbaniwka w obwodzie kijowskim. Ze względu na sytuację materialną rodzina Kosynki sprzedała swoje niewielkie gospodarstwo i w 1908 r. wyjechała na wschód (Amur, Bajkał). Po niedługim czasie, nie znajdując odpowiednich warunków, powrócili na Ukrainę i utrzymywali się z pracy najemnej. Również Kosynka dość wcześnie zmuszony był zarabiać na chleb. Mając 14 lat wyruszył do Kijowa, gdzie pracował jako pucybut i kancelista; jednocześnie uczył się w gimnazjum wieczorowym. Brał udział w ukraińskiej wojnie domowej, podczas której trafił na trzy miesiące do więzienia. W 1919 r. rozpoczął studia na wydziale historyczno-filologicznym Uniwersytetu Kijowskiego, ze względu jednak na śmierć ojca (1920) został zmuszony do przerwania nauki w 1922 r. (pisarz wspomagał rodzinę finansowo). Przez jakiś czas pracował jako korespondent gazety „Wisti kyjiwśkocho hubernśkocho rewolucijnoho komitetu”, pisał do czasopism „Nowa hromada”, „Wseswit” i in., następnie był redaktorem, a później również dyrektorem Komitetu do Spraw Radia w Kijowie i w Charkowie. W 1920 r. wstąpił do ugrupowania GRONO i w almanachu wydanym pod tym samym tytułem zamieścił trzy swoje utwory *Pid bramoju soboru*, *Ment*, *Za zemelku*. W latach 1924-1926 należał do ugrupowania literackiego ŁANKA przemianowanego w 1926 r. na MARS, którego znaczenie w Kijowie równe było charkowskiemu WAPLITE. Od 1932 r. po likwidacji wszystkich grup literackich działał jako pisarz niezależny. W 1934 r. został aresztowany i pod zarzutem udziału w zabójstwie Kirowa rozstrzelany w tym samym roku. Do rehabilitacji w 1957 r. jego dorobek prezentowano w wersji okrojonej. Taka sytuacja miała miejsce w wydaniu z czasów odwilży chruszczowowskiej, oraz późniejszym z lat 70. Do pełnego wydania utworów pt. *Harmonija*, które ukazało się na Ukrainie w 1988 r., włączono zarówno utwory „przemilczane” (*Fawst*), jak również teksty prezentowane wcześniej jedynie na łamach prasy.

Kosynka wpisał się do historii literatury ukraińskiej przede wszystkim jako autor małej formy prozatorskiej choć, jak wiadomo z *Autobiografii* (1925), myślał również o napisaniu powieści. Pisarz pozostawił po sobie stosunkowo niewielki dorobek, składa się nań około 30 opowiadań, artykułów krytyczno-literackich i materiałów publicystycznych. Swoje utwory zaczął publikować dość wcześnie, gdy miał zaledwie 20 lat. W gazecie „Borot’ba” w 1919 r. za-

mieszczono jego artykuły – *Z robitnyczozho žyttia*, *Urywky z szczodennyka*, *Malunky z žyttia* i nowelę *Na buriaky*. Pierwszy zbiór opowiadań *Na zołotykh bohiv* ukazał się w 1922 r., następnie pojawiły się tomiki *Zakwiczanyj son* (1923), *Za worit'my* (1925), *Maty* (1925), *W žytach* (1926) i in.

We wczesnych utworach Kosynki zwraca uwagę oryginalny sposób przedstawiania poszczególnych zjawisk – kolorystyka, zasady kadrowania obrazów. Do atutów prozy Kosynki należy zaliczyć także walory językowe, choć Kosynka daleki był od pietyzmu językowego, poszczególne elementy wykorzystując spontanicznie i niejako dorywczo. Język jego utworów wydawał się często naiwny lub nadmiernie liryczny, ale wyrażał autentyzm i barwę życia. Świeżość bezpośredniego doznania i wielowątkowość, która odzwierciedlała naturalną, nie dyferencjującą aktywność pamięci były następstwem jego instynktownie niechętnego stosunku do formy zamkniętej. Swoje inspiracje czerpał Kosynka z codziennego życia, ze związku z naturą i z umiejętności uważnej obserwacji świata. Najważniejszym czynnikiem kształtującym sposoby interpretacji rzeczywistości był uwypuklony, zwłaszcza w pierwszej fazie twórczości, związek pomiędzy przyrodą a doznaniem estetycznym.

Z powyższych powodów pisarz niemalże od razu został włączony do nurtu tradycji impresjonistycznej i kojarzony z dorobkiem takich pisarzy jak Mychajło Kociubynski czy Andrij Hołowko. W późniejszych utworach Kosynki coraz większą rolę zaczyna odgrywać różnicowanie i wyodrębnianie poszczególnych elementów konstrukcji. Znaczenie zyskuje detal i kontur oddzielający jedno zjawisko świata przedstawionego od innych. Coraz bardziej uwidacznia się w związku z tym aspekt konfliktu pomiędzy podmiotem literackim a rzeczywistością. Jak zauważyła Wira Ahejewa, opozycja „swoi” i „obcy” staje się nie tylko głównym wyznacznikiem dojrzałych opowiadań, ale również podstawową płaszczyzną do szerszych uogólnień, politycznych i filozoficznych (*Temna nicz, Fawst*). W sferze języka monolog liryczny ustępuje miejsca dialogowi. To, co we wczesnych utworach było dyskretne i liryczne, staje się wyraziste, mniej naznaczone intymnością, bardziej lapidarne i stanowcze (*Towarysz Hawrysz*). Z czasem w dążeniach twórczych coraz większą rolę odgrywa aspekt socjologiczny, rozumiany jako psychologiczne skutki przynależności do różnych zjawisk i „instytucji” społecznych. Przedstawiając ludzi w różnaitości ich zachowań pisarz stara się równocześnie odnaleźć cechy świadczące o zbieżności ich postaw, określić typ życia społecznego. Ten etap w jego twórczości był widoczny w zbiorze *W žytach* (1926). Wyraźny w pierwszym tomie postulat prawdy życiowej jednostki uzupełnił pisarz o próby ogólnej syntezy, odnoszącej się do doświadczenia całego narodu. Jednak w przypadku większości późniejszych utworów powstaje wrażenie niepełności, tak jak gdyby autor sprawdził pewne możliwości, gromadził materiał, przygotowywał się do innego rodzaju pisarstwa. Ostatnie jego utwory *Serce* (1931) i *Harmonija* (1933), zbliżone gatunkowo do mikropowieści, zdają się potwierdzać domniemanie, iż autor

zmierzał do urzeczywistnienia swych młodzieńczych planów i zajęcia się dużą formą prozatorską. Represje lat trzydziestych i spowodowana nimi przedwczesna śmierć uniemożliwiły jednak ich urzeczywistnienie.

*Larysa Szost*

### **Księżycowy śmiech**

– Słuchaj, pluń na tę całą wielką i małą filozofię! Naprawdę, musisz to zrobić...

Oczy Czubrijenki zwężyły się; w kącikach soczystych ust pojawiły się dwie małe bruzdki, dymek z papierosa – ironiczny, skręcony – otulił wargi załotną mgiełką...

– Mówisz, że trzeba opisać cierpienie, miłość, wyciągnąć je z mułu ludzkiej duszy? Co za dziwadło! Jaki namuł? Przecież to po prostu – wiwat fantazyja! Chory człowiek i tyle...

– Każdy cierpi na swój sposób, rozumiesz?

– A cierpienia ogółu... Marny z ciebie, znaczy się, psycholog, ale bądźże chociaż normalnym człowiekiem... A więc...

Czubrijenko z lubością zaciągnął się papierosem, sięgnął do mojej torby po pszeniczny sucharek (za darmo nic nie opowiadała!) i zaczął obszernie, ze szczegółami...

Zerknąłem na torbę, podobiznę Marksa na ścianie i kawałek nie dojedzonego sucharka – gdzieś z głębi jak zmija wypełził egoizm.

Ale Czubrijenko znał się na psychologicznych niuansach ludzkiej duszy. Na początek rzucił od niechcenia:

– Po pierwsze, żaden ze mnie poeta, ale lubię poetów za ich pociąg do piękna: to poczciwi idealisci. Co prawda mało ich na świecie, ale ten duch, ta tęsknota za pięknem...

I z jeszcze większą powagą niż po sucharek sięgnął po kruche ciastko.

Roześmiałem się.

Czubrijenko mlasnął z zadowoleniem, uśmiechnął się chytrze: – Rozumiem, kolego, twoje cierpienia! – mówiły jego malutkie, jak dwa nacięcia oczka.

– A więc... Lubię poetów za ich pociąg do piękna. Ale to nieważne! Chcę opowiedzieć ci historię moich ziemskich cierpień... po prostu – miłości... Słuchasz?

– Słucham.

– Minionej jesieni, pamiętnej z wielkiej rewolucji społecznej, uciekałem ze wsi do miasta, cierpiałem oczywiście, i to jak! Po drodze... Znasz drogę „Goła Spekulantka”?

– Nad czym cierpiałeś?

– Nie przeszkadzaj! – mrugnął chytrze Czubrijenko.

– „Goła Spekulantka” wiedzie z Kijowa do Obuchowa, nazwa rewolucyjna i prawdziwa, bo tą drogą kroczy do miasta drobna spekulacja... A jak idzie, bracie, aż się ziemia ugina... Nieważne! Idę i ja, dookoła dziewczęta, wesoło, przez całą drogę śpiewy, ale najważniejsze – zrozum tę poezję.

Trzydzieści, może czterdzieści dziewcząt z węzełkami, tobołami mąki wali w ziemię bosymi piętami i jak kurzawę pieśni na sosnach rozwiesza...

A chytreńki bór szumi... Zauważyłem wtedy, że słuchał tych dziewczęcych pieśni z lekką ironią: śpiewały ładnie – rzucał ich pieśń ku słońcu, jeśli nie – smutniał, potem uśmiechnął się, gadał coś, sosnami, gwarzył... Stary, dumny bór lubił, bracie, dziewczęta nie mniej niż my!

– Czekaj, ty, zdaje się, kobiety uwielbiasz trochę inaczej niż wszyscy, zapomniałem... no, tak.

– Gwarzy bór. Całują się, oj, kochają...

– Czego się tak krzywisz? Apostoł cierpienia... Ha, ha, ha!

– Tak. Wtedy właśnie bardzo przyziemnie męczyłem się z miłości: kobiety za pieniądze nie chciałem – to bagno, a nasze czasy mieszczańskie! Ale ty tego nie pojmiesz, a my, śmiertelnicy...

– Warto by zapalić...

– Naprzeciw, rozumiesz, lasek dębowy, gdzieniegdzie brzozy, trochę białych płam...

„Dzień dobry!”

– Wiesz, omal nie wypuściłem torby z rąk... Przecież to Marijka z sąsiedniej wsi, taki czarny diabełek z oczami przepastnymi jak studnia o poranku.

„Witaj Marijko!”

– Mój język – esteta i dobry polityk – oblizał wargi z kurzu, posmakował jakby jakiej słodyczy, ręka wyciągnęła się, wesoła, gorąca... A niech to diabli! Czarną splekaną korą uśmiechnęła się do mnie stara brzoza, a Marijka kokieteryjnie schyliła się nad tobołkiem, wśród czarno-czerwonej mereżki w rozcięciu spódnicy błysnęły w słońcu przepięknie, lekko opalone dziewczęce nogi... Schyliłem się pomóc, a ona uśmiechnęła się tak pięknie, jakby rozsypała białe płatki róż... Tyś chyba nigdy nie widział, jak cudny śmiech rozsiewają czasem kobiety?

Pokręciłem głową. Czubrijenko przerwał.

– Słuchaj, nie cuduj, na Boga, to cierpienie, moja krew...

– A niech cię! Opowiadaj.

Kolega zaśmiał się wesoło, oczy mu rozbłysły, zamrugały...

„Wy, Wasylu, hm... też do Kijowa?”

– Ale diabłątko! Razem kończyliśmy dwie klasy – „otczestwa” zapomniała. Czubrijenko jakoś śmiesznie pokręcił głową, przechylił się na stołku.

„Ech, sporo czasu, Marijko...”

Zerknęła na niego spod oka.

– Spojrzała... I biało obramowany bór zawirował, sięgając wierzchołkami aż do słońca (właśnie zachodziło), i, o dziwo, zawstydził się, ucichł i poczerniał, a gałęzie jakby stanęły na baczność...

„Wy i teraz się uczycie, a ja...”

Nie dokończyła, zarumieniła się i skierowała moje myśli na ciernistą ścieżkę:

„A my z matką właśnie do Kijowa, soli trzeba na święto Przenajświętszej Pani... w domu całe gospodarstwo...”

Nabrała odwagi i cicho spytała: „Chyba nie wiecie, że za mąż wyszłam?”

„Dawno?”

Splunąłem, potknąłem się o krzak, moje oczy zalśniły błękitnym płomykiem, który jakby wyciął na korze młodej brzozy: Matka... mężatka...

„Nie wiedziałem... A wyście, Marijko, troszkę przymarnieli... Pewnie... mąż... A rzeczywiście: długo to mniszeczka zamężna?”

„Już trzy miesiące... Stepan Czuhujenków, znasz?”

„Znam... Znam...”

„Jużem myślała, żeś, Mario, zabłądziła...”

Matka Marijki zagęgała jakoś śmiesznie jak gęś. Przywitałem się uprzejmie, na usta cisnęło się złośliwe: Dogoniłem diabła starego... Las rozjaśnił się w uśmiechu... Mrugnął do mnie spod zielonych brwi... Pyknął fajkę – zgasła... Zaczął wierzchołkami ogień ze słońca krzesać – nie sięgnął; ucałował złocisty brzeżek – nie zapaliło się. Rozeźlony, posiniał aż het, do stepu...

Nic nie skrzesał. Zaszumiał i legł do snu na grzbiecie Łysej Góry... A ja... Właśnie wtedy, gdy las kładł się spać, zaczęło się moje cierpienie: plunąć na to, że sobie nie popalił. Ważniejsza dla mnie Marijka od jego fajki! Z góry zsunął się wieczór; zapalił jedną gwiazdę – ciemno, odkaslnął cieniem, pomyślał i z tej złości na cieniutkie złote nitki słońca przyrzucił jeszcze jedną gwiazdę nad świętą Ławrą, a wtedy wesół, jak nie zacznie po niebie gwiazd rozsiewać... Złota łuska. Niech rozsiewa.. My z Marijką już dochodziliśmy do Demijówki. Z tyłu stara poczymychwała nosem.

Wesoła noc wyszła nam na spotkanie w Kijowie, w mieszkaniu drobnego spekulanta Saszki; judaszowa bródka jak łopatka, czupryna przedziałkiem na dwa boki przylizana, chód koguci, na wargach fałszywa życzliwość jak roztopione masło...

„Rozbierajcie się, pażałsta, czujcie się jak w domu... Zaraz elektryczestwo... kolarcję... Anka, samowarczyk dla gości... A co to za młody człowiek?”

– Poznaliśmy się.

„Bardzo miło... Kopystoczka... Aleksandr Iwanowicz... Do miasta uczyć się?”

Złośliwa, chytra ironia zastygła na maślanych wargach Kopystoczki, potem rozplynęła się, a on nie wytrzymał:

„Jaka teraz nauka? Ech, Boże, Boże! Pokarałeś nas grzesznych... Komuny-sowiety nastały na świecie, a zizni nietu... Da... Wy może sami partyjni, a ja, wiecie, stary człowiek...”

I znów rozsypał śmieszek i ostrożnie zlizął go językiem. Stara, z którą przyszliśmy, leniwie spojrzała na moją zieloną koszulę, zrobiła znak krzyża na ustach, czerwono błysnęły dziąsła z żółtymi pieńkami zębów...

„Prawdę mówisz, Saszka... Chyba za carstwa takiej rozpusty nie było. Bandy różne, złodziejstwa, młodzi po prostu zbiesili się, do cerkwi nie chodzą: Boga, mówią, nie ma...”

Kopystoczka przerwał jej i szybko rzucił:

„Co tu gadać, był Nikołka dureń, ale chleba – bochen, teraz sowiety, a chleba – nietu... Tak. Życie nasze stało się gorzkie, kiedyś miałem sklepik, żyłem jak człowiek, a teraz, sami widzicie...”

I jakby mimochodem wskazał ręką ładnie umeblowaną sypialnię z miękkimi fotelami i dużym tremo; w kącie głowa Chrystusa w cierniowej koronie, w oknach doniczki z kwiatami... Stara popatrzyła na głowę Chrystusa, pokiwała głową i zmartwionym tonem powiedziała do siebie: Boże, jak on cierpiał... ukrzyżowany, na pustyni pościł dni czterdzieści...

Odbiło się jej i trochę speszona mówiła dalej: „A drożyzna, Matko Boska, wypłacić się nie można! To wasz chłopczyk, Saszka?”

„Tak. Mój następnik... Podejdz do babci, głuptasku!”

Rudy chłopczyna przytoczył się na krzywych nogach do starej i poważnie zapytał: – „Pestki przywieźliście?” – Tak, synku, mam... Zaraz dam ci gościńca.

Wyjęła z torby trzy garstki pestek słonecznika i dyni i sypnęła je przed chłopcem jak koraliki.

Chłopiec nawet nie podziękował. Kopystoczka krzyknął ze złością:

„Podziękuj, durniu, babci!”

„Spasiba...”

Siedliśmy do kolacji. Osnuci siwą parą wypiliśmy herbatę, podziękowali Kopystoczce uściskiem ręki, a ten ukontentowany przymilał się z papierosami, rozsiewając dokoła fałszywe uśmieški:

„Proszę, stary tytoń Mesaksudi. Jakbyście wcześniej... do teatru byśmy poszli, choć co to teraz grają... Lepiej w domu siedzieć...”

Matka Marijki poparła go:

„Spokojniej. A teraz pomodlimy się, a jutro da Bóg dzień, da i pożywienie...”

W sine okno zaszeleściła listkiem topola, gdzieś daleko zawył pociąg, zawarczał automobil, a na dworze gwiezdna kurzawa nocy rzuciła ku mnie gorącą Marijkę... Powiedziała:

„Jeszcze ktoś zobaczy... Jakiś ty dziwny, wąsy jak złota szczecinka... Będziesz cichutko – położę się od twojej strony ... Tylko pamiętaj, cichutko. Do-

tknęła palcem ucha. „Cichuteńko... Ech ty!”

Na schodach łupnąłem w drzwi pięścią; otwarły się.

„Aj!” Zaskomliło żałośnie.

Tfu, diabli nadali! Trzymając się za łokieć, chlipał i pluł stary Żyd: poślizgnął się na łupinach i wpadł pod drzwi – w bujną falę uciechy. Marijka obejrzała się. Rogaty księżyc musnął pocałunkiem jej wspaniały warkocz, błysnął wstydliwie monetą w sznurze koralii...

„Cicho.”

Wcałowałem się w jej przejrzyste oczy, a ona objęła mnie za szyję i musnęła gorącymi, suchymi wargami... Ułożyliśmy się spać na podłodze w trójkąt: stara z prawej strony, córka z lewej, a ja... (to, drogi kolego, nieważne!). Moje nogi, mocne młode klony, ocierały się o białe brzozy, nogi Marijki, miękkie, gorące... Kopystoczka zgasił światło i chytrze, kpiąco zapytał Marijkę:

„A wy się pluskiew nie boicie? Ha, ha! W mieście, to wiecie, pluskwy...” odkaszlnął, odwrócił się, łóżko skrzywnęło, i uciął.

Zgrzytnąłem zębami: Pluskwy, gadzina, znalazł! Marijka milczała i pochrapywała: tak trzeba. Tylko piekielny koc wełną łaskotał, dyszał i ciągnął powoli za spódnice... Topola znów zajrzała w okno, za nią wyłonił się rozek księżycy i srebrną smuzką oświetlił matkę Marijki: spała. Mlaskała wargami jak dziecko, wole pod krągłym podbródkiem śmiesznie kołysało się na ramieniu, szara zapiekła ślina zastygła w kącikach ust, poszerzając je nienaturalnie... Wsunąłem się pod piekielny koc. Dziwne: srebrna smuzka przeskoczyła na moje twarde legowisko, zadrżała, zachichotała na kołnierzu marynarki i przystanęła. Suche wargi szeptały: Cicho, cicho. I jak na złość, jak to przed świtem we wsi, gdzieś głośno zapiał kogut. Ku-ku-ry-ku – zakrzyczał trzy razy. Wesoła noc... Koc zajął się natychmiast od spodu, zaiskrzył, a gdy spod cienkiej bluzki ukazały się twarde piersi i usta rozpały się w namiętym pocałunku, usłyszałem ostatnie, pokorne: Cicho... Już nie pamiętam czy to gałąź topoli zatrzeszczała, gdy zajrzał księżyc, czy moje palce... O, to była głucha chwila ludzkiego cierpienia, ale... Obydwa rożki księżycy przez gwiazdę i srebrne liście topoli zaglądały do środka, koc mienił się, płonął, drżące cienie rozbiegały się po kątach w jakimś obłędnym tańcu... Księżyc rechotał... Stara ocknęła się, uniosła na łokciu i zastygła zdumiona; ja błysnąłem ku niemu złym żółtym ognikiem oka, Marijka wstydliwie zakryła pierś i dumnie odrzuciła czarny błyszczący warkocz na poduszkę. Rogaty jeszcze raz wyszczerzył zęby do gwiazdy i jak ognisty ptak nocy pomknął w żółte chmury nieba...

Kolega skończył...

– Cierpienie, prawda? Nie, może to tylko księżycowy śmiech...

W milczeniu poczęstowałem go papierosem. Czubrijenko strzyknął śliną na zaoszczędzony niedopałek, a myśli dokończył, kiedy zatlił się nowy papieros:

– A może to była miłość... Nie wiem.





## Walerjan Pidmohylny (1901 – 1937)

„Gdyby któryś z czytelników moich literackich wspomnień zapytał mnie, kogo spośród ukraińskich pisarzy lat dwudziestych i trzydziestych uważam za najbardziej głębokiego pod względem intelektualnym i duchowym, czy też – mówiąc prościej – za najinteligentniejszego, nie zastanawiałbym się ani przez chwilę i odpowiedziałbym: Walerjana Pidmohylnego” – tak pisał w swoich wspomnieniach *Rozповід' pro nespokij* Jurij Smołyecz.

Walerjan Pidmohylny urodził się w 1901 r. we wsi Czaple koło Katerynosławia (dziś – Dniepropietrowsk). Po ukończeniu szkoły realnej w Katerynosławiu pracował jako nauczyciel (1919-1921) i studiował na Uniwersytecie Kijowskim. Od 1921 roku pracował jako redaktor w kooperacyjnym wydawnictwie „Ruch”, potem w wydawnictwie państwowym „Knyhospiłka”, a następnie od stycznia 1928 roku – w jednym z najważniejszych pism kulturalnych na radzieckiej Ukrainie – „Żyttia j rewolucija”. Pidmohylny był członkiem ugrupowania literackiego ŁANKA (później MARS), skupiającego pisarzy przeciwstawiających się politycznemu zaangażowaniu literatury.

Za życia autora ukazało się kilka zbiorów opowiadań: *Twory*, t.I (1919-20), *W epidemicznomu baraci* (Praga, 1922), *Wijśkowyj litun* (1924), *Problema chliba* (1927), opowieść *Ostap Szaptała* (1922) i powieść *Misto* (1928). Ostatni utwór Pidmohylnego – *Newełyczka drama* ukazał się na łamach pisma „Żyttia j rewolucija” (1930). Pisarz stosował techniki właściwe dla nowoczesnej prozy zachodnioeuropejskiej. Był tłumaczem francuskich prozaików – Denisa Diderota, Honore de Balzaca, Anatola France’a, Guy de Maupassanta. Został aresztowany w 1934 roku w domu pracy twórczej pod Charkowem, gdzie pracował właśnie nad utworem *Powist' bez nazwy*. Rozstrzelano go 3 listopada w 1937 roku w obozie sołowieckim.

Pidmohylny zadebiutował jako osiemnastolatek w 1919 roku na łamach katerynosławskiego pisma „Sicz”. Kolejne opowiadania, pisane w latach 1917-18, opublikował w niewielkim zbiorze *Twory*, t. I datowanym podwójnie – na 1919 i 1920 r. Niebawem na łamach pisma „Szlachy mystectwa” ukazał się także pierwszy obszerniejszy utwór Pidmohylnego – nowela *Ostap Szaptała* (1922). Młody autor drukował także w głośnych swego czasu almanachach *Wyr rewoluciji* (1921) i *Zowteń* (1922). Już pierwsze utwory zwróciły na niego uwagę krytyki; pisano o nim, iż „stoi na straży ludzkiego cierpienia”. W odróżnieniu od całego pokolenia pisarzy, hołdujących romantyce rewolucji, Pidmohylny ukazywał nie piękno idei ani też nie nowy typ człowieka, skłonnego wszystko

poświęcić w imię rewolucyjnej idei, lecz psychikę człowieka, który znalazł się w wirze dramatycznych wydarzeń wojny domowej. Ujmując rzecz aforystycznie, w centrum jego uwagi znalazły się nie „Rewolucja i człowiek”, a „Człowiek i rewolucja”. Część krytyków jednak widziała w pierwszych jego opowiadaniach echa dekadentyzmu (Serhij Jefremow), „burżuazyjnej kultury” (Mychajło Dołęgo), umyślne unikanie tematyki rewolucyjnej.

W zbiorach opowiadań z początku lat dwudziestych, zwłaszcza w utworach *Problema chliba*, *Sobaka*, *W epidemicznym baraci* pisarz podjął jeden z najtrudniejszych tematów współczesności – głód. Bohater, student filozofii, zmuszony jest do rozważań o przewadze barszczu nad studiowaniem Kanta, a kielbasy nad Nietzschem (*Sobaka*). Ironia i autoironia, pojawiająca się w tych utworach wydaje się nie tylko jedną z podstawowych cech pisarstwa Pidmohylnego, ale i życiową zasadą autora, umożliwiającą przetrwanie myślącej jednostki w warunkach skrajnych bądź nawet granicznych.

W utworach tych autor ukazuje człowieka w obliczu śmierci. Widzimy nie tylko życie, które potaniało, ale i spowszednienie śmierci. Życie przypomina wegetację, a śmierć jest uwolnieniem od bezsensu życia. Śmierć Boga, śmierć miłości, śmierć wszelkich wartości to w istocie apokaliptyczny obraz, który autor umiejscawia w czasach sobie współczesnych. Nic więc dziwnego, że partyjni krytycy traktowali Pidmohylnego jak wroga, i to najgroźniejszego, bo klasowego – burżuazyjnego.

Dla Ostapa Szaptały, tytułowego bohatera utworu, śmierć fabryki jest nie tylko logicznym, ale i szczęśliwym dopełnieniem jej życia, radością bezruchu. Fabryczne urządzenia są w tym obrazie personifikowane. Widząc zamkniętą fabrykę, w której niegdyś pracował, bohater odczuwa radość. Trudno nie zestawić tego utworu, napisanego w 1921 roku z wierszem *Ach, jak mertwo* Chwyłowego ze zbioru *Doswitni symfoniji* (1922), który powstał w tym samym czasie. Chwyłowy, który uległ urokowi cywilizacji technicznej, przedstawia zamkniętą fabrykę jak osobę zmarłą, a z ust lirycznego narratora wyrывa się okrzyk rozpacz. Pidmohylny natomiast wszechwładnemu rozumowi, którego uosobieniem jest cywilizacja techniczna, przeciwstawia ducha.

We wszystkich swoich utworach Pidmohylny, niezależnie od tego, czy pisze o rewolucji, czy o anarchii, czy też o głodzie, skupia uwagę na ludzkich instynktach, energii seksualnej i twórczej, symbolizowanej przez noc i przestrzeń (step). Pisarz przeciwstawia tajemnicę nocy jasności rozumu. W opowiadaniach i powieści *Misto* odnalezienie nie tyle harmonii, ile równowagi chwiejnej między tymi dwoma przeciwieństwami jest jeszcze możliwe. W *Nowełyckiej Dramie* – ostatnim ukończonym utworze – Pidmohylny nie odnajduje już tej możliwości. W powieści tej Pidmohylny bliższy jest egzystencjalizmowi, aniżeli Nietzschemu.

Historycy literatury tradycyjnie zwracają uwagę na problem miasta i wsi w prozie Pidmohylnego (m.in. *Ostap Szaptała*, *Misto*). W latach dwudziestych krytycy zarzucali Pidmohylnemu, że zbyt wielką rolę przypisuje bohaterom

chłopskiego pochodzenia, nie dostrzegając przodującej klasy robotniczej, z czego wysnuwali wniosek, że jest pisarzem politycznie niedojrzałym. Inni z kolei widzieli w bohaterach Pidmohylnego – młodych wieśniakach wyruszających na podbój miasta – rzeczników ukrajinizacji miast. Polityka przesłaniała filozoficzny wymiar tego przeciwstawienia, nie wspominając już o wartościach literackich. *Misto* jest powieścią psychologiczną w duchu freudyzmu, a wyrasta z nurtu prozy intelektualnej. Poprzednikami Pidmohylnego byli Wynnyczenko i Kociubynski; trudno też nie wspomnieć o wzorcach francuskich (przede wszystkim o Guy de Maupassancie). Uwadze krytyki uszedł także fakt, że Pidmohylny poruszał problem analogiczny do przedstawionego w sposób bezpośredni w *Waldsznepach* przez Mykołę Chwyłowego – przyszłości narodu (w chwili wydania *Mista* drugą część *Waldsznepów* zdążono już oddać na przeział). Na wątki paralelne z Chwyłowym zwrócono już uwagę wcześniej, tu warto dodać, że Pidmohylny prowadził z Chwyłowym twórczą dyskusję, pozostając w opozycji do jego koncepcji romantyki witaizmu.

Jak zauważył Jurij Szewelow, powieść *Misto* pod względem struktury i filozofii należy do tradycji Balzaka i Maupassanta, zaś *Newełyczka drama* wydaje się bardziej oryginalna; Pidmohylny występuje w niej jako prekursor powieści egzystencjalistycznej. Akcja *Newełyczkiej dramy* toczy się, podobnie jak w pierwszej powieści, w Kijowie. W odróżnieniu od poprzedniej powieści, w której autor ukazał panoramę miasta, tu umiejscowienie akcji w pokoju bohaterki przypomina raczej utwór dramatyczny. Pozornie tematem utworu są perypetie miłosne bohaterki, w głębszej warstwie jednak jest to powieść filozoficzna. Pidmohylny powraca w niej do przeciwstawienia *ratio* i *emotio*. Autor jest pełen sceptycyzmu wobec religii rozumu i postępu, wskazuje na ich ograniczenia. To powieść intelektualna i ironiczna, wpisująca się w ówczesne tendencje – jak *Podoroż uczenoho doktora Leonarda i joho majbutnioji kochanky prekrasnoji Alcesty* (1930) Majka Johansena i *Doktor Serafikus* Wiktora Domontowycza.

Ogromną rolę, zarówno w rozwoju literatury ukraińskiej lat dwudziestych, jak i w pisarstwie samego Pidmohylnego odegrały jego tłumaczenia prozy francuskiej. Był on także współautorem (wraz z Jewhenem Płużnykiem) wydania charakterystycznego dla okresu ukrajinizacji – słownika *Frazeołohija diłowoji mowy*.

Ola Hnatiuk

## Stary Jakym

Pewnego razu, gdy pop po liturgii pojechał na pogrzeb, stary Jakym, stróż cerkiewny, musiał klucze od cerkwi zostawić u syna popa, studenta Andrija. A ten akurat siedział w swoim pokoju i czytał *Kapitał* Marksa.

Stary oddał klucze i przysiadł na krześle, by nieco odpocząć, a następnie zagadnął:

– A co to za książka? Grubaśna taka... nie inaczej jak Biblia.

– Biblia, dziadku, nowa Biblia – niedbale odpowiedział Andrij, wieszając klucze na gwoździu.

– Toć to widać, że nowa, okładka, popatrz no czyściutka, – gawędził stary. – A ot w gminie Semen Łewadny i inni powiadają, że niby wszyscy studenci to bezbożnicy i niewierzący, a może i ci, jak im tam... socjaliści, czy co... Widać kłamią... Wygląda, że to nie tak... Siedzisz tu sobie Andrijku, świętą księgę czytasz... A ci łgają, w głowie mącą. Co też wymyślili – socjaliści, lepiej nie mówić! Jutro przy wszystkich im to wytknę... A już ci... Ano, synku, daj choć popatrzeć...

Stary wysmarkał się, wytarł ręce o spodnie i ostrożnie wziął książkę.

– Oto gdzie ono, słowo święte zapisano... Biadaż to nam niepiśmiennym, – nie przeczytasz... Ot, jak książka gruba i ładna... ile to w niej tego słowa Bożego jest... A oni mówią socjaliści... Wybacz, Panie Boże i zmiłuj się nade mną w łaskawości twojej...

Stary wstał, przeżegnał się i głośno cmoknął Marksa, następnie obtarł usta, jeszcze raz się przeżegnał i zamruczał modlitwę.

Tłum. Larysa Szost

## Historia Pani Eugenii

W 1905 roku, kiedy to chłopci zabili w majątku jej męża, pani Eugenia Narczewska przeniósł się do miasta.

Śmierć męża nie tyle ją przeraziła, ile zdziwiła. Wieś, a zwłaszcza chłopci, stali się dla niej czymś niezrozumiałym. Pani Eugenia przeżyła na wsi trzydzieści lat i przez cały czas chłopci byli dla niej wcieleniem łagodności. Przynajmniej tak ich widziała, gdy przychodzili z jakąś prośbą. I nagle ta dzikość, pożary, ruina i nagła śmierć męża.

Pani Eugenia opuściła majątek i osiadła w mieście. Wynajęła niewielki pokój przy cichej uliczce, nigdzie nie wyjeżdżała, nikogo nie przyjmowała. Wieczorem wychodziła czasami na samotne spacer, w dzień czytała książki. Obiady przynoszono jej z jadłodajni.

W majątku pozostał syn Andrij. Był podobny do ojca – tak samo uparty i pewny siebie. Jego wieś nie zdziwiła. Zjechał nazajutrz po śmierci ojca i już nie opuszczał majątku. Zaczął siać buraki – postawił cukrownię, zajął się hodowlą świń, urządził mleczarnię... Intensywna gospodarka, mówił.

Matce wysyłał pieniądze, czasem sam przyjeżdżał.

– O, maman, widzę że socjalistyczny księgozbiór mamy się powiększa – mówił, przeglądając książki na stole.

– Masz rację, André – odpowiadała z westchnieniem pani Eugenia.

Odjeżdżając Andrij całował rękę matki i mówił:

– Mam nadzieję, że maman wreszcie opuści swoją celę i przeniesie się do mnie. Pokój czeka.

Chłopi z majątku, którzy przywozili jej masło i jarzyny, również prosili ją, by wróciła.

– Niech pani przyjedzie – mówili – może będzie lżej. Andrij Stepanowycz bardzo nam cugli przykrócił. Jak tak patrzeć, to niby nic i zarobić można, ale wszystko, proszę wybaczyć, jakoś nie po Bożemu...

Dla pani Eugenii było to ogromnie bolesne. Pewnego razu zebrała się na odwagę i powiedziała do syna:

– André, dochodzą do mnie słuchy, że wyzyskujesz chłopów... Wstyd mi za ciebie. Taki jesteś oświecony, mądry...

Pan Andrij ze zdziwieniem uniósł brwi:

– Maman, oto skutki samotności!

Ale pani Eugenia postanowiła powiedzieć wszystko. Wstała, rzuciła z ramion turecki szal, z którym się nigdy nie rozstawała i zaczęła uroczystym tonem:

– André, powinieneś zrozumieć, że tak nie może być. Nie będę powoływać się na zasady naukowe. Ale nie czujesz, że nadciąga katastrofa? Wszystko pójdzie wniwecz. Czy śmierć ojca niczego cię nie nauczyła? Nie ma w tobie – daruj, że to mówię – poczucia sprawiedliwości? Posłuchaj mnie, oddaj ziemię chłopom, a sam weź się do uczciwej pracy. Nie rób z siebie wyzyskiwacza.

Pani Eugenia była bardzo zdenerwowana. Chyba więcej niż rok zbierała się, by wygarnąć wszystko synowi. Wiele razy układała sobie w głowie to przemówienie. Andrij spokojnie jej wysłuchał, odczekał chwilę, czy nie nastąpi jeszcze jakiś dalszy ciąg, a potem powiedział:

– Maman, powinna mama poważnie zatroszczyć się o swoje nerwy. Koniecznie trzeba zmienić tryb życia. Szczerze radzę wyjechać na jakiś czas za granicę albo przynajmniej na Krym.

Ucałował rękę matki i wyszedł. Pani Eugenia z westchnieniem szepnęła:

– André, ty mnie nie rozumiesz...

Wybuchła wojna. Dziewięć lat, które pani Eugenia przeżyła w swym samotnym pokoiku, sprawiło, że twarz jej pobladła, a oczy zrobiły się dziwnie błyszczące, jakby zażywała kokainę. Długie, szczupłe i kościste palce rąk przyciskały do piersi turecki szal. Sąsiedzi nie lubili jej szczerze za jej małowówność i „uroczysty” wygląd. Nikt jej nie rozumiał.

Pan Andrij jeździł automobilem i był prezesem miejscowego oddziału związku miast. Raz na dwa tygodnie składał matce wizytę i przywoził owoce i cukierki.

Gdy zaczęła się wojna, powiedział:

– Może by mamam chciała coś robić w jednym z moich szpitali? Takie zajęcia należy dziś do bon tonu. Ja byłbym rad, a i mama znalazłaby ujście dla swego współczucia wobec cierpiących.

Pani Eugenia pokręciła przecząco głową:

– Och, André, nie wplątuj mnie w sprawy wojskowe. Spodziewam się katastrofy.

Gdy kryzys przyszedł, pani Eugenia zaczęła już pokasływać. Jej oczy płonęły jeszcze mocniej i coraz szczelniej otulała się swoim szalem. Wąte siły nie pozwalały jej dzielić radości ludu na mityngach, ale gdy pod oknem przypadkowo przechodziła manifestacja, jej wargi zaciskały się, a białe dłonie napinały. W głębi duszy szeptała:

– Błogosławię cię, ludu!

Syn długo się nie pojawiał, a ona czekała na niego z rosnącą niecierpliwością. Wreszcie przyjechał. Pani Eugenia tłumiąc radość spytała:

– Widzisz, André?

– Widzę, że mamam źle wygląda. Może trzeba poradzić się lekarza?

– André – odparła sucho pani Eugenia – któż by zwracał uwagę na chorobę w takiej podniosłej chwili? Myślę o czymś innym. André, jeszcze jest czas, jeszcze możesz odpokutować za swoje błędy. Oddaj majątek chłopom, a sam wstąp do socjalnych demokratów. Masz na to moje błogosławieństwo.

Pan Andrij skłonił się.

– Bardzo miło, że mamam troszczy się o mnie! Ale, proszę wybaczyć, nie uważam, żeby moje życie było niewłaściwe. Nie mam zamiaru pokutować, a do socjalnej demokracji wstępować mi nie wypada. Ja, mamam, chcę walczyć.

– Walczycy! – wykrzyknęła pani Eugenia. – Przeciwno ludowi? To żywio! Wspomnij ojca, André.

Pan Andrij zaśmiał się.

– Żywio! Wiatr to także żywioł, a jednak wiatrak uruchamia. Poza tym z jakiej racji miałbym tracić majątek, nawet jeśli lud ma do niego jakieś prawa? Prawo, mamam, to za mało, by coś zdobyć. Wszystko trzeba wywalczyć.

Po tej wizycie Andrij znikł. Przyszli bolszewicy.

W życiu pani Eugenii wiele się w tym czasie zdarzyło.

Kiedy w mieście zapanowała bolszewia, sąsiedzi donieśli na panią Eugenię do Czeka – chcieli, żeby u starej burżujki zrobiono rewizję. Ale skrupulatne

przeszukanie nie spełniło ich oczekiwań. Nie znaleziono niczego zakazanego, a jej burżujski księgozbiór stał się podstawą seminarium badań nad stosunkami pracy i kapitału przy radzie narodowej.

Mimo to komitet domowy zajął pokój pani Eugenii. Drzwi zapieczętowano. Pani Eugenia znalazła się na ulicy. Wszyscy byli zadowoleni, bo jednak stara burżujka dostała za swoje.

Pani Eugenia przyjęła to ze spokojem. Bezdomna, ruszyła ulicą myśląc:

– Powinna odpokutować przed ludem za nasze grzechy, moje i mego syna. Nawet jeśli umrę z głodu, będzie w tym jakiś sens.

Była w pełni przygotowana na to, że umrze z głodu, ale na mieście spotkała swoją byłą pokojówkę, Nastię.

– Co za dranie – oburzyła się Nastia, gdy pani Eugenia opowiedziała jej, co ją spotkało. – Zbójcy, w Boga nie wierzą! Niech pani przeniesie się do mnie – jakoś wyżyjemy...

Nastia była kobietą wyrachowaną, w bolszewików nie wierzyła i od razu pojęła, że pan Andrij dobrze jej zapłaci za swoją matkę. Ale pani Eugenia pokręciła głową:

– Co będę robić, Nastiu, jak u ciebie zostanę? Teraz, gdy dokoła buduje się nowe życie? Nie mogę siedzieć z założonymi rękami.

Nastia zamyśliła się. Trudno było znaleźć odpowiednią dla pani pracę.

– Jak by pani nie było za ciężko – powiedziała w końcu – mogłaby pani nauczyć mego Seriożę pisać i czytać.

Ten pomysł przypadł pani Eugenii do serca.

Wychowywać syna ludu! Przekazać mu całą wiedzę i doświadczenie, które nabyła przez swoje długie życie, przekazać wzniosłe idee i dzięki temu choć trochę odpokutować grzechy swojego rodu.

Pani Eugenia zgodziła się.

Nastia umieściła ją w „dużym pokoju” – tak nazywała wilgotną i ciemną klitkę obok kuchni, w której sama sypiała. Pani Eugenia nie miała nawet pościeli i spała na ławie zasłanej płachtą, nakryta swoim tureckim szalem. Nie wychodziła z domu, bo już nastały mrozy, a ją męczył kaszel.

– Bardzo jestem wdzięczna, Nastiu – powiedziała – za to, że mnie przytuliłaś i powierzyłaś wychowanie syna. Nie zawiodę twego zaufania.

– Szczęść Boże – odparła Nastia. – Słyszysz, Seriożo!

Trzynastoletni Serioża, syn ludu, był rozpuszczonym włóczykijem. Nie uświadczyłeś go w domu, czasem tylko przybiegał złapać kawałek chleba. Pojawienie się pani Eugenii wniosło dysonans w jego życie: od dziś miał siedzieć w domu i uczyć się. Tak powiedziała matka i chcąc podkreślić, że to nie przelewki spuściła mu solidne lanie pasem. Serioża w duchu nazywał panią Eugenię „flądram w chustce” i zienawidził ją całą mocą swej miłującej wolność duszy.

Po kilku dniach zdobyli książki i pani Eugenia z głębokim poczuciem obowiązku wzięła się do nauczania Serioży.



– Serż – powiedziała – powinieneś wiedzieć, że nowa era wymaga od wszystkich takich jak ty – reliktyw kapitalizmu – najwyższego rozwoju umysłu. Inaczej proletariatus nie zdoła zwyciężyć... Będziemy się więc uczyć.

Ale Serioża udawał jełopa, wywieszał język i warczał jak pies.

Pani Eugenia poczuła się zbity z tropu. Zdwoiła namowy. Wtedy Serioża spoważniał i zapytał, co znaczą wyrazy, których tak często używają rozeźleni woźnice.

Pani Eugenia w rozpaczy zacisnęła pięści i zawołała:

– Co za ciemnota i zepsucie!

Przerwała lekcję, siadła w kącie na ławie i zaczęła medytować nad sposobami wychowania takiego huncwota. Wiedziała, że to jej życiowy obowiązek i żałowała, że nie ma żadnego podręcznika pedagogiki.

Wieczorem wróciła Nastia (najmowała się do prania na dniówki) i wypytawszy o rezultaty pierwszej lekcji, znów spuściła synowi bezlitosne lanie. Serioża zniósł to w milczeniu, ale w duchu przeklął panią Eugenię i poprzysiągł zemstę.

Na drugi dzień, kiedy matka wyszła, zawiesił ostrożnie nad drzwiami do kuchni duży ceber z lodowatą wodą i przywiązał go sznurkiem, żeby chlusnęło jak tylko dotknie się klamki. Potem łagodnym głosem zawołał panią Eugenię. Kiedy tylko weszła, ceber wylał się jej na głowę. Serioża nie posiadał się z radości, a pani Eugenia przysiadła na swojej ławie, trzęsąc się, bo nie miała w co się przebrać. Ale i teraz w jej sercu nie było złości. Szeptwała:

– André, zrozum mnie! Odpowiadam za grzechy naszych przodków.

Kiedy wróciła Nastia, pani Eugenia leżała, płonąc z gorączki. Suchy kaszel rozrywał jej piersi. Rankiem jej dusza opuściła ciało.

*Tłum. Tatiana Hołyńska*

## Iwan Bosy

Ludzie widywali go często. Nagle pojawiał się w stepie na drodze, wyłaniając się zza kurhanu lub w jarze, wysoki, postawny, z gołą głową, w łachmanach, które okrywały jego żylaste ciało i pierś, porośniętą gęstym włosom, bosi, rudy, ze sterczącą brodą i kudłami, opadającymi na ramiona i plecy. W ręku ścisnął sękaty kostur.

Zatrzymywał sunące drogą wozy, bez słowa, samym władczyim ruchem łaski; ci, co go spotykali pierwszy raz, stawali oniemiałi ze zdziwienia, a kto go

już widział, schodził z wozu i zdejmował czapkę. On zbliżał się i patrząc ostro spod nawisłych rudych brwi unosił kij i mówił powolnym, uroczystym głosem:

– Ja, Iwan Bosy, wysłaniec nieba, mówię do was. Bóg z wysokości położył mi słowa na usta i zapalił ogniem moją duszę. Wyostrzył mój wzrok i dojrzałem wszystkie nieprawdy, całą nienawiść, złość i zaciętość, które rozlały się po ziemi jak dzikie morze. Widziałem dusze ludzi, w których nie było Boga, dusze obłudne i złe, w których rozsiadł się szatan jak na tronie... Widziałem obrabowane cerkwie, podarte szaty, zbezczeszczone kielichy, przeszyte kulami ikony. I nigdzie nie znalazłem słowa Bożego, nie napotkałem Jego świętego obrazu. I powiedział mi Bóg: Wielki grzech uczynili mi ludzie. Rzucili się jeden na drugiego jak wściekłe wilki, zapominając, że Ja każdemu dałem to, czego mu trzeba. Przyjęli i posadzili na honorowym miejscu dzieci Antychrysta, które podburzają ich do bezprawia, obiecując raj na ziemi. Uważają siebie za wyższych ode Mnie i zaślepieni budują nową wieżę Babel. O nierozumni! Ukarzę ich posuchą, jak niegdyś pokarałem potopem. Zamknę wszystkie wody i nawet kropla deszczu nie spadnie na ziemię. Wyschną studnie, rzeki i morza, zlegnie zboże po stepach i ludzie będą żarli się nawzajem dlatego, że każdy pożądał dla siebie najlepszego. Matki będą rozdierać swoje dzieci jak wilczyce, wszelkie bogactwa, na które ludzie się połakomili, na nic im się zdadzą i ten raj, przyobiecany przez dzieci Antychrysta, stanie się dla nich piekłem, przekleństwem i śmiercią. Tak powiedział mi Bóg... Ludzie, ludzie, rozejrzyjcie się wokół, zobaczcie leżące zboża, które błagają o rosę, łąki bez traw, usłyszcie jęk ziemi, której nie dano pić. Powiedzcie, czyż nie sprawdza się kara Boża? Zajrzyjcie w swoje nieczyste dusze. Czyż nie hula w nich piekło, przekleństwa i śmierć? Opamiętajcie się, ludzie, ujrzyjcie własne zbrodnie i pokajajcie się! Wygońcie szatana z serca swojego i dzieci Antychrysta spomiędzy siebie. Poświęćcie miecze i stańcie w obronie Boga. Utopcie swoje grzechy we krwi tych, którzy przywiedli was do zguby i złożcie wieczną ofiarę Bogu. Wtedy na wasze ziemie spadnie deszcz, a łaska Boża na serca...

Słuchano z pochylonymi głowami, nie ośmielając się podnieść oczu, by nie poraziło ich jego spojrzenie. Gdy skończył, ruszał powoli przed siebie, nie oglądając się, a ludzie patrzyli w ślad za nim, pełni wątpliwości i lęku.

A kiedy mówił o mieczach, które trzeba poświęcić, i o krwi, którą trzeba przynieść w ofierze, w jego oczach zapalał się dziki ogień, pięści zaciskały się, a kostur wznosił się wysoko. I ta krwawa mowa paliła słuchaczy do kości, zalewała im mózg obrazami zła i ohydy wojny domowej; oczyma duszy widzieli grzechy, które każdy popełnił, bo każdy coś sobie przywłaszczył i zszedł z obranej drogi. Strach ich ogarniał i zabierali ze sobą do domów prorocze spojrzenia i prorocze słowa.

Iwan Bosy zatrzymywał każdego, kogo spotykał w stepie: delegowanych na wieś pracowników partyjnych, radzieckich urzędników, wieśniaków, wieśniaczki, nawet dzieci – i wszystkim rzeźbił w duszy swoje słowa, napomnienia i groźby.

Słuchali go pokornie, bo przemawiał z zapałem i straszliwą pewnością siebie. Ci, którzy potem się z niego śmiali, w głębi duszy pamiętali jego roziskrzone oczy.

Nikt zresztą nie wiedział, gdzie mieszkał i jak żył. Nigdy nie zachodził do wsi, widziano go przeważnie na drogach, prowadzących do miasta. Zdarzało się, że tego samego dnia spotykano go w różnych miejscach, często odległych o dziesiątki wiorst. Zdawało się, że nie jest sam w stepie, że jest ich wielu, że są wszędzie jako znaki Bożego gniewu i przestrogi. Step i trakty niosły w sobie zagadkę. Wieśniacy wyjeżdżając w pole, lękali się spotkania z Bosym, bali się jego wzroku i napomnień, które coraz głębiej zapadały w ich dusze, gdyż deszczu wciąż nie było, zboże wypalało się na popiół, bydło chudło, a życie stawało się nie do wytrzymania z powodu ciągłych mobilizacji, rekwizycji i niezaspokojonych oczekiwań.

Starzy, baby i dzieci, których serca nie mogły objąć otaczającego ich zła, którym zdobycze rewolucji wydawały się przekleństwem, widzieli w nim prawdziwego proroka wieszczącego karę niebios i wzdychali ciężko. Przygnębienie i słabość zataczały coraz szersze kręgi, szeptano o powszechnym głodzie, śmierci i końcu świata. Wzywano gromu na dzieci Antychrysta, na komunistów, którzy prowadzili braci przeciw braciom. Takie rozmowy po domach były źródłem napięcia, niezadowolenia i najgorszych przewidywań.

Ci, co jechali w step, pragnęli spotkać Bosego, nasycić się jego słowami i nabrać odwagi. Nocami kobiety z chorymi dziećmi błąkały się po drogach, czekając na cud. Bo opowiadano, że niby w nocy Iwan nie chodzi sam, a jego towarzysz to anioł Boży, który przynosi mu rozkazy i strawę. Mówiono, że Iwana kule się nie mają, że komuniści wysyłali na niego wojsko, ale karabiny gięły się, a czerwonoarmiści padali na twarze.

Wokół jego imienia narastały legendy, a step, gdzie chodził, pokrywał się ognistymi śladami jego stóp i pękał, złakniony krwi.

Aż tu niespodzianie Iwan zaszedł do wsi. Miało się ku wieczorowi, słońce już zachodziło za sadami, kreśląc na niebie czerwoną smugę, jak krwawą ranę. W cichym powietrzu rozlewała się mglista radość odpoczynku.

Iwan kroczył ulicą, miarowo stukał kijem, wzbijając kurz. Nie zwracał na nic uwagi, jakby nikogo nie widział.

Od razu go zauważono i w opłotkach zaroilo się. Wieść o jego pojawieniu się rozchodziła się lotem błyskawicy. Z bocznych uliczek wypadła zaciekawiona dziatwa, szli starcy i na pół rozebrane do snu baby, mężczyźni i kobiety. Niebawem za prorokiem sunął wielki tłum, ludzi przybywało, jakby fala zalewała wieś. Domy pustoszały, po podwórkach wyły przestraszone psy.

Iwan spokojnie zmierzał w stronę cerkwi. Z wolna wkroczył na ogrodzony dziedziniec, który od razu wypełnił się ludźmi, wszedł na stopnie i zatrzymał się przed zamkniętymi drzwiami.

Wszyscy zastygli w oczekiwaniu; tłum zamarł nieruchomo, tylko gdzieś z dalszych szeregów dochodził głuchy pomruk. Nadbiegł wystraszony pop

i natychmiast ugrzązł w ludzkim mrowiu. Do schodów przeciskał się zadyszany przewodniczący rady wiejskiej z dwoma milicjantami, lecz i oni w końcu bezradnie utknęli w tłumie. Wszyscy z uwagą patrzyli na Bosego, którego postać niewyraźna o zmierzchu, ogromniała w rozpalonej wyobraźni zebranych. Stał chwilę z podniesioną głową, majestatycznym ruchem wznosząc ręce do nieba. Potem w spowitej mrokiem ciszy, rozległy się jego słowa:

– Boże wszechmocny, Boże wielki, Boże zbawienia! Ty, któryś mnie posłał, odemknij przede mną drzwi świątyni swojej.

Postąpił krok na przód; pod dotknięciem jego palców spadła żelazna kłódka i podwoje cerkwi rozwarły się na oścież. Wielogłosy okrzyk, jak jęk nagłego bólu, przeleciał przez tłum i potoczył się przez wieś... Ludzie runęli do cerkwi, zalali ją, przewracając świeczki i chorągwie, tratując się nawzajem, z płaczem, jękiem, błaganem. I nagle znów wszystko ucichło w ciężkim, jakby przedśmiertelnym napięciu.

Iwan przeszedł przez carskie wrota ku ołtarzowi i wyjął z szafy święty kielich. Nalał weń wina, postawił go na ołtarzu i padł przed nim na kolana. Cały nieprzytomny tłum upadł na twarz, dusząc się, rwąc na sobie odzież, ledwie powstrzymując okrzyki bólu i zachwytu. I znów na chwilę zapanowała cisza, wysrebrzona księżycem, którego promienie sypały się przez zakratowane okna.

W zgęstniałym, ciężkim od wilgoci starych murów powietrzu, zabrzmiały słowa Iwana, wbijające się w serca obecnych jak ostre noże.

– Boże wszechmocny, Boże wielki, Boże zbawienia! Ty, Wszechmocny, któryś krwią zapisał swoje przykazania, przemień to wino w swoją czystą krew, obmyj i oczyść jeszcze raz nas grzesznych, którzy padamy do nóg Twoich z błaganem! Boże, zmiłuj się nad nami!

Umilkł i wyciągnął nad kielichem swoje długie ręce, błogosławiąc. Tłum leżał pod carskimi wrotami, drżąc z przerażenia, czując, że Bóg pochyła się nad kielichem i dokonuje cudu.

Iwan wstał z kolan i wyszedł z kielichem przed ikonostas. Wszyscy jeszcze niżej przypadli ku ziemi, gotowi przyjąć straszną komunie.

– Grzesznicy! – zawołał – Grzeszyliście! Hańba wam! Połakomiliście się na cudze dobro, grabiliście jak złodzieje, zapominając o Boskich przykazaniach! Ciężka, nieskończona kara was spotka, diabelskie sługi. Zniknie woda, zdziczeją stopy, a wy żreć będziecie ziemię, przeklinając siebie i swoje dzieci! Zanim będzie za późno, nakłońcie się ku Bogu, powstańcie przeciw synom diabła, przepędźcie piekielne cienie spomiędzy siebie! Utopcie swoje zbrodnie w krwi nieczystej i obmyjcie nią swoje stopy. Krwią Pańską błogosławię was na krew!

Przeżegnał kielichem roztapiający się w półmroku tłum, a potem nalał sobie wina na dłoń i prysnął nim przed siebie. I nagle jakby wściekły wiatr powstał spod ziemi! Wkoło rozległ się łomot i trzask, a tłum z rykiem, płaczem i jękiem rzucił się ku prorokowi. Ten szybko zamknął carskie wrota i wyszedł z cerkwi małymi drzwiami za ołtarzem.

Wokół niego znów kołysało się mrowie. Ludzie padali przed nim na kolana, chwyтали go za ręce, całowali i rwali łachmany, które okrywały jego ciało. On w milczeniu sunął naprzód, obojętnie przestępując przez leżących na drodze. Łachmaniasta sukmana sięgała mu ledwie do pasa, resztki koszuli powiewały na piersi. A on kroczył wpatrzony w ciemną dal, jakby widząc tam święte tajemnice, tylko dla niego osiągalne i zrozumiałe.

Tak doszli na skraj wsi i Bosy zatrzymał się. Podniósł kostur i wszyscy ucichli jak pod hetmańską buławą.

– Wracajcie do domów – przemówił. – I pamiętajcie: Krew Pańska woła o pomstę!

Potem rozplynął się w księżycowej poświacie, a tłum wolno wrócił do wsi, nad którą niosło się tęskne wycie samotnych psów.

W okolicy zrobiło się niespokojnie. Pojawili się nie znani atamani, a młodzi, wydobywszy ukrytą broń, zbierali się w watahy i chowali po jarach. W nocy rozkręcano szyny i grabiono wykołejone pociągi. Miasto znalazło się jak w zaczarowanym kręgu, którego w obawie o swoją głowę nie mógł przestąpić komunista czy urzędnik radziecki. Życie przyczało się, jak gdyby nad ziemią zawisła chmura.

I tak trwało, póki zbuntowanego okręgu nie załąły oddziały wojska, które przetoczyły się, dławiąc każdą oznakę powstania.

Istniały jakieś nie ujawnione związki między buntem a człowiekiem, który nazywał siebie Iwanem Bosym. Iwan odegrał w tym wszystkim tajemniczą rolę. Mówiono, że odwiedzał watahy i błogosławił bandytów. Nagle, w środku nocy zjawiał się w obozowiskach powstańców, budził ich i przelewał swój zapal w ich serca. A gdy raz udało się go przyłapać, tak otumaniał czerwonoarmistów swoją mową, że nie tylko puścili go, lecz nawet część z nich przyłączyła się do powstańców.

Zmusiło to wreszcie komitet partii do odrębnego omówienia sprawy Iwana Bosego. Zapadła odpowiednia uchwała i komendantowi milicji polecono ją wykonać.

– To będzie interesujące – powiedział komendant – nigdy jeszcze nie walczyłem ze świętymi.

Na spotkanie nie trzeba było długo czekać. Komendant z milicjantem wracali konno ze wsi, w której prowadzili śledztwo w sprawie kradzieży. Milicjant pierwszy zobaczył Bosego i, wstrzymując konia, zakłopotany powiedział:

– Towarzyszu, tam idzie Bosy...

Komendant zobaczył wysokiego człowieka, który nie spiesząc się szedł ku nim. Był bez czapki i boso. Szef uśmiechnął się, złapał wiszący u boku rewolwer i zawrócił konia.

– Mam do niego interes – powiedział do milicjanta. – Patrz, jaki cudak! Wróble można by straszyć w ogrodzie! – Milicjant uśmiechnął się niepewnie.

Kilka kroków od Bosego komendant wstrzymał konia, dobył rewolweru i krzyknął:

– Ktoś ty?

Iwan też stanął, podniósł głowę i poraził jeźdźca płonącym spojrzeniem.

– Jestem Iwan Bosy, którego niebo posłało, by zdjąć ludziom bielmo z oczu. Wielki Bóg zahartował mą duszę i w usta włożył posłanie... – mówił jak każdemu, kogo spotykał; wzrokiem uparcie szukał oczu komendanta, którego nieprzyjemnie uderzyło wysuszone oblicze proroka i oburzyła pewność, dźwięcząca w jego słowach.

– Schowaj sobie swojego Boga do kieszeni! – zaśmiał się. – Pokaż dokumenty! Gdzie zaświadczenie?

Bosy zamilkł na chwilę, a potem podszedł do komendanta i nagle unióś w górę ręce.

– Bóg moim zaświadczeniem i moim schronieniem, imię Jego zapisane na mym czole.

Ich wzrok wreszcie się spotkał, zdumionemu komendantowi śmiech zamarł na ustach.

Pojął, że dojdzie tu do jakiejś dziwnej walki, zupełnie nie podobnej do tych, które staczał dotychczas. Ich spojrzenia skrzyżowały się jak szpady; w oczach widać było ogromne napięcie. Po chwili komendant poczuł, że wzrok mu się ćmi i ulatuje z niego dusza.

Zadrzał, jakby miał spaść z konia, objęła go pomroka, miał wrażenie, że tonie w jakiejś suchej fali, która wali się na jego głowę, jak rozpalony piasek. Zebrał się w sobie i z grymasem na twarzy wymierzył rewolwer w pierś proroka.

Iglica szczęknęła sucho, ale strzał nie padł.

Milicjant z krzykiem przerażenia pocwałował przed siebie, jego szef oblały potem wypuścił rewolwer i bezwiednie cofnął się w siodło.

Iwan Bosy powoli opuścił ręce i zwracając się do niego rzekł z niezmałym spokojem:

– Przekleństwo niech spadnie na ciebie, któryś się odważył podnieść rękę na sługę Pańskiego. Niech cię porazi grom z jasnego nieba, a ziemia niech wypłuje twoje kości!

Ruszył przed siebie, dziurawiąc drogę kosturem. Komendant ze wstrętem poprawił się w siodle, jakby chciał strząsnąć z siebie coś obrzydliwego. Był wzburzony do szpiku kości, drzał tak, że nie mógł oprzytomnieć i zebrać myśli.

– Coś takiego – wyszeptał.

On, który rąbał szablą ludzi, brał udział w masowych rozstrzeliwaniach, zląkł się zwariowanego starca! Hańba!

Złość go zalała, szybko zeskoczył z konia i rzucił się za Bosym, zdejmując karabin z ramienia.

Przebiegłszy kilkadziesiąt kroków ukląkł na jedno kolano, przymierzył się i wystrzelił. Prorok zachwiał się i upadł.

Z trudem łapiąc oddech z radości i podniecenia komendant podbiegł bliżej. Bosy charczał, leżąc twarzą do ziemi, jego ciałem wstrząsały drgawki, wyglądał

jak przyszpilony do ziemi owad. Komendant strzelił mu jeszcze raz w głowę, lekceważąco odwrócił go butem na wznak i z lubością zaczął wpatrywać się w zakrwawioną twarz i skurczone członki.

To, co przed chwilą lśniło pełnym blaskiem, przypominało teraz kupę gnoju.

Tłum. *Tatiana Hołyńska*

## Mykoła Chwyłowy (1893 – 1933)

*Wyobraźcie sobie człowieka, ubóstwiającego czekoladę, człowieka, który w każdym momencie życia odczuwa jej wspaniały zapach, wiecznie zanurzonego w kole niezwykłych skojarzeń, wyobraźcie sobie tego człowieka na cudownej wieczornej drodze pokrytej śniegiem, tuż po zmierzchu, we wsi poszczekują do siebie psy, a zimowa cisza, jak gwiazda betlejemska stoi nad domami, wyobraźcie sobie tego człowieka w otoczeniu dzikiej hajdamaczyzny, wiodącej tego człowieka na rozstrzelanie...*

(z listu Mykoły Chwyłowego do Mykoły Zerowa)

Mykoła Chwyłowy (pseudonim literacki Mykoły Fitolowa) urodził się w 1893 r. we wsi Trostianec powiatu Ochtyrka (Sumszczyzna) w rodzinie nauczycieli. Uczęszczał do gimnazjum w Bohoduchowie, z którego został usunięty za udział w nielegalnej organizacji socjalistów-rewolucjonistów. Po relegowaniu z gimnazjum próbował prowadzić agitację wśród chłopów, a gdy próba się nie powiodła, postanowił pracować wśród robotników, pojechał więc do zagłębia Donbas. Pod wpływem lektury Gorkiego wędrował także po stepie z włóczęgami.

Podczas I wojny światowej, w 1916 roku, znalazł się w armii carskiej, po demobilizacji zaś włączył się w ruch powstańczy. Chwyłowego dwukrotnie skazywano na śmierć, zdołał jednak uniknąć wykonania wyroku. W 1919 roku walczył już w szeregach Armii Czerwonej z denikinowcami. Wtedy też wstąpił do partii komunistycznej.

Od 1921 roku Chwyłowy zamieszkał w Charkowie; pracował jako ślusarz. Był to okres zachwytu hasłami twórczości masowej, propagowanej przez PROLETKULT. Wraz z Wołodymyrem Sosiurą i Majkiem Johansenem wydaje almanachy *Sztabel*, *Na społoch*, pismo „Szlachy mystectwa”, a pod koniec 1921 r. almanach *Żowteń*. W programowym wystąpieniu (*Uniwersał do robotników i ukraińskich artystów proletariackich*) pisarze deklarowali przynależność do kultury proletariackiej i odcinali się od futurystów i neoklasyków. „Ogłaszamy erę twórczej poezji proletariatu prawdziwej przyszłości”, pisali. Od 1923 r. Chwyłowy był członkiem HARTU – organizacji pisarzy o zdecydowanie lewicowych poglądach; w 1925 roku w jej ramach pisarz utworzył grupę URBINO, która w odróżnieniu od znacznej części członków HARTU, propagujących twórczość masową, swe główne zadanie upatrywała w doskonaleniu artystycznego



poziomu twórczości swoich członków. Po rozpadzie HARTU w 1925 roku Chwyłowy na bazie URBINO założył WAPLITE – ugrupowanie literackie o prozachodniej orientacji. Był nie tylko jego głównym organizatorem, ale i duszą całego przedsięwzięcia. W tym okresie Chwyłowy stał się centralną postacią życia literackiego ze względu na rolę, jaką odgrywał w dyskusji literackiej lat 1925-28. Oficjalna krytyka oskarżała go o odstępstwa od linii partii, uznając za „odszczepieńca”. Ataki na Chwyłowego nasiliły się po liście Stalina do Łazarza Kaganowicza, w którym zawarta była wskazówka, by walczyć ze skrajnościami Chwyłowego w szeregach komunistów”. Wtedy też pojawił się termin „chwyłowizm”, który w późniejszym okresie nierzadko utożsamiano z faszyzmem. Kierownictwo WAPLITE, próbując ratować innych członków przed oskarżeniami, złożyło samokrytykę (1.12.1926), co niewiele jednak pomogło – wkrótce ugrupowanie na polecenie władz zostało rozwiązane (1927). Ataki na Chwyłowego jednak nie ustawały. Jako członek partii zmuszony był poddać się poniżającej procedurze i uznać za uzasadnione wystąpienie Andrija Chwyli, partyjnego funkcjonariusza, autora artykułu o charakterze donosu – *Wid uchyłu w prirwu* (1928), w którym pisarz został uznany za zdrajcę. Od tej pory wszelkie próby samoobrony, które podejmował Chwyłowy, skazane były na niepowodzenie, pisarz jednak walczył zawzięcie – o siebie i swych przyjaciół. Widział narastający terror i masowy sztuczny głód; nie miał wątpliwości co do motywów, jakimi kierowali się jego organizatorzy. Samobójcza śmierć Chwyłowego 13 maja 1933 roku była ostatnią próbą obrony podstawowej wartości – prawa do godnego życia.

Chwyłowy zadebiutował w 1921 r. poematem *W elektrycznyj wik* oraz tomikiem poetyckim *Mołodist'*; rok później opublikował *Doswitni symfoniji*. Prawie jednocześnie, bo w 1922 roku zaczynają się ukazywać utwory prozatorskie – „etiudy”, jak je nazywał sam autor, m.in.: *Kit u czobotiach*, *Synij tystopad*, *Sołonskyj jar*, swoiste hymny na cześć „mrówek rewolucji”. W utworach tych widoczne są charakterystyczne dla stylu Chwyłowego cechy – romantyzm i patos. Już wtedy na stronicach utworów walczą ze sobą dwa typy osobowości – romantyczny i trzeźwo myślący. Romantycy, pełni zachwyty dla tej nowej rzeczywistości, „zakochani w komunie” najczęściej jawią się jako porte-parole autora. Po przeciwnej stronie znajdują się bohaterowie uosabiający drugą stronę osobowości autora – trzeźwego praktyka. Jeden z nich stawia charakterystyczne pytanie czekisty: „Powiedźcie mi, gdzie się kończy wasza (romantyków) głupota, a zaczyna kontrrewolucjonizm?” Autor doprowadza do zderzenia romantyki rewolucji i codzienności nierzadko w jednej postaci, która odnajduje się w rewolucyjnej przeszłości, w teraźniejszości zaś żyć nie potrafi, nie akceptuje bowiem zderzenia ideału z rzeczywistością.

W 1923 r. ukazał się pierwszy tom nowel Chwyłowego, *Syni etiudy*, który od razu stał się wydarzeniem literackim niezwykłej wagi. Recenzje pojawiły się we wszystkich prawie ukraińskich periodykach. Serhij Jefremow, znany ze swych tradycjonalistycznych poglądów na literaturę, uznał Chwyłowego za

najbardziej utalentowanego pisarza młodego pokolenia i jako pierwszy scharakteryzował jego twórczość. *Syni etiudy* były utrzymane w neoromantycznej stylistyce, podobnie jak następny tom – *Osiń* (1924). Opowiadania o zacięciu satyrycznym pozostawały w tych zbiorach niejako w tle, choć zostały zauważone przez krytyków; niektórzy nawet, w szczególności Jefremow, podkreślali ich gogolowski klimat. Maniera satyryczna natomiast zaczęła przeważać w późniejszych utworach, które weszły do tomu *Twory*, wydanego w 1927 roku oraz w nie ukończonej powieści *Waldsznepy* (jej pierwsza część ukazała się w tymże 1927 roku w piątym numerze pisma „Waplite”, numer szósty z drugą częścią powieści został skonfiskowany i zniszczony).

Maksym Rylski pisząc w 1924 roku o twórczości Chwyłowego, zwrócił uwagę na jedną z najistotniejszych cech jego pisarstwa – łączenie przeciwieństw, ukazywanie dwu prawd, co zdaniem krytyka zbliżało jego nowele do prozy Dostojewskiego. Chwyłowy w swych utworach podejmuje najważniejsze problemy moralne, stawiając je w kontekście rewolucyjnej epoki, równocześnie jednak ukazując ich uniwersalny wymiar. Stąd tak wielu bohaterów Chwyłowego nosi imiona znanych postaci literackich, w szczególności z Dostojewskiego (Aglaja, Dymitr Karamazow w *Waldsznepach*). Zabieg ten umożliwiał pisarzowi ujęcie swoich bohaterów niejako w cudzysłów, odesłanie do kontekstu innego utworu i przez to łatwiejsze odczytanie znaczeń własnego tekstu. Podobnie dzieje się w przypadku, gdy Chwyłowy pragnie wskazać na mistyczny wymiar utworu – wówczas wśród bohaterów pojawia się Maria (*Ja. Romantyczność*) i jako symbol religijny, uosobienie miłości i cierpienia, i jako element tradycji literackiej (od Szewczenki do Tyczynej).

Równoległe Chwyłowy występuje jako publicysta i staje się czołową postacią dyskusji literackiej lat 1925-27. Jeden po drugim ukazują się cykle pamfletów *Kamo hriadeszy* (1925) i *Dumky proty tecziji* (1926). Wywołały one burzliwą reakcję wśród krytyków związanych z władzą, co spowodowało, że Chwyłowy jeszcze ostrzej formułuje swoje sądy (*Apołohety pysaryzmu* oraz *Ukrajina czy Małorosija*), wyznając zasadę *similia similibus curantur*. Hasła, rzucone przez Chwyłowego (*Europa czy Proswita?, Z dala od Moskwy! Wszystkie okna na Europę!*), zwłaszcza jeśli chodzi o wybór orientacji literackiej nie były nowe. W istocie powtarza on idee, wygłaszane piętnaście lat wcześniej w „Ukraińskiej Chacie”, czy też – jeszcze wcześniej – przez Kociubynskiego i Łesię Ukrainkę. Jednakże kontekst polityczny był inny, inny był także ładunek emocjonalny; nieprzypadkowo partyjni krytycy nazywali pamflety Chwyłowego dywersanckimi bombami.

To dzięki pamfletom Chwyłowy stał się duchowym przywódcą pisarzy, którzy pragnęli europeizacji i autonomizacji kultury ukraińskiej. To z ust Chwyłowego po raz pierwszy padło określenie, z którym utożsamiała się znaczna część twórców kultury: „Na pytanie, jaki kierunek powinien charakteryzować nasz okres epoki przejściowej – odpowiadamy: romantyka witaizmu. Dziś nasz

okres wszelkimi siłami walczy z likwidatorskimi nastrojami wobec sztuki. Dziś naszym hasłem jest vita!”

Teza o śmierci sztuki w Europie nie była nowa, niezupełnie nowe było także oczekiwanie, iż odrodzenie ducha przyjdzie ze wschodu – *ex oriente lux*, bo tak należy rozumieć „renesans azjatycki” Chwyłowego. Novum w tej koncepcji odrodzenia sztuki były elementy mesjanizmu; rolę zbawiciela całej współczesnej kultury przypisywał Chwyłowy Ukrainie, podobnie jak czynił to przed stu laty autor *Knyh bytija ukrajinskocho narodu*, romantyk Mykoła Kostomarov. Koncepcja Chwyłowego była w swej istocie romantyczna; trzeźwy analytyk rzeczywistości zniknął w utopijnej wizji całkowicie.

Dmytro Doncow, eseista literacki i jeden z teoretyków ukraińskiego nacjonalizmu, widział w pisarstwie Chwyłowego romantyzm tragicznego optymisty, co nasuwa skojarzenia z obiegową charakterystyką twórczości Jewhena Małaniuka, czołowego poety emigracyjnego związanego z obozem nacjonalistów. Warto przy tej okazji wspomnieć, że Małaniuk, pisząc o Chwyłowym w piętnastą rocznicę śmierci, zdystansował się wobec emigracyjnych prób jednoznacznej kwalifikacji bądź jako nacjonalisty, bądź komunisty: „Członek partii? – Tak. Komunard? – Tak. Ale jednocześnie i z drugiej strony: „podstępny wróg wewnętrzny”? – Tak. Burżuazyjny nacjonalista (nawet „faszysta”) – tak. W końcu także – [...] ukraiński mesjanista? – tak”<sup>1</sup>.

Trudno jednak nie wspomnieć o elementach wiążących Chwyłowego z nacjonalizmem: mesjanistycznej wizji oraz Nietzscheańskiej koncepcji silnego człowieka, którą Chwyłowy propaguje w pamfletach (hasło „za odważnych ludzi o silnej woli”), w utworach literackich, by wspomnieć Agłaję z *Waldsznepów* czy zapisek bohaterki *Sanatorijnej zony* („Widzę już przed sobą nowych nieznanych ludzi – silnych jak leopold, przejrzystych jak Czeka i wolnych jak wola”), jak też w prywatnej korespondencji („Faust jest nieśmiertelny, póki żyją silni i wielcy ludzie”<sup>2</sup>).

Trudno też nie napisać o wręcz fanatycznej wierze w komunizm. Utopijna wizja przyszłości – „osnuta mgłą Komuna za górami” – jest jednym z podstawowych symboli w twórczości Chwyłowego. W jej imię bohaterowie zyskują przyzwolenie na czynienie zła.

Ostatnie słowa z przedśmiertnej notatki Chwyłowego to: „Niech żyje komunizm. Niech żyje budownictwo socjalizmu. Niech żyje partia komunistyczna”... Jak te słowa rozumieć? Czy są one przejawem skrajnego fanatyzmu? Próba ratowania bliskich w obliczu groźby aresztowania? A może ani jednym, ani drugim? We wczesniej noweli *Sentymentalna istorija* pojawia się rzymski okrzyk gladiatorów, umierających dla rozrywki cezara: „Morituri te salutant!

Także poetyka twórczości Chwyłowego opiera się na zderzeniu przeciwieństw: ciemności i światłości, życia i śmierci, miłości i nienawiści, wiary

<sup>1</sup> Małaniuk J., *Knyha spostereżeń*, Kyjiw 1997 s. 307.

<sup>2</sup> Chwyłowyj M., *Twory u dwoch tomach*, Kyjiw 1991; t. 2, s. 860.

i z wątpienia. Wszystko to kategorie religijne, a niewątpliwie Chwyłowy pisarzem religijnym nie był. Czy był tylko uważnym obserwatorem otaczającej go rzeczywistości i w ten sposób – z pomocą binarnych kategorii – próbował ją oddać? Czy też był niedocenionym myślicielem? Jak wobec tego wyjaśnić chaos, który zdominował jego publicystykę? Wydaje się, że jednoznaczna odpowiedź na to pytanie nie jest możliwa. Swego rodzaju podpowiedzią, jedną z prób odczytania przesłania Chwyłowego jest esej *Literatura sytuacji granicznych*, w którym jego autor, emigracyjny historyk literatury, Jurij Ławrinenko, przedstawiając cztery różne postawy wybitnych literatów wobec rzeczywistości terroru początku lat trzydziestych, na pierwszym miejscu ukazuje Mykołę Chwyłowego, tytułując jego postawę „śmiercią śmierć pokonał” (*Smertiu smert’ popraw*, cytaty z wielkanocnej pieśni liturgicznej).

Mistrz małej formy, Mykoła Chwyłowy po Kociubynskim i Stefanyku stworzył w literaturze własny styl, swoistą odmianę liryczno-romantycznej noweli impresjonistycznej. Dziesięcioletni okres aktywności literackiej Chwyłowego dorównuje całej epoce w literaturze. Okres ten nazwany został przez Ławrinenkę „Rozstrzelanym Odrodzeniem”, a Mykoła Chwyłowy był czołowym przedstawicielem tej epoki.

Ola Hnatiuk

## Droga i jaskółka

Przed sobą mam drogę.

Po prawej i po lewej ręce akwarele. W oddali las. Droga prowadzi do lasu, a może i w bok.

Oddala się ze spokojem i tchnie pustką

Chyba niedługo pożółkną liście i stary dąb zasmęci się aż do nieba. Był taki niegdyś koło naszego domu, w dzieciństwie.

Patrzę na tę drogę, która prowadzi mnie za dalekie miedze.

Idę za nią posłusznie.

...Była sobie kiedyś brzoza, z której zerwałem liść i włożyłem go do książki; książka miała ze sto lat albo i więcej, pożółkły nawet rządki liter. I w niej to został pożółkły liść brzozy... (Może już nie ma tej brzozy... A gdzież chowa się pamięć o autorze stuletniej książki z pożółkłymi kartkami?)

...Patrzę na tę drogę. Pusto mi na niej i zjawia się myśl o niebycie: kiedy wydłuży się droga, to znaczy, że coś gdzieś odchodzi.

...Później przypominają się śliwki.

Tędy właśnie kiedyś wieziono śliwki. Byłem mały i dopraszałem się śliwki u nieznajomej cioci.

Dała mi garść.

Ale to nie były śliwki. To było dzieciństwo.

...Na widnokręgu kłębią się chmury, skupiają się przed wieczorem.

Potopu nie będzie, najwyżej pokropi sobie zwykła rosa. Ożywi się wszystko, co tylko rośnie.

Może pamiętacie, że w czasie potopu fruwały gołębie?

Przeleciały pod oknem, zafurkotały i znikły za ogromnym gmaszyskiem.

I zagruchała gołąbka: – Droga? – A gołąb na to: – Droga !

Poleciały później na plac Wołodarskiego, by sięść pod ratuszem.

...Spoglądam znów na drogę.

Tam, dokąd ona prowadzi, maszeruje surowość, może srogość, a może nawet śmierć.

No to co? Niech sobie maszerują: tak być musi.

Cóż w rzeczy samej, a tą drogą?

Zapytał gołąb – Droga? – Odparła gołąbka: – Droga !

Daleką drogę ogarnął rozległy cień. Przewalały się rozczochrane chmury, aż zagasiły słońce.

A jak cień się przetoczył i skrył drogę – drogi nie było.

Opadłem na pobocze własnej mądrości i pomyślałem ze smętkiem.

– Droga?

Ale gołębie już nie odpowiadały.

Miasto tętniło, darły się silniki, przelatywały gmachy.

Mój sen daleki (niczym skrzydło łabędzie) rozplynał się nad miastem.

...Nasadziłem sobie czapkę i wyszedłem na ulicę.

## II

Było cicho i ciemno.

Wtem zerwał się wichur.

I zakręciło się,

załopotało

pomiędzy drzewami.

Zagrzmiało – to dała znać o sobie pachnąca nawałność letnia.

Uniosło ją i pomknęła ciemnym przestworzem.

...Później zaszumiał deszcz.

A ta szukała światła –  
 – wypatrywała,  
 dostrzegła  
 i buch w tę stronę.  
 Wpadła tu,  
 gdzie było wspaniale jarzące się światło i cisza bez deszczu.  
 Jak to w pokoju.  
 Wylądowała na szafie, gdzie było przytulnie, cicho i ciepło.  
 Jednakże coś ją wprawiało w niepokój.  
 To było zwyczajne światło elektryczne.  
 Zerwała się, by znów polecieć.  
 A tutaj cztery ściany wysłane były aksamitem.  
 Odbiła się o tę ścianę z aksamitu i wpadła do porcelanowej wazy.  
 Z powrotem więc!  
 Z powrotem!  
 Prosto w klawisze!  
 Odpowiedziało melodyjne echo.  
 Co dalej?  
 ...I znów we wzorzysty plafon, aż  
 wyczerpana  
 opadła  
 Siedziała. Łapała powietrze

Łapki jej więziła makata – aksamitna makata z Turcji.  
 Ma się wiedzieć, że pokój był nie taki sobie – po prostu był w mojej wy-  
 obraźni.  
 ...Za oknem miotał się wicher, lamentowały drzewa, alarmująco nawoły-  
 wały syreny.  
 Tylko noc śmiała się cicho, prawie niedosłyszalnie i szyderczo.  
 ...Ano tak! Szukała przecież okna, by wylecieć przez nie w deszcz, w noc.  
 Okna jednak nie było.

Długo jeszcze miotła się po pokoju. Powtórnie wpadała do porcelanowej  
 wazy. Odbijała się o wzorzysty plafon.  
 Drżała w gorączce – zbyt rozstrajało ją zwykłe światło elektryczne.  
 ...Wówczas to w deszczu zakwiliły drzewa, po czym zatętniły śmiechem  
 w ten deszcz.  
 Może słyszała, jak śmieją się drzewa?  
 Nic,  
 nic już do niej nie dochodziło.  
 Na ostatek –

– odbiła się o srebrny zyrandol i upadła na aksamitną turecką makatę.

Wydając ostatnie tchnienie (rozbiła się bowiem na śmierć), odsuwała łebek od światła i szukała ślepkami –

– okna.

Nie było go. Więc umarła.

...Za oknem wciąż trwała noc, uśmiechając się cicho, złowieszczo i niesłychalnie.

Za dziesięć minut zajaśnieć miał świt.

A po godzinie wszedłem do pokoju.

Po nocy nie było już śladu.

Przewaliła się burza, deszcz ucichł.

Od wschodu wspinało się słońce.

Zewsząd pachniało słońcem i życiem.

Zaczerpnąłem głęboki oddech i uniosłem głowę wysoko.

...Sztwyne ciało ująłem za skrzydełka, przyjrzałem się im z lekceważeniem i wrzuciłem do śmietnika, po którym snuły się bezpańskie kundle.

A to była jaskółka.

Tłum. Jerzy Litwiniuk

## Ja (Romantyczność)

*Kwiatowi jabłoni*

Z dalekiej mgły, znad cichych jezior komuny szmer szemrze: to idzie Maryja. Wychodzę na bezkresne pola, przekraczam przełęcz i tam, gdzie się jarzą kurhany, skłaniam się nad samotną bezludną skałą. W dal spoglądam. Wówczas myśl za myślą niczym amazonki harczą dokoła mnie. Wszystko wówczas ginie... Mkną tajemniczy jeźdźcy, kołysząc się rytmicznie poza krańce gór i dzień gaśnie; biegnie droga pośród kurhanów, a za nią step bezmowny... Odmykam powieki i wspominam... zaiste matka moja to ucieleśniony pierwowzór owej niezwyklej Maryi stojącej na skraju niewiadomych wieków. Moja matka, czyli naiwność, cichy smutek i dobroć bez granic. (To przypominam sobie dobrze!). I mój ból nie do wiary i moja nieznośna udręka tłą się w lampce fanatyzmu przed tym przedziwnym zasmuconym obrazem.

Matka powiada, że ja (jej syn zbuntowany) umęczyłem się do ostateczności... Wówczas biorę jej miłą głowę przyprószoną srebrzystą siwizną i łagodnie kładę na mojej piersi... Za oknem przechodziły różne poranki i osypywały się perły. Mijały dni niemożliwe. W oddali z ciemnego boru brnęli podróżni i przystawali wokół modrego źródła, tam gdzie rozbiegają się drogi, gdzie stoi krzyż po rozbójnikach. To młodzi zagórzanie.

Mijają wszakże noce, szemrzą pod topolami wieczory, topole odchodzą w niewiadomość szos, a za nimi lata, zimy i moja rozhukana młodość. Ówczesne dni przed burzą. Tam, poza krańcami szarostalowego boru, igrają błyskawice, a góry wrą i kipi w nich piana. Ciężki dudniący grzmot ani rusz się nie zerwie od Indii, od strony wschodu. I dręczy się w oczekiwaniu burzy natura. Aż raptem spoza kipieli chmur dobiega grzmot inny – ... głucha kanonada. Dwie nawałnice się toczą.

– Alarm! – Matka powiada. Że podlewała dziś miętę i że mięta usycha z tęsknoty. Powiada, że burza nadciąga. I widzę, jak w jej oczach lśnią dwie perły uryjańskie.

## I

Szturm za szturmem. Zaciekle atakują wraże pułki. Wówczas nasza kawaleria od skrzydła, falangi powstańców idą do przeciwnatarcia, a burza się wzmacza i moje myśli są niczym drut napięty do granic możliwości.

Dzień i noce trudzę się w „czeka”.

Siedziba nasza mieści się w fantastycznym pałacu: jest to posiadłość rozstrzelanego dziedzica. Groteskowe draperie, dawne wizerunki i portrety rodziny książęcej. Wszystko to patrzy na mnie ze wszystkich kątów mojego przygodnego gabinetu.

Gdzieś słuchawka telefonu polowego ciągnie swoją smętną, niepokojącą melodię, która przypomina dalekie dzwonki na dworcach.

Na zabytkowej sofie siedzi uzbrojony Tatar z podwiniętymi nogami i monotonnie wyśpiewuje swoje azjatyckie „ała-ła-ła”.

Wpatruję się w portrety: książę zasępił czoło, księżna to uosobienie wzgardy, księżęta w pomroce stuletniej dąbrowy.

I w tej niezwykłej surowości odczytuję wszystek świat stary, wszystek bezsilny przepych i urodę trzeciej młodości, dostojnych lat, co przeminęły.

To wyrazistość macicy perłowej na uczcie dzikiego, głodującego kraju.

I ja, ktoś zgoła obcy, według jednej terminologii – bandyta, zgodnie z inną – powstaniec, po prostu trzeźwo przyglądam się tym portretom i nie ma, i nie będzie w sercu mym gniewu. To jasne:

– Ja jestem czekistą, ale i człowiekiem.

Ciemną nocą, gdy za oknami dzieją się miejskie wieczory (gniazdo się wzniosło na górze i dominuje nad miastem), gdy modre opary snują się nad



cegielnią i mieszcuchy jak myszy kulą się po bramach, w warowniach kanarków, ciemną nocą w moim ekstraordynaryjnym gabinecie zbierają się moi koledzy. To nowy sanhedryn, to czarny trybunał komuny.

Wówczas z każdego zakątka wyziera najprawdziwsza i rzeczywiście straszna śmierć.

Mieszczuch:

– Tutaj urzęduje sadyzm!

Ja na to:

– ...(milczę).

Na wieży ratusza za przełęczą alarmująco podzwania spiż. To bije zegar. Od ciemnego stepu dobiega głucha kanonada.

Koledzy moi siedzą przy szerokim hebanowym stole. Cisza. Jedyne daleki dworcowy dzwonek aparatu telefonicznego znów ciągnie swoją smętną, niepokojącą melodię. Z rzadka za oknami przechodzą powstańcy.

Łatwo rozróżnić moich kolegów:

doktor Tagabat,

Andriusza,

trzeci – zwyrodnialec (wierny wartownik na posterunku).

Czarny trybunał w komplecie.

Mój głos:

– Uwaga! Na porządku dziennym sprawa kupca X!

Z odległych pokojów wychodzą lokaje i skłaniają się podobnie jak przed księżętami, spoglądają wymownie na nowy sanhedryn i stawiają na stole herbatę. Po czym znikają bezszelestnie na aksamicie kobierców w labiryntach wysokich komnat.

Mdło świeci kandelabr z dwiema świecami. Światło nie zdoła objąć nawet czwartej części gabinetu. W górze ledwie majaczy żyrandol. Ciemno jest w mieście. I tu też ciemno: wysadzono w powietrze elektrownię.

Doktor Tagabat rozparł się na szerokiej kanapie z dala od kandelabru i widzę jedynie białą łysinę i nazbyt wysokie czoło. Poza nim jeszcze dalej w ciemności – wierny wartownik o zwyrodniałej budowie czaszki. Widzę jedynie jego nieco błędne oczy, ale wiem:

zwyrodnialec ma niskie czółko, czarną kopicę rozczochranych włosów i przyplaszczony nos. Zawsze sprawia na mnie wrażenie kajdaniarza i przypuszczam, że nieraz musiał figurować w kronice wypadków kryminalnych.

Andriusza siedzi na prawo ode mnie z roztargnioną twarzą i z rzadka z pewną obawą spogląda na doktora. Wiem, o co mu chodzi.

Andriuszę, mojego nieszczęsnego Andriuszę przydzielił mi nieznośny komitet rewolucyjny tutaj, do „czeka”, wbrew jego słabej woli. I Andriusza, ów niewesoły komunard, gdy trzeba się podpisać zamazyście pod mroczną uchwałą – „rozstrzelać”,

zawsze się łamie, zawsze podpisuje się następująco:

na surowym dokumencie życia stawia nie imię i nazwisko, ale zgoła niezrozumiały, zgoła fantastyczny, niemal hetycki hieroglif, zawijasek.

Mój głos:

– To wszystko. Doktorze Tagabat, jakie jest wasze zdanie?

– Rozstrzelać!

Andriusza z pewnym przestachem patrzy na Tagabata i łamie się. Wreszcie drżąc i niepewnym głosem powiada:

– Nie zgadzam się z wami doktorze.

– Nie zgadzacie się ze mną? – i wybuch ochryplego śmiechu przetacza się przez ciemne pokoje książęce.

Czekałem na ten śmiech. Tak było zawsze. Ale tym razem wzdrygnąłem się i zdaje mi się, że zapadam się w zimne trzęsawisko. Prędkość mojego myślenia dobiega do kulminacji.

I w tym momencie wyrasta nagle przede mną postać mojej matki...

– ...,„Rozstrzelać”???

I matka patrzy na mnie w smutnym milczeniu.

...Znów na dalekiej wieży ratusza za przełęczą dzwoni spiz: to bije zegar. Czarna północ. Do siedziby szlacheckiej ledwo dobiega głucha kanonada. Wiadomość przez telefon: nasi poszli do przeciwnatarcia. W oszklonych drzwiach za portierą jarzy się łuna: to za odległymi wzgórzami płoną wsie, płoną stopy i wyją na pożar psy w kącikach bram miasta. W mieście cisza i bezgłośnie dzwonięcie serc.

...Doktor Tagabat nacisnął guzik.

Lokaj przynosi na tacy stare wino. Po czym odchodzi i kroki jego cichną, oddalają się na skórach lamparich.

Patrzę na kandelabr, ale mimo woli wzrok mój zakrada się tam, gdzie siedzi doktor Tagabat i wartownik. W ręku mają butelki z winem i piją je łapczywie, drapieźnie.

Myślę, że tak trzeba.

Jednakże Andriusza chodzi nerwowo z miejsca na miejsce i wciąż ma coś na języku. Wiem, co myśli: chce powiedzieć, że to tak nieuczciwie, że tak nie postępują komunardzi, że to są bachanalia itede, itepe.

Jakiż to dziwak ten komunard Andriusza!

Ale gdy doktor Tagabat cisnął na aksamitny dywan pustą butelkę i wyraźnie napisał swoje nazwisko pod decyzją

– „rozstrzelać” –

gwałtownie ogarnęła mnie desperacja. Ten doktor z szerokim czołem i białą łysiną, z wyziębłym rozumem i kamieniem zamiast serca – toć to jest mój nieustępliwy pryncypał, mój instynkt zwierzęcy. I ja, głównodowodzący czarnego trybunału komuny, jestem w jego ręku nicością, zdaną na łaskę nieubłaganego żywiołu.

„Ale jakie może być wyjście?”

– Jakie wyjście?? – I wyjścia nie widziałem.

Przetacza się przede mną mroczna historia cywilizacji i wloką się narody, i wieki, i sam czas...

– Ale wyjścia nie było widać!

Zaiste rację miał doktor Tagabat.

...Andriusza pospieszenie wywodził swój zawijas pod postanowieniem, a zwyrodnialec z lubością wpatrywał się w litery.

Pomyślałem: „o ile doktor jest złym geniuszem, moją złą wolą, to zwyrodnialec jest katem obsługującym gilotynę”.

Zastanowiłem się jednak:

– Ii, cóż to za nonsens! Skądże znowu kat? Przecież to dla niego, strażnika czarnego trybunału komuny w momentach wielkiego napięcia układałem hymn.

I wówczas odchodziła, oddalała się ode mnie moja matka – prawzór Maryi za górami, i zastygała oczekując w ciemnościach.

...Topniały świece. Surowe postacie księcia i księżnej gubiły się w niebieskawej oćmie dymu z papierosów.

...Na rozstrzelanie skazano

– szczęściu!

Dosyć już! Dosyć na tę noc!

Tatar znowu zawodzi swoje azjatyckie „ała-ła-ła”.

Patrzę na portierę, na lunę w oszklonych drzwiach – Andriusza już się wymknął. Tagabat i wartownik piją stare wina. Przerzucam przez ramię mauzer i wychodzę z księżęcego domu. Idę przez opustoszałe milczące ulice obłązonego miasta.

Miasto wymarło. Mieszkańcy wiedzą, że za trzy, cztery dni już nas nie będzie, że daremne są nasze przeciwnatarcia: rychło zaturkocą nasze taczanki w stronę dalekiego kraju na północy. Miasto przyczaiło się. Ciemność.

Jako ciemny najeżony kontur tkwi na wschodzie siedziba księżęca, obecnie – czarny trybunał komuny.

Obracam się i patrzę w tamtą stronę, i wtedy nagle przypominam sobie, że na sumieniu mam szczęściu.

...Szczęściu na moim sumieniu?

Nie, to nieprawda. Szczęciuset,

Sześć tysięcy, sześć milionów –

Mrok na moim sumieniu!!

– Mrok?

Kulę głowę w ramiona.

...Ale znowu przede mną przetacza się mroczna historia cywilizacji i wloką się narody, i wieki, i sam czas...

Wówczas, w niemocy, chylę się przed sztchetami, klękam i gorąco błogosławię chwilę, w której się spotkałem z doktorem Tagabatem i wartownikiem o lambrosowskiej czaszce. Po czym obracam się i modlitewnie wpatruję w najeżony kontur na wschodzie.

...Gubię się wśród uliczek. Podchodzę wreszcie do samotnego domku, w którym mieszka moja matka. W ogródku pachnie mięta. Za szopą migają błyskawice i słysząc przytłumiony grzechot pioruna.

Mrok!

Wchodzę do izby, zdejmuję mauzer i zapalam świeczkę.

... – Śpisz?

Ale matka nie spała. Podchodzi do mnie, bierze moją zmęczoną twarz w swoje suche starcze dłonie i schyla głowę na mojej piersi. Znow mówi, że ja, jej syn zbuntowany, umęczyłem się do ostateczności.

Czuję na swoich dłoniach jej perełki uryjańskie.

Mówię:

– Ach jak się zmęczyłem, mammo!

Przybliża mnie do świeczki i patrzy na moją zmorzoną twarz.

Później staje przy mdłej lampce i ze smutkiem spogląda na oblicze Maryi.  
– Wiem, że moja matka jutro też pójdzie do monasteru: nie do zniesienia są dla niej nasze alarmy i łupiestwa dokoła.

Ale w tymże momencie podchodząc do jej łóżka drgnąłem.

– Łupiestwa dokoła? Czyż mama może tak sądzić? Tak uważają tylko ci z Wersalu!

Wówczas to wstrząśnięty przekonuję siebie, że to nieprawda, że nie ma żadnej matki przede mną, że jest to jedynie przywidzenie.

– Przywidzenie? – znow się wzdrygnąłem.

Nie, właśnie to jest nieprawdą! Tutaj, w zacisznej izbie, moja matka nie jest przywidzeniem, lecz częścią mojego własnego występnego „ja”, któremu folguję. Tu, w głuchym zaułku na skraju miasta, kryję przed gilotyną jeden koniuszek mojego serca.

I wówczas w zwierzęcej ekstazie przymykam oczy, i jak samiec na wiosnę zachłystuję się i szepczę:

– Kto musi wiedzieć o szczegółach moich przeżyć? Jestem szczerym komunardem. Kto się ośmieli powiedzieć co innego? Czyż nie mam prawa do chwili odpoczynku?

Mdło świeci lampka przed ikoną Maryi. Przed lampką niczym posąg tkwi moja zasmęcona matka. Ale ja już nie myślę o niczym. Głowę mą tuli cichy sen gołębi.

## II

...Nasi w odwrocie: z pozycji na pozycję: na froncie popłoch i popłoch na tyłach. Mój batalion w pogotowiu. Za dwa dni również rzucę się w zgiełk armatni. Mój batalion jest doborowy, wszystko młodzi fanatycy komuny.

Obecnie jednak tu jestem nie mniej potrzebny. Wiem, co to są tyły, gdy wróg jest pod murami miasta. Z każdym dniem szerzą się niejasne pogłoski i niczym żmije rozpełzły się po ulicach. Przenikają już do szeregów garnizonu.

Donoszą mi

- Szemrzą poniektórzy.
- Może wybuchnąć bunt.

Tak! Tak! Wiem, że może wybuchnąć bunt, moi wierni agenci myszkują po zaułkach i nie ma już gdzie pomieścić tej winnej i prawie niewinnej zgrai mieszcuchów.

...A kanonada podchodzi coraz bliżej. Coraz częściej przybiegają gońcy z frontu. Kurzawa kłębi się i utrzymuje nad miastem przysłaniając zamglone ogniste słońce. Z rzadka migocą błyskawice. Ciagną się tabory, alarmująco krzyczą lokomotywy, cwałują kawalerzyści.

Jedynie wokół czarnego trybunału komuny trwa przygniatająca cisza.

Tak:

będą setki egzekucji i ja ostatecznie walę się z nóg!

Tak:

słyszą już wersalczycy, jak w dźwięcznej i zamarłej ciszy siedziby księżęcej nad miastem rozlegają się wyraźne i krótkie strzały; wersalczycy wiedzą:

– sztab Duchonina!

...A ranki kwitną perłowo i padają gwiazdy zaranne we mgłę dalekiego boru.

...A głucha kanonada narasta.

Mnożą się zwiastuny: rychło będzie burza.

...Wchodzę do siedziby księżęcej.

Doktor Tagabat i wartownik piją wino. Andriusza sposepniały siedzi w kąciku. Po czym podchodzi do mnie i mówi z naiwnym smętkiem:

– Słuchaj, przyjacielu! Zwolnij mnie!

– Mówię:

– Dokąd?

On na to:

– Na front. Dłużej już tu nie mogę.

Aha! Nie może dłużej! Raptem ogarnęła mnie złość. Nareszcie mnie wzięto. Długo się hamowałem. – Chce na front? Jak najdalej od czarnej brudnej roboty? Wytrzeć ręce i być niewinny jak gołąbek? Mnie oddaje „swoje prawo” do kąpienia się w kałużach krwi?

Krzyczę więc:

– Zapominacie się! Słyszycie?... Jak jeszcze raz powiecie o tym, rozstrzelam was natychmiast.

Na to doktor Tagabat z mocą:

– Tak mu! Tak mu! – i potoczył się śmiech po pustych labiryntach komnat księżęcych. Tak mu! Dobrze mu tak!

Andriusza skulił się, zbladł i wyszedł z gabinetu.

Doktor powiedział:

– Dosyć! Odsapka! A ty jeszcze popracuj!

Mówię:

– Kto tam z kolei?

– Sprawa nr 282.

Powiadam:

– Wprowadzić.

Wartownik w milczeniu, niczym automat, opuścił komnatę.

(Tak, to był niezastąpiony wartownik: nie tylko Andriusza, ale i my popełnialiśmy uchybienia: ja i doktor. Często uchylaliśmy się od nadzorowania egzekucji. Ów zwyrodnialec, jednakże zawsze był żołnierzem rewolucji i schodził z pola dopiero, gdy rozproszyły się dymki i zakopywano rozstrzelanych.)

Portiera się rozsunała i do mojego gabinetu weszło dwoje: kobieta w żalobie i mężczyzna w pince-nez. Byli ostatecznie wystraszeni widokiem wnętrza: arystokratyczny zbytek, portrety książęce i rozgardiasz – puste butelki, rewolwery i niebieskawy dym papierosów.

Pytam:

– Nazwisko?

– Zet!

– Nazwisko?

– Igrek!

Mężczyzna ściągnął blade wargi i wpadł w niemiłosiernie płaczliwy ton: błagał o zmiłowanie. Kobieta ocierała oczy chustką.

Pytam:

– Skąd was zabrano?

– Tam a tam!

– Za co was zabrano?

– To i to!

Aha, zatem mieliście zebranie! Jakie mogą być zebrania w takiej niespokojnej porze nocą w prywatnym mieszkaniu?

Aha, zajmujecie się teozofią! Szukacie prawdy!... Nowej? Tak! Tak!... I któż to jest?... Chrystus?... Nie?... Inny zbawiciel świata?... Tak! Tak! Was nie zaspokaja ani Konfucjusz, ani Lao-Tse, ani Budda, ani Mahomet, ani sam czart!... Aha, rozumiem: trzeba zapełnić puste miejsce...

Pytam:

– Więc waszym zdaniem dojrzał czas na przyjście nowego mesjasza?

Mężczyzna i Kobieta:

– Tak!

Pytam:

– Czy sądzicie, że ten kryzys psychologiczny daje się zaobserwować i w Europie, i w Azji, i we wszystkich częściach świata?

Mężczyzna i kobieta:

– Tak!

– To po kiego licha, mamę waszą tak i owak, nie zrobicie tego mesjasza z „czeka”?

Kobieta rozplakała się. Mężczyzna zbladł jeszcze bardziej. Surowe portrety księcia i księżnej posępnie spoglądały ze ścian. Dobiegała kanonada i alarmujące gwizdki z dworca. Nieprzyjacielski pociąg pancerny naciera na nasze stacje – wiadomość przez telefon. Z miasta dolatuje łoskot: zagrzechotały po bruku taczanki.

...Mężczyzna padł na kolana i jął błagać o zmiłowanie. Pchnąłem go nogą z rozmachem i rozłożył się na wznak.

Kobieta przytuliła żałobę do skroni i w rozpaczach pochyliła się nad stołem.

Rzekła głuchym i martwym głosem:

– Słuchajcie, jestem matką trojga dzieci!...

Ja na to:

– Rozstrzelać!

W mig poderwał się dyżurny i po pół minucie w gabinecie nie było już nikogo.

Podszedłem wówczas do stołu, nalałem wina z karafki i wypilem duszkiem. Przytknąłem dłoń do zimnego czoła i rzekłem:

– Ciąg dalszy!

Wszedł zwyrodnialec. Radził mi odłożyć sprawy i zająć się jedną poza kolejnością:

– Dopiero co przyprowadzono z miasta nową grupę wersalczyków, zdaje się, że wszystko to są mniszki, które na rynku prowadziły jawną agitację przeciw komunie.

Wchodziłem w rolę. Mgła falowała mi przed oczyma i byłem w sztańce, który można zakwalifikować jako szczyt ekstazy.

Przypuszczałem, że w takim stanie fanatycy szli na świętą wojnę.

Podszedłem do okna i rzekłem:

– Wprowadzić!

...Do gabinetu wtoczyła się cała gromada mniszek. Nic nie widziałem, ale wyczuwałem to. Patrzyłem na miasto. Zmierzchało. – Długo się nie odwracałem delektując się: za dwie godziny nie będzie żadnej z nich! – Zmierzchało. – I znów przedburzowe błyski cięły krajobraz. Na dalekim horyzoncie za cegielnią unosiły się dymki. – Wersalczyki napierają ostro i zaciekle – donosił telefon? Na opustoszałych traktach z rzadka wyrastają tabory i pospiesznie wycofują się na północ. Na stepie niczym bylinowi bohaterowie trwają na czatach zagony kawaleryjskie.

Alarm.

Sklepy w mieście pozabijano deskami. Miasto wymarło i uchodzi w dziką dal średniowiecza. Na niebie wyrastają gwiazdy i sączą na ziemię zieloną bągienną poświatę. Po czym gasną, znikają bez śladu.

Ala ja muszę się spieszyć! Za moimi plecami stoi gromada mniszek! Tak, muszę się spieszyć: piwnice zatłoczone są do ostatka.

Odwracam się stanowczo i chcę wypowiedzieć bezapelacyjne:

– Roz-strze-lać!...

Ale odwróciłem się i widzę – wprost przede mną stoi moja matka, moja zasmęcona matka z oczami Maryi.

W popłochu odrzuciło mnie w bok: cóż to jest – halucynacja? W popłochu odrzuciło mnie w bok i zawołałem:

– To ty?

I słyszę w ciżbie kobiet zasmęczone:

– Synu! Mój buntowniczy synu!

Czuję, że lada chwila upadnę. Zemdliło mnie, oparłem się ręką o fotel i skuliłem się.

W tej samej chwili rozległ się śmiech grzechoczący, obił się o strop i uciął. To doktor Tagabat:

– „Mamo”?! Ach ty diabelski pajacu! Cycusia się zachciało? „Mamo”?

W mig oprzytomniałem i pochwyliłem mauzer.

– Ty czorcie! – i rzuciłem się na doktora.

Ale ten zimno popatrzał na mnie i rzekł:

– No, no, ciszej zdrajco komuny! Bądź łaskaw rozprawić się również z „mamą” (zaakcentował z „mamą”), jak potrafiłeś rozprawić się z innymi.

I odszedł w milczeniu.

...Oślupiałem. Błady, nieomal martwy, stałem przed milczącym naporem mniszek z rozbieganymi oczyma niczym zaszczuty wilk. (Widziałem to w gigantycznym zwierciadle wiszącym naprzeciw.)

Tak!... – ucapiono nareszcie drugi koniuszek mojej duszy. Już nie pójdę na obrzeże miasta kryć się niczym zbrodniarz. Teraz obowiązuje mnie tylko jedno prawo:

– Nikomu, nigdy i nic nie mówić, jak pękło moje własne „ja”.

I nie straciłem głowy.

Myśli przesywały mi mózg. Cóż mam robić? Czyż ja, żołnierz rewolucji, uchylę w tej chwili własnej odpowiedzialności? Czyż porzucę placówkę i haniebnie zdradzę komunę?

...Zacisnąłem szczęki, spojrzałem pochmurnie na matkę i rzekłem szorstko:

– Wszystkich do piwnicy. Zaraz tam będę.

Ale nie zdążyłem tego wypowiedzieć, jak znów gabinet zatrzęsł się od śmiechu.

Wówczas obróciłem się w kierunku doktora i oznajmiłem dobitnie:

– Doktorze Tagabat! Zapomnieliście widać, z kim macie do czynienia?

Czy i wam się nie spieszy do sztabu Duchonina... z tą zbieraniną! – machnąłem ręką w stronę, w której stała moja matka, i milcząc wyszedłem z gabinetu.

...Nic nie usłyszałem za sobą.



... Wyszedłem z pałacu jak pijany, donikąd, w cieniach przeburzowego dusznego wieczoru. Narastała kanonada. Znów wybuchaly dymki nad daleką cegielnią. Za kurhanem grzechotały pociągi pancerne: to między nimi się toczył rozstrzygający pojedynek. Pułki wroga zaciekle napierały na powstańców. Czuć było dym egzekucji.

Szedłem donikąd. Obok mnie przejeżdżały tabory, cwałowali artylerzyści, grzechotały po bruku taczanki. Miasto zastygło w kurzu i wieczór nie ujął nagromadzonego przed burzą ładunku.

Szedłem donikąd. Bez jednej myśli, w oziępszej pustce, z ciężkim brzemieniem na przygarbionych plecach.

Szedłem donikąd.

### III

...Tak, to były minuty udręki nie do zniesienia. – Ale wiedziałem już, jak postąpię.

Wiedziałem jeszcze wtedy, gdy opuszczałem pałac. Inaczej nie wyszedłbym tak prędko z gabinetu.

...Ano tak, muszę być konsekwentny!

...Przez całą noc rozpatrywałem sprawę.

Wówczas w ciągu kilku godzin ciemności regularnie rozlegały się krótkie i dobitne strzały:

– ja, głównodowodzący czarnego trybunału komuny, wykonywałem swoje obowiązki wobec rewolucji.

...I czyż to moja wina, że obraz mojej matki nie opuszczał mnie ani na chwilę owej nocy?

Czyż to moja wina?

...W południe przyszedł Andriusza i rzucił posępnie:

– Słuchaj! Pozwól ją wypuścić!

Ja na to:

– Kogo?

– Twoją matkę!

Ja na to:

(milczę).

Później czuję, chce mi się śmiać aż do bólu. Nie wytrzymałem i rechocę na cały plac.

Andriusza patrzy na mnie surowo. Absolutnie poznać go nie mogę.

– Słuchaj! Po co ten melodramat?

Mój naiwny Andriusza tym razem chce być przenikliwy. Ale się pomylił.

Ja na to (brutalnie):

– Spływaj!

Ach ten naiwny komunard do końca nie rozumie. Nic nie wie literalnie, po co to bezsensowne, zwierzęce okrucieństwo. Nic nie widzi za swoją zimną, drewnianą otoczką.

Mówię:

– Telefonuj! Dowiedz się, gdzie jest wróg!

Andriusza:

– Słuchaj!

A ja:

– Telefonuj! Dowiedz się, gdzie jest wróg!

W tejże chwili nad posiadłością przeleciał sycząc pocisk i wybuchł nie opodal. Zabrzęczały szyby i echo poszło po rezonujących pustych pokojach książęcych.

W słuchawce wiadomość: wersalczyki napierają, są już blisko: o trzy wiorsty. Patrole kozackie pokazały się pod stacją: powstańcy w odwrocie. – Lamentuje daleki dzwonek na stacji.

...Andriusza wybiegł. Ja za nim.

...Dymiło w oddali. Znow wybuchwały obłoczki na horyzoncie. Kłębił się kurz nad miastem. Słońce jak ze spiżu, a nieba nie widać. Jeno mętna kurzawa pędziła górą nad dalekim nieboskłonem. Unosiły się z drogi fantastyczne ogromy, wybiegały wzwyż, przecinały nieboskłon, wzlatywały ponad zabudowaniami i znow biegly i biegly. Czoło burzy trwało w bezruchu jak zaczarowane.

...A tu gruchały armaty. Mknęli kawalerzyści. Wycofywały się na północ taczanki i treny.

Zapomniałem o wszystkim. Nic nie słyszałem i – sam nie pamiętam, jak trafiłem do piwnicy.

Z dzwonieniem rozerwał się szrapnel koło mnie i na dworze zrobiło się pu-  
sto. Podeszedłem do drzwi i tylko, że chciałem zajrzeć przez niewielkie okienko,  
za którym siedziała moja matka, gdy ktoś wziął mnie za rękę. Obróciłem się –

– zwyrodnialec.

– A to ci warta! Wszyscy pouciekali!... hi... hi...

Ja:

– A wy?

On:

– Ja? Ja to ja! – i postukał palcem po drzwiach.

Tak, to był wierny pies rewolucji. Będzie stać na straży, i to nie tylko pod takim ogniem! Pamiętam, że pomyślałem wówczas:

– „to jest stróż mojej duszy” i bez myśli pobrnałem na pustkowie pod miastem.

.....

...A pod wieczór południowe obrzeża miasta zostały zdobyte. Musieliśmy iść na północ, opuścić miasto. Jednakże powstańcy otrzymali rozkaz pozostania aż do nocy i mężnie umierali na wałach, przyczółkach i w niemych zakamarkach pod bramami.

...Ale co ze mną?

...Odbywała się śpieszna ewakuacja, słychać było wyraźną wymianę strzałów,

i już nie mogłem ustać na nogach!

Palono dokumenty. Odsyłano partie zakładników. Brano resztę kontrybucji...

...Nie mogłem ustać na nogach!

Lecz nagle wyłoniła się twarz mojej matki i znów słyszałem zasmęcony i uparty głos.

Odrzucam włosy z czoła i rozszerzonymi oczyma patrzę na wieżę ratusza. I znów nastawał wieczór, i znów na południu płonęły zabudowania.

...Czarny trybunał komuny zbiera się do ucieczki. Ładują podwozy, wloką się tabory, śpieszą tłumy na północ. Jedynie nasz samotny pociąg pancerny zastyga w głębi boru i powstrzymuje na prawym skrzydle pułki nieprzyjaciela.

...Andriusza gdzieś się ulotnił. Doktor Tagabat siedzi spokojnie na kanapie i pije wino. W milczeniu śledzi moje rozkazy i z rzadka ironicznie spogląda na portret księcia. Ale spojrzenie to czuję właśnie na sobie, co denerwuje mnie i niepokoi.

...Słońce zaszło. Wieczór dogorywa. Nadchodzi noc. Na wałach toczą się utarczki i jednostajnie terkoce karabin maszynowy. Opustoszałe komnaty książęce zamarły w oczekiwaniu.

Wpatruję się w doktora i drażni mnie jego spojrzenie na starodawny portret.

Mówię ostro:

– Doktorze Tagabat! Za godzinę muszę zlikwidować ostatnią partię skazanych. Muszę przyjąć dowodzenie oddziałem.

On na to ironicznie i obojętnie:

– No i cóż? Dobrze!

Podniecam się, ale doktor patrzy na mnie szyderczo i uśmiecha się. – Niechybnie rozumie, o co chodzi! Przecież w tej partii skazańców jest moja matka.

Ja:

– Proszę bardzo opuścić ten pokój!

Doktor:

– No i cóż? Dobrze!

Wówczas nie wytrzymuję i wybucham:

– Doktorze Tagabat! Uprzedzam po raz ostatni: nie żartujcie ze mną!

Ale głos mój łamie się i bulgoce mi w gardle. Zrywam się, by złapać za mauzer i z punktu skończyć z doktorem, lecz raptem czuję się nędzny, nikczemny i stwierdzam, że opuszczają mnie resztki woli. Siadam na kanapie i żałośnie jak zbity pies patrzę na Tagabata.

...Ale uciekają minuty. Musimy wyruszać.

Znów biorę się w garść i po raz ostatni patrzę na wyniosłą podobiznę księżnej.

Mrok.

...– Konwój!

Wartownik wszedł i zameldował:

– Partię wyprowadzono. Egzekucja zostanie wykonana za miastem: na skraju lasu.

...Spoza dalekich zboczy wyłaniał się księżyc. Później płynął poprzez łagodne strumienie błękitu, odrzucając seledynowe bryzgi. O północy utkwiał w zenicie i zatrzymał się nad otchłanią.

...W mieście trwała intensywne wymiana strażaków.

...Szliliśmy drogą na północ.

Nigdy nie zapomnę tej milczącej procesji – ciemniejszego tłumu idących na rozstrzelanie.

Z tyłu turkotały taczanki.

W straży przedniej – konwój komunistów, dalej – tłum mniszek; z tyłu – ja, jeszcze konwój komunistów i doktor Tagabat.

...Trafiliśmy jednak na autentycznych wersalczyków: w ciągu całej drogi ani jedna mniszka nie rzekła ani słowa. To były szczerze fanatyczki.

Szedłem drogą – jak wówczas – donikąd, a obok mnie snuli się stróże mojej duszy: doktor i zwyrodnialec. Wpatrywałem się w tłum, ale tam nic nie dostrzegłem.

Wiedziałem jednak

– że idzie tam moja matka

z pochyloną głową. Czuję jak pachnie mięta. Głaskałem jej miłą głowę z nalotem srebrzystej siwizny.

Ale naraz wyrosła przede mną dal za górami. Wówczas znowu boleśnie chciało mi się paść na kolana i modlitewnie spoglądać na zjeżony kontur czarnego trybunału komuny.

...Skuliłem głowę i szedłem obumarłą drogą, a za mną turkotały taczanki.

Raptem oprzytomniałem: co to? Halucynacja? Czyżby to był głos mojej matki?

I znów rozpoznaję się jako człowiek nikczemny i stwierdzam, że mdło mi gdzieś pod sercem. I chciałoby mi się nie szlochać, ale płakać rzęsiстыми łzami – tak jak w dzieciństwie, na jej ciepłej piersi.

I oświeciło mnie:

– czyż to ja prowadzę ją na rozstrzelanie?

Czy to rzeczywistość, czy halucynacja?

Jednakże była to rzeczywistość: bezsporna życiowa rzeczywistość – okrutna i drapieżna jak zgraja głodnych wilków. Była to rzeczywistość bezwyjściowa, nieunikniona jak sama śmierć.

...Ale może to pomyłka?

Może trzeba postąpić inaczej?

Ach, przecież to bojaźliwość, lekkoduchostwo. Istnieje wszak pewna maksyma życiowa” *errare humanum est*. No i co z tobą? Błądź! I błądź właśnie tak, a nie owak!... I jakież mogą być tutaj błędy?

Zaiste: była to rzeczywistość jak zgraja głodnych wilków. Ale zarazem jedyna droga do jezior nieznannej przepięknej komuny za górami.

...Wówczas spalałem się w ogniu fanatyzmu i twardo wybijałem kroki drogą na północ.

...Milczący orszak dochodził do lasu. Nie pamiętam, jak rozstawiano mniszki, ale pamiętam:

podszedł do mnie doktor i położył mi rękę na ramieniu:

– Wasza matka jest tam! Róbcie, co chcecie!

Popatrzałem:

– od tłumu oddzieliła się postać i cicho,

samotnie wyszła na skraj lasu.

...Księżyc stał w zenicie i wisiał nad otchłanią. Dalej w seledynowozieloną niewiadomość odchodziła obumarła droga. Na prawo majaczyły czaty mojego batalionu. I w tym momencie nad miastem zakwitł rześisty ogień – strzelanina znów biła na alarm. To cofali się powstańcy, to wróg dawał znać o sobie. Gdzieś z boku rozerwał się pocisk.

...Wyciągnąłem mauzer z futerału i śpiesznie podszedłem do samotnej postaci. Wówczas to przypominam sobie, jak zamigały krótkie ogniki: tak rozprawiano się z mniszkami.

I wówczas to pamiętam –

z lasu uderzył na twogę nasz pociąg pancerny. – Zadudnił las.

Buchnął płomień – raz,

Dwa –

i jeszcze – salwa! salwa!

...Nacierają pułki wroga. Trzeba się spieszyć. Ach, trzeba się spieszyć!

Idę i idę, jednak samotna postać mojej matki jest wciąż w tym samym miejscu. Stoi ze złożonymi rękoma i patrzy na mnie ze smętkiem. Pośpieszam na ten zaczarowany, nieosiągalny skraj lasu, ale samotna postać wciąż jest tam, wciąż w tym samym miejscu.

Pusto dookoła. Jedyne księżyc sący zieloną poświatę z przebitego zenitu. Trzymam mauzer w rękę, ale ręka moja słabnie i lada chwila zapłaczę rześistymi łzami niczym w dzieciństwie na ciepłej piersi. I zbieram się do krzyku:

– Matko! Mówię ci: chodź do mnie! Muszę cię zabić!

I mózg mój przesywa niewesoły głos. Znów słyszę, jak matka powiada, że ja (jej buntowniczy syn) umęczyłem się do ostateczności.

...Co to? Czyżby znowu halucynacja?

Odrzucam głowę do tyłu.

Tak, była to halucynacja: dawno już stałem na pustym skraju lasu naprzeciw mojej matki i patrzyłem na nią:

Milczała

...W lesie zaryczał pociąg pancerny.

Buchały płomienie. Szła nawałnica. Wróg ruszył do szturmu. Powstańcy wycofują się.

...Wówczas w omdleniu, ogarnięty pożarem jakiejś radości nie do zniesienia, zarzuciłem rękę na szyję mojej matce i przyciągnąłem jej głowę do swoich piersi.

Opadła na mnie jak kłos podcięty.

Ułożyłem ją na ziemi i rozejrzałem się błędnie. – Pusto było dookoła. Jedynie po bokach ciemniały ciepłe zwłoki mniszek. – Opodał grzechotały działa.

...Włożyłem rękę do kieszeni i w tejże chwili doszło do mnie, że czegoś zapomniałem w książących pokojach.

„Co za cymbał ze mnie!” – pomyślałem.

...Po czym oprzytomniałem:

– Gdzie są ludzie?

Ależ tak, muszę śpiesznie iść do mego batalionu! – i rzuciłem się w stronę drogi.

Ale nie uszedłem nawet trzech kroków, jak coś mnie zatrzymało.

Drgnąłem i podbiegłem do trupa matki. Uklękłem przed nim i bacznie wpatrzyłem się w jej twarz. Ale była nieżywa. Jak pamiętam, krew ciekła ciemną stróżką po policzku.

Wówczas uniosłem tę beznadziejną głowę i pożądliwie wpiłem się w białe czoło ustami. – Ciemność.

I nagle słyszę:

No komunardzie, wstawaj!

Czas do batalionu!

Rzuciłem okiem i widzę:

– przede mną znowu stoi zwyrodnialec.

Aha, zaraz będę. Zaraz. Tak, dawno już na mnie czas! – poprawiłem ramię swego mauzera i znów rzuciłem się w stronę drogi.

...W stepie jak bylinowi bohaterowie stali konni powstańcy. Biegłem tam kuląc głowę.

...Szła nawałnica. Gdzieś przebijały się pasemka brzasku. Ci-cho umierał księżyc w przebitym zenicie. Z zachodu nasuwały się chmury. Szła drobna rześista strzelanina.

Zatrzymałem się wśród nieżywego stepu:

– tam, w niewiadomej dali niewidocznie pały ciche jeziora komuny za górami.



## Arkadij Lubczenko (1899 – 1945)

Arkadij Lubczenko urodził się w 1899 roku w powiecie Humańskim (dziś obwód czerkaski). W latach 1912-18 uczęszczał do gimnazjum w Skwyrze. W okresie wojny domowej służył w Armii Czerwonej. W 1923 roku zamieszkał w Charkowie, a w latach następnych (aż do 1930 r.) pracował jako kierownik działu literatury pięknej w największym ukraińskim wydawnictwie (DWU – Derżawne Wydawnictwo Ukrainy – Państwowe Wydawnictwo Ukrainy), które w tym okresie drukowało nie tylko utwory współczesnych pisarzy ukraińskich, ale i liczne przekłady klasyki. Lubczenko obok Wałerjana Pidmohylnego był tłumaczem literatury francuskiej, a jego przekłady ukazywały się nakładem tego wydawnictwa.

Pisarz należał do HARTU i PROLITFRONTU – literackich organizacji pisarzy o zdecydowanie lewicowych poglądach. Po rozpadzie HARTU wraz z Mykołą Chwyłowym i Mykołą Kuliszem założył ugrupowanie WAPLITE, istniejące w latach 1925-1928. Przez cały okres działalności tej organizacji pełnił obowiązki jej sekretarza i zgromadził niezwykle cenne dokumenty, wydane wiele lat później na Zachodzie. Lubczenko współpracował z pismami „Waplite”, „Prolitfront”, a w późniejszym okresie także z almanachem „Literaturnyj jarmarok”. Po 1933 roku nie ukazał się żaden nowy jego utwór. Okres literackiej aktywności pisarza trwał więc zaledwie sześć do ośmiu lat, co było charakterystyczne dla tej epoki w literaturze ukraińskiej. Również po II wojnie światowej na Ukrainie nie wydawano jego utworów.

Lubczenko zadebiutował utworami poetyckimi na łamach skwyrskiej gazety w 1918 roku. Pierwsze opowiadania ukazały się dopiero sześć lat później. Opublikowało je czołowe pismo literackie „Czerwonyj szlach”. Utwory te – *Z temnoho peredpokoju*, *Krow*, *Chinśka nowela* odzwierciedlały konflikty światopoglądowe początku lat dwudziestych. W 1925 roku ukazał się pierwszy tom opowiadań Lubczenki, *Buremna put’*. Weszły doń nowele liryczne, w których – jak pisał Mykoła Chwyłow – pisarz jawi się jako kontynuator romantyczno-impresjonistycznej tradycji Mychajła Kociubynskiego. W tym samym roku kijowskie elitarnie pismo „Żyttia j rewolucija” drukuje jedną z najlepszych nowel Lubczenki – *Via dolorosa*. Konstrukcja tego utworu jest typowo impresjonistyczna – wspomnienia bohatera ujęte zostały w poetycką ramę, którą stał się epizod spotkania dwu głównych postaci w opustoszałym jesiennym parku. Ta poetycka rama nie zdominowała jednak kompozycji, pisarz bowiem niejako dla kontrastu wykorzystuje także naturalistyczny sposób obrazowania, co mogłoby



się wydawać zabiegiem ryzykownym pod względem estetycznym, jednakże jest uzasadnione wymową utworu. To właśnie w tej noweli pojawia się po raz pierwszy u Lubczenki Nietzscheański typ silnego człowieka, który odnajdziemy później w *Wertepie*.

W 1927 roku miesięcznik „Waplite” wydrukował fragment powieści *Neznani hosti* oraz mikropowieść *Obraza*. Powieść ta wpisuje się w nurt prozy satyrycznej, reprezentowanej między innymi przez twórczość Chwyłowego (*Iwan Iwanowycz, Rewizor*). Autor ukazuje w niej najważniejsze problemy społeczeństwa w okresie umacniania się władzy radzieckiej, a jednym z najciekawszych zjawisk opisanych przez Lubczenkę był bierny opór społeczeństwa wobec polityki ukrajinizacji. Środowisko radzieckiej biurokracji partyjnej i państwowej zostało odmalowane z sarkazmem w Gogolowskim duchu. Bohaterowie – zwykli ludzie – w zderzeniu z biurokratyczną machiną są skazani na zagładę – fizyczną lub duchową. Ich marzenia, by „stać się dzikusem i nie widzieć ani jednej radzieckiej fizjonomii. Choćby przez dzień czy dwa” czeka smutny koniec, a koniec ten, w formie donosu, dopisuje partyjna krytyka: „A może to autor pragnie uciec do tej błogosławionej krainy?”.

Dwa lata później ukazała się liryczna mikropowieść *Wertep*, którą krytyka określiła jako „misterium filozoficzne”. Utwór jest próbą syntezy filozofii ukraińskiego odrodzenia lat dwudziestych. Autorskie refleksje liryczne przeplatają się tu z filozoficznymi uogólnieniami, „sceny kukielkowe” – z codziennością. Lubczenko przeciwstawił w tym utworze Ukrainę dawną – nową, tradycyjną, rustykalną kulturę – kulturze nowoczesnej. Ukazał rodzące się nowoczesne państwo, którego naród wyzwoliwszy się z prowincjonalizmu przyłącza się do kultury europejskiej. Koncepcja ta, najdobitniej wyłożona przez Chwyłowego w pamfletach pochodzi z programów modernistów przełomu wieków. *Wertep* jest hymnem na cześć silnego człowieka, będącego według Lubczenki uosobieniem epoki. Pisarz odwołuje się w tym utworze do tradycji ukraińskiego mesjanizmu. Pierwszoplanową rolę odgrywa tu kobieta – symbol Ukrainy, co było zabiegiem często stosowanym, zwłaszcza w okresie romantyzmu i w neoromantycznych dramatach Łesi Ukrainki. Symbol ten wykorzystywali również najwybitniejsi pisarze lat dwudziestych – Mykoła Chwyłowy, Pawło Tyczyna, Mykoła Kulisz. Lubczenko w równie muzyczny, jak oni sposób buduje strukturę tekstu, który składa się – jak symfonia – z dziewięciu części oraz prologu i epilogu. Muzyce podporządkowana została nie tylko podstawowa konstrukcja tekstu, ale i jego ukryte znaczenia. Dla odczytania utworu istotne znaczenia ma także symbolika kolorów. Jurij Szerech (Szewelow), pisząc przed pół wiekiem o *Wertepie* jako utworze esencjonalnym, syntetyzującym najważniejsze dla epoki zjawiska, porównywał go do gotyckiej katedry, przywołując jednocześnie kontekst ekspresjonistycznego poematu *Sobor* Mykoły Bażana, poety współczesnego Lubczence. I choć *Wertep* wywodzi się z tradycji impresjonizmu, którego ekspresjonizm się przeciwstawiał, analogia jest uderzająca.

Po tym utworze ukazały się jeszcze trzy zbiory Lubczyńki: tomy opowiadań *Wona* (1929), *Witryła trywoh* oraz *Zemla horyt*<sup>1</sup>. Dwa ostatnie tytuły wiele mówią o trwożnym czasie, w którym zostały opublikowane.

W latach 1931-1933, w atmosferze narastającego terroru, pisarz kilkakrotnie został zmuszony do złożenia samokrytyki za „nacjonalistyczne odchylenia” w jego utworach. Najsilniej atakowano go za *Wertep* i *Obrazę*.

Wiosną 1933 roku Lubczyńko towarzyszył Chwyłowemu w jego podróży po wsiach wschodniej i centralnej Ukrainy. Podróż tę opisał we wspomnieniach *Joho tajemnyca*, opublikowanych już po śmierci. Lubczyńko zawarł w nich nie tylko straszliwe obrazy głodu, ale i relację o Chwyłowym – jego rosnącym przekonaniu o świadomej i celowej „organizacji” masowego głodu oraz o postanowieniu pisarza „jeszcze raz ruszyć pod prąd”, co autor wspomnień uznał za zapowiedź samobójczej śmierci Chwyłowego. Po ponownym przeniesieniu stolicy do Kijowa Lubczyńko wyjeżdża z Charkowa. W Kijowie zastaje go wojna. Nie do końca jest jasne, w jaki sposób uniknął ewakuacji – według Jurija Hamoraka, krakowskiego wydawcy utworów Lubczyńki, pisarz zbiegł z pociągu, eskortowanego przez NKWD; inni badacze, nie wnikając w szczegóły, piszą, że nie został ewakuowany, najwyraźniej unikając niepopularnego wątku, za radzieckich czasów bowiem interpretowano to jednoznacznie – jako zdradę ojczyzny. W okupowanym Charkowie Lubczyńko rozpoczął współpracę z gazetą „Nowa Ukrajina” (1941-42). Gdy w 1943 roku hitlerowski terror nasilił się, Lubczyńko znów wyjechał do Kijowa, a następnie uciekł do Lwowa. Mimo to nie uniknął aresztowania i został osadzony przez gestapo w więzieniu. Zwolniony w 1944 roku, ciężko chory, wyjechał do Niemiec, uchodząc przed prześladowaniami, grożącymi mu ze strony władzy radzieckiej. Zdołał wywieźć ze sobą archiwum *Waplite*, które stało się nieocenionym źródłem do badań prowadzonych na emigracji nad historią epoki.

Zmarł w Bad-Kissingen w Niemczech w 1945 roku, wyczerpany wielomiesięcznym pobytem w więzieniu. Po śmierci pisarza opublikowano fragmenty jego dziennika (*Szczodennyk*, 1951)<sup>\*</sup>, w którym Lubczyńko opisał między innymi krach iluzji i nadziei na niepodległość, wiązanych z przybyciem Niemców. Był jedynym pisarzem lat dwudziestych, którego utworów nie publikowano aż do początku lat dziewięćdziesiątych. Pierwszy wybór jego prozy ukazał się w 2000 r.

Ola Hnatiuk

<sup>\*</sup> Dziennik ten w całości ukazał się dopiero w 1999 r.

## Krew

Zimową nocą na skraj wielkiego leśnego parowu bezszelestnie wychodziły wilki. Grzęznąc w śnieżnym puchu pozostawionym przez niedawną zamieć, brnęły wolniutko, ostrożnie stawiając jedna za drugą sprężyste łapy. Czujnie nastawione uszy, sztywne karki i wysunięte w przód pyski sprawiały z daleka wrażenie, że wataha nie brodzi, lecz wypływa z leśnych ostępów.

Ściana lasu dochodziła aż do skraju parowu. Poniżej ciągnęło się ciemne pasmo zarośli. Wilki znieruchomiały, niewidoczne w cieniu krzaków. Tylko jeden, czujny, ogromny postąpił ostrożnie jeszcze kilka kroków, gdzie nieco na uboczu rósł rozłożysty krzew. Stąd było lepiej widać parów. Basior przyczał się i utkwiał wzrok w przestrzeni.

Wszędzie panowała niezwykła cisza. Tam, skąd wyszła wataha, wznosiła się wysoka, jednolita ściana boru, z przodu rozciągał się długi, kręty wąwóz. Tonący w śniegu, ujęty w dwie ściany lasu, sprawiał wrażenie jakby pochwyciły go dwie włochate łapy jakiegoś milczącego zwierza. Gdyby zwierz tylko trochę rozluźnił drapieżny chwyt, wilcze uszy na pewno ułowiłyby jakiś choćby najłżejszy dźwięk.

Wilk chciał go złowić. To pragnienie było tak silne, że mimo woli sam poruszył łapą. Wtedy rzeczywiście coś zaszeleściło: muśnięta gałązka drgnęła, gruba puchowa kiść osunęła się na ziemię. Basior nastawił uszy, zjeżył się.

I znów zaległa cisza. Wokół trwała głęboka noc. Na niebie jasno płonęły gwiazdy, w dole jak okiem sięgnąć stał się parzący mrozem śnieżny dywan. Bliżej rozpościerał się obojętny, niemy, drażniący swym milczeniem parów. Równie ponury jak zamarty w bezruchu las.

Ta zabójcza cisza towarzyszyła wilkom w ciągu całej wędrówki. Zdawało się, że wszystko wokół zastygło w kleszczach okrutnego zimna. Że pod całym niebem nie ma żywego ducha, prócz tej zdrożonej kudłatej watahy.

Niekiedy dolatywał skądś leciutki szelest lub urywany trzask. W spowijającej noc ciszy brzmiał jak wystrzał. Wilki nastawiały uszy, wznosiły w górę pyski, węsząc pożądliwie łup. Ale szybko opuszczały je rozczarowane: to tylko biała czapa zsuwała się z gałęzi, która prostowała się z ulgą uwolniona od zbędnego ciężaru.

I znowu zapadała cisza.

Wilki były spragnione jakiegoś odgłosu życia. Owego specyficznego, pulsującego dźwięku, który wstrzymuje oddech. Zagadkowego szmeru zniewalającego przez swoją bliskość, zagarniającego ciało w słodką drżącą niewolę. Ukradkowego odgłosu zdradzającego obecność innego życia. Nieśmiałego szelestu napełniającego pysk śliną, zmuszającego ożór do nerwowego oblizywania. Odgłosu pachnącego krwią.

Wilki były głodne.

Tyle już razy mijała noc, nastawał dzień, a one, choć robiły, co mogły, nie znajdowały nic do jedzenia. Ich matowa i zmierzwiona sierść, wystające żebra, wygięte w pałak grzbiety mówiły o długotrwałej męczarni głodu. Ale wciąż pokornie i z uporem ciągnęły jeden za drugim przez splątane zarośla i kopny śnieg zalewający leśne ostępy.

Czasami trafiały ponownie tam, gdzie niedawno były. Powtarzało się to drugi raz i trzeci. Zbite z tropu kręciły się w kółko jak odurzone. Przecież nic do jedzenia nie mogło być tam, którędy przeszły. Wtedy rozeźlone wyszczerzały się na swego przewodnika. Ten nie pozostawał im dłużny, jednak zmieniał kierunek.

W miarę jak głód stawał się coraz dokuczliwszy, narastała w nich złość. Zwłaszcza w dzień, kiedy w jasnym świetle szanse na jakąś zdobycz spadały do zera, gdy coraz dłużej trzeba było przesiadywać w ukryciu. Zgraja biegła bezładnie, by jak najszybciej zapaść w jakichś zaroślach, zwinąć się w kłębek i grzać się nawzajem swym ciepłem. Wtedy chłód na chwilę ustępował. Wilki leżały ciasno jeden obok drugiego, z nosami wtulonymi w sierść sąsiada. Zdarzało się, że ciepła woń przywodziła wspomnienie jakiegoś innego upragnionego zapachu, który drażnił i wodził na pokuszenie. Pod przymkniętymi powiekami majaczyły w półśnie niewyraźne wspomnienia drgającego, jeszcze ciepłego mięsa, słodkavo-cierpkiej krwi.

Zwidy były tak silne, zapach krwi tak wyrazisty, że ich oddech stawał się żywszy, nozdrza rozdymały się namiętnie. Śniły im się drapieżne pogonie, łechzcząca nerwy bliskość ofiar, rozkoszne szarpanie i pożeranie. Ciałem wstrząsały dreszcze, z gardzieli dobywał się cichy skowyt. Ocknąwszy się toczyły błędnym wzrokiem, niespokojne i rozdrażnione i dopiero po chwili, uświadomiwszy sobie smutną rzeczywistość, znów stawały się złe i ponure.

W takich właśnie chwilach ssanie w brzuchu robiło się aż bolesne, trzewia skręcały się jakby rozdierane pazurami. W ślepiach narastała wściekłość, nągła, nieopanowana złość na to nieznanne zwierzę, które z uporem wyżerało im wnętrzności. Bezsensowna złość na własne nierozumne majaki. Mroczna złość na obrzydłych, tak samo rozeźlonych, niecierpliwych sąsiadów. Niesamowita złość na cichy, bardzo cichy, biały, bardzo biały dzień, który zdawał się drwić z ich beznadziei. Wilcza złość na cały otaczający je świat.

Gdy dzień powoli odchodził w niebyt, na jego miejsce ukradkiem wkraczał miękkołapy zmierzch. Wtedy zgraja oddychała z ulgą. Wysuwający się spoza drzew nastroszony i tajemniczy mrok zdawał się nieść ze sobą jakąś zmwę. Jakąś ponurą tajemnicę, mroczną zagadkę nadchodzącej nocy. Stąd płynęła ulga, w tym kryła się pociecha: ciemność niosła w sobie nadzieję.

Zmrok to było nowe życie. Otoczenie wyzbywało się nieznośnej monotonii, przyoblekało nowe formy, napełniało nową treścią. Bezgłośną gromadą zewsząd zbiegały się cienie, odcienie i półcienie, las zdawał się pełen jakichś milczących stworów. Zmieniały się i zacierały ostre niedawno kontury, pnie drzew, zarośla, każda najmniejsza gałązka zdawała się żyć własnym życiem.

Mnogość ruchliwych cieni stwarzała gościnne przytulisko: dla jednych zbawczą kryjówkę, dla drugich wymarzoną zasadzkę. O tej porze między wilkami a otoczeniem zawiązywała się jakaś swoista zmowa. Instykt pozwalał im znakomicie rozumieć otaczający je świat, bezbłędnie odróżniać najcichsze szmery, szelesty, dźwięki.

Głód wysysał ich siły, ale wzmagał zachłanność, wyostrzał i wyczułał zmysły. Potrafiły zamierać bez ruchu w takim napięciu, że niemal nie odczuwały swych ciał, przeobrażały się w jeden kłębek nerwów. Rozglądały się niepewnie, jakby w obawie, że stukot ich serc słyhać w calutkim lesie.

Mijała ciężka od ciszy noc, wstawał ostrożny, jakby drwiący dzień. Mijał dzień, następowała ciemna, ciężarna zmową noc. Ale nigdzie nie było ani śladu życia.

Ostatniej doby coś się jednak zmieniło: powietrze jakby zmiękło i zaczął sypać gęsty, puszysty jak zajęcza turzyca śnieg. Nikłe poddmuchy wiatru niosły świeże, choć odległe, dawno nie łowione zapachy.

Ale o świcie wiatr stęzał, wprawiając wierzchołki drzew w rozkołysany poszum. Zaraz potem pod mocnym uderzeniem wichury las aż przyklął; drzewa zaskrzyptały i jęły pośpiesznie zrzucać śniegowe czapy. Wietrzysko zakręciło białą kurzawą, uniosło ją w górę, rzuciło w dół, zaskomlało, przestroniło niebo pianistymi zawijasami.

Zamieć szalała aż do wieczora. Zarośla utonęły w zaspach, znikły pod wysokimi pagórkami śniegu. Inne wynurzały się na powierzchnię. Na nie osłoniętych miejscach powstawały głębokie jamy, po chwili jamy zmieniały się w kopce lub rozsypywały się i znikały.

Cały dzień zgraja spędziła w niewielkiej rozpadlinie pod osłoną nisko zwisających gałęzi. Pod wieczór zaczął chwytać mróz, jeszcze silniejszy i bardziej parzący niż za dnia. Zmarznięta do szpiku kości zgraja czuła już tylko głuchą niechęć do życia.

Za to rozpogodziło się. Na świeżym śniegu nie mógł się ukryć żaden nowy ślad. W wilczych sercach ozwał się niedosłyszalny, pełen nadziei skowyt. Wstawały sztywno, strząsając z siebie całą słabość, nudę i niewygodę. Niecierpliwsze przeciągały się z chrzęstem zlodowaciałej skóry. Jeszcze inne oblizywały się słodko, bacznie stawiając uszy i wyciągając nosy pod wiatr.

Instykt podpowiadał im, że wszystko, co żyje, zacznie teraz wychodzić z kryjówek w poszukiwaniu jedzenia. Wystarczy bystro rozglądać się dokoła, zdwoić ostrożność – i zdobycz sama wpadnie w zęby.

Głód nakazywał przeżyć za wszelką cenę. Pobudzał żądzę życia. Zdecydowane i zawzięte, ale wciąż baczne i ostrożne, ruszyły przez siny zimowy zmierzch – w noc.

Zapadały się po pierś, grzęzły po szyję. Tylko czasem trafiały na twarde, wylizane przez wiatr zagłębienia, gdzie udawało się zrobić dwa, trzy susy. Ta bezsensowna męka wzmagiała rozdrażnienie, a na wypadek łowów mogła utrudnić pogoń.

Najtrudniej miał przewodnik. Pierwszy nurzał się w świeżym śniegu, roztrącał go piersią, rozrzucał łapami. Jemu nie wolno było okazać zmęczenia. Musiał iść pewnie, twardo, niezmiernie.

Czas płynął. Wataha uparcie parła naprzód, kluczyła, zawracała. I nagle natknęła się na świeży, prawie ciepły trop. Rozpoczęła się zaciekle pogoń. Jakaś przemożna siła kazała im gnać na złamanie karku. Nie wiedziały, jak długo to trwało. Dopiero kiedy z rozpędu wpadły w głęboką zaspę, stanęły.

Przewodnik nastawił uszu. Cała zgraja także zmieniła się w słuch. Woń tropu, z początku tak mocna, wyraźnie osłabła. Wilki pojęły, że zaszła pomyłka, że trzeba było pognać w przeciwną stronę, że przewodnik, ten głupi, zniechęcony przewodnik...

Ale stary basior też zdążył się już połapać. Potężnym susem rzucił się w tył. Wataha za nim.

Była to wściekła gonitwa. Bure cienie mknęły jak wichry, wznosząc białą kurzawę. Parów to oddalał się, to zbliżał. Z obu stron kołysał się las. W górze kołysało się niebo, wirowały gwiazdy. Gorące oddechy mieszały się z lodowatym powietrzem. Serca omal nie wyskoczyły z piersi.

Nagle przewodnik stanął jak wryty. Pędząca na oślep zgraja wpadła na niego. W rozpalonej wyobraźni zdobywców już chrzęściła w zębach, kłapiące pyski wyciągały się po łup.

Łupu nie było, ale z pobliza niosła się ostra, rozkosznie drażniąca woń. Opodal czerniały świeże, jeszcze nie zamarzone kozie bobki. To właśnie do reszty zmąciło wilczą świadomość. Młasnęły opuchnięte jęzory, pyski nabiegły śliną. Niepokojnie poruszyły się łapy. Ale ślad płątał się, gubił w twardym jak kamień śniegu... Zbite z tropu rozbiegły się na wszystkie strony, z nosami przy ziemi. Rozpłaszczały się na śniegu, węszyły, szukały... Krzyżujące się ślady ich własnych łap tworzyły gąszcz, dezorientowały, wprawiały w popłoch i rozpacz.

Niebawem cała zgraja znalazła się na niewielkiej polanie. Zziębnięte, zawstyżone bały się spojrzeć sobie w oczy. Dla wszystkich stało się jasne, że łowy zostały przegrane.

Fala mdłości podeszła do gardeł. Nieprzytomnie nienawidziły się nawzajem, wszystkie razem i każdy z osobna.

Gdzie był przewodnik? Gdzie jego doświadczenie? Jak mógł przegapić? Płonące złością ślepia zwróciły się w stronę starego wygi.

Ale niebawem głód wziął górę. Ślepia przygasty, pyski uniosły się, w gardzielach nabrzmiewał żalostny skowyt. Skowyt strachu, przed którym nie ma ucieczki. Skulone, umęczone, przyprószone śniegiem liznęły łyk białego puchu i podwinąwszy ogony, wolno jak sznur skazańców powlokły się w las.

Wtedy właśnie przewodnik poczuł, że łapy uginają się pod nim. Że jeszcze chwila i padnie, a wtedy zgraja rozerwie go na strzępy. Śmierć zajrzała mu w ślepia, słyszał niemal, jak skóra na grzbiecie pęka z trzaskiem i płatami opada na ziemię. I choć szalona gonitwa odebrała mu resztki energii, choć świat koły-

sał się i wirował, gorące tchnienie śmierci podziałało cucąco. Poczuł, że wstępują w niego świeże, może już ostatnie siły.

Zebrał się w sobie, skoczył w bok, jakby uchylając się przed ciosem, obrócił się i wyszczerzył kły. Potem, starając się utrzymać równowagę i do reszty nie pogrzebać swego autorytetu (choć jeszcze przed chwilą ugiwały się pod nim łapy) zrobił kilka kroków i z udaną nonszalancją podniósł tylną nogę...

Zgraja dała się nabrać. Wszystko wyglądało tak naturalnie, tyle w tym było wigoru i chęci życia, tyle pewności siebie, że moment zagrożenia minął. Niektóre samce obwąchiwały skropione przed chwilą miejsce i same unosiły łapę. Poniechawszy krwiożerczych zamiarów wataha znów ustawiła się za przywódcą i powoli zaczęła wsiąkać w mrok.

Mimo wszystko na coś czekały.

Żaden ani przez chwilę nie pomyślał, że może zginąć. Ciepła krew, która tak kusząco pachniała w wyobraźni, zawsze była cudza. Własna nakazywała nadzieję, prowadziła, napełniała wolą życia, namiętnością szukania, żądzą walki.

Znów znalazły się na skraju tego samego parowu, tyle że dalej niż poprzednio. Tu kończyła się wysoka, jednolita ściana boru. Wilki znieruchomiały, niewidoczne w cieniu krzaków. Przewodnik postąpił ostrożnie jeszcze kilka kroków, gdzie nieco na uboczu rósł rozłożysty krzew. Stąd było lepiej widać oba brzegi parowu. Basior przycałił się i utkwiał wzrok w przestrzeni.

Tonący w śniegu, ujęty w dwie ściany lasu parów sprawiał wrażenie, jakby pochwytyły go dwie włochate łapy jakiegoś śpiącego zwierza. Wyglądał jak wielkie jezioro, na którego białej gładzi nie mógł się ukryć żaden trop. W śnieżnej, zamkniętej lasem przestrzeni, każdy, nawet najodleglejszy dźwięk musiał odbijać się zwielokrotnionym echem. Tak podpowiadał instynkt.

Jednak w szklanej tafli powietrza nie drgał żaden podniecający, pachnący krwią dźwięk życia. Było niezwykle cicho. Nad światem królowała roziskrzona noc.

Basior czuł się źle. Zwierzchnikiem zgrai został w dniu, kiedy ostatni raz jedli do syta. Wtedy stoczył zażarty bój o przywództwo. Teraz chciał się wycofać, próbował nawet chyłkiem wślizgnąć się między inne wilki. Ale ilekroć zwalniał, pozwalając któremuś wysforować się naprzód, wataha zwalniała także, z uporem pozostawiając go na czele. I wcale nie dlatego, że miał swoje lata, że stało za nim duże doświadczenie. Po prostu widmo śmierci, jakie zawisło nad zgrają było zbyt bliskie, żeby któreś zwierzę chciało zająć jego miejsce.

Ale teraz czuł narastające z tyłu napięcie. Wiedział, że coraz więcej ślepi chciwie wpatruje się w niego. Wyczuwał przez skórę, że zgraja nie może mu zapomnieć nieudanej pogoni. Że nienawidzi go równie silnie, jak on nienawidził jej.

We łbie kręciło mu się ze zmęczenia. W ślepiach latały mroczki. W łapy wbijały się igiełki mrozu, kłujący chłód przejmował do kości.

Ostatkiem sił zjeżył sierść.

Niekiedy zamróz, przebiegłszy całe ciało zdawał się opadać w śnieg. To był krótki moment ulgi. Mroczna pajęczyna zaczynała spowijać sąsiednie drzewa i zarośla, napełniała zubożeniem, kusiła do przymknięcia oczu, do drzemki. Wiedział, że nie może sobie na to pozwolić, ale to było silniejsze.

Kiedy tylko przymykał ślepią, w brzuchu zaczynało boleśnie ssać. Wtedy aż kulił się w sobie, coś w nim wyło bezgłośnie. Potem zamierało. Po całym ciele rozlewała się dziwna mdłość, zupełnie jak w czasie rui. Napełniała żyły, ciążyła, wgniatała w śnieg.

Wiele dałby za to, żeby się położyć. Ale to nie wchodziło w rachubę. Czuł, że w końcu jednak nie zdierży, legnie, by już nie powstać.

W migotliwym półśnie nagle pojawiła się tęcza. Oba jej końce tonęły w rzadziejcej mgle. Ona sama także powoli bladła. Wyraźny był tylko skraj lasu obłany wiosennym słońcem. W dole toczy się szary uszaty kłębek. Basior zabiega mu drogę. W nozdrzach wierci mocny, drażniący zapach. W uszach tętni odgłos szaleńczych susów...

Wzdrygnął się ogłupiały, ostatkiem sił rozwarł ślepią. W pobliżu faktycznie coś szeleściło – to czochrał się któryś ze zgrai. Obejrzał się z wyrzutem: szelest mógł zdradzić ich kryjówkę. W odpowiedzi z mroku strzeliło ku niemu kilkanaście żółtozielonych światełek. Wolno odwrócił tęb, udając obojętność. Ale rozumiał. W złowieszczym żółtozielonym błysku czaiła się żądza mordy.

Wtedy zrodził się w nim strach. Instykt samozachowawczy, cała nagromadzona w nim mściwa złość jeszcze raz kazały mu stawić opór. Ponownie obejrzał się na towarzyszy i tak samo groźnie błysnął ślepiami.

To był błąd. Gromada nie znosi groźby. Świadoma własnej siły i przewagi nie toleruje sprzeciwu. W swej zaciętości uznaje tylko pokorę; tylko pokorny członek gromady ma prawo do wspólnoty.

To był wielki błąd. Zgraja zgodnie wyszczerzyła zęby, gotowa rzucić się na swego przywódcę. Podobnie jak przedtem, basior odwrócił się z udaną obojętnością. Niech wiedzą, jaki jest silny. Ale tym razem upewnił się, że z tyłu naprawdę czai się śmierć. To nim wstrząsnęło. Teraz, choćby się bardzo starał, nie mógł już ukryć wielkiego, obezwładniającego lęku.

Najgorsze, że zgraja wiedziała o tym. Wiedziała, że on się boi. Wiedziała, że targa nim strach, niepewność, zagubienie. Że czuje swój nikczemny koniec. Ta wiedza jeszcze silniej rozpałała nienawiść, podsyciała zawziętość i okrucieństwo. Zgraja chciała wziąć odwet za długie niepowodzenia, za całą obecną biedę. Zbiorowy instykt podpowiadał jedyny sposób uniknięcia zagłady, podsuwał najlepsze wyjście.

Wataha przycisnęła się. Czekala tylko na ten ostatni, najtrudniejszy, wewnętrzny sygnał przecinający niewidzialną nić, która łączyła ją z przewodnikiem, powstrzymywała. Jeszcze powstrzymywała. Basior dobrze wiedział, że starczy, żeby odważył się jeden. Teraz byle ruch – i koniec. Z napięcia rozdzwoniło mu się w uszach. Parów zakołysał się. Ciałem wstrząsnął kłujący, gorączkowy dreszcz, w nos uderzyła wyraźna, deprymująca woń padliny.



Zerwać się? Uciekać?

Natychmiast go dopadną.

Niech tam! Lepiej zginąć w walce.

Ostrożnie przestąpił z łapy na łapę. Dreszcz przebiegł po skórze i boleśnie zsunął się w śnieg. Teraz nie mógł się nawet obejrzeć. Strach nie pozwalał na najmniejszy ruch. Obezwładniła go niezwykciona zbiorowa siła, która czaiła się z tyłu, ciężka, paraliżująca. Tkwił bez ruchu. Na razie powstrzymywało to jeszcze te, które przycupnęły za nim, zmuszało je do takiej samej nieruchomości. To była ostatnia szansa.

A potem zawył. Tęsknie, beznadziejnie, bezgłośnie. Nadal siedział milczący, jak wyciosany z kamienia. Ale rozpacz i strach wyły w nim przez zaciśnięte zęby. Czuł się tak skrzywdzony, że nie mógł nie płakać, tak słaby i wynędzniały, że pragnął tylko pokornie przypaść do czyichś potężnych łap, łąsić się do nich, lizać, błagać...

Żadne z siedzących z tyłu zwierząt nie słyszało tego skowytu. Tylko w jego uszach dźwięczał własny lament, gorzka, piekąca skarga.

Nie mógł zdzierżyć dłużej. Był gotów. Niech to się wreszcie zacznie. Nie mógł przełknąć śliny, w skroniach łomotało. Łeb płonał.

Nagle z tyłu coś dało potężnego susa, bury cień śmignął obok niego i rzucił się do parowu.

Skoczył i on.

Za nim – cała zgraja.

Wszystko rozegrało się błyskawicznie. Sadził na przełaj przez parów w szalonej pogoni za burym cieniem, który przed chwilą przemknął obok. Wiedział, że to nie przypadek, że tym z tyłu wygodniej jest tak go dopaść, że teraz za wszelką cenę musi złapać tamtego i zatopić kły w jego gardle. Inaczej lada chwila zgraja rozedrze go na strzępy.

Spiesz się, jeśli masz siłę! Strzeż się!

Śnieg przyskał spod rozpędzonych łap, które zapadały się, to ślizgały na złodzonym podłożu. Śnieżne zasy, drzewa i zarośla umykały w tył, zdawało się, że cały świat ruszył z miejsca, gna, pędzi.

Chyba nigdy zgraja nie czuła się tak lekka i sprytna. A on jeszcze nigdy nie zaznał podobnej gonitwy.

Odległość między nim a tym na przedzie wciąż się zmniejszała. Ale i wataha wciąż była bliżej. Czuł na karku ich zziajane oddechy...

Jeszcze chwila i go dopadną.

Już są obok.

Ale jakoś go nie zaczepiają.

Jeszcze nie.

Czemu?

Kiedy otrząsnął się z pierwszej fali strachu, zrozumiał. Instynktownie pojął, co się stało. Nozdrza wypełniły się mocnym, kuszącym zapachem innego zwierzęcia, uszy złowiły podniecający tupot ucieczki. Wraz z całą zgrają pędził

tropem zdobyczy, którą pierwszy dostrzegł ten, co przemknął obok niego i skoczył do parowu.

A więc to nie na niego polują! Więc będzie żyć! Żyć i zreć! Bo łup jest już blisko. Szary cień rąco miga między drzewami.

Jeszcze nie mógł uwierzyć. Rozradowany, podniecony przyspieszył, chcąc przeciąć drogę ofierze. Gnał tak, że jego sterane serce omal nie wyskoczyło z piersi.

Wilki sadziły długimi susami, wyprzedzając się wzajemnie. Każdy chciał wygrać szaleńczy wyścig o lepszy kęs.

Ogarnięty mroczną pożądliwością, w zapamiętaniu prawie nie wiedział, co się stało potem. Na oślepiep zwałił się na leżącą w śniegu leśną kozę. Jego pysk kłapnął mechanicznie, kły zwarły się...

Co za szczęście! Ciepłe, drgające mięso, słodkawo-cierpka krew. Wstrząsnął się konwulsyjnie, ale kły nie puszczały.

Wilki przepychały się, kąsały. Rwać i szarpać! Spiesz się, jeśli masz siłę! Dławiły się, czekały, zakrwawione jęzory lizały ciepłą juchę. Spiesz się!

Szarpnął się znowu, ale zaciśnięte szczęki nie chciały się rozewrzeć.

Wtedy świat zakołysał się, zawirował i ciężko zwałił się w jakąś otchłań. On także bezwładnie poleciał w dół. Na samym dnie dopadł go straszny, mdlący ból w piersi. Wilcze serce faktycznie nie wytrzymało.

Ślepie wyszły mu na wierzch. Zdażył jeszcze zobaczyć rozmazane gwiazdy, które lśnięcymi smugami spadały w śnieg. Jeszcze raz chciał szarpnąć się w tył, wypuścić zdobycz, ale jakaś bolesna ekstaza jeszcze mocniej zwierała śmiertelny chwyt.

Teraz był dla nich tylko zawadą – dziwaczną, ciężką, nieruchomą. Szczęrzyły się na niego, warczały, próbowały kąsać. W końcu któryś zebrał się na odwagę i targnął ochłap wystający z zaciśniętej na zawsze paszczy.

*Tłum. Tatiana Hołyńska*

## Stepowa legenda

### I

Słoneczna wiejba rozdymała młodą pierś, w żyłach płynęła upojna smolistość. Oj, płynęły w błękit zielone przestrzenie bez końca, bez kraju...

Mijały wonne, soczyste dni, noce ulatywały w nieznane, tężał w stepie od zmroku do świtu rosisty szron. Płynęły w błękit zielone przestrzenie bez kresu i bez końca...

Zatupotały po rosie dzikogrzywe tabuny, nadleciał w ich ślady ludzki gwar. Zapłonęły ogniska. Kurzawa nad stepem.

Płomienie ognisk lizały niebo. Szczrzył do nich zęby szczęśliwy War, miał w rękę mięsiste łopiany. Zielonosokiem ramiona nacierał, głęboko wciągał powietrze. Oj, dobrze wiedział, jak pachnie słońce!

Tak żył swobodny, smagły War.

Ułowił w trawie jakiś szelest, już do ziemi jak drapieznik przypadł, rozpoznać się stara:

Zając?

Lis?

Wskoczyć na konia – dopaść.

A wiatr mu prosto w pierś: Stój!

Stój! I ramionami niewidzialne fale roztrąca.

...uuj ...uuj niesie się z dalekich jarów. Młodzian tylko śmiechem wybucha.

Gromów władcyka z chmur ogień krzesa, niebo błyskawicą pruje. Hajdarzy – pastuchy w popłochu twarzą do ziemi przypadają. War mknie jak szalony, przeciw wiatrowi pierś rozchełstaną pręży – masz!

## II

Zielone morze. Stada, tabuny. Hej, hej!

Hajdarzy to ludzie niewolni.

Nie po myśli im stada wypasać, ale z tyłu namioty. W namiotach basmani, nahaje. Tam książ przeklęty wśród kobiet siedzi, wino z dzbana pociąga, zbrojnych gromada pod stopy mu obleśnie śmiech sypie.

I myślał War:

– Czyż bez kniaziów nie można?

Uuj... – niosło się z dalekich jarów.

Zielone morze podchwyciło i poniosło szeroko:

Uuj...

Czyż bez kniaziów nie można?

Pot kwieciami z ziemi wyrastał, spadała w otchłań noc. I znów do świtu z kniazych namiotów niósł się niespokojny rozgwar, od łuny ognisk chyliły się trawy, biły kopytami spłoszone konie.

Czy naprawdę nie można?

## III

Wypełniły się żyły upojną smolistością, zapłonęła ogniem siedemnasta wiosna.

Z rozrzuconymi na ziemi ramionami wyglądał hajdar błękitnookiej hajdarki. Już szła w radosnych uśmiechach, co i rusz na kniaże namioty popatrując.

– Loan, o, chodź, Loan!

Uśmiechała się radośnie, oglądała z obawą.

– O, chodź!

Ognisty kumys żarem żyły napełnił.

Chwycił ją w ramiona War i uniósł hen, jak wicher. Aż padli oboje bez tchu.

– War... War...

Słodycz miodu na wargach, zapach gęsty warkoczy...

#### IV

Hen płowe pszeniczne łany jak morze, hen na brzegu grodzisko białe.

Sprzedawali Wara obcym za pierścień złoty.

Tak ciemnoskóry bachmat bystrym okiem toczy, bezgłośnie drży, wyczekuje.

Gdzieś tam upojnie pachniały łopiany, upojnie pachniały warkocze...

Co?

Nie!

Raz! Raz! Zerwał się, stęknęło czyjeś brzuszysko, sypnęło piaskiem w oczy.

Uuj... zakotłowały się pszenne łany. Uuj... strzałą pomknęło w step.

Już z tyłu zostały nadbrzeżne pagórki, już szerokim kręgiem omijali koczowisko, kiedy złapali Wara.

– Uciekać chciałeś?

Długo jątrzyły się rany. Wylizywał je War, ziemią wilgotną okładał, zęby nad ogniskiem zaciskał.

A wyzdrowiał – nie ten sam. Jakby coś na niego padło. Skradał się, boczył, w oczy nie patrzył.

I tylko jak rozhowory o nędznym hajdarskim losie się zaczynały, jak brodatej starszyźnie bielmo z oczu spadało, a młodym krew się burzyła, wybuchał War.

– Na co nam kniaź i zbrojna gromada? Po co?

A brwi miał jak skrzydła orła.

– Po co?

#### V

Nie chmura to nisko nad stepem zawisła, nie rozhukany tabun bił w ziemię kopytami. W nocnej ciemności drapieżnie podkradali się Sarmaci.

O świcie cienko bzyknęły pierzaste strzały.

Podniósł się w obozie trwożny gwar – za późno. Już wróg dokonał swego dzieła, już znikał we mgle.

Czemuż to hajdarzy tak mocno zasnęli, czemu dobra kniażego nie doglądali, wroga drapieżcę do obozu wpuścili?

– Nahaje!

I się zaczęło. Po trawach spłoszonych syk żmijowy przeleciał.

Gdzie się kto potknął, gdzie padł, tam jeno strzęp krwawy, nie ciało.

Aż do wieczora jękiem kołysał się błękit. Do późnej nocy spłoszony War z szelestem w trawach nurkował. Długo zdławionym bólem krzyczał mrok.

Zlany krwią do stóp kamiennego posagu przypadł.

– Ty widzisz? Ty słyszysz?

I bogu w martwe oczy splunął.

– Ty!

Rżała noc.

## VI

Kniaź pochód sprawiał.

Rój rozwścieczony zawichrzył, szczęknięło, zgrzytnęło. Topory i spisy w słońcu błysnęły.

Wino rzeką spłynęło. I zachłystując się, wrzeszczała zbrojna gromada: Zawojujemy Sarmatów!

Z nastaniem nocy War naszeptywać począł:

– Uciekajmy! Po co nam w pochód? Uciekajmy!

– Dokąd?

– Mało to miejsca? Sami żyć będziem, bez kniaziów.

Zmilkli hajdarzy, oczy ku kniaziym namiotom skosili.

– Uderzmy na nich! Wino ich zmogło, a nas jest chmara! Nasze zwycięstwo!

Zaszumiało szalone wezwanie, iskrami z ust do ust przebiegło.

– Ja z tobą! – nóż w ręku Loan zabłysnął.

Zapłonęły hajdarskie serca, lecz myśli w dwie strony pobiegły.

– Jeszcze nie pora! Odczekać trzeba.

– Ruszajmy żwawo! Już dość tej zwłoki!

Skłębiła się gromada jak mrówek kopiec. Z wiatrem niósł się przeciągły gwar...

– U-lu-lu! – uderzono w namiotach na alarm. Strwożone mrowisko spłynęło w trawy.

Hej, dokąd wy, bojaźliwi?

W step, byle dalej.

A już z namiotów szczęk, tupot.

– No, uważajcie!

Złapał na konia niebieskooką, w step, byle dalej.

Ścigał ich wrzask, drapieżny świst arkanów.

## VII

Stanęli przed kniazem uciekinierzy.

– Tacyście... – zmrużył oczy.

Długo zaległo milczenie, wzrok kniazia świdrował Loan.

– Piękna... – rzekł wreszcie. – Pierwszy raz taką piękność widzę. By nie uciekła, do mego namiotu ją rzućcie.

Do nóg mu padła podcięta:

– Wszystko, co zechcesz, wszystko, co powiesz, byleś przy życiu Wara zostawił. Jam tylko winna!

– Dość! – pchnął ją kniaź.

– Ty jutro w pochód – do Wara powiedział. – Jeśliś naprawdę odważny, sto głów sarmackich przede mną złożysz.

## VIII

Kładły się trawy pod kopyt nawałą. Step stał w milczeniu.

Mijały noce, wstawały dni, step stał w milczeniu, step piękny, zdradliwy.

Nad głową Wara skrzydlata myśl: Poznasz ty, kniaziu, moja odwagę!

Mijały noce.

Dał czarną trawą zamajaczyła.

Trwożnie zajęczał sarmacki bęben, świt wstał nad stepem.

Nie gromów władca swoim krzesiwem rozsypał werble, nie chmur naręcza wiatrem pognane zakryły słońce, aż jęk powietrzem przeleciał... W śmiertelnym boju w stepie się zwały dwa dzikie zwierza.

Tabun na tabun. Krew nad trawami jak opar...

Poznasz ty, kniaziu, moja odwagę! Jak burza runął w największy gąszcz.

Pod boki kniazia wraże łby strąca. Wystarczy chwila, młodzian niebaczny kniazia toporem ugodzi.

Nijak nie idzie. Wierni wojacy księcia drużyny chytrze mu ramię podbijają. Sarmaci swoje szeregi zwarli, kniazio wi woje tyły podali.

Kniaz skinął dłonią. Niebieskooką kochankę swoją na koń przywiązać każe. Spisą po zadzie i na Sarmatów cwałem bachmata wypuszcza.

Wrogów nawała jak stado kruków pokryła dziwnego jeźdźca. Z nowym zapałem książęcy woje ruszyli.

War gnał na oślep. Wiatr w uszach świstał, trzask gruchotanych kości.

## IX

Zmierzchało w stepie, kiedy dopiero Sarmaci tyły podali, trupami ścieląc dolinę.

Ciągnęły nad nią długie westchnienia, mroczna syciła się zemsta.

– Gdzież jest ten młodzian – zawołał książę – co szlak mi wraźymi trupami wymościsz?

Stawiono Wara.

– Masz tu, wojaku, mój róg książęcy, łyknijże sobie na zdrowie. Odważnyś bardzo.

– Tak, panie, jeno sprytu mi jeszcze brakuje. Dopiero wtedy godnym się stanę, by wypić z twojego rogu. Zasłużyć muszę na twoją łaskę.

– Widzę, że sługą gorliwym jesteś. Cóż, jeśli tak, od dzisiaj ciebie za giermka swojego biorę.

I pierścień z palca rzucił Warowi niedbale.

## X

Mijały pachnące, soczyste dni, ulatywały w nieznane noce, od zmierzchu do świtu perlił się w stepie szron.

Trudzili się hajdarzy, czuwali basmani, świstały nahaje.

– Nic to, czekajcie, byle nie przegapić – z książęcych namiotów przekradał się giermek. – Ja teraz z wami do końca. Tylko nie przespać chwili dogodnej.

Śmiech urągliwy, gorzkie zniewagi padały w odpowiedzi. Wiedzieli hajdarzy, jak to w namiotach kniaźych szanują giermka.

– Gadaj zdrów, giermku! Gdy nas sprzedano, tyś się salwował ucieczką. W ukryciu żyłeś, a teraz oto za pierścień się zaprzedałeś.

Młodzian gniewem na braci płonął, lecz jego słowa jak zwiędłe liście wicher unosił.

Szedł precz ponury.

Na wilczych skórkach kniazia pieszczoty z niebieskooką hajdarką. War nisko pochylał głowę. Kładł się na trawie i nożem ziemię na pianę zbijał.

– Poczekajcie! – morzem zielonym serce tęskniło. Dość uciekania, wytrwam do końca...

## XI

Aż pewnej nocy... Step już nie pachniał miodową wonią trawy. Z namiotów niósł się odór kumysu, wina i potu.

Wokół ogniska pijaków rozgwar, objęcia, pocałunki mokre od śliny na ustach Wara składają.

– Nasz kniaź ma giermka jak psa wiernego.

I z nagła sen ich morzył. Gdzie który siedział, padał bez życia.

– Oj, giermku, nie śpij – z rozwianym włosom Loan się skrada. W ucho gorący szept się nasącza. – Kniaź mnie z namiotu dzisiaj przepędził. Sam został. Ruszaj mój miły!

Zerwał się młodzian, zniknął w pomroce.

(... gdzieś tylko topór zaświstał i ugrzązał w czaszce na wieczny sen...)

Z namiotu wychodząc zataczał się War.

(...gdzieś tam hasały zgłupiałe bachmaty – rżała noc...)

Długo kumysem skrapiali dymiące ognisko. Śmiechem zanosił się młodzian.

## XII

Rankiem złotymi bryzgami zawrzało słońce.

– Książ ubity!

Szczęknięło, błysnęło w obozie, strach przez namioty przeleciał. Pewna-li wieść takowa?

– Książ ubity! – jęczało w przestrzeni.

Kniazia najmilszych, kochankę i giermka w łyka związano, w pośpiechu obóz na nogi stanął żałobny pochód formować.

Smutek się głuchy rozpostarł.

Spadały weń noce, dni w wiejbie słonecznej płonęły.

Rankami dziad na kosturze karby zaciął. Trzy dziesiątki zaciął, nim ucichł skrzyp wozów, zanim zmęczony legł na mogile kobiecy lament.

Głęboką w stepie mogiłę kopali, niech odpoczywa w spokoju książ groźny. U jego boku niebieskooka i śmiały giermek niech leżą.

Tylko hajdarzy, co kurhan sypali wiedzieli, kto w nim na wieki śpi. W ciszy przysięgę milczenia składali.

Tabunem rączym dni przebiegały, sunęły w zadumie wieki długogrzywe. W stepach zwycięski gwizd parowozów nie maści ciszy mogiły.

Wiatr bystroskrzydły nad nią przeleci, muśnie łopiany. Lecz zanim zegną się w kornym pokłonie, on już hen w zbożu buszuje.

Tłum. *Tatiana Hołyńska*





## Geo Szkurupij (1903 – 1943)

Geo Szkurupij (właściwie Jurij Szkurupij) urodził się w miasteczku Bendery w Besarabii. Matka była nauczycielką, ojciec maszynistą kolejowym. Dzieciństwo spędził na Podolu, następnie podjął naukę w jednym z kijowskich gimnazjów, później zaś w Instytucie Stosunków Międzynarodowych, którego nie ukończył ze względu na zmianę zainteresowań (dziennikarstwo). Zadebiutował w 1920 r. utworem prozatorskim *My*, opublikowanym w almanachu *Hrono*. Pierwszy zbiór poezji *Psychotezy. Witryna tretia* (1922) ukazał się w panfuturystycznym wydawnictwie „Golfsztrom”, rok później wydano zbiór *Baraban. Witryna druha*. Już wtedy lider futuryzmu Mychajl Semenko charakteryzował go jako obiecującego awangardystę, „dowcipnego destruktora i poezjomalarza”.

W latach 1924-1927 nastąpiła przerwa w aktywności futurystycznej Szkurupija, bowiem w tym okresie starał się on dotrzeć do szerszego kręgu odbiorców. Pisarz ograniczył działania eksperymentatorskie, zrezygnował, przynajmniej częściowo, z arystokratycznego przywileju „niepodobania się”, włączając się w szeroki nurt dyskusji literackich, dotyczących zarówno problematyki formalnej, jak i światopoglądowej. Swoistym dokumentem owych poszukiwań były artykuły publicystyczne i krytyczno-literackie, jak również zbiór poezji *Żaryny sliw* (1925) oraz pierwsze tomy opowiadań: *Peremożeć drakona* (1925) i *Pryhody maszynista Chorna* (1925).

W 1927 r., po słynnej „rozmowie trzech” (*Zustricz na perechresnij stanciji. Rozmowa trio*ch), swoistym manifestem ukraińskiego panfuturyzmu, w której oprócz Szkurupija uczestniczyli Semenko i Mykoła Bażan, pisarz ponownie włącza się w nurt awangardy. Współuczestniczy w założeniu w Charkowie stowarzyszenia literackiego NOWA HENERACIJA (1927-1929), inicjując jednocześnie wydawanie czasopisma pod tym samym tytułem.

W 1928 r. wychodzi powieść *Dwery w deń*, a w 1930 r. następny zbiór małej formy *Monholśki opowidannia* oraz kolejna powieść *Żanna-batalijonerka*.

W 1930 r. stanął na czele kijowskiej filii stowarzyszenia NOWA HENERACIJA, zostając jednocześnie redaktorem naczelnym czasopisma proletariackich artystów – „Awangard-almanach”. Został aresztowany w 1935 r. i uwięziony w sołowieckim łagrze.

Szkurupij wstąpił do literatury, wiążąc się z ugrupowaniem FLAMINGO w okresie, który współcześni badacze ukraińscy Mykoła Ilnycki i Hałyna Czernysz, wyodrębniają jako dojrzałą formę futuryzmu. W tym czasie dochodzi nie tylko do krystalizacji i zwiększenia zasięgu ruchu futurystycznego sformułowanie zasad panfuturyzmu jako kierunku obejmującego wszystkie rodzaje sztuk, rozpracowanie teoretycznej platformy komunikacji i nasilenie się działalności popularyzatorskiej), ale również do wzmożenia aktywności we wszystkich sferach kultury. Na początku lat 20. rozpoczął się proces podsumowywania przemian, zarówno oficjalnie, na łamach prasy, jak i podczas nieformalnych spotkań. Gorące polemiki i dyskusje dotyczyły możliwości i kierunków dalszego rozwoju literatury ukraińskiej. Pragnienie aktywnego uczestnictwa w rodzącej się rzeczywistości często kolidowało z wątpliwościami, które poczęły się rodzić wraz z zakończeniem rewolucyjno-wojennej zawieruchy. Futuryści odcięli się od nadmiernej odpowiedzialności. Na swój własny, ironiczno-groteskowy sposób, w aurze skandalu i w atmosferze udawanej powagi, również Szkurupij starał się odnaleźć odpowiedź na pojawiające się dylematy. Jednak w początkowym okresie twórczości, który ze względu na formę komunikacji propagowaną przez futurystów należałoby nazwać „deklaracyjnym”, pisarstwo Szkurupija, zafascynowanego destrukcyjnymi możliwościami sztuki, daje się zanalizować głównie w kategoriach fenomenu estetycznego. Jako zdeklarowany wicherzyciel i prowokator odnajdował się w rzeczywistości nieuporządkowanej, w zniszczeniu, w „pięknie ruin”. Jednocześnie przeczuwając, jak można sądzić, tendencje mrozące życie duchowe „nowej ery”, bronił przeszłości, na pozór paradoksalnie, w poszukiwaniach misterium w tym, co kryło w sobie samym możliwość szyderstwa – codzienności, banalności, szarości (*Peremożec drakona*). Sztuczny patos i ironiczny bunt przeciwko wszystkiemu dość jednoznacznie odsłaniały drugą stronę wrażliwości pisarza – rozpaczliwą nieumiejętność odnalezienia się w zastanej rzeczywistości. Obrazy wydobyte przez Szkurupija, choć dysharmonijne, dzięki osadzeniu w programowo jednowymiarowej, najczęściej zindustrializowanej scenerii, a także przez zmiany poczynione w koncepcji nadawcy i odbiorcy, dawały często efekt harmonii. Zaś wewnętrzny rozdźwięk odbijał jedną z możliwości zawartych w ówczesnej sytuacji duchowej – komunikację wspólnoty, nie posiadającej podmiotowości. Ogólną charakterystykę dopełniało rozszczepienie dzieła i osoby twórcy, analiza ich wzajemnych relacji oraz poszerzenie sfery komunikacji artystycznej o formy rytuału towarzyskiego.

Podważając dotychczasowe konwencje literackie, Szkurupij odwoływał się do poglądu, że literatura jest światem, nie pozostającym w bezpośrednim związku z rzeczywistością. I jako taka ma stanowić jedynie środek do celu, ma być jednocześnie maską tworzącą dystans, jak i instrumentem umożliwiającym artystyczny kamuflaż. Innymi słowy pisarz zaproponował sposób inteligentnej gry pomiędzy autorem i czytelnikiem. Logiczną konsekwencją działań nowatora,

mającego świadomość porażki, patrzącego przez absurd na rzeczywistość – coraz bardziej nierealny świat, był konsekwentny cynizm.

Rzeczywistość Ukrainy radzieckiej i osobisty los pisarza, na swój sposób jednoznacznie oceniły jego sugestie światopoglądowe, odsyłając dylematy związane z rozumieniem wolności twórczej, a w szczególności kwestię całkowitej depersonifikacji sztuki, do sfery zagadnień etycznych.

*Larysa Szost*

### **Pogromca smoka**

– Chornie! Hej, Chornie! – rzekł młody palacz. – Dzisiaj na C.843 znowu rozsadziło komin. To po prostu cud, że palacz ocalał. Na szczęście patrzył on, jak przestawiają zwrotnicę i stał przy oknie. To już drugi lub trzeci wypadek.

Każdy obywatel mógł na własne oczy zobaczyć, że maszynista Chorn przeżył w ciągu swojego życia wiele z tych rzeczy, które czynią człowieka nieco dziwnym i szorstkim.

Kiedy patrzył on w oczy swoim kolegom, odnosili wrażenie, iż widzą wygasły piec parowozu lub luk tenderu, który wypełnia ciemna oleista woda.

W rozmowie, kiedy o nim wspominali, mówili, że to ten, którego ręce przypominają kociubę, a cały on jest podobny do starego parowozu o czterech cylindrach.

Albo milczał, jak wrak z cementarzyska parowozów, albo wzdychał jak opornik kompresora, który powoli wpompowuje powietrze.

– Ale każdy wiedział, że on umie opowiadać, i – że wtedy głos jego płynie jak stukot kół pociągu osobowego.

Oto jaki był maszynista Chorn.

W milczeniu uniósł głowę, bo siedział przy stole, z głową ułożoną na rękach, i spojrział na palacza.

Jego na wpół czarne, na wpół szare zmierzwiłone włosy przypominały łapacz iskier, jaki bywa na kominie parowozu. Powoli zanurzył on palce w swoich włosach i powiedział cicho, niby zwracając się do wszystkich i niby w przestrzeń wielkiego, pogrążonego w półmroku pokoju maszynistów:

– U-u! Kapitena! Łamajła maszyna! Dwa gwizdy! Bieg wsteczny!... .

Na dworze była noc ciemna, jak poszycie parowozu.

Każdy wiedział, że Chorn może opowiedzieć o wielu takich przypadkach, które zakończyły się tragicznie.

Jeszcze trochę popykał, jakby dopompowując powietrze, a potem jego głos zaczął rozkołysywać pokój, pełen przemęczonych palaczy i maszynistów, którym wydawało się, że jadą w międzynarodowym wagonie „Internacional”, i może wszystko to, co usłyszeli, po prostu było tylko snem.

## II

Noc. Wiatr.

Wszystko przyprószył węglowy pył. W ciemności zarysowują się ciemne bryły trójkątów i sześciątów zabudowań parowozowni. Wszędzie jak na szachownicy, widać klocki wagonów.

Noc. Wiatr.

W czarnym powietrzu odbywa się jakaś straszliwa, szatańska msza. Węglowy pył wiruje w trąbie powietrznej, wielkie ziarna piasku deszczem drapią po oknach stróżówek. Latarnie okrągłymi, bladymi pomarańczami błędzą w ciemnej przestrzeni, tańczą w rytm muzyki nieznanymi muzykantów.

Feeryczna noc.

Piekielna muzyka.

Wiatr wygrywa na strunach dworcowego radia. Parowóz trwożliwym jeźdźcem rozetnie ponurą noc. Posapując, zgrzytając, tupiąc po szynach przemknie skokami szalony koń-pociąg.

A wiatr ciągle wygrywa na strunach dworcowego radia, tańczą w powietrzu blade pomarańcze latarni, trąbą powietrzną wiruje węglowy pył.

Diabelskie sztuczki.

Radio wyje cieniutkimi i grubymi głosami, wygwizduje takt szatańskiego walca, huczą słupy telegraficzne.

Feeryczna noc.

To straszna chińska noc.

Ha-ha-ha...

U-u-u-u-u...

Wzi-i-i...

Zhu-zhu-zhu...

A-a-a-a-a...

Ho-ho-ho-ho-ho...

Straszny chiński smok nie śpi, wpatruje się w noc bladymi reflektorami, wywija ogonem w powietrzu, sieje śmiertelny lęk wśród skośnookich ludzi.

Jest to smok o ognistej paszczy i jest to zwykły parowóz. Gra, wygrywa wiatr na strunach dworcowego radia.

## III

Małutki Chińczyk Ten-Hu siedzi na drewnianych poręczach, pochyliwszy głowę. Koledzy śpią. On pełni wartę.

Długi Dżuo-Lin rozłożył się na kupie węgla i mocno śpi; jest prawie martwy, jego głowy zupełnie nie można rozpoznać, bo zapadła się w jamie węglowej, można jedynie obejrzeć ogromne, ciężkie, pudowe trzewiki, które sterczą na wielkiej kupie węgla. Można by pomyśleć, że ktoś zapomniał tych butów na tej kupie węgla i teraz je powoli zasypuje wiatr węglowym pyłem.

Innych współtowarzyszy nie widać, zatarli się pośród węgla, – ich jest wielu. Jest tu Fen-Zin, Cian-Siań i Wan-chuń, i wielu innych. Zmęczeni się potwornie i są prawie martwi, wszystkich ich można by wziąć za wielkie odłamki węgla kamiennego w wielkiej czarnej pustyni estakady.

Ten-Hu stoi na warcie. Przyjedzie parowóz i trzeba będzie jego bezdenny tender napełnić węglem. Ten-Hu jest zmęczony, on już zupełnie nie czuje swojego małego ciała, odczuwa swoją ciężką ołowianą głowę i iskry zapalające się przed jego skośnymi oczyma.

Niech skomle i wyje radio, niech huczą słupy telegraficzne, niech mkną dudniąc szalone smoki-pociągi, niech kręci swoim ogonem i wpatruje się w noc ognistymi oczyma parowóz – Ten-Hu już się nie boi, przyzwyczał się do ciemnych, jak węgiel, nocy...

Ten-Hu jest bardzo senny. Specjalnie usiadł na poręczach, aby nie walczyć o utrzymanie równowagi, aby zapadłszy w nieodparty nagły sen, także nagle stoczyć się z nich na kupy węgla i przez to nagle się obudzić.

Ten-Hu wie doskonale, że jeśli choć na chwilę przucupnie gdziekolwiek w wygodniejszym miejscu – bogowie snu zamroczą jego głowę dziwnymi krajobrazami i fantasmagoriami, a straszny smok uczyni mu jakąś przykrość.

„Dobrze byłoby teraz z kimkolwiek porozmawiać”, – myśli Chińczyk. Widi, jak daleko w powietrzu błądzi małe ogniki latarki. To stróż przedstawia wskazówki. Ten-Hu bardzo chciałby zawołać:

– Hej, tutaj, moja będzie mówić!

Ale on wie, że w taką noc stróż go nie usłyszy, i wtedy smok jeszcze mocniej będzie zanosić się od śmiechu, lękać ognistymi oczyma.

Siedzi małe Chińczyk na poręczach, pilnuje nocy, a noc czyha na Chińczyka, aby uczynić mu jakąś przykrość i tak usiłują oni pokonać się nawzajem.

#### IV

Prawdopodobnie maszyniście Chornowi wydawało się, że właśnie wyjechał ze stacji, bo nieco przechylił się na bok i spojrzał tak, jak zawsze patrzy maszynista – czy otwarto mu semafor, czy nie.

Potem Chorn wykonał ruch ręką, jakby pociągając za linkę gwizdka parowego. To miał być długi gwizd, który oznaczał:

– Naprzód! 30 wiorst na godzinę!...

Nagle spojrzał wokoło, jakby chciał powiedzieć:

– Palaczu, węgla!...

Ale potem rozmyślił się i postanowił, że i tak jest dobrze. Pociąg osobowy podązał bez opóźnienia.

## V

Za Dnieprem – za daleką Wołgą, za Uralem, za dalekim Tybetem, jak ogromny smok, rozłożyły się Chiny.

Po polach ryżu chodzą maleńkie Chinki, pobłyskują czarnymi maleńkimi oczyma, uśmiechają się. Stoją tam pagody ze strasznym niesprawiedliwym smokiem, praca i głód wypędza Chińczyków do dalekich krajów, gdzie żyją tacy śmieszni i dziwni ludzie, gdzie jest tak wiele możliwości.

Ten-Hu rozmarzył się.

Nie wie on, że na rozległych stepach obcych krajów, które przechodził jeszcze przedtem, zanim trafił na estakadę i zaczął ładować węgiel do parowozów, że w tych stepach głodny i sprawiedliwy bunt unosił swą okrutną i bujną głowę. A noc wie, straszna chińska noc, noc pracy, która kpi sobie z maleńkiego Chińczyka.

Ona nie może pokazać mu własnych uzbrojonych hord mieszkańców stepu, Tatarów i Kirgizów, może postraszyć pożarami i krwią powstań zaporozców tak, jak teraz straszy wiatr, który improwizuje na strunach radia piekielną muzykę boju. Ale co mu tam dalekie Chiny, co mu tam maleńkie skośnookie Chinki, kiedy tu są śmieszni i dziwni ludzie, krępe i zdrowe dziewczęta, stała praca, a przede wszystkim możliwość, żeby zostać „kapitenem”... Ten-Hu wie o tym, że lepiej jest być „kapitenem” – maszynistą, panem kolosalnej żelaznej istoty parowozu, pogromcą smoka, niż zwyczajnie węglarzem, z którego tak łatwo może kpić sobie ta brudna poczwara.

Ten-Hu pracował już jako palacz.

La-la, był jeźdźcem na smoku z ognistą paszczą, sam go karmił czarnymi kamieniami. O, być „kapitenem” – to najwyższe osiągnięcie! Ale maleńki Chińczyk wie, że trzeba jeszcze załadować bardzo wiele parowozów.

Ukraina śpi. Jest ciemna noc. Śpią narody. Maleńki Chińczyk nie prześpi kolejnego parowozu. Załadować węglem tender, czy to jest wielka sprawa? Czy nie lepsze to od wielkiego poematu, który będzie czytała niewielka grupka ludzi? Zmęczonemu i wyczerpanemu Ten-Hu załadowany parowóz da więcej satysfakcji niż wszystkie wasze poematy waszym miłośniczkom, panowie poeci!

Dżuo-Lin jest już stary i Ten-Hu dziwi się, dlaczego ten śmieje się z jego marzeń. Ten-Hu wie, że Dżuo-Lin może wiecznie ładować parowozy, a jego trzewiki mogą wiecznie sterczeć na kupie węgla w czasie odpoczynku.

## VI

– Otwórz syfon! – powiedział Chorn, ale nikt z obecnych nie poruszył się.

Potem niby sięgnął on po iniektor, jakby chciał przepompować wodę z tenderu do kotła.

## VII

W tę straszną chińską noc, noc pracy, ciemną noc, nie bardzo wygodnie jest siedzieć na wysokich chwiejnych poręczach, kiedy uderzenie wiatru może zdmuchnąć Ten-Hu, jak pyłek, kiedy zmęczone ciało nie jest w stanie reagować na zewnętrzne oddziaływania, kiedy nieodparcie chce się spać.

Świecąc wielkimi ognistymi oczyma, cicho zbliża się do estakady smok. Estakada śpi. Ten-Hu popadł w zupełne rozmarzenie. Straszliwy smok chce mu zrobić kolejną przykrość.

– Hej, Ten-Hu, a! – rozległo się z parowozu. – Dawaj węgiel.

Rozmarzył się Ten-Hu na wysokich chwiejnych poręczach, pewnikiem zrobi mu jakąś przykrość straszliwy smok.

Uhu!...Uhu!...

Niecierpliwie porykuje parowóz.

Ten-Hu traci równowagę na poręczach i z pełnym rozmachem pada na Dżuo-Lina, potem szybko podrywa się:

– Uj, la-la kapitena!...

Biegnie do wypełnionych węglem skrzynek, zdejmuje zaczepkę i przewraca skrzynkę w powietrzu, potem bacznie spogląda w dół, jak sypią się czarne kamienie do tenderu parowozu.

– Co, usnąłeś? – znowu woła do niego palacz.

– A? – pyta Ten-Hu.

Wiatr unosi słowa i napełnia noc straszliwymi dźwiękami.

– Co, śpisz? – znowu krzyczy palacz.

– Nie, moja nie śpi! – odpowiada Chińczyk. Moja siedziela i upadła...

Z turkotem sypie się węgiel do tenderu, druga, trzecia skrzynka odwraca się w powietrzu. Dżuo-Lin obudził wszystkich Chińczyków, stukają łopaty, skrobą węgiel, z głuchym stukotem pada on na dno wagoników, ożyła estakada, zaroiła się od czarnych cieni.

– Ej, kapitena, daj papilosa! – woła, wychyliwszy się poza poręcz Ten-Hu.

– Jak mam ci go dać? – z dołu woła doń palacz.

– So? – pyta Chińczyk.

– Włóż tu!...

Szalony wiatr uniemożliwia rozmowę. Ten-Hu i palacz ciągle usiłują przekrzyczeć piekielną muzykę chińskiej nocy. Choć krzyczą z całej siły, mimo to nie słychać całych fraz, słychać tylko niektóre słowa albo strzępy słów, z których można jedynie odgadywać życzenia. Wiatr, jak złodziej, kradnie słowa i rzuca je gdzieś pomiędzy dalekie wagony i parowozy.

– Włóż tu! – znowu krzyczy palacz.



– So?...

– W ta chwila!

Ten-Hu przechodzi przez poręcze estakady i wskakuje do tenderu parowozu, za nim z turkotem sypie się węgiel.

– Uważaj!... – zaniepokoił się palacz. – Zabijesz się jeszcze!...

– So?...

– Zabijesz się, mówię!...

– Nie, moja umie, moja się nie zabije!...

Płomień otwartego pieca oświetla ich czarne twarze fantastycznymi żółtymi kolorami.

– Daj papierosa! – mówi Ten-Hu.

Obaj wchodzi do budki. Przy oknie na swoim miejscu siedzi stary maszynista, drzemie on, a jego głowa kiwa się, jak u pijanego.

– Cześć, kapiten! – wita się z nim Chińczyk.

– Cześć, Ten-Hu! – budzi się maszynista. – Niedługo jedziemy?...

– W ta chwila!

Palacz skręca z machorki papierosa, następnie daje Ten-Hu. Papieros Ten-Hu wreszcie od brudu upodabnia się do okrągłego kawałeczka węgla. Palacz bierze do ręki polano i nawija na końcu pakuły, potem wtyka je do pieca. Zaimprovizowana zapałka parzy twarze ich obu i w końcu obaj są zadowoleni. Papierosy maleńkimi ognikami zapalają się koło ich nosów.

– No więc co, znowu pojedziemy pociągiem? – pyta palacz.

– Ty już chyba tęsknisz za parowozem. Pamiętasz, Ten-Hu, jak obaj harowaliśmy na „Sroczym Brodzie”?

O, Ten-Hu dobrze pamięta tę wesołą pijaną noc, kiedy pociąg, jak stado oszalałych koni, pędził po torach, jak zawsze spokojny i trochę rudawy „kapiten” teraz śpiewał i przytupywał, na żelaznym fartuchu parowozu, kiedy z boku na bok rzucał się parowóz, kiedy dudniły koła i drgały mosty od niesłychanego biegu. La-la wtedy zapierało dech, a żelazny smok zgrzytał i radował się pod ich pijanymi i chwiejnymi nogami! O, wtedy było wspaniale!...

Chorn kiwnął ręką, jakby przełączał regulator, spojrzął na senne twarze palaczy, jak na jeden wielki manometr, na którym mógł widzieć siłę ciśnienia atmosfer swojej rozmowy.

Potem on jakby dotknął dźwigni i bacznie spojrzął do przodu na nieistniejące szyny, na bezgraniczną nieistniejącą kolej.

Czy był zadowolony, czy też nie, trudno było powiedzieć, ale oczywiście postanowił, że wszystko jest w porządku, i siłę atmosfer można zwiększyć.

## IX

Każdy z was chyba wie, czym jest chińska noc, noc pracy, kiedy dookoła jest czarno, jak w kominie, i nie widać szyn, kiedy szaleństwo ściska za gardło i kiedy szyny same wiedzą, dokąd prowadzą.

O, Ten-Hu doskonale odczuwał ten moment, kiedy obaj z „kapitenem” w takt wydechów westynhauzu, stukotu kół, szalonego biegu, rytmicznie tańczyli walca-na żelaznym fartuchu parowozu, który skakał z boku na bok i szybko, lecz starannie oddychał tłokami.

– No, Ten-Hu – powiedział maszynista – może i teraz zatańczymy walca? Czy nie chcesz? – I poszedł, uśmiechając się do Chińczyka.

– Nie, teraz dawaj-dawaj węgiel! – Smoka kusz-kusz! – odrzekł Ten-Hu.

Nagle potworny krzyk jak kamieniami uderzył w uszy Dżau-Lina, który siedział wysoko na poręczach estakady i patrzył w dół na parowóz.

Widział on, jak parowóz zasyczał i tysiące iskier oświetliło czarną noc pracy.

„Smok rozwścieczył się!” – pomyślał Dżuo-Lin i jego długie ciało zadrżało w gorączce.

A potem chmura duszącej pary niby zasłoną pokryła cały parowóz i zaczęła wypełniać estakadę.

Pewnie, na parowozie nagle wydarzyła się jakaś katastrofa.

„Smok chyba rozgniewał się na kapitena!” – znowu pomyślał Dżuo-Lin i ze strachu zasłonił brudnymi rękoma swoją twarz.

A stacyjne radio wyło, płakało i zanosiło się głośnym śmiechem. Wiatr był tak silny, że wydawał się być gęsty i można było kroić go nożem. Parowóz-smok wypełniał noc głuchym syczeniem i tysiącami iskier, które powoli gasły.

Dżuo-linowi, Waż-Chunowi, Czian-Sianowi, którzy podbiegli do poręczy, wydawało się, że tam w dole rozpekła się ziemia i wyrzuciła z siebie całe piekło, które kipiało pod nimi.

I rzeczywiście smok wpadł w furję.

Kiedy maszynista podszedł do Ten-Hu!...

To była jedna chwila, jeden moment.

Rozerwały się stare płomieniówki. Woda, zalewając piec, ukropem i straszliwie gorącą parą uderzyła w budkę parowozu.

To był jeden moment.

Ten-Hu, który stał koło maszynisty, z całą siłą odepchnął go w bok i sam, zasłaniając własnym ciałem piec, głośno krzyczał:

– Smoka kusz-kusz kapitena! Ten-Hu, Ten-Hu nie pozwalaj! Ten-Hu...

Gorący ukrop natychmiast obgotował Ten-Hu, który ocalał od tego maszynistę. Dla maszynisty było to niepojęte samopoświęcenie.

Obgotowane mięso podstawało od kości Ten-Hu, kiedy go wydobyto, ale jeszcze żył.

Tu-tu. Tu-tu. Tu-tu.

Chorn jakby gwizdem obwieszczał alarm. Jego twarz pełna była trwogi i lęku.

– Kapitena łamajła maszyna! Łamajła Ten-Hu. Ten-Hu ocalić kapitena. Zdrowa kapitena!

– Tu-tu-tu!

Chorn, niby trzykroć szarpnął za linkę gwizdka. Oznaczało to: Stój! Przy-  
stanek!

– To były ostatnie słowa Ten-Hu! – powiedział Chorn. – On był pogromcą smoka!...

Chorn wyglądał na obłąkanego. Włosy rozwiały się i jeszcze bardziej przypominały tłumik iskier. Po jego twarzy spływały wielkie łzy.

– To pękł miernik poziomu wody! – powiedział Chorn, ocierając łzy. – Trzeba będzie zatkać go pakułami.

*Tłum. Bazylia Nazaruk*

### Tysiąc walecznych

Srogi nordost dał bezlitośnie w dziób mojej łajby, która pograżała się i wynurzała na przemiany w porywach tego sztormu. Z determinacją zwinąłem wszystkie żagle, okręcając je ściśle wokół jedynego masztu, jakim rozporządzałem.

Dzięki okoliczności, że miałem go tylko jeden na statku, i na pokładzie nikogo oprócz mnie samego, udało mi się w porę dokonać tego manewru, bo podmuchy nawałnicy tak huśtały moim stateczkiem, że co chwila miałem wrażenie, że żywcem ulecę do nieba, albo kolejny szkwał wyrzuci mnie na jakiś par-  
kan.

Pogoda była pod psem, na tyle zdechłym, że mógł go wymyślić jedynie najgorszy pesymista. Mam już co nieco żeglarskiej wprawy, mimo to kłąłem ją, na czym świat stoi. Nie mogłem wyjść z podziwu, jak w takich warunkach skusiło mnie do wyjścia na pełne morze.

O dziesiątej zero zero wyszedłem z zatoki San Ristorante. Ciemno było choć w pysk daj. Z pewnością moi przodkowie, którym też się zdarzało tego popływać, nigdy w życiu nie widzieli podobnych ciemności egipskich. Co tam

– widzieli! Tu w ogóle nic nie dawało się zobaczyć! Nie widziałem nawet własnego dzioba, choć wytrzeszczałem oczy jak najusilniej.

Z braku zajęcia próbowałem namierzyć współrzędne. Chciałem się upewnić, czy trafię dziś do zatoki Santa Domo, do której starałem się utrzymać swój kurs. Wychodziło mi z tych wyliczeń, że znajduję się obecnie gdzieś pod sześćdziesiątym stopniem, i przy takim niepewnym gradiencie nie mogłem powiedzieć ani tak, ani nie.

Były to więc owe sławne sześćdziesiątki.

Wiecie, jak to bywa, gdy się pije czysty spirytus i zapija go wodą. Ano, chciałem się o tym przekonać naocznie. Nie pierwszy rok człowiek pływa, ale nigdy dotąd nie widziałem takiej kotłowaniny w szklance wody.

Chyba jeszcze żaden statek nie był tak bliski katastrofy. Jak wam mówiłem, już byłem pewien, że żywcem trafię do nieba. Przyznacie mi rację, że jak dotąd, żaden wilk morski nie brał pod uwagę takiego zapisu w księdze pokładowej. Nawet *Bateau ivre* Artura Rimbaud nigdy się nie znalazł w równie dennej sytuacji. Co najwyżej jakiś statek w momencie katastrofy geologicznej.

Niósł mnie jakiś prąd wzdłuż dalekich świateł zgoła nieznanego miasta i jeły mnie nachodzić myśli o śmierci. I jak to bywa w takich razach, wspominałem już żywych i umarłych krewniaków, i przeklinałem godzinę, w której opuściłem zaciszną zatokę San Ristorante.

Cały czas musiałem cisnąć na ster, obracając go o sporą ilość rumbów. Raz dryfowałem pod wiatr, kiedy indziej pod kątem 75 st., to znów obracałem się rufą i dawałem całą wstecz.

Teraz dopiero spostrzegłem rzecz ciekawą. Mój wysłuszony kuter w ciągu tej nocy, przy takiej psiej pogodzie, nauczył się dawać całą wstecz jak wielokonny śrubowiec.

Rzecz godna zanotowania w dzienniku pokładowym. Coś tak osobliwego mogło się zdarzyć jedynie takiemu jak ja weteranowi. Należało to uwiecznić dla potomnych.

Zaledwie o tym pomyślałem, jak mnie dobiegł ogłuszający ryk.

Migocąc w otoczce mgły krwawym blaskiem reflektorów, parł na mnie z desperackim rykiem syreny zatłoczony parostatek.

On to miał postawić kropkę na wszystkich moich dzisiejszych przygodach.

Sunął wprost na mnie. Skuliłem się w kłębek, zamknąłem oczy i bezwładnie odgiąłem ster o tych parę rumbów, jakie mi pozostały.

Potężna fala sztormowa zmyła mnie tuż sprzed dzioba parostatku.

Posłyszałem zeń dudniący śmiech szypra, po czym statek jak widmo roztopił się w gęstej mgle.

Wszystko to trwało nie dłużej niż chwilę, która wydała mi się całą wiecznością. Tym razem uratowała mnie nawałnica, dzięki której mogłem skądinąd tak łatwo trafić żywcem do nieba, albo ocknąć się, zniesiony przyplywem fali, pod jakimś parkanem.

Znów dałem zwrot o kilka rumbów i podryfowałem, po czym odwróciłem się rufą i dałem całą wstecz.

Statek był mi cudownie posłuszny. Czyż taki wilk morski jak ja mógł mieć zły statek?

Tym sposobem prąd niósł mnie dalej wzdłuż majaczących latarni nieznanego miasta i miałem już nadzieję dopłynąć pomyślnie do mojej zatoki Santa Domo.

Powtarzam, że majtek ze mnie bywały i żadna obawa nie mogła mnie zmusić do zboczenia bodaj o paznokciec z kursu, jaki sobie wyznaczyłem.

Korciło mnie, żeby wiedzieć, czym się zakończy ten sztorm w szklance wody, i szedłem całą naprzód bez najmniejszego wahania.

„A nuż mnie zanieś na jakąś wyspę tajemniczą w towarzystwo uroczych syren, albo i panien leśnych” – myślałem sobie i nic nie miałem przeciw takiej perspektywie. W zapasie miałem sporo możliwości, jakie w każdej chwili może sobie wyobrazić człowiek, który się zaawanturował pod stopień sześćdziesiąty i podmuch lada chwila może go wyrzucić pod dowolny płotek niczym dziecinnie z nieprawego łóża.

Szedłem więc swoim kursem.

Mgła zewsząd замуrowała przede mną widoczność. Walące się na mnie bałwany co chwila zmuszały mnie do gwałtownych przechyłów. Po jakimś czasie z kłębka mgły doleciał mnie okrzyk:

– Kto idzie? Nie próbuj skręcać w bok!...

Bateau ivre! – odparłem i odbiłem o kilka rumbów.

Pytający nie znał niestety francuszczyzny i znowu zawołał:

– Kto idzie?

Jeszcze kilka rumbów w bok.

– Nie skręcaj! – znów zawołano i teraz dojrzałem przez mgłę kilka sunących na mnie kadłubów.

„Czyżby chcieli mnie wziąć na hol?” – mignęło mi w głowie i wszystko przewracało mi się we wnętrzu z urazy i sponiewieranej godności.

Mnie, nieustraszonego żeglarza na hol? Kpią sobie ze mnie, czy co? Teraz już stanowczo wykonałem zwrot, pokazując im, z jaką pogardą traktują ich propozycję.

– Stój! – zawołano gniewnie.

Zdziwiło mnie to nieco i zrozumiałem, że to nie przelewki. A nuż to „aniołki”, które mogą mnie zahaczyć o mój dziennik pokładowy. To coś dziwnego. A bo to nieustraszonego żeglarza musi mieć jakieś dokumenty? I wykonawszy solidny nachył, rozpuściłem raptownie żagle i zrobiłem zwrot do tyłu.

– Stój! – zawołano jeszcze głośniejszym głosem i na oka mgnienie rozjaśnił mgłę krwawym błyskiem strzał z karabinu. Zadudniło głucho i kula bzyknęła nad gniazdem mojego żaglowca.

Raptem z przeciwnej strony wynurzył się z mgły jeszcze jeden statek i staranował mnie. Statek mój o mało się nie wywrócił. Znieruchomiałem. Otoczono mnie zewsząd, ciągnąc za buty.

– Co to za jeden? – padło pytanie z mostka dowódcy.

– Człowiek! – odpowiedziałem.

Coś dziwnego! Jak gdybym nie był odważnym żeglarzem, a tym bardziej człowiekiem bez jakichś tam dokumentów. To jacyś obcokrajowcy albo są pomyleni? Zwykłem przecież chodzić bez dokumentów!

– Co za jeden? Jaki masz zawód? – zapytano mnie znowu.

Zmiarkowałem, że to „aniołki”.

– Pirat jesteś? – zapytano mnie ostro.

Poczułem gwałtowny nachył. Było już późno.

Wokół nas bulgotały ciemności i nawałnica. Teraz było mi już wszystko jedno – oceniłem, że dziś nie sądzone będzie mi dotrzeć do zatoki Santa Domo.

– Później rozpatrzemy! – rozległo się z mostka. – Idziemy...

Wynikało z tego, że biorą mnie na abordaż.

Może, gdyby mnie nie zniosło pod te sześćdziesiąt stopni, coś takiego by mi się nie przydarzyło. Fakt, że te sześćdziesiątki wpędzają człowieka w najrozmaitsze przygody. A jeszcze bardziej mnie intrygowało, czym skończy się ta burza w szklance wody.

Szliśmy gromadnie do zatoki Della Milizia, gdzie miano nas zapuszkować pod pokład do chwili, gdy ustalą dane naszych jednostek. Powtarzam – jednostek, bo niebawem dołączono do nas sporo łodzi i kutrów, które nie miały swoich dzienników pokładowych.

Już w ujściu zatoki Della Milizia któryś z kutrów wziętych na abordaż poszedł na całą wstecz. We mgle błysnęło kilka strzałów, jednakże umknął pod osłoną nocy. Musiał to być jakiś pirat.

Chociaż ręce mam czyste, ale też postanowiłem, że przy pierwszej sprzyjającej okazji dam całą wstecz i wezmę kurs na zatokę Santa Domo.

Bo któż jest w naszych czasach bez winy!

Zresztą siapawica już przemoczyła mnie do suchej nitki.

Nie czułem jednak zimna, sześćdziesiąt stopni grzało mnie na tyle, że raz po raz musiałem zdejmować z głowy kapelusza.

Do zatoki Della Milizia trafiliśmy już bez przygód i tam nas upchnięto na pokład.

Zstępując tam, zastaliśmy już nieco ludzi, którzy powitali nas śmiechem i kpina.

Ciemno tam było jak w pudle i tylko w jednym punkcie majaczył bulaj, skoro jednak na zewnątrz było ciemno, to znikąd nie świecił nawet promyczek, jeśli nie liczyć skrętów, okalających czerwienią nosy palaczy.

Jako stary weteran, otrzaskany już z podobnymi warunkami, z miejsca upatrzyłem sobie nie zajętą koję i rozciągnąłem się na niej. Teraz już mogłem rozważyć sobie w cichości, czym się zakończy ta moja eskapada.

– Towarzysze! – ozwał się jakiś głos w ciemnościach. – Proponuję przystąpienie do spółdzielni „Smród i mydło”! Jestem pierwszym udziałowcem tego obiecującego przedsięwzięcia.

Wkrótce poczułem, że produkcja przeszła w stadium rozruchu, i odwróciłem się nosem w stronę ściany.

Pod pokładem zagaściło się od wilków morskich, które tu znalazły niespodziewaną przystań owej sztormowej nocy. Wkrótce nie było już gdzie usiąść. Wszystkie koje były zajęte, na podłodze też siedziano i leżano pokotem, część przybyłych podpierała ściany.

– Zwinięto mnie pod zatoką Santa Sinagoga – prawil jeden z obecnych – modliłem się do trzosów swoich współwyznawców. Teraz jest wolność wyznania i przysługiwało mi prawo do nabożnego traktowania kieszeni frajerów, ale dziś wypadł chyba tydzień propagandy antyreligijnej i biorą wszystkich wierzących jak leci. A was, towarzyszu, za jakiego chińskiego boga tutaj zaszanghaili? – zwrócił się do siedzącego obok połapańca.

– Za dezertera mnie mają – odparł tamten ponuro.

– Niech tam za dezertera, ale w Boga chyba wierzysz, bracie?

Nie było odpowiedzi.

– Wierzysz, dajmy na to, że jak się dobrze pomodlisz, to jakoś ci się upieczesz?

Wszyscy współsiedzący zaczęli się przysłuchiwać rozmowie. Siedzenie albo stanie w tym ciemnym pomieszczeniu dłużyło się bardzo.

– A wiecie, towarzysze, że sam na sobie wypróbowałem się modlitwy: jak dobrze się pomodlić, to skutkuje!

– Mhm – odezwał się ktoś z drugiego końca pudła – też kiedyś bardzo się modliłem, gdy denikinowcy wzięli mnie za Żyda. Wtedy cały pacierz na głos powiedziałem, a jak odmówiłem *Zdrowaś*, to zrobiło na nich wrażenie. Wyobraźcie sobie, że pomogło!

– O tak, modlitwa dużo znaczy – przytaknął pierwszy.

Stojący koło drzwi i pod ścianami półgłosem zamienili między sobą jakieś uwagi. Później wszędzie pod pokładem wszczęło się jakieś nieznaczące zamieszanie: wszyscy siedzący pod ścianami ni stąd, ni zowąd raptem znaleźli się przy pryczach. Któryś tam z zachowaniem ostrożności próbował usiąść mi na głowie, ale nadzieją się na moją przygotowaną pięść.

Jako stary wyga naoglądałem się moc wszelkich cudów i wynalazków, przeto uważnie przysłuchiwałem się rozmowie i obserwowałem owe manewry pod pokładem. Ich cel strategiczny wydawał mi się dość jasny.

– Tak, modlitwa pomaga! – głos pochodził od więźnia stojącego tuż przy mojej koi. – Kiedyś na targu byłem bardzo głodny i modliłem się gorliwie przy straganach z jedzeniem, wyobraźcie sobie, że później byłem syty!

– Proponuję – wpadł mu w słowo pierwszy – pomodlić się wspólnie o to, by wypuszczono nas stąd jak najszybciej!

– Towarzysze, wstańmy i pomódlmy się do Pana Zastępów o nasze szybkie zwolnienie! – zakonkludował drugi z rozmówców.

– Wstawać tam! – dało się słyszeć po kątach naszego pudła. – Dość tego wylegiwania! Modlić się będziemy!

– Wstawaj, bo cię ściągnę za nogi!

– Słyszysz, wstawaj! – rzekł do mnie sąsiad wartujący przy mojej prycze.

Wystawiłem pięczę i w ciemności przytknąłem mu ją delikatnie do nosa. Zmitygował się, po czym poprosił szeptem:

– Posuń się krzynekę, towarzyszu, to położę się obok: bardzo mi się chce spać!

– A, to co innego! – rzekłem, użyczając mu miejsca przy sobie.

– Towarzysze, czy wszyscy już wstali? – zapytał pierwszy aresztant – bo na siedząco modlić się nie można.

– Wszyscy!...

– To teraz policzę do trzech i zaczniemy wszyscy razem, odmówimy *Zdrowaś*, jak doradzał mój przedmówca, to bardzo pomocne...

– Trzy!...

Pudło w mig wypełniły odgłosy szamotaniny i soczyste wiachy. Wszyscy, którzy do tej pory stali, władowali się na opróżnione prycze. Czas jakiś panował nieziemski harmider. Po czym z wolna ucichł.

– Teraz, towarzysze – rzekł jakiś skołowany więzień – proponuję pomodlić się do jakiegoś innego boga!

W odpowiedzi prycze rozebrzmiały niepoohamowanym rechotem. Speszony projektodawca nie odezwał się więcej.

Ja, stary wilk morski, nie wierzę w żadne siły boskie ani czartowskie. Najlepiej ze wszystkiego to polegać na sobie samym.

Noc się dłużyła.

Czas jakiś w pudle panowała cisza, ale niebawem znów wszczęły się rozmowy.

– Jak myślicie, towarzyszu, co z nami zrobią? – zagadnął mnie sąsiad.

– Co do mnie – odparłem – to mnie wypuszczą, albo w ostateczności sam się wypuszczę!... A jak tam z innymi, to nie wiem, wszystko będzie zależeć od ich życiorysu...

Sąsiad westchnął głęboko.

A wie pan, jaka jest kara za dezercję? – zapytał znowu.

– Wiadomo jaka – odpowiedział mu ktoś z ciemności – wyciory!...

Sąsiad chyba zbladł wewnątrz, bo westchnął cicho i przylgnął do mnie siedzeniem, jak gdyby chciał się osłonić zawczasu przed przyjemnością tego marszu.



W pauzach pomiędzy rozmowami rozlegało się jakieś donośne potrzaskanie, jak gdyby ktoś systematycznie łuskał słonecznik.

Nagle z tego samego miejsca doleciał nas dialog:

– Co, macie może pestki, towarzyszu? Dalibyście trochę!... – ozwał się jakiś młody głos.

– Własne masz! – odburknął z kąta zachrypnięty bas.

– Jakbym miał, to bym nie prosił!...

– O ty boża krówko! – zadudnił bas. – Czemu się wygłupiasz, ty żabi synu. Niby to nie wiesz, że to się iska jak słonecznik!

Młodziak ucichł spłoszony, a całe pudło gruchnęło dzikim śmiechem.

– Towarzysze – rozdarł się ktoś na całe gardło – oprócz spółdzielni „Smród i mydło” mamy tu już spontanicznie zorganizowany „Wszotest” – towarzysze, zapisujcie się do spółdzielni „Poszukiwacz”!

Po tym incydencie w pudle wszczął się kolejny rwetes, który niebawem przeobraził się we frapującą odmianę gry, zwanej szczypiorniakiem.

Szczypiorniak uprawiany w pudle różnił się znacznie od pospolitego, który zazwyczaj odbywa się na świeżym powietrzu czy w jakimś godniejszym miejscu.

Tu rolę piłki spełniał człowiek, a raczej nie tyle człowiek, co ściślej mówiąc „grzdyl”, którego w tym charakterze przrzucano z jednego kąta w drugi. Zarazem żywa piłka trafiała ciężkimi buciorami w głowy aresztantów leżących na podłodze albo z rozpędem waliła się komuś na pierś czy też na oblicze. Z kolei wszyscy poszkodowani, rozeźleni dotkliwymi zderzeniami z owym żywym pociskiem, z rozmachem odrzucali go w stronę przeciwną, rychło zwielokrotniając w ten sposób liczbę uczestników rozgrywki.

Gdy żywa piłka jęła wydawać wrzask, jak gdyby ją pozbawiano męskości, natychmiast brano następną. Gra i wrzaski nie ustawały ani na chwilę.

Wreszcie „anioł” stojący za drzwiami z karabinem i pilnie śledzący przez judasza sytuację na boisku, otworzył drzwi i jął ochrzaniać towarzystwo:

– Szlag was trafił, urki zatracone! Ciszej tam, mamę waszą w tę i na powrót! Co wy, na targu jesteście?

Jakiś twardziel dopchał się tuż-tuż do „anioła” i wsadził mu pod nos piączę.

– Zamknij się, kasztanie, tu nie jakieś tam kurokrady! Żebra ci się stęskniły za kozikiem, czy jak?

Kasztan, czyli „anioł”, milicjant znaczy, postać chwilę w miejscu, po czym splunął i z łoskotem zatrzaskał drzwi.

W ten sposób zabawiała się jedna z kohort armii tysiąca walecznych żeglarczy i myśliwych polujących w dżunglach ulicznych. Można było sobie to uświadomić w interwałach ciszy, bo gdy zapanowała w naszym kubryku, wrzawa i krzyki dobiegały z sąsiedztwa.

Rychło też morsem zaczęły pracować telegrafy. Kilku fachowców jęło wyębniac palcami o ścianę pytania i odpowiedzi. Kompania łączności armii

tysiąca walecznych miała pełne ręce roboty. Każdy z ujętych wiedział już, co się w komendanturze święci.

Niebawem telegrafisci wybębniłi łokciami komunikat, że armia rusza dalej.

Słychać było, jak „aniołki” ładują magazynki i pobrzękują rynsztunkiem. Wkrótce cały pluton zatrzymał się pod drzwiami naszego oddziału i zaczęliśmy gęsiego wychodzić na brzeg.

Deszcz nie ustawał.

Pod nogami mieliśmy wielkie bajora i błoto po kolana.

Szary zbrukany świt zwolna rozsuwał ciemności, kreśląc na rozmazanym tle wielkie milczące gmachy.

Poczęto nas skrupulatnie spisywać.

Stary ze mnie żeglarz, ale jak dotąd, w życiu nie widziałem takiego zastępu walecznych.

Była to prawdziwa armia, która w każdym momencie mogła rozpędzić cały posterunek i rozpiezchnąć się na cztery wiatry.

Jednakże w tej armii nie było szeregowców, każdy był tu wodzem.

Jakikolwiek socjolog mógł dowieść na tym przykładzie, czym jest anarchia i co jest warta.

Mógłby się przekonać, że cała ta potęga nie warta jest złamanego grosza.

Tu można było sprawdzić w praktyce wszystkie hasła anarchistów. Każdy rozumny anarchista widząc te zastępy, wyrzekłby się swoich idei i ochoczo stałby się najzwyczajszym mieszcuchem, na tyle to wszystko było rozkojarzone i niesolidarne.

W tej tysięcznej watasze nie było nawet dwóch ludzi, którzy mieli ze sobą coś wspólnego.

Było to rozkołysane stado bez głowy, o zajętych sercach. Armia tchórzów i krzykaczy.

Gdy spisywano tych z przodu, tylni, by nie marznąć w kolejce, rozpoczęli nową zabawę. Mokro było pod nogami i nogi marzły, nowa gra miała je rozruszać, nazwano ją „grą w remis”.

Podszedł do mnie jakiś tęgi dryblas, wycelował mi solidnego kopa w palce nóg, ale podskoczyłem błyskawicznie i błocko chlusnęło kaskadą w twarze stojących w pobliżu.

Na tym właśnie polegała „gra w remis”. W szeregach walecznych nie znalazło się bodaj dwóch partnerów, którzy by się nie kopali nawzajem.

Jednemu z nich but w mig się rozleciał i krew trysnęła z palców nogi.

Była to gra bardziej brutalna od „żywego szczypiorniaka”.

Kamrat, z którym poprzednio dzieliłem pryczę, stał na uboczu i tylko gapił się na wszystko z rozdziawioną gębą; najwidoczniej był to żółtodziób, nie obeznany z prawidłami moralności i zachowania w dżungli ulicznej.

Wkrótce kolejka rejestracji doszła do mnie.

– Pańskie nazwisko? – zapytał mnie komendant policji.

Czułem się podle i było mi wstyd. Ja, stary żeglarz, uczciwy pracownik, trafiłem do takiego parszywego zbiegowiska anarchistów.

Odpowiedziałem:

– Król Hebrydów!...

– To pańskie nazwisko? – znów uprzejmie zapytał komendant. Kiwnąłem głową obojętnie.

Chyba żaden z tych łążegów nie traktował rodzzonego ojca z równą rewerencją, jak obchodzili się milicjanci z ową watahą obieżyświatów.

Po dokonaniu rejestracji armia ruszyła dalej.

Szliśmy szerokimi ulicami miasta, ale dokąd idziemy, tego nikt nie wiedział.

Przechodnie przystawali na chodniku, patrząc na ten hufiec. Zapewne sporo mieszczuchów cieszyło się w nadziei, że teraz nie tak często będą rabunki na ulicy.

Wkrótce armia walecznych przystanęła. Musieliśmy wyrównać szeregi. Znaleźliśmy się w wąskim zaułku, który nie mieścił takiej falangi. Konwojowani rozbiegli się na wszystkie strony, kryli się po drzwiach od frontu i bramach na podwórze.

Gdyśmy się zatrzymali, podeszła do mnie postawna niewiasta z koszem pod pachą. Zapewne udawała się na targ.

Gdym ją ujrzał, z miejsca opanowała mnie filozoficzna zaduma. Chciałem uzmysłwić sobie rolę tej kobiety w procesie dziejowych przemian.

Jej bryłowata postać, elipsy łędźwi, półkule piersi i himalaje brzucha zdumiewały swoją masywnością i monumentalnością.

– Dokąd to was prowadzi? – zagadnęła. Po czym westchnęła ciężko i dodała:

– Niebożątka!...

Serce z pewnością miała równie obszerne jak te półkule biustu, przeto przyjaźnie spojrziałem jej w oczy – bladobłękitne niczym spłowiwały perkal, ogromne jak u mustanga.

Uśmiechnąłem się tkliwie. Eureka! Z równym powodzeniem mogła być znakomitą osłoną, jak i miękką przystanią.

Uśmiechnąłem się jeszcze tkliwiej.

Moja lewa brew finezyjnie zjechała gdzieś w bok: były to bezwiedne zaloty.

Dałem jej do zrozumienia, że owszem, podoba mi się.

W tej chwili armia ruszyła dalej.

Przemknąłem w stronę kobiety, która zrozumiawszy sytuację, przycisnęła mnie swoim wielkim tułowiem do wysokiego parkanu.

Tak, to było pierwszorzędne schronienie.

Przez spory prześwit w spódnicy niewiasty dokonywałem przeglądu całej armii. Właśnie mijał mnie mój szlafkamrat ze swoim smętnym i bezradnym spojrzeniem. Nieznacznie złapałem go za rękę i energicznie zaciągnąłem za

swoje przedpiersie, które z równym powodzeniem mogło osłonić naszą dwójkę, jak i całą dorożkę.

Niebawem cała armia znikła w zakamarkach dżungli ulicznych.

– Pani przywołuje na pamięć piramidę Cheopsa! – rzekłem dwornie do niewiasty. – Skutecznie osłoniłaby pani tę całą armię!

Jednakże kobieta nie rozumiała mojego komplementu. Obraziła się wi-  
dać. Podciągnęła spódnicę i majestatycznie ruszyła na targ.

Nie byłem już ani strudzonym wędrowcem, ani śmiałym inżynierem i odpoczynek na jej elipsach nie wydawał mi się taki nęcący.

– Żegnaj, Królu! – rzekł mi mój szlafkamrat.

– Bywaj zdrów, grzdylu! – skwitowałem go lekceważąco.

– Nienawidzę anarchii, miałem pecha trafiając do tej anarchistycznej fe-  
rajny. Trzymam tylko z komunistami!...

Tym razem mocno uściskałem mu prawicę.

Koszyk, elipsy, armia tysięcy obywateli została daleko poza mną; okręt mój teraz pruć fale wprost ku słońcu.

*Tłum. Jerzy Litwiniuk*



## Jurij Janowski (1902-1954)

Pisarz urodził się we wsi Neczajiwka (dawniej Majerowe) na terenie dzisiejszego obwodu kirowohradzkiego. Wraz z rodziną wyjechał do Kirowohradu (Jelizawietgrad), gdy miał sześć lat. Podczas wojny domowej pracował jako urzędnik, następnie rozpoczął studia na Politechnice Kijowskiej (1922-1924). W tym czasie nawiązał znajomość z futurystami i rozpoczął działalność literacką. Pod pseudonimem Heorhij Nej zadebiutował w kijowskiej gazecie „Proletarskaja prawda” utworem poetyckim *Morie* (1922), napisanym w języku rosyjskim. Około roku 1924 zaczął tworzyć w języku ukraińskim; opublikował wiersze, opowiadania oraz felietony. W latach 1925-1927 zatrudnił się w odeskiej wytwórni filmowej, pisał scenariusze (*Fata morgana* na podstawie powieści Mychajła Kociubynskiego), pracował również przy produkcji filmów. W tym okresie ukazały się zbiory nowel *Mamutowi bywni* (1925) i *Krow zemli* (1927), które spotkały się z dużym zainteresowaniem, a sam autor oceniony został jako jeden z najbardziej obiecujących twórców. Wydanie tych książek zbiegło się z wielką dyskusją literacką zapoczątkowaną przez Chwyłowego, toteż ich pojawienie się na rynku było wydarzeniem, które skupiło uwagę wielu pisarzy i krytyków literackich.

W 1927 r. pisarz udał się do Charkowa, ówczesnej stolicy Ukrainy i włączył w działalność kulturalną, współdziałając m. in. z ugrupowaniem WAPLITE. W tym czasie Janowski poszerzył swój dorobek o dużą formę – w 1928 r. ukazała się powieść *Majster korabla*, a następnie *Czotyry szabli* (1930) i *Wersznyky* (1935). Wszystkie te utwory doczekały się wielu wznowień jeszcze za życia autora. Współcześni badacze literatury i krytycy najwięcej uwagi poświęcają powieści *Czotyry szabli*, określającej moment przełomu nie tylko na szlaku twórczym Janowskiego, ale również całej literatury ukraińskiej. Powieść ta po pierwszej publikacji i jednoznacznie nieprzychylniej ocenie, opartej głównie na argumentach dotyczących poprawności politycznej, powróciła do rąk czytelnika dopiero w 1990 r. Atakowany przez krytykę Janowski napisał wkrótce kompromisowy dramat *Zawojownyky* (1932), dość jednoznacznie oceniając tym gestem swoje szanse na dalszy rozwój i twórczą niezależność. Próba wyjścia z impasu była powieść *Wersznyky*, napisana w czasie prześladowań, aresz-

tów i wyroków wykonywanych na inteligencji ukraińskiej<sup>1</sup>. Utwór ten jako ilustracja odpowiadał priorytetom socrealizmu (rozdział *Bataljon Szweda* był szkolną lekturą obowiązkową), potraktowany jako refleksja podsumował romantyczne wizje podmiotu całej epoki. Kolejne utwory, dramaty *Duma pro Brytanku* (1937), *Potomky* (1938), zbiór nowel *Korotki istoriji* (1940), ze względu na wzmocnienie sfery ideologicznej są zwykle traktowane jako kompromis pisarza.

Na początku wojny niemiecko-radzieckiej Janowski ewakuował się do Ufy. Napisał tam kolejne nowele, które wraz z dramatem *Syn dynastiji* (1942) weszły do zbioru *Zemla batkiw* (1944). W okresie 1941-1946 pracował jako redaktor naczelny czasopisma „Ukrajńska literatura”, w międzyczasie był korespondentem wojennym, swoje wrażenia opublikował w zbiorze *Dorohamy wjny* (1943). W latach 1945-1946 uczestniczył w roli obserwatora w procesie norymberskim. Materiały, które tam zgromadził, posłużyły mu do napisania szeregu artykułów publicystycznych (*Łysty z Niurnberga*). Wykorzystał je również przy pisaniu powieści *Żywa woda* (1947), która została opublikowana w czasopiśmie „Dnipro” i spotkała się z ostrą krytyką. Zarzucano jej m.in. „deformację rzeczywistości radzieckiej”, „przewagę elementów biologicznych nad socjalnymi”. Te argumenty przyczyniły się do zniszczenia pierwszego wydania oraz zmusiły Janowskiego do złożenia samokrytyki na łamach czasopisma „Literaturna hazeta” oraz ponownego zredagowania utworu, który pod nazwą *Myr* ukazał się już po śmierci autora w 1956 r. W latach czterdziestych, mimo iż okres wojenny i powojenny był dla literatury mało sprzyjający, sytuacja Janowskiego uległa poprawie. Utwory napisane podczas wojny krytyka oceniła przychylnie i w niedługim czasie za tom *Kyjiwski opowidannia* (1949) pisarz otrzymał nagrodę im. Stalina (1949). Zbiór ten miał w Polsce dwa wydania (1950, 1951).

Ostatnim utworem napisanym przez Janowskiego był dramat *Doczka prokurora* (1954), który chociaż pierwotnie opublikowany w języku rosyjskim, zdobył duży rozgłos także wśród ukraińskich odbiorców zarówno jako tekst literacki, jak i sztuka teatralna. Autor nie doczekał się jej wydania w języku ukraińskim; umarł na atak serca tuż po premierze sztuki.

O Janowskim mówi się często jako o twórcy, który nie zdołał w pełni urzeczywistnić swego talentu, o szlaku, który został przerwany niemalże na starcie. Jako jeden z nielicznych przetrwał represje lat trzydziestych. Żyjąc i kontynuując pracę twórczą stał się jednym z najważniejszych przedstawicieli realizmu socjalistycznego. Posłużyło to za pretekst do uznania go za piewę systemu totalitarnego oraz przyczyniło się do bagatelizowania dokonań artystycznych pisarza. Dorobek twórcy Janowskiego ilustrował rzeczywistość

<sup>1</sup> Oficjalnym powodem represji było zabójstwo S. Kirowa, rozstrzelano wtedy jako „terrorystów” setki pisarzy i działaczy kultury, m.in. Ołeksę Włyżkę, Hryhorija Kosynkę, Dmytra Falkiwskiego, Kostię Burewija (Edward Stricha) i in.

radziecką – nakreślił historię życia duchowego ujętego w karby reżimu, rozdarcia wewnętrznego i bezsilności, które przeżywała większość intelektualistów. Na pograniczu obowiązkowego heroizmu i zagrożenia anihilacją jednostki stał bohater, zmieniający, jak w kalejdoskopie, swoje oblicze.

Janowski starał się włączyć do literatury ukraińskiej artystyczne zdobycze kultury europejskiej, próbował także dać tym koncepcjom odpowiednie ilustracje, traktując zagadnienia związane ze sztuką jako temat swych prac (*W hystopadi*). W komentarzu do pierwszego zbioru poezji *Prekrasna Ut* (1928) swoje zainteresowania umiejscowił pomiędzy realizmem, rozumianym jako obserwacja życia, a symbolem, w który według pisarza obserwacja ta nie powinna się przerodzić<sup>2</sup>. Niejednokrotnie wyrażał też przekonanie, że sztuka może aktywnie transformować życie ludzkie, że może wpływać na postrzeganie człowieka i odczuwanie przez niego świata. Kontynuując buntowniczy i destrukcyjny wątek futurystów, zatroszczył się o pewien motyw pozytywny, podkreślając twórczy aspekt wyobraźni, odsłaniającej rzeczywistość potencjalną, możliwą lecz jeszcze nie istniejącą. Pod tym względem propozycję artystyczną Janowskiego należy uznać za zbliżoną do koncepcji zaproponowanej przez surrealistów. Rzeczywistość literacką budował często na zasadzie zderzenia dalekich obrazów, związanych zarówno z zewnętrznym, jak i wewnętrznym życiem człowieka. Jednym z zabiegów było przedstawianie sytuacji przypominających stan hipnozy czy halucynacji, gdzie tradycyjne antynomie – jak życie i śmierć, przeszłość i przyszłość – nie są sobie przeciwstawne (*Poworot*).

Janowskiego należy również uznać za twórcę nowego kanonu prozatorskiego, zarówno małej formy, jak i powieści. Ogólne zasady tej koncepcji najwyraźniej występują w powieści *Wersznyky*. Pisarz dzielił poszczególne utwory na niewielkie sekwencje, zaś w przypadku powieści na krótkie nowele, dzięki czemu dawały się z jednej strony odczytać niezależnie, a z drugiej nie wpływały znacząco na ciągłość wyводу, nie naruszały jego jednolitości. Wątki mimo formalnego zakończenia w danym fragmencie miały swą kontynuację w częściach następnym, dopełniając się losem innych bohaterów, ich cechami osobowymi i życiem. Zamiast więc jednostkowych realizacji życia, w których podstawową rolę odgrywa pojęcie kompletności osoby, przedstawiał swoiste „modele do składania”. Pisarz korzystał przy tym z możliwości, które daje podchwytywanie języka oponenta i konsekwentnie posługiwał się tym rewolucyjnym dialogiem z rzeczywistością do końca swojej drogi twórczej.

Larysa Szost

<sup>2</sup> J. Janowski, *Komentari do knyżok*, [w:] J. Janowski, *Twory w 5 tomach*, Kyjiw 1958-1959, t.5, s. 361.



## W listopadzie

dla Saszki\*

### I

Z Berlina przyjaciel mój przywiózł spokojne maniery wielkomijskie i nieco siwizny na skroniach. Jego rozmarzenie nie wykracza poza te granice. I tylko niekiedy, podczas niezrozumiałych wieczorów, jego duch bujnie rozkwita.

Przyjaciel mój myśli obrazami i barwami. Nie jest artystą, bo słowo to oznacza nieskończoną ilość horyzontów. Dla mojego przyjaciela istnieje jeden horyzont: konkretne myślenie.

Gdy podchodzę do jego otwartego okna, już z daleka widzę, jak końcem swego malowanego fletu gra na płótnie jasną melodię.

– Wejdz! – mówi, rozmazując farbę.

Wchodzę.

– Witam pana uprzejmie – burczy przyjaciel, prowadząc liliową smugę przez policzek swego dzieła – proszę sobie gdzieś usiąść. Rozwiązuję problem konkretnego tła.

### II

Filozofowanie mego przyjaciela nigdy mi się nie przykrzy. O zmierzchu elektryczność zaczyna podkradać blaski farb – gubią swą twarz i nie można ich uchwycić, są wieczorem zmienne jak nastrój. Przyjaciel mój umie milczeć równie dobrze, jak opowiadać, i można go postawić między słonecznikami w roli stracha na wróble lub też posadzić go na atamańskiego konia.

Leżą u niego setki tubek z farbami. Zarobione pieniądze zostawia w sklepie, gdzie wyszukuje nowe kolory, oraz w niskiej chałupie cieśli, który robi dla niego ramy do płócien. A potem opowiada o kolejnym swoim zanurzeniu w abstrakcję i wysypuje na stół nieskończoność tubek.

– Jestem tak bogaty, jak papuga, która hušta się nad spokojną zatoką tropikalnego morza i ma setki kolorów i setki lat przed sobą.

Przyjaciel muska dłonią białą gładź pięknie naciągniętego płótna – najbliższy grób wszystkich farb.

– Płaszczyna jest czymś symbolicznym. Opanowanie jej to najważniejsze zadanie takiego pacykarza jak ja.

– Przestrzenie wypływać będą spod rąk, płótno nie stanie się całym światem, ale otworzą się wtedy twe oczy. Ukochany cień ukaze ciepło myśli, czerwona radość oświecili twoje bazgroły szczerością, głębia uśmiechnie się błękitnymi oczyma...

---

\* Utwór dedykowany reżyserowi Ołeksandrowi Dowżence.

– O, to wcale nie przychodzi mi tak łatwo, jak kulą trafić w dziewczynę albo pocałować kopiejkę. Chciałem powiedzieć odwrotnie, proszę wybaczyć...

I przyjaciel mój opowiada, siedząc na podwiniętej nodze. Jego ręka nerwowo porusza palcami po kolanie. Siedzę w przeczuciu konkretności i wydaje mi się, że widzę blask jego rozumu. Jakbym widział wszystko zawczasu, jak w listopadzie...

### III

...Na ulicy jest sam, jak wśród stepu. Jesienne liście pobłyskują niekiedy w świetle ostatnich promieni i spadają. Głodny pies melancholijnie skarży się na los. Czuje się dotyk ciepłej ręki jesieni na kupie brudnych, wilgotnych liści. Między domami lśni złocisty klon. Cała ulica jest jakaś nieprzyjazna. Romantyzmu szuka na takiej ulicy. Smutne epizody życia przejmują go jak przeciąg. Proszę zamykać drzwi, obywatelko Noc.

A ona przychodzi i płynie w niebieskiej przestrzeni, i rozpala ogień. Najpierw zabłyśnie siedem gwiazd na północy, zapraszając do nieznanego kina „Złoty Wóz”. Dziewczyna rodzi się z farb i ciała. On wie, że tak być powinno. Bo inaczej – po cóż farby na palecie? A skwer dyszy, jak koń, który upadł po przebiegnięciu wszystkich mil dnia... Echo wtóruje w alejce.

### IV

Przyjaciel odpoczywa na skwerze. I miedziany, miarowy dzwon odzywa się w górze, odliczając sekundy, nadając im niezwykłej wagi i znaczenia. Na jasnym niebie, ponad ludźmi, surowo, nie swoim blaskiem świeci krzyż, przykuwając wzrok. Niezwykła myśl.

Wyobraża sobie żywego lekarza-hipnotyzera. Trzymając w ręku błyszczący młoteczek, doktor monotonicznie odlicza sekundy. Wola ugina się. Pacjent śpi siedząc, chwieje się jak pełny kłos. Świątynia, niepojęta świątynia panuje w górze. Przerazająco dzika ręka podpisała się pod jego projektem!..

Człowiek na skwerku myśli obrazami, sięgając błyskawicami rozumu w gęstwinę wyobrażeń.

I maluje w miejscu świątyni własne dzieło, powoli oddychając pełną pierśią i odpoczywając podczas aktu tworzenia.

To będzie dziewczyna ze snopem, ciało pełne krwi i mięśni, zdrowe piersi, które już-już mają się zakołysać w dziewczęcym ruchu. Snop żółty, ciężki – symbol życia i urodzaju, na tle zieleni i błękitu. Dziewczyna zaś – trochę lekomyślna w swojej pogańskiej głębi.

Po drzewach przechodzi szelest i stopniowo zrywa z nich żółte odzienie. Serce bije. Czyjaś ręka nakręciła sprężynę i rzuciła klucz w morze. Klucza nie odnajdziesz. Dlatego korzystaj z każdej jesieni, o serce!

Gdzieś polewają asfalt. Błyszczą w ostatnim blasku dopalającego się dnia. Idzie noc...

## V

W zadumie gryzie rożek gazety. Zamyślił się, słuchając ostatków dogasania. Łowi oderwane tony zamierających ulic. To właśnie jest pora krawędzi między dniem i wieczorem, pracą a wieczornym hałasem, krzykami bez powodu i zapachem perfum.

W takiej chwili zapada niby cisza, a nienawykłe do ciszy ucho dźwięczy energią, nieznaną uwagą i srebrzystą czujnością.

W taki czas napełniamy rozum żarem i uniesieniem, złotodajną rudą obserwacji. A w ciągu długich wieczorów i twórczych poranków wypłukujemy drobiny złota.

## VI

Pszeniczny snop, ciężki i pachnący, płynie w powietrzu. Drży niczym zjawą i nie jest już snopem, lecz dziewczyną, podobną do dzieła artysty. Błękit jej oczu odbija się w mokrym asfalcie. Kraina słońca i bezkres stepu wykarmiły ją na swym łonie. Pobiec za nią pragnie każdy, a przyjaciel mój, ogrzany błękitnym spojrzeniem, przyjął je za powitalny uśmiech nadchodzącego wieczoru. Podniósł się i powoli poszedł za nią, nie wyjmując rąk z kieszeni.

Przyjaciel przerywa opowiadanie. Chodzi po pokoju, pogwizdywaniem przepędzając cienie. Zaczął od liryki, od wypróbowania barw. Rzucił tło obrazu i jednocześnie zostawił tu i ówdzie nieco zbędnej farby. Później weźmie ją jeszcze z tej jesiennej samotności, z tej zieleni, którą bez miary rozchlapał po skwerze i z tego rzuconego w morze klucza, który raz na wiek nakręca sprężynę człowieka.

## VII

Akord brzmi jeszcze i płynie pokojem, by ulecieć przez okno. Przyjaciel mój zaciąga się tytoniem i mruży oczy. Jego milczenie podkreśla myśli, jak dobrze umieszczona pauza. Umie milczeć tak samo dobrze, jak opowiadać. Jego milczące przemówienie stwarza romantyzm i wypełnia nim szelesty za otwartym oknem. Opowieść rozpoczyna się niezauważenie i toczy nieco nerwowo, przeskoczywszy w czasie pauzy kilka dni.

Dwóch wojskowych siedzi na ławce na skwerku. Przyjaciel siada koło nich, mierząc wzrokiem świątynię i wydmuchując niewielkie obłoczki papierosowego dymu. Siedzi w całkowitym zamyśleniu, cały czas co prawda zerkając w stronę, z której podejdzie do niego błękit oczu.

Potem zaczęła się rozmowa, przerwała i znów później zaczęła, przypominając przybrzeżne fale.

Od tej właśnie chwili przyjaciel mój miał pełny projekt tego, co zamierzył.

Wojskowi ani przez chwilę nie spierali się o możliwość realizacji projektu. Myśleli dosyć prymitywnie, przyjmując wymysł za fakt, a realność za odległą fantazję. Ich mózg nie odróżnia jeszcze utopii od realności, podobnie jak każdy pierwotny mózg.

Spierali się jedynie o całość szyb w okolicy, jako skutek zdarzenia.

– No cóż – powiedział pierwszy z wojskowych, ogromne dziecko ze śladami pocałunków czarnej ospy – wysadzić to nie sztuka. Dwadzieścia dziesiątków to będzie kosztować. Bo komu ona teraz potrzebna?

Projekt był odległy od rzeczywistości, graniczył z zakazanymi krańcami rozumu i dlatego został przyjęty jak wyraźnie napisany wzór.

Artysta dalej wypuszczał tytoniowe obłoki. I któż może wiedzieć, co działo się w jego głowie. Jasno i dokładnie świadom swojego miejsca w systemie zdarzeń. Jasno do bólu, nawet wtedy, gdy przychodzą halucynacje ze zmęczenia.

## VIII

Stanęło na tym, że robota będzie wykonana uczciwie i ze znajomością rzeczy. Drugi wojskowy, młody, nagle zachłysnął się surowością. Niepokoiło go, jak powiedział, że koło krzyża wisi antena.

Jakaś bawiąca się dziewczynka trafiła piłką mojego przyjaciela i sama zrobiła się czerwona jak piłka. Żółta farba słońca osiadała na liściach drzew, ale miała nie zniknąć nawet o poranku.

Długo płynął czas. Niejeden spadł żółty liść.

Przyjaciel w napięciu czekał na dziewczynę, jakby była jego zegarem. Dziewczyna przeszła nareszcie, stąpając po własnym cieniu, a przyjaciel wstał, aby pójść za nią. I dzwon nie cichł w jego sercu.

Ten dzwon brzmiał czemuś w głowie i niby wysnuwał się z oczu jak babie lato.

Po drodze przytrafił się artyście przyjaciel-pismak, który właśnie kończył jeść poobiednią porcję winogron. Przeszukiwał spojrzeniem wierzchołki drzew i wyrysowaną linię zarysów chmur. Pożądliwie szukał tematów, nie gardząc niczym.

Pismak ruszył obok artysty, obgryzając paznokcie. Artysta słowami malował urodę dziewczyny ze snopem, a słowa jego pały. Nie odczuwał jedynie całej banalności pismaka.

– Nie masz prawa wysadzać świątyń w powietrze.

## IX

Na rogu ulicy za skwerem stał żebrak i wyciągał rękę. Było to dziecko świątyni i najbardziej zacięty wróg mojego przyjaciela. Trzeci raz stawał artyście na drodze i trzeci raz musiał artysta zmienić marszrutę, idąc do domu.

Również i tym razem przyjaciel, gdy usłyszał „dajcie, panie”, ginące głębokim basem w brodzie starca, żwawo zawrócił i poszedł do domu inną drogą, nawet nie żegnając się z pismakiem. Szedł w milczeniu, po drodze ze złością spluwał w otwarte bramy i zrzucił palto, aby nieść je dalej w rękę.

## X

Przyjaciel zaczął zawsze wracać do domu o tej samej porze. Nie spotykał już starca, bo wybrał inną drogę, przyzwyczał się do niej i polubił ją.

Dziewczyna podarowała mu już niejednen uśmiech, nie otrzymując w zamian ani uśmiechu, ani pozdrowienia. Była zegarem i nie mogła pełnić innej roli. Zbliżało się urzeczywistnienie projektu cerkiewnego wybuchu.

## XI

Skwer znowu dyszał, jak koń po milach dnia. Liście powoli osypywały się z gałęzi i osiadały artyście na kapeluszu. I dym z papierosa wił się i padał na ziemię jak postrzelony. Przyjaciel przeczytał gazetę z felietonem pismaka. Gazeta leży koło niego na ławce, pokryta liśćmi. Przyjaciel rozmyśla, śledząc barwy chmur. Tak to zawsze bywa, że banalni ludzie psują papier. I pismak jedynie przekazał sztapowymi słowami rozmowę z artystą. Ubogim humorem przyozdobił jego projekt. Spomiędzy wierszy prześwitywał pełen samozadowolenia uśmiech pismaka. I co, czyż nie jest perłą ze swych niskich wysokości? A zbanalizowana idea – czy jest od razu banałem? Przyjaciel zamyślił się, żegnając swe dzieło. Przepłynęła dziewczyna i snop, ciężki snop, jak urodzaj, i znikło wszystko w przejrzystym jesiennym powietrzu. Minuty mijały, jak odchodzą i przemijają ludzie. Jeszcze jedna doba upłynęła, gdy zbliżyła się dziewczyna o błękitnym spojrzeniu. Teraz nadchodził nareszcie właściwy moment. Przyjaciel wstał i ruszył jej na spotkanie, czując, że nie może dłużej milczeć, że musi powiedzieć coś ważnego. A gdy podszedł blisko, wziął ją za ramię i zatracając się, powiedział łagodnie:

– Pani teraz już nie jest potrzebna.

Dziewczyna poczerwieniała i mówiła coś nieważnego, pozbawionego treści. Czuło się tęsknotę za tym wszystkim. Raz jeszcze rozwiła się na skwerze mgła i poszło za nią wszystko – także błękitne spojrzenie, tak gorące z bliska.

## XII

Przyjaciół wrócił do domu. Nie zdejmując kapelusza, wycisnął z tubki niebieską farbę i roztarł ją. Potem zaczął zapełniać nią płótno.

W tym momencie przyszedłem ja – jego przyjaciel i wielbiciel.

– Wejdz – powiedział, rozmazując farbę.

I wysłuchałem go w milczeniu, śledząc ruchy pędzla, którym podkreślał myśli. Zrobiło się ciemno.

– Rozmyślałem, idąc do domu. Od uderzeń krwi mózg aż rozpalał się iskrami. Myśl sięgała w dal, ale przeszkadzało to miasto. Zapragnąłem, aby znikło – brudne, z ulicami i elektrycznością, kradnącą blaski farb. Aby na ruinach powstało wielkie miasto-olbrzym. Aby otoczyły mnie miliony okien, na chmurach płynęły elektryczne litery i gasło pod nimi kino „Złoty Wóz”.

W otwarte okno pokoju wpłynęły dwa słowa – czy to ktoś je wypowiedział, czy to wyśpiewał na żałobną nutę. Przyjaciel mój przerwał rozmowę i wyszedł

z pokoju. Do pokoju wchodziło niskie i przeciągłe:

– Daajcie, panie!

## XIII

Wyrząłem w półmrok ulicy. Nie wiedzieć czemu ogarnął mnie smutek. Nie rozumiałem wcześniej mojego przyjaciela. Teraz go rozumiem. To ja jestem tym pismakiem i to ja uczyniłem z dziewczyny zegar w cudzym oknie. Ona nigdy nie zbliży się do przyjaciela...

(Z Berlina przywiózł spokojne maniere wielkiego miasta. Zawsze będę lubił jego rozmarzoną mądrość i siwiznę na skroniach).

Listopad otrząsał liście z drzew. Spadały za oknami, szeleściły i dawały żółty blask. Zamilkł nagle głos starca i wszystko wyteżało słuch, czekając na wystrzał. A może w ogóle go nie było.

## XIV

Przyjaciół po pewnym czasie wrócił do pokoju i długo siedzieliśmy w milczeniu. Przez otwarte okno wlatywały komary i motyle. Powietrze niemal dźwięczało od ich obecności.

– Bieg myśli mętnieje od dotyku cudzej ręki i często łatwiej przestrzelić kopiejkę niż pocałować dziewczynę.

## Powrót

Na ojcowiznę *powrócił* wieczorem. Oparł karabin o komin spalonej chaty, a ręce ciągle nie mogły uwolnić się od odczucia zwykłego ciężaru broni. Słońce, znajome słońce dzieciństwa zaszło za znajomy pagórek. Wśród tęsknej ciszy zabłyśły w górze gwiazdy. Od pola powiał wiatr, tak samo jak niegdyś. Chłop, który był żołnierzem i znowu stał się chłopem, westchnął. Wiosenny wieczór powrotu był taki, jak go sobie wymarzył w okopach.

We wsi panował chaos. Zimą przeszedł przez nią front. Pośrodku w ziemię wgryzła się wojenna droga. Wieś była zburzona przez pociski i spalona przez ogień. Zagłębione w grunt obejścia stały jak kielichy. Życie ludzkie zaczynało się w nich, wygasalo i dochodziło do kresu. Ludzkie nogi udeptały ziemię na podwórzu. Pokolenia deptały ją, wyłaczając zagrodę-kielich. Ciężko pachniała wiosna. Słońce zaróżowiło widnokrąg. Na niebie płynął, niby łódź, klucz gęsi. Nad nim chmury biły się, szturchały – jak młode cielęta. Przelatywały pasma chmur. Jakby wyłamując sobie skrzydła, leciał kruk, tak czarny, że aż granatowy. „Ot i co!” – powiedział głośno chłop.

Chwytał w ręce nadchodzącą noc, strzelał do milczącego księżycy i niemal widział, jak sypią się z niego błyszczące drzazgi. Nagle księżyc zaszedł i chłop zasnął. Zdawało mu się, że wokół strzelają z okopów. W powietrzu nad nim skrzeczał pocisk. Wybuchł gdzieś z tyłu. Chłop ocknął się na moment, zdziwiony, że są we wsi pociski. Nadszedł prawdziwy sen. Ułożył się wygodniej, przeczuwając, że tym razem przyśni się coś przyjemnego. Rzeczywiście. Na podwórzu rozpiął się nowy, zielony pług. Lemiesz i odkładnia pięknie błyszczwały. Grządziel sterczała w górę. Koleśnica śmiesznie stała na dwóch nierównych kołach. Trudno było chwycić czepigi. Osłepiające słońce padało na ścianę chaty. Słoneczne promyki skakały po drzwiach. Za szybką w oknie rozkwitał ogień w palenisku pieca. Spojrzał na słońce, które kwitło, opłomieniając niebo i odcinając się od błękitnego tła. Słońce rozpadło się na nieskończoną ilość kawałków. Świat ponad horyzontem poczerniał od ziemi – umknęła w górę. „To sen” – pomyślał. Czuł walkę dwóch snów: oświetlonej słońcem chaty, przez którą przebijały ponure transzeje. Sam wiedział *na pewno*, że śpi na zgliszczach wsi. Rozum, jak zgoniona, zamęczona, rozdarta istota walczył ze wszystkich sił, przywracając obraz chaty. Okopy grzmiały i przeszkadzały, mózg we śnie wyrzucał z siebie ten hurkot. Tak samo płuca stopniowo wydychają narkotyczną truciznę. W końcu mózg połączył obydwie sny. Nad chatą pojawiła się chmura. Sama była jeszcze daleko, ale już wyciągała palce przez niebo. Od dołu ściagały

je echa błyskawic. Rozpostarte palce zwarły się w pięść, wymierzoną z nieskończonego nieba w słońce zawisłe nad ziemią.

Lunał deszcz. Słońce znikło, ostatnimi promieniami ciepła oświetlając mózg. Znow śniły się okopy. Chłop *wiedział*, że to tylko sen. Nieludzkie zmęczenie spętało, splątało mięśnie. Z tego snu, snu o okopach, chciało się znowu zobaczyć inny. Chciało się zasnąć we śnie. Mózg był zupełnie pewien, że rzeczywistość to zrujnowane podwórze. Wszystko inne jest snem. *Wszystko inne jest snem.*

Trwała walka. Mózg snem ochraniał spokój. Padał deszcz. Strugi deszczu docierały do ciała, krople spływały po twarzy. Człowiekowi zaczęło się śnić, że *został ranny*. Że płacze. Rana zupełnie nie bolała, łyzy były podziękowaniem za ranę. We śnie człowiekowi jest niezmiernie przyjemnie, że *został tylko ranny*. Nawet deszcz – to było w pełni *rzeczywiste* – nie mógł obudzić człowieka. Wydawało mu się, że z rany na plecach wypływa i ciecze chłodna krew. Gdzieś w głębinach mózgu tliła się świadomość, że to tylko sen, że rzeczywistość *to zgliszcza*. Ale nawet taki sen był przyjemniejszy od snu o wybuchach pocisków. Tliła się myśl, że rzeczywistość to powrót z wojny na ojcowiznę, to porzeczisko.

Przyśniła mu się żona. „Mężu mój” – powiedziała. Przyszła do studni, aby wyciągnąć wodę. Jej cień załamywał się na białej chacie. Zobaczył siebie, chowającego nowy pług. We dwoje z żoną zanieśli pług do piwnicy. Żabami i wilgotną ziemią pachnie piwnica. Śni się, że tłumaczy żonie, dlaczego chowa. Obejmuje kobietę, oddycha jej zapachem. W podświadomości krąży myśl o śnie. Jak powiedzieć żonie, że rzeczywistość to zgliszcza, pług trzeba zakopać we śnie (sen przecież dzieje się wcześniej!), pług będzie można po przebudzeniu odnaleźć? Żona ufnie przytuliła się całym ciałem. Radość powrotu. Z samych głębin rozumu podniosła się fala namiętności. Chłop przebudził się wiosennym rankiem na popiołach wsi. Przebudził się i westchnął głęboko.

Sady były połamane. Dopiero zaczynały się zielenić. Obłamane gałęzie, podobne do pokurczonych rąk i nóg, leżały rozrzucone na podwórzach. Chaty stały niepokryte. Opalone ściany i góry gliny cuchnęły wielkim cudzym nieszczęściem i sadzami. Słońce wstawało z chaosu widnokręgów. Na drodze rozpełzły się zaryte w ziemi wojskowe wozy. Chłop poszedł wzdłuż wsi. Był sam wśród ulic i zagród.

Za wsią nagle dogoniła go i otoczyła mgła, przenosząc w obce strony. Chłop stanął. Przed nim rozwarła się przepaść okopu. Odwieczne bagnisko. Wskoczył do środka i przypadł do przedpiersia. Od razu naszła go senność. Cały czas, walcząc ze snem, oglądał znajomy obraz. Pusty i bezludny. Przemocą oderwał się od ziemi i ruszył błąkać się polem w poszukiwaniu miedz. Wojna zniszczyła wszystko, co przypominało o podziałach ziemi.

A jednak odnalazł swoje pole. Na zboczach parowu rozpoznał jego róg. Wzdłuż jaru biegnęły zygzaki transzei. Ileż trzeba będzie pracy, żeby je wyrów-



nać! Trupi smród wydierał się spod ziemi. *Żyzna będzie ziemia*. Wziął łopatę, która sterczała nieopodal. Łopata weszła w ręce jak karabin. Zaczął wyrównywać *swoje* pole. Rąbał ręce trupów, żeby nie wystawały z ziemi. Odciągał na bok leżące na wierzchu ciała. Znajdował broń i amunicję, i składał na stos. Słońce po kilkakroć wschodziło i zachodziło, a on ciągle kopał. Zamiast chleba jadł konserwy. Wyłaziły z ziemi jak pieczarki – mięsne, warzywne, mleczne.

Wieś stała pustkami. Wiało nad nią wiele wiatrów. Jeden moczył, drugi suszył, inny ziębił. Żywioty przychodziły jeden po drugim i niszczyły resztki domu. Nauczył się myśleć ogólnymi zdaniami. Myślał „my” i wyobrażał sobie morze ruin i człowieczą pustynię. Niekiedy wydawało mu się, że wokół niego chodzą ludzie, stoją wesołe i zadbane chaty. Nie mógł tego zobaczyć, choć chciałoby się do kogoś odezwać. Mózg wypełniała nieludzka męka. Świadomość i oczy mówiły, że wokół stoją jedynie ruiny, ale gdzieś głęboko w podświadomości nie wierzył ani oczom, ani rozumowi.

Pole rozciągało się już równe pośród bezliku poskręcanych okopów. Orał je pługiem i zasiewał ziarnem. Kto ciągnie pług – bał się spojrzeć. I szedł, naciskając na czepigi, szedł bruzdą, patrząc w ziemię. Pług i ziarno – odnalazł to, co schował we śnie. Leciąco jak śrut, to ziarno. Jak ciężkie krople spadało z ręki. I niemal na jego oczach zaczęło kiełkować i rosnać.

Wokół chłopca pole drżało. Rozsądek mówił, że to mkną maszyny, co orzą i sieją. Rozum zapewniał, że to maszyny zwyciężają ziemię. Świadomość powiadała, że ziemia wokół odradza się. Doświadczenie życiowe namawiało, aby to zobaczyć. Ale oczy były ślepe, uszy – głuche, serce – nieporuszone. Wokół *musiał* być bezlik okopów. I chłop *widział* to, i czuł się samotny pośrodku wielkiego koła widnokregu.

Zaciążył kłosa na wietrze. W zaduchu nieprzeżniętych jeszcze pozostałości wojny szeleściło pole równych kłosów. Ofiary wojny wystawiały spod ziemi resztki kości. Chłop ciął kości łopatą – bo zamierzały się na *jego* ziemię. Kierowało nim coś wyższego niż rozum, silniejszego niż świadomość. Uczucie samotności i szaleństwa.

Do żółtego pola podszedł z kosą. W każdym zamachu kosy tkwiło okrucieństwo. Każde przecięte źdźbło odpowiadało echem strzału. Kosił długo, całe wieki. I nie mógł położyć całego ładu. Jakby podnosił się przed nim, zieleniał i żółkł na jego oczach. Wstawał z tyłu jak żywy i wrastał źdźbłami w ziemię. Chłop poczuł nadchodzącą starość. Zaczął kosić jako dziecko i jakby przeszedł całe życie. Nie mógł skończyć kośby i zasnął, upadłszy na gorący snop. Słońce paliło bezlitośnie.

Przyśniły mu się okopy i wojna. U stóp góry pałał w słońcu szmat żółtego pola. Słońce stało za chmurami, ich płaszcz przerwał się tylko nad ładem. Chłop ujrział *swoje* pole. Za horyzontem warczały silniki. Pojazdy sunęły jak deszcz na stepie, wzbijając przed sobą pył. Na skraju pola stanęli ludzie z karabinami. Chłop pobiegł im z pomocą i od razu poczuł, jak trudno jest biegać we

śnie. Samochody przejechały pasmo niwy. Żarem uderzyło mu w twarz ich gorąco. Przebudził się na rozgrzanej ziemi *swojego* pola.

Nieludzkie szaleństwo i samotność. Nieuchronność i zmęczenie. Podniósł kosę i chciał podciąć nią gardło. Kosa wyginała się i łaskotała. Szyja bolała, ale życie nie uciekało przez nią. Wtedy spróbował kosą przebić serce. Ubranie przeciął bez trudu. Ale nie zdołał odnaleźć serca. Trzepotało się w piersi i chowało we wszystkie zakamarki. Chłop stanął wyprostowany wśród rozgrzanego żółtego pola. Daleko odrzucił kosę. Gardło i serce bolały. Rozejrzał się wokół i zachłysnął swoją samotnością. Był niby pod wodą, która tłumii głos. Dostojnym krokiem przeszedł przez pole. Całe jego życie skupiło się w tej jednej chwili. Śmierć wydała się najwyższym poziomem życia. Zszedł z pola do okopu. Przywiązał sznur, zrobił pętlę, włożył w nią głowę i zaczął siadać pod ścianą okopu, zaciągając węzeł na szyi. Życie powoli uchodziło z całego ciała. Ciepło uciekało z rąk i nóg. Piersi oderwały się i serce wykonało ostatni skurcz. Głowa zagubiła nos, oczy, uszy, język. Powoli cały wielki mózg przemienił się w kropkę. Tłoczyła się w niej świadomość, wszystko co tajemne i wszystko co najważniejsze. Kropka powinna ulec rozpadowi. Wtedy byłoby po wszystkim. Kropkę ogarnął szal. Mogła pozwolić na zniszczenie wszystkiego, z wyjątkiem niej samej. Zniszczyła ciało, zniszczyła uczucia. Ale teraz szalem rozpałiła cały mózg i człowiek przebudził się na wpół uduszony.

*Wszystko to było snem.* Wojna jeszcze się nie skończyła. Człowiek był jeszcze na wojnie. Zasnął w okopie i o mało się nie powiesił, gdy zaczepił kołnierzem szynela o sęk w szalunku okopu.

Szeroko otworzył oczy, jakby pierwszy raz oglądając wszystko wokół. Ogarnęła go radość: był jeszcze na wojnie. Po drugiej stronie parowu szumiął postrzępiony, zbity pociskami las. Tęsknie chlupało błoto w transzei. Sąsiedzi drzemali przy wysuniętych karabinach.

Niemy zachwytył zastygł na jego twarzy. W tej chwili prosto w oczy nadleciała mu *kula*. Jakby nieskończoną ilość lat wkręcała się w jego mózg, i ostatecznie przestał postrzegać cokolwiek – i sny, i życie, padając powoli, jak zmięty worek ziemi, w rzadkie błoto okopu.

Tłum. Katarzyna Kotyńska



## ANEKSY

### UGRUPOWANIA I ORGANIZACJE LITERACKIE\*

**AKADEMICZNA HROMADA** – stowarzyszenie studenckie założone we Lwowie. Prowadziło działalność w latach 1896-1921 również w filiach poza Lwowem, m. in. w Krakowie przy Uniwersytecie Jagiellońskim (1912-1918). Stowarzyszenie wydawało czasopismo „Mołoda Ukrajina”. Stowarzyszenie zostało rozwiązane przez władze polskie w związku z zaangażowaniem się **AKADEMICZNEJ HROMADY** w utworzenie ukraińskiego uniwersytetu we Lwowie.

**ANUM** – Asocjacja Niezależnych Ukraińskich Mytciw (Stowarzyszenie Niezależnych Artystów Ukraińskich), ugrupowanie artystyczne założone w 1931 r. we Lwowie. Na czele stowarzyszenia stała Jarosława Muzyka; należeli do niego zarówno artyści (Roman Selski, Pawło Kowzun, Lew Getz, Mykoła Hłuszczenko, Mychajło Andrijenko, Wołodymyr Siczynski), jak i krytycy sztuki (Swiatosław Hordynski, Mykoła Hołubeć) oraz pisarze (Bohdan Ihor Antonycz). ANUM zorganizował 14 wystaw w kraju i za granicą. Wystawom towarzyszyły katalogi. ANUM współpracował z wieloma ówczesnymi ukraińskimi ośrodkami życia artystycznego – Warszawą, Pragą, Wiedniem, Berlinem i Paryżem i wydawał pismo „Mystectwo”.

**ARMU** – Asocjacja Rewolucyjnych Mytciw Ukrainy – ugrupowanie artystyczne, skupiające malarzy tworzących w stylu neobizantyjskim, jednakże w duchu współczesnej sztuki europejskiej. ARMU założono w Kijowie w 1925 r.; należeli do niego: Mychajło Bojczuk, Wasyl Sedlar, Iwan Padałka, Oksana Pawlenko. Rozwiązano je w 1932 r.

**ASPANFUT** – Asocjacja Panfuturystiw (Stowarzyszenie Panfuturystów) było ugrupowaniem stworzonym z inicjatywy Mychajła Semenki w 1921 r. w Kijowie na bazie Flamingo, Udarnej Hrupy poetiw-futurystiw (Uderzeniowa Grupa Poetów – Futurystów) i grupy artystycznej KOMKOSMOS. Do ugrupowania wchodził m.in.: Geo Szkurupij, Julian Szpoł, Ołeksia Slisarenko, Myrosław Irczan, a później także Mykoła Bażan i Jurij Janowski. Organem ASPANFUT było pismo „Golfstrom”. Panfuturyści drukowali swe utwory także w almanachu „Semafor u majbutnie”, piśmie „Katafalk mystectw” i „Żowtnewyj zbirnyk panfuturystiw”. Na przełomie kwietnia i maja 1924 r. ASPANFUT przekształcił się w stowarzyszenie **ASOCJACIJA KOMUNISTYCZNOJI KULTURY** (Stowarzyszenie Kultury Komunistycznej).

---

\* Aneksy przygotowały: O. Hnatiuk, K. Kotyńska, L. Szost

**ASPYS** – Asocjacja Pysmennykiw (Stowarzyszenie Pisarzy) – ugrupowanie działające w Kijowie w latach 1923-1924, promujące zwrot ku sztuce wysokiej. Należeli do niego: Ludmyła Starycka-Czerniachowska, Natała Romanowycz-Tkaczenko, Maksym Rylski, Mykoła Zerow, Hryhorij Kosynka, Wałerjan Pidmohylny, Borys Antonenko-Dawydowycz i in. W 1924 r. ASPYS podzieliło się na NEOKLASYKÓW i grupę ŁANKA (MARS).

**AWANGARD** – ugrupowanie literacko-artystyczne istniejące w Charkowie w latach 1926-1930. Należeli do niego pisarze: Wałerjan Poliszczuk, Ołeksandr Łewada, H. Czernow, R. Trojanker, W. Jaryna oraz artyści: Wasyl Jermyłow, Heorhij Capok i in. Twórcy ci deklarowali „konstruktywny dynamizm” jako kontynuację wcześniejszego „spiralizmu” (GRONO). Publikacje umieszczali na łamach czasopisma „Biuleteń AWANGARDU” (1928, trzy numery) oraz „Mystecki materiały AWANGARDU” (1929, dwa numery). Zaistnieli w formalnej opozycji do futuryzmu.

**CHATIANY** – twórcy i publicyści skupieni wokół literacko-artystycznego miesięcznika „Ukrajńska Chata”, który wychodził w Kijowie w latach 1909-1914 pod redakcją Pawła Bohackiego, Mykoły Fediuszki (pseud. Mykoła Jewszan), Mykoły Szapowała (pseud. Mykoła Sriblanski). Powstanie tego czasopisma wiąże się z wydaniem wcześniej almanachem „Ternowyj winok” (1908) i polemiką, która wokół niego wynikła pomiędzy „radianami” (publicyści z czasopisma „Rada”) a przyszłymi CHATIANAMI. Wokół „Ukrajńskiej Chaty” skupiało się najmłodsze pokolenie twórców. Tutaj publikowali swe pierwsze utwory najważniejsi przedstawiciele „Rozstrzelanego Odrodzenia” – Maksym Rylski, Pawło Tyczyna, Mychajło Semenکو i in. Na łamach gazety ukazywały się również utwory wczesnych modernistów: Olhy Kobylanskiej, Mychajła Jackowa, Wołodymyra Wynnyczenki, Petra Karmanskiego i in. Działalność CHATIAN przerwała I wojna światowa.

**FLAMINGO** – ugrupowanie literackie futurystów, stworzone przez Mychajła Semenکو w 1919 r. w opozycji do symbolistów, skupionych wokół almanachu „Muzahet”. W skład FLAMINGO weszli niektórzy pisarze, należący do frakcji borot’bistów – Hnat Mychajłyczenko, Wasyl Ełłan – Błakytny, Wasyl Czumak oraz malarz Anatolij Petrycki.

**GRONO** – ugrupowanie awangardowe istniejące w Kijowie w latach 1920-1921 przy gazecie „Bilszowyk”. Założone przez Wałerjana Poliszczuka. Do składu wchodził Mykoła Tereszczenko, Pawło Fyłypowycz, Dmytro Zahuł, Geo Szkurupij, Hryhorij Kosynka, Anatolij Petrycki i in. W 1920 r. GRONO wydało almanach pod tą samą nazwą, gdzie zadeklarowało „spiralizm” jako swą metodę artystyczną oraz almanach *Wyr rewolucij* (Dnipropetrowsk, 1921). Za kontynuację GRONA uważa się ugrupowanie AWANGARD.

**HART** – Związek Pisarzy Proletariackich, utworzony w 1923 r. w Charkowie. Przewodniczącym był Wasyl Ełłan-Błakytny. HART zrzeszał pisarzy pod hasłami tworzenia nowej, internacjonalistycznej, monolitycznej kultury. Naczelnym hasłem było zaangażowanie w twórczość proletariackich mas.

HART działał w Charkowie, Kijowie, Odessie, Dniepropietrowsku. Należeli do niego m.in.: Mykoła Chwyłowy, Ołeksandr Dowżenko, Majk Johansen, Kost' Hordijenko, Iwan Dniprowski, Wołodymyr Koriak, Wałerjan Poliszczuk, Wołodymyr Sosiura, Pawło Tyczyna. Organizacja rozwiązała się w 1925 r.

**HORNO** – stowarzyszenie literackie pisarzy „proletariackich” z Ukrainy Zachodniej (Wasył Bobynski, Stepan Tudor, Jarosław Hałan i in.), należących do Komunistycznej Partii Zachodniej Ukrainy. Członkowie ogłaszali deklaracje komunistyczne. Utwory drukowali w piśmie „Wikna”. HORNO zakończyło działalność w 1933 r.

**KOMKOSMOS** – Komunistyczny Kosmos (Komunistyczny Kosmos) – ugrupowanie artystyczne ukraińskich panfuturystów – Ołeksy Slisarenki, Geo Szkurupija, Mykoły Tereszczenko, dążące do stworzenia nowej sztuki pod hasłami komunistycznymi i w oparciu o idee PROLETKULTU. Członkowie ugrupowania opowiadali się za sztuką społecznie zaangażowaną. W 1921 r. KOMKOSMOS wszedł w skład ASPANFUTU.

**KWERO** – oficyna wydawnicza futurystów założona w 1913 r. przez Mychajła Semenkę i jego brata Wasyla oraz artystę malarza, Pawła Kowżuna, w której ukazały się pierwsze manifesty futurystyczne.

**ŁANKA** – kijowskie stowarzyszenie literackie, powstało w 1924 r.; w 1926 r. zmieniło nazwę na MARS (skrót od Majsternia Rewolucyjnoho Słowa – Pracownia Rewolucyjnego Słowa), zlikwidowane w 1929 r., ponieważ programowo nie poddawało się naciskom ze strony partii komunistycznej. Członkowie: Wałerjan Pidmohylny, Borys Antonenko-Dawydowycz, Hryhorij Kosynka, Mychajło Iwczenko, Todoś Ośmaczka, Jewhen Płużnyk i in., w latach trzydziestych represjonowani.

**MOŁODA MUZA** – ugrupowanie literackie, działające we Lwowie w latach 1906-1909. Do ugrupowania należeli Wołodymyr Byrczak, Petro Karman-ski, Bohdan Łepki, Ostap Łucki, Wasył Paczowski, Sydir Twerdochlib, Stepan Czarnecki, Mychajło Jackiw. Blisko związani byli Mychajło Rudnycki, Osyp Turianski, kompozytor Stanisław Ludkewycz, rzeźbiarz Mychajło Paraszczuk, malarz Iwan Seweryn i in. Organem MOŁODEJ MUZY było pismo „Swit”. Członkowie pragnęli unowocześnić literaturę ukraińską, zbliżyć ją do europejskiej literatury modernistycznej. Podobne było credo artystyczne CHATIAN – pisarzy skupionych wokół „Ukrajnińska chata”. MOŁODA MUZA pozostawała w bliskich kontaktach z przedstawicielami Młodej Polski.

**MOŁODNIAK** – organizacja literacka młodych pisarzy, pozostających pod opieką ideologiczną ukraińskiego Komsomołu. Powstała w Charkowie w 1926 r. po rozłamie w HARCIE. Członkowie: Leonid Perwomajski, Ołeksza Włyżko, Ołeksandr Kornijczuk i in. Rozwiązana w 1932 r.

**MUZAHET** – ugrupowanie ukraińskich symbolistów (pisarzy i artystów) założone w 1919 r. w Kijowie. Istniało rok. Należeli do niego Hałyna Żurba, Dmytro Zahuł, Jakiw Sawczenko, Ołeksza Slisarenko, Hnat Mychajłyczenko,

Pawło Tyczyna, Łeś Kurbas i in. Twórcy publikowali na łamach literacko-artystycznego miesięcznika pod tym samym tytułem (1919, trzy numery).

**MYTUSA** – ugrupowanie byłych strzelców siczowych, do którego weszli Wasyl Bobynski, Ołeś Babij, Roman Kupczynski, Pawło Kowżun, Jura Szkrumelak i in., których twórczość łączono najczęściej z symbolizmem. W 1922 r. (styczeń-kwiecień) wydawali we Lwowie miesięcznik pod tą samą nazwą. Pismo eksponowało problematykę artystyczną – dział *Mystečka trybuna* i *Mystečka chronika* (malarstwo – Pawło Kowżun, muzyka – Mychajło Rudnicki, teatr – Mykoła Hołubeć), *Poezija* i *Poetyczna proza* oraz dział recenzji *Knyżky do ocinky*.

**NOWA GENERACIJA** (Nowa Generacja) – awangardowe ugrupowanie literackie, trzecia modyfikacja „lewicowego frontu sztuki” (po Aspanfut i Asocjacji Komunistycznej Kultury). Powstała w 1927 r.; na jej czele stał niezmiennie teoretyk futuryzmu, Mychajło Semenko. NOWA GENERACJA zrzeszała pisarzy charkowskich, kijowskich i odeskich; prócz dawnych adeptów futuryzmu (Geo Szkurupija, Geo Kolady, L.Nedoli) w skład ugrupowania weszli też młodzi poeci, prozaicy i krytycy, m.in. Ołeksa Włyżko, Edward Stricha, Ołeksij Połtoracki, a także artyści – Wadym Meller, Dan Sotnyk, Kazymyr Małewycz. Powstaniu ugrupowania towarzyszyło opublikowanie nowej deklaracji twórców („Platforma i otoczenia liwych”) o wydźwięku politycznym: odcięto się od WAPLITE, sojuszników poszukiwano w szczególności w WUSPP i MOŁODNIAKU. W styczniu 1931 r. NOWA GENERACIJA rozwiązała się.

**PLUH** – Spiłka Selanśkich Pyśmennykiw (Związek Pisarzy Chłopskich), organizacja literacka założona w 1922 r. w Charkowie. Miał swoje filie w Kijowie, Połtawie, Winnicy i in. Inicjatorami byli m.in. Serhij Pyłypenko, Iwan Senczenko, Geo Kolada. W skład ugrupowania wchodził m.in. Andrij Hołowko, Petro Pancz, Wołodymyr Gżycki, Natała Zabiła, Pawło Usenko, Dmytro Bedzyk. Wydawano almanach „Płuh”. Członkowie deklarowali udział w tworzeniu nowej kultury i odzwierciedlanie życia nowej wsi zgodnie z duchem rezolucji partii komunistycznej. Naczelną ideą ugrupowania było zbliżenie wsi do miasta. W trakcie dyskusji literackiej 1925-28 PŁUH krytykowano za obniżenie wymogów artystycznych. Ideologiem ugrupowania był Serhij Pyłypenko. PŁUH rozwiązał się w 1932 r.

**PROLETKULT** – Proletarska kultura (Kultura Proletariacka) – pierwsza masowa organizacja literacka i kulturalno-oświatowa (1917-1920), członków której łączyło hasło tworzenia nowej kultury, wolnej od „burżuazyjno-szlacheckiego dziedzictwa”.

**PROLITFRONT** – Proletarskyj Literaturnyj Front (Literacki Front Proletariacki) – ugrupowanie stworzone z inicjatywy Mykoły Chwyłowego jako kontynuacja WAPLITE. Istniało w Charkowie w latach 1930-1931, w opozycji do monopolizującego kulturę ukraińską WUSPP. Ugrupowanie wydawało literacko-krytyczny miesięcznik pod tą samą nazwą. Publikowano tam utwory Mykoły Chwyłowego, Pawła Tyczyny, Jurija Janowskiego, Ostapa Wyszni i in.

**PROSWITA** – stowarzyszenie kulturalne, oświatowe i gospodarcze, funkcjonujące na ziemiach ukraińskich – zarówno pod panowaniem rosyjskim, austriackim, jak i polskim w latach 1868-1939. Na Ukrainie radzieckiej PROSWITĘ zlikwidowano w 1923 r. Podczas dyskusji literackiej (1925-1928) pojęcia „proswita” używano na określenie kultury zaściankowej, zacofanej i ograniczonej do etnografizmu.

**SPU** – Spółka Piśmennyków Ukrainy (Związek Pisarzy Ukrainy), utworzony w 1934 r. jako część Związku Pisarzy ZSRR pod nazwą Spółka Radińskich Piśmennyków Ukrainy (Związek Radzieckich Pisarzy Ukrainy). Stanowiła podstawowe ogniwo w tzw. „polityce partii w sferze literatury pięknej”. Istnieje do dziś.

**SZKOŁA PRASKA** – umowne określenie grupy ukraińskich poetów dwudziestolecia międzywojennego, działających głównie w Pradze i Podiebradach (Jewhen Małaniuk, Jurij Darahan, Leonid Mosendz, Jurij Kłen, Natała Liwycyka-Chołodna, Oksana Laturynska, Jurij Łypa, Ołeh Olżycz, Ołena Teliha i in.). Szkoła praska nie miała ani statutu, ani programu, jednak wspólnymi cechami twórczości jej przedstawicieli były: wyraźna, odrębna historiozofia i patos narodotwórczy.

**TANK** – stowarzyszenie literackie ukraińskich pisarzy emigracyjnych, gałąź „szkoły praskiej”, założone w Warszawie w 1929 r. z inicjatywy Jurija Łypy. W skład stowarzyszenia weszli: Natała Liwycyka-Chołodna, Andrij Kryżaniwski, Jewhen Małaniuk, Petro Chołodny jr., Ołena Teliha i in. Stawiało sobie cel tworzenia „literatury państwotwórczej”, równoważenia kryteriów prawdy i piękna, broniło niezależności twórczej artysty. Po rozpadzie stowarzyszenia (1929) jego idee realizowano na łamach pisma „My”.

**WAPLITE** – Wilna Akademia Proletarśkoji Literatury (Wolna Akademia Literatury Proletariackiej), organizacja literacka, działająca w Charkowie w latach 1926-28, kierowana faktycznie przez Mykołę Chwyłowego. Powstała w wyniku rozpadu HARTU; za swoje główne zadanie uważała doskonalenie mistrzostwa artystycznego i dążenie do dorównania poziomem europejskiej literaturze, odrzucała masowość sztuki. Członkami WAPLITE byli: Iwan Dnirowski, Ołeksandr Dowżenko, Hryhorij Epik, Majk Johansen, Mykoła Kulisz, Arkadij Lubczenko, Petro Pancz, Ołeksza Slisarenko, Jurij Smołyecz, Wołodymyr Sosiura, Pawło Tyczyna, Jurij Janowski. Wydała almanach „WAPLITE” (1926) i dwumiesięcznik pod tym samym tytułem (Charków, 1927). WAPLITE rozwiązało się w wyniku nacisków i krytyki władz komunistycznych. Byli członkowie WAPLITE w latach 1928-29 wydawali w Charkowie „Literaturnyj Jarmarok”, miesięcznik-almanach humorystyczno-satyryczny.

**WUSPP** – Wseukrajnińska Spółka Proletarśkich Piśmennyków (Wszekukraiński Związek Pisarzy Proletariackich), organizacja literacka założona w Charkowie w 1927 r. z inicjatywy partii komunistycznej jako przeciwwaga dla WAPLITE, neoklasyków i grupy MARS. Najaktywniejsi członkowie: Borys Kowałenko, Ołeksandr Kornijczuk, Iwan Mykytenko, Wołodymyr Koriak, Iwan



Łe i in. WUSPP zajmował się przede wszystkim działalnością administracyjną i partyjną. Istniał do 1932 r., później stał się jądrem Związku Radzieckich Pisarzy Ukrainy.

**ŻOWTEŃ** – kijowskie stowarzyszenie literackie (1924-26), propagujące rozwój kultury proletariackiej. Po rozpadzie stowarzyszenia większość członków przeszła do WAPLITE, nieliczni do WUSPP. Członkowie: Wasyl Desniak, Iwan Łe, Mykoła Tereszczenko, Jurij Janowski i in.

**TABLICE CHRONOLOGICZNE 1880-1934**  
(literatura – kultura)

LITERATURA	ALMANACHY, GRUPY, PISMA	KULTURA, SZTUKA HISTORIE LITERA- TURY
<b>1882</b> P. Kulisz (1819-97) <i>Chutorna poezija</i> ◇ powieść I. Franki (1856-1916) <i>Za- char Berkut</i>	<b>1880-97</b> dwutygodnik lite- rackonaukowy „Zoria”, Lwów <b>1882-1906</b> miesięcznik hist.-etnograf. „Kijewska Starina”, Kijów	<b>1880-91</b> <i>Zaporożcy piszący list do Sultana</i> Ilji Riepina (1844-1930) <b>1882</b> w Jelisawietgradzie M. Kropywnycki (1840- 1910) zakłada ukr. teatr zawodowy
<b>1884</b> pierwsze opowiadanie <b>M. Kociubynskiego</b> (1864- 1913) <i>A. Sołowejko</i>	<b>1883</b> Almanach „Rada” M. Staryckiego (1840-1904), Kijów	<b>1883-87</b> budowa opery w Odessie, arch. F. Fellner, H. Helmer
<b>1886</b> powieść <i>Luborački</i> A. Swydneyckiego (1834-71) <b>1887</b> poezje I. Franki <i>Z werszyn i nyzyn</i>	<b>1885</b> J. Fed'kowycz (1834- 88) wydaje gazetę „Buko- wyna”, Czerniowce	<b>1884</b> carska ustawa likwi- dująca autonomię uniwer- sytetów ◇ otwarcie katedry jęz. i lit. ukr. na uniw. w Czerniowcach, kierownictwo obejmuje S. Smal-Stocki ◇ S. Wasylkiwski (1854- 1917) <i>Poranek</i> ◇ M. Petrow <i>Oczerki istorii ukr. lit. XIX w.</i>
<b>1890</b> <i>Z poezij</i> W. Samijlenki (1864-1925) ◇ poemat I. Franki <i>Łys Mykyta</i> ◇ nowela B. Hrinczenki (1863- 1910) <i>Soniasznyj promiń</i>	<b>1887</b> „Perszuj winok” almanach pod red. N. Kobrynskiej (1851-1920) <b>1888-93</b> w Kijowie działa grupa młodych ukr. poetów i pisarzy, m.in. Ł. Ukrainka, W. Samijlenko, A. Krymski.	<b>1886</b> <i>Na Charkowszczyźnie</i> P. Łewczenko (1856-1917)  <b>1887-94</b> pięciotomowa <i>Istorija literatury ruskoj</i> O. Ohonowskiego <b>1888</b> Mychajło Mykeszyn (1835-1896), pomnik B. Chmielckiego w Kijowie
		<b>1890</b> Mykoła Ge (1831-94) <i>Czym jest prawda</i> <b>1890-1900</b> S. Wasylkiwski <i>Przedwiośnie</i> <b>1890-1922</b> działalność odes- kiego Towarzystwa Artystów Południowo-rosyjskich

**1893** *Na kryłach piseń* – pierwszy zbiorek poezji Ł. Ukrainki (Ł. Kosacz; 1871-1913) ◊ dramat I. Franki *Ukradene szcztastia*

**1894** nowela **O. Kobylan-skiej** (1863-1942) „Ludyna”

**1895** pierwsze opowiadania **B. Łepkiego** (1872-1941)

**1896** nowela **O. Kobylan-skiej** *Cariwna* ◊ poezje I. Franki *Ziwjale tystia* ◊ pierwsze opowiadnie **M. Cze-remszyny** (I. Semeniuk; 1874-1927) *Kermanycz* ◊ dramat Ł. Ukrainki *Błakytna trojanda*

**1897** opowiadania **W. Ste-fanyka** (1871-1936) *Wywo-dyły z seta, U korczmi* ◊ nowela O. Makoweja (1867-1925) *Zalissia* ◊ poezje W. Szczurata (1872-1948) *Lux in tenebris lucet* ◊ opowia-danie **H. Chotkewyca** (1877-1938) – *Hruzynka*

**1898** poezje I. Franki *Mij Izmarahd* ◊ opowiadania **B. Łepkiego** *Z seta*

**1894-97** we Lwowie ukazuje się pismo „Żytie i słowo”, red. I. Franko

**1898-1906** miesięcznik „Li-teraturno-Naukowyj Wisnyk” (LNW) we Lwowie, red. M. Hruszewski

**1892** przekształcenie Towarzystwa Literackiego im. T. Szewczenki w Towarzystwo Naukowe (NTSz); początek wydawania „Zapisków NTSz”

**1892-94** M. Ge *Ukrzyżo-wanie i Autoportret*

**1893** pisownia fonetyczna zyskuje status oficjalnej ◊ M. Ge *Golgota*

**1894** prezentacja kinemato-grafu J. Tymczenki ◊ M. Hruszewski (1866-1934) obejmuje nowo utworzoną ukr. katedrę historii na Uniwersytecie Lwowskim

**1897-1900** budowa teatru opery we Lwowie, arch. Z. Gorgolewski

**1897-1901** Kijów: budowa opery, arch. W. Schreter i mu-zeum histor., arch. W. Ho-rodecki

**1897-1913** M. Hruszewski przewodniczącym Towarzystwa im. T. Szewczenki

**1898** powstanie lwow-skiego Towarzystwa dla Rozwoju Ruskiej Sztuki ◊ M. Buraczek (1871-1942) *Na Dnieprze o zmierrchu*

**1898-1917** Lwów: „Ukr.-ruśka wydawnicza spiłka”, kierownictwo: W. Hnatiuk, I. Franko

**1898-1937** 11-tomowa *Isto-*

**1899** poezje Ł. Ukrainki *Dumy i mriji* ◇ opowiadania **W. Stefanyka** *Synia knyżeczka* ◇ poezje P. Karman-skiego (1878-1956) *Z teky samowbywcia* ◇ opowiadania **M. Jackiwa** (1873-1961) ◇ T. Bordulak (1863-1936) *Błyżni. Obrazky j opowidannia* ◇ opowiadania **M. Kociubynskiego** *U putach szajtana*  
**1900** poezje I. Franki *Iz dniw żurby* ◇ poezje W. Paczowskiego (1878-1942) *Rozsypani perły* ◇ opowiadania **W. Stefanyka** *Kaminnyj chrest* ◇ opowiadania Ł. Marto-wycza (1871-1916) *Neczy-talnyk* ◇ opowiadanie **M. Jackiwa** *W carstwi satany*  
**1901** poezje A. Krymskiego (1871-1941) *Palmowe hillia* ◇ opowiadania **M. Czerem-szyny** „Karby” ◇ opowiadania **B. Łepkiego** „Z zytia” ◇ nowele **W. Stefanyka** *Doro-ha* ◇ opowiadania O. Mako-weja *Naszi znajomi*”  
**1902** zbiorek *Widhuky* Ł. Ukrainki ◇ opowiadanie **W. Wynnyczyenki** (1880-1951) *Krasa i syła* ◇ powieść **O. Kobylanskiej** *Zemla* ◇ *Poeziji w prozi* **H. Chot-kewycza** ◇ poezje **B. Łep-kiego** *Osiń*  
**1903** poemat dramatyczny Ł. Ukrainki *Wawylónskij połon* ◇ debiut O. Olesia (Kandyby; 1878-1944)  
**1903-10** **M. Kociubynski** *Fata morgana*  
**1904** opowiadania O. Mako-weja ◇ opowiadanie **W. Wynnyczyenki** *Hołota* ◇

**1900** pierwsze wystąpienia grupy MOŁODA MUZA (W. Paczowski, P. Karman-ski, B. Łepki, M. Jackiw)

**1901** *Widozwa* – manifest modernizmu M. Woronego (1871-1942)

**1903** *Akordy. Antołohija ukr. liryky wid smerti* T. Szewczenka, red. I. Franko

**1904** almanach *Z-nad chmar i dołyn*, red. M. Worony (1871-1942)

*rijaUkrajiny-Rusy* M. Hru-szewskiego  
**1899-1908** 5-tomowa praca *Huculszczyna* W. Suche-wycza

**1900** I. Trusz (1869-1941) – portrety Ł. Ukrainki i M. Łysenki ◇ W. Kryczew-ski (1873-1952) *Na Dnie-prze* ◇ *Album Ukr. Starowyny* S. Wasyl-kiwskiego i M. Samokysza (1860-1944)

**1901** Fotij Krasycycki (1873-1944) *Gość z Zapo-roża*

**1902-04** O. Muraszko (1875-1919) *Kawiarnia, Na ulicach Paryża*

**1903** pierwsze pełne wydanie Biblii po ukraińsku (Wiedeń) ◇ wystawa malarstwa w Połtawie m.in. S. Wasylkiwski, W. Kryczewski

**1904** M. Łysenko (1842-1912) zakłada pierwszą na Ukrainie szkołę muz.-

poemat dramat. Ł. Ukrainki  
*Na rujinach*

**1905** poemat I. Franki  
*Mojsej* ◇ opowiadania  
Ł. Martowycza

**1906** poezje I. Franki *Semper tiro* ◇ poezje P. Karman-  
skiego *Oj, luli, smutku*  
◇ poezje W. Samijłenki  
*Ukrajini* ◇ poezje M. Fil-  
ianskiego (1873-1938)  
*Liryka*

**1907** poezje P. Karman-  
skiego *Błudni wohni* ◇ poe-  
zje O. Ołesia *Z żurboju*  
*radist' obniałaś* ◇ wiersze  
Ch. Ałczewskiej (1882-  
1931) *Tuha za soncem* ◇  
poezje W. Paczowskiego *Na*  
*stoci hir* ◇ dramat  
Ł. Ukrainki *Kassandra*

**1908** nowela M. Kociu-  
byńskiego *Intermezzo* ◇  
powieść O. Kobylanskiej  
*W nedilu rano zilla kopata*

**1909** dramat H. Chotke-  
wycza *Dowbusz* ◇ poezje

**1905** we Lwowie zaczyna  
wychodzić „Artystyczny  
wisnyk”, red. I. Trusz

**1906** miesięcznik „Nowa  
Hromada”, red. B. Hrin-  
czenko, Kijów

**1906-07** dwutygodnik  
„Swit”, red. W. Byrczak,  
M. Jackiw, W. Budzy-  
nowski

**1906-09** almanach „Mołoda  
Muza”

**1906-14** dziennik „Rada”,  
wyd. J. Czykałenko, Kijów

**1907-14** LNW w Kijowie,  
red. M. Hruszewski

**1907-16** Towarzystwo Ar-  
tystów Kijowskich

**1908** antologia *Ukrajinska*  
*Muza*, Kijów ◇ almanach  
*Sicz*, Lwów

**1909-14** czasopismo moder-  
nistów „Ukrajinska chata”,

dramatyczną ◇ B. Łepki  
*Naczerk istoriji ukr.*  
*Literatury*

**1905** zniesienie ograniczeń  
używania języka ukr. w  
Imperium Rosyjskim ◇ we  
Lwowie powstaje Ukr.  
Muzeum Narodowe, funda-  
tor: metropolita A. Szep-  
tycki ◇ S. Wasylkiwski  
*Kozak w stepie* ◇ wystawa  
Towarzystwa Miłośników  
Ukr. Lit. i Sztuki we Lwo-  
wie; prace I. Trusza,  
A. Manastyrskiego, M. Boj-  
czuka, F. Kraszyckiego

**1905-06** M. Paraszczuk,  
A. Popiel – pomnik A. Mic-  
kiewicza we Lwowie

**1906** w Kijowie, Czerni-  
howie, Połtawie, Odessie  
powstaje PROSWITA ◇  
poemat symfoniczny

S. Ludkewycza (1879-  
1979) *Kameniar* ◇ w Kijo-  
wie powstaje Ukr. Towa-  
rzystwo Naukowe ◇ wysta-  
wa malarstwa w Połtawie,  
m.in. S. Wasylkiwski,  
W. Kryczewski, F. Kraszycki

**1907** oficjalne zniesienie  
ukazu emskiego ◇ M. Żuk  
(1883-1964) – portret  
M. Kociubynskiego ◇  
pierwsze pełne wyd. utwo-  
rów T. Szewczenki (red. W.  
Domanycki) ◇ madziaryza-  
cja szkół na Zakarpaciu ◇  
M. Sadowski zakłada  
pierwszy ukr. teatr stacjo-  
narny

**1907-09** wydanie *Słownika*  
*języka ukr.* B. Hrinczenki

**1908** O. Kulczycka (1877-  
1967) *Dzieci na łące*

**1909** zdjęcia do pierwszych  
na Ukrainie filmów ◇

P. Karmanskiego *Pływem po mori t'my* ◇ poezje H. Czuprynki (1879-1921) *Ohnecwit*

**1909-11** O. Ołeś *Poeziji* II, III  
**1910** pierwszy zbiorek poezji M. Rylskiego (1895-1964) *Na bitych ostrowach* ◇ poemat dramat. O. Ołesia *Po dorozii w kazku* ◇ poezje H. Czuprynki *Meteor, Urahan* ◇ poemat dramat. Ł. Ukrainki *Bojarynia* ◇ drammat **W. Wynnyczycki** *Brechnia*

**1911** nowele S. Wasylczycki (1879-1932) *Eskizy* ◇ powieść **M. Kociubynskiego** *Tini zabutyh predkiw* ◇ drammat Ł. Ukrainki *Lisowa pisnia* ◇ drammat **W. Wynnyczycki** *Czorna pantera i bityj wedmid'* ◇ powieść Ł. Martowycza *Zabobon* ◇ powieść **H. Chotkewycza** *Kaminna dusza* ◇ poezje M. Filianskiego *Callendarium*

**1912** nowela **O. Kobylanskiej** *Czerez kładku* ◇ M. Worony *Liryczni poeziji* ◇ poezje H. Czuprynki *Kontrasty* ◇ drammat Ł. Ukrainki *Kaminnyj hospodar* ◇ debiut poet. P. Tyczyny (1891-1967)

**1913** nowela **O. Kobylanskiej** *Za sytuacijamy* ◇ O. Ołeś *Dramatyczni twory* ◇ poezje M. Woronego *W siałwi mrij* ◇ poezje M. Semenki (1892-1937) *Prelude* ◇ poezje W. Paczowskiego *Ładi i marenii* ◇ drammat S. Czerkasenki

red. P. Bohacki, M. Szapował

**1912-17** społ.-polit. miesięcznik „Ukrainskaja żyzn’”, red. S. Petlura, Moskwa

**1913-14:** miesięcznik „Siajwo” i socjaldemokratyczne czasopismo „Dzwin”

B. Łepki *Naczerk istoriji ukr. lit. cz.1 (1912 cz.2)* ◇ podręcznik do gry na bandurze H. Chotkewycza

**1910** M. Jewszan (Fediuszka; 1889-1919) krytyka lit. *Pid praporom mystectwa* ◇ „Salon niezaleznych” w Paryżu, prace M. Bojczuka, M. Kasperowycza i in. ◇ I. Franko *Narys istoriji ukr.-ruškoji lit.* ◇ I. Trusz *Dniepr pod Kijowem* ◇ pierwsze wystawy O. Archypenki (1887-1964) w Niemczech ◇ O. Nowakiwski (1872-1935) *Moja muza* ◇ O. Muraszko *Autoportret z żoną*

**1911** pierwsze wyd. *Istoriji ukr. pyśmenstwa* S. Jefremowa (1876-1937) ◇ *Autoportret i Przebudzenie* O. Nowa-kiwskiego (1872-1935) ◇ w Kijowie wystawa spuścizny artystycznej T. Szewczycki ◇ retrospektywna wystawa w Kijowie, udział brali także malarze z Galicji (O. Kulczycka, I. Trusz) ◇ O. Archypenko *Pocałunek*

**1912** *Jarmark w Połtawie* S. Wasylkiwskiego  
**1912-14** kantata S. Ludkewycza *Wolnej Ukrainie*

**1913** W. Kryczewski *Jarmark* ◇ O. Kulczycka *Dzieci ze świeczkami* ◇ M. Sosenko (1875-1920) *Portret kobiety*

(1876-1940) *Kazka staroho mlyna*

**1914** poezje M. Semenki *Derzannia*, *Kwerofuturyzm* ◇ zbiór opowiadań **H. Chotkewycza** *Hirški akwareli*

**1915** S. Wasylczenko *Opo-widannia*

**1916** powieść **M. Jackiwa** *Taneć tinej*

**1917** opowiadanie M. Jac-kiwa *Dateki szlachy* ◇ powieść **W. Wynnyczenki** *Zapysky kyrpatoho Mefistofela* ◇ poezje P. Karman-skiego *Al fresco* ◇ O. Ołeś *Poeziji*

**1918** dramat S. Czerka-senki *Pro szczo tyrsa szelестиła* ◇ poezje P. Tyczyny *Sonia-szni klarnety*, poemat *Skor-bna maty* ◇ poezje M. Ryl-skiego *Na uzlissi*, *Pid osinnimi zoriamy* ◇ poezje D. Zahuła (1890-1944?) *Z zelonych hir* ◇ poezje M. Semenki *Pjero kochaje*, *Pjero mertwopetluje* ◇ dramat

**1914** władze carskie zamykają LNW ◇ M. Semen-ko tworzy grupę futurystów KWERO ◇ 1. numer naukowego kwartalnika „Ukrajina”, organu Ukr. Towarzystwa Nauko-wego

**1917** ukraińskojęz. pismo społ-polit. „Szlach” w Moskwie

**1917-19** LNW wznowiony w Kijowie, red. O. Hruszewski

**1918** powstaje organizacja PROLETKULT

**1918-20** organ futurystów „Fłamingo”

**1914** A. Manastyrski (1878-1969) *Jarmark we wsi Delatyn* ◇ O. Archypenko *Kobieta przed lustrem*, *Gondolier* ◇ M. Sosenko *Grający na trembitach*

**1914-16** wydanie encyklo-pedyczne „Ukraińskij narod w jego przeszłości i nasto-jaszczem”, Piotrogród

**1914-17** grupa artystów Ukraińskich Strzelców Si-czowych, m.in. Osyp Sorochtej (1889-1941), Lew Getz (1896-1971)

**1914-19** cykl 12 obrazów O. Nowakiwskiego *Sobór św. Jura*

**1916** w Kijowie Ł. Kurbas (1885-1942) zakłada Mołodyj Teatr ◇ muzyka K. Stecenki (1882-1922) do przedstawień wg S. Czerka-senki *Pro szczo tyrsa szelестиła*, teatr Sadow-skiego, Kijów

**1917** otwarcie Ukraińskiej Akademii Sztuk Pięknych w Kijowie

**1917-20** miesięcznik krytyczno-bibliograficzny „Knyhar” w Kijowie, red. Wasyl Koroliw-Stary, Mykoła Zerow (1890-1941)

**1918** zjazd artystów i wsta-wa retrospektywna w Kijo-wie (m.in. W. Kryczewski, P. Chołodny, M. Buraczek) ◇ projekty znaczków poczt. i banknotów UNR G. Narbuta (1886-1920)

J. Mamontowa (1888-1940)

*Diwczyna z arkoju*

**1919** poezje M. Semenki *Bloc-Notes* ◇ poezje O. Ołesia *Czużynoju* ◇ opowiadania **M. Czeremszyny** *Selo wyhybaje* ◇ poezje D. Zahuła *Na hrani* ◇ poezje Wasyla Bobynskiego (1898-1938) *W prytwori chramu* ◇ debiut **W. Pidmohylnego** (1901-41)

**1920** poezje P. Tyczyny *Zamist' sonetiw i oktav, Płuh* ◇ poezje W. Czumaka (1901-19) *Zaspiw* ◇ powieść A. Kruszelnickiego (1878-1934) *Rubajut' lis* ◇ poezje W. Poliszczuka (1897-1937) *Soniaczna mič* ◇ opowiadania **W. Pidmohylnego** *Twory. T.1* ◇ opowiadanie **G. (Jurija) Szkurupija** (1903-37) *My*

**1921** H. Mychajłyčzenko (1892-1919) *Blakytynij roman* ◇ poezje W. Ełłana-Blakytneho (1892-1925) *Udary mołota j sercia* ◇ opowiadania O. Makoweja *Krywawe pole* ◇ poezje M. Semenki *Prominnia pohroz* ◇ poezje **M. Chwyłowego** (Fitilowa; 1891-1933) *Mołodist'* ◇ W. Sosiura (1898-1965) *Poeziji, Czerwona zyma* ◇ K. Kotko (M. Lubczenko, 1896-1937) *Petlurija* – opow. satyr.

**1922** poezje P. Fyłypowycza (1891-1937) *Zemla i witer* ◇ opowiadania **H. Kosynki** 1899-1934) *Na zołotykh bohiv* ◇ poezje M. Ryłskiego *Synia dalecznič* ◇ poezje T. Ośmaczki

**1919** stowarzyszenie i almanach „Muzahet”, Kijów ◇ M. Semenکو tworzy grupę futurystów **FLAMINGO**

**1919-20** pismo „Mystectwo”, red. M. Semenکو, H. Mychajłyčzenko

**1920** „Almanach trioch” – M. Semenکو, A. Lubczenko, O. Slisarenko ◇ almanach symbolistów „Grono”, Kijów ◇ miesięcznik lit.-artystyczny „Żyttia i mystectwo”, Lwów ◇ pismo „Na perełomi”, Wiedeń

**1921** almanach „Żowteń” z manifestem lit. proletariackiej M. Chwyłowego, M. Johansena (1895-1937), W. Sosiury ◇ na bazie grup **FLAMINGO**, **KOMKOSMOS** i in. powstaje **ASPANFUT**)

**1922** czasopismo młodych pisarzy „Mytusa”, Lwów ◇ **NOWA GENERACJA** wydaje „Katafalk mystectwa” ◇ powstaje Stowarzyszenie Wiejskich Pisarzy Ukrainy **PŁUH** ◇ antologia ukr.

**1919** wystawa retrospektywna we Lwowie (Manastyrski, Trusz, Kulczycka, Sosenko, Nowakiwski) ◇ uchwała Ogólnoukr. Rady Artystycznej o nacjonalizacji teatrów kijowskich

**1920** utworzenie ukraińskiego Niezależnego Teatru, reż. O. Zaharow (1877-1941) ◇ *Antołohija rymśkoji poeziji* M. Zerowa ◇ we Lwowie powstaje tajny uniwersytet ukr. ◇ Ł. Kurbas tworzy Kijowski Teatr Dramatyczny

**1920-23** wystawy O. Archypenki w Europie Zach.

**1920-24** historia literatury ukraińskiej M. Wozniaka (1881-1954)

**1921** pierwsza wystawa O. Nowakiwskiego we Lwowie

**1921-23** Charków, pismo „Szlachy mystectwa”, red. W. Ełłan, W. Koriak

**1921-39** grafiki P. Kowżuna (1896-1939)

**1922** Ł. Kurbas tworzy teatr Berezil ◇ powstanie Kręgu Działaczy Sztuki Ukr. (M. Hołubeć)

**1922-23** W. Meller (1884-1962) scenografem teatru Kurbasa „Berezil”



(1895-1962) *Krucza* ◇ poezje **G. Szkurupija** *Psycho-tezy*. *Witryna tretia* ◇ W. Swidzinski (1885-1941) *Liryczni poeziji* ◇ K. Kotko *Czudo-sprawni majstry* – opow. satyr.

**1922-42** poemat *Zołoti worota* W. Paczowskiego

**1923** opowiadania *Syni etiudy* **M. Chwyłowego** ◇ poezje J. Małaniuka (1897-1968) *Stylet i styłos* ◇ pierwsze opowiadanie B. Antonenki-Dawydowycza (1899-1984) *Ostanni dni* ◇ opowiadania O. Wyszni (P. Hubenki; 1889-1956) *Dila nebesni* ◇ poezje M. Johansena *Krokoweje koło* ◇ poezje P. Karman-skiego *Za czest' i wolu* ◇ opowiadania **H. Chotke-wycza** *Huculski obrazky*

**1924** poezje P. Tyczyny *Witer z Ukrainy* ◇ opo-wiadania **W. Pidmohylnego** *Wijśkowyj litun* ◇ poezje M. Zerowa *Kamena* ◇ felietony satyr. O. Wyszni *Wysznewi usmizky silski* ◇ pierwsze opowiadania **A. Lubczeni** (1899-1945) ◇ poezje W. Sosiury *Osinni zori* ◇ poezje J. Małaniuka *Herbarij*

**1925** poezje T. Ośmaczki „*Skytśki wohni*” ◇ dramat I. Koczery (1881-1952) *Feja hirkoho myhdalu* ◇ poezje P. Fytypowycza *Prostir* ◇ poezje M. Ryl-skiego *Kriż buriu i snih* ◇ nowe-le **J. Janowskiego** (1902-54) *Mamutowi bywni* ◇ nowela **W. Pidmohylnego** *Tretia rewolucija* ◇ poezje

poezji „*Zołoti Struny*”, red. B. Łepki, Berlin

**1922-28** czasopismo „*Nowa Ukrainajna*”, red. W. Wynny-czenko, M. Szapował, Praga

**1922-31** ugrupowanie lit. NOWA GENERACJA, Kijów-Charków

**1922-32** LNW we Lwowie, red. D. Doncow

**1923-25** Stowarzyszenie Pisarzy Proletariackich HART

**1923-26** miesięcznik lit.-polit. „*Nowa Kultura*”, Lwów, red. S. Rudyk

**1923-36** „*Czerwonij szlach*”, czasopismo lit., Charków

**1924** powstaje ugrupowanie lit. ŁANKA (od 1926 MARS)

**1925-27** czasopismo lit. „*Plużanyn*” (1928-32 jako „*Pluh*”)

**1925-32** ARMU: M. Bojczuk, W. Sedlar, I. Padałka, M. Buraczek i in.

**1925-34** w Kijowie wychodzi czasopismo literackie „*Zyttia j Rewolucija*” ◇ ilustrowany tygodnik „*Wseswit*”

**1922-32** szkoła monu-mentalistów M. Bojczuka (1882-1935), m.in.: I. Pa-dałka (1894-1937), W. Sedlar (1889-1937), O. Pawlenko (1896-1991)

**1922-35** szkoła artystyczna O. Nowakiwskiego we Lwo-wie

**1923** dekret *Pro zachody u sprawi ukrajinizaciji*

**1923-27** M. Hruszewski *Istorija ukr. literatury*

**1924** zdjęcia do filmu *Ostap Bandura*, reż. W. Hordynski ◇ O. Archy-penko zakłada własną szko-łę artyst. w Nowym Jorku; archipeinture – ruchome rzeźby polichro-mowane ◇ M. Zerow *Nowe ukr. pyśmenstwo*

**1925** filmowy debiut O. Dowżenki (1894-1956) i D. Demuckiego *Wasia reformator* ◇ K. Burewij *Jewropa czy Rosija. Szlachy rozwytku suczasnoji litera-tury* ◇ J. Muzyka (1898-1973) *Księżna Olga*

**1925-27** tryptyk F. Kry-czewskiego *Życie*

**1925-28** dyskusja literacka

*Żaryny sliw*, opowiadania  
*Peremożec drakona, Pryhody maszynista Chorna*  
**G. Szkurupija** ◇ dramaty 97  
 M. Kulisza (1892-1942) ◇  
 poezje J. Darahana (1894-1926) *Sahajdak*  
**1926** dramaty I. Dniprowskiego (Szewczenki; 1895-1934) *Jabłunewyj połon* ◇  
 poezje J. Płużnyka (1898-1936) *Dni* ◇ opowiadania  
 A. Hołowki (1897-1972) *Możu* ◇ pierwszy zbiorek  
 poezji M. Bażana (1904-83) *17-j patrol* ◇ zbiór nowel  
**W. Stefanyka** *Zemla* ◇  
 nowela K. Hrynewyczewej  
 (1875-1947) *Nepoborni* ◇  
 powieść M. Iwczenki (1890-1939) *Robitni syły* ◇  
 poezje M. Draj-Chmary  
 (1889-1939) *Prorosteń* ◇  
 nowela **O. Kobylanskiej** *Apostoł czerni* ◇  
 nowele **H. Kosynki** *W żytach* ◇  
 opowiadania B. Antonenki-Dawydowycza  
*Zaporoszeni syluety* ◇  
 opowiadania **A. Lubczenki**  
*Buremna put'*  
**1926-29** tetralogia **B. Łepkiego** *Mazepa*  
**1927** powieść **M. Chwyłowego** *Waldsznepy* ◇  
 poezje J. Płużnyka *Rannia osiń* ◇ ◇  
 poezje M. Bażana *Riżblena tiń* ◇  
 poezje W. Swidzińskiego *Weresień* ◇  
 powieść A. Hołowki *Burjan* ◇  
 opowiadania **W. Pidmohylnego** *Problema chliba* ◇  
 poezje D. Falkińskiego (Łewczuka;  
 1898-1934) *Obriji* ◇  
 poezje O. Włyżki (1908-34) *Za wsich skazu* ◇  
 dramaty M. Kulisza *Narodnyj Małachij* ◇  
 nowela *Smert'*  
 B. Antonenki-Dawydowycza  
**1928** nowela *Bez gruntu*

**1926** część futurystów z ASPANFUTU tworzy grupę ŻOWTEŃ

**1926-27** pismo „Waplite”

**1926-28** w Charkowie działająca organizacja lit. WAPLITE

**1926-32** komsomolska organizacja lit. MOŁODNIAK, Charków; wyd. pismo „Mołodniak”

**1927** „Literaturna hazeta” – początek wyd.

**1927-32** pismo „Wikna”, red. Wasyl Bobynski, Lwów

**1927-31** pismo „Nowa Generacija”, Charków, red. M. Semenko

**1927-32** organizacja literacka WUSPP (Wseukr. spiłka prołetarskich pyśmennykiw)

**1927-39** towarzystwo ukr. artystów „Spokij” w Warszawie

**1928-29** ugrupowanie lit. i

o rozwoju kultury ukr.

**1926** założenie Instytutu Literatury im. T. Szewczenki w Charkowie ◇  
 M. Zerow *Do dżereł* ◇ film O. Dowżenki *Jagoda miłości*

**1926-32** F. Kryczewski *Autoportret w białym kożuchu*

**1927** *Pan Tadeusz* w przekładzie M. Ryłskiego ◇ film O. Dowżenki *Teczka kuriera dyplomatycznego* ◇  
 I. Padałka *Fotograf na wsi* ◇  
 W. Sedlar *Rozstrzelanie*  
**1927-29** w Kijowie powstałe największe w Europie studio filmowe

**1928** film O. Dowżenki

Hryhorija Epika (1901-42) ◇ powieść **W. Wynnyczenki** *Soniaszna maszyna* ◇ powieść J. Płużnyka *Nedu-ha* ◇ opowiadanie M. Johansena *Podoroż dra Leonardo i joho prekrasnoji kochanky Alczesty* ◇ nowela P. Pancza (Panczenki; 1891-1978) *Hotubi eszelony* ◇ powieść **J. Janowskiego** *Majster korabla* ◇ powieść **W. Pidmohylnego** *Misto* ◇ dramat M. Kulisza *Myna Mazajto* ◇ powieść **G. Szkurupija** *Dweri w deń* ◇ poezje M. Filanskiego *Ciłuju zemlu* ◇ poezje M. Bażana *Rozmowa serdec* ◇ K. Burewij (1888-1934) dramat hist. *Pawło Połubotok* (wystawiony 1991) **1929** poezje M. Rylskiego *De schodiat'sia dorohy, Homin i widhomin* ◇ poezje M. Bażana *Budiwli, Hofmanowa nicz* ◇ poezje T. Ośmaczki *Kłekit* ◇ powieść Ołeksy Slisarenki (O. Snisar; 1891-1937) *Czornyj anhel* ◇ powieść K. Hrynewyczewej *Szołomy w sonci* ◇ poezje **J. Janowskiego** *Prekrasna Ut* ◇ teatralogia **H. Chotkewycza** *Bohdan Chmelnyćkyj* ◇ dramat M. Kulisza *Patetyczna sonata* ◇ **A. Lubczenko** *Wertep* **1930** **W. Pidmohylny** *Ne-wełyczka drama* ◇ zbiór reportaży B. Antonenki-Dawydowycza *Zemleju ukrajinskoju* ◇ powieść **J. Janowskiego** *Czotyry szabli* ◇ poezje M. Bażana *Doroha*, poemat *Slipci* ◇ dramat I. Koczerhy (1881-1952) *Swiczzyne wesilla* ◇ powieść *Żanna bataljonerka* **G. Szkurupija** ◇ felietony

biuletyn „Awangard” W. Poliszczuka **1928-30** almanach lit.-artyst. „Literaturnyj Jarmarok”, red. M. Chwyłowy, Charków

**1929** J. Łypa tworzy w Warszawie ugrupowanie lit. TANK **1929-32** grupa komunizujących pisarzy HORNO przy piśmie „Wikna”: S. Tudor, W. Bobynski, J. Hałan i in. ◇ miesięcznik lit.-nauk. „Nowi Szlachy”, red. A. Kruszelnycki, Lwów

**1930** powstaje Federacja Stowarzyszeń Ukraińskich Pisarzy

*Zwenyhora* ◇ eseje M. Zerowa *Wid Kulisza do Wynnyczenka* ◇ L. Getz *Nędza* ◇ J. Muzyka *Hucuł z łulką*

**1929** freski M. Bojczuka w Odessie ◇ film O. Dowżenki *Arsenał* ◇ opera B. Lato-szynskiego (1894-1968) *Zołotyj obrucz* ◇ M. Samokysz *Wjazd Chmielnickiego do Kijowa w 1648 r.*

**1930** film O. Dowżenki *Zemla* ◇ *Zarys historii literatury ukr.* B. Łepkiego, Warszawa

**1930-34** *Ukr. zahalna encykłopedija*, Lwów

satyr. Wyszni *Wysznewi usmiszky zakordonni* ◇ dramat K. Burewija *Oportunija* ◇ poezje O. Włyżki *Żywu, praciuju* ◇ dramat poet. S. Czerkasenki *Cina krowi* ◇ poezje J. Małaniuka *Zemla i zalizo*

**1931** powieść A. Hołowki *Maty* ◇ poezje W. Sosiury *Serce* ◇ dramat M. Kulisza *Komuna w stepach* ◇ poezje M. Rylskiego *Znak tereziw* ◇ poezje D. Falkińskiego *Polissia* ◇ poezje P. Tyczyzny *Czernihw* ◇ debiut poet. B. I. Antonicza (1909-37) *Prywitannia żyttia*

**1932-37** trylogia U. Samczuka (1905-87) *Wołyń*

**1933** dramat O. Kornijczuka (1905-72) *Zahybel eskadry* ◇ poezje S. Hordynskiego (1906-93) *Barwy i liniji* ◇ ◇ dramat M. Kulisza *Maklena Grasa* ◇ poezje M. Semenki *Miżnarodni diła*

**1933-36** komedia Iwana Mykytenki (1897-1937) *Solo na flejti*

**1934** dramat hist. S. Czerkasenki *Seweryn Naływajko* ◇ dramat O. Kornijczuka *Płaton Kreczet* ◇ dramat I. Koczery *Majstry czasu* ◇ powieść N. Rybaka (1913-78) *Harmaty żerłamy na schid* ◇ poezje B. I. Antonicza *Try persteni* ◇ wiersze P. Tyczyzny *Partija wede* ◇ poezje J. Małaniuka *Zemna madonna* ◇ nowela U. Samczuka *Marija* ◇ powieść Z. Tuhub (1890-1964) *Ludolowy*

**1935** poemat M. Bażana *Bezsmertia. Try powisti pro towaryszka Kirowa*

**1931** we Lwowie powstaje ANUM: M. Osinczuk, J. Muzyka, P. Kowzun i in.

**1932-35** czasopismo „Mystec-two” we Lwowie, red. P. Kowzun

**1933** założenie wydawnictwa i początek wydawania pisma „Radianska lit”, Charków (od 1934 w Kijowie)

**1933-37** pismo „My”, Warszawa

**1933-39** D. Doncow wydaje we Lwowie własne pismo „Wisnyk”

**1934** utworzenie SPU w miejsce wielu ugrupowań

**1934-38** dwutyg. „Nazustricz”, red. M. Rudnycki, Lwów

**1932** pierwszy dźwiękowy film O. Dowżenki *Iwan* ◇ A. Manastyrski *Zaporożec*  
**1933** I. Trusz *Święto Jordanu na Huculszczynie* ◇ wystawa malarstwa radz. w Warszawie, m.in. obrazy F. Kryczewskiego, I. Padałki, W. Sedlara

**1934** M. Samokysz *Wlka Maksyma Krywonosa z Jaremą Wiśniowieckim*  
**1934** *Chmury nadciągają, Poranek na Dnieprze* M. Bura-  
czek

## TABLICE CHRONOLOGICZNE 1880-1934 (historia)

### ZACHODNIE ZIEMIE UKRAIŃSKIE

**1879-80** „narodowcy” zaczynają wydawać czasopisma „Bat’kiwszczyna” i „Diło”

**1882-98** Sylwester Sembratowycz metropolita halickim

**1884** Natalia Kobrynska zakłada w Stanisławowie Towarzystwo Kobiet Ruskich

**1885** powstaje stowarzyszenie polityczne Narodna Rada

**1890** w Galicji powstaje Rusko-Ukr. Radykalna Partia (URRP), liderzy: Iwan Franko i Mychajło Pawłyk

**1893** we Lwowie powstaje Klub Rusinek ◊ lwowskie pismo „Prawda” publikuje deklarację programową Bratstwa Tarasiwciw *Profession de foi młodych ukrajinciw*

**1897** wybory do austriackiego parlamentu

**1898-1900** Julian Sas-Kujiłowski metropolita halickim

**1899** rozłam w URRP; powstaje Ukr. Partia Socialdemokratyczna (USDP) ◊ powstanie Partii Narodowo-Demokratycznej – Iwan Franko, Kost’ Łewycki i in.

### UKRAINA POD PANOWANIEM ROSYJSKIM

**1881-94** panowanie cara Aleksandra III

**1881** modyfikacja ukazu emskiego, zezwalająca na druk słowników i wystawianie ukr. sztuk teatralnych – teatr staje się trybuną narodową

**1884** zamknięcie wszystkich teatrów ukraińskich

**1885-91** strajki robotnicze

**1886-89** wystąpienia chłopów ukraińskich

**1886/87** rozłam w kijowskiej Hromadzie; powstaje Nowa Hromada z Mychajłem Drahomanowem na czele

**1891** założenie Bratstwa Tarasiwciw: Borys Hrinchenko, Mykoła Worony, Iwan Łypa

**1894-1917** panowanie cara Mikołaja II

**1895** broszura Juliana Baczyńskiego *Ukraina irredenta*

**1897** założenie Ogólnej Organizacji Ukraińskiej – Wołodymyr Antonowycz, Ołeksandr Konyski ◊ w Kijowie powstaje ukr. grupa socjaldemokratyczna – m.in.: Łesia Ukrainka, Mychajło Kociubynski

**V 1900** powstaje pierwsza sportowa organizacja „Sicz” (w 1914 r. posłużyła za bazę organizacji Ukr. Strzelców Siczowych)

**I 1901** metropolitą halickim zostaje Andrej Szeptycki

**1902** strajki chłopskie

**1904** strajk górników przemysłu naftowego w Zagłębiu Borysławskim i Krośnieńskim

**1905** we Lwowie zaczyna wychodzić pismo „Samostijna Ukrajina”, organ Ukr. Partii Narodowej

**I 1907** nowa ordynacja wyborcza – ożywienie ukr. życia politycznego

**12 IV 1908** zamach Myrosława Siczynskiego na namiestnika Galicji, Andrzeja hr. Potockiego (w odwecie za nadużycia administracji podczas wyborów 1908 r. do sejmiku Galicji)

**1911** rejestracja Towarzystwa Ukr. Strzelców Siczowych

**1913** w wyborach do sejmiku ukr. partie narodowe uzyskują miażdżącą przewagę nad moskalofilami

**I 1914** na propozycję metropolity Andreja

**II 1900** w Charkowie powstaje Ukr. Partia Rewolucyjna (RUP), działacze m.in.: Dmytro Antonowycz, Symon Petlura, Wołodymyr Wynnyczenko

**26 II 1900** broszura Mykoły Michnowskiego (RUP) *Samostijna Ukrajina*

**1900** powstanie Ukr. Partii Socjalistycznej

**1902** działalność S. Petlury w oddziale RUP na Kubaniu (odezwa *Do kozaków czarnomorskich*) ◊ M. Michnowski zakłada Ukr. Partię Narodową (UNP)

**VII-VIII 1903** strajk powszechny

**1904** w Kijowie powstaje Ukr. Partia Demokratyczna

**1905** oficjalne rozporządzenie znoszące ukaz emski ◊ ukaz carski o tolerancji relig. w Rosji (nie dot. unii) ◊ rozłam w RUP; powstaje Ukr. Partia Socjaldemokratyczna

**1905** rewolucja

**VIII 1905** manifest rządu o utworzeniu Dumy

**X 1905** pogromy ludności żydowskiej

**1906** w Petersburgu USDRP wydaje pismo „Wilna Ukrajina”, zakazane po 4. numerze

**IV-VII 1906** działalność I Dumy; frakcja ukraińska liczy 44 deputowanych

**1907-1911** „stołypinowska” reforma agrarna **II-VI 1907** działalność II Dumy; przewaga prawicy i nacjonalistów ros.

**3 VI 1907** carski manifest o rozwiązaniu Dumy; zmiana ordynacji wyborczej

**1907** M. Hruszewski przenosi się do Kijowa **XI 1907-VI 1912** działalność III Dumy

**1908** Mychajło Hruszewski i Serhij Jefremow zakładają Towarzystwo Ukr. Postępowców

**XI 1912- II 1917** działalność IV Dumy

**1914** dekret cara Mikołaja II, likwidują-

pol. i ukr. partie polit. podpisały porozumienie, dotyczące m.in. sprawy utworzenia ukr. uniwersytetu

**II 1914** nowa ordynacja wyborcza, wprowadzająca w Galicji Wschodniej narodowy podział mandatów; ze względu na wybuch wojny nigdy nie wykorzystana

**19 VII 1914-1918** pierwsza wojna światowa

**VIII 1914** We Lwowie powstaje Związek Wyzwolenia Ukrainy (SWU) oraz Główna Rada Ukraińska ◊ zezwolenie rządu austriackiego na formowanie oddziałów Ukr. Strzelców Siczowych

**V 1915** w Wiedniu powstaje Główna Rada Ukraińska z K. Łewyckim na czele

**XI 1916** akt dwu cesarzy (Austro-Węgierskiego i Niemieckiego): zapowiedź utworzenia Królestwa Polskiego z części ziem zaborów – protest Ukr. Partii Narodowo-Demokratycznej

cy ukraińską prasę

**III 1917** abdykacja Mikołaja II, powstanie Rządu Tymczasowego; w Kijowie powstaje namiastka rządu autonomicznego – Centralna Rada; na jej czele staje M. Hruszewski

**VI 1917** Centralna Rada tworzy rząd autonomiczny – Sekretariat Generalny; na czele W. Wynnyczenko, w składzie m.in. S. Jefremow, S. Petlura

**7 XI 1917** wybuch rewolucji październikowej ◊ III Uniwersał Centralnej Rady – proklamowanie Ukr. Republiki Ludowej (UNR) w składzie federacji rosyjskiej

**XII 1917** siły bolszewickie proklamują utworzenie Ukr. Republiki Rad

**1917-1921** ukraińska rewolucja i wojna domowa

**22 I 1918** IV Uniwersał Centralnej Rady – ogłoszenie niepodległości UNR

**I/II 1918** opanowanie Ukrainy przez bolszewików

**II 1918** delegaci Centralnej Rady podpisują w Brześciu układ pokojowy z Niemcami i Austro-Węgrami; interwencja wojsk niem. na Ukrainie

**II-III 1918** niem. okupacja Ukrainy, przywrócenie władzy Centralnej Rady

**1 III 1918** wojska niem. zajmują Kijów, przywrócenie władzy UNR. Rząd radziecki przenosi się do Połtawy  
**23 III 1918** uchwała Rady Ministrów UNR

o ukrainizacji

**IV 1918** upadek Centralnej Rady; Zjazd Włościański przekazuje rządy Pawłowi Skoropadskiemu – początek Hetmanatu

**XI 1918** Skoropadski ogłasza federację Ukrainy z Rosją; w odpowiedzi środowisko d. Centralnej Rady tworzy Dyrektoriat z W. Wynnyczenką na czele

**X 1918** zakończenie I wojny światowej

**1 XI 1918** powstanie ukr. we Lwowie; Ukr. Rada Narodowa (prezydent: Jewhen Petruszewycz) proklamuje utworzenie Zachodnioukraińskiej Republiki Ludowej (ZUNR)

**3 XI 1918** wiec w Czerniowcach – ogłoszenie zjednoczenia Bukowiny z Galicją

**XI 1918 – 1 IX 1919** wojna pol-ukr. w Galicji, zakończona klęską ZUNR

**XII 1918** Dyrektoriat ogłasza przywrócenie UNR

**I 1919** dekret Dyrektoriatu o autokefalii Cerkwi ukr. – brak możliwości realizacji

## **22 I 1919 OGŁOSZENIE AKTU O ZJEDNOCZENIU ZUNR I UKRAIŃSKIEJ REPUBLIKI LUDOWEJ**

### **UKRAINA ZACHODNIA**

**II 1919** powstanie Komunistycznej Partii Galicji Wschodniej (KPSH), Stanisławów

**I 1920** likwidacja Galicyjskiego Sejmu Krajowego (później również innych instytucji autonomicznych); podział Galicji Wschodniej na 3 województwa

**IV 1920** układ sojuszniczy Piłsudski-

### **UKRAINA RADZIECKA**

**I 1919** dekret Tymczasowego Robotniczo-Chłopskiego Rządu Ukrainy w Charkowie dot. nazwy republiki – USRR

**I/II 1919** władzę na Ukrainie przejmują Rada Komisarzy Ludowych USRR, przewodniczący – Chrystian Rakowski

**XII 1919** przeniesienie stolicy Ukrainy Radzieckiej z Kijowa do Charkowa

**III 1919** porozumienie między Ukrainą Radziecką i RFSRR



Petlura (Polska uznaje niepodległość UNR, Ukraina zrzeka się Galicji Wschodniej i zach. Wołynia); początek wojny polsko-bolszewickiej

**6 V 1920** wojska pol.-ukr. zajmują Kijów

**VII 1920** bolszewicy tworzą tzw. Galicyjską SRR

**VIII 1920** w Pradze powstaje Ukraińska Organizacja Wojskowa (UWO)

**X 1920** pokój w Rydze między Polską i ZSRR, nie uznany przez UNR, której wojska nadal prowadzą działania wojenne

**XI 1920** armia UNR cofa się za Zbrucz, na tereny zajęte przez Polaków; żołnierze zostają rozbrojeni i internowani

**I 1921** w Wiedniu powstaje Ukr. Wolny Uniwersytet (w X 1921 przeniesiony do Pragi)

**III 1921** pokój ryski między Polską a Rosją i Ukrainą Radziecką, przekreślający ukraińskie dążenia niepodległościowe

**1921-22** pierwsza fala głodu na południu Ukrainy

**1921-23** polskie osadnictwo wojskowe na Wołyniu

**1922-35** w Podiebradach działa Ukraińska Akademia Gospodarcza

**1922-23** akcje sabotażowe UWO w Galicji Wschodniej

**15 X 1922** zabójstwo dziennikarza i poety Sydora Twerdochliba przez bojówkę UWO

**X 1922** sejm pol. uchwała ustawę o samorządzie dla województw: lwowskiego, tarnopolskiego i stanisławowskiego (nie weszła w życie)

**XI 1922** Ukraińcy z Galicji bojkotują polskie wybory do sejmiku i senatu

**1923-33** w Pradze działa Wyższy Instytut Pedagogiczny im. Drahołanowa

**III 1923** po decyzji Rady Ambasadorów o przyłączeniu Galicji do Polski, Jewhen Petruszewycz likwiduje swój rząd emigracyjny

**V 1920** Ogólnoukraińska Prawosławna Rada Cerkiewna ogłasza autokefalię Ukraińskiej Cerkwi Prawosławnej

**III 1921** X Zjazd RKP(b) wprowadza w ZSRR Nową Ekonomiczną Politykę (NEP)

**X 1921** Ogólnoukraiński Prawosławny Sobór Cerkiewny – pierwszym metropoli-tą Kijowskim i Całej Ukrainy zostaje Wasyl Łypkiwski

**XI 1921** koniec wojny domowej na Ukrainie

**30 XII 1922** I Ogólnozwiązkowy Zjazd Rad w Moskwie uchwalił „Układ o utworzeniu ZSRR”

**X 1923** KPSH zmienia nazwę na: Komunistyczna Partia Zachodniej Ukrainy (KPZU)

**XII 1923** Zachód uznaje wschodnią granicę Polski

**1924** Cerkiew Prawosławna w Polsce otrzymuje autokefalię od patriarchy Konstantynopola

**5 IX 1924** nieudany zamach UWÓ na prezydenta Stanisława Wojciechowskiego

**1925-39** Ukraińskie Zjednoczenie Narodowo-Demokratyczne (UNDO), przywódca: Dmytro Lewycki

**1925** konkordat między Polską i Watykanem, dot. również Kościoła Greckokatolickiego

**25 V 1926** w Paryżu zabójstwo S. Petlury

**X 1926** powstaje Ukraińskie Włościańsko-Robotnicze Zjednoczenie Socjalistyczne (Sel-Rob)

**10 XI 1926** otwarcie Ukraińskiego Instytutu Naukowego w Berlinie

**1928-38** Henryk Józewski wojewodą wołyńskim – próby uczynienia z Ukraińców z Wołynia „lojalnych obywateli polskich”

**1929** na kongresie ukr. nacjonalistów w

**IV 1923** XII zjazd RKP(b) wprowadza politykę budowania aparatu partyjnego na lokalnym gruncie

**VIII 1923** Ogólnoukraiński Centralny Komitet Wykonawczy (WUCWK) i Rada Komisarzy Ludowych USRR podejmują uchwałę o ukrajinizacji

**21 I 1924** śmierć Lenina

**31 I 1924** wchodzi w życie Konstytucja ZSRR

**1924** na Ukrainę wraca M. Hruszewski

**IV 1925** uchwała XII Zjazdu RKP(b) przeciwko przeżytkom wielkoruskiego szowinizmu; na Ukrainie komisarzem oświaty ludowej zostaje Ołeksandr Szumski – początek ukrajinizacji

**IV 1926** Stalin oskarża Mykołę Chwyłowego o nacjonalizm

**V 1926** Łazar Kaganowicz, I sekretarz KC KP(b)U, oskarża Ołeksandra Szumskiego o „odchylenie nacjonalistyczne”

**1927** Komunistyczna Partia Zachodniej Ukrainy staje w obronie Szumskiego; Szumski zdjęty ze stanowiska

**1927-1933** Mykoła Skrypnyk komisarzem oświaty ludowej

**X 1927** metropolita Ukr. Autokefalicznej Cerkwi Prawosł. zostaje M. Borecki

**XII 1927** dekret Stalina o kolektywizacji, militaryzacji i industrializacji

**1927** powstaje Ogólnoukraiński Związek Pisarzy Proletariackich (WUSPP)

**1928** początek pierwszego planu pięcioletniego w ZSRR

**1929-30** przymusowa kolektywizacja i

Wiedniu powstaje Organizacja Ukr. Nacjonalistów (OUN)

**II 1930** w Warszawie powstaje Ukraiński Instytut Naukowy, dyr. Ołeksandr Łotocki  
**1930** osadzenie w twierdzy w Brześciu n. Bugiem polityków Centrolewu, Stronnictwa Narodowego i mniejszości ukraińskiej

**VII-X 1930** akcje sabotażowe OUN-UWO w Galicji Wschodniej

**IX-XI 1930** pacyfikacja wsi ukraińskich przez polskie wojsko

**IX 1930** Julian Hołowinski, krajowy komendant UWO i członek starszyny OUN, zabity przez polską policję

**29 VIII 1931** zamach OUN na Tadeusza Hołówkę, zwolennika kompromisu ukr.-pol.

**VI 1933** stanowisko przywódcy krajowej OUN obejmuje S. Bandera

**1933** zabójstwo Aleksieja Majłowa, radzieckiego konsula we Lwowie

„rozkułaczanie” wsi

**IX 1929** początek masowych represji, trwających z przerwami do śmierci Stalina (1953)

**I 1930** Nadzwyczajny Sobór Cerkiewny likwiduje UAPC; aresztowanie metropolity Mykoły Boreckiego

**III-IV 1930** sfingowany proces Związku Wyzwolenia Ukrainy (SWU), 45 oskarżonych, m.in. S. Jefremow, Andrij Nikowski, Ludmyła Starycka-Czerniachowska. Pierwsze wyroki wskazujące na łagry.

**II 1931** M. Hruszewski deportowany do Moskwy

**1932** decyzja WUCWK o rozwiązaniu wszystkich ugrupowań lit. i stworzeniu jednego Związku Pisarzy ZSRR ◊ władze administr. rozwiązują Sel-Rob ◊ definitywny koniec ukrainizacji

**VII 1932** Moskwa zrzuca na przywódców KP(b)U odpowiedzialność za niepowodzenia w rolnictwie i kolektywizacji

**X 1932** Na Ukrainie powstaje Komisja Nadzwyczajna do spraw skupu zboża

**1932-33** wielki głód na Ukrainie (zginęło od 8 do 10 mln osób)

**1933** początek masowych aresztowań wśród pisarzy ukr. ◊ „zdemaskowanie” przez DPU kontrewolucyjnej Ukraińskiej Organizacji Wojskowej, oskarżeni m.in. B. Antonenko-Dawydowycz, Ostap Wysznia

**13 V 1933** samobójstwo M. Chwyłowego

**7 VII 1933** samobójstwo M. Skrypnyka

**XI 1933** uchwała KC KP(b)U o wstrzymaniu ukrainizacji

**15 VI 1934** zamach OUN (Mykoła Łebed', Stepan Bandera) na ministra spraw wewnętrznych, Bronisława Pierackiego (odwet za udział w pacyfikacjach)

**18 VI 1934** władze polskie tworzą w Berezie Kartuskiej obóz koncentracyjny dla więźniów polit., w tym Ukraińców podejrzanych o działalność rewolucyjną

**14 IX 1934** Polska wypowieda umowę o ochronie mniejszości narodowych

**I 1934** przeniesienie stolicy Ukrainy z powrotem do Kijowa

**10 VI 1934** utworzenie przy NKWD USRR Głównego Zarządu GUŁAG-u

**24 VI 1934** przeniesienie najwyższych instytucji partyjnych i państwowych z Charkowa do Kijowa

**1 XII 1934** Leningrad; zabójstwo S. Kirowa; w związku z tym o akty terroru oskarżeni zostali: I. Kruszelnicki, H. Kosynka, K. Burewii, O. Włyżko (rozstrzelani, proces z 13-15 XII), A. Lubczenko, W. Pidmohylny, M. Kulisz, H. Epik, W. Poliszczuk, J. Płużnyk (10-15 lat więzienia, proces z 27-28 IV 1935)

**Pełne wydania utworów, polskie przekłady oraz opracowania dotyczące twórczości poszczególnych pisarzy**

OLHA KOBYLANSKA

*До світа. Новели й нариси*, Львів 1905; *Новели*, Київ 1925; *Твори* в 9 томах, Харків 1927-1929; *Твори* в 8 томах, Харків 1930; *Твори* в 2 томах, Київ 1940; *Твори* в 3 томах, Київ 1956, *Твори* в двох томах, Київ 1983

Бабишкін О., *Три повісті Ольги Кобилянської*, [в кн.:] Ольга Кобилянська, *Повісті*, Київ 1955;

Євшан М., *Ольга Кобилянська* [в кн.:] Євшан М., *Під прапором мистецтва. Літературно-критичні статті*, Київ 1910;

Кобилянська О., *Статті й матеріали*, Чернівці 1958; Кобилянська О., [в кн.:] *Історія української літератури*, за ред. В. Дончика, Київ 1993, т.1;

Єфремов С., *О. Кобилянська* [в кн.:] Єфремов С., *Історія українського письменства в двох томах*, Нью Йорк 1991;

Куш О., *Ольга Кобилянська, Бібліографічний покажчик*, Київ 1961;

Лешенко М., *Ольга Кобилянська. Літературний портрет*, Київ 1973

Филипович П., *О. Кобилянська в літературному оточенні, „Земля” Ольги Кобилянської, Історія одного сюжету* [в кн.:] П. Филипович, *Літературно-критичні статті*, Київ 1991;

Павличко С., *Рецепція Ольги Кобилянської й конфлікт культури зблизька* [в кн.:] Павличко С., *Дискурс модернізму в українській літературі*, Київ 1997;

Погребенник Ф., *Ольга Кобилянська* [у кн.:] Кобилянська О., *Твори в двох томах*, Київ 1983

Рудницький М., *Про Ольгу Кобилянську* [в кн.:] Рудницький М., *Письменники зблизька*, Львів 1958;

Шамрай А., *О. Кобилянська* [в кн.:] Шамрай А., *Українська література. Стислий огляд*, Харків 1927

M. Jakóbiec, *Olha Kobylanska* [w:] *Dzieje literatur europejskich*, pod red. W. Floryana, Warszawa 1989, t. 3, cz. 1, s. 549-550

Przekłady: *Poezye prozą. Róże. Akordy*. – "Monitor", przeł. A. Zawilski 1899; *Bitwa*. [w:] *Młoda Ukraina. Wybór nowel*, przeł. W. Orkan, Warszawa 1908; *W niedzielę rano ziele zbierała*, przeł. M. Dolińska, Lublin 1981; *Ziemia*, przeł. S. Bury, Warszawa 1965

MYSHAŁO KOCIUBYNSKI

*Твори*, т. 1-6, Київ 1961-62, *Твори*, т. 1-7, Київ 1973-75, *Твори*, т. 1-3, Київ 1979, *Твори*, т. 1-4, Київ 1984-85, *Твори*, т. 1-2, Київ 1988

- Агеєва В., *Українська імпресіоністична проза*, Київ 1994
- Черненко О., *Михайло Коцюбинський – імпресіоніст: образ людини в творчості письменника*, München 1977
- Грицюта М., *М. Коцюбинський в слов'янських літературах*, Київ 1964
- Єфремов С., *Михайло Коцюбинський*, Київ 1922
- Калениченко Н., *Михайло Коцюбинський*, Київ 1956
- Калениченко Н., *Великий сонцепоклонник*, Київ 1966
- Коцюбинська І., *Спогади й розповіді про М.М. Коцюбинського*, Київ 1965
- Коцюбинський М., *Збірник статей*, за ред. О. Дорошкевича, Харків-Київ 1931
- Костенко М., *Художня майстерність Михайла Коцюбинського*, Київ 1969
- Лепкий Б., *Коцюбинський у Кракові* [у кн.:] Лепкий Б., *Твори в двох томах*, Київ.1991, Т. 2
- Орлик П., *Слідами феї Моргани: Вивчення творчості Коцюбинського в школі*, Київ 1990
- Anczewska E., *Mychajło Kociubynski w polskich przekładach i krytyce literackiej*, Slavia Orientalis 1959, nr 2/3
- Grzymała-Siedlecki A., „Świat Słowiański”, 1909, nr 31, s. 305
- Jakóbiec M., *Mychajło Kociubynski*, [w:] Hołyńska-Baranowa T., Jakóbiec M., *Literatura ukraińska*, Warszawa 1963, s. 443-444
- Wiśniewska E., *O sztuce pisarskiej Mychajła Kociubynskiego*, Wrocław-Warszawa-Kraków-Gdańsk, 1973
- Przekłady: *W pętach szatana*, przeł. B. Łepki, Brody 1906; *Norymberskie jajko*, przekład anonimowy, Kijów 1941; *Podarunek na imieniny*, przekład anonimowy, Moskwa 1931; *Utwory wybrane w dwóch tomach*, przeł. J. Jędrzejewicz, Warszawa 1954; *Fatamorgana. Powieść.*, przeł. J. Jędrzejewicz, Warszawa 1968
- WASYL STEFANYK
- Твори*, Харків 1927, *Повне зібрання творів в трьох томах*, Київ 1949-1954, *Твори*, Київ 1964
- Бандура О., *Василь Стефаник*, Львів 1956
- Василь Стефаник у критиці та спогадах*, Київ 1970
- Василь Стефаник: Нарис життя й творчості*, Київ 1981
- Вервес Г., *Владислав Оркан і українська література*, Київ 1962
- Грицюта М., *Художній світ В. Стефаника*, Київ 1982
- Жук Н., *Василь Стефаник. Літературний портрет*, Київ 1960
- Крижанівський С., *Василь Стефаник. Критико-біографічний нарис*, Київ 1946
- Куш О., *Василь Стефаник. Бібліографічний покажчик*, Київ 1961
- Лепкий Б., *Василь Стефаник. Літературний нарис*, Львів 1903
- Лепкий Б., *Гарно було [в:] „Альманах українського студентського життя в Кракові”*, Краків 1931
- Лепкий Б., *Три портрети. Франко-Стефаник-Оркан*, Львів 1937

- Лесин В., *Василь Стефаник – майстер новелі*, Київ 1970
- Погребенник Ф., *Василь Стефаник у слов'янських літературах*, Київ 1976
- Погребенник Ф., *Сторінки життя і творчості Василя Стефаника*, Київ 1980
- Пшибишевський С., *Із землі зродженому творцеві. Спомин про Василя Стефаника*, „Діло”, 1926, 26 XII
- Стефаник В. [в:] *Українське слово. Хрестоматія української літератури та літературної критики XX століття*, т. 1, Київ 1994
- Шаповалов І., Одуха А., *Василь Стефаник. Бібліографічний покажчик*, Львів 1954
- Черемшина М., *Посвяти В. Стефаникові* [в:] М. Черемшина, *Вибрані твори*, Київ 1949
- Ярема Й., *Зв'язки Василя Стефаника із Станіславом Пшибишевським й Владиславом Орканом*, [в:] *Міжслов'янські літературні взаємини. Збірник статей*, Київ 1958
- Wiśniewska E., *Wasył Stefanyk w obliczu Młodej Polski*, Wrocław-Warszawa-Kraków-Gdańsk-Łódź 1986
- Przekłady: *Klonowe liście*, przeł. M. Moczulski, Lwów 1904; *Utwory wybrane*, przeł. I. Wojkowska, R. Czekańska-Heymanova, K. Marska, Warszawa 1951
- МУСНАЈЉО JАСКІW
- Оповідання*, Київ 1950, *Вибрані оповідання*, Львів 1953, *Новели*, Львів 1985, *Твори*, Київ 1963, *Вибрані твори*, Київ 1973, *Муза на чорному коні*, Київ 1987
- Рудницький М., *Михайло Яцків* [у кн.:] *Михайло Яцків. Боротьба з головою. Нариси і оповідання*, Київ 1911
- Єфремов С., *Яцків і модерністи* [у кн.:] *Історія української літератури у двох томах*, Нью Йорк 1991, т. 2
- Ільницький М., *Поетична концепція з музичним і малярським тлом* [у кн.:] М. Яцків, *Муза на чорному коні*, Київ 1989
- Козланюк П., *Михайло Яцків* [у кн.:] Яцків Михайло. *Новели*, Львів 1959
- Куш О., *Михайло Яцків*, Львів 1953
- Мельничук Ю., *Михайло Яцків* [у кн.:] Мельничук Ю., *Слово про письменників*, Львів 1958
- Przekłady: *Dorycki krążganek*, Lwów 1908; *U miłosiernej bogini z kamiennym sercem. Nowele*, przeł. S. Twerdochlib, Lwów 1911; *Wieczorne psoty. Dziewczyna na czarnym rutaku i inne opowiadania*, Warszawa 1909

## НРУНОРИУ КОСУНКА

*Новели*, Київ 1962, *Серце*, Київ 1967, *Твори*, Київ 1972, *Гармонія*, Київ 1981, *Заквітчанний сон*, Київ 1990

*Григорій Косинка* [у кн.:] *Українська література 20 століття*, за ред. В. Дончика, Київ 1993

Агеєва В., *Григорій Косинка* [у кн.:] *Українська імпресіоністична проза*, Київ 1994

Наєнко М., *Григорій Косинка* [у кн.:] *Українське слово*, Київ 1994, книга 2

Наєнко М., *Григорій Косинка*, Київ 1989

Рильський М., *Вступне слово* [у кн.:] *Косинка Григорій. Новели*, Київ 1962

Штонь Г., *3 когорти майстрів. Григорій Косинка*, Київ 1988

Фащенко В., *Новела Григорія Косинки* [у кн.:] Фащенко В., *Із студій про новелу*, Київ 1971

## GEO SZKURUPIJ

*Переможець дракона*, Харків 1925, *Пригоди машиніста Хорна*, Харків 1925, *Монгольські оповідання*, Київ 1932

Гео Шкурупій [у кн.:] *Історія української літератури 20 століття*, Київ 1993, книга 1

Przekłady: *Geo Szkurupij* [w:] Nazaruk B., *Futuryzm na Ukrainie. Manifesty i teksty literackie*, Warszawa 1995

## JURIJ JANOWSKI

*Твори*, том 1, Харків 1932, *Новели*, Київ 1942, *Драматичні твори*, Київ-Харків 1946, *Оповідання*, Київ 1950, *Твори в двох томах*, Київ 1954, *Твори в п'яти томах*, Київ 1958-59

Бабишкін О., *Юрій Яновський*, Київ 1957

Білодід І., *Мова і стиль романа „Вершники” Юрія Яновського*, Київ 1955

Килимник О., *Юрій Яновський. Життя і творча діяльність*. Київ 1957

*Лист у вічність. Спогади про Юрія Яновського*, Київ 1980

Плачинда С., *Майстерність Юрія Яновського*, Київ 1969

Przekłady: *Opowiadania kijowskie*, z j. rosyjskiego przeł. E. Maciejewska, Warszawa 1950, *Nowe opowiadania kijowskie*, z j. rosyjskiego przeł. J. Bielicki, K. Marska, Warszawa 1951, *Jeźdźcy*, przeł. M. Dolińska, Lublin 1982, *Opowiadania*, przeł. W.G., Charków 1930.



## MARKO CZEREMSZYNA

Черемшина М., *Село вигибає. Вибрані оповідання. Книжка перша.* Ред. і вступна стаття М. Зерова; *Верховина. Вибрані оповідання,* Книжка друга. За ред. М. Зерова, Київ 1929. *Вибрані твори.* Редакція і вступна стаття М.Зерова, Харків-Київ 1930; *Новели, присвяти В.Стефанику,* Київ 1987; *Твори. Повне видання (3 томи),* Львів 1937; *Вибрані твори,* Ужгород 1952; *Твори,* за ред. О.Романця і Н.Семенюк, Київ 1960; *Твори в двох томах* (вступна стаття О.Засенка, упорядкування і примітки О.Мишанича), Київ 1974.

Засенко О., *Марко Черемшина, Життя і творчість,* Київ 1974.

Кравченко Є., Семанюк Н., *Марко Черемшина. Бібліографічний покажчик,* Київ 1962.

Семанюк Н., *Співець Гуцульщини. Спогади про Марка Черемшину,* Ужгород 1974.

## BOHDAN ŁEPKI

*Писання,* т. 1-2, Київ-Ляйпціг 1922; *Золота липа,* Берлін 1924; *Поезії,* Київ 1990; *Вибране,* Львів 1991; *Твори у двох томах,* Київ 1991; *Твори в двох томах,* Київ 1997; *Присвяти Василеві Стефаникові. Статті, спогади, листи.* Упорядкував Ф.Погребенник, Тернопіль 1997.

*Богдан Лепкий 1872-1941. Збірник у пошану пам'яті поета.* За редакцією Є.Пеленського, Краків 1943.

*Богдан Лепкий – видатний український письменник. Збірник статей і матеріалів за редакцією Р.Гром'яка,* Тернопіль 1993.

Кузеля З., *Богдан Лепкий. Бібліографічний нарис,* [в кн.:] *Золота липа. Ювілейна збірка творів Богдана Лепкого,* Берлін 1924.

Ляхова Ж., *Поезія в прозі Богдана Лепкого,* Краківські Українознавчі Зошити, т. I-II, Краків 1993, с. 282-287.

Лев В., *Богдан Лепкий 1872-1941. Життя і творчість.* Нью-Йорк 1976.

Погребенник Ф., *Богдан Лепкий – український письменник з Поділля,* Тернопіль 1992.

Сивіцький М., *Богдан Лепкий. Життя і творчість,* Київ 1993.

Сімович В. (під псевд. Верниволя Василь), *Богдан Лепкий. Нарис літературної діяльності і спроба характеристики письменника за 25 літ його письменницької праці* [в кн.:] Б.Лепкий, *Писання,* Київ-Ляйпціг 1922, т. I, ст. V-LXXVII.

Opracowania i przekłady: Giergielewicz M., *Bohdan Łepki wśród Polaków,* Tygodnik „Wiadomości”, nr 19, 1966. Londyn

Łużny R., *Profesor Bohdan Łepki w kręgu problematyki historii literatury ukraińskiej,* Krakowskie Zeszyty Ukrainoznawcze (dalej - KZU), t.I-II, Kraków 1993, s. 255-262.

- Mokry W., *Postać Iwana Mazepy w trylogii Bohdana Łepkiego*, KZU, s. 271-280.
- Nieuważny F., *Między zwątpieniem a nadzieją. O liryce Bohdana Łepkiego*, KZU, s. 247-254.
- Siwicki M., *Jubileusz Bohdana Łepkiego*, KZU, s. 243-246.
- Smal-Stocki R., *Bohdan Łepki*, „Wiadomości Literackie” Warszawa 22.01.1933, nr 10.
- Wiśniewska E., *Rola Bohdana Łepkiego w procesie popularyzacji literatury ukraińskiej w Polsce*, KZU, s. 263-270.
- Zdziechowski M., *Ukraina a Rosja. Trylogia Bohdana Łepkiego*, „Słowo”, Wilno, 24.04-25.05.1938.

Przekłady: Łepki Bohdan, *Motria. Trylogii „Mazepa”* cz. I i II, przeł. M. Łazar-Bieńkowska, Warszawa 1937.

#### HNAT SHOTKEWYCH

Хоткевич Г., *Твори у семи томах*, Харків 1938; *Твори у двох томах за ред. Ф.Погребенника*, Київ 1966.

*Спогади. Статті. Світлини* (Хоткевич Г.), Київ 1994.

Нитченко Д., *Універсальний талант Гната Хоткевича*, „Березіль” 1994, nr. 3-6.

#### WOŁODYMYR WYNNYCZENKO

Винниченко В., *Твори у 23 томах*, Київ 1931; *Статті й матеріали*, New York 1953; *Щоденник 1911-1920*, Едмонтон-Нью-Йорк 1980.

*Анотована бібліографія*. Упорядкував В.Стельмашенко, Едмонтон 1989.

Грушевський Ол., *З останніх оповідань Володимира Винниченка*, „Літературно-Науковий Вісник”, 1918, т. II-III.

Гузар-Струк Д., *Винниченкова моральна лабораторія*, „Сучасність”, nr 7-8, 1980.

Багрій Р., „*Записки кирпатого Мефістофеля*”, або секс, подружжя і ще деякі проблеми, „Всесвіт” nr 11, 1990.

Блажевська Т., „*Намісто*” Володимира Винниченка як літературний цикл, *Збірник Харківського ІФТ*, Харків 1992, т. 2, с. 87-94.

Гнідан О., Дем'янівська Л., *Володимир Винниченко: Життя, діяльність, творчість*, Київ 1996.

Зеров М., *Сонячна машина як літературний твір*, „Життя й революція” 1928, кн. 6.

Костельник Г., *Ломання душі. З літературної критики: „Чесність з собою” Володимира Винниченка*, Львів 1923.

Костюк Г., *Володимир Винниченко та його доба*, Нью-Йорк 1980; *Світ Винниченкових образів та ідей*, [в кн.:] *У світі ідей та образів*, Сучасність 1983.

Мороз Л., „*Сто рівноцінних правд*”. *Парадокси драматургії В.Винниченка*, Київ 1994.

- Панченко В., *Будинок з химерами. Творчість Володимира Винниченка 1910-1920 рр. у європейському літературному контексті*, Кіровоград 1998.
- Погорілий С., *Неопубліковані романи Володимира Винниченка*, Нью-Йорк 1981.
- Річицький А., *Володимир Винниченко в літературі і політиці*, Харків 1928.
- Сріблянський М., *Те, що дає радість життя (про Володимира Винниченка), „Українська хата”* 1914, 5.
- Христюк П., *Письменницька творчість Володимира Винниченка (Спроба соціологічного аналізу)*, Харків 1929.

Przekłady: Wołodymyr Wynnyczenko, *Historia Jakimowego gmachu*. Tłum. N. Zarembyna, Warszawa 1927.

#### WAŁERJAN PIDMOHYLNY

Підмогильний М., *Місто*, Київ 1989; *Історія пані Ївги*, Київ 1989; *Невеличка драма. Роман, повісті*, Дніпропетровськ 1990; *Оповідання, повість, романи*, Київ 1991.

Коломієць Л., „Місто” В. Підмогильного: проблематика та структурна організація, СіЧ (dalej – „Слово і час”) 1991 nr 5, с. 64-70.

Мельник В., *На перехресті міста і села*, СіЧ 1990 nr 11, с. 23-33.

Мельник Володимир, *На перехресті міста і села (Роман В. Підмогильного у критиці 20-их років)*, [в кн.:] *Двадцять років: літературні дискусії, полеміки*, Київ 1991.

Мельник В., *Суворий аналітик доби. Валер'ян Підмогильний в ідейно-естетичному контексті української прози першої половини ХХ ст.* Київ 1993.

Тарнавський М., „Невтомний гонець в майбутнє”. Екзистенціальне прочитання „Міста” Підмогильного, СіЧ 1991 nr 5, с. 56-63.

Шевчук В., *У світі прози Валер'яна Підмогильного*, [в кн.:] Валер'ян Підмогильний, *Місто*, Київ 1989.

George Shevelov, *A disturbance in the protein*, [w:] *A Little Touch of drama, translated by George Luckyj*, Princeton 1983

#### MYKOŁA CHWYLOWY

Хвильовий М., *Твори в п'ятьох томах*, т.1, New York-Baltimore-Toronto 1978; *Твори у двох томах*, Київ 1990.

Агеева В., „Зайві люди” у прозі М.Хвильового, СіЧ 1990 nr 10, с. 3-9.

Барагура В., *Микола Хвильовий. Літературна силуетка*, Львів 1933.

Жулинський М., *Талант, що прагнув до зір*, [в кн.:] Миколи Хвильовий, *Твори у двох томах*, Київ 1990.

Костюк Г., *Микола Хвильовий: життя, доба, творчість*, [в кн.:] Хвильовий М., *Твори в п'ятьох томах*, т.1, New York-Baltimore-Toronto 1978.

Михайлин І., *Гамартія Миколи Хвильового*, Харків 1993.

Рильський М., *Два поети громовиці (Григорій Косинка, Микола Хвильовий)*, „Радянське літературознавство” 1988, nr 9, с. 56-57.

Хоменко Г., *Микола Хвильовий: у пошуках інтелектуального безсмертя*. Збірник Харківського Історико-Філологічного Товариства, т. 3, Харків 1994, с. 83-98.

Шевчук В., *Драма Миколи Хвильового*, СіЧ 1994, nr 2, с. 40-42.

Przekłady: Chwyłowy M., *Ja (Romantyczność)*, „Literatura na świecie” 1995 nr 10.

#### ARKADIJ LUBCZENKO

Любченко А., *Буремна путь*, Харків 1926; *Вона*, Харків 1929; *Вітрила тривоги*, Харків 1932; *Вертеп*, Краків 1943; *Вибрані твори*, Київ 1999.

Гаморак Юрій, *Аркадій Любченко*, [в кн.:] *Вертеп*, Краків 1943.

Шерех Ю., *Колір нестримних палахтінь*, „Березіль” 1992 nr 1.

## Bibliografia

### Ujęcia ogólne:

W języku polskim:

- Dzieje literatur europejskich* pod red. W. Floryana, t. III. Cz.1, Rozdział *Literatura ukraińska*, Warszawa 1989.
- Futuryzm na Ukrainie. Manifesty i teksty literackie*, Warszawa 1995.
- Kaczurowski I., *Tragiczne losy pisarzy ukraińskich w Związku Radzieckim*, tłum. A. Drawicz, Warszawa, „Los” 1984.
- Korniejenko A., *Ukraiński modernizm*, Kraków 1998.
- Kruszelnyckij A., *Szkice z ukraińskiej literatury współczesnej. Iwan Franko, Wasyl Stefanyk, Iwan Semeniuk, Łeś Martowycz, Mychajło Kociubynski, Kołomyja* 1910.
- Łepki B., *Zarys literatury ukraińskiej. Podręcznik informacyjny*, Warszawa 1930.
- Łesiów M., *Ukraina wczoraj i dziś*. Wykłady otwarte UMCS, Lublin 1995.
- Nieuważny F., *O poezji ukraińskiej. Od Iwana Kotlarewskiego do Liny Kostenko*, Białystok 1993.
- Z dziejów stosunków literackich polsko-ukraińskich*, pod red. M. Jakóbca i S. Kozaka, Wrocław 1974.

W języku angielskim:

- Luckyj G., *Ukrainian Literature in the Twentieth Century. A Reader's Guide*, Toronto 1992.
- Luckyj G., *Literary Politics in the Soviet Ukraine: 1917-1934*, New York 1956, 2<sup>nd</sup> edition – Durham 1990.
- Luckyj G., *Modern Ukrainian Short Stories*, Littleton, Colorado 1973.
- Shkandrij M., *Modernists, marxists and the nation: the Ukrainian literary discussion of the 1920s*, Edmonton 1992.

W języku ukraińskim:

- Агеєва В., *Українська імпресіоністична проза*, Київ 1994.
- Бойко І., *Українські альманахи і збірники XIX – поч. XX ст. Бібліографічний покажчик*, Київ 1967.
- Веретюк О., *Літературне життя у міжвоєнній Польщі*, Тернопіль 1994.
- Горбинський Я., *Літературна критика підсоветської України*, Львів 1939.
- Грабовиц Г., *Заклинання українського модернізму*, „Слово і Час” 1996, nr 1, s. 41-49.
- Гречанюк С., *На тлі XX століття*, Київ 1990.
- Двадцять років: літературні дискусії, полеміки*. Упорядкував В. Дончик, Київ 1991.
- Денисюк І., *Розвиток української малої прози XIX - поч. XX ст.*, Київ 1981.
- Дорошкевич О., *Підручник історії української літератури*, Харків-Київ 1924.
- Єфремов С., *Історія українського письменства*, Київ-Ляйпціг 1919 та пізніші видання.
- Жулинський М., *Із забуття в безсмертя*, Київ 1990.
- З літературного життя Радянської України*, Львів 1928.
- Зеров М., *До джерел. Історично-літературні та критичні статті*, Краків-Львів 1943.
- Ільницький М., *Література українського відродження*, Львів 1994.
- Ільницький М., *Від „Молодої Музи” до „Празької школи”*, Львів 1995.
- Історія української літератури XX століття*, за ред. В. Дончика, Київ 1993.
- Історія української літератури кінця XIX – поч. XX століття*, за редакцією Н. Жук і В. Лесина, Київ 1989.

- Калениченко Н., *Українська проза початку ХХ ст.*, Київ 1964.
- Ковалів Ю., *Романтична стильова течія в українській радянській поезії 20-30-их рр.* (М. Бажан, Ю. Яновський, О. Влизькео, Л. Первомайський), Київ 1988.
- Кононенко П., *Українська література. Проблеми розвитку*, Київ 1994.
- Кошелівець І., *Сучасна література в УРСР*, Нью-Йорк 1964.
- Крушельницький А., *Літературно-критичні нариси*, Станіславів 1908.
- Кузнецов Ю., *Імпресіонізм в українській прозі кінця ХІХ - початку ХХ століть. Проблеми естетики і поетики*, Київ 1995.
- Лавріненко Ю., *Розстріляне відродження*, Instytut Literacki, Paryż 1959.
- Лейтес А., Яшек М., *Десять років української літератури*, Харків 1928.
- Наєнко М., *Романтичний епос: лірико-романтична стильова течія в українській радянській прозі*, Київ 1988.
- Наливайко Д., *Про співвідношення "декадансу", "модернізму", "авангардизму"*, „Слово і Час” 1997 nr 11-12, с. 49.
- Нариси історії української літератури і критики*, Мюнхен 1994.
- Неврий М., *Українська радянська поезія 20-их рр. Мікропортрети в художніх стилях і напрямках*, Київ 1991.
- Павличко С., *Дискурс модернізму в українській літературі*, Київ 1999.
- Приходько І., *Творчі портрети українських письменників ХХ століття*, Тернопіль 1993.
- Проблеми історії та теорії реалізму української прози ХІХ-початку ХХ ст.*, Київ 1991.
- Рудницький М., *Від Мирного до Хвильового*, Львів 1936.
- Сеник Л., *Роман опору і література трагічної свідомості (20-ті рр.)*, „Слово і Час” 1996, nr 1, с. 51-58.
- Українська література ХХ століття*, за ред. В. Моренця, Ю. Фалька, Київ 1993.
- Українська новелістика кінця ХІХ - початку ХХ століття*, упорядкування і примітки С. Нахліка, вступна стаття І. Денисюка, Київ 1989.
- Українське слово. Хрестоматія української літератури та літературної критики у чотирьох томах*, за ред. В. Яременка, Є. Федоренка, Київ 1994-95.
- Филипович П., *Літературно-критичні статті*, Київ 1991.
- Франко І., *З останніх десятиліть ХІХ ст.*, Зібрання творів у 50 томах, т.41, Київ 1984, с. 471-529.
- Шамрай А., *Українська література*, Харків 1927, II видання – Мюнхен 1989.

#### Wspomnienia:

- Карманський П., *Українська богема*, Львів 1936; Львів 1996.
- Орест М., *Безсмертні: збірник спогадів про М. Зерова, П. Филиповича і М. Драй-Хмару*, Мюнхен 1963.
- Рудницький М., *Письменники зблизка*, Львів 1958.
- Смолич Ю., *Розповідь про неспокій*, Київ 1968; *Мої сучасники*, Київ 1978.
- Шерех Ю., *Не для дітей*, New York - München 1964; *Друга черга 1978; Третя сторожа*, Baltimore-Toronto 1991.

#### Przekłady:

- Młoda Ukraina. Antologia*, zebrał i przełożył W. Orkan, Warszawa 1908.

## Nota redakcyjna:

### Tytuły oryginalnych utworów:

- Olha Kobyławska, *Nekulturna* (przekład specjalnie dla tego wydania)
- Mychajło Kociubynski, *Cwit jabłuni, Z hłybyn, Intermezzo* (przedruk opowiadań z tomu: *Utwory wybrane*, Warszawa 1954)
- Wasył Stefanyk, *Sama samiuška, Kamynnyj chrest* (oba przekłady specjalnie dla tego wydania); *Moje słowo* (przedruk z wyboru *Klonowe liście*, Lwów 1904)
- Bohdan Łepki, *Stricza; Łężaw pry widczynenim wikni* – oba opowiadania w przedruku z wyboru *Młoda Ukraina*, Warszawa 1908; *Sim szlafrokiw* (przekład specjalnie dla tego wydania)
- Marko Czeremyszyna, *Karby; Did* (przedruk z wyboru *Młoda Ukraina*, Warszawa 1908)
- Mychajło Jackiw, *Poema dołyn; Diwczynyna na czornim koni; Malowanyj strileć;* (przedruk z tomu *Wieczorne psoty. Dziewczynyna na czarnym rumaku i inne opowiadania*, Warszawa 1909) *Oleń prokłynaje; Dytyna; Lisowyj dzwin* (przekłady specjalnie dla tego wydania)
- Hnat Chotkewycz, *Portret, Czariwna pałycia* (przekłady specjalnie dla tego wydania)
- Wołodymyr Wynnyczenko, *Małeńka rysoczka* (przedruk z tomu *Historia Jakimowego gmachu*); *Rabyni sprawżnioho* (przekład specjalnie dla tego wyboru)
- Hryhorij Kosynka, *Misiacznyj smich* (przekład specjalnie dla tego wyboru)
- Wałerjan Pidmohylny, *Did Jakym, Istorija pani Jiwhy, Iwan Bosyj* (przekłady specjalnie dla tego wyboru)
- Mykoła Chwyłowy, *Doroha j łastiwka* (przekład specjalnie dla tego wyboru); *Ja (romantyka)* (przedruk z „Literatury na świecie” 1995, nr 10)
- Arkadij Lubczenko, *Krow, Stepowa łehenda* (przekłady specjalnie dla tego wyboru)
- Geo Szkurupij, *Peremożeć drakona; Tysiacza projdyswitiv* (przekłady specjalnie dla tego wydania)
- Jurij Janowski, *W łystopadi, Poworot* (przekłady specjalnie dla tego wydania)

**Wykaz pozycji wydawniczych  
wydanych ze środków Fundacji Sławistycznej:**

1. A. Aksamitow, M. Czurak, *Słownik frazeologiczny białorusko-polski*, Warszawa 2000



Słowistyczny Ośrodek Wydawniczy (SOW)  
przy Instytucie Słowistyki Polskiej Akademii Nauk

*udziela informacji  
korespondencyjnie i telefonicznie*

o wydawnictwach własnych i możliwościach ich zakupu.

**Nasz adres:**

PKiN, 00-901 Warszawa, skr. poczt. 19,  
tel. 656-62-66, 656-65-30, tel (fax) 656-62-56

e-mail: [ispan@ispan.waw.pl](mailto:ispan@ispan.waw.pl)

[www.ispan.waw.pl](http://www.ispan.waw.pl)

A15069



7/15

ISBN 83-86619-98-8